



GORDIAN

GRZECH I KARA

PIKANTNE SCENY. OSTRY JĘZYK.
MĘSKI PUNKT WIDZENIA.

Melissa Darwood

Melissa Darwood

GORDIAN
GRZECH i KARA

Dla Agi Ś.





Mam w głębokim poważaniu, co sądzą o mnie ludzie – sąsiedzi, wykładowcy i te studenckie dupki z polibudy. Mimo to podejrzewam, co mogą myśleć. Jestem świadomy, że laski mają mokro w majtkach na mój widok, a faceci najchętniej by mnie zajebali i zakopali w podmiejskim lesie. Dzieje się tak dlatego, że kobiety lubią popieprzonych gości. Wydaje im się, że naprostują takiego, uglądają, że zmieniają go z pomiotu szatana w anioła, że wybawią ode złego.

Faceci z kolei nie znoszą takich jak ja. Wyczuwają zagrożenie – to taki samczy instynkt. Pierwotną rolą mężczyzny jest zapładnianie, a gdy na horyzoncie pojawia się inny alfa, do którego lgną wszystkie samice, należy się go pozbyć.

Tylko że nikt nie tknie mnie palcem, nie spojrzy krzywo w moim kierunku, nie powie słowa, bo wie, że porachuję mu kości. A jeśli jeszcze tego nie wie, to się dowie.

Chłopaki z roku boją się mnie jak zarazy. I słusznie. Zła sława mnie wyprzedza. Chyba nie ma na uczelni osoby, która by nie wiedziała, że mam na koncie wyrok za zabójstwo. Tak, zabiłem człowieka, cztery lata temu. I od razu sprostuję – to nie był wypadek, chociaż taką linię obrony przyjął mój obrońca i tak orzekł wysoki sąd. Podczas rozprawy biegła psychiatra powiedziała, że posiadam zawyżony poziom testosteronu, który w połączeniu z ponadprzeciętnym ilorazem inteligencji oraz osobowością chwiejną typu impulsywnego powoduje ataki agresji i nieprzystosowanie do ogólnie przyjętych norm społecznych.

Pieprzenie. Już miałem ją uświadomić, że to agresja produkuje testosteron, a nie na odwrót, i że nie jestem baranem, aby dostosowywać się do ogółu, ale w porę się zamknąłem.

Przecież miałem być grzeczny.

– Masz być potulny, siedzieć cicho i uśmiechać się do wysokiego sądu. Może nam się poszczęści i zmięknie jej serce na widok twojej ładnej buźki – poucza mnie obrońca dzień przed rozprawą.

– Podejrzewam, że na mój widok będzie raczej chciała zrobić sobie dobrze. – Kładę nogi na ławie, na której leżą dokumenty.

– Zapomnij o tym, żadnych podtekstów seksualnych. – Darek spogląda znad okularów.

– Mówiłeś, że jest koło czterdziestki. Myślisz, że kobieta w tym wieku nie polecą na dwudziestoczwolatkę?

– Gordian, ostrzegam cię. Bez żadnych głupich numerów na sali rozpraw, bo trafisz do kicia. – Celuje we mnie palcem.

To mi się zdecydowanie nie podoba. Czuję pulsowanie w skroniach.

– Po pierwsze, moje imię się odmienia, więc poprawnie powinieneś zwrócić się do mnie Gordianie. A po drugie, zmień ton i wypierdalaj z tym paluchem, bo na rozprawie pojawisz się w gipsie.

– Czuję, że jeszcze chwila, a wstanę i jednym ruchem złamię mu rękę.

Co do pierwszej kwestii – tak, mam na imię Gordian i moje imię odmienia się przez przypadki. Dostałem je po rzymskim imperatorze – Marcusie Antoniusie Gordianusie. Mój ojciec miał fiksację na punkcie historii Cesarstwa Rzymskiego. Przyjechał do Polski w 1993 roku robić interesy, a zrobił

dziecko.

Co do drugiej kwestii – tak, mógłbym złamać Darkowi tę pieprzoną rękę bez mrugnięcia okiem. Dźwignia na łokieć ze stójki i kwiczałby jak zarzynany zwierz. Ale się powstrzymuję. Potrzebuję dobrego obrońcy, a on ma łeb na karku.

Gdy miałem pięć lat, mama zapisała mnie na karate. Byłem nadpobudliwym, agresywnym dzieckiem. Szybko wybuchalem złością, dlatego musiałem jakoś rozładowywać emocje. Matka się przejęła, bała się, że wyrosnę na takiego agresora jak ojciec. Psycholog w poradni dziecięcej poleciła sport jako formę terapii. I tak trafiłem na zajęcia z karate. Szybko załapałem, o co chodzi, byłem w tym dobry. Chciałem poznawać kolejne sztuki walki. W ciągu paru lat opanowałem jiu-jitsu, boks, aikido, by później na maksa wkręcić się w krav magę. Nauczyłem się, że nie ma ludzi odpornych na ciosy, są tylko źle trafieni. Krav maga została opracowana dla Sił Obronnych Izraela – łączy w sobie wiele sztuk walki, skupia się na kontrataku i trwałym uszkodzeniu przeciwnika.

Dzięki niej ojca pozbyłem się jednym ruchem. Skręciłem mu kark.

Aby złamać człowiekowi kark, należy użyć siły niezbędnej do przesunięcia prawie czterystukilogramowego ciężaru. To nie łamanie patyka. Oprócz siły potrzebna jest technika i szybkość, dopiero wtedy kręgi są w stanie rozerwać rdzeń kręgowy. Przydałoby się jeszcze, żeby nikt cię przy tym nie zauważył.

Zamordowałem go z zimną krwią. I nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia. Należało się skurwielowi.

Według linii obrony „Nicos Samaras spadł ze schodów na skutek szamotaniny z synem. Zmarł w wyniku obrażeń”.

Skazano mnie za nieumyślne spowodowanie śmierci. Dostałem najniższy wymiar kary – trzy miesiące w zawieszeniu.

Ewidentnie byłem w typie pani sędzi.

Żebyście tylko widzieli jej minę, kiedy weszła na salę sądową. Rumień rozszedł się po jej szyi, oczy miała duże i pełne niedowierzania.

Nic dziwnego. Pewnie w najgorszym koszmarze nie spodziewała się, że przypadkowy kochanek okaże się oskarżonym w sprawie karnej, w której będzie orzekać.



Wcześniej

Pani sędzia – Kornelia Tyniecka, lat trzydzieści dziewięć. Rozwódka, trzynastoletnia córka, apartament na trzecim piętrze, Citroën Picasso. Zadbana, niebrzydka i, jak się okazało, spragniona pieprzenia. Udaje mi się ją namierzyć dzięki Tobiaszowi, którego trenuję od roku. Prowadzenie szkoleń z krav magi ma wiele plusów – oprócz zarabiania niezłej kasy poznasz zakapiorów, bandziorów, a czasami nawet tajniaków, którzy potrafią wiele zdziałać na mieście. I chociaż ich profesje mogą powodować konflikt interesów, a każdy z nich jest inny, wszyscy posiadają wspólną pasję – spuszczenie ludziom wpierdolu.

Nie mam pojęcia, czym właściwie zajmuje się Tobiasz, nigdy się nie zdradził. Umie wyszukiwać informacje o różnych osobach: politykach, biznesmenach, urzędnikach. Bez problemu udało mu się ustalić, kto będzie moim sędzią i gdzie mogę go znaleźć.

Kiedy tylko wchodzę na siłownię i widzę panią Kornelię na bieżni, mój chuj podskakuje z radości. Mogę połączyć przyjemne z pożytecznym. Nie spodziewałem się aż tak zgrabnego tyłeczka. Kobiety w jej wieku mają już trochę obwisłego ciała. Kornelia tymczasem posiada szczupłe ramiona, wąską talię, zgrabne pośladki i dosyć spore cycki, które kołyszą się w rytm jej kroków. Po włosach starannie upiętych w kucyk, ubiorze i gadżetach domyślam się, że jest perfekcjonistką dbającą o szczegóły. Jej wygląd jest nienaganny. Obcisły top na ramiączkach z odkrytą talią, krótkie spodenki, sportowe obuwie wysokiej klasy, frotka z logo jednej z najlepszych firm sportowych. Wszystko markowe i na oko zajebiście drogie.

Krople potu lśnią na jej dekolcie, gdy ją mijam. Czuję napięcie w lędźwiach. Siadam naprzeciwko niej w rozkroku, opieram dłoń na kolanie, natomiast drugą ręką zaczynam podnosić hantel. Nie

przepadam za statycznym pakowaniem na siłowni, wolę raczej ćwiczyć w samotności. Być sam ze sobą, ze swoim ciałem, a nie rozpraszać się spojrzeniami ludzi. Biegi po lesie o piątej nad ranem, skoki na skakance do utraty tchu, pompki, podciąganie się na drążku... Ale teraz to nie ma znaczenia, nie znalazłem się na siłowni po to, by powiększać masę mięśniową. Jestem tu, żeby osiągnąć inny cel.

Kobieta już na samym początku musiała zauważyć, że się w nią wpatruję, lecz jak dotąd taktownie unika kontaktu wzrokowego. Nie odpuszczam. Lustruję przeżące się ciało, próbując zgadnąć, co też może najbardziej kręcić panią sędzię. W końcu nasze spojrzenia się spotykają. Uśmiecham się lekko, na co ona odpowiada uśmiechem. Patrzę jej w oczy, długo, intensywnie, wyobrażając sobie, jak jęczy pode mną i błaga o więcej. Twardnieję. Na moim kroczu pojawia się wybrzuszenie, które nie uchodzi uwadze Kornelii. Spuszcza wzrok. Ciekawe, kiedy ostatni raz z kimś była? To, w jaki sposób zareagowała, podpowiada mi, że nie puszcza się na lewo i prawo z byle kim, a to oznacza, że mam nie lada wyzwanie. To przecież sędzia. Musi posiadać kręgosłup moralny, w pracy kieruje się etyką. Zakładam więc, że podobnie postępuje w życiu prywatnym. A uprawianie seksu z nowo poznanym, dużo młodszym facetem trudno uznać za moralne.

Zatrzymuje biegnię, ociera frotką czoło i upiła łyk wody, unikając patrzenia w moim kierunku. Jest spocona, nieco ożywiona. Odkładam hantel i ruszam w jej stronę. Daję sobie rękę uciąć, że kiedy mnie dostrzeżga, jej oddech przyspiesza. Nie ucieka jednak. Czeka, aż podejdę.

– Cześć. Jesteś w niezłej formie. – Uśmiecham się i opieram o biegnię.

Przeciera kark ręcznikiem, po czym odpowiada mi uśmiechem.

– Dzięki, ty też. Chociaż nie widziałam cię tu wcześniej.

– Wolę ćwiczyć w plenerze. Ale chyba powinienem częściej wychodzić do ludzi. Widzę, że sporo mnie omija. – Puszczam do niej oko.

Bum! Kolejny rumieniec, tym razem na policzkach.

Odchrząknięcie, łyk wody, chwila na otrzeźwienie i zerknięcie na zegarek.

– Muszę się zbierać. Miło było...

– Mogę cię zaprosić na kawę? – wchodzę jej w zdanie. – Za rogiem mają dobrego baristę.

Mruży powieki. Widzę, że ze sobą walczy. Szybkie tempo to zdecydowanie nie jest jej styl. Ale ja nie mogę sobie pozwolić na te całe bzdury z randkowaniem, uwodzeniem, pitu-pitu. Nie mogę dopuścić do tego, by mnie poznała i dowiedziała się, kim jestem. To musi być spontaniczna akcja, wyskok, którego pani sędzia za nic nie będzie chciała ujawnić. Najpierw jednak muszę ją nieco ośmielić. Jestem pewien, że jej się podobam, patrzy na mnie tak, jak większość kobiet. Jedyne, co powstrzymuje Kornelię przed wskoczeniem mi do łóżka, to zwykła przyzwoitość. Nie wypada poważanej kobiecie w tym wieku, na takim stanowisku, z dorastającą córką, dla której matka powinna być wzorem, pieprzyć się z dopiero co poznanym facetem. Co, jeśli ktoś by się dowiedział?

– Dziękuję, ale raczej nie skorzystam. Miałam ciężki dzień w pracy, wezmę prysznic i wracam do domu.

A więc kawa w hotelowej restauracji odpada. Pora na plan B.

– Szkoda. Wydawało mi się, że coś między nami zaiskrzyło. W takim razie może innym razem – oznajmiam bez zbędnego zawodu w głosie.

Uśmiecha się niewyraźnie. Wygląda na rozczarowaną, że odpuściłem tak szybko. Daję jej jeszcze dziesięć sekund na zastanowienie, w czasie których nie odrywam wzroku od jej oczu. Ona jednak najwidoczniej nie planuje zmieniać zdania, natomiast ja nie zamierzam stać tu dłużej jak kolek.

– Okej, też będę się zbierał pod prysznic. Na razie – żegnaj się i odchodzę.

Widzę w lustrze, jak odprowadza mnie wzrokiem, następnie zabiera swoje rzeczy i idzie do szatni.

Rozglądam się po siłowni. Na sali oprócz nas są jeszcze trzy kobiety oraz kilku facetów.

Zgarniam torbę z ciuchami i podchodzę do recepcjonisty.

– Słuchaj, stary, mam napaloną laskę w szatni. Udostępnisz na dwadzieścia minut klucz od pryszniców? – Kładę mu dwie stowy na blacie.

Koleś rozgląda się po sali, po czym spogląda na grafik, a następnie na zegarek.

– Dwadzieścia minut i ani sekundy dłużej. Dziewczyny za pół godziny kończą. – Podaje mi

kluczyk z breloczkiem, zabierając kasę.

W szatni jest pusto, z łazienki dobiega odgłos lecącej wody. Rozbieram się do naga, wyciągam z kieszeni dżinsów prezerwatywę i wchodzę do pomieszczenia z natryskami. W środku jest parno. Sędzia myje się pod ostatnim prysznicem. Zamykam za sobą drzwi, przekręcając klucz i zostawiając go w zamku. Po drodze odkładam gumkę na mydelniczkę przy sąsiednim prysznicu i podchodzę do sędzi od tyłu. Nie za blisko. Muszę być ostrożny, stąkam po kruchym lodzie.

Sunie dłońmi po nagim ciele, piersiach, udach, a mój kutas stoi już na baczność – gotowy, by wziąć ją od tyłu i zagłębić się między jej pośladki.

– Chyba nie muszę ci mówić, że jesteś zajebiste atrakcyjna.

Podskakuje, słysząc mój głos. Odwraca się, jej oczy rozwierają się szeroko. Zasłania piersi i cipkę.

– Co tutaj robisz!?

Wzruszam ramionami i uśmiecham się wyzywająco.

– Wspominałaś coś o ciężkim dniu, więc pomyślałem, że pomogę ci się odprężyć.

– Źle trafiłaś. Nie należę do tego typu kobiet. Wyjdź stąd – mówi stanowczo.

To jeszcze mocniej mnie nakręca. Lubię wyzwania i silne babki.

– Widzisz, jak na mnie działasz? – Spoglądam w dół na członka. Jest twardy, wielki i wyczekujący.

Kornelia patrzy na niego, jej twarz czerwienieje. Po chwili podnosi na mnie wzrok, a ja dostrzegam w nim pobudzenie. Mimo to odzywa się pewnym głosem:

– Wyjdź stąd, bo wezwę pomoc.

– Okej. Wyjdę, ale najpierw chciałbym umyć ci plecy. – Daję krok w jej stronę, lecz ona się cofa.

– Stawiasz mi warunki? Jesteś bezczelny.

– A ty naprawdę mnie podniecasz. Lubię kobiety, które znają swoją wartość i o siebie dbają. Poza tym... – przesuwam dłońią po karku, patrząc jej przenikliwie w oczy – drzwi są zamknięte, nikt nas nie zobaczy, dajmy sobie chociaż dwie minuty przyjemności. Kiedy ostatni raz ktoś sprawił ci przyjemność?

Wzrok sędzi wędruje w stronę wyjścia. Mruży powieki, widząc klucz w zamku, po czym przenosi na mnie spojrzenie. Wciąż nie jest pewna, czy powinienem się do niej zbliżyć.

– Nie zrobię niczego, co mogłabyś odebrać za niestosowne. – Podchodzę bliżej i staję za jej plecami tak, że woda z prysznica zrasza teraz moje ramiona. – Potraktuj to jak masaż relaksacyjny, chwilę odprężenia – szepczę jej do ucha i obejmuję palcami barki.

Porusza szyją, zaczyna oddychać szybciej.

– Kiedy ostatni raz czułaś, że możesz zrobić coś tylko dla siebie? Bez konsekwencji, bez zobowiązań, bez hamulców? – Masuję jej plecy.

Jest spięta, jednak z każdą sekundą zdaje się rozluźniać.

– Jak masz na imię? – pyta, poddając się stopniowo mojemu dotykowi.

– Powiedzmy, że Antoniusz – wymieniam drugie imię imperatora, na którego cześć zostałem nazwany.

– Hmm, nietypowo... – mruczy, a ja przesuwam dłonie niżej, na odcinek lędźwiowy.

Mój wzrok zatrzymuje się na okrągłych pośladkach. Najchętniej dałbym jej klapsa i od razu ją przeleciał, ale wtedy byłoby po zawodach. Jeszcze przyjdzie na to pora.

– A ty? – pytam tuż przy jej ramieniu.

Chwila zastanowienia.

– Mów do mnie Kleopatra. – Przez jej głos przebija się nuta kokieterii.

A to flirtowała.

– Moja królowo, wybac, lecz daj, proszę, szansę, bym w próbie miłość swą wykazał^[1] – szepczę i zatapiam usta w jej szyi.

I tym ją zdobywam.

Z kobiecych warg wydobywa się rozkoszny jęk, wygina plecy. Przywieram członkiem do mokrych pośladków, obejmuję piersi i zaczynam całować kark. Wciąż jest spięta, ale przynajmniej gotowa na więcej. Sięgam jedną ręką do cipki. Jest wilgotna, choć nie aż tak bardzo, jakbym tego

oczekiwał. Trzeba ją bardziej nakręcić. Wiem jednak, że samymi czynami nie zdziałam tak wiele, jak słowami. Muszę namieszać jej w głowie, zdobyć psychikę, wówczas ciało podda mi się całkowicie.

– Gdy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że jesteś gorąca – mówię, masując łechtaczkę i nie przestając ocierać się o pośladki. – To, w jaki sposób poruszały się twoje piersi, twój jędrny tyłek... Nawet nie wiesz, jak mi wtedy stanął. Lubię doświadczać dojrzałej kobiecości – bredzę jak potłuczony, ale na nią to ewidentnie działa.

Wzdycha i rozszerza odrobinę nogi. Wykorzystuję ten moment i wsuwam w nią palec, a po nim drugi. Widocznie jej się podoba, bo zaciska na nich mięśnie.

– Uwielbiam takie kobiety jak ty, stanowcze, a zarazem pełne napiętności. Jesteś seksowną kobietą, która diabelnie mnie podnieca. – Jej cipka pulsuje, a biodra instynktownie poruszają się w przód i w tył. Posuwam ją palcami, czując, jak na nie napiera, jak pragnie więcej, jak stopniowo puszczają jej hamulce. – Chcesz tego, prawda? Powiedz mi... – Przygryzam płatek ucha Kornelii. – Powiedz.

– Tak – jęczy. – Chcę.

Wysuwam z niej palec i sięgam po prezerwatywę. Kornelia w strugach z deszczownicy masuje się po cipce, czekając, aż ją wypełnię.

Rozrywam zębami opakowanie, nakładam kondom, po czym opieram sędzię o ścianę tak, że wciąż stoi do mnie tyłem. Odkąd zacząłem ją dotykać, ani razu nie spojrzała mi w oczy. Najwyraźniej domyśliła się, że to ma być po prostu seks, czysta rozkosz, zaspokojenie potrzeb. I coś podpowiada mi, że dawno nikt ich nie zaspokajał.

– Będziemy się pieprzyć tak, jak nigdy dotąd z nikim się nie pieprzyłaś – obiecuję, a ja zawsze dotrzynam słowa.

Rozsuwam jej nogi, chwytam za twardego jak drąg kutasa i wchodzę w nią aż do samego końca. Jęczy przeciągle. Opiera się ręką o ścianę, jakby zaraz miała się przewrócić.

– Chryste, jaki on wielki... – stęka.

Mimo że mówi to nieświadomie, tak mnie tym jara, że teraz to już muszę ją porządnie wyruchać, żeby zapamiętała mnie na zawsze.

Wyciągam kutasa, na co sędzia wypina tyłek. Przesuwam kciukiem po tej ciaśniejszej dziurce. Z chęcią i tam bym jej włożył, ale coś mi podpowiada, że na to pani Kornelia nie jest gotowa. Może za trzecim albo czwartym razem sama by tego chciała? Tylko że nie będzie ani czwartego, ani trzeciego, ani nawet, kurwa, drugiego razu.

Zaciskam dłoń na jej pośladku, rozszerzam go, by mieć jak najlepszy widok, i wkładam męskość w cipkę aż po same jaja.

Kornelia jęczy, wijąc się seksownie. Łapię za kobiece biodra i zaczyna się ostra jazda. Posuwam ją mocno, szybko, bez wytchnienia. Obijam się o jej tyłek, a ona coraz mocniej go wypina.

Pani sędzia – prychem w myślach.

Jest mi dobrze, kurewsko dobrze. Osiągam bowiem to, czego chciałem – zdobyłem ją. Jeszcze tylko kilka szybkich pchnięć i dojdę. Kornelia dyszy, błagając o więcej. Hamulce zupełnie puszczają.

– Tak, jeszcze, proszę.

Miała mnie dobrze zapamiętać, to zapamięta. Nie przestając jej posuwać, sięgam dłonią do łechtaczki i pocieram energicznie. Sędzia wypina pupę coraz mocniej, zaciska pochwę tak, że mam ochotę eksplodować. Wolę jednak, żeby doszła przede mną. Chcę, żeby mój fiut doprowadził ją do takiego orgazmu, że w sędzie, oprócz tego, że poczuje konsternację i zmieszanie, to przede wszystkim podnieci się na mój widok.

Jeszcze kilka szybkich pchnięć, głębokich, penetrujących. Niewinny klaps w pośladek, muśnięcie łechtaczki i sędzia wije się, jęczy, sunie dłońmi po ścianie. Z jej gardła wydobywa się okrzyk:

– Jezu, dochodzę... – Napręża się, ciałem wstrząsa dreszcz. Łapie się za pierś, a ja już mam stuprocentową pewność, że dawno, o ile w ogóle, nikt nie doprowadził jej do takiego orgazmu.

Czuję, że i ja zaraz dojdę. Chwytam kobietę oburącz za biodra i wbijam się w nią bez opamiętania. Raz, drugi, trzeci. Prąd rozchodzi się od fiuta, przez lędźwie, plecy, aż po kark. Odchylam głowę do tyłu i eksploduję.

Woda spływa mi po twarzy, w skroniach pulsuje.

– Kurwa, ale dobrze... – stwierdzam zgodnie z prawdą i w tej samej chwili rozlega się walenie do drzwi, któremu wtóruje męski głos:
– Minęło dwadzieścia minut! Wychodźcie!
To się nazywa wyczucie czasu.



Słyszę krzyk. Rozglądam się po pokoju. Jest ciemno za oknem, jedynie mała lampka z wizerunkiem Kubusia Puchatka pali się słabym światłem, a na suficie mienia się fotoluminescencyjne gwiazdki i rakieta kosmiczna. Kolejny krzyk – to mama. Siadam na łóżku i stawiam stopy na dywaniku w autka. Chce mi się pić i siusiać. Przecieram oczy i zastanawiam się, czy już czas wstawać do przedszkola.

– Błagam, Nikos! Puść mnie. – Mama płacze.

Przeszywa mnie dreszcz.

Otwieram drzwi i kieruję się do łazienki. Tak bardzo chce mi się siusiu, że zaraz nie wytrzymam. Mijam kuchnię, przystaję, cofam się. Ojciec ciągnie mamę za włosy po podłodze.

– Zobacz, zdziro, jaki syf! – krzyczy po polsku, z greckim akcentem. Kuca i przyciska jej policzek do posadzki. – Jak mam mieszkać w takim burdelu? Niedługo zalęgną się tu karaluchy.

– Miałam ciężki dzień w pracy, nie zdążyłam posprzątać... – mówi niewyraźnie mama z ustami przypartymi do kafelków.

– Ty jebana suko! Nic dziwnego, że nie zdążyłaś. Byłaś zbyt zajęta dojeniem wińska. Wiesz, że nie znoszę, gdy śmierdzi od ciebie jak z gorzelnii. – Ojciec unosi jej głowę za włosy i uderza nią o podłogę. Rozlega się głuchy łomot.

Mama krzyczy i zalewa się łzami.

Zaczynam się trząść. Boję się. Twarz taty przypomina maskę potwora. Ma dziwnie wygięte wargi, jego oczy są duże i straszne. Robi mamusi krzywdę. Dlaczego? Bo nie posprzątała?

– Ja posprzątam. Nie rób nic mamusi. – Wchodzę do środka i wyciągam zza drzwi szczotkę. Kij jest długi, trudno mi go utrzymać.

– Gordi, kochanie, wracaj do łóżka. – Słyszę proszący głos mamy.

– Pomogę ci, mamusi. – Zerkam w ich stronę. Ojciec przygląda mi się niespokojnym wzrokiem.

Zaczynam zamiatać, tak jak uczyła mnie mama: miejsce obok miejsca. Chce mi się spać i wciąż się nie wysusiałem. Staram się, jak mogę, ale niechący trącam kijem szklankę z czerwonym sokiem, która stoi na stole. Brzdęk, szklanka rozbija się obok rodziców. Czerwona plama rozlewa się po kafelkach, napój ma dziwny zapach, pachnie zepsutymi owocami. Serce bije mi bardzo mocno. Tata będzie zły.

– Ty gówniarzu! Ty jebana pokrako! – krzyczy na mnie.

– Nie, Nikos! Zostaw go. Zostaw! – błaga mama. Nie może się podnieść, tata przytrzymuje ją nogą.

Patrzę na niego. Boję się. Tak bardzo się boję. Tata robi zamach dużą dłonią i uderza mnie w buzię. Nogi się pode mną rozjeżdżają, upadam na podłogę, widzę przestraszone oczy mamy leżącej obok mnie.

Czuję, że mam mokre spodenki od piżamki.

– Mamusi, chyba się zsiusiałem – mówię i zaczynam płakać. Boli mnie buzia i głowa, wszystko

wokół się kręci, jest mi niedobrze.

I nagle ktoś gasi światło.



Budzę się zlany potem. Nie mogę złapać tchu. Unoszę się, zapalam lampkę na szafce nocnej i czuję, że mam mokre poślanie. Odkrywam kołdrę. Ja pierdołę! Zeszcząłem się w gacie.

Kurwa, prawdziwy ze mnie kozak.

Zerkam na zegarek. Druga trzydzieści. Dociera do mnie, że kimałem niecałe dwie godziny. Kolejna nieprzespana noc. Już nie pamiętam, kiedy ciurkiem spałem chociaż pięć godzin. Wstaję, zdejmuję bokserki, otwieram na oścież okno, bo jest gorąco jak w piekle i śmierdzi szczynami. Ściągam pościel, wstawiam pranie, a następnie biorę zimny prysznic. Chcę wyrzucić z pamięci obraz koszmarnego snu. Lecz on mnie nęka, nęka mnie od prawie dwudziestu lat. To najwcześniejsze wspomnienie, jakie posiadam z dzieciństwa, późniejsze są jeszcze gorsze. I też mnie nawiedzają. Czasami przychodzą do mnie nawet na jawie. Brałem już różne pigułki na głowę, bo nie mogłem normalnie żyć, ale nie pomagały. Byłem po nich albo śpiący, albo miałem problemy z koncentracją, albo chciało mi się rzygać. Psychiatra, u którego byłem dwa razy, zalecił terapię jako uzupełnienie leczenia. Nie ma, kurwa, takiej opcji. Gdyby ktoś przystawił mi lufę do skroni i kazał wybierać: zwalić konia drugiemu facetowi czy się przed nim zwierzać, wybrałbym to pierwsze.

Darowałem sobie psychiatrę i wspomagałem się marihuaną, ale po paleniu było jeszcze gorzej. Miałem takie jazdy, że niejeden by się już dawno powiesił. Po zabiciu ojca nasiliło mi się na maksa. Nie byłem w stanie spać ani funkcjonować, widziałem rzeczy, których inni nie widzieli. Nadal je widzę. Prochy jakie załatwił mi Tomasz przez swoją ciotkę lekarkę, nieco pomagają. Nie jest jakoś zajebiście, jednak da się wytrzymać. Gdyby nie seks, walki, mama, studia i Grecja, to chyba już dawno palnąłbym sobie w łeb. To są rzeczy, które trzymają mnie przy życiu.



Pakuje plecak i zbieram się na zajęcia. Nie zamierzam do końca życia być trenerem krav magi. Studiuję inżynierię mechatroniczną, bo nie chce mi się wierzyć, że człowiek do tej pory nie stworzył jeszcze urządzenia, które potrafiłoby zapamiętać za niego każde wspomnienie. Potrzebny nam dysk w mózgu. Dzięki niemu moglibyśmy bez problemu wyszukać i odtworzyć dokładnie wypowiedziane dziesięć lat temu zdanie, ujrane w pierwszej klasie twarze, przypomnieć sobie listę zakupów sporządzoną kilkanaście godzin wcześniej. Jeśli kiedyś uda mi się stworzyć takie cacko, będę ustawiony do końca życia. Swoją wynalazek nazwę Gordianus.

Póki co mieszkam w ciasnej kawalerce, jestem studentem ostatniego roku, zaliczam egzaminy równie sprawnie jak laski, zarabiam całkiem nieźle na treningach, a w sobotnie noce organizuję wraz z kumplem walki. I z tego mam największą kasę.

Z Tomkiem znamy się z ogólniaka. Chodziliśmy do jednej klasy, wciągnąłem go w krav magę, bo frajerzy z osiedla ciągle go szturchali. Teraz nikt mu nie podskoczy. To człowiek do rany przyłóż. Szczerze, nie mam bladego pojęcia, dlaczego nadal się ze mną kumpluje. Czasami odnoszę wrażenie, że ma masochistyczne skłonności – ja na jego miejscu ze sto razy bym już siebie zajebał. Dotąd tylko raz zdzielił mnie w gębę, jak powiedziałem, że jego dziewczyna to ździra. Oddałem mu zawiązkę, zламаłem kinola, bo nikt, nawet najlepszy przyjaciel, nie będzie mi obijał mordy z powodu głupiej dupy.

Przez tydzień się do mnie nie odzywał. Zmiękł, jak nakrył swoją słodką Angelikę z jakimś przydupasem, i zrozumiał, że miałem rację. Od tamtej pory mamy umowę, że żadna dziewczyna nas nie poróżni. Zresztą trudno by było. Tomasz jest raczej typem romantyka, zaprasza na randki, kupuje kwiaty, zalicza dopiero na trzecim spotkaniu. Szuka stałego związku. Boję się o niego, bo trafiają mu się same zołzy, które chcą wykorzystać jego dobroć. W końcu z jakąś się chajtnie, a ta od razu wsadzi go pod pantofel. I to będzie koniec jego męskości. Dobrze, że ma kumpla, który czuwa.

Zostawiam motocykl na parkingu i wchodzę na uczelnię. Mamy wykłady w nowym budynku, który wybudowano dwa lata temu. Rektor jest obrotny. Lubię go, miałem z nim wykłady na drugim roku. Trzyma to całe akademickie towarzystwo mocno za mordę. Dzięki niemu mamy wyposażone sale, programy stypendialne, projekty badawcze. Rządzi twardą ręką i widać tego efekty.

W auli jest duszno, widocznie ktoś zapomniał włączyć klimatyzację. Zazwyczaj nie chodzę na wykłady, kseruję notatki od Klaudii albo Weroniki i to mi wystarcza, żeby zdać. Biorę natomiast udział we wszystkich ćwiczeniach. Praktyka to podstawa, teorię zawsze można doczytać.

Dzisiaj mam egzamin. Pełno ludzi. Nie zdążyłem się jeszcze dobrze rozejrzeć, a Klaudia już do mnie macha. Durzy się we mnie od pierwszego roku, a ja chętnie z tego korzystam. Doskonale wie, że nigdy nie umówię się z nią na randkę, że nie będzie żadnego chodzenia, bo ja z nikim się nie umawiam i z nikim nie chodzę. Ale widocznie aż tak bardzo jej to nie przeszkadza – bzykamy się, kiedy tylko najdzie mnie ochota.

– Hej, wreszcie jesteś. Trzymałam dla ciebie miejsce. – Uśmiecha się szeroko. Ma ładną buźkę, jasne długie włosy i niebieskie oczy. Wydekoltowana bluzka na ramiączkach podkreśla jej niewielki

biust, choć wystarczająco duży do seksu hiszpańskiego. Gdyby ktoś jej nie znał, na pierwszy rzut oka stwierdziłby, że jest typową blondynką. Nic bardziej mylnego. Klaudia Furman to naprawdę bystra dziewczyna, na polibudzie nie studiuje głupie. Jest ogarnięta i inteligentna. Tylko z emocjami niezbyt sobie radzi, czego dowodem jest miłość do mnie. Może kiedyś znajdzie sobie fajnego gościa, póki co korzystam ja.

– Nie nastawiłem sobie budzika.

– Zarwałeś noc?

– Nie mogłem spać. – Wyjmuję długopis, komórkę i kładę je na ławce.

Na ekranie wyświetla się powiadomienie o nadejściu SMS-a.

Wykładowca zaczyna rozdawać testy. Widzę go na oczy pierwszy raz w życiu i zapewne ostatni.

Czytam wiadomość od mamy:

Cześć, synku, wpadniesz do nas po uczelni? Robię na obiad twoją ulubioną musakę. Chcemy ci powiedzieć coś ważnego.

Nie podoba mi się ostatnie zdanie. Nie powinienem się teraz tym przejmować. Napiszę egzamin, to do nich podjadę. Tylko że nie mogę przestać się zastanawiać, o co chodzi. Wiadomość brzmi, jakby mama co najmniej była z Serafinem w ciąży, a to raczej mało prawdopodobne, bo ma pięćdziesiąt lat. A może się mylę i jeszcze nie jest dla niej za późno na dzieci?

Wstukuję SMS:

Co jest grane? Coś się stało?

Czekam na wiadomość w nieskończoność. Tempo odpowiadania mamy jest zabójcze. W końcu przychodzi.

Nie, wszystko w porządku :) Chcemy, żebyś wreszcie poznał swoją siostrę.

Siostrę? Przecież ja, kurwa, nie mam żadnej siostry. Wpatruję się w wyświetlacz jak debil, podczas gdy wykładowca kładzie test obok mnie.

– Proszę wyłączyć telefon, trwa egzamin – odzywa się niskim głosem.

Chowam komórkę do kieszeni spodni i patrzę na zadania. Nie jestem w stanie się skupić.

Siostrę... Rozkminiam, o co może chodzić, i nagle do mnie dociera, że przecież Serafin ma córkę. Mama jeszcze jej nie poznała, a jest jego żoną od roku.

Ale jaka z niej siostra? Nie ma między nami żadnego pokrewieństwa. Pojebało ich czy jak?



Tuż przed końcem czasu przeznaczonego na egzamin udaje mi się oddać test. Jestem wypompowany i spięty. Nie mam ochoty poznawać córki Serafina. Może jeszcze będą mi kazali ją niańczyć i oprowadzać po mieście.

– Dobrze się czujesz? – pyta Klaudia, kiedy wychodzimy na skąpany słońcem parking. – Byłeś jakiś rozkojarzony na egzaminie.

I nadal jestem.

Przesuwam dłonią po włosach.

– To przez zarwaną noc – odpowiadam wymijająco.

– Może pojedziemy na wzgórze, trochę się odstresujemy po egzaminie? – Uśmiecha się zachęcająco.

Patrzę na jej usta muśnięte różowym błyszczkiem i marzę, żeby zrobiły mi dobrze.

– Okej, jedziemy – odpowiadam i zarzucam rękę na jej nagie ramię.

Siostra nie ucieknie.



Pędzę szutrową drogą na sam szczyt, gdzie można wjeżdżać tylko jednośladem. Lubię to miejsce. Klaudia zabrała mnie tu na pierwszym roku, kiedy oddała mi cnotę. Od tamtej pory przyjeżdżamy tu średnio dwa razy w miesiącu w jednym celu.

Zostawiam motocykl w krzakach, wyjmuję z bocznej torby pled i idziemy na naszą miejscówkę. Widok jest niesamowity. Jak na dłoni widać całe miasto. Jesteśmy oddzieleni od ścieżki drzewami. Rozkładam koc w cieniu, a Klaudia siada i od razu zdejmuje bluzkę. Ma na sobie biały koronkowy stanik, który idealnie pasuje do delikatnej skóry. Stoję przed nią, unoszę jej twarz i przesuвам kciukiem po dolnej wardze. Rozchyła usta i zaczyna ssać mój palec. Mam ciasno w gaciach.

– Obciągnij mi – mówię do niej wprost, bo wiem, że ją to kręci.

Uśmiecha się, obnaża piersi i klęka przede mną. Ta dziewczyna wie, jak zadowolić faceta. Rozpina mi spodnie i wyciąga fiuta. Odbieram go od niej i wkładam jej do ust. Porusza głową w przód i w tył, a mnie przechodzą dreszcze po plecach. Robi mi się gorąco. Zdejmuję T-shirt, na co oczy Klaudii błyszczą z podniecenia. Chwyta mocno penisa i zaczyna obciągać.

– O tak – odchylam głowę.

Jej usta są takie gorące, język wilgotny. Wkłada kutasa głęboko do buzi, po czym wysuwa i lekko przygryza. Obejmuje go dłonią i zaczyna poruszać rytmicznie między wargami. Ledwo trzymam się na nogach, zaraz dojdę. Łapię ją za włosy i zaczynam pieprzyć.

Klaudia wpatruje się we mnie jak w obraz tymi wielkimi, niebieskimi oczami. Wsuwa rękę w majtki i robi sobie dobrze. To mnie doprowadza na sam szczyt. Mięśnie się napinają, w uszach szumi krew. Poruszam się jeszcze ostatni raz i spuszczam się w jej usta. Sperma cieknie jej po brodzie i skapuje na nagie piersi. Klaudia naprawdę musi mnie lubić, bo z rozkoszą połyka to, co zostało w buzi.

Stoję przed nią, a ona patrzy na mnie wiernie i się masturbuje. To mnie podnieca. Minie jednak trochę czasu, zanim ponownie wrócę do formy.

– Odwróć się i wypnij tyłek – mówię do niej, a ona ściąga majtki, podciąga spódniczkę i klęka na pieska.

Co za widok, idealne krągłości, gładko ogolona cipka. Przesuwam dłońmi po jej pośladkach, odchylam je i zaczynam ją lizać. Klaudia jęczy, wargi sromowe są nabrzmięte z podniecenia. Wsuwam język w szparkę, która smakuje dobrze, znajomo. Zaciska się i rozwiera, prosząc o więcej. Jest wilgotna, chętna. Czuję, że kutas ponownie twardnieje. Sięgam po gumkę, zakładam ją i wślizguję się w Klaudię do końca.

Kolejny jęk, tym razem dłuższy.

– Kocham cię, Gordianie – wzdycha.

Nic nie odpowiadam, bo niby co miałbym powiedzieć? „Ja ciebie nie”? Zamiast tego zaczynam ją posuwać, pcham mocno, przyśpieszam. A ona jęczy coraz głośniejsze. Obijam się o jej pośladki, zwilżam kciuk i zaczynam pieścić odbyt. To jej się podoba, bo bardziej wypina pupę, a ja mam ochotę porządnie ją wydupczyć. Już to kiedyś robiliśmy, było ciasno, kurewsko ciasno.

Wychodzę z cipki i słyszę jęk protestu. Pochylam się i liżę tyłek.

– Och, tak. – Klaudia wije się pod pieścizotą mojego języka. Zaczyna się ponownie masturbować.

– Chcesz, żebym ci tu włożył? – Wciskam język w ciasną dziurkę.

– Tak.

Pluję na dłoń, zwilżam kutasa i wchodzę powoli. Jest ciasno, tak jak ostatnio. Posuwam się w niej płytko i jest mi dobrze. Klaudia masuje lechtaczkę, a ja wsuwam jej dwa palce w cipkę. To ją rozwała. Porusza się szybciej, nabijając na członka, który wszedł już prawie do połowy.

– O tak, nadzieję się na niego jeszcze raz – mówię.

I wtedy czuję, jak jej cipka zaciska się na moich palcach. Klaudią wstrząsa dreszcz, krzyczy. Wbijam się w nią mocniej, czuję prąd przechodzący przez całe ciało i w tym samym momencie dochodzę.

Opadamy na koc. Jest gorąco, nasze ciała są lepkie od potu. Klaudia obejmuje moją klatkę piersiową i wpatruje się we mnie rozanielonym wzrokiem.

– Gordianie...

– Hm?

– Pocałuj mnie.

Krzywię się. Zaczyna się stara śpiewka.

– Wiesz, że nie lubię się całować.

Klaudia podpira się na łokciu.

– Ale skąd wiesz, skoro nigdy tego ze mną nie próbowałeś? Lizałeś mnie w najintymniejszych miejscach, a nie chcesz pocałować w usta? Dlaczego? – pyta tonem pełnym pretensji.

Okej, skończyliśmy na dzisiaj. Zdejmuję z siebie jej rękę i wstaję.

– Co robisz? – Patrzy na mnie przestraszonym wzrokiem.

– Muszę się zbierać, jestem umówiony. – Zapinam spodnie i wciągam koszulkę, chociaż najchętniej zostałbym bez niej, tak jest gorąco.

– Z kim? – Siada i obejmuje kolana ramionami.

– Z mamą.

– Nie wierzę ci.

Wywracam oczami. Znowu to samo: pytania, oczekiwania, miauczenie. Po chuj mi to? Nie może po prostu cieszyć się z tego, co jest? Było nam dobrze, oboje doszliśmy, lecz ona musi pozostawić niesmak. Zachciało jej się znowu bawić w pierdolone małżeństwo.

– Twoja sprawa. Ubieraj się.



Zdejmuję kask, zsiadam z motocykla i parkuję go pod blokiem. Otwieram kluczami drzwi do klatki schodowej i wbiegam co drugi stopień na ostatnie, dziesiąte piętro. To dobry trening, pozwala rozładować energię.

Gdy wchodzę do mieszkania, dobiega mnie zapach musaki. Uwielbiam greckie żarcie. Zawsze jak jeżdżę do babci w odwiedzinę, wracam trzy kilo cięższy. Mama dobrze gotuje, jednak to babcia Kalista przygotowuje najlepiej tradycyjne greckie potrawy – mezę, horiatiki, souvlaki... Już nie mogę się doczekać, kiedy pojedę do niej w te wakacje. Ostatni raz byłem tam jeszcze przed śmiercią ojca, cztery lata temu. Pogrzeb odbył się w Polsce, więc ściągnęliśmy babcię do nas na kilka dni, ale jej się nie podobało. Wróciła na wyspę szybciej, niż planowaliśmy.

Nie dziwiłem jej się. Grecja to zupełnie inny kraj niż Polska. Większość moich kuzynów na wyspie żyje bez pośpiechu, w ciepełku, na luzaku, według zasady siga-siga^[2]. Gdy mam gorszy dzień, zamykam oczy i wyobrażam sobie, że tam jestem. Czuję gorące słońce na kłacie, zapach morza i rozgrzany piasek pod stopami, słyszę cykady w gaju oliwnym. Tak właśnie wygląda mój raj. Każdy powinien posiadać własny, którym będzie się odurzał jak amfą w syfiaste, zimne dni. A w Polsce jest takich co najmniej z dwieście pięćdziesiąt. Jak nie deszcz latem, to słońce jesienią, w zimie śnieg oraz plucha. Słońce łaskawie przygrzeje w lipcu i w sierpniu, choć też nie zawsze. Nad Bałtykiem w wakacje pizga jak na Syberii i łeb chce upierdolić. Do dupy z taką pogodą, to nie na moje geny. Dlatego, jak tylko dorobię się na Gordianusie, kupuję sobie własną wyspę, zabieram mamę ze sobą i się wyprowadzam.

Tymczasem ona wita mnie w korytarzu:

– Jesteś wreszcie, synku. – Wyciera ręce w szmatkę kuchenną i daje mi całusa w policzek. Z roku na rok przybywa jej zmarszczek, choć i tak wygląda lepiej, niż kiedy żył ojciec. Widzę po niej, że jest szczęśliwa.

– Sądziłam, że dzisiaj kończysz zajęcia wcześniej.

– Musiałem załatwić coś po drodze.

– Rozumiem. Prosiłam cię, żebyś dawał mi znać chociaż SMS-em, że będziesz później. Tyle się słyszy w wiadomościach o wypadkach motocyklowych.

– To nie słuchaj wiadomości, mamó. Będziesz spokojniejsza. – Obejmuję ją ramieniem i idziemy do kuchni.

Serafin siedzi przy stole i przegląda jakiś portal z autami na laptopie.

– Czołem, Gordianie. – Ściskamy sobie ręce.

Jest w wieku mamy, poznali się na spotkaniu Anonimowych Alkoholików, na które Serafin został zaproszony jako przykład wychodzenia z choroby alkoholowej. Mama zaczęła się leczyć dopiero po śmierci ojca, gdy wreszcie do niej dotarło, że popijanie jajecznicę na śniadanie wódką z sokiem jabłkowym nie jest normalne. A tak właśnie radziła sobie z problemami, kiedy stary jeszcze chodził po tym świecie. Nigdy jednak nie widziałem jej upitej, rzygającej, nieprzytomnej. Trzymała się zawsze w pionie, wywiązywała z domowych obowiązków, chodziła do pracy w rejestracji w przychodni.

Chociaż Bóg jeden wie, jak dawała radę ogarnąć cały ten syf z kartami pacjentów, będąc na ciągłym rauszu. Mama nie pije od prawie czterech lat, Serafin podobno od dziesięciu. Muszę przyznać, że jest porządnym facetem. Nie ma za dużo kasy, pracuje jako sprzedawca samochodów w salonie. W jego przypadku pieniądze nie liczą się aż tak bardzo. Ważne, że traktuje mamę jak królową. I to jest wystarczający powód, by go szanować. Z początku podchodziłem do niego z dużym dystansem, lecz z czasem się do niego przekonałem. Wiem natomiast, że nigdy mu w pełni nie zaufam, wciąż pozostaje czujny, choć nie obsesyjnie.

– Jak ci leci na uczelni? – pyta i zamyka komputer.

– W porządku, dzisiaj miałem egzamin... – W tej samej chwili przypominam sobie wiadomość od mamy i uzmysławiam, po co tu właściwie przyjechałem. – Chcieliście pogadać.

Mama zerka na Serafina, po czym siada obok niego przy stole. No proszę, dwóch na jednego. Krzyżuję ręce na piersi i patrzę na nich wyczekująco.

– Usiądziesz, Gordi? – prosi mama.

Siadam, chociaż po tonie jej głosu wnioskuję, że obawia się mojej reakcji na to, co za chwilę usłyszę. Nic dziwnego, dwa lata temu, gdy wyznała mi, że zamierza wyjść za mąż za Serafina, wyjechałem przez okno mikrofalówkę, w której właśnie odgrzewała mu obiad. Miałem szczęście, że nie rozwalilem komuś łba. Dwa nieumyślne spowodowania śmierci w tak krótkim odstępie czasu nie przekonałyby żadnej sędzi, nawet jeśli przeleciałbym ją na milion różnych sposobów.

– Pewnie kojarzysz, że mam córkę – zaczyna Serafin. – Ma na imię Kira i do tej pory mieszkała z matką w Anglii. Nie mieliście okazji się wcześniej poznać. Była żona nie życzyła sobie, by Kira odwiedzała moją nową rodzinę. – Ujmuje mamę za dłoń i uśmiecha się do niej ciepło. – Miesiąc temu Kira skończyła osiemnaście lat, więc sama może już o sobie decydować. Zaprosiliśmy ją do nas na wakacje... – Zawiesza głos i spogląda na mamę.

– Chcielibyśmy, żeby u nas pomieszkała – mówi mama. – Mógłbyś jej pokazać miasto, może poznać ją ze swoimi znajomymi. Planujemy zabrać ją też na wspólny wypad do Grecji. Polecilibyśmy wszyscy, we czwórkę, zatrzymalibyśmy się u Kalisty, już z nią rozmawiałam. Wspominała, że wybierasz się do niej w lipcu, i pomyślałam, że to wspaniale się składa. Dawno nigdzie nie byliśmy razem, moglibyśmy spędzić trzy tygodnie jak normalna rodzina, przy okazji poznałbyś lepiej swoją przybraną siostrę...

Już jej nie słucham. Robi mi się gorąco. Mam dwadzieścia cztery lata, mieszkam sam od sześciu. Trochę za późno na udawanie szczęśliwej rodzinie. Spóźnili się o jakieś piętnaście lat. Zamierzam spędzić wakacje na wyspie sam! Babcia na szczęście rozumie, że nie znoszę dzielenia się z kimś przestrzenią przez dłużej niż pół dnia i cenię sobie święty spokój. A oni wyskakują ze wspólnym, rodzinnym wyjazdem. Non stop razem. I jeszcze wmawiają mi, że mam siostrę, którą powinienem niańczyć. Zupełnie ich popierdoliło.

Patrzę na nich i czuję, jak litania wulgaryzmów ciśnie mi się na usta. Zaciskam pięści, staram się powstrzymać przed wybuchem. Nie obrażę mamy. Nie obrażam kobiet, nie wyzywam ich, nie ubliżam im, nie jestem taki, jak mój zafajdany ojciec. Mogę je ostro pieprzyć, ale nigdy nie zrobię im przy tym krzywdy. Nienawidzę facetów, którzy obijają swoje laski, sprawiają im ból, znęcają się nad nimi fizycznie i psychicznie. To nie są prawdziwi mężczyźni, tylko zasrani tchórze, których należałoby wykastrować i upierdolić im ręce, żeby nie przynosili wstydu porządnym gościom.

Wstaję i zaczynam chodzić. Ruch zawsze pomagał mi rozładować emocje. Ale kuchnia jest tak mała, że równie dobrze mógłbym dreptać w miejscu. Roznosi mnie, czuję, że muszę się na czymś wyżyć, bo zaraz mnie rozerwie. A że nie mam ochoty oddawać kasy za kuchenne sprzęty i robić przy tym przykrości mamie, postanawiam wynieść się z mieszkania, żeby odreagować.

– Będę za dziesięć minut – rzucam i wybiegam na klatkę schodową.

Wchodzę po drabince, która prowadzi na dach. Otwieram właz i wyskakuję na rozgrzaną papę. Mam nadzieję, że moja miejscówka nadal funkcjonuje. Miałem tu swego rodzaju plac do ćwiczeń – zawieszony worek treningowy, materac, hantle, ławeczkę. Gdy się wyprowadziłem, pozwoliłem młokosom z dołu korzystać ze swojego sprzętu, pod warunkiem że będą o niego dbać i na zimę chować wszystko do komórki.

Dach jest skąpany w promieniach zachodzącego słońca. Jestem solidnie wkurwiony, przede wszystkim na siebie, że tak mało mi potrzeba, aby stracić nad sobą kontrolę. Pobokuję w worek, to szybko mi przejdzie. Wychodzę zza komina i przystaję.

Jakaś lalka nawala w mój worek. I idzie jej całkiem nieźle. Ma formę, parę w mięśniach. Nawet nie zauważam, kiedy mój gniew się ulatnia, a w jego miejsce pojawia się zaintrygowanie. Dziewczyna jest ubrana w czarny strój do kickboxingu – dopasowany top opinający cycki, który odsłania wyrzeźbiony brzuch i krótkie spodenki podkreślające jędrny tyłek. Prócz tego ma zajebiste długie, choć posiniaczone nogi. Na dłonie założyła rękawice bokserskie, na piszczele ochraniacze. Brązowe włosy spięta w koński ogon – odskakuje teraz w rytm jej kroków. Porusza się szybko, zwinnie, ruchy rąk świadczą o tym, że bliżej jej do tajskiego, niż amerykańskiego kickboxingu. Idzie jej całkiem nieźle, robi jednak jeden podstawowy błąd.

– Źle oddychasz. Połącz cios z wydechem – mówię.

Przestaje bokswać, spogląda w moją stronę. Ma kocie, ciemne oczy i pełne usta. Nie jest jakoś specjalnie ładna, mimo to brałbym ją.

– Jogin się znalazł – odzywa się niskim, lekko zachrypniętym głosem, podobnym do tego, jaki ma Salma Hayek. A ja czuję, że mój fiut zaczyna rozpychać się w spodniach.

Dziewczyna wykonuje kopnięcie boczne i wraca do bokswania. Nigdy nie byłem z kobietą, która potrafiłaby walczyć. To mogłoby być ciekawe doświadczenie znaleźć się w łóżku z kickboxerką. Tym bardziej że dziewczę jest wysportowane, ma mocne uda, ręce, jest rozciągnięta. Mógłbym z nią wyczytnąć cuda.

Trafiają mi się dziewczyny z lepszą kondycją fizyczną, które chodzą na jakiś aerobik – srobik, pływają, biegają, ale przy większych seksualnych akrobacjach wymiękają. Zazwyczaj więc w grę wchodzi oklepiane pozycje – na huzara, na pieska, na łyżeczkę, misjonarza. Chociaż tej ostatniej zazwyczaj unikam, bo laski za bardzo korci, żeby pójść w ślinę, a ich cycki wyglądają na płaskie jak blacha. Lubię natomiast brać je od tyłu, widzieć ich krągłości, wygoloną cipkę i odbyć. Mam ewidentną słabość do seksu analnego, lecz rzadko która jest na niego chętna.

Ale z tą dupeczką mógłbym zaszałec – zrobić nożyce, delfina, indyjskie stanie na rękach, G-force albo sześć dziewięć na stojaka.

Wyobraźnia hula mi jak pies spuszczonej ze smyczy. Podchodzę do dziewczyny, przyglądając się jej ciosom.

– Aktywniej garda, bo przeciwnik zmiażdży ci twój śliczny nosek – odzywam się, stając obok niej, i momentalnie dostaję cios prosto w nos. Kurwa!

– Tak dobrze? – Uśmiecha się bezczelnie.

Łapię się za kość nosową. Ale mi przyjechała. Gdyby była mężczyzną, już leżałaby połamana. Poprawka: gdyby była mężczyzną, nie dostałbym w pysk. Nigdy nie tracę czujności przy facetach, tym bardziej przy tych, którzy potrafią walczyć.

– No, przyznam, że wzięłaś mnie z zaskoczenia. Jeden zero dla ciebie – odpowiadam i ruszam nosem.

– Moja rada dla ciebie na przyszłość: aktywniej garda, bo przeciwnik zmiażdży ci twój śliczny nosek – mówi tym swoim seksownym głosem, omija mnie i podchodzi do komina, pod którym leży sportowa torba. Dziewczyna zdejmuje rękawice i wyciera się ręcznikiem. Kropelka potu spływa jej po plecach w dół do rowka, a ja mam ochotę ściągnąć jej majtki i ostro ją wylizać.

– Mieszkasz tutaj? – pytam, patrząc, jak upija łyk wody, a po nim kolejny.

– Powiedzmy.

– Od dawna?

– Nie.

Jaka rozmowna. Chyba muszę ją trochę podkreślić, inaczej będziemy stać tu do rana.

– Masz ochotę na trening we dwoje? – proponuję i unoszę sugestywnie brew.

Upija kolejny łyk wody, po czym spogląda na mnie i mruży oczy. Ma nieziemskie spojrzenie. Zmysłowe, a jednocześnie bystre i przenikliwe. Instykt podpowiada mi, że to nie jest przeciętna dziewczyna. Mój mózg i penis są co do tego zgodni, a to już coś znaczy.

Dziewczyna wrzuca butelkę do torby i ściąga ochraniacze z nóg.

– Chcesz to zrobić tutaj? – pyta i podchodzi bliżej.

– Może być tutaj. Nie jestem wybredny. – Uśmiecham się i wyciągam rękę, by przyciągnąć ją do siebie.

W tym samym momencie ona robi wykop i odtrąca moje ramię. Kurwa mać! Nie wierzę, że znowu dałem się podpuścić. Tak to jest, jak się myśli pałą zamiast głową.

– Dwa zero dla mnie. Chciałeś trenować, to trenuj. – Stawia gardę. Nie uśmiecha się, ale widzę w jej oczach zadziorną iskrę.

Ta mała sobie ze mną pogrywa. Mam ochotę sprać ją na kwaśnie jabłko, lecz tego nie zrobię. Nie biję kobiet, nawet jeśli one tego chcą. Rzecz jasna niewinne klapsy w pośladek podczas ruchania się nie liczą. One są dla podgrzania atmosfery.

– Nie uderzę cię – odpowiadam.

Przechyla głowę, jakby nie do końca rozumiała.

– To jak chcesz walczyć?

Patrzę na nią i zastanawiam się, czy udaje, czy się ze mnie nabija, a może na serio pomyślała, że chce z nią trenować kickboxing?

Trzyma wysoko gardę, jak gdyby czekała, aż zadam cios.

– Wiesz... – Przesuwam dłonią po karku, nie spuszczać z niej wzroku, i stawiam kolejny krok w jej stronę. – Nie trzeba zadawać ciosu, żeby kogoś powalić na ziemię.

Kocie oczy się rozszerzają, lecz zanim zdąży zareagować, kucam, łapię ją hakiem za udo, podnoszę i podcinam nogę, na której stoi. Dziewczyna opada z jękiem na plecy, a ja wprost na nią. Oddychamy szybko, patrząc sobie w oczy. Jej usta są rozchylone, oczy lśnią, klatka piersiowa faluje. Czuję, jak jędrne piersi ocierają ją o mój tors. Mam fiuta twardego jak skała. Już jest moja.

– Dwa jeden. – Łapię ją za nadgarstki i kładę dłonie po bokach jej twarzy. Nie opiera się, wręcz przeciwnie. Wyczuwa mój wzwód i ociera się o mnie, unosząc lekko biodra. Pozwalam na to, zwalniając odrobinę nacisk. Przesuwam rękę na jej biodro i łapię za pośladek. Jest twardy, zupełnie jak mój kutas, który najchętniej wyskoczyłby już ze spodni. Robię machinalny ruch, nacierając na cipkę. Dziewczyna unosi biodra, obejmuje mnie nogami... Aż nagle przekreśla się, wykorzystuje siłę przerzutu i już siedzi na mnie okrakiem, uśmiechnięta od ucha do ucha.

– Trzy jeden dla mnie – mówi.

Jej twarz promienieje. Zmieniam zdanie, jest całkiem ładna.

– Wolisz być na gorze? – Kładę ręce na kobiecych biodrach i ocieram się futem o krocze.

Ale tej panny to nie rusza, a przynajmniej nic nie daje po sobie poznać. Po prostu siedzi na mnie i się śmieje.

Pierwszy raz trafiam na taki przypadek. A może źle ją wyczułem?

– Nie jarają cię faceci? – pytam.

Ściąga brwi, jakby nie rozumiała.

– Wolisz trenować z dziewczynami? – dodaję.

Przygląda mi się, nic nie odpowiadając.

– Jesteś lesbijką? – walę wprost.

Przewraca oczami.

– Nie, ale gdy spotykam facetów takich jak ty, mam ochotę nią zostać. – Schodzi ze mnie, wstaje i odchodzi w stronę komina.

– Takich jak ja, czyli jakich? – Obracam się i podążam wzrokiem za jej kształtnym tyłkiem.

Mam przesrane. Wiem, że nie przestanę myśleć o tej lasce, dopóki jej nie zdobędę. A to pewnie będzie wymagało czasu. Póki co muszę sam sobie zwalić konia albo zadzwonić po pomoc, bo mi zaraz jaja rozerwie.

– Zboczeńców, którzy myślą tylko o jednym. – Zakłada torbę na ramię i idzie w stronę wjazdu.

No, teraz to pojechała po całości. Wstaję i idę w jej stronę.

– Ej, żeby była jasność, nie jestem zboczeńcem. – Łapię ją za ramię.

Patrzy mi prosto w oczy, wygląda na poirytowaną.

– Wszyscy zboczeńcy tak myślą. A na widok dziewczyny ubranej w coś skąpszego niż hidżab od razu im staje. Wkładają sobie rękę w gacie, drugą podnoszą i wołają: halo, nie jestem zboczeńcem!

Bzdury. Nie zamierzam wchodzić z nią w tę chorą dyskusję, ktoś musiał nieźle zaleźć jej za skórę. Dzisiaj dam jej spokój. Muszę tylko sprawdzić, pod którym numerem mieszka, żeby zagadać do niej za kilka dni, jak ochłonie i zrozumie, co straciła.

Kiedy schodzi z dachu, idę za nią i dołączam do niej na korytarzu. Nie mówię nic, patrzę, dokąd pójdzie.

I w tej samej chwili mama wychodzi na klatkę.

– O, tu jesteś – mówi zaskoczona. Spogląda na mnie, później na dziewczynę i się uśmiecha. – Widzę, że już się poznaliście. Kiro, zaraz podaję obiad. Gordianie, możesz pomóc Serafinowi przestawić łóżko w twoim pokoju, żeby twoja siostra miała gdzie położyć rzeczy?

Wpatruję się w mamę i, kurwa, nie wierzę. Czy to jakiś chory żart? Przetwarzam raz jeszcze to, co powiedziała przed momentem. Zerkam na dziewczynę, a ona na mnie. Oczy ma wielkie, usta rozchylone. Wygląda na równie zaskoczoną jak ja.

– No co tak stoicie? Wchodźcie. – Mama znika wewnątrz mieszkania.

Patrzę jeszcze raz na dziewczynę, po czym przesuwam dłońmi po twarzy.

Ja pierdolę, co za niefart. Teraz na bank już jej nie przelecę. A mogło być tak pięknie.

Trudno. Po obiedzie znajdę sobie inne pocieszenie. Wskazuję ręką na drzwi:

– Siostro, ty pierwsza.



Gdy tylko wychodzę z bloku od mamy, dzwonię do Weroniki. W przeciwieństwie do Klaudii Weronika wie, na czym polega nasza znajomość, i nie robi sobie złudnych nadziei. Po prostu tak jak ja lubi seks i czerpie z niego przyjemność. Jest typem eksperymentatorki, chociaż mnie jej zabawy nie kręca. Nie lubię gadżetów, uważam, że facet sam powinien się postarać i zadowolić kobietę jak należy, a nie wysługiwać się kulkami gejszy, wibratorami czy innymi badziewiami.

Po drodze odtwarzam w pamięci obiad u mamy. Milczenie Kiry, moje milczenie. To była dopiero niezręczna sytuacja. Tam, na dachu, naprawdę miałem na nią ochotę. Co więcej, fakt, że jest córką Serafina, moją przybraną siostrą (sic!), jakoś szczególnie mnie nie zniechęcił. Wręcz przeciwnie, to, że nie mogę jej mieć, jeszcze mocniej mnie podnieca.

Nie mam żadnych zasad, jeśli chodzi o zaliczanie. Nie ustalam sobie granic, norm, reguł... Seks ma być przyjemnością. Jeśli mam ochotę przespać się z dziewczyną, to to robię. Im trudniejsza do zdobycia, tym bardziej jestem napalony.

Tym razem było podobnie.

Świadomość tego, że nie powinienem zaliczać Kiry, obudziła we mnie wzmożoną chęć zdobycia tego, co nieosiągalne. Z tą różnicą, że tu wcale nie chodziło o moje zachcianki ani o to, że Kira zgrywa niedostępną. W normalnych warunkach prędzej czy później dobrałbym się jej do majtek. Na każdą dziewczynę znajdzie się sposób, nawet na zakonnice. Tylko że tym razem sytuacja była cholernie patowa. Nie mogłem zrobić mamie takiego świństwa. Przez całą kolację nawijała o tym, jak bardzo się cieszy, że wreszcie poznała córkę Serafina. Jakie ma względem nas wszystkich rodzinne plany. Że zawsze marzyła o tym, by mieć dwójkę dzieci, że syn opiekowałby się wówczas młodszą siostrzyczką, bronił ją i jej pomagał...

Musiałem szybko się stamtąd zmywać. I unikać Kiry jak ognia. Przydałaby mi się antyviagra, dzięki której mógłbym w towarzystwie przybranej siostry utrzymać wacka w spodniach.

Pół godziny później jestem na osiedlu studenckim. Zostawiam motocykl na parkingu uczelnianym, ponieważ pod akademikami wszędzie są zakazy parkowania. Ruszam na skróty przez park. O tej porze w piątek przewija się tutaj sporo ludzi. Niektórzy siedzą na ławkach, inni leżą na trawie. Większość – mocno już wstawiona – odreagowuje mijający tydzień.

Przyśpieszam kroku, bo odgłosy wydawane przez napaloną parę dodatkowo potęgują napięcie w moich łądźwiach. Przeskakuję przez żywopłot, by skrócić sobie drogę, i wchodzę między strzeliste tuje, które przysłaniają blask księżyca. Idę sprężystym krokiem po wyściełanym korą podłożu. Nie ma tu żywej duszy, co jakiś czas słychać tylko śmiechy w oddali, którym wtóruje głos puchacza. Zbliżam się do kolejnego żywopłotu oddzielającego mnie od parkowej alejki. Już mam przeskoczyć, gdy nagle za plecami słyszę chrapliwy oddech. Ktoś łapie mnie za ramię. Obracam się, gotowy do walki. Ale nikogo za mną nie ma. Mrużę oczy w ciemnościach, żeby wyłapać zarys oddalającej się sylwetki, lecz niczego nie dostrzegam. Żadnego cienia, żadnego ruchu.

Po chwili słyszę ten sam oddech za plecami, a na ramieniu czuję ten sam uchwyt.

– Gordian, ty gówniarzu... – chrapliwy głos wymawia moje imię.

Nie odwracam się, tylko od razu łapię przeciwnika za rękę. Przez moment czuję ciężar jego lodowatego ramienia, później jednak staje się ono lekkie, ulotne jak dym z paleniska, który przenika

przez moje dłonie.

Palce łapią próżnię.

Robię szybki obrót. Nikogo za mną nie ma.

Co, do chuja?!

Rozglądam się. Serce uderza mi głucho, adrenalina podgrzewa krew w żyłach. W głowie wciąż słyszę echo wypowiedzianych słów. „Ty gówniarzu...”. Przesuwam dłońmi po twarzy. To nie pierwszy raz, gdy dzieje się coś podobnego. Ten sam głos, ta sama obelga, ten sam lodowaty dotyk. Odkąd ojciec umarł, tego typu akcje zdarzają mi się dość często. Nawet prochy nie działają. Tracę rozum.

Upewniam się ostatni raz, że to nie jakiś głupi żart, że jestem zupełnie sam, po czym przeskakuję przez żywopłot i idę w stronę akademika.

Muszę sobie ulżyć, bo zwariuję.

Wchodzę do pokoju Weroniki. Jej kumpela wydaje się niepokieszona, mimo to wychodzi grzecznie i zostawia nas samych.

– Widziałam cię na egzaminie – mówi Weronika i od razu przechodzi do rzeczy. Zdejmuje bluzkę, stanik, odsłania duże piersi. Ze smutkiem muszę stwierdzić, że nie podniecają mnie już tak, jak kiedyś. Może dlatego, że Weronika zawsze jest taka chętna i od razu wyskakuje z ciuchów. Tym razem jest podobnie. Nie mija minuta, jak stoi przede mną naga. Szczuplutka, wąska w biodrach, z ciemnymi, krótko przyszyzonymi włosami na cipce. Wodzę wzrokiem po jej ciele. Stoi mi, ale bez szaleństw. Nie pojmuję dlaczego, jeszcze godzinę temu nie mogłem się powstrzymać, aby sobie nie zwalić w kiblu w mieszkaniu mamy.

To pewnie zmęczenie, skutek nieprzespanej nocy, do tego poranny egzamin, później rodzinny obiadek i ten omam w parku...

Co ja pierdolę? Przecież ja zawsze mogę!

Weronika chyba się domyśla, że coś jest nie halo. Podchodzi do mnie, rozpina mi spodnie, wyciąga fiuta i zamyka go w dłoni. Pociera go, góra-dół, a ja czuję, jak twardnieje.

– Chodź. – Ciągnie mnie za rękę na łóżko.

Kładę się na wznak, a ona siada na mnie tyłem, okrakiem. Przesuwa się bliżej, tak że cipka znajduje się na wprost moich ust, pochyla się i zaczyna robić mi loda.

– O tak – wzdycham, czując, jak kutas wypełnia jej usta.

Weronika porusza się rytmicznie, wypinając dupę. Chwytam ją za pośladki i zanurzam twarz w wilgotnej cipce. Pachnie przyjemnie, kwiatowo, musiała się czymś smarować. Liżę ją i czuję truskawki. Nie no, z tym to już przesadziła. Zdecydowanie wolę smak czystej cipki, bez żadnych udziwnień. Mimo to nie mogę się powstrzymać, by nie wypieprzyć jej językiem. Tak mi dobrze ciągnie, że nie wypada się nie odwdzięczyć. Zanurzam się w wilgotnym wnętrzu, a ona jęczy i wkłada fiuta głęboko, aż po same jaja.

Jest bosko. Poruszam rytmicznie językiem i masuję palcem odbył. Weronika jęczy, wije się i wypina coraz mocniej tyłek, napierając na moje wargi.

Nie mam ochoty już dłużej czekać. Muszę ją porządnie wygrzmocić.

– Stań pod ścianą – mówię, a ona przygryza kutasa, po czym wypuszcza go z ust.

Po chwili stoi już w rozkroku, przodem do mnie, zwarta i gotowa. Zakładam gumkę, podchodzę bliżej, łapię dziewczynę w pasie i unoszę.

– Ach, Gordian... – Oplata mnie nogami, a ja na ułamek sekundy powracam myślami na dach. Widzę kocie oczy, ponętne usta. Długie nogi obejmują moje biodra. Czuję przypływ pożądania. Całuję ją w szyję, wchodzę w nią do końca i zaczynam ją pieprzyć.

Weronika powtarza moje imię, a jej czysty, cienki głosik przechodzi w nieco niższy, z seksowną chrypką.

Co ja odpierdalam? – pytam samego siebie, lecz mój kutas i mózg mają mnie w dupie. Ubzdurali sobie, że pieprzę przybraną siostrę. Jest mi dobrze. Poruszam się szybko, przypierając ją do ściany, jestem na granicy. Zatapiam twarz w jej szyi, wykonuję jeszcze kilka pchnięć... I dochodzę, wyobrażając sobie, że spuszcza się w cipce Kiry.



Już nawet nie próbuję zasnąć. Spałem może półtorej godziny, dopóki nie obudził mnie koszmar. Teraz leżę w łóżku, jem popcorn z mikrofal i czytam Sienkiewicza. Chyba naprawdę mam coś z głową, bo pamiętam, że jako jedyny w klasie pochłonałem całą trylogię i jeszcze było mi mało. Czasami odnoszę wrażenie, że urodziłem się nie w tej epoce, co trzeba. Kiedyś, gdy mężczyzna był wkurwiony, wojował mieczem i stawał się bohaterem. Albo wsiadał na konia i jechał w bój, by wiatr, znój i kurz rozwiały jego troski. Miał wartości, walczył, żeby przetrwać. Bóg, honor, ojczyzna.

A dzisiaj? Faceci noszą rurki, mówią zniewieściałym głosem i boją się byle gówna. Obijesz jakiegoś gnoja po mordzie, bo cię znieważył, to od razu cię pozwie do sądu, zamiast pojedynkować się jak mężczyzna.

Przekręcam się na bok i wspieram na łokciu. Nałykałem się wszystkich prochów, jakie miałem, mimo to serce mi wali, a myśli są rozbiegane. Staram się skupić na czytaniu:

„Wtem Kozak sztuką najbiegłym tylko szermierzom znaną przerzucił nagle szablę z prawej ręki do lewej i dał cios od lewicy tak okropny, że pan Michał, jakby piorunem rażony, padł na ziemię...”^[3].

Oczami wyobraźni widzę las, kałużę krwi i mężczyznę leżącego twarzą do ziemi.

Podchodzę bliżej. Jest zimno, z moich ust dobywa się obłok pary. Nachylam się nad rannym, a wtedy on obraca się na plecy i patrzy na mnie z zawiścią w oczach.

Sukinsyn ma twarz mojego ojca!

– Ty jebany gówniarzu, zabiłeś mnie... – rzęzi.

Odrzucam kołdrę i wstaję. Wkładam dres, buty sportowe, wsuwam słuchawki do uszu, zarzucam kaptur na głowę i wybiegam w noc, która ustępuje miejsca porankowi. Na obrzeżach centrum znajduje się rozległy teren lasu. Dotarcie do niego zajmuje mi trzydzieści minut. Nie lubię biegać po mieście – zbyt głośno, za dużo spalin i ludzi. Nawet o piątej nad ranem. Podążam chodnikiem wzdłuż ścieżki rowerowej, mijam galerię, wiadukt i wkraczam w strefę zielonych płuc miasta. Słońce nieśmiało wychyla się nad widnokrąg, kiedy wbiegam w leśną alejkę. Od razu uderza mnie chłód lasu, czuję wilgoć ziemi, zapach drzew. Przyśpieszam. Zaczynam się pocić, serce żwawiej pompuje krew. Muzyka w moich uszach jest agresywna, dynamiczna. Nie myślę, po prostu biegnę.

„Don't stop! Keep going.

Don't stop!”

Zbiegam ze ścieżki i wkraczam pomiędzy drzewa. Przeskakuję przez leżące na drodze konary i krzewy. Gałęzie smagają mnie po ramionach i nogach. Choć jest początek lata, zbutwiałe liście z poszycia kleją mi się do butów. Przemierzam najgęstsza część lasu, by po chwili wybiec na trawiasty brzeg stawu. Przystaję, uspokajam oddech. Poranne słońce odbija się od tafli wody. Wyjmuję z uszu słuchawki i wciągam głęboko powietrze. Dobiega mnie śpiew ptaków. Krew szybko krąży mi w żyłach, mięśnie są napięte, a pot spływa po plecach i skroniach.

Czuję, że żyję.

Bieganie, seks, czekolada, krav maga – moi prywatni terapeuci. Produkują endogenne morfiny. Dzięki nim pokonuję urojenia i mary. Dzięki nim potrafię przetrwać kolejny dzień. Dzięki nim udaje mi się nie zwariować.

Zdejmuję buty, ciuchy, wbiegam do stawu i daję nura. Woda jest przyjemnie chłodna, dziewicza, pachnie naturą, nie jakieś tam chlorowane gówno z basenu.

Po siódmej wracam wycieńczony do domu. Robię sobie jajecznicę z sześciu jajek, rozbieram się, po czym padam na łóżko i momentalnie zasypiam. Śpię jak dziecko do czternastej, kiedy to budzi mnie dzwonek domofonu.

– Cześć, stary. – Tomek wchodzi do przedpokoju z szerokim uśmiechem na ustach.

– Co ci tak wesoło? – Idę do kuchni, nalewam wodę z kranu do szklanki i wypijam duszkiem.

Dwa lata temu założyłem sobie filtr do wody, to jedna z lepszych inwestycji, jakie poczyniłem w mieszkaniu. Dziennie wypijam około pięciu litrów. Gdybym miał kupować baniaki z mineralką, chyba bym się zajebał.

– Mamy wypełniony cały grafik na dzisiejszy wieczór.

– No, i to są dobre wieści. – Wstawiam czajnik z wodą na kawę, bo wiem, że Tomek i tak zaraz się o nią upomni.

Siada przy kuchennym stole, a ja robię sobie kanapki.

– Zjesz coś? – pytam. Tomek ma sporą masę, żre za dziesięciu.

– Masz na myśli śniadanie? – Patrzy na mnie sugestywnie, bo wciąż jestem w samych bokserkach i pewnie mam odcisniętą poduszkę na twarzy. – Dzięki, ale jadłem je jakieś sześć godzin temu. Teraz pora na obiad.

– Obiad będzie na kolację. Usnąłem dopiero po siódmej rano. – Rzucam wędlinę i ser żółty na chleb i smaruję każdą z sześciu kanapek majonezem.

– Pigułki od ciotki nie pomagają?

– Nie. – Siadam obok niego i zaczynam jeść.

– A psychiatra?

– Niech spierdala. Już do chuja nie pójdę. Dwie stowy za wizytę, mam na co wydawać kasę.

– Ciotka mówiła, że oprócz leków stosuje się terapię...

– Ehe. Kogo dzisiaj mamy na ringu? – zmieniam temat.

Tomek wyciąga telefon z kieszeni.

– W sumie ośmioro. Cztery walki. Stali klienci i jeden nowy.

– Jak nas znalazł?

– Przez forum boksterskie, na którym adminuję.

– Wpłacił zaliczkę?

– Napisał, że przyjdzie z gotówką.

– Jaka waga?

– Lekka. Pięćdziesiąt osiem kilo, metr siedemdziesiąt dziewięć.

– Chucherko. Mamy go z kim sparować?

– Zmatchowałem go z Ozem. – Tomek przesuwając palcem po ekranie telefonu. – Jest cięższy o dwanaście kilo, ale z osób, które się na dzisiaj zgłosiły, to najlżejszy zawodnik.

– Nowy się zgodził, widocznie ma parcie na walkę.

– Doświadczony?

– Napisał, że trenuje od pięciu lat. Nic nie wspominał o technice.

– Jaka ksywka?

– Cyrus – mówi Tomek.

– Cyrus? Jak król Persji? To może ja się z nim zmierzę?

– To pewnie jakiś żółtodziób, odpuść. Mamy komplet, dzisiaj siedzimy jak pany i zbieramy szmal.

– Pewnie. Dobra robota. – Klepię go po ramieniu.

Każdy z nas ma swój nick, z którym w jakimś stopniu się identyfikuje. Mój to Cezar, na cześć cesarza rzymskiego Gordiana III. Lubię rządzić, nic na to nie poradzę. Nie mógłbym pracować u kogoś,

być pod kimś. Jestem wolnym duchem, sobie sterem i żeglarzem, jak się komuś nie podoba to, co robię, niech spierdala. Tomek ma ksywkę Apostoła, od niewiernego Tomasza. Kumpłowi ciężko pogodzić się z zastaną rzeczywistością. Nie dociera do niego, że laska go zdradza, albo że wpierdalanie dziesięciu posiłków dziennie wpływa niekorzystnie na wagę.

Czajnik gwizdże. Wstaję od stołu i zalewam kawę.

– Zrobisz mi też? – pyta.

– Masz. – Stawiam kubek tuż przed nim.

Wdycha zapach kawy i łypie na mój talerz.

– Jesz jeszcze?

Jebany obżartuch. Wiedziałem, że tak to się skończy.

– Nie. Jedz. – Przesuwam talerz w jego stronę. – Skoczę pod prysznic i się zbieramy.



Przygotowanie sali treningowej do walk zajmuje nam trzy godziny. Co dwa tygodnie zmieniamy ją w ring. Naklejamy linie, ustawiamy barierki, maty, światła, sprzęt nagłaśniający, kamerę do relacji na żywo na naszym kanale. Liczba widzów na sali jest ograniczona, nie pomieścilibyśmy wszystkich. Będą oglądać walki na stojąco, bo nie ma miejsca, aby ustawić nawet wąskie ławki. Jak tak dalej pójdzie, wynajmiemy z Tomkiem większy lokal. Widzowie płacą za każde wejście, zawodnicy za udział w walce. Wszyscy mogą obstawiać, zawodnicy zwykle zgłaszają się, żeby postawić na siebie i wygrać. Wówczas zwraca im się kasa za udział i mają dla siebie czysty zysk. I tu jest mały szkopał. Najwięcej kabzy nabijają nam właśnie zakłady. Ale żeby legalnie funkcjonować z tego typu działalności, firma bukmacherska musi posiadać licencję, która kosztuje czterysta osiemdziesiąt koła. Pojebane państwo ta Polska! Działamy więc po cichu. Tomek robi promocję głównie na forach internetowych i przed wejściem sprawdza każdą nową osobę.

Bukmacherem jest Inga, przyjmuje zakłady na zasadzie wygrany zawodnik X – remis – wygrany zawodnik Y. Dziewczyna ma do tego dryg, na co dzień pracuje w licencjonowanym zakładzie bukmacherskim przy dworcu. Oprócz tego całkiem dobrze się pieprzy.

Przed dziewiętnastą wszystko jest już gotowe. Mamy dwie godziny do rozpoczęcia. Siadamy we trójkę na środku ringu, zjadamy zamówioną pizzę i ustalamy szczegóły wieczoru. Tomek przedstawia nam sylwetki wszystkich zawodników, tłumaczy kiedy, kto i z kim wchodzi. Nie znamy tylko Cyrusa. Ustawiamy wszystkie kursy z wyjątkiem ostatniego. Średnio zarabiamy dziesięć procent od postawionych stawek.

– Nowego ustawimy w końcowej walce. Zdecydujemy o kursie w ostatnim momencie – postanawia Inga.

– Słusznie. Wybadamy go podczas innych walk – przyznaję jej rację.

Uśmiecha się do mnie. Lubi, gdy ją doceniam. Spuszczam wzrok na jej dekolt. Jak zwykle założyła obcisłą bluzkę z dużym wycięciem. I dobrze, dzięki temu widzowie chętniej obstawiają. A jak by nie patrzeć, większość z nich to faceci o zawyżonym poziomie testosteronu.

Na samą myśl o tym, że po walkach wsunę kutasa pomiędzy jej piersi, czuję mrowienie w kroczu.

– Żeby tylko Cyrus się nie wystraszył i nie spierdolił – mówi Tomasz. – Oz to nasz stały klient, nie chcę, by chodził wkurwiony.

– Najwyżej ja się z nim zmierzę – stwierdzam.

– Rozumiem, że wtedy ustawiać kurs z wygraną na ciebie? – upewnia się Inga.

– Gordian... – słyszę ostrzeżenie w głosie Tomka.

Doskonale wiem, o co mu chodzi. Nie chce stracić klienta.

– Nie nadstawię karku dlatego, że Oz ma kasę, wybijał ego i aspiracje, by stać się zabijaką. Jak mam z nim walczyć, to na równych zasadach. Nie dam sobie obić mordy za parę złotych. Nie jestem bokserską dziwką.

Tomek drapie się po głowie.

– Jak chcesz – odpowiada.

– Spoko, Tomasz. Odbijemy sobie na zakładach. – Inga szturcha go w ramię.

Tomasz odpuszcza i łąduje sobie cały kawał pizzy do ust. Temat jest skończony.
W tej samej chwili dostaję SMS-a od mamy.
Synku, nie odzywasz się od tygodnia. Wszystko w porządku? Przyjdź jutro, proszę, do nas na obiad

Odpowiadam jej od razu:

Przepraszam, mam dużo pracy. Jutro nie dam rady. Odezwę się później

Wysłałam wiadomość z wyrzutami sumienia, że okłamuję rodzoną matkę. Ale to dla jej dobra.
Kilka sekund później rozlega się pierwszy tego wieczora dzwonek do bramy. No to zaczynamy zabawę.



Pierwsza walka Hulk vs Tiru kończy się wygraną tego drugiego. Hulk trenuje MMA – to widowiskowy sport, dopuszczalne są wszystkie techniki stosowane w innych sportach walki, występuje minimalne ryzyko śmierci i poważnych obrażeń ciała. Tiru z kolei to bokser. Walczy wyłącznie pięściami, jest szybki i zwinny. Zadaje ciosy trafnie, robi sprawne uniki. I to decyduje o jego zwycięstwie. Prawym sierpowym powala Hulka na matę.

Druga walka. Karate vs judo, Alus vs Kano. Obaj są młodzi, szczupli, ważą góra siedemdziesiąt kilogramów. Są opanowani, zdyscyplinowani, widać, że mają charakter. Aż miło popatrzeć. Ich walka trwa długo i jest na wysokim poziomie. Kopnięcia, przerzuty, chwyt, obalenia – doskonała technika. Wygrywa Alus, zdecydowanie dzięki szybkiej pracy nóg.

Trzecia walka. Taekwondo vs boks tajski – Luro vs David. Zaczyna się nieźle, sprawne kopnięcia, boksowanie... Tomek podchodzi do mnie z nietęgą miną.

– Nowy jeszcze nie przyszedł, szykuj się do walki z Ozem – mówi.

Nie mam ciuchów na zmianę. Będę walczył w dżinsach.

Muszę się rozgrzać...

Tomek sięga po telefon.

– Poczekaj, właśnie przysłał SMS-a.

– Co pisze? – Zglądam mu przez ramię.

– Przepraszam za spóźnienie. Błądzą po mieście. Będę za pięć minut. – Patrzymy na siebie i nie wierzymy.

– Kurwa, co za pizda – stwierdzam.

– Pilnuj walki, ja po niego wyjdę do bramy.

– Dobra, tylko ruchy, bo ci tutaj już kończą – ledwo to mówię, a Luro pada na matę z założoną dźwignią.

Ogłaszam krótką przerwę. Co poniektórzy wychodzą na korytarz na fajkę. Smród i dym jak przy erupcji wulkanu.

Podchodzę do kamery i zatrzymuję transmisję online. Przeglądam komentarze, odpowiadam na pytania widzów...

– Gordianie – słyszę za plecami głos Tomka.

– Przyszedł? – Ustawiam lepszą ostrość nagrywania.

– Można tak powiedzieć.

– To znaczy? – Odwracam się i omal, kurwa, nie upadam. Potrzebuję chwili, żeby ogarnąć całą sytuację. Kira stoi przede mną w stroju do kickboxingu, z zabandażowanymi dłońmi. Wygląda na równie zdziwioną moją obecnością, jak ja jej.

– Co ty tutaj robisz? – pytam.

– A ty?

– Pracuję, a ty?

– Walczę. – Na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

– Wy się znacie? – Tomek patrzy na mnie zdezorientowany.

Zaciskam szczęki.

– To moja przybrana siostra – odpowiadam.

– Siostra? Od kiedy masz siostrę?

– Odkąd moja mama wyszła za Serafina. To jego córka, Kira.

– Kira... – Tomek wymawia jej imię jak zakłęcie. – Stąd ksywa Cyrus?

– Cyrus to męski odpowiednik imienia Kira – wyjaśnia dziewczyna.

– Myśleliśmy, że będziesz mężczyzną. – Tomek przestępuje z nogi na nogę. – To miła niespodzianka.

Miła niespodzianka? Czy jego już totalnie pojechało? Patrząc na niego i nie wierząc. Policzki ma lekko zaróżowione, wzrok maślany. Znam ten jego głupkowaty wyraz twarzy.

Ona mu się podoba.

– Dlaczego chcesz walczyć? – pytam.

Kira patrzy mi w oczy. Jej spojrzenie jest pewne i bystre.

– A dlaczego poprzedni zawodnicy walczyli?

– Różnie to bywa... – odpowiada Tomek. – Jedni walczą dla pieniędzy, drudzy, żeby się wyżyć, jeszcze inni dla zabicia czasu.

– Przyjmijmy więc, że mam podobne powody – odpowiada Kira. – Zaczynamy?

– No tak. Ale ty nie możesz walczyć – podsumowuje Tomek.

Brawo, połać mu.

Kira ściąga brwi, jakby nie do końca rozumiała.

– Dlaczego?

– Bo jesteś... – Tomek w porę gryzie się w język.

– Dziewczyną? – Kira kończy za niego. Mam wrażenie, że zaraz mu przyłoży.

– Nie – wtrącam. – Bo facet, którego wystawiliśmy przeciwko tobie, jest w cięższej klasie wagowej.

– Przecież wysłałam ci e-mail z moją wagą. – Kira patrzy z wyrzutem na Tomka, którego twarz wygląda teraz jak świeżo wypalona cegła.

Apostoł przesuwając dłonią po karku, jest wyraźnie zmieszany.

– Sprawa się rypnęła. Wielkie sorry – mówię, bo mój zajebisty kumpel ewidentnie zapomniał języka w gębie. – A teraz, siostra, ubieraj się i marsz do domu. Trafisz z powrotem czy wezwać ci taksówkę?

– Mowy nie ma. – Kira śmieje się nerwowo i zakłada ręce na piersi. – Mieliśmy umowę. Jeśli chodzi wam o kasę, to tu mam wpisowe. – Wyjmuje z torby leżącej u jej stóp dwie setki i wyciąga je w moją stronę.

Kręcąc głową. Do niej naprawdę nic nie dociera.

– Gordianie, zaczynamy! Mam ful zakładów. – Inga podbiega do mnie podekscytowana.

– Jakich zakładów? – pytam.

– No na dziewczynę. Gdy tylko ją zobaczyli, zaczęli obstawiać, że złośliwy tyłek Ozowi.

Dopiero teraz dostrzegam, że sala pełna jest widzów, którzy wyczekują walki.

No tak. Kira jest w stroju sportowym, to ostatnia walka, waga i wzrost się zgadzają. Kiedy weszła, zorientowali się, że jest nową zawodniczką, i zaczęli obstawiać. Pewnie im się wydaje, że to as w rękawie.

Biorę głęboki wdech. Nie chcę, żeby walczyła, i to na moim ringu. Pomijam, że jak tylko matka się dowie, w jaki sposób sobie dorabiam wieczorami, i że w dodatku wciągnąłem w to przybraną siostrę, do końca życia mi nie wybaczy. Poza tym nie wiem, czy zniosę widok zakrwawionej Kiry, którą Oz za kilka minut wytrze podłogę. A dobrze wiem, że jest do tego zdolny, ten koleś nie ma hamulców.

– Nawet się nie zastanawiaj, bo ja i tak nie zrezygnuję – odzywa się stanowczym głosem Kira.

– Nie będziesz miała wyjścia, gdy odwołam ostatnią walkę.

– Wtedy ci wszyscy ludzie nigdy już do ciebie nie przyjdą.

Ma rację.

– Dlaczego to robisz? Czy naprawdę chcesz, żeby ten głupek cię znokautował? – pytam.

– Nie dam się znokautować. Wygram z nim – odpowiada tak pewnie, aż chcę jej uwierzyć.
– Kiro... – Robię krok w jej stronę i zaglądam w oczy. – On jest od ciebie wyższy o dziesięć centymetrów, cięższy o dwanaście kilogramów, starszy o pięć lat, a co więcej, ma przerośnięte ego, które nigdy nie pozwoli mu przegrać z dziewczyną.
– Jest kickboxerem, tak jak ja, mogę go pokonać – upiera się.
– Kurwa. Nie możesz! On jest bardziej doświadczony i lepszy od ciebie technicznie.
– Skąd to wiesz, skoro nawet nie widziałeś, jak walczę?
– Widziałem, jak trenujesz. Jesteś słaba.
– A mnie się wydaje, że widziałeś wyłącznie mój tyłek i myślałeś o tym, jak mnie zaliczyć, a nie jaką mam technikę!

Tomek odchrząkuje. Inga jest wyraźnie zdezorientowana. Za nami pojedyncze głosy nawołują do walki. Cyrk.

Po co mi to? Po co, kurwa?!

Mrużę oczy, przyglądając się Kirze. Jej pierś faluje pod wpływem przyspieszonego oddechu, oczy płoną, mięśnie ramion są napięte i gotowe do walki. Wkurwiłem ją, i to nie na żarty.

– Po prostu nie mam ochoty zdrapywać cię z maty, a potem dostarczać twoich zwłok Serafinowi, rozumiesz? – odpowiadam.

– Uwierz mi, ja to wygram. – Kira uderza pięścią o pięść i unosi rękę. – Zaczynamy?

Widownia się ożywia, zaczynają krzyżeć: „Dawaj, Cyrus! Zgnieć go, mała!”

– I co robimy? – pyta Tomek.

Kira patrzy na mnie zdeterminowanym wzrokiem, widzę, że bardzo jej zależy. Jest nabuzowana, gotowa. Ewidentnie ma ochotę dać komuś porządnie w mordę. Nie wnika mi dlaczego. Kilka razy spotkałem się z przypadkami, gdzie zawodnik, który miał słabą parę w mięśniach, a posiadał silną motywację, wygrywał z mocniejszym od siebie przeciwnikiem.

– Dobra, zaczynaj – odpowiadam. – Najwyżej przerwiemy walkę.



Cztery minuty później nie mogę oderwać wzroku od Kiry. Trzyma gardę wysoko, pracuje szybko nogami, zadaje sprawne i mocne ciosy. Broni się przed każdym natarciem i atakuje. Kopnięcie przednie, by utrzymać przeciwnika na dystans. Unik. Obrót, kopnięcie okrężne, szybkie i silne, które odrzuca przeciwnika na dwa metry. Jest naprawdę dobra. Oz jest wkurwiony – naciera, lecz ona robi kolejny unik. Uderza go w żebra, zadaje cios pięścią od dołu, wyskakuje i kopnięciem zahaczającym w obrocie trafia w głowę. Oz pada na matę.

Podnosi się okrzyk widowni. Kira odwraca się i pochwytuje moje spojrzenie. Jej twarz promienieje szczęściem, mokre od potu włosy kleją jej się do twarzy. Mimo to wygląda pięknie.

Kątem oka dostrzegam ruch.

Oz się podnosi. W oczach ma mord.

– Za tobą! – wołam do Kiry.

I w tym samym momencie Oz skacze na nią jak dziki zwierz, powala na matę i okłada głowę pięściami. Dziewczyna nie ma nawet jak postawić gardy. Skurwiel ściska ją udami i nawala w nią jak w worek piasku.

Przed oczami zjawia mi się sypialnia rodziców, ojciec siedzi okrakiem na matce na ich łóżku, bije ją po twarzy bez opamiętania.

Czuję uderzenie gorąca. Moje serce przyspiesza.

Ruszam na niego. Łapię go za głowę, sprowadzam do parteru i zakładam gołe duszenie ramieniem na krtań. Czuję, jak się opiera, jak walczy. Oplatam go nogami i zaciskam udami. Opór słabnie, trzymam go jak w imadle. Widzę, jak uderza ręką o podłogę, chce się poddać. Ale ja nie zamierzam mu odpuścić. Słyszę w głowie szept: *zabij, zabij, zabij*.

– Zabiję cię sukinsynu. Nigdy jej już nie tkniesz. Nigdy! – Zaciskam ramię mocniej. Słyszę rżenie. Krew pulsuje mi w skroniach, tętno dudni, niczego bardziej nie pragnę niż zemsty, niż jego śmierci.

Ktoś woła moje imię.

– Uduśisz go! Przestań!

Czyjeś ręce ciągną mnie za barki. Ktoś zaciska mi ramię na szyi.

– Gordian! Wystarczy!

Ktoś uderza mnie w twarz. Czuję smak krwi w ustach. Podnoszę wzrok. To Kira.

– Co ty wyrabiasz? Puść go! – krzyczy.

Spoglądam na swoje ramię. Głowa Oza kołysze się jak bojka w moim uchwycie. Jest siny na twarzy, ma zamknięte oczy, nie oddycha. Kurwa! Momentalnie go puszczam. Czuję, że ktoś zwalnia uchwyt z mojej szyi. To Tomek. W ogóle nie czułem, że próbował mnie powstrzymać. Jakbym był w amoku.

Kładę Oza na wznak i zaczynam masaż serca. Kira robi mu sztuczne oddychanie.

Czarne plamy latają mi przed oczami, serce wali głucho. Zabiłem go. Jestem mordercą. Słyszę, jak Tomek dzwoni po pogotowie. Wokół nas zgromadzili się ludzie z widowni. Mam przejebane. Pójdę do ciupy na sto lat, jeśli wcześniej nie zeżrą mnie wyrzuty sumienia i sam się nie powieszę.

I nagle Oz nabiera powietrza, otwiera oczy. Jego pierś się unosi. Łapie się za gardło i łyka powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

Żyje.

Patrzy na mnie przerażonym wzrokiem.

Żyje.

Przypominam sobie, jak zachował się wobec Kiry i mam ochotę mu jebnąć, żeby znowu stracił przytomność.

Z wielkim trudem się powstrzymuję.

– Nigdy więcej nie podniesiesz ręki na kobietę, rozumiesz? – mówię do niego. Oz jedynie kiwa głową.

Wstaję z uczuciem ulgi, że skurwysyna nie zabiłem, i słyszę, jak Tomek odwołuje karetkę. Inga wyprasza widownię na korytarz i zachęca do odebrania wygranej jutro w klubie.

Przenoszę wzrok na Kirę. Patrzy na mnie, jakby próbowała mnie rozszyfrować. Nie widzę w jej oczach ani strachu, ani odrazy, tylko wyrzut zmieszany z chęcią zrozumienia, dlatego omal nie zabiłem człowieka. Stoi w bezruchu, jakby oczekiwała ode mnie jakichś wyjaśnień, a może nawet skruchy.

Czuję się chujowo. Nie rozumiem, jak do tego doszło. Zdarza mi się czasami, że widzę ojca, bardziej lub mniej wyraźnie, ale jestem w stanie kontrolować swoje reakcje. Odróżniam rzeczywistość od wspomnień, prawdę od mary. Tym razem jednak było inaczej.

Przesuwam dłonią po włosach. Jestem wyczerpany, muszę odreagować.

– Już późno – odzywam się w końcu do Kiry. – Wezwij sobie taksówkę i nikomu ani słowa o dzisiejszym wieczorze. – Odwracam się, a następnie wychodzę z sali, po drodze zgarniając ze sobą Ingę.



Wchodzimy do ciasnej szatni sąsiadującej z salą. Nawet nie zapalamy światła. Do tego, co zamierzamy zrobić, wystarczy blask księżyca.

Inga milczy. Wyczuwam, że kusi ją, by zapytać, co mi odwaliło. Najwyraźniej domyśla się, że nie jestem w humorze i muszę się zrelaksować, bo klęka przede mną, rozpinając moje spodnie i zaczyna mi obciągać. Oddycham głęboko, starając się skoncentrować na jej miękkich ustach i języku. Łapię ją za głowę i poruszam biodrami. Jest dobrze, lecz bez szału. Zamykam oczy i widzę Kirę. Kurwa, zaczynam mieć obsesję na jej punkcie. Już myślałem, że po ostatnim tygodniu mi przeszło.

Teraz widzę ją tak dokładnie, że niemal jestem w stanie policzyć piegą na jej nosie, poczuć zapach jej skóry, dotknąć jej włosów.

Chcę być z nią i w niej.

Przechodzę z Ingą do parapetu.

– Rozbierz się i odwróć – mówię, po czym sam zdejmuję koszulkę i spodnie. Nie patrzę na Ingę, dopóki nie staje do mnie tyłem. Pochylam ją tak, że opiera się rękoma o parapet. Przesuwam dłonią po

jej plecach, pośladkach, wsuwam palce w cipkę. Czuję, że jest wilgotna, i mimowolnie wyobrażam sobie, że ta szparka należy do Kiry.

Muszę ją mieć.

Biorę kutasa, zakładam gumkę i wchodzę powoli. Zanurzam się głęboko, do samego końca.

Słyszę jęk.

– Dobrze ci? – pytam.

– Tak, pieprz mnie.

Chwytam ją za pośladki i zaczynam posuwać. Nasze ciała obijają się o siebie, w powietrzu unosi się zapach seksu. Poruszam energicznie biodrami. Moje myśli krążą wokół tyłka, bioder... Zaciskam powieki i przyśpieszam.

Kira... Jestem w niej, ale nie czuję, żeby to była ona.

Kurwa, co się ze mną dzieje?

Mogę mieć każdą, a myślę właśnie o niej. Staram się skupić wyłącznie na doznaniach. Na tym, jak jest ciepło, jak ciasno, jak obijam się o pupę, jak wchodzę głęboko i się wysuwam. Rozchyłam pośladki i patrzę, jak fiut zagłębia się w cipce, jak ją rozpycha, jak robi jej dobrze.

Słyszę okrzyk rozkoszy i zakrywam Indze usta dłonią. Nie chcę, żeby Tomek z Kirą, którzy zostali w sali obok, nas słyszeli.

Dziewczyna wije się pode mną i jęczy. Zbliżam się do granicy, zaraz się spuszczę. Przepływa przeze mnie gorący prąd, ciałem wstrząsa dreszcz, dochodzę...

Tylko że coś jest nie tak. Nie czuję pełnej satysfakcji. Nie czuję się spełniony.



Mama dzwoni do mnie punkt dwunasta w południe. Prosi, abym przyjechał na obiad.

– Nie dam rady, mamo.

– Nawet na pół godziny? Wpadnij, zjedz domowy obiad, nie będę cię zatrzymywała. Chcę po prostu zobaczyć swojego synka.

Wzdycham. Nie potrafię jej odmówić. Tak dużo w życiu wycierpiała, tyle poświęciła, nie mam sumienia odmawiać jej tak błahej rzeczy jak wspólny niedzielny obiad.

Zgadzam się i dzwonię do Tomka. Potrzebuję numeru telefonu do Kiry, żeby ustalić wspólną wersję wydarzeń. Coś mi się zdaje, że jest nieźle poturbowana, a musiała się jakoś wytłumaczyć w domu.

Tomek odbiera po siedmiu sygnałach.

– Co tak długo, w kościele jesteś czy co? – pytam.

– Byłem zajęty – odpowiada zadowolonym głosem.

W tle słychać szum miasta.

– Czym zajęty?

– Nieważne. Co tam?

– Słuchaj, potrzebuję numeru telefonu Kiry.

– Nie masz numeru do własnej siostry? – W jego głosie wyczuwam kpinę.

– To nie jest moja siostra. To córka męża mojej matki. Nie jesteśmy spokrewnieni.

– Według prawa jesteście rodziną.

– Pierdolę prawo. Masz ten numer? – pytam i słyszę po drugiej stronie znajomy, damski głos. Robi mi się gorąco. Albo znowu mam omamy, albo to głos Kiry. Nie zamierzam robić z siebie totalnego debila, dlatego nic się nie odzywam.

– Wyślę ci jej numer SMS-em. Teraz muszę kończyć – odpowiada Tomek.

Do moich uszu dobiega śmiech, niski, gardłowy.

Teraz jestem już pewien. To na pewno ona.

– Z kim jesteś? – walę prosto z mostu.

– Co? – Tomek odchrząkuje, udając głupka.

Wiem, że mnie nie okłamie, kiedy zadam mu pytanie wprost. Znamy się jak łyse konie, żadna dziewczyna nas nie poróżni.

– Kto teraz z tobą jest? – pytam powoli.

Chwila ciszy.

– Kira. Oprowadzam ją po mieście.

Zaciskam dłoń na telefonie. Tomek i Kira, no proszę.

– Pieprzyłeś się z nią wczoraj po walce? – pytam.

– Co?! Stary, kurwa, nie mierz innych swoją miarą. Nie każdy bzyka się po pierwszym spotkaniu.

Kira nie zna miasta, chciałem jej pokazać kilka miejsc. A ty od razu z grubej rury. To naprawdę fajna dziewczyna... – Milknie na chwilę. – Chyba nie masz nic przeciwko, że się razem poszwendamy? Wiem,

że to twoja siostra, nie skrzywdzę jej, jeśli o to ci chodzi.

– To nie jest moja siostra! – Czuję, że zaraz wybuchnę. – Daj mi ją do telefonu.

– Moment.

Słyszę szelest, a później przytłumione głosy:

– To Gordian, chce z tobą rozmawiać – mówi Tomek.

– Nie mam ochoty z nim rozmawiać – odpowiada Kira.

– Pewnie będzie do ciebie dzwonił.

– To niech dzwoni. Teraz nie chcę sobie psuć nastroju. Idziemy zwiedzić wieżę?

Ponowny szelest.

– Słuchaj, stary, ona nie chce... – duka Tomek.

– Wiem, słyszałem – przerywam mu. – Bardzo jest poobijana po wczorajszym? – pytam.

– Solidnie, ale się nie skarży.

– Nie wiesz, co powiedziała staremu?

– Że zapisała się do jakiegoś klubu kickboxingu w centrum i ją tak urządzili na treningu.

– Rozumiem. A jak opinie na forum...?

– Jesteś sławny.

– To znaczy? – Oczyma wyobraźni widzę już policję pukającą do moich drzwi.

– Mamy zgłoszenia na kolejny miesiąc do przodu. Stałeś w obronie kobiety... Kira chce do nas dołączyć i wprowadzić walki dla kobiet. Coś w stylu samoobrony.

– Co? Nie ma mowy!

Zupełnie ich pojechało. Dobrali się. Spacery sobie urządzają po mieście i strategię mojej firmy ustalają.

– Obgadamy to później, teraz muszę kończyć. Wpadnę do ciebie wieczorem – mówi i się rozłącza.

Rzucam telefon na łóżko. Nie podoba mi się to, że Tomek spotyka się z Kirą. Nie podoba mi się to, że ona chce ustawiać walki kobiet.

Muszę ukrócić ich zapędy.



Dwie godziny później podjeżdżam pod blok mamy. Jest gorąco. Koszulka lepi mi się do ciała. Parkuję motocykl i już mam wchodzić na klatkę, gdy widzę auto Tomka po drugiej stronie uliczki. Przechodzę za filar, skrywam się w cieniu. Z samochodu wysiada Kira. Roześmiana, zadowolona, mówi coś do Tomasza na odchodne, zamyka drzwi, a on odjeżdża.

Kira zmierza w stronę klatki, myślami jest gdzie indziej, nawet mnie nie zauważa. Ma wielkiego sińca na żuchwie, podbite prawe oko, spuchniętą dolną wargę. Pierdolony Oz.

– Randka się udała? – Wychodzę zza filara.

Przenosi na mnie wzrok. Uśmiech znika jej z twarzy. Bez słowa otwiera kluczem drzwi.

Wchodzę za nią na klatkę. Czuję przyjemny chłód na spoconych plecach.

Kira idzie po schodach na górę. Wodzę wzrokiem za jej długimi nogami i kształtną pupą, którą obciskają krótkie szorty.

– Tomek to mój najlepszy kumpel, chyba mam prawo wiedzieć, jakie masz wobec niego plany.

Kira się odwraca i piorunuje mnie wzrokiem.

– Najlepszy kumpel? Nie był nim wczoraj, kiedy zostawiłeś go z tym całym bajzlem do sprzątnięcia i poszedłeś się pieprzyć z Ingą.

Krzywię się. Czyli jednak było nas słyhać.

– Na swoją obronę powiem, że gdy byłem z nią, myślałem wyłącznie o tobie. – Uśmiecham się.

– Jesteś nienormalny. Tylko jedno ci w głowie. – Idzie na górę.

– Jak każdemu facetowi. Ale nie każdy ma odwagę się do tego przyznać. Co w tym złego, że lubię kobiety?

– Nic, jeśli nie ranisz przy tym ich uczuć.

– Nie ranię.

– Naprawdę uważasz, że każda idzie z tobą do łóżka, bo chce się po prostu dobrze zabawić?

– A nie?

Kira prycha i idzie dalej po schodach, a ja upajam się widokiem jej kołyszącego się na boki tyłka.

– Możesz dokończyć swoją odkrywczą myśl?

– Dziewczyny są nieco bardziej skomplikowane, niż myślisz – mówi. – Większość z nas oddaje się facetowi, bo coś do niego czuje. I nie mam na myśli interesownych suczek, które chcą coś ugrać, ani dziwek bzykających się dla kasy.

– Nie za bardzo rozumiem, co ja mam z tym wszystkim wspólnego. Żadna się jeszcze nie skarżyła, wręcz przeciwnie, zawsze jęczą z rozkoszy. Zresztą sama wczoraj słyszałaś.

– Nie masz pojęcia, o czym mówię.

– A może to właśnie ty nie masz pojęcia, o czym ja mówię. I jak nie spróbujesz, to nigdy nie zrozumiesz. Może Tomek to świetny facet, delikatny i czuły. Tylko że żadna jakoś do tej pory nie straciła dla niego głowy i nie miała mokro w majtkach na jego widok.

Kira zatrzymuje się i odwraca.

– Jezu, tobie naprawdę się wydaje, że seks jest najważniejszy. – Stoi stopień wyżej, tak że nasze oczy są mniej więcej na tej samej wysokości.

– Dobry seks. Spocone ciała, penetracja, orgazm...

– To tylko cielesność – odpowiada Kira, nie odrywając ode mnie spojrzenia. – Zastanów się, Gordianie, czy twoje dziewczyny faktycznie mają ochotę wyłącznie na seks, czy nie chodzi im przypadkiem o coś więcej. – Przechyla głowę.

– Masz na myśli serduszka, buziaczki i przytulanie?

– Raczej wsparcie, poczucie bezpieczeństwa i bycie wyjątkową.

– A może mówisz tak, bo nikt wcześniej cię w pełni nie zaspokoił? Nic straconego. Zawsze możemy to nadrobić. – Kładę rękę na jej biodrze i czuję pod palcami nagą skórę.

Przesuwam dłoń wyżej.

Oddech Kiry przyśpiesza. Mruży oczy.

– Beznadziejny z ciebie przypadek. – Strąca moją rękę, odwraca się i idzie na górę. – Nie mamy o czym rozmawiać.

Odprawdam ją wzrokiem i nie mogę pojąć, po co w ogóle tracę na nią czas. Dlaczego staram się ją zdobyć? Racjonalnie wiem, że to idiotyczny pomysł uprawiać seks z przybraną siostrą. Poza tym widać jak na dłoni, że Kira nie z tych, co lubią się dobrze zabawić, choć temperamentu nie można jej odmówić. Jestem niemal pewien, że nikt wcześniej nie sprawił, by chciała się pieprzyć wyłącznie dla przyjemności.

A ja mam potężną ochotę to zmienić.



Jemy obiad w milczeniu. To znaczy ja i Kira milczymy. Mama rozprawia o wspólnym wyjeździe do Grecji. Jest taka podekscytowana, że nie mam serca jej uświadamiać, że i tak do niego nie dojdzie.

Serafin wspomina o wczorajszym treningu Kiry.

– Słyszałeś może o szkole kickboxingu... Jak się nazywa, kochanie? – zwraca się do córki.

– *Kick for You* – rzuca na poczekaniu Kira i wraca do jedzenia.

Jaka ona oryginalna.

– Nie – odpowiadam. – Widocznie są na rynku od niedawna.

– Mają jakieś dziwne metody – stwierdza Serafin. – Kira trenuje od trzynastego roku życia, a z tego, co wiem, jeszcze nigdy nie wróciła taka poturbowana z treningu.

Kira podnosi wzrok znad talerza.

– A skąd wiesz, skoro zaczęłam trenować po tym, jak wyjechałam z mamą do Anglii? – pyta śmiało.

Serafin wydaje się zmieszany.

– Mam nadzieję, że twoja mama by mi powiedziała, gdyby treningi ci nie służyły...

– Co jak co, ale ty, tato, chyba najlepiej wiesz, że mama widzi tylko czubek własnego nosa –

mówi ostro Kira. – Musieliby mnie włożyć do połowy w gips, żeby w ogóle zwróciła na mnie uwagę. Siniaki na treningach są czymś normalnym, a nawet koniecznym. Cierpisz na treningu, zwyciężasz podczas walki. – Zanurza widelec w makaronie i wkłada sobie solidną porcję do ust.

Patrzę na nią i zastanawiam się, skąd w niej taka motywacja do trenowania sportu walki. Rozumiem pobudki facetów: testosteron, chęć dominacji wśród samców, adrenalina, rzeźba mięśni, poza tym niektórzy po prostu lubią dawać po mordzie.

Sporty walki na pewno wymagają dużej samoświadomości, zwłaszcza swojego ciała. Wzmagają cierpliwość, ćwiczą wytrwałość, budują samodyscyplinę, uczą pokory. Być może Kira zdecydowała się na kickboxing, bo chciała skonfrontować się ze swoimi słabościami, podnieść zaniżone poczucie wartości albo zrealizować czyjeś oczekiwania. A może chciała po prostu nauczyć się bić, chociaż takie zachcianki u trzynastoletniej dziewczynki nie wydają się całkiem normalne.

Mama sprząta talerze ze stołu. Serafin jej pomaga.

– Było pyszne, kochanie. – Ujmuje jej twarz i całuje prosto w usta.

Uderza mnie fala gorąca. Pojawia się zniechęcenie. Wspomnienia odżywają: ojciec przyciska mamę do ściany, trzyma ją za szyję i wpija się wargami w jej usta.

Mama odwraca twarz, a on ją uderza i znów całuje.

Słyszę w głowie jego głos:

– Pocałuj mnie, no już! Całuj mnie, przecież to lubisz. Kocham cię, kurwa, całuj się ze mną, suko... – Wpycha jej język do ust.

Czuję, że ogień trawi mnie od środka. Narasta bunt.

W mojej głowie rozlega się szept: *zabij, zabij, zabij.*

Odsuwam krzesło i wstaję gwałtownie od stołu.

– Co ci jest? – mówi ktoś. – Halo, Gordian, tu ziemia!

Odwracam się. Kira patrzy na moje dłonie, a te drżą jak w delirce. Zaciśkam je w pięści. Muszę stąd spadać, zanim zupełnie mi odwali.

Wychodząc z kuchni, słyszę za sobą głosy mamy i Serafina:

– Co mu się stało?

Idę prosto na dach. Słońce daje czadu, papa jest nagrzana jak piekielna smoła. Zdejmuję koszulkę i zaczynam boksować. Worek to mój ojciec. Zwymyśla mnie od gówniarzy, a ja w niego napierdałam. Walę pięściami mocno i szybko, ile mam pary w ramionach i nogach.

Dlaczego on do mnie wraca? Przecież go zabiłem, przecież już dawno gryzie ziemię. Nawiedza mnie w snach, na jawie... Jak mam się go pozbyć, jak mam go unicestwić?

– Wypierdałaj z mojego życia! – Walę go po mordzie, a on się ze mnie śmieje.

– Ty gówniarzu, ledwo od ziemi odrosłeś i się rzucasz. Z czym na ojca? Jak ci zaraz dupę złoję, to popamiętasz! – drwi ze mnie.

– Nigdy mnie już nie tkniesz. Ty nie żyjesz, zabiłem cię, skurwysynu! – Pot zalewa mi oczy, walę na oślep. Jestem na granicy wytrzymałości, nie wiem, jak długo już boksuje, ale nie czuję ramion i ud. Mimo to nie przestaję. Muszę go zajeść raz na zawsze.

– Halo, słyszysz mnie?! – Dobiega do mnie wołanie.

Spoglądam w bok. Widzę zarys postaci.

– No, braciszku, dałeś czadu.

To Kira. Przestaję boksować.

Podchodzi do mnie i podaje mi ręcznik. Staram się uspokoić oddech i wycieram twarz. Leje się ze mnie, jakbym wyszedł spod prysznica. Gacie kleją mi się do jajek, dzinsy do nóg. Kira mi się przygląda, wodzi wzrokiem po moich ramionach, klatce piersiowej. Spojrzenie jej oczu jest tak wyraziste, że odciąga uwagę od siniaków, które szpecą jej twarz.

– Od dawna tu jesteś? – pytam i przesuвам ręcznikiem po włosach.

– Wystarczająco długo, by usłyszeć, jak złorzeczysz na zmarłego ojca. Musiał ostro zająć ci za skórę.

– Był zwykłym śmieciem. Nie zasługuje na to, żeby o nim mówić.

– Skoro był śmieciem, to dlaczego do tej pory nie wyrzuciłeś go ze swojej głowy?

Patrzę jej w oczy.

– Wyrzuciłem, i to dawno temu.

– Twoje wybuchy agresji świadczą o czymś innym. Wczoraj Oz, dzisiaj ten incydent w kuchni. Tomek mówił mi, że często męczą cię koszmary. Od taty wiem, że twój ojciec was krzywdził...

Stop. Koniec tej psychoanalizy.

– Nic nie wiesz – mówię. Czuję, że zaczynam się gotować. – Jeśli chcesz bawić się w psychologa, to nie ze mną.

– Chciałam tylko...

– Tak, wiem, co chciałaś – wchodzę jej w słowo. – Pomóc, pogadać, zrozumieć. Tylko że ja tego nie chcę. Dlatego już więcej nie poruszaj tematu mojego ojca, jasne? – Rzucam jej ręcznik na ramię i idę do wyjścia.

– Jasne. – Słyszę jej głos na odchodne.



O dziesiątej mam egzamin, ostatni w tym roku. Od siódmej przeglądam kserówki ze sztucznej inteligencji. Jem śniadanie, po czym jadę na uczelnię. Nie czuję się dzisiaj najlepiej. Bola mnie głowa i mięśnie, drapie w gardle. Siadam na końcu auli, niedaleko wejścia, tuż przy ścianie. Ławy są długie i zabudowane z przodu, raj dla tych, którzy mają przygotowany arsenał ściąg na kolanach. Przeglądam w telefonie wpisy na naszym forum. Tomek się nie mylił, przez tę akcję z Ozem stałem się popularny. Ludzie to są jednak popierdoleni. Nie zdają sobie sprawy z tego, co znaczy zabić człowieka. Naoglądali się filmów walki, w których trup ściele się gęsto, i wydaje im się, że w prawdziwym życiu nie rodzi to żadnych konsekwencji. I mówi to zabójca własnego ojca. Fakt, zabiłem go, ale to nie oznacza, że jestem psychopatycznym mordercą. Nie jestem typem, który zabija dla przyjemności, takim, którego nie trawia wyrzuty sumienia, nie nawiedzają koszmary, który nie ma hamulców przed popełnieniem kolejnej zbrodni. Nie jestem gościem, który zabija, bo go to podnieca. Nie jestem bestialskim rzeźnikiem, który chociaż mógłby sobie odmówić przyjemności odbierania ludzkiego życia, to tego nie robi, bo zwyczajnie mu się to podoba i zabija dalej, dla samej satysfakcji.

Zabiłem raz, z zemsty. Zrobiłem to, by uwolnić się od tego pomiotu szatana. Tymczasem on nawiedza mnie częściej, niż kiedy żył. Tkwi w mojej głowie i nie chce dać mi spokoju.

Przynajmniej mama jest wolna i szczęśliwa.

– Egzamin się opóźni – słyszę głos Klaudii. – Wracam właśnie z dziekanatu. Hasner utknął na Zarzewie. – Siada obok mnie. Jasne włosy ma rozpuszczone. Biała bluzka opina piersi, ciemna spódniczka jest kusa i nęcąca.

– Pójdziemy po egzaminie na wzgórze? – pyta podekscytowana. – Stęskniłam się za tobą.

Nie mam ochoty na jej towarzystwo. Po naszym ostatnim razie odechciało mi się dalszych spotkań. Ona zdecydowanie chce czegoś więcej, a ja nie mam siły na babranie się w takim syfie. Było miło i się skończyło.

– Nie mogę, muszę jechać do klubu.

Jest niepoczieszona.

– To może chociaż skoczmy do schowka na sprzęt? Mogę zdobyć klucze.

Zastanawiam się przez moment. Lubię takie: raz, dwa, trzy, dziękuję ci. Z chęcią bym skorzystał, ale po ostatnim razie jakoś nie wierzę w taki scenariusz.

– Raczej nie, jestem umówiony na konkretną godzinę z klientem – odpowiadam.

Klaudia się rozgląda.

– To przynajmniej umilmy sobie wyczekiwanie na egzamin – mówi i kładzie mi rękę na kroczu.

Naprawdę jest napalona. A ja takiej przyjemności nigdy nie odmawiam. Jesteśmy osłonięci zabudową ławki, nikt obok nas nie siedzi.

– Czemu nie – mówię, a oczy Klaudii się uśmiechają.

Rozpina mi suwak spodni, guziki w bokserkach i bierze kutasa w dłoń. O tak. Zakładam ręce za głowę. Klaudia siedzi oparta o krzeselko, jej twarz i tułów są skierowane w stronę tablicy. Wygląda

niepozornie, ale robi swoje i całkiem nieźle jej idzie. Sunie dłonią w górę i w dół, a mi już stoi. Jest twardy, naprężony. Moje biodra wyrrywają się do góry po więcej, staram się powstrzymać jakiegokolwiek ruchu, choć to niełatwe.

Oddech mi przyśpiesza, krew pulsuje w skroniach. Zerkam na jej rękę, jak pracuje, żeby mi było dobrze, i upajam się tym widokiem. Przenoszę wzrok na jej twarz. Policzki ma zaróżowione, klatka piersiowa faluje. Jest napalona, wierci się na krześle. Sięgam do jej spódniczki, wkładam palce pomiędzy uda. Są gorące, miękkie. Klaudia rozchyła nogi zapraszająco. Odsłaniam pasek stringów i wyczuwam, że jest wilgotna. Zaczynam masować łechtaczkę, powoli, okrężnymi ruchami. Oddech Klaudii przyśpiesza, jej dłoń porusza się coraz szybciej. Widzę, że za wszelką cenę stara się trzymać w pionie, choć najchętniej wyląby się na krześle.

Nie patrzymy na siebie, nasze ciała i oczy skierowane są w stronę mównicy. Robimy swoje, zachowując wszelkie pozory przyzwoitości. Jestem już coraz bliżej orgazmu. Nie mam pojęcia, jak ogarnę później ten cały spermowy syf, nie obchodzi mnie to. Jedyne, o czym teraz myślę, to żeby jak najszybciej dojść, poczuć to ciepło idące od jaj do penisa, marzę o gorącym wytrysku. Wyczuwam, że Klaudia jest na granicy, co jakiś czas zaciska uda, wstrzymuje oddech.

Wślizguję się dwoma palcami w cipkę, zerkam na twarz dziewczyny. Przygryza wargę, ściąga brwi. Zaraz dojdzie. Zaczynam ją posuwać, trąc łechtaczkę. Jest tak nakręcona, że nawet nie zauważa, jak szybko wali mi konia. Nasze ruchy się uzupełniają, wpadamy w ten sam rytm. Czuję pod palcami jej skurcze, już jest blisko. Zaciska dłoń na penisie. Z jej ust wydobywa się stłumiony jęk. Wstrząsa nią dreszcz, ciało się napina, dochodzi.

Wysuwam z niej palce, są wilgotne, lepkie. Klaudia nie przestaje mi walić. Bierze moją dłoń, wkłada do ust palce, którymi przed chwilą robiłem jej dobrze. Oblizuje je, ssie. Wyobrażam sobie, że robi to samo z fiutem. Po plecach przebiega mi dreszcz; jestem blisko. Prąd przepływa po moich łydźwiach, czuję skurcz mięśni, biodra unoszą się instynktownie, jeszcze kilka ruchów i wytrysnę... Wtedy do sali wchodzi wykładowca.

– Dzień dobry państwu. Zaczynamy egzamin.

Klaudia jak oparzona odrywa dłoń od kutasa i kładzie ręce grzecznie na ławce.

Ja pierdołę, tak się nie robi! Wkurw i ból jajec gwarantowany przez najbliższą godzinę. Walczę ze sobą, najchętniej sam bym skończył, ale facet rozdaje już testy.

Pozamiatane.

Za nic się teraz nie skupię na egzaminie.



Gdy tylko wchodzę do mieszkania, odpalam komputer i szukam jakiegoś sensownego pornola. A tu jednak same cyncate albo kościste, z tępym wyrazem twarzy. Nie mogę znaleźć ani jednej dziewczyny, przy której miałbym ochotę zrobić sobie dobrze. Łapię się na tym, że wpisuję w wyszukiwarkę: „kickboxing girl with cat’s eyes”, ale żaden wynik nie spełnia moich oczekiwań. Nie wiem, czego się spodziewałem.

Zamykam laptopa, biorę chusteczki, kładę się na łóżko i zaczynam się masturbować, na początku łagodnie. Przymykam oczy, widzę twarz Kiry. Podnieca mnie to, jak lustruje mnie spojrzeniem, jak oblizuje wargi na widok mojego penisa. Przyśpieszam. Kira klęka i robi mi loda, patrzy na mnie, a ja wsuwam palce w jej rozpuszczone włosy. Stoi mi na maksa. Teraz wkładam go pomiędzy jej piersi. Dociskam i prześlizguję się między nimi w przód i w tył. Czuję, że potrzebuję czegoś więcej. Ściągam jej spodnie, rozchylam nogi i liżę cipkę. Kira jęczy, obejmuje moją głowę i przyciska do siebie. Wsuwam w nią język. Chciałbym poczuć jej zapach, jej smak... Wałę sobie coraz szybciej. Nakrywam ją swoim ciałem, chcę na nią patrzeć, czuć na twarzy jej podniecony oddech. Biorę w rękę kutasa i wślizguję się do jej wnętrza. Jest ciepła i ciasna. Nie mam gumki, czuję ją wyraźnie, na tyle, na ile pozwala mi wyobraźnia. Kira wygina się w łuk, z jej ust wydobywa się gardłowy jęk, oplata nogami moje biodra. Zaczynam ją posuwać. Głęboko, szybko.

Jest mi bardzo dobrze, choć wiem, że to tylko złudzenie. Jak zajebicie musiałyby mi z nią być, gdybyśmy robili to naprawdę. Ta myśl jeszcze bardziej mnie podnieca. Robię kilka kolejnych ruchów, oddycham szybko, czuję pierwszy skurcz, po nim drugi i dochodzę.

Przekręcam się na bok.

Ogarnia mnie błogość. Nie zdążam się nawet wytrzeć, nim zasypiam.



Budzi mnie telefon. Sięgam po niego ociężałą ręką. Czuję się, jakby moje mięśnie zamieniły się w kamienie.

– Słucham.

– Gdzie ty jesteś? – odzywa się Tomek.

– W domu, co jest?

– Jak to co? Klienci czekają.

Spoglądam na wyświetlacz, osiemnasta dwadzieścia. O szóstej powinienem zacząć trening. Przespałem cały dzień.

– Zastap mnie jeszcze przez dziesięć minut. Już jadę – mówię i się rozłączam. Zwlekam się z łóżka, łeb mi pęka, nogi mam jak z ołowiu. Biorę szybki prysznic, pochłaniam kawał kiełbasy z bułką i wychodzę na dwór. Na zewnątrz upał, a mnie jest zimno, jakby był grudzień. Dreszcze przechodzą mi po plecach, ramionach, piersi. Zakładam kask i jadę do klubu.

Wchodzę do środka, dudni bit. Sala jest podzielona na dwie części. W pierwszej moi klienci ćwiczą w parach pod okiem Tomka, w drugiej jakieś dupy cisną brzuszki w rytm narzucany przez Kirę.

Chyba jaja sobie robi.

– Dobrze wam idzie – rzucam do swojej grupy i zmierzam na koniec sali.

– Dzień dobry paniom. – Uśmiecham się do dziewczyn ćwiczących na matach i podchodzę do Kiry. – Pozwól na sekundę. – Podnoszę ją za ramię z parkietu i prowadzę do wyjścia. Wychodzimy na korytarz, ból głowy się nasila, fale dreszczy przebiegają mi po kręgosłupie.

– Co ty, do cholery, wyrabiasz? – pytam ją.

– Trenuję.

– Kto ci pozwolił?

– Tomasz.

– Powinnaś mnie zapytać o zdanie.

– Chciałam zrobić to wczoraj, ale sobie poszedłeś jak obrażona księżniczka. Miałam komplet, nie chciałam stracić zarobku.

– Mówisz o tych łamagach na parkiecie? Czego zamierzasz ich uczyć, szydełkowania? Skąd w ogóle je wytrzasnąłeś?

Kira mruży oczy, rozszerza nozdrza.

– Te dziewczyny chcą się nauczyć samoobrony. Zapisałam się do lokalnej grupy osiedlowej na Facebooku, rzuciłam pytanie, czy znalazłyby się zainteresowane osoby, które chcą potrenować kilka ciosów na wypadek napaści. A one wyraziły zainteresowanie.

– Kiro, to jest klub sztuk i sportów walki, a nie szkółka niedzielna dla nieporadnych niewiast, które nie potrafią kopnąć porządnie faceta w jaja.

– I mówi to mężczyzna, którego matkę obijał jej własny mąż przez naście lat. Nie pomyślałeś nigdy, że gdyby twoja mama umiała się bronić, ty nie musiałabyś robić tego za nią? Ile czasu musiało upłynąć, nim odrosłeś od ziemi i potrafiłeś się wreszcie postawić ojcu, co? Twoja mama powinna była was chronić, zrobić cokolwiek: zgłosić się na policję, spakować manatki i uciec albo skopać dupsko twojemu staremu, tak żeby więcej was nie tknął. Zamiast tego biernie znosiła przemoc ze strony twojego ojca, który krzywdził ją i ciebie.

Jej słowa są jak uderzenie obuchem w łeb.

Opieram się ręką o ścianę tuż przy jej głowie. Wzbiera we mnie gniew.

– Uprowadziłam cię, żebyś o nim nie wspominała. A moją matkę zostaw w spokoju. To nie twoja cholerna sprawa.

Przejęła, i doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Spuszcza na chwilę wzrok, po czym podnosi go i patrzy mi w oczy.

– Gordianie, mogę pomóc dziewczynom, które nie chcą stać się potencjalnymi ofiarami. Chcę je nauczyć, jak powinny się bronić przed złodziejem, gwałticielem, własnym chłopakiem i mężem. Przed tymi, którym wydaje się, że mogą bezkarnie bić kobiety. Od dawna chciałam prowadzić tego typu treningi. Nie miałam jednak odpowiedniego zaplecza. Uznałam, że skoro macie tu trochę miejsca i odpowiedni sprzęt, to mogę zrobić coś pożytecznego. Przy okazji zarobię, rozwinę wasz biznes, mam pełno wolnego czasu... – mówi Kira, a ja mam wrażenie, że jej głos odpływa w dal. Jest mi gorąco i zimno jednocześnie. Bolą mnie mięśnie, głowa, szyja, wszystko. Odchodzę na bok, zataczam się, mam mroczki przed oczami. Co jest, kurwa?

– Gordianie... – Głos Kiry dociera do mnie jak zza ściany.

Muszę usiąść, a najlepiej by było, jakbym się położył. Staram się trzymać w pionie, bo przecież mało co potrafi mnie zwalić z nóg. Tym razem jednak siła woli nie wystarcza. Kucam przy ścianie i opieram się o nią ręką.

– Co ci jest? – Kira klęka naprzeciwko mnie, widzę ją jak przez mgłę. Czuję, jak dotyka chłodną ręką mojego czoła. – Jesteś rozpalony. Siadaj. – Bierze mnie za ramię i zmusza do siadu. Nie mam nawet siły się opierać.

Kątem oka dostrzegam, jak Kira wyjmuje iPhone'a, po czym bierze moją dłoń i przykłada palec do kamerki aparatu, by sprawdzić temperaturę. Patrzy na wyświetlacz. Jej oczy się rozszerzają.

– Jasna cholera, ale gorączka. Tomasz! – Zrywa się z nóg.

Chcę zwrócić jej uwagę, żeby tak nie krzyczała, bo mi rozwali łeb, lecz nie mam siły wymówić

ani jednego słowa. Opieram się głową o chłodną ścianę. Mam wrażenie, że zaraz spłonę. Światła jarzeniówki rażą mnie w oczy, zamykam powieki.

Później kojarzę już tylko jazdę samochodem. Własne łóżko. Urywki rozmów.

– W życiu nie widziałam u kogoś takiej gorączki – słyszę Kirę.

– Przy grypie gorączka ma prawo skoczyć powyżej czterdziestu stopni – mówi jakiś mężczyzna.

– Dużo osób teraz choruje. Proszę robić mu chłodne okłady i podawać leki, które przepisałem. Jeśli nie przejdzie po trzech dniach, proszę o kontakt.

– Grypa? Przecież to jest silny facet, a zważyło go z nóg – dziwi się Kira.

– Wystarczy chwilowy spadek odporności, żeby złapać wirusa. Czy pani chłopak miał ostatnio jakieś stresy?

– To nie jest jej chłopak, tylko brat – wtrąca Tomek.

– Miał egzaminy na uczelni, kłopoty ze snem, wdał się w bójkę... – wymienia Kira, a mnie w majaku przechodzi przez myśl, że zajebiście dużo o mnie wie. Za dużo.

– Rozumiem. Niech więc odpoczywa, odsypia. Gdyby mu się pogorszyło, proszę dzwonić. Życzę spokojnej nocy.

Słyszę kroki, zamykanie drzwi, przyciszone głosy Tomka i Kiry dochodzące z korytarza.

– Zostanę z nim – mówi kumpel.

– Masz jutro na szóstą do pracy. Ja z nim posiedzę, już dzwoniłam do taty.

– No nie wiem... Dasz sobie radę?

– Żartujesz? A z czym mam sobie niby nie dać rady?

Ich dalsze słowa do mnie nie docierają. Nie mam już siły słuchać, zapadam w sen.



Idę zupełnie nagi pustą asfaltową drogą, która przypomina pas startowy dla samolotów. Wokół zmięcha, niebo jest sine i ciężkie, jakby zaraz miał spaść śnieg. Z moich ust z każdym oddechem dobywa się para. Musi być około zera stopni, bo na trawie widać szadź. Mimo to jest mi gorąco jak w piekle. Po obu stronach drogi rozpoczyna się las, sosnowy, nadmorski, z mchem pokrywającym korę. Do moich uszu dochodzi czyjeś wołanie. Koncentruję wzrok na prześwitach między drzewami, lecz nikogo nie widzę.

– Nie zabijaj, mnie! Błagam... – Ponowny krzyk. Nie mogę rozpoznać, czy to kobieta, czy młody mężczyzna. Głos niesie się echem po lesie. Schodzę z drogi, przechodzę przez wysokie trawy i wchodzę między drzewa.

– Proszę, zostaw mnie... – Tym razem jestem pewien, że to kobieta, bardzo blisko mnie.

Wyteżam wzrok. Nasłuchuję...

– Ty sukinsynu, zemszczę się! – Głos mężczyzny, donośny, potężny. Idę w jego stronę.

Odnoszę wrażenie, że coraz więcej drzew, które mijam, ma zdeformowany pień przypominający siedzisko.

– Pójdiesz za to do piekła... – Słyszę łkanie po swojej prawej.

Odwracam wzrok i zamieram.

Widzę faceta, wygląda tak samo jak ja, z tym wyjątkiem że jest ubrany. Trzyma w uścisku głowę młodego mężczyzny.

– I co, nadal uważasz, że nie jesteś psychopatycznym mordercą? – mówi do mnie z uśmiechem, po czym skręca ofierze kark.

Zrywam się w jego stronę, lecz moje nogi zdają się wrośnięte w podłoże. Chcę ratować chłopaka, ale jest już za późno. Mój sobowtór upuszcza go na ziemię. Wpatruję się w niego z niedowierzaniem. Wygląda identycznie jak ja. Nawet ciuchy ma moje.

– Dobrze, że wpadłeś, nieźle się tu zabawiamy. – Wyciąga sznur ze spodni i zawiązuje pętlę na szyi zabitego chłopaka. – Pewnie słyszałaś, jak rozkosznie krzyczała nasza siostrzyczka? – Unosi wzrok ku górze.

Idę w jego ślady i wstrzymuję oddech. Kira wisi martwa na konarze drzewa, z pętlą wokół szyi. Chcę do niej podbiec, ale nie mogę ruszyć się z miejsca!

– Kira! – wołam ją, chociaż wiem, że ona i tak nie żyje.

– Cicho, bo obudzisz resztę. – Mój sobowtór rozpościera dłonie ku górze. Podążam za nimi wzrokiem i serce mi staje. Na konarach drzew zawieszono ludzkie ciała. Rozpoznaję Tomka, Serafina, Weronikę, Inge, Klaudię, nawet sędzię.

– A z niej jestem najbardziej dumny. – Sobowtór wskazuje na sosnę, która ma najgrubszy i najbardziej wygięty pień ze wszystkich. – Dostała najpiękniejsze drzewo. Nazywam je tronem pomiotu szatana. – Podążam wzrokiem wwyż, po korze...

Nie. Nie, kurwa, nie!

Mam wrażenie, jakby ktoś przebił mi serce rozżarzoną prętą.

– Mamo! Nie, mamo! – Chcę się ruszyć, ale nie mogę.

Mój sobowtór się śmieje.

– Mamo! – Szarpie się, ale ani drgnę, jakbym wrósł w ziemię.

– Ciii. – Mężczyzna przytyka sobie palec do ust. – Mówiłem ci, żebyś tak nie krzyczał, bo ich pobudzisz – upomina mnie przyciszonym głosem i mruży oczy. – Zobacz, jaki jesteś zdolny, prawdziwy z ciebie zabijaka. To wszystko twoje dzieło.

– Zajebię cię. Już jesteś trupem. Zapiardolę cię, słyszysz?!

– Zabijesz mnie, to zabijesz siebie. Ja to ty, ty to ja. Jesteśmy jednym, synem szatana.

– Nie jestem niczym synem. A ty nie jesteś mną. Zapłacisz mi za to.

Sobowtór podchodzi do mnie tak blisko, że mógłbym go teraz ukatrupić gołymi rękoma. Tylko że te są jak z ołowiu. Patrzy mi prosto w oczy, mam wrażenie, jakbym przeglądał się w lustrze.

– Stałeś się mną w chwili, gdy zabiłeś pierwszy raz – mówi. – Jesteś naznaczony, nic już nie zmyje z ciebie piętna szatana. Jesteś ojcobójcą, nie zaznasz spokoju ani za życia, ani po śmierci. – Wyciąga palec i dźga mnie w pierś.

Czuję, jak pali mnie klatka piersiowa. Spoglądam w dół. Na skórze żarzy się szatański znak trzech cyfr: 666.

– To co, kontynuujemy zabawę w wisielca? Ty będziesz im łamał kości, a ja ich wieszał, co ty na to? – Przechyla głowę i uśmiecha się chytrze.

– Nie jestem mordercą.

– Jesteś. Zabiłeś ojca.

– Musiałem go zabić...

Diabelski znak pali mi pierś, ledwie mogę wytrzymać.

– Zgadza się, musiałeś. Ich też zabiłeś, bo musiałeś. Pora na kolejnych.

– Nie! Nie jestem zabójcą! – Jest mi tak gorąco, że zaraz się spalę. – Słyszysz?! Nie jestem zabójcą!!!



Otwieram oczy. Siadam gwałtownie, oddycham szybko. Mam wrażenie, że ciało mi płonie.

– To tylko zły sen. – Słyszę głos Kiry.

Odwracam głowę i napotykam jej spojrzenie. Stoi obok mnie. Żywa. Przebiegam wzrokiem wokół. Jestem w swoim pokoju. We własnym łóżku. Czuję niewysłowioną ulgę.

– Ja pierdolę. – Opadam ciężko na poduszkę.

Kira kładzie mi na czoło zimny ręcznik, który przyjemnie chłodzi i odgania zły sen. Czuję kolejny zimny okład, tym razem na torsie, później na udach. Przynoszą mi ulgę. Leżę tak przez jakiś czas, niby gapiąc się w sufit, lecz przed oczami migają mi sceny z koszmaru. Las wisielców, sobowtór, żar na torsie... Wsuwam dłoń pod okład na piersi, jakbym chciał się upewnić, że nie wypalono na niej trzech szóstek.

– Musisz dużo pić. – Kira nachyla się nade mną i unosi mi głowę.

Podnoszę się na łokciach i piję łąpczywie. Woda ścieka mi po brodzie, szyi... Nie odrywam wzroku od oczu Kiry. Do tej pory wydawało mi się, że są ciemnobrązowe, ale teraz, z bliska, widzę, że tęczówki mieniają się bursztynem.

Wypijam wodę do końca i opadam na poduszkę. Krzywię się, bo jest cała mokra od potu. Kira

najwyraźniej to dostrzeża.

– Możesz usiąść na moment? Zmienię ci pościel – mówi.

Czuję się jak mięczak, który nie potrafi sam się sobą zająć.

– Nie trzeba. Sam zmienię... – Ściągam okład z czoła, z piersi, siadam powoli i stawiam stopy na podłodze. Pokój wiruje jak na pieprzonej karuzeli.

Kira obserwuje mnie uważnie.

Wstaję, nogi mam ciężkie niczym żelbetowe słupy. Chwieję się. Nie mogę ustać w pionie.

– Kurwa. – Opadam na łóżko, by nie pieprznąć jak długi na podłogę.

– Siedź. Zmienię na razie poduszkę i kołdrę.

Wyciąga z szafy pościel i szybko ścieli łóżko. A ja mam gorszy problem. Chce mi się szczać.

– I tak muszę do kibla... – mówię i zbieram się w sobie, żeby wstać. Co za gównno mnie tak ścięło?

W życiu nie byłem taki chory.

Kira łapie mnie pod ramię.

– Pomogę ci...

Zaciskam zęby. Ale ze mnie junak! Dziewczyna musi mnie odprowadzać do łazienki. Nie mam jednak wyjścia, muszę się wesprzeć na jej ramieniu albo poszczam się w gacie.

Kuśtykam jak jakiś jebany inwalida. Jest mi gorąco, słabo, łeb mi pęka. Kira podnosi za mnie deskę, bo gdybym się teraz pochylił, na stówę wyrznięłbym w klozet.

– Będę stała za tobą – mówi. Przesuwa dłońmi po mojej talii i trzyma mnie w pasie. Muszę być naprawdę chory, bo fiut ani drgnie, kiedy Kira mnie dotyka.

Kręci mi się w głowie, jakbym był pijany. Opieram się jedną ręką o ścianę. Staram się skupić na sikaniu. Stękam, napinam się, a tu nic, chociaż czuję, że chce mi się szczać jak diabli.

Kira zaczyna gwizdać.

Odruchowo odwracam głowę i widzę, że się uśmiecha.

– No co? Mnie to zazwyczaj pomaga – mówi.

Zamykam oczy i staram się skupić. Wreszcie zaczynam sikać. Otwieram powieki.

– Co, do chuja? – wymyka mi się, bo widzę, że moje szczyny są czerwone jak wywar z buraka.

– Co jest?

– Sikam na czerwono.

– Co?! – Kira zagląda mi przez ramię. – Co ty gadasz? Normalny, słomkowy.

Chowam fiuta do bokserów i wpatruję się w kibel. Cały jest obryzany krwią.

– Idziemy do łóżka? – mówi Kira.

W normalnych warunkach rzuciłbym jakąś zbereźną kwestię, ale teraz nie mam siły. Spuszczam wodę i podchodzę do umywalki. Wciąż czuję dłonie Kiry na plecach. I chociaż wiem, że gdybym zasłabł i tak nie dałaby rady mnie utrzymać. Mimo to jakoś mi dobrze z tym, że jest ze mną. Myję ręce, podnoszę wzrok. Widzę swoje odbicie w lustrze, wyglądam jak gównno. Podkrążone oczy, szara cera, spękane usta. Zerkam niżej i zamieram. Na piersi widzę trzy szóstki. Mój oddech przyśpiesza, ciałem wstrząsa dreszcz.

– Co ci jest? – Słyszę głos Kiry.

Nie mogę oderwać wzroku od swojej piersi. Szóstki żarzą się jak węgle w ognisku. Co więcej, czuję, że pali mnie skóra.

– Powiedz mi, że z moją klatką jest wszystko w porządku – mówię.

Kira przygląda się mojemu odbiciu w lustrze.

– Mógłbyś trochę wzmocnić mięsień podobojczykowy. – Uśmiecha się cynicznie.

Ale mi nie jest do śmiechu.

Odkręcam zimną wodę i wkładam łeb pod kran. Strumień leje mi się do uszu, nosa, oczu, ścieka po torsie i brzuchu.

– Gordianie? – Kira przesuwając dłońmi po moich plecach.

Klatka piersiowa mnie pali jak cholera. Muszę wziąć zimny prysznic i koniecznie jakieś prochy na głowę, bo oszaleję.

Podnoszę się i patrzę w lustro. Szóstki wciąż tłą się na skórze. Odrywam się od umywalki i podchodzę na chwiejnych nogach do kabiny.

– Co robisz? – Kira mnie asekuruje.

– Muszę się ochłodzić. – Przekręcam wajchę kranu. Strumień tryska z deszczownicy. Ściągam gacie i wchodzę do brodzika, trzymając się uchwytu w drzwiczkach jak jakiś starzec.

Kira nic nie mówi. Stoi przed brodzikiem, czujna i gotowa, by mi pomóc. Lodowata woda leje się na moje ramiona, a mnie jest wciąż gorąco, jakbym siedział w saunie. Zerkam na pierś, szóstki dymią się i tlą. Biorę słuchawkę prysznicową w dłoń i próbuję je zgasić. Syczą, skwierczą, ale jebane nie chcą się do końca wypalić. To na nic, wszystko tkwi w mojej głowie.

Zakręcam wodę i wychodzę na przyjemnie chłodne kafelki. Kira ze zmarszczonym czołem zarzuca mi ręcznik na plecy, pomaga mi się wytrzeć. Siadam umęczony na kłocie, jakbym przebiegł z siedemdziesiąt kilometrów bez przystanku. Po moim ciele przepływają dreszcze, raz mi zimno, raz gorąco. Spuszczam głowę, wsuwam dłonie we włosy. Serce mi napierdala jak młot pneumatyczny. Czuję się, jakbym zaraz miał wykorkować.

– Chodź się położyć – mówi Kira.

– Muszę jeszcze iść do kuchni wziąć prochy.

– Przyniosę ci...

– Nie wiesz które. – Wstaję z trudem.

Czuję wszechogarniającą słabość, obwiązuję się ręcznikiem w pasie, zerkam w lustro i mam ochotę je rozjechać. Szóstki żarzą się w najlepsze, jakby mój tors robił za grilla z rusztem. Idę do kuchni. Sięgam do pudełka po butach, w którym leżą lekarstwa, i biorę dwie tabletki przepisane przez ciotkę Tomka.

– Co łykasz? – pyta Kira.

– Psychotropa i leki na sen – mówię wprost. Nie zamierzam się przed nią kryć, i tak prędzej czy później się skapnie, że nie jestem do końca normalny.

– Dlaczego?

– Bo mam zwidy.

– Jakie zwidy? – dopytuje.

– Że sikam krwią i zostałem naznaczony przez szatana. – Człapię do sypialni.

– Naznaczony jak?

– Mam wypalone trzy szóstki na piersi.

Kira spogląda na mój tors.

– I czujesz ból?

– Kurewski.

– Od dawna masz tego typu omamy?

– Od pewnego czasu.

– To znaczy?

– To znaczy, że chyba już wystarczająco zaspokoilem twoją ciekawość.

– To nie ciekawość, tylko troska.

– Nie potrzebuję troski ani litości, ani pomocy. – Siadam w fotelu, a Kira zmienia prześcieradło.

Krzywię się, kiedy zauważa plamę po spermie. Ciekawe, jakby zareagowała, gdyby wiedziała, że myślałem o niej, gdy się masturbowałem. Nie mam jednak siły dłużej się nad tym zastanawiać, dopada mnie otępienie po lekach.

Walę się na łóżko. Okno jest otwarte na oścież. Czerwcowe, nocne powietrze wpada do środka, czuję napływającą senność. Nie przeszkadza mi odgłos aut dobiegający z ulicy. Obejmuję poduszkę, moje powieki się zamykają...

Widzę jezioro mieniące się w słońcu, piaszczystą plażę, a na niej same ostre dupeczki w bikini i topless. Część z nich się opala, inne grają w siatkówkę, jeszcze inne pluskają się w wodzie. Wszystkie wydają mi się znajome. Ściągam podkoszulek i wchodzę na płyciznę. Dopiero teraz rozpoznaję, że dziewczyny w wodzie to Klaudia i Weronika.

– Jesteś wreszcie – mówi ta pierwsza.

– Czekaliśmy na ciebie – dodaje druga, podchodzi do mnie i zaczyna gładzić moje ramiona.

Widzę po jej wyrazie twarzy, że jest napalona. Ma rozszerzone źrenice i zaróżowione policzki.

Schodzi dłonią niżej, sunie po brzuchu aż do bokserek. Z drugiej strony podchodzi Klaudia.

– Chcę go włożyć do ust – mówi i kuca.

Weronika kłęka obok niej, ściąga mi majtki, bierze fiuta do ręki i wkłada go prosto w usta Klaudii. Drugą dłonią sięga do jej cipki i zaczyna ją grzmocić palcem. Widok jest niezmiernie niesamowicie mnie jara. Dziewczyny bawią się w najlepsze, lecz w pewnym momencie obok nich widzę unoszące się na powierzchni wody fekalia. Namnażają się, jakby z dna jeziora wybiło gigantyczne szambo.

– Dziewczyny, wychodzimy – mówię, ale one nie słyszą. Są tak pochłonięte palcówką i robieniem mi na zmianę loda, że nie zauważają, że wokół nich zrobiło się gówniane bajoro.

Zamierzam się stamtąd zabrać, lecz moje nogi ugrzęzły w mule. Nie mogę się ruszyć.

– Klaudia, Wera – odzywam się, jednak one nie reagują.

Jezioro zmienia się w szlam, jego poziom gwałtownie się podnosi. Smród jest nie do wytrzymania.

Dobra, koniec żartów. Chcę złapać Klaudię za ramię, ale moje ręce ani drgną.

Gówna podchodzą coraz wyżej. Nim się orientuję, sięgają już dziewczynom do szyi.

– Klaudia! Wera! – wołam.

To na nic. One są jak w matni. Ja pierdolę! Zaraz się potopią w tym bajorze. Czuję, jak robi mi się niedobrze od fetoru ścieków.

– Dziewczyny, wstawać! – drę się do nich. Próbuje wyciągnąć fiuta z ust Klaudii, lecz moje biodra są sztywne jak drewno.

Nie mija kilkanaście sekund, jak dziewczyny, pochłonięte seksualną przyjemnością, nieświadome tego, co dzieje się wokół nich, topią się w odchodach, a ja słyszę złowieszczy śmiech.

Na błękitnym nieboskłonie dostrzegam chmury, formują obraz na kształt mojej twarzy. Niby-oczy patrzą wprost na mnie, niby-usta otwierają się i wypływa z nich znajomy głos: „Wszystkich, których znasz, czeka ten sam los. Będą padać jak muchy, jeśli nie uczynisz tego, co nakaże ci nasz ojciec”.



Budzę się zlany potem. W ustach mam niesmak, czuję zapach gówna. Uchylam powieki, nadchodzi świt. Zerkam na otwarte okno. Smród dobiega z zewnątrz. Widocznie pod miastem nawożą pola i wiatr zawiął odór obornika aż tutaj. Przesuwam dłońmi po twarzy, czuję, że jest chłodna. Gorączka musiała minąć.

Zerkam na szafkę nocną, na której stoi szklanka z wodą. Unoszę się na łokciach i na fotelu dostrzegam śpiącą Kirę. Leży skulona, ma lekko rozchylone usta. Wygląda teraz niewinnie i znacznie młodziej, niż zapamiętałem. Spod koca wystają jej gołe palce u stóp, których paznokcie są pomalowane na bordowy kolor. Do głowy napływa mi machinalna myśl, że z chęcią zrobiłbym jej masaż, po czym wsadził fiuta pomiędzy jej stopy i porządnie się zadowolił.

Mój chuj twardnieje.

Oho, będę żył.

Jeśli wprawdzie nie padnę od tego gównianego smrodu.



Na śniadanie Kira robi omlet, do tego podaje świeżo wyciskany sok z pomarańczy.

– Proszę. – Stawia jedzenie przede mną na stole. – W razie gdybyś był jeszcze głodny, jest dokładka.

Zaczynam pałaszować. Kira siada naprzeciwko mnie i też zabiera się do jedzenia. To nie jest taki omlet, jak robi moja babcia, ale całkiem niezły.

– Nawet smaczny – mówię.

– Hmm. To takie twoje dziękuję? – Uśmiecha się.

– Tak jakby. – Wkładam kolejny kawałek do buzi.

– Nie miałaś zbyt dużo produktów w lodówce. Nic dziwnego, że grypa tak łatwo ścięła cię z nóg, marnie jadasz.

- To nie grypa – oświadczam z całą pewnością.
- Badał cię lekarz.
- To się mylił. Jak widzisz, dzisiaj nic mi nie jest.
- Jeśli nie grypa, to co?

Wzruszam ramionami. Nie zamierzam jej mówić, że takie jednodniówki z gorączką i majakami czasami mi się zdarzają, z tym że po raz pierwszy ścięło mnie aż tak mocno.

Kira przygląda mi się, po czym wstaje, bierze z blatu elektroniczny termometr i po chwili przykładła mi go do skroni. Siedzę nieruchomo. Na wysokości oczu mam jej brzuch, lekko podwinięta koszulka odsłania naga skórę. Nie wiem, co strzela mi do łba, ale muszę jej dotknąć. Wyciągam rękę i przesuwam kciukiem nad linią spodni Kiry.

Wzdryga się, ale raczej z zaskoczenia niż niechęci. Odsłaniam koszulkę tak, że widzę pępek. Mam ochotę go wylizać.

Termometr pika.

- Wygląda na to, że nie masz gorączki, choć mam co do tego duże wątpliwości. – Strąca moja dłoń, zabiera talerz ze stołu i podchodzi do zlewu.

- Wiesz, że nie jesteśmy rodziną – mówię wprost, bo podchody nie są potrzebne.
- Wiem, i co z tego?
- To, że nie musimy udawać, że nią jesteśmy. Możemy się zabawić, bez zobowiązań.

Kira wywraca oczami.

- Czy ty cierpisz na jakiś zespół „pieprzę wszystko, co się rusza”?

- Wolę określać go „biorę wszystko, na co mam ochotę”.

- Masz na mnie ochotę? – Unosi brwi i opiera się o blat.

- Nie mów mi, że ty ani razu nie pomyślałaś o mnie w inny sposób niż braterski.

- Jezu, ale z ciebie zadufany w sobie dupek. – Myje talerz i odkłada go na suszarkę. –

Najwyraźniej jesteś już zupełnie zdrowy, zbieram się do domu. – Wyciera ręce i rusza do wyjścia.

Wstaję i zastępuję jej drogę.

- Jeszcze ci nie podziękowałem za opiekę i śniadanie. – Stoimy naprzeciwko siebie.

- Podziękowania są zbędne. Zrobiłam to dla twojej mamy, bardzo się o ciebie martwiła.

- Ranisz moje uczucia. – Przysuwam się do niej, patrzę jej w oczy, kładę rękę na biodrze...

- Jeśli zamierzasz mnie pocałować, uprzedzam, że mam mocny prawy sierpowy.

Krzywię się i odstępuję od niej.

- Całowanie w usta odpada. – Wycofuję się, zbieram naczynia ze stołu i wkładam do zlewu.

Widzę kątem oka, że Kira mi się przygląda.

- Co jest złego w całowaniu w usta? – pyta wreszcie.

- Jest nudne i mnie nie rajcuje. – Odwracam się. – Ale z chęcią wycałuję inne twoje części ciała.

- Zsuwam wzrok niżej, między jej uda. Na samą myśl o miniecie robię się twardy.

Kira kręci głową.

- Szkoda mi ciebie – mówi całkiem serio i opuszcza kuchnię.

Szkoda? O co jej, kurwa, chodzi?

Słyszę trzaśnięcie wejściowych drzwi. Zostaję sam.



Cały dzień przesypiam, wieczorem trochę czytam, po czym śpię aż do rana i budzę się jak nowo narodzony. Sprawdzam w necie wyniki ostatniego egzaminu i z trudem się powstrzymuję, by nie rzucić laptopem o ścianę. Ten profesorski chuj źle wpisał mi ocenę. To fizycznie niemożliwe, żebym nie zaliczył.

Dzwonię do dziekanatu. Odbiera Ewa, skromne, uczynne dziewczę, które w wieku dwudziestu siedmiu lat wciąż boryka się z problemami skórnyymi charakterystycznymi dla nastolatków. Rozmawiam z nią chwilę i wyczuwam po tonie głosu, że sytuacja jest do uratowania, i to jeszcze dzisiaj. Wsiadam na motocykl, najwyraźniej Tomek dostarczył go w nocy pod blok. Kluczyki znalazłem w skrzynce na listy, czyli tam, gdzie je zazwyczaj zostawiał, gdy zbyt szybko schlałem się na imprezie. Dobry z niego kumpel, wieczorem postawię mu browca.

Jest dziesiąta rano, a żar leje się z nieba. Nie zakładam kasku, bo mózg mi się ugotuje. Już wystarczy, że w jaja mi gorąco. Wjeżdżam na główną ulicę, mijam plac Zbawiciela, skręcam w jednokierunkową przylegającą do bazyliki i jakiś kundel zabiega mi drogę. Daję po hamulcach, przechylam się na bok. Sunę nogą po bruku, ból jak kurwa mać. Słyszę jakiś krzyk, przede mną słup, w ostatnim momencie uchylam się i zeskakuję ze ścigacza, który wbija się w pal. Turlam się po chodniku, przeklinając w myślach własną głupotę. Chujowo zrobiłem, że nie włożyłem kasku. Zatrzymuję się na miękkiej ziemi, wokół mnie kwiaty.

– Synu, nic ci nie jest? – Słyszę głos starszego mężczyzny.

Podnoszę wzrok. Czarne buty, sutanna, koloratka, pomarszczona twarz, siwe włosy. Ksiądz.

Siadam powoli, noga mnie rwie. Spodnie mam rozdarte, udo krwawi.

– Lepiej wezwę karetkę – mówi klecha.

– Nie trzeba, to tylko draśnięcie. – Ruszam ręką. T-shirt na szmaty, cały rozpruty na piersi, tak że widać klatę.

Grunt, że jestem cały.

Szukam wzrokiem motocykla. Nie mogę zlokalizować słupa, na którym sam się omal nie rozbiłem.

– Bóg nad tobą czuwał. Twoja maszyna nie miała tyle szczęścia – stwierdza katabas i w tym samym momencie mój wzrok napotyka odlaną z betonu rzeźbę krzyża. U jej podnóża leży mój rozpieprzony ścigacz.

– Bóg... – zaczynam mówić, a wtedy kundel, który przebiegł mi drogę, podchodzi zadowolony do klechy i się łąsi. Patrzę i kurwa nie wierzę. – To księdza pies?

– To Kazik – odpowiada i jak gdyby nigdy nic, głaska sobakę po głowie.

– No to bez dwóch zdań mi się od księdza odszkodowanie należy. – Wstaję cały obolały.

– Proszę?

– Twój pies, twój krzyż, moja szkoda.

– To boski krzyż.

- Niech będzie. Twój Bóg rozpierdolił mi motocykl. Osiem koła powinno załatwić sprawę.
- Osiem czego? – Klecha patrzy na mnie, jakbym wyzwiał mu matkę od suk.
- Osiem tysięcy, na naprawę – mówię głośniej, bo stary chyba ma problem ze słuchem.

Krzywi się koszmarnie.

- Ale ja nie mam tylu pieniędzy, może odszkodowanie od ubezpieczyciela pokryje koszty?

– Wątpię. – Podnoszę wzrok na bazylikę i chce mi się śmiać. Ostatni raz w kościele byłem na własnym bierzmowaniu. Matka się uparła, że powinienem przyjąć wszystkie sakramenty, żeby później, jako dorosły facet, móc wziąć ślub kościelny. Dobry żart. Do dzisiaj pamiętam przepych, złote ramy, złote szaty, złote cyborium, z którego ksiądz podawał nam do ust opłatek, co wydało mi się zajebicie niehigieniczne. Matka mnie zawsze goniła, bym przed posiłkiem dziesięć sekund mył ręce mydłem, ale widocznie święte ręce księdza są wolne od bakterii. Odstrasza je boska siła.

– To niech ksiądz wystawi na aukcję w necie jedną z tych waszych błyskotek i odda mi kasę na naprawę. Spiszemy szybko umowę, podam swój numer konta. No chyba że policja powinna się zainteresować tym, że pies łązi bez smyczy i wbiega parafianom pod koła? – Czuję, że ogrania mnie wkurw. Nie mam ochoty wzywać policji, bo zanim przyjadą, sporządzą protokół, a później zaczną prowadzić jakieś śledztwo, to ja prędzej księdzem zostanę, niż zobaczę jakiś szmal. Poza tym i tak nie mam AC, więc po chuj mi oni. Nie jestem zawistny, niech sobie klecha chodzi w spokoju po tym łąz padole i nawraca zagubione dusze, tylko najpierw niech zrekompensuje moje szkody.

– Synu, nie ma powodów do zdenerwowania – mówi opanowanym głosem. – Chwała Bogu, że nic ci nie jest, to najważniejsze. Chodźmy do zakrystii, zaraz coś poradzimy.

Ksiądz bierze psa na ręce i prowadzi mnie po schodach do głównego wejścia.

– Mieliliśmy iść do zakrystii – mówię.

– Wejdziemy przez kościół. Byłeś tu kiedyś? – pyta.

Jak przez mgłę pamiętam grób Jezusa w pewne wielkanocne święta, kiedy matka zabrała mnie do bazyliki na święcenie pokarmów. W drodze powrotnej przez przypadek wyrzuciłem z koszyczka wszystkie jajka i dostałem od ojca taki wpierdol, że nie mogłem siedzieć przez tydzień.

Miałem wtedy z siedem lat.

– Raz byłem, ale nic nie pamiętam – odpowiadam.

– Nasza bazylika jest znana w całej Europie. Porównuje się ją z największymi budowlami sakralnymi świata, powstała dzięki ofiarności pielgrzymów. Cztery wieki temu stała tu drewniana kapliczka, wystrugana z drzewa lipowego. Przedstawiała Matkę Boską Bolesną, pochyloną nad zakrwawionym synem: Jezusem zdjętym z krzyża. Pod nią miały miejsce trzy ozdrowienia. Kalekiej dziewczynki, która urodziła się z krótszą nogą, niewidomego starszego mężczyzny i umierającego na suchoty chłopaka w twoim wieku. – Klecha otwiera wielkie wrota.

Chłód bijący od świątyni ogarnia moje ciało. Przechodzą mnie dreszcze i po chwili czuję, że piers zaczyna palić... Przystaję w progu. Jakiś wewnętrzny opór nie pozwala mi wejść do środka. Ksiądz wchodzi, macza dłoń w wodzie święconej i czyni na sobie znak krzyża. Widok kropli spływającej po jego pomarszczonym ciele wywołuje u mnie mdłości. Wyczuwam smród przypominający odór łąjna. Zaczynam się pocić. Mam sucho w ustach, jest mi gorąco, jakbym stał na pustyni.

– Chłopcze, dobrze się czujesz? – pyta ksiądz, a ja słyszę jego głos jakby z oddali. Jego twarz wydłuża się, zniekształca. Czuję napływ duszności, brakuje mi powietrza, kręci mi się w głowie. Daję krok do przodu, opieram się o ścianę. Jest jeszcze gorzej. Smród przybiera na sile, dobiega z kropielnicy ze święconą wodą. Tylko że nie widzę już w niej wody, a brunatny szlam.

– Synu, może powinienes usiąść? – Ksiądz podchodzi i łapie mnie pod ramię. Jego dotyk parzy. Zabieram rękę, lecz on przytrzymuje mnie mocniej.

– Zamknąć drzwi! – woła.

Odwracam się i w tej samej chwili widzę dwóch chłopaków w strojach ministrantów, zamykających za mną wrota. Jak ich dopadnę...

Zapada półmrok. Chwytam księdza za nadgarstek i wykręcam mu rękę. Staruszek przede mną klęka.

– Co to za sztuczki? – pytam, bo nie mam bladego pojęcia, co się właściwie dzieje.

Ksiądz wyciąga z kieszeni małe, mosiężne kropidło i spryskuje mi twarz.

– Kurwa mać! – Puszczam klechę i wycieram się koszulką. Pali mnie skóra. To śmierdzące świństwo dostało mi się do ust. Pluję na bok. Zaraz zwymiotuję. – Co to za gówno?

– Woda święcona – odpowiada. – W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego... – Strąca krople w moją stronę.

Cofam się. Kurwa, nie wiem, czemu się cofam, zamiast połamać staruchowi wszystkie kości. Ale nie mogę się do niego zbliżyć, czuję jakiś wewnętrzny opór. Muszę stąd wyjść. Muszę natychmiast opuścić to miejsce. Łapię za klamkę. Zamknięte.

– Szatan jest piekielnie inteligentny, ale jego władza nad tobą jest ograniczona, bo nie zna twojej przyszłości – mówi ksiądz.

– Wypuść mnie, bo nie ręczę za siebie – grozę mu, chociaż wiem, że póki trzyma w rękę coś, co jego zdaniem jest wodą święconą, nie zbliżę się do niego nawet na krok.

– On dobrze pamięta twoją przeszłość i doskonale potrafi interpretować teraźniejszość... – bredzi jak potłuczony, trzymając w gotowości kropidło, na wypadek gdybym się do niego zbliżył. – On wie, co kiedyś zrobiłeś, co robisz teraz, ale nie ma pojęcia, co zrobisz za chwilę. Może się tego domyślać i cię mamić. Słyszysz czasami jego głos? Przychodzi do ciebie w snach? On może przybierać różne formy...

Patrzę na niego i nie wiem, czy zwariował, czy siedzi w mojej głowie. A może to kolejny omam?

– Otwieraj te pieprzone drzwi, bo trafisz do szpitala ze złamaniem otwartym.

Klecha kręci głową.

– Póki mam to... – unosi kropidło – szatan nie pozwoli ci się do mnie zbliżyć.

O jak mnie wkurwia takie gadanie. Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić. Ani ksiądz, ani jakiś Pan Ciemności, czy jak tego chuja, szatana, inaczej zwa. Sam jestem sobie panem, nikt nie ma nade mną władzy. Przełamuję wewnętrzny opór, odpycham się od drzwi, robię półobrót i kopniakiem wytrącam z ręki księdza kropidło.

Jego oczy się rozszerzają. Metalowa pałeczka sunie po mozaikowej posadzce. Mam ochotę przywalić księdzu, ale nie uśmiecha mi się potem tłumaczyć z tego policji. Jeśli ma się nasrane w papierach, lepiej być ostrożnym, żeby nie dać się zrobić w odsiadkę.

Łapię księdza za rękę, wykręcam ją poprzez dźwignię nadgarstkową i składam go jak scyzoryk. Stary leży na pawimencie, dysząc, patrzy na mnie, jednak w jego oczach nie widzę strachu.

– Nie boję się ciebie – mówi. – Przemawia przez ciebie szatan, ale ty nie jesteś zły. Zbłądziłeś, jednak nie jest jeszcze dla ciebie za późno...

Stoję nad nim. Choć jakaś część mnie ma ochotę zamknąć mu kopniakiem głowę, nie robię tego.

– O co ci chodzi? Co to za brednie o szatanie, cały ten szajs? Kto cię nasłał?

– Nie jestem na niczyje rozkazy, oprócz samego Boga. Nie byłbym sługą Pana Jezusa, gdybym nie próbował cię ratować. Izajasz powiedział bowiem: „Choćby wasze grzechy były jak szkarłat – nad śnieg wybieleją, choćby były czerwone jak purpura – staną się białe jak wełna... Lecz jeśli będziecie trwać w uporze, miecz was wytępi!”^[4]

Słucham go i czuję, jak coś mnie pali w środku, przenika przez skórę. Spoglądam w dół. Koszulę mam rozerwaną, a na piersi jarzą się trzy szóstki.

– Synu, musisz z nim walczyć, nim całkowicie tobą zawładnie... – mówi ksiądz. – Cokolwiek zrobiłeś, Bóg ci wybaczy. Zrób rachunek sumienia, wyznaj grzechy i odkup swoje winy. Okaż skruchę, żałuj za grzechy.

Zaciskam pięści.

– Niczego nie żałuję i niczego nie będę okazywał. A teraz mów, jak będzie z kasą za motocykl, bo kończy mi się cierpliwość.

– Pozwolisz, że wstanę? – Ksiądz wykrzywia twarz i podnosi się powoli.

– Tylko bez sztuczek, dziadku, bo znowu pocałujesz posadzkę.

– Wyciągnę tylko notes i długopis, żeby spisać kontakt do ciebie, dobrze?

Dwadzieścia minut później idę pieszo na politechnikę, która znajduje się przecnicę od bazyliki. Klecha opłacił lawetę, która zabrała ścigacz do mojego znajomego mechanika. Obiecał mi też, że w ciągu dwóch dni przeleje na moje konto trzy tysiące na naprawę.

Wchodzę na uczelnię. Pusto i cisza. Końcówka sesji, nie ma zajęć, widocznie na dzisiaj nie zaplanowano żadnych egzaminów. Drzwi od dziekanatu są otwarte na oścież, dziewczyny się wietrzą, bo klima padła.

– Witam panie – mówię od progu do trzech pracownic dziekanatu. Mijam blat, przy którym zazwyczaj są obsługiwani studenci. Podchodzę do Ewki i się uśmiecham. Staram się być wyluzowany i miły, chociaż po akcji z klechą muszę jakoś odreagować, bo coś czuję, że za chwilę mnie rozsadzi.

– Co ci się stało? – pyta cichym głosem Ewa, prześlizgując się po mnie nieśmiałym spojrzeniem.

– Nic ważnego, później ci opowiem. Co z moją sprawą?

– Dzwoniłam i profesor zgodził się podnieść ci ocenę na trójkę.

– Podnieść ocenę? Czyli to nie był błąd?

– Przykro mi. Przypomniałam mu, że w pierwszym semestrze miałeś u niego piątkę, dlatego zmienił ci ocenę na wyższą.

– To dupek. – Przechesuję włosy. – Od trzech lat nikt mi nie wstawił tróji z egzaminu.

Ewa podnosi na mnie oczy, jej brwi przysłania równo ścięta grzywka.

– Przykro mi, ale nawet najlepszym się zdarza. Jesteś doskonałym studentem, to nie powinno zaważyć na średniej i stypendium... – mówi tak słodkim i przekonującym głosem, że mam ochotę zrobić jej dobrze.

I to jest myśl. Tego mi trzeba. Biorę ją za dłoń. Patrzy na mnie zdziwiona, zaczyna oddychać szybciej.

– Chodź ze mną – mówię i ciągnę ją za sobą. Po drodze zabieram z wieszaka klucz do sali na parterze.

– Po co tam idziemy? – pyta, jakby nie do końca rozumiała.

– Chcę ci się odwdzińczyć za przysługę.

Wchodzimy do sali, zamykam drzwi od środka i zdejmuję podarty T-shirt.

Ewa łapie powietrze, opiera się o ławkę. Ma na sobie sfilcowaną bawełnianą bluzkę w jakiejś bure kwiatki i spódniczkę za kolano. Nie jest jakoś szczególnie zgrabna ani szczupła. Ma przysadzisty tyłek, ale nadrabia ładną buzią i fajnymi cyckami. Z przyjemnością się na nie spuszcza.

Podchodzę do niej i całuję po szyi. Tętno napierdala jej jak szalone, czuję pod ustami przyspieszony puls.

– Myślałaś kiedyś o nas? – pytam i łapię zębami płatek jej ucha.

– Trochę... – odpowiada zachrypniętym głosem. Odchrząkuje nerwowo.

– A zastanawiałaś się, jak by to było, gdybyśmy byli razem? – Ujmuję jej dłoń. Jest spocona, drżąca.

– Mhm.

– Dotykałaś się wtedy?

– Słucham?

Patrzę w jej oczy, jest zawstydzona.

– Pytam, czy gdy o nas myślałaś, to się dotykałaś, o tak?

– Wsuwam jej dłoń pod spódniczkę, między nogi.

Twarz Ewki płonie. Spuszcza wzrok.

– To mnie bardzo podnieca... – szepczę jej do ucha. – Pokażesz mi, jak to robisz?

Przygryza wargę, walczy ze sobą. Dotykam jej majtek, są lekko wilgotne. Jesteśmy na dobrej drodze. Ściągam je powoli, całując ją w szyję. Ewka oddycha coraz szybciej, szuka moich ust. Schodzę niżej, klękam przed nią, podciągam spódniczkę, rozchylam uda. Ma nieogoloną cipkę, lecz to mi nie przeszkadza.

– Pokaż mi, jak robisz sobie dobrze – mówię.

Dziewczyna nieśmiało kładzie dłoń na cipce i zaczyna poruszać palcami. Wstaję i jej się przyglądam, to ją onieśmiela, ale też nakręca. Rozpinam swoje spodnie i wyciągam fiuta. Oczy Ewki się rozszerzają. Przesuwam po nim ręką w górę i w dół. Jest lekko twardy, ale bez szaleństw. Ewa wygląda na speszoną. To chyba jednak dla niej za dużo. Podchodzę do niej, zdejmuję jej bluzkę i sadzam ją na stole. Wątpię, by miała przede mną wielu kochanków, a jeśli już, to raczej nie była z ogierami, którzy ją

czegoś sensownego nauczyli. Rozpinam jej stanik. O kurwa, ale cycki. Zanurzam w nich twarz. Są miękkie, pełne, duże. Zaczynam ssać brodawkę, a Ewka pojękuje cicho. Miętołę cycki, całuję i liżę, bo naprawdę są odjechane. Zsuwam dłoń niżej i odnajduję cipkę. Ewa nieśmiało rozchyła nogi. Jest wilgotna i gotowa. Szukam w kieszeni spodni gumki, bo jeszcze mi się nie zdarzyło wyjść bez żadnej.

Nie ma.

– Moment. – Sięgam po portfel, a tam też pusto.

Nie no, kurwa! Co za zjebany dzień.

Po co ci prezerwatywa, wyjdiesz z niej wcześniej. A przyjemność gwarantowana – podpowiada mi jakiś głos w głowie.

– *No, odreaguj chłopie. Miałeś ciężki poranek. Śmiało!*

– Nie mam gumki – mówię do Ewki.

Przysuwam się do niej i gładzę jej cipkę.

Dziewczyna ociera się o moją rękę, spragniona czegoś więcej. Wsadzam w nią palec, a ona napiera na niego, dysząc.

– To może... spróbujmy bez? Mam aktualne badania.

Na to mój fiut podskakuje z zadowoleniem.

Po chwili wsuwam go w cipkę Ewki, która piszczy cicho i rozkosznie. Zaczynam ją grzmocić. Nie jest to mega zajebisty seks, ale nie jest też źle. Może od tyłu byłoby mi lepiej?

Wyciągam drąga i obracam Ewkę tak, że staję do mnie tyłem. Nie protestuje, jest zbyt otumaniona tym, co się dzieje. Pochylam ją tak, że jej cycki leżą na ławce, rozchylam jej nogi i wsuwam się w cipkę. Trzymam ją za biodra i zaczynam posuwać. O tak, w takiej pozycji jest mi znacznie lepiej. Bez gumki to prawdziwa rozkosz. Czuję więcej, intensywniej, mocniej, zaraz dojdę.

Dojdz w niej, zobaczysz, jak ci będzie dobrze. Dojdz w niej... – namawia mnie ten sam głos, co wcześniej. – *No dalej, zrób to! Zrób! Chcę mieć z nią dziecko. Chcę, by urodziła mojego syna, słyszysz?*

– Głos staje się nachalny, a jednocześnie kuszący.

Staram się o nim nie myśleć. Chcę jak najszybciej dojść, muszę mieć orgazm. Rozładować napięcie, zniwelować stres. Nie zamierzam jednak spuszczać się w środku, nie zgłupiałem do reszty.

Masz to zrobić. Chcę ją zapłodnić, rozumiesz? Zrób to! Zrób to! – głos krzyczy coraz głośniejsze, jest zaborczy, nieznoszący sprzeciwu.

O nie, nikt mi nie będzie mówił, co mam robić. A zwłaszcza jakiś jebany głos w mojej głowie.

Wysuwam się z Ewki, trzy ruchy ręką i czuję, jak gorący strumień pędzi niczym rwąca rzeka od moich jaj przez kutasa. O tak. Jeszcze chwila, już prawie... Jeden ruch dłonią i spuszczam się na pośladki dziewczyny. Szumi mi w uszach, dreszcz wstrząsa moim ciałem, czuję, jak schodzi ze mnie powietrze. Klepię Ewkę w pośladek.

– Dzięki, skarbie. Tego mi było trzeba.

Pożalujesz tego! Pożalujesz!!! Miałeś mnie słuchać, ty gówniarzu jeden – słyszę oddalające się echo gróźb w mojej głowie.

Dociera do mnie, że jest ze mną coraz gorzej. Muszę się ogarnąć.



Zapobiegawczo Tomasz odwołał moje dzisiejsze zajęcia z krav magi, choć nikt go o to nie prosił.

– Sorry, stary. Po prostu uznałem, że przyda ci się trochę wypoczynku – tłumaczy się i upija łyk zimnego piwa.

Siedzimy w jednym z ogródków na woonerfie. Skwar jak w piekle, pomimo tego że schroniliśmy się pod parasolem.

– Następnym razem zadzwoń – odpowiadam i zaciągam się papierosem.

Ogólnie nie palę tego świństwa, ale po numerze w kościele musiałem jakoś odreagować. Wsunąłem na raz tabliczkę czekolady, a że to za wiele nie dało, impulsywnie kupiłem w kiosku fajki. Kiedy miałem czternaście lat, wydawało mi się, że mi pomagają. Za każdym razem, gdy miałem wkurwa, szedłem na dach, wypalałem kilka szlugów, po czym do utraty sił napierdalałem w worek. Następnego dnia rano oskrzela paliły mnie żywym ogniem.

Rzucąłem papierosy, a przy kolejnej chryi z ojcem znowu do nich wracałem. W tamtym okresie mama też paliła: dzięki temu miałem ułatwiony dostęp do fajek, które sukcesywnie jej podbierałem. Ojciec nie pozwalał jej kopać w mieszkaniu, więc wychodziła na balkon, nieważne, czy deszcz, czy śnieg. Nałóg był silniejszy. Kiedyś ojciec zamknął ją tam i trzymał przez godzinę w dziewięciostopniowym mrozie, tak go wkurwiał smród papierosów. Na nic zdały się jej nawoływania i moje błagania. W końcu mu się postawiłem. Znałem już wtedy parę podstawowych chwytów. Sądziłem, że dam mu radę. Kilka kopniaków w nogi, ciosów pod żebra, szarpanina. Chciałem ściągnąć go do parteru, lecz silny był, skurwysyn jeden. Dostałem wtedy od niego taki wpierdol, że przez tydzień nie chodziłem do szkoły. Byłem poobijany, posiniaczony, załamany. Ojca tak wnerwiło, że mu się postawiłem, że zabronił matce opłacania treningów karate. To jeszcze mocniej zmotywowało mnie do ćwiczeń.

Mama, po kryjomu przed ojcem, dawała mi pieniądze na zajęcia. Nie wystarczały na pokrycie całkowitych kosztów, więc dogadałem się z trenerem, że resztę odpracuję, sprzątając salę po treningu. Wieczorem, gdy wszystkie grupy były już po zajęciach, pucowałem parkiet i czyściłem maty. Trener był zadowolony z mojej pracy, twierdził, że jestem staranny i solidny. Zaproponował, że mogę trochę dorobić na ogarnianiu terenu jego posesji. Koszenie trawy, grabienie, podlewanie, nawożenie, czyszczenie basenu z igliwia i liści, nic, co mogłoby mi sprawić jakiś kłopot.

Wtedy poznałem jego córkę. Marika miała dwadzieścia jeden lat i ewidentną wściekłą macicy, o czym przekonałem się przy naszym trzecim spotkaniu. Pierwszy raz zobaczyłem ją, jak opalała się przy basenie. Skończyłem piętnaście lat i pamiętam, że w tamte wakacje moje ciało świeowało. W przeciągu dwóch miesięcy sporo urosłem i mierzyłem już metr osiemdziesiąt trzy. Od ciągłych treningów i pracy u trenera przybyło mi masy mięśniowej. Pojawił się ciemny zarost, którego nawet nie miałem czasu golić, więc wyglądałem na co najmniej osiemnastolatka. I tak chyba postrzegała mnie Marika. Prężyla się na leżaku jak kotka w rui, a ja miałem przez nią zmazy nocne i co rano budziłem się z gaciami oblepionymi spermą.

Rozmawialiśmy o głupotach, głównie o muzyce, bo Marika miała świra na jej punkcie. Nie zdradziłem się, ile mam lat, trener najwyraźniej też nie uświadomił córki, bo niby po co? Jaka dwudziestojednolatka spojrzysz na takiego szczyła?

Tamtego popołudnia byliśmy sami w ogrodzie, rodzice Mariki pojechali na jakieś większe zakupy. Wsiadłem na traktor do koszenia trawy i zacząłem pracę. Było gorąco, więc jeździłem bez podkoszulka, w samych spodenkach, adidasach i bejsbolówce. Marika leżała w cieniu, czytała książkę i raz po raz zerkała w moją stronę. Od samego patrzenia na jej zgrabne ciało chciało mi się zwalić konia. Nawet nie marzyłem o niczym więcej – byłem prawiczkim, nastolatkiem, a dziewczyna była znacznie starsza ode mnie. Musiała mieć powodzenie u koleśki.

Mimo to w końcu podeszła do mnie z tym swoim figlarnym uśmiechem na twarzy. Zaczęła coś mówić, ale warkot silnika ją zagłuszył. Wyłączyłem traktor.

– Możesz powtórzyć? – odezwałem się.

– Kiedy skończysz? Przez ten hałas nie mogę się skupić na czytaniu.

– A, sorry. Został jeszcze tylko ten pas. Jakaś fajna lektura?

– *Pamiętniki Fanny Hill*.

– To jakaś biografia?

Marika zaśmiała się, jej pierś zafalowała.

– Powiedzmy. Chodź, przeczytam ci ciekawy fragment. Przy okazji się ochłodzisz i czegoś napijesz. – Skinęła na mnie głową i ruszyła w stronę koca, który leżał w cieniu pod kasztanowcem.

Zeskoczyłem z traktora i za nią podążyłem. Marika nalała mi soku do szklanki. Był przyjemnie orzeźwiający, z odrobiną alkoholu. Zacząłem się rozluźniać. Po kilku godzinach przebywania na słońcu nie potrzebowałem wielu procentów, żeby zasumiało mi w głowie.

– Siadaj. – Poklepała miejsce obok siebie i wzięła do ręki książkę, z kobietą z nagimi piersiami na okładce.

Puls mi przyspieszył.

Marika uśmiechnęła się lekko i zaczęła czytać:

– *Choć chciałam wszystko robić planowo i stopień za stopniem wzmacniać jego podniecenie do szczytu – poczułam, że mnie samą zaczyna ogarniać pożądanie. Z początku miałam zamiar ograniczyć się tylko do pocałunków, podstawić mu ciało pod dotknięcie ręki i czekać, póki samodzielnie przejdzie do czynu. Byłam szalenie ciekawa, w jaki sposób chłopiec, który nigdy nie miał kobiety, domyśli się, gdzie znajduje się u mnie to utajone miejsce stanowiące ostateczny cel mężczyzny, jak je wykryje i zdobędzie* – cytowała, a jej dłoń zaczęła sunąć po piersiach. Odchyliła dekolt, tak że ujrzałem nagie brodawki. Zrobiło się kurewsko gorąco, poczułem, jak mi staje.

– *Teraz pod wpływem własnego podniecenia postanowiłam przyspieszyć jego reakcje* – czytała dalej, masując się po piersi i oddychając szybciej. – *Nie warto mi było czekać za długo. Ciągle jeszcze stał nisko pochylony nade mną. Ciągle jeszcze nie wiedział, że powinien położyć się przy mnie lub na mnie. A może nie jest dostatecznie przygotowany?* – pomyślałam. *Więc by sprawdzić stopień jego gotowości, wyciągnęłam rękę i położyłam mu ją na uda.* – Marika powędrowała dłonią do mojego krocza. Wstrzymałem oddech. Nasze spojrzenia się spotkały, po czym jej oczy ponownie zanurzyły się w lekturze. – *Przesunęłam dłoń wyżej i natrafiłam na rzecz, której szukałam. Uwięziona w obcisłej nogawce była ta rzecz twarda jak kamień, a tak przeraźliwie gruba i długa, że nie mogłam objąć jej palcami ani znaleźć jej końca, mimo że rozwarłam rękę najszerszej, jak mogłam! Nogawka prawie że pękała w tym miejscu pod potężnym naporem od wewnątrz!* – Zaczęła wodzić po moim kroczu palcami, ugniatając kutasa, który marzył tylko o tym, by wyskoczyć z gaci.

– *Szalenie zaintrygowana tym niezwykłym odkryciem musiałam sprawę zbadać dokładniej. Rozpięłam mu guziki, wsunęłam rękę do rozporka i z wysiłkiem – bo napięty materiał stawiał opór – wyciągnęłam tę rzecz na zewnątrz*^[5].

Czegoś takiego w życiu się nie spodziewałem. Marika zrobiła dokładnie to, o czym czytała, by po chwili odłożyć książkę i trzymając w dłoni sztywnego penisa, włożyć go sobie do ust. Musiałem się bardzo, ale to bardzo mocno powstrzymać, żeby się nie spuścić. Gdyby ktoś jeszcze rankiem powiedział, że taka dziewczyna z własnej inicjatywy będzie mi robić loda, wyśmiałybym go i stwierdził,

że takie rzeczy dzieją się tylko w pornolach.

Tymczasem leżałem sobie na kocu, w cieniu kasztanowca, w ogrodzie u swojego pracodawcy i zarazem trenera, a jego córka robiła mi dobrze. Gwiazdka bożonarodzeniowa w środku lata.

Do dziś jak żywy mam przed oczami wyraz twarzy Mariki. Jej duże oczy, które patrzyły na mnie z kokieterią, jej usta pomalowane czerwoną szminką, które ssaly mojego kutasa. Byłem już w pełnej ekstazie, gdy dziewczyna wstała i z uśmiechem ściągnęła majtki, które opadły po jej zgrabnych nogach na koc. Patrzyłem na nią z niedowierzaniem.

– Spokojnie, biorę tabletki – rzuciła tylko, jakbym w ogóle myślał o czymś takim jak zabezpieczenie. Podciągnęła tunikę, przykucnęła nade mną w rozkroku, wzięła twardego penisa do ręki i wsunęła go sobie w gorącą cipkę. Miałem wrażenie, że zaraz rozwali mi jądra, oddech mi przyspieszył, tętno podskoczyło. Poczułem rytmiczny skurcz, moje biodra instynktownie się uniosły i wypełniłem ją spermą.

Marika jęknęła, po czym zachichotała. Wyglądała na zadowoloną. Chwyła moje dłonie, wsunęła je pod materiał i położyła na swoich cycach. Byłem w rajku i znów miałem wzwód.

Jej uda zaczęły unosić się i opadać, tak że wychodziłem z cipki do połowy, by po chwili zagłębić się w niej aż po koniec trzonu.

– O tak, pieprz mnie – stęknęła Marika i pochyliła się nad moją twarzą, jej włosy opadły mi na czoło. Pachniała trawą i sokiem pomarańczowym, jej usta były czerwone jak truskawki, a ja chciałem się przekonać, czy smakują równie dobrze, jak wyglądają. Przywarliśmy do siebie wargami i poczułem, jak jej język wsuwa się do środka.

Zacisnąłem palce na jej biodrach i zacząłem unosić się w tym samym rytmie co ona.

Zacząła się jazda bez trzymanki.

Co kilka pchnięć musiałem się powstrzymać, by nie dojść za szybko. Zaciskałem szczęki, pośladki i ramiona, cholernym wysiłkiem było zwlekanie z wytryskiem. Walczyłem ze swoim popędem, ledwo wystarczało mi woli, by przedłużyć stosunek i dozować tę rozkosz, której nigdy wcześniej nie znałem. Ale to było silniejsze ode mnie.

– Zaraz dojdę... – stęknąłem.

– Poczekaj na mnie.

Marika sięgnęła dłonią do łechtaczki i zaczęła się masturbować.

Ten widok jeszcze mocniej mnie podjarał, byłem na skraju. Poczułem, jak cipka dziewczyny zaciska się na fiucie. Z jej gardła wydobyła się seria jęków. Była blisko orgazmu, bardzo blisko. W chwili, gdy rozległ się kobiecy krzyk rozkoszy, dopadły mnie rytmiczne skurcze. Ekstatyczny prąd przebiegł wewnątrz jąder, przemknął przez prącie, rozszedł się na lędźwie, wniknął w krwiobiegi, pozbawił kontroli nad ciałem. Wytrysnąłem, wbijając palce w uda dziewczyny.

Miałem wrażenie, jakbym wraz ze spermą pozbył się wszystkich problemów, które nurtowały mnie od tygodni – nieważna była kasa, praca, ciągłe awantury w domu. Czułem się zadowolony, spełniony, zrelaksowany. Nic nie miało znaczenia, tylko to uczucie rozluźnienia.

Marika wstała i usiadła obok mnie w rozkroku, tak że widziałem jej spuchniętą cipkę, z której wypływała moja sperma. Wytarła ją palcami, po czym je oblizała.

– Smakujesz mi. Następnym razem chcę, żebyś doszedł w moich ustach. – Mrugnęła do mnie i się uśmiechnęła.

Chociaż nie byłem już w stanie fizycznie się podniecić, to mentalnie miałem kolejny orgazm. Ta dziewczyna stanowiła spełnienie marzeń każdego chłopaka w moim wieku. Seks z nią był jak wygrana w totka. Nigdy wcześniej się tak nie czułem. Porównanie orgazmu, którego z nią doświadczyłem, do orgazmów, które miewałem wcześniej podczas walenia sobie konia, było jak zestawienie grzmotu pioruna ze strzałem z petardy draskowej.

W najbardziej erotycznych snach nie śniłbym o lepszym pierwszym razie. A to był dopiero początek mojej seksualnej podróży z Mariką. Dzięki niej znałem naprawdę dobrego pieprzenia.

I byłbym jej dożgonnie wdzięczny, gdyby nie okazała się taką kłamliwą suką.

– Palisz już trzeciego... – Głos Tomasza przywołuje mnie do terażniejszości.

– A, cholerne gówno wciąga. – Gaszę papierosa i w tym samym momencie czuję wibrację

telefonu w kieszeni. Zerkam na ekran. To Klaudia. Czytam SMS-a:

Hej, co porabiasz? Moi rodzice wyjechali, mam cały dom dla siebie. Może wpadniesz? Popluskamy się w basenie, zjemy coś dobrego, obejrzymy jakąś komedię romantyczną?

Czytam ostatnie zdanie i odpisuję.

Pluskanie w basenie – tak, jedzenie – tak, zamiast filmu – pieprzenie.

Czekam chwilę, aż przychodzi odpowiedź:

Odpada. Mam okres :(

No to pech. Daj znać, jak ci minie. Na razie.

Czyli w ogóle nie przyjedziesz?

Nie

Bo nie mogę uprawiać z tobą seksu? Możemy robić inne rzeczy.

Tzn.?

Pograć w scrabble... albo po prostu pogadać.

Kompletnie ją popierdoliło.

Zamiast scrabblu – na hiszpana. Zamiast gadania – obciążanie.

Czekam kilka sekund na odpowiedź. Słyszę, że Tomek zaczął z kimś gadać przez telefon.

Ale z ciebie świnia. Zależy ci tylko na jednym.

Nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej.

Nie obchodzą cię w ogóle moje uczucia?

Najwyższa pora kończyć tę pasjonującą konwersację, bo robi się z niej mydlana opera.

Nie. Udanych wakacji, Klaudio.

Nim zdążam wsunąć ponownie telefon do kieszeni, przychodzi kolejny SMS.

Jestem w ciąży.

Czytam i chce mi się śmiać. Chwyć poniżej pasa.

Dopiero co pisałaś, że masz okres. Jedno wyklucza drugie.

Kłamałam. Chciałam, żebyś przyjechał. Będziemy mieli dziecko.

Patrzę w telefon. Pogrywa sobie ze mną, zaczyna mnie to wkurwiać. Nie tak miała wyglądać nasza relacja.

Znajdź sobie faceta, który będzie chciał z tobą gadać i odgrywać małżeńskie szopki. Ja się nie pisałem na taki układ.

Kocham cię. Jestem z tobą w ciąży. To nic dla ciebie nie znaczy?

Nie wierzę, że jesteś w ciąży. Nie kocham cię. Nie pisz do mnie więcej. Między nami koniec.

Odpisuję, po czym blokuję jej numer. Wiem, do czego to zmierza. Już to przerabiałem pod koniec ogólniaka z Pauliną – wiadomości o północy z wyznaniem, tęsknotami, wierszami. Zajebać się szło.

Wsuwam telefon do kieszeni i upijam łyk piwa. Jak mnie wkurwiają takie laski. Z faceta chcą maskotkę zrobić.

Dostałem w życiu dwie solidne nauczki. Otworzono mi brutalnie oczy na to, jakim głównym są stałe związki. Dlatego już nigdy nie zamierzam wdawać się w żaden emocjonalny szajs. Nie chcę mieć dziewczyny. Do pogadania mam Tomasza. Niepotrzebne mi dramaty, sceny zazdrości, łzy, rozczarowanie.

Nie muszę być w związku, żeby dostać dobry seks. Co więcej, uważam, że im mniej wiesz o partnerce, z którą się pieprzysz, tym większa chemia między wami. Każde trzyma poziom, stara się pokazać z najlepszej strony, ukryć własne niedoskonałości. Żadnego pierdzenia w kanapę, rozciągniętych dresów, marudzenia, wynurzeń.

Przenoszę wzrok na Tomasza, który gada przez telefon. Uśmiecha się od ucha do ucha, oczy mu błyszczą. Z kim on tak nawija?

– To może do lasu za miasto? Albo do parku? – mówi. – Okej, to przyjadę po ciebie za godzinę. Później możemy skoczyć coś zjeść. – Rozłącza się i szczerzy zęby.

– Coś ty taki wesoły? – pytam.

– Umówiłem się z Kirą.

Zaciskam dłoń na kuflu z piwem.

– Po co?

Tomek ściera brwi, jakby nie rozumiał pytania.

– Jak to po co? Bo mi się podoba.

Upijam łyk piwa i sięgam po fajkę.

– To do dupy.

– Wkurwia cię to? – pyta.

– Nie. – Zaciągam się papierosem.

– Nie pieprz. Patrzysz na mnie, jakbyś zmierzał mnie ukatrupić. Nie chcesz, żebym umawiał się z Kirą. To jakiś braterski instynkt?

Krzywię się.

– To nie jest moja siostra.

– To o co ci chodzi?

– O nic.

– Przecież widzę, stary. Chyba mogę z nią pójść na spacer do lasu albo do parku? Posiedzieć, pogadać na łonie natury.

– Na łonie natury... – pryham. – A co wy, jakimiś pieprzonymi łosiami jesteście?

– Stary, nie nadażam. Wolałbyś, żebym ją zaciągnął do klubu, upił i wziął w ciemnej uliczce?

– Wolałbym, żebyś się z nią w ogóle nie spotykał. – Gaszę fajkę, bo czuję niesmak w gębie. Nie paliłem dwa lata i nie rozumiem, z jakiego powodu znowu zacząłem.

– Dlaczego mam się z nią nie spotykać?

I co niby mam mu odpowiedzieć? Że sam mam ochotę zaliczyć Kirę? Że jak sobie pomyślę, że miałyby się bzykać z moim najlepszym kumplem, to mam ochotę rozjechać kufel o ścianę? Nie chcę, żebyśmy o nią rywalizowali, żadna dupa nas nie poróżni.

– Podobno ma przykre doświadczenia z facetami. Lepiej zostawić ją w spokoju. Serafin prosił, żebym trzymał od niej z daleka swoich kumpli – wymyślam kłamstwo naprędce, dopijam piwo i wstaję.

– Zbieramy się?

Tomek siedzi zamyślony.

– Stary, idziemy? – Klepię go w ramię.

Podnosi na mnie wzrok. Widzę rozczarowanie w jego spojrzeniu i mam wyrzuty sumienia, że mu naściemniałem. Ale tylko przez moment, po chwili dociera do mnie, że zrobiłem to dla dobra naszej przyjaźni. Bo coś mi się zdaje, że gdyby niebawem przyszedł do mnie i powiedział z uśmiechem na

ustach, że właśnie przespał się z Kirą, to w całej tej jego radości i zadowoleniu z siebie mógłbym mu niechcący wpierdolić.

Tomek z żalem wyciąga telefon z kieszeni.

– Już idę – odpowiada. – Tylko dam znać Kirze, że mi coś wypadło i spotkamy się dopiero wieczorem na treningu. – Zaczyna pisać SMS-a.

No, to rozumiem.



Po południu idziemy z Tomaszem na odkryty basen, ale jest tam tyle ludzi, że nie da się porządnie popływać. Zbieramy manatki i postanawiamy podjechać jego autem nad jezioro za miastem, na ustronną plażę, którą kiedyś pokazała nam Inga. Fajnie nam się wtedy razem pływało. Zwłaszcza gdy jej dłoń wślizgiwała się w moje kąpielówki i robiła mi dobrze.

Kiedy podjeżdżamy pod sitowie, widzimy zaparkowany samochód Ingi.

– Jeśli właśnie się bzykasz, to zyskałaś zaciekawioną widownię! – wołam, żeby przypadkiem nie natknąć się na gołą dupę jakiegoś fagasa.

Odpowiada mi jej śmiech.

– Droga wolna, może jesteś chętny na trójkącik? – mówi zalotnie, a mnie mdli na samą myśl o tym, że miałbym to robić z facetem. Wchodzimy w zarośla i nagle moje postrzeganie sytuacji zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni.

O tak. Ten trójkąt może stać się moją ulubioną figurą.

– Z miłą chęcią – odpowiadam i pochwytyuję spojrzenie Kiry, która leży obok Ingi na kocu, w bikini. Zsuwam okulary przeciwsłoneczne, żeby lepiej przyjrzeć się jej kształtnym piersiom i zgrabnemu tyłkowi.

– Gapisz się – upomina mnie, po czym przenosi wzrok na Tomasza, który właśnie wychodzi z zarośli na plażę.

Gdy tylko dostrzega Kirę, z jego ust wydobywa się stłumione przekleństwo.

– Widzę, że faktycznie zatrzymały cię ważne sprawy. – Kira rzuca mu pełne pretensji spojrzenie.

– To nie tak. – Tomasz przeczesuje włosy dłonią i rusza w jej stronę, jakby zaraz miał wyznać jej prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Głupek.

Łapię go za ramię.

– Przecież przyjechał do ciebie, o co się pieklisz? – mówię. – Chodźmy popływać. – Ściągam koszulkę, spodenki i buty. – Inga, idziesz? – Puszczam jej oko.

– Pewnie. – Wstaje ochoczo i podaje mi rękę.

– Kira, a ty idziesz? – Tomasz wyciąga do niej dłoń, lecz ona jej nie przyjmuje, tylko podnosi się i zmierza do wody. Kumpel zerka na mnie z niezadowoleniem.

– Dzięki, stary, teraz mam już u niej przejebane – zwraca się do mnie z wyrzutem.

– Mówiłem ci, że ona ma jakąś awersję do facetów – odpowiadam, po czym wchodzę do jeziora i daję nura.

Robię kilkaset metrów kraulem, potem delfinem i dopływam do brzegu. Gdy już mam wychodzić, podpływa do mnie Inga. Bez słowa oplata mnie nogami i zarzuca mi ręce na szyję.

Woda sięga nam do pasa.

– Pamiętasz, jak robiliśmy to tutaj ostatnio? – szepcze w moje usta.

– Wtedy byliśmy sami – odpowiadam, obserwując Kirę siedzącą na kocu w towarzystwie Tomasza, który próbuje ją na nowo czarować.

– Oni są zajęci sobą. – Inga przenosi dłoń niżej, wsuwa mi ją w kąpielówki i obejmuje fiuta.

Zerznij ją... – słyszę głos w głowie. Zerznij ją tutaj, teraz, przy nich.

Lubię się pieprzyć, ale kurwa, bez przesady. Nie jestem ekshibicjonistą. Nie podnieca mnie obnażanie się przed innymi, zwłaszcza przed najlepszym kumplem i laską, którą chciałbym zaliczyć.

Masz zrobić to, co ci każę, bo spotka cię kara! Masz się z nią pieprzyć na ich oczach! Zrób to!

Nie zamierzam słuchać tego przekłętego głosu. Ale podkreślić atmosferę nie zaszkodzi. Nie spuszczać oczu z Kiry, przesuwam dłonią po plecach Ingi i jednym ruchem rozwiązuję sznurki od bikini.

Jej zalotny śmiech niesie się po jeziorze.

– Wiedziałam, że mi nie odmówisz.

Nie odpowiadam, tylko sunę rękoma niżej, po czym wkładam dłonie w jej majtki i obejmuję oba pośladki.

Kira zerka w naszą stronę, jej spojrzenie jest neutralne, twarz nie wyraża żadnych emocji. Nie jest ani zaskoczona, ani zszokowana. Nie robi na niej większego wrażenia to, że obmacuję Inge. Po chwili jednak uśmiecha się lekko, puszcza mi oko, po czym nachyla się i całuje Tomasza prosto w usta.

Co, do kurwy nędzy?!

Puszczam Inge i podążam na brzeg.

– Gordian? – Słyszę za sobą głos Ingi, ale jestem zbyt poirytowany, żeby odpowiedzieć. Tomasz ujmuję twarz Kiry i pogłębia pocałunek.

– Zbieramy się! – Podchodzę do niego i podnoszę go za ramię.

– Co ty wyrabiasz? – Kumpel uwalnia się z mojego uchwytu.

– No właśnie, Gordianie. – Kira przechyla głowę. – Co ty wyrabiasz? – Mruży oczy.

– Musimy wracać – mówię.

Serce mi napierdala, jakbym biegł. Patrzę na różowione usta Kiry i nie mogę znieść myśli, że przed chwilą całowała się z moim najlepszym przyjacielem.

– Przecież niedawno przyjechaliśmy, ja zostaję. – Tomasz siada obok Kiry i uśmiecha się do niej zalotnie.

Zaciskam pięści.

– Myślałem, że ustaliliśmy pewne kwestie – zwracam się do niego sugestywnie.

– Zapytałem Kirę i ona nie ma nic przeciwko facetom...

– Powtórz, co zrobiłeś? – Mam wrażenie, że zaraz mnie coś rozpierdoli od środka.

– Zapytał mnie, czy mam coś do facetów, a ja mu odpowiedziałam, że zależy do jakich. – Kira patrzy mi w oczy, mrużąc powieki. – Jestem ci wdzięczna za twoją braterską troskę – akcentuje mocno ostatnie dwa słowa – jednak na przyszłość wolałabym, żebyś nie mieszał się w moje prywatne sprawy. Sama sobie wybieram chłopaków.

Zastanawiam się, czy ten pocałunek był wyrazem jej szczerych uczuć względem Tomasza, czy może zamierzała mi pokazać, że nie mam co liczyć na jej względy.

Tak czy siak, zagrzała mi krew w żyłach.

Inga podchodzi i obejmuje mnie od tyłu w pasie. Nie spuszczam wzroku z Kiry, a ona ze mnie. Czuję, jak dłonie Ingi suną po moim brzuchu. Najchętniej powiedziałbym jej, żeby zamieniła się miejscami z Kirą.

Muszę się stąd zmywać, bo zaraz palnę coś głupiego albo, co gorsza, zrobię coś wielce niestosownego. Odciągam od siebie ręce Ingi, podchodzę do swoich ciuchów i się ubieram.

– Co robisz? – pyta Tomek.

– Pranie, kurwa. A jak ci się wydaje? – Wciążam koszulkę i rozważam, jak wrócić do domu.

Wiem, że gdybym poprosił Inge o podwózkę, zgodziłaby się bez mrugnięcia okiem, a i jeszcze czekałby mnie po drodze numerek. Ale ani myślę zostawiać tutaj Kiry samej z Tomkiem. – Podwieziesz mnie na chatę czy mam maszerować pięćdziesiąt kilosów? – rzucam do kumpla.

Tomasz wzdycha i wstaje.

– Przepraszam, nie wiem, co go ugryzło – mówi do Kiry ścisłym głosem, jakbym był jakimś niedosłyszającym imbecylem.

– Zesrało się, a nie ugryzło – rzucam. – Odwieziesz czy nie?

Kira podnosi się i całuje Tomka w policzek.

– W porządku, i na przyszłość nie słuchaj, proszę, co mówi mój brat na mój temat, okej? – Mierzwi mu włosy, a mnie machinalnie zaciskają się szczęki.

– Nie jestem twoim bratem – cedzę przez zęby.

– Według naszych rodziców jesteś – odpowiada i spogląda mi prosto w oczy. – I dla dobra nas wszystkich niech tak pozostanie.



W drodze powrotnej ustalamy z Tomkiem kwestie urlopowe. Wygląda na to, że zamkniemy klub na dwa tygodnie, bo obaj chcemy zrobić sobie wolne z początkiem lipca. Tomek wyrusza na żagle. Co roku z jego bratem cioteczynym wypożyczamy łajbę i pływamy po zatoce przez kilka dni, ale w tym sezonie odpuszczam. Już nie mogę doczekać się Grecji, kiedy popłynę motorówką wzdłuż wybrzeża wyspy, sam.

Żaden z nas nie porusza tematu Kiry. Faceci już tak mają, że nie roztrząsają tego typu spraw, nie dyskutują, nie obrażają się, nie knują. Sprawa jest prosta: Tomek ma ochotę na Kirę, a ona na niego. Nie zamierzam się wciskać na trzeciego, tym bardziej że mogę nadwyrężyć w ten sposób zaufanie Tomka. Nie warto, muszę sobie wybić tę dziewczynę z głowy.

– Podrzucić mnie do Klaudii – mówię, gdy wjeżdżamy do miasta.

Zbyt pochopnie odrzuciłem jej dzisiejszą propozycję. Laska być może smęci, za to bosko robi loda. Daję sobie rękę uciąć, że ściemniała w sprawie ciąży, żeby mnie usidlić.

– Za Trybuny w prawo? – upewnia się Tomek.

– Tak.

Wjeżdżamy w osiedle domów jednorodzinnych. To willowa dzielnica, pełna ekskluzywnych aut. Rodzice Klaudii są dobrze ustawieni. Kiedyś napomknęła, że nigdy nie mieli dla niej czasu, więc szukała ich uwagi poprzez dobre wyniki w nauce i nienaganne sprawowanie. Zawsze była grzeczną dziewczynką. Nic dziwnego, że tak łatwo mi uległa, gdy zagadałem do niej na pierwszym roku. Kilka minut rozmowy i już była cała moja.

– Który to dom? – pyta Tomek.

– Następnym po prawej... – Przerzywa mi potężny huk.

Tomasz daje po hamulcach. Momentalnie wokół nas robi się siwo, na maskę spadają kamienie przypominające gruz, wszędzie jest pełno szkła, pyłu, masakra jakaś.

– Co jest? – Rozglądamy się, ale przez ten dym nic nie widać.

Do wnętrza samochodu wpadają tumany kurzu. Otwieram drzwi i wysiadam. Serce wali mi szybko. Jestem w stanie gotowości. U moich stóp leżą szczątki ramy okiennej, porzrzucone przedmioty: garnki, potłuczone naczynia...

Słyszę kobiecy krzyk:

– To u Furmanów! Boże kochany! Wezwijcie pomoc.

Dopada mnie przyływ adrenaliny, biegnę w stronę domu Klaudii i zamieram. W miejscu dworcowej willei znajduje się gruzowisko przykryte płachtą dachu.

– Dzwon po pogotowie i straż! – wołam do Tomka, który oniemiały patrzy na ruiny.

Zakrywam nos dekoltem koszulki i biegnę w stronę bramy.

Przez głowę przelatują mi naraz setki myśli. Co się stało? Czy ktoś jest w środku? Czy to był jednorazowy wybuch?

Nie zastanawiając się sekundy dłużej, przeskakuję przez ogrodzenie. Wokół jedno wielkie gruzowisko. Budynek złożył się jak domek z kart. Szukam jakiegoś wejścia, ale wszystko jest przykryte dachem.

– Klaudia! – wołam.

Dobiegają mnie jakieś trzaski. Przystaję, a wtedy tylna strona domu z hukiem osuwa się na ziemię jak lawina. Nic nie widzę, pył drażni mi oczy i nozdrza.

– Klaudia, jesteś tam? – wołam.

Pył z gruzowiska zaczyna mnie dusić. Odkasłuję.

– Klaudia! – Rozglądam się po ogrodzie. Leżaki są puste, basen też. Podbiegam do miejsca, gdzie powinien znajdować się taras, ale w jego miejscu mieści się tylko zwalona dachówka.

Przesuwam dłonią po włosach. Nie mam pojęcia, jak się dostać do środka. Wyjmuję telefon i wybieram numer Klaudii.

Abonent ma wyłączony telefon lub jest poza zasięgiem.

Z oddali słychać sygnał straży pożarnej. Obiegam dom, przy wejściu do garażu widzę sporą szczelinę. Zaglądam do środka: siwo, nie można dostrzec niczego na wyciągnięcie dłoni.

– Klaudia, daj znać, czy mnie słyszysz? – wołam. – Jeśli mnie słyszysz, uderz w ścianę.

Kurwa, w jaką ścianę? Przecież z tego domu nie ostała się w całości żadna ściana.

I wtedy w mojej głowie rozlega się ten kurewski głos:

Ona jest trupem. To kara dla ciebie za nieposłuszeństwo. Masz robić to, co ci każę, bo będą kolejne ofiary.

Staram się go zagłuszyć.

– Daj znak, jeśli mnie słyszysz! – nawołuję.

Ogłuchłeś czy jak? Ona jest martwa. Kaput. Trup. Zabiliśmy ją, ty i ja. Dobrany z nas duet.

Zamknij się, mówię przez zęby sam do siebie, jak jakiś wariat.

O nie... Masz mnie, kurwa, słuchać, inaczej wezmę się za resztę. I to będą ofiary liczone na twoje konto, Gordianie.

Staram się zachować trzeźwość myślenia i wytłumaczyć, że ten głos to tylko moja chora psychika.

Szukam wyjaśnienia zaistniałej katastrofy. Co się, do diabła, wydarzyło?

Jak to co? – odzywa się głos. – Naprawdę się nie domyślasz? Przecież taki bystrzak z ciebie. Odkręciła kurki i bum.

Ktoś łapie mnie za ramię. Odwracam się, wykręcam mu rękę i sprowadzam go na kolana. Po chwili orientuję się, że obezwładniłem strażaka.

– Sorry. – Puszczam go.

– Proszę się stąd oddalić. Zaczynamy akcję ratowniczą. Nie ma pan odpowiedniego ubrania.

– Pierdolę ubranie. Nie możecie mi zabronić...

– Proszę nie dyskutować i pójść ze mną do radiowozu. – Słyszę czyjś głos za plecami.

Odwracam się. Policja.

Siedzimy z Tomkiem na masce jego samochodu. Jesteśmy po dmuchaniu w balonik i po wstępnym przesłuchaniu przez policję. Czekam na rozmowę z prokuraturą. Póki co odbywają się pielgrzymki sąsiadów, fotoreporterów, dziennikarzy radiowych i telewizyjnych. Wszystkich zżera ciekawość, co dokładnie się wydarzyło.

Ekipa ratunkowo-poszukiwawcza z psami odgruzowuje dom Klaudii. Jej rodzice siedzą na krawężniku – matka płacze, ojciec dyryguje, jakby to miało pomóc uratować jego córkę. Nie pomagają, tylko wkurwiają strażaków.

Tomek śledzi w telefonie wpisy pojawiające się w lokalnej prasie.

– Piszą, że najprawdopodobniej był to wybuch gazu i że pod gruzami znajduje się dwudziestoczteroletnia dziewczyna – relacjonuje.

– Wiadomości wyssane z palca. Niby skąd tak szybko mają podobne informacje? Jesteśmy od początku na miejscu, a nic nie wiemy.

– Pewnie ktoś z sąsiadów chciał dorobić i udzielił im wywiadu.

– Wyłącz to gównem.

Czuję się, jakbym miał wór kamieni w żołądku. Serce mi wali. Jestem w stanie gołymi rękoma wydobyć tę dziewczynę spod gruzów, ale policja nie pozwala mi wejść na teren posesji.

Klaudia, kurwa mać...

Na samą myśl o tym, że tak miałyby się skończyć nasza znajomość, trafia mnie szlag. Czuję się jak złamany kutas, choć sam nie wiem dlaczego. Przecież to mógł być wypadek. Staram się nie myśleć o tym, że ona faktycznie mogła się zabić przeze mnie. Ale to nie daje mi spokoju.

I słusznie, bo to twoja wina. Zabijeś ich – swojego ojca i tę dziewczynę.

Pieprzony głos! Jestem pewien, że to jakiś podświadomy wyrzut sumienia, że on nie jest prawdziwy.

Zanurzam palce we włosach, jakbym chciał je wyrwać. Jak się go pozbyć, jak wyrzucić go z głowy?

Słysząc poruszenie na miejscu katastrofy. Psy szczekają, męskie głosy są podniesione. Znaleźli ją!

Ratownik z lekarzem z karetki ustawionej przed domem wbiegają na podwórze.

Zeskakuję z maski, podążam w kierunku ogrodzenia. Jestem najbliżej, jak tylko można być. Czterech mężczyzn wyciąga ciało spod gruzów. To Klaudia w kostiumie kąpielowym, brudna, poraniona, ze splątanymi włosami. Lśniący blond przykryła warstwa szarego pyłu.

Kładą ją na trawie i reanimują. W ruch idzie defibrylator.

Matka Klaudii wpada w histerię. Dwóch policjantów musi ją trzymać, żeby nie przeszkodziła w resuscytacji.

Zgromadzeni patrzą na całą akcję w zamarcu. Ekipa ratunkowa siada na gruzach, psy warują u ich stóp wyczekiwaniu.

Nie wiem, ile czasu mija, może z piętnaście minut, zanim lekarz kręci głową z rezygnacją. Ratownik medyczny odchodzi w stronę karetki i po chwili wraca z czarnym workiem na zwłoki.

Zapada cisza. Słysząc wyłącznie śpiew ptaków, który brzmi niczym żałobna pieśń.

Krew odpływa mi z twarzy. Nie wiem, co ze sobą zrobić.

Kurwa, to się nie dzieje naprawdę.



Po powrocie do domu łykam tabletki na głowę, ale nie pomagają. Wychodzę. Biegam po lesie przez dwie godziny i w ogóle nie jest mi lepiej. Raz po raz dzwonią do mnie Tomasz i mama. Nie odbieram.

Nie mam pojęcia, jak sobie poradzić z uczuciami. Nie wiem nawet, jak je nazwać. Śmierć Klaudii jest jedną z najbezsensowniejszych rzeczy, jakie wydarzyły się w moim życiu. Ostatni raz czułem się podobnie, kiedy ojciec wybił mamie dwa przednie zęby, tak że musiała wziąć urlop w pracy na dwa tygodnie. Nie rozumiałem wtedy, dlaczego spotyka nas tyle nienawiści z jego strony, dlaczego robi mamie krzywdę, skoro tak często zapewniał ją o swojej miłości.

Gdy dorosłem, nie doszukiwałem się już dłużej sensu w jego postępowaniu. Przyjąłem do wiadomości, że mój ojciec jest złamanym chujem i nigdy się nie zmieni. I dopóki ja nie zrobię z nim porządku, dopóty będzie znęcał się nad mamą.

Wchodzę do mieszkania umęczony, ale nie rozładowany. Otwieram szafkę ze słodyczami i zjadam na raz całą tabliczkę czekolady.

Nie rozumiem kolesi będących na ciągłej diecie. Pieprzeni modele. Piją jakieś gówna, mikstury z sokowirówki, jedzą tyle, co pierdolony wróbelek, pakują codziennie na siłce, żeby wyglądać jak twardziele z okładek pism dla facetów. Koczkodany. Wyrzucają ful kasy na karnety wyłącznie po to, by wyrzeźbić ciało, które będzie się podobać laskom.

Mydlenie oczu. Większym szacunkiem darzę kolesia kopiającego rowy pod autostradę w trzydziestostopniowym upale, przez co ma mięśnie twarde jak Achilles.

Swoją drogą, kiedyś, i mam tu na myśli odległe czasy przed cywilizacją, mężczyźni nie musieli ćwiczyć, brać odżywek i stosować diet, by posiadać umięśnione ciało. Wystarczyło, że żyli: zdobywali pożywienie, szukali schronienia, dbali o rodziny. Ciągły ruch i wysiłek fizyczny utrzymywały ich w doskonałej formie. A teraz siedzą chłopcy za biurkiem, żrą na lunch pizzę i popijają colą, ruchu tyle, co przejdą od auta do garażu, piweczko wieczorem na odstresowanie... I na biodrach opona rośnie jak do tira, wątroba otłuszczona, chuj nie staje, a po pięćdziesiątce zawał.

Z tą myślą zalegam przed telewizorem. Przelatuję po kanałach, nic mnie nie ciekawi. Włączam pornola, jednego, drugiego, trzeciego – kutas ani drgnie. W głowie słyszę głos: *zwal sobie, ulżyj, odreaguj.*

Zamykam oczy, widzę zwłoki Klaudii. Ja pierdolę!

Olej ją, to była zwykła dziewczucha, których możesz mieć na pęczki. Jedyne, co masz robić, to mnie słuchać.

Wyłączam telewizor i wpatruję się w sufit. Łeb mi chce rozwalić, serce wali ogłuszająco.

Do moich uszu dobiega dzwonek domofonu. Zakrywam się poduszką, ale ten dzwoni nieustannie. Normalnie chyba zaraz kogoś zajebię. Podchodzę do słuchawki i wtedy rozlega się pukanie do drzwi.

– Gordianie, tu Serafin. Wiem, że jesteś w domu, bo w oknie pali się światło.

Jeszcze jego mi tu brakowało. Ze względu na szacunek, jakim go darzę, zamierzam mu otworzyć. Nie będę jednak z nim gadał, spławię go jak najszybciej.

– Co tam? Właśnie miałem się położyć. – Otwieram drzwi.

Serafin stoi w progu, potargany, z miną zbitego psa. Oczy ma przekrwione.

– Dziękuję, mogę wejść na chwilę? – pyta zgaszonym głosem.

– To coś ważnego? Jestem skonany.

– Rozumiem, ale musimy porozmawiać. Chodzi o twoją matkę.

Przez moment serce mi zamiera i od razu karcę się w myślach, że nie odebrałem od niej telefonu.

– Wszystko w porządku? – Wpuszczam go.

– Lepiej usiądźmy.

Idę do pokoju na miękkich nogach. Staram się uspokoić, bo przecież nie mogło jej się stać nic poważnego. Dwa nieszczęścia w przeciągu doby to nawet na polskie kino dramatyczne za wiele.

Serafin siada na kanapie i zanurza dłonie we włosach.

Przestępuję z nogi na nogę.

– Co jest? – pytam go, a wtedy on podnosi na mnie wzrok.

– Musisz się zgodzić na te wakacje w Grecji.

Momentalnie odczuwam ulgę. Pojebało go czy co? Robić taki teatrzyk z powodu głupiego wyjazdu.

– Nic nie muszę. Jeśli po to przyszedłeś, to sorry, ale nie mam nastroju myśleć o urlopie. Dzisiaj zmarła moja znajoma.

Serafin wygląda na zaskoczonego.

– Kira nic ci nie mówiła? – upewniam się, bo jestem niemal pewien, że Tomasz z nią rozmawiał.

Serafin kręci głową.

– Nic nie wiem. Całe popołudnie spędziłem w szpitalu.

– Jakim szpitalu?

Serafin przesuwa dłońmi po twarzy. Jego usta wykrzywia grymas. Wygląda, jakby miał się zaraz rozryczeć.

– Po co byłeś w szpitalu? – Puls mi przyspiesza. – Coś się stało mamie?

Serafin patrzy mi prosto w oczy, a ja dostrzegam rozpacz w jego spojrzeniu.

– Ona jest chora, Gordianie.

Krew szumi w skroniach, serce traci rytm.

– Gdzie leży? Muszę do niej jechać. – Rozglądam się za kluczykami, dokumentami, komórką.

Czuję jego dotyk na ramieniu.

– Jest już w domu – uspokaja mnie.

– W domu – powtarzam. – Czyli to nic poważnego?

Kręci głową.

– Lekarze rozpoznali u niej stwardnienie rozsiane. Jest w trakcie terapii lekowej.

Muszę usiąść.

– Stwardnienie rozsiane? – Patrzę na niego z niedowierzaniem. – Przecież mama jest sprawna, pracuje, zajmuje się domem, chodzi na zakupy. Nigdy nic nie mówiła...

– Bo nie sądziła, że to coś poważnego. Nie chciała nas martwić. – Serafin siada obok mnie na kanapie. – Zaczęło się od ciągłego zmęczenia, później miała zaburzenia widzenia. Gdy miesiąc temu straciła równowagę i się przewróciła, wezwałem karetkę. Początkowo sądzili, że to udar. Zrobili jej badania i zdiagnozowali SM o późnym początku.

– I nic mi nie powiedzieliście!?! – Jestem na granicy wybuchu. – Nawet nie wiedziałem, że była w szpitalu! – Wstaję, muszę chodzić.

– Mama nie chciała zawracać ci głowy przed sesją...

– Zawracać głowy?! Czy was już totalnie pojebało?! Przecież to moja matka, kurwa! – Łapię szklankę z ławy i rzucam nią w ścianę.

– Gordianie, uspokój się, to nic nie da...

– Powinieneś był mi powiedzieć! – Wymierzam w niego palec. Mam ochotę sprać mu mordę. – Gdybym tylko wiedział, że mama jest chora...

– To co byś zrobił? – Serafin przechyla głowę.

– Mógłbym jej jakoś pomóc. Spędzać z nią więcej czasu.

– Masz teraz ku temu okazję – odpowiada. – Zabierz ją do Grecji, ona bardzo tego potrzebuje.

Staram się uspokoić oddech, myśleć racjonalnie, ale każdy nerw mojego ciała jest tak pobudzony, że mam ochotę wypierdolić kanapę razem z Serafinem przez okno.

– Twoja matka potrzebuje teraz kilku dni, żeby dojść do siebie po rzucie – mówi Serafin. – Straciła na kilka godzin czucie w rękach, stąd nasza dzisiejsza wizyta w szpitalu. Nie wiemy, co będzie dalej, ta choroba jest nieprzewidywalna. Mamy jednak nadzieję, że tak jak ostatnio, ponownie wejdzie w stan remisji.

– Czyli mamy udawać, że wszystko jest dobrze i czekać na kolejny rzut?

– Raczej cieszyć się dniem codziennym. Twoja mama ma teraz lekki niedowład lewej ręki, ale sobie radzi. Powinna nadal zażywać dotychczasowe leki, prowadzić zdrowy styl życia. Spacerować, pływać, jeździć na rowerze, jeść świeże owoce i warzywa. Ten wyjazd może jej naprawdę wiele dać...

– Ale to nie zmienia faktu, że prędzej czy później wyląduje na wózku inwalidzkim.

– Naukowcy cały czas pracują nad lekami...

– Jeśli już nawet ktoś wynajdzie lek, w pierwszej kolejności dostanie go ten, którego na niego stać.

– Niewykluczone, jednak musimy mieć nadzieję.

Przesuwam dłońmi po twarzy, jest mi niedobrze. Najpierw Klaudia, teraz mama... Co za piekielny dzień.

A wszystko przez to, że mnie nie słuchasz... – rozlega się wkurwiający głos w głowie.

Wychodzę bez słowa z pokoju, idę do kuchni i biorę dwie tabletki od ciotki Tomka. Muszę się ogarnąć, bo trafię do czubków. A wtedy już na pewno nie pomogę mamie. Obmywam twarz zimną wodą z kranu.

Popierdoliło się na maksa, ale nie w takim gównie już byłem.

Wracam i stoję w progu pokoju. Serafin wpatruje się w okno niewidzącym wzrokiem.

– Zabiorę ją do Grecji na trzy tygodnie – mówię. – Pojedziemy sami. Bez ciebie i twojej córki.

Serafin początkowo marszczy czoło, jakby chciał zaprotestować, jednak po chwili przyryka powieki i mówi:

– Rozumiem. Niech tak będzie.



Boże, jaka moja matka jest uparta. Patrzę na nią i żal mi serce ściska, że dopadło ją tak podłe choróbko. Ale ona wcale nie zachowuje się jak chora.

– Albo pojedziemy z Serafinem, albo wcale. – Zakłada ręce na piersi. – To mój mąż, ostoja, osoba, na której mogę polegać. Nie chcę się z nim rozstawać na trzy tygodnie.

Wywracam oczami. W sumie gdyby mama miała kolejny rzut, przydałaby się dodatkowa osoba. Wolę jednak nawet nie myśleć o tym, że miałby on nastąpić.

– Okej. Czyli rezerwuję samolot na trzy osoby – odpowiadam.

– Jakie trzy? Na cztery. Kira też jedzie.

– Nie, nie jedzie. – Zaciskam szczęki.

Nie chcę, żeby jechała. To ma być czas spędzony z mamą, a znając mojego kutasa, nie będzie marzył o niczym innym jak o tym, by dorwać się Kirze do majtek.

– Synku, przecież jej tu samej nie zostawimy.

– Nie będzie sama. Ma Tomasza. – Podchodzę do lodówki i wyciągam tiramisu. – Jest pełnoletnia, da sobie radę. – Zaczynam jeść ciasto łyżką.

– Przyjechała do taty, żeby spędzić z nim wakacje. Nie możemy jej tu zostawić. Będzie jej przykro. – Mama nalewa mi lemoniady i podaje szklankę lewą ręką. Jej dłoń drży, a napój wylewa się na stół.

– Ale ze mnie niezgara. – Z zażenowaniem wyciera plamę szmatką.

Żal patrzeć. Nie powinienem się z nią sprzeczać. Tylko jak mam jej delikatnie wytłumaczyć, że obecność Kiry jest wielce niewskazana podczas rodzinnych wakacji?

Kończę ciasto i wypijam duszkiem lemoniadę.

– Muszę iść na trening. Dokończymy tę rozmowę później. – Wstaję od stołu, a mama razem ze mną. Podchodzi do mnie i obejmuje mnie mocno.

– Syneczku, wiem, że jesteś dobrym dzieckiem i nie masz nic przeciwko tej dziewczynie. – Zagląda mi w oczy, a ja czuję się przez chwilę tak, jakbym znowu miał sześć lat i był całkowicie zależny od rodziców.

– Po prostu nie uważam, żeby jej obecność była konieczna – wyjaśniam stanowczo.

– Jest konieczna. – Mama nie ustępuje. – To jest najbliższa rodzina Serafina, a on jest moim mężem. Chcę, żebyśmy pojechali tam wszyscy razem. Zrób to dla mnie, proszę, i kup bilety dla całej naszej czwórki, dobrze?

Widzę po jej oczach, że naprawdę bardzo jej zależy. Mama rzadko mnie o coś prosi. Zawsze była samodzielna, nigdy się nie skarżyła, nawet gdy ojciec tłukł ją do nieprzytomności. Wtedy nie potrafiłem jej pomóc – byłem gówniarzem, pod względem siły nie dorastałem ojcu do pięt.

Ale w końcu zrobiłem to, co powinien uczynić porządny syn dla matki – uwolniłem ją od tego tyrana. Popełniłem najcięższą ze zbrodni – odebrałem mu życie, by mama mogła zacząć żyć normalnie. Równie dobrze mogę więc zabukować te pieprzone cztery bilety i przez trzy tygodnie trzymać kutasa na

smyczy. Oczywiście tylko w obecności Kiry, bo za cholere nie odmowie sobie dobrego seksu na greckiej ziemi.



Po upalnej końcówce czerwca i początku lipca temperatura spadła nagle prawie o dziesięć stopni, a niebo zasnuło się szarą płachtą na dobre. Ostatnie czternaście dni, wypełnione ciągłym deszczem i wiatrem, utwierdziły mnie tylko w przekonaniu, że Polska nie jest krajem dla mnie. Zdejmuję w samolocie kurtkę i uśmiecham się sam do siebie na myśl o tym, że nie zobaczę tej przeciwdeszczowej szmaty przez najbliższe trzy tygodnie.

Mam miejsce przy oknie, obok mnie siedzi Kira, a przy przejściu mama.

Krople tak walą o szyby, że ledwo widać lotnisko. Siedzimy w milczeniu, podczas gdy samolot jedzie powoli na pas startowy. Całkiem ładna stewardessa instruuje, gdzie są wyjścia ewakuacyjne, jak założyć kamizelkę. Zerkam na mamę, jest spięta. Zastanawiam się, czy stres związany z lataniem może spowodować u niej rzut.

– To tylko dwie godziny lotu – uspokajam, wychylając się w jej stronę.

Mama przymyka jedynie powieki. Serafin siedzący po drugiej stronie przejścia wyciąga do niej rękę. Splatają dłonie, a na twarzy mamy pojawia się wyraz ulgi i lekki uśmiech.

Przenoszę wzrok na Kirę. Siedzi sztywno, wpatruje się w stewardessę. Jej pierś faluje. Ma boski biust. Nie za mały, nie za duży. Lubię, jak cycek mieści się w dłoni, a coś mi się zdaje, że jej idealnie wpasowałby się w moją.

– Chyba się nie boisz? – odzywam się, sam nie wiedząc dlaczego.

– Nie. – Sięga po instrukcję umieszczoną w kieszeni fotela przed nią.

– To po cholere zamierzasz to czytać?

– Żeby wiedzieć, co zrobić na wypadek katastrofy.

– Prawdopodobieństwo śmierci w wypadku lotniczym wynosi jeden do dwudziestu dziewięciu milionów.

– Nie wierzę w statystyki – odpowiada i śledzi wzrokiem obrazki na karcie. – Lepiej być przygotowanym na najgorsze.

Unoszę brew.

– Nie wiedziałem, że jesteś czarnowidzką.

– Jestem realistką i lubię mieć kontrolę nad swoim życiem.

– Większe są szanse, że stracisz je w wypadku samochodowym ze swoim chłopakiem niż podczas tego lotu.

– Co? – Podnosi na mnie wzrok.

– To, że Tomek jeździ jak debil. Prędzej wjedzie na słup stojący przy prostej drodze, niż ten samolot się rozbije.

– Tomek nie jest moim chłopakiem, przyjaźnimy się. I w moim odczuciu jeździ całkiem dobrze.

– To masz coś z czuciem. Poza tym z tego, co wiem, przyjaciele raczej się nie całują.

Kira odkłada kartę na miejsce i obraca się nieznacznie w moją stronę.

– Pocałowałam go raz i dobrze wiesz dlaczego.

– Wiem? – Unoszę brwi.

Patrzmy sobie w oczy, między nami wzmagą się napięcie.

Rozlega się potrójny sygnał dźwiękowy. Samolot zaczyna przyspieszać. Oczy Kiry się rozszerzają. Łapie za podłokietniki i zaciska na nich dłonie. Siła bezwładności wbija nas w fotele. Kira opiera głowę o oparcie, zamyka oczy.

Pędzimy ze trzysta kilometrów na godzinę. Uwielbiam to uczucie, prędkość, adrenalinę krążącą w żyłach.

Zerkam na Kirę. Jest zdenerwowana, ma zaciśnięte powieki, rozchylone usta, oddycha szybko.

– Nie pękaj, Cyrus. Przecież twarda z ciebie sztuka. – Odruchowo kładę dłoń na jej dłoni, a wtedy ona ściska moje palce.

Puls mi przyspiesza. Patrzę na nasze ręce, podczas gdy samolot odrywa się od ziemi.

Kilka minut później, kiedy wznosimy się nad ciemnymi chmurami i gaśnie sygnalizator pasów, Kira bez słowa wysuwa dłoń spod mojej.

A ja myślę tylko o tym, żeby zamówić wódkę z colą i porządnie się urząnąć. Nie zniosę na trzeźwo dwugodzinnego lotu w jej towarzystwie.



Gdy tylko lądujemy, dostaję informację o trzech nieodebranych połączeniach od prokuratora. Rozmawiałem z nim dwa dni po wypadku i od tego czasu była cisza. Oddzwaniam, kiedy czekamy na bagaż.

– Dzwonił pan do mnie – zaczynam, śledząc wzrokiem taśmę z walizkami.

– Tak, czy może pan podjechać jutro na dziewiątą do prokuratury?

– Nie da rady. Jestem za granicą, na urlopie. – Podkreślam ostatnie zdanie.

– To niedobrze. Chciałbym jeszcze zadać panu kilka pytań.

– Na temat?

– Pana relacji z ofiarą.

– Wydawało mi się, że jasno panu przedstawiłem, jak wyglądały moje relacje z Klaudią – odpowiadam. – Spotykaliśmy się czasami, studiowaliśmy razem...

– Tak, niemniej chciałbym jeszcze doprecyzować kilka kwestii, które wyniknęły po sekcji zwłok i analizie danych z telefonu komórkowego, które udało nam się odzyskać.

Czuję, że robi mi się gorąco.

– To będzie musiało poczekać. Wracam za trzy tygodnie.

– To nie może tyle czekać.

Zaczynam się gotować.

– W takim razie proszę wysłać list ze szczegółami, gdzie i kiedy powinienem się zgłosić jako świadek. Jednak zastrzegam, że odbiorę korespondencję dopiero po powrocie.

– Chyba się nie zrozumieliśmy – odpowiada już nieco ostrzej. – Wezwanie będzie najpewniej w charakterze oskarżonego, dlatego na wszelki wypadek proszę o podanie pana aktualnego adresu pobytu. W razie konieczności wystosuję odpowiednie pismo.

Kurwa mać. Zaciskam szczęki, podaję mu adres babci i się rozłączam.

I już mam spierdolony humor. Pocięszam się jednak, że gdyby prokurator miał konkretne dowody przeciw mnie, ta rozmowa przebiegałaby inaczej. Szuka dziury w całym, bo byłem wcześniej skazany. A niech sobie szuka, i tak się nie doszuka.



Z lotniska odbiera nas kuzyn Aris, najmłodszy syn mojego wuja – brata ojca. Jego stary, niebieski pikap jest tak brzydki, aż piękny. Mama z Kirą siadają z przodu, a my z Serafinem i bagażami pakujemy się na skrzynię ładunkową, w której jest pełno narzędzi. Wujek Pavlos prowadzi gospodarstwo rolne. Wieczorami pomaga mu trzech synów. W ciągu dnia Aris jest sprzedawcą na straganie z pamiątkami, starszy brat – Dimos – wypożycza skutery, a najstarszy – Giorgos – sprzedaje lokalne wycieczki. Jednym zdaniem wszyscy trzej naciągają turystów na kasę, zwłaszcza turystki, które lgną do nich jak ćmy do światła.

Zakładam czapkę z daszkiem, okulary przeciwsłoneczne, wyciągam nogi i wystawiam twarz do słońca. Brakowało mi tego ciepła, zapachu morza, odgłosu cykad i nawet tego pieprzonego trąbienia co pięć minut. Grecy trąbią inaczej niż Polacy. Ich krótkie *bip* brzmi lekko, pokojowo. W Polsce kierowcy nawalają w klakson, jakby zamierzali komuś rozjechać bębenki i dożywotnio uszkodzić słuch.

Mijamy pola winorośli, gaje oliwne, opuszczone chałupy z kamienia, zamieszkałe, choć niedokończone domy, z których stropów od kilkunastu lat sterczą zardzewiałe zbrojenia.

W przeciągu ostatnich kilku lat wyspa rozwinęła się pod względem turystycznym, i dobrze, bo kryzys grecki dał moim rodakom popalić. Teraz utrzymują się głównie z turystyki. Tym bardziej że trzy lata temu dokończono wreszcie budowę lotniska, dzięki czemu odwiedzają wyspę nadziani turyści z Europy Zachodniej. Wcześniej można tu było dostać się tylko łodziami.

– Ale tu spokój, jak na wsi – mówi Serafin.

– Bo to jest wieś. Na wyspie jest jedno miasto, stolica, dwadzieścia kilometrów w głąb lądu. Reszta zamieszkałych obszarów to wioski, z kozami, polami, gajami oliwnymi, drzewami cytrynowymi...

– Pięknie i swojsko – odpowiada.

– Mój raj.

Mijamy różowe żywopłoty z oleandrów rosnące wzdłuż drogi. Tuż za nimi pasą się osły.

– Sądziłem, że lubisz miasto – odzywa się Serafin.

– Mieszkam w nim, bo nie mam za dużego wyboru – odpowiadam. – Urodziłem się w mieście, wychowałem, wykształciłem. Miasto daje mi pracę.

– Tutaj też mógłbyś pracować i żyć – odpowiada.

Jakbym na to nie wpadł już dziesięć lat temu.

– I zamierzam, ale najpierw muszę się dorobić. Nie dam rady utrzymać z tutejszych zarobków siebie i mamy.

Serafin ściąga brwi.

– Mamy?

– Nie zostawię jej samej po tym, co przeszła. I teraz jeszcze to jebane SM. – Kręcę głową.

– Poczekaj. – Serafin przysuwa się do mnie, jakby zupełnie nie ogarniał, co do niego mówię. – Przecież twoja mama jest moją żoną. Ja się nią zajmę.

– Mhm. Wiem, że ją kochasz. Tamten gnój też mówił, że ją kocha, a swoje robił. – Na samo wspomnienie ojca chce mi się rzygać.

– Jesteś bardzo niesprawiedliwy, Gordianie – stwierdza Serafin. Słyszę rozzalenie w jego głosie.

– Wiem – odpowiadam. – Ale tak właśnie myślę.

I nic na to nie poradzę. Jestem jak skopany i porzucony w lesie pies. Nawet przed nowym właścicielem o złotym sercu będzie podkulał ogon w obawie przed tym, że wydarzy się ponownie to, co go już spotkało.

Matka to najbliższa mi osoba. Urodziła mnie, wykarmiła, wychowała, pomagała się uczyć, spełniać marzenia, tuliła mnie, gdy się bałem, i dbała o mnie zawsze najlepiej, jak potrafiła. Jedyne, co mogę jej zarzucić, to brak odwagi, by porzucić mojego ojca i wynieść się na drugi koniec świata. Chociaż nikt nie wie, co ten nie zrównoważony despota mógłby nam zrobić, gdyby nas tam znalazł.

Nigdy nie zostawię jej samej. Będę zawsze w pobliżu, na wypadek gdyby mnie potrzebowała. Bo żaden facet, nawet taki pocziwina jak Serafin, nie zdobędzie nigdy w pełni mojego zaufania. Ludzie są nieobliczalni, nie wiesz, co komu strzeli do łba.

Diabeł nigdy nie śpi.



Babcia Kalista wita mnie z szeroko otwartymi ramionami.

– Mój wnusiu kochany! – Ma w oczach łzy. – Jakiś ty dorosły, przystojny, taki podobny do ojca.

Przytulam ją i staram się wyzbyć tego podłego uczucia, które właśnie mnie ogarnia. Nie znoszę, gdy ktoś porównuje mnie do ojca. Niestety genów się nie oszuka. Mam świadomość tego, że fizycznie przypominam ojca z czasów jego młodości.

– Wiesz, że nie lubię, kiedy mnie do niego porównujesz – odpowiadam najłagodniej, jak mogę, żeby nie sprawić jej przykrości.

– Wybacz mi. Po prostu tęsknię za moim synkiem. Niezależnie od tego, jakim był człowiekiem, zawsze będę go kochać. Matki tak już mają. – Przytula mnie ponownie.

Nigdy nie musiałem jej uświadamiać, jakim tyranem był jej syn. Myślę, że doskonale to wiedziała. Po jego pogrzebie trochę rozmawialiśmy. I chociaż Kalista próbowała go usprawiedliwiać, jej argumenty do mnie nie przemawiały. Podobno mój dziadek był od niego gorszy. Zdaniem babci to przez niego ojciec miał w sobie tyle agresji, z którą nie potrafił sobie radzić. Oszczędziła mi szczegółów. Wystarczyło, że gdy wspomniała o trudnym charakterze dziadka, w jej oczach błysnął lęk, który nieraz widziałem u mamy. Nie musiałem wiedzieć nic więcej, by się domyślić, że też był z niego kawał skurwysyna.

Reszta rodziny wita się z babcią i wchodzimy do domu składającego się z kuchni, łazienki, salonu, czyli inaczej dużego pokoju, oraz dwóch mniejszych pokoi. W jednym z nich wychowali się mój ojciec i wuj. W drugim była niegdyś sypialnia dziadków, teraz śpi tam tylko babcia.

– Naszykowałam dla was moją sypialenkę – babcia zwraca się po grecku do mamy. Mama rozumie ten język.

Podejrzewam, że Serafin i Kira nie znają go w ogóle.

– Dziękuję, ale nie trzeba było. Zadowolilibyśmy się kanapą w salonie – odpowiada mama.

Babcia zbywa ją machnięciem ręki.

– Nie ma mowy. Rozpakujcie się, za pół godziny będzie obiad – mówi zdecydowanym głosem.

Mama chyba nie zamierza jej urazić, bo razem z Serafinem zabierają bagaże i idą do sypialni.

– Ty i Kira będziecie spać w pokoju po twoim ojcu i wuju – zwraca się do mnie Kalista. – Są tam dwa łóżka, powinno wam być wygodnie.

Przesuwam dłonią po włosach i patrzę na Kirę.

– Co? – pyta mnie, zapewne nie rozumiejąc ani słowa z tego, co powiedziała babcia. Wygląda na spiętą.

– Nic – odpowiadam i zwracam się do Kalisty: – A nie dałoby rady, żebyś ty z nią spała, babciu? Ja zajmę miejsce w salonie.

Babcia patrzy na mnie przenikliwym wzrokiem.

– Nie lubisz jej?

– Nie o to chodzi – odpowiadam.

- Czyli ją lubisz – mówi znacząco.
- To trochę bardziej skomplikowane.
- To znaczy? – Przechyliła głowę.

Wiem, że będzie drażyć temat, dopóki się nie dowie, o co chodzi. Jest cholernie dociekliwa. Ale co mam jej niby powiedzieć, że nie utrzymam kutasa w bokserkach, gdy Kira będzie się wiercić w łóżku dwa metry ode mnie?

– Nie chcę, żeby czuła się niekomfortowo – odpowiadam, jak przystało na dżentelmena, którym stanowczo nie jestem.

– Mój wnusiu. – Babcia klepie mnie po policzku. – Chodź ze mną, dziecko. – Łapie Kirę pod rękę i idą do małego pokoju.

Mimowolnie gapię się na tyłek Kiry w opiętych szortach. I jak ja mam się, kurwa, zrelaksować w takich warunkach przez trzy tygodnie?

Bez dwóch zdań muszę kogoś poszukać, żeby sobie ulżyć.



Po rozpakowaniu bagaży mama z Serafinem idą nad morze oddalone od domu babci o trzy kilometry.

Siadam na ganku, wyciągam nogi, wdycham głęboko powietrze. Jest cicho, ciepło, sucho, od morza wieje lekki wiatr. Jest tak, jak lubię.

– Cześć. – Słyszę głos Kiry i podnoszę na nią wzrok. Włosy zaplecione w warkocze upięła wysoko.

– Cześć – odpowiadam.

– Zrobiłam nam mrożoną kawę. – Stawia przede mną szklankę.

– Nie pijam kawy o tej porze – odpowiadam.

– Trudno. Wypiję dwie. – Siada na ławce obok mnie. – Ja bez kawy jestem jak panda.

Zerkam znacząco na jej zgrabne uda.

– Raczej nie przypominasz misia.

Wywraca oczami.

– Chodziło mi o ospałość. Mam niskie ciśnienie. Ratują mnie tylko treningi i kawa. – Wkłada słomkę do buzi i syczy napój.

Patrę na rurkę w jej ustach i wyobraźnia zaczyna mi pracować.

– Co? – Kira zerka na mnie pytająco. – Jestem gdzieś brudna? – Wyciera się.

– Nie.

– To czemu się tak dziwnie patrzysz?

– Skąd wzięłaś tę słomkę?

Chwyta ją wargami i upija kolejny łyk.

Kurwa, czy ona robi to specjalnie?

– Rozdawali w samolocie – odpowiada powoli. – A jest z nią coś nie tak?

– Gdy trzymasz ją w ustach, mam ochotę, żebyś zrobiła mi loda.

Kira się krztusi. Oblewa sobie kawą bluzkę. Nachylam się i klepię ją w plecy.

– Nie mów, że jesteś zaskoczona – dodaję.

Zerka na mnie wymownie, nie przestając kaszleć.

– Przyniosę ci wody i jakiś ręcznik – mówię i idę do kuchni.

Czuję, jak jaja mi pulsują. Nalewam wody do szklanki i wrzucam trzy kostki lodu z zamrażalnika. Powinienem zrobić sobie z nich okład na jądra. Nie pieprzyłem żadnej laski od dwóch tygodni. Przez tę całą sprawę z Klaudią, załatwianiem wyjazdu, urlopów, dyżurów w klubie i szykowaniem się do podróży nawet nie miałem czasu i ochoty na seks. Teraz, gdy wreszcie jestem wyluzowany, w ukochanej Grecji, z chęcią bym sobie ulżył. Nic dziwnego, że taka pierdoła jak picie kawy przez słomkę mnie podnieciła. Szkoda, że Kira jeszcze nie zaczęła jeść banana.

Wychodzę na ganek i podaję jej wodę. W drugiej ręce trzymam ręcznik papierowy.

– Dzięki. – Odchrząkuje i upija łyk.

Spuszczam wzrok na jej dekolt i momentalnie mi staje. Mokra koszulka przykleiła się do nagich piersi. Gapię się jak debil na jej sutki: nieduże, kształtne i sterczące.

Kira, marszcząc brwi, podąża za moim wzrokiem...

– Ja pieprzę! – Odstawia wodę, wrywa mi z rąk ręcznik i zakrywa nim biust.

– Czytasz w moich myślach. – Pochwytnię jej spojrzenie i uśmiecham się znacząco.

– Jezu, ty naprawdę myślisz tylko o jedynym. – Wyciera bluzkę.

– Nie tylko. Chociaż lubię o tym myśleć, a jeszcze bardziej to robić. I nic na to nie poradzę, że tak na mnie działasz. To jest silniejsze ode mnie. – Patrzę na stojącego na baczność fiuta.

Kira zerka na moje krocze. Mój rozmiar w ogóle nie robi na niej wrażenia.

– To bez sensu – mówi. – Idę się przebrać. – Wymija mnie i wchodzi do domu.

Przez resztę wieczoru chodzi zamyślona i traktuje mnie jak powietrze.

Podczas kolacji mama z Serafinem gruchają jak zakochane gołąbki, snując plany na jutrzejszy dzień.

– A może po prostu pobyczymy się na plaży? – Mama kładzie mu głowę na ramieniu. – Mam ciekawą książkę, zaczęłam czytać w samolocie i już nie mogę się doczekać na ciąg dalszy.

– Na co tylko masz ochotę, kochanie. – Serafin całuje ją w czoło.

Patrzę na babcię i zastanawiam się, co czuje. Czy nie przeszkadza jej, że żona jej syna jest teraz żoną innego mężczyzny? Czy nie smuci jej, że jesteśmy tutaj razem, jemy sobie kolację w jej domu, a jej syna z nami nie ma?

I już nigdy nie będzie, bo go zabiłeś – odzywa się drwiący głos w mojej głowie. Zerkam na zegarek. Jebany, ma wycucie czasu. Pora na psychotropa.

Tomasz załatwił mi coś nowego od ciotki. Biorę to od wypadku u Klaudii i muszę stwierdzić, że jest poprawa. Wciąż słyszę głos, ale rzadziej, i nie męczą mnie tak często koszmary. Chociaż idealnie nie jest.

Pomagam sprzątać po kolacji. Babcia znosi naczynia ze stołu, Kira zmywa, a ja wycieram.

– Idę podlać ogródek – mówi Kalista i wkłada ostatni talerz do zlewu. – Gordi, gdybyś potrzebował suchej szmatki, to są w szafce pod telewizorem.

– Dobrze, babciu. – Daje mi całusa w policzek i wychodzi.

Przez kolejne minuty Kira i ja milczymy. Słysząc jedynie plusk wody i brzdęk odkładanych naczyń.

Nie przeszkadza mi ta cisza między nami. Nie jestem rozmowny, a gadanie innych ludzi mnie męczy. Kira również nie wygląda na skrępowaną naszym milczeniem.

Podejrzewam jednak, że ma mi za złe tamten tekst. Trudno. Nie będę za nic przeproszał, no może oprócz plamy po kawie, bo w sumie gdybym nie powiedział wprost, co myślę, Kira by się nie oblała.

– Plama zeszła bez problemu? – zaczynam rozmowę.

– Pytasz mnie o plamę na koszulce?

– Tak.

– Zeszła. Ale na przyszłość nie rzucaj takich zbereźnych tekstów, kiedy piję, okej?

– Zbereźnych? – śmieję się. – Gdy zobaczyłem cię pierwszy raz, chciałem wylizać twój piękny tyłek i porządnie cię wypieprzyć. To jest zbereźny tekst.

Słysząc brzdęk.

– Jasna cholera! – Kira podnosi dłoń, leci jej krew.

Dotykam jej ręki.

– Rozcięta – mówię.

– No patrz. A ja sądziłam, że dostałam okresu.

Sięgam po spirytus i gazę, i polewam wnętrze dłoni. Kira zaciska na moment zęby, ale nawet nie syknie.

– Boli? – pytam, chociaż wiem, że musi boleć. To dosyć głębokie rozcięcie.

– Trochę piecze – odpowiada.

– Usiądź, zabandażuję.

Siada bez słowa. Widzę po jej minie, że jest wkurzona. Przez kilka dni nie będzie mogła ćwiczyć

ciosów. Szczęście w nieszczęściu, że to lewa ręka, bo z innymi czynnościami też mogłaby mieć kłopot.

– Nie trzeba szyć – mówię i owijam rękę gazą.

– Nic by nie trzeba było robić, gdybyś się nie odzywał – odpowiada.

– A, czyli to przeze mnie się skaleczyłaś?

– A przez kogo? – Kira wyrywa mi z ręki opatrunek i owija go szybko wokół dłoni. – Po cholere gadasz te bzdury?

– Jestem z tobą szczerą.

– I tylko o tym będziemy rozmawiać? Że chcesz mnie przelecieć?

– Równie dobrze możemy przejść od słów do czynów, jeśli masz ochotę.

– Nie mam ochoty. A skoro będziemy przebywać pod jednym dachem przez trzy tygodnie, byłabym wdzięczna, gdybyś nie poruszał już więcej tego typu tematów. Możesz to dla mnie zrobić? – Oddycha szybko i wpatruje się we mnie tymi swoimi kocimi oczami.

– Dlaczego?

– Co „dlaczego”?

– Dlaczego nie mogę mówić ci takich rzeczy? Czujesz, że to nie w porządku względem Tomasza?

– Nie jestem z Tomaszem, już ci mówiłam. – Wstaje.

Wiedziałem, że z nim nie jest, bo wygadał się wczoraj przez telefon. Kira dała mu kosza jeszcze przed wyjazdem, gdy on zamierzał zacieśnić ich znajomość.

– To może moje gadanie cię krępuje? – pytam.

– Raczej wkurza.

– Dlatego, że cię pociągam?

– Nie.

Zbyt szybka odpowiedź.

– Kłamiesz. – Przechylam głowę, żeby wyczytać coś więcej z jej twarzy.

– Ale z ciebie narcyz. Uważasz, że każda dziewczyna musi na ciebie lecieć?

– Raczej tak.

Kira kręci głową.

– Ja więc nią nie jestem. I nie zamierzam dłużej ciągnąć tej bezsensownej rozmowy.

Mrużę oczy.

– Chodzi o rodziców? Obawiasz się, co mogą sobie o nas pomyśleć?

– Tak.

I znów zbyt szybka odpowiedź.

– Nie, to nie to.

– Okej, idę spać – mówi stanowczo. – Posprzątasz zlew, żeby nikt się rano nie naciął na tę potłuczoną szklankę?

– Mhm... – odpowiadam, zachodząc w głowę, dlaczego ona ma taką awersję do seksu.

Odwraca się, a ja podążam wzrokiem za jej seksownym tyłeczkiem i umięśnionymi udami. I nagle doznaję olśnienia. Większość osób, które podejmują się trenowania sportów walki, robi to, by móc się bronić przed kimś, kto załaził im za skórę.

Ja chciałem wpięprzyć ojcu, Tomek jełopom z osiedla. Wszyscy, których znałem, chcieli z kimś wyrównać rachunki bądź ustrzec się przed atakiem, który spotkał ich w przeszłości.

Czuję dziwne ukłucie w żołądku na myśl o tym, że jakiś fagas kiedyś skrzywdził Kirę. Obym był w błędzie. I pewnie jestem, ona nie wygląda na typ ofiary. Na wszelki wypadek odstawię jednak sprośne teksty na jakiś czas, żeby jej niepotrzebnie nie wkurwiać.



Marija mieszka tylko z ojcem, vis-à-vis domu babci. Nie trzeba nawet przechodzić przez żwirową drogę, by usłyszeć, o co się kłóć. Staram się zrelaksować przy porannej kawie na ganku, w blasku wschodzącego słońca. Jest szósta rano. Zasnąłem około drugiej, nie śpię od piątej. Trzy godziny snu to i tak nieźle, zważywszy na to, że nie miałem żadnych koszmarów. Ale w ogóle się nie wyspałem. Siedzę w samych bokserkach, napawam się beztróskim porankiem i śpiewem ptaków. Słońce już mocno operuje, choć dopiero wychyliło się zza wzgórza.

Babcia pojechała na rowerze po chleb i świeże masło. Mama, Serafin i Kira wciąż śpią. A ojciec Marii drze ryja:

- Po zamknięciu kuchni od razu masz wracać do domu!
- Idę jeszcze z dziewczynami na plażę.
- Nie ma mowy. Trzeba kozy oporządzić. Po pracy masz się u mnie odmeldować.
- Jestem dorosła! Nie muszę się nikomu meldować, a już na pewno nie tobie.
- Musisz, póki tutaj mieszkasz.
- To się wyprowadzę.
- Niby dokąd? Może do Anglii, z którymś z tych twoich chłoptasiów?
- Dzięki nim miałeś pieniądze na remont dachu.
- Wolę nie wiedzieć, co musiałeś zrobić, żeby je zarobić.
- To z napiwków! Jesteś okropny! – Rozlega się trzaśnięcie drzwiami.

Marija wychodzi przed dom. Idzie dziarskim krokiem z plecakiem na ramieniu alejką, wzdłuż której ciągnie się pergola obrosniętą winoroślą.

Pamiętam tę dziewczynę jeszcze jako pulchną kilkulatkę. Kapaliśmy się razem nago w basenie jej dziadka. Gdy była nastolatką, w ogóle nie zwracałem na nią uwagi, musiała naprawdę niekorzystnie wyglądać. Teraz podrosła, wyszczuplała, ma całkiem przyjemną buzię, długie włosy i jeszcze dłuższe nogi.

Z nieba mi spadła.

– Hej, Marija! – Zeskakuję z ganku i wybiegam na drogę w chwili, gdy dziewczyna wsiada na rower.

Mruży powieki od słońca, po chwili na jej twarzy pojawia się uśmiech, oczy się rozszerzają.

– Gordian, jak się masz? – Przebiega po mnie zaciekawionym spojrzeniem, a ja już wiem, że podoba jej się to, co widzi.

– W porządku. Odprowadzić cię? – pytam.

– Pewnie, mam jeszcze trochę czasu.

– Gdzie pracujesz?

– W hotelowej restauracji przy plaży – odpowiada, prowadząc rower.

– Fajna robota?

– Ujdzie, ale dobrze, że sezon trwa tylko do października, bo czasami mam ochotę pozabijać tych

zasranych turystów. Najgorsze są rodziny z dziećmi. Porozpieprzają tego żarcia po stoliku, na krzesłach, posadzce, aż ręce opadają, gdy trzeba sprzątać.

– Dobrze, że jacyś turyści w ogóle są. Z samego gaju i kóz trudno by było wyżyć niektórym rodzinom.

– To prawda.

– Twój ojciec nadal wypożycza motorówki?

– Tak, biznes mu się rozrósł. Zatrudnia kilku chłopaków, więc nie musi ciągle grzać leżaka na plaży.

– Pewnie wypożyczę od niego jakąś łódkę na jeden dzień.

– Nie ma sprawy, na pewno dostaniesz spory rabat. – Mruga do mnie.

Spuszczam wzrok niżej, na jej piersi, które opina top na ramiączkach. Mam ochotę przekonać się, czy rzeczywiście są tak kształtne, na jakie wyglądają.

– Spotykasz się z kimś? – pytam.

– Z kimś z naszych? Nie.

– A z turystami...?

– Bywa. – Uśmiecha się zalotnie.

– Są w czymś lepsi od Greków?

– Nie wiem. – Wzrusza ramionami. – Po prostu to jakaś miła odmiana.

Patrzę na oddalony od nas o kilkadziesiąt metrów opuszczony budynek. Kolejny niedokończony dom, których na wyspie jest zatrzęsienie. Kiedy Grecja zbankrutowała, większość tego typu inwestycji finansowanych na kredyt stanęło w miejscu. Stoją, niszczeją i zapewne czekają na lepsze czasy.

Wspaniała miejscówka. Osłonięta od drogi drzewami oliwnymi, osadzona w cieniu sosen piniowych.

– A ty spotykasz się z kimś? – pyta Marija i przechyla głowę z zaciekawieniem.

– Nie uznaję chodzenia, narzeczeństwa, małżeństwa i wszystkich tych bzdur, o jakich marzą dziewczyny.

– Jesteś gejem? – Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

Śmieję się.

– Zdecydowanie nie, ale lubię seks analny.

Marija wygląda na nieco zawstydzoną. A może podnieconą? Nie zaszkodzi sprawdzić.

Wskazuję głową na opuszczony budynek, który właśnie mijamy.

– Może wejdziemy na chwilę? – proponuję.

– Tam? Po co? – Marija się zatrzymuje.

– Chciałem zapewnić ci miłą odmianę – odpowiadam.

Jej oczy się rozszerzają.

– Nie rozumiem.

– Chciałbym się z tobą pieprzyć.

Marija na chwilę się zapowietrza, na szyję wypływa jej głęboki rumieniec, który sięga aż do dekoltu.

– Bezpośredni jesteś.

– Wolę zapytać wprost, niż bawić się w podchody.

Marszczy brwi.

– Uważasz, że robię to z każdym napotkanym facetem?

Podchodzę bliżej niej.

– Wcale tak nie uważam. – Odbieram od niej rower i kładę go na ziemi. – Poza tym nie jestem pierwszym lepszym facetem. Znamy się od dwudziestu lat.

– Nie chcę tak od razu seksu analnego, jeśli o tym myślisz.

– Jakoś przeżyję. Zrobię ci zamiast tego taką minetę, że żaden Anglik ani Niemiec nigdy ci takiej nie zrobi.

Mruży oczy.

– Jesteś bardzo pewny siebie.

– Marija... – zniżam głos, bo to zawsze działa. – Strasznie chce mi się pieprzyć i jeśli zaraz tego nie zrobimy, rozwali mi jaja. Czy będziesz tak miłą sąsiadką i poświęcisz mi góra dwadzieścia minut? Masz moje słowo, że będzie to szybki numer bez zobowiązań. Żadnego tulenia, całowania, wyznawania dozgonnej miłości aż po grób. Zostaję tu na trzy tygodnie, więc jeśli będzie ci dobrze, możemy to powtórzyć. Wchodzisz w to? – Wyciągam do niej rękę.

– Naprawdę jesteś cholernie pewny siebie.

– Tak. Już to mówiłaś. Zaraz przekonasz się, dlaczego taki jestem. – Dłoń wciąż trzymam wysuniętą w jej stronę. Widzę wahanie w jej oczach. Patrzy na moją odsłoniętą pierś, przesuwając wzrokiem po mięśniach brzucha, opuszcza go niżej i zatrzymuje na sterczących bokserkach.

– Boże, co ja robię? – wzdycha i podaje mi rękę.



Niecałe dziesięć minut później Marija jęczy rozkraczona na schodach z betonu. Liżę jej cipkę, a ona szarpie mnie za włosy.

– O tak. Włóż głębiej, o tak, głębiej! – krzyczy po grecku, gdy wsuwam w nią język. Jest już tak gotowa, że bardziej nie będzie.

– Jeszcze, jeszcze... – jęczy.

Wstaję, zsuwam bokserki do kolan, rozrywam folię od kondoma, którego Marija miała w torebce, i zakładam go na fiuta.

Dziewczyna patrzy na niego zachłannie.

Klękam przed nią, spoglądam na szparkę. Jest rozwarta, mokra, czeka na mnie.

Marija łapie mnie za barki, jej twarz jest tuż przy mojej.

– Bez całowania – przypominam.

– Dziwny jesteś. – Dyszy z podniecenia.

Nie odpowiadam, tylko wchodzę w Mariję jednym pchnięciem. Jestem spragniony porządnego grzmocenia. Zakładam jej nogi na swoje biodra, wysuwam się do połowy i wbijam się w nią ponownie. O tak. Zaczynam ją posuwać coraz szybciej. Obijam się o jej pośladki, zanurzam coraz głębiej. Staram się nie myśleć o niczym, tylko o tym, żeby dojść.

Wypełnij ją nasieniem – słyszę głos w głowie, ale od razu go ignoruję. Mam na fiucie kondom, więc nikogo niczym nie będę wypełniał. *Masz ją zapłodnić, chcę mieć z nią potomka!*

Przeklinam w myślach głos, przez który nie mogę się skupić, i rozszerzam nogi Marii. Patrzę, jak przyjmuje mojego fiuta. Wysuwam się, po czym wchodzę do samego końca – zagłębiam w przyjemnym cieple i wilgoci. Ten widok mnie obezwładnia, głos milknie.

Chwytam Mariję za biodra, pochylam się i zaczynam ją ostro posuwać, do utraty tchu.

– O, Boże! – Erotyczny okrzyk wydobywa się z jej ust, oczy się rozszerzają.

Nie mam ochoty patrzeć na jej twarz, potrzebuję teraz innych bodźców. Zdejmuję jej koszulkę, podciągam stanik. Cycki wznoszą się i opadają w rytmie, który narzucam, a ja jestem na granicy, zaraz dojdę. Czuję gorąco w jądrach, nadchodzi skurcz, po nim drugi. Napływa prąd. O tak, zaraz dojdę...

Nagle gumka pęka.

– Jebana mać! – Wysuwam się w ostatniej chwili i spuszczam na cycki Marii.

– Co się stało? – Patrzy oszołomiona na członka, z którego zwisa poszarpany kondom.

– Gumka pękła. – Zdejmuję ją i rzucam na bok.

Marija unosi biodra, cipkę ma mokrą i nabrzmiałą. Jestem wypompowany po orgazmie, nie podnieca mnie już jej widok. Najchętniej zaległbym gdzieś w cieniu i się zdrzemnął, ale jeszcze nigdy nie zostawiłem dziewczyny bez orgazmu i nie zamierzam tego robić tym razem.

Wkładam w nią trzy palce, a kciukiem zaczynam drażnić łechtaczkę. Jest tak wrażliwa i pobudzona, że mój najmniejszy ruch sprawia, że Marija wije się i jęczy. Pieprzę ją palcami, choć coraz bardziej chce mi się spać. Odpływam myślami do opuszczonej zatoczki, którą kiedyś znalazłem podczas samodzielnej wyprawy motorówką. Wokół wapienne klify, złocisty piasek, lazuruwana woda, szum wiatru i fale na morzu.

Tym razem jednak nie jestem tam sam, tylko z Kirą...

Słyszę, jak Marija wymawia moje imię. Dyszy, wbija mi paznokcie w ramię, jej ciałem wstrząsają dreszcze. Unosi biodra i dochodzi cała w ekstazie.

A ja, jak jakiś ostatni głupek, zamiast patrzeć, jak jej nabrzmiała cipka rozkosznie zaciska się podczas orgazmu na moich palcach, zastanawiam się, czy zabranie Kiry na wycieczkę motorówką jest rzeczywiście takim idiotycznym pomysłem, jak mi się wydaje.



Gdy wracam do domu, mama z babcią szykują śniadanie.

– Będziesz jadł jajecznicę? – pyta mama.

– Poproszę. – Siadam na ganku obok Serafina, który przegląda na telefonie zdjęcia z wczoraj. – Zobacz, jaką masz cudowną matkę. – Wyciąga w moją stronę komórkę.

– Nie muszę oglądać zdjęć, żeby to wiedzieć – odpowiadam.

– Tutaj trafiliśmy na gniazdo żółwi. Widać złożone jaja – mówi podekscytowany i pokazuje mi kolejną fotkę.

Mama wychodzi na ganek, stawia na stole pieczywo i horiatiki, na którą Polacy mówią sałatka grecka.

– Oglądacie zdjęcia z wczoraj? – pyta z uśmiechem na ustach.

– Tak, właśnie mówiłem Gordianowi, że znaleźliśmy żółwie jaja. A tutaj weszliśmy na niewielki klif, patrz.

Biorę telefon Serafina do ręki, żeby nie robić mamie przykrości. Mama wygląda na zdjęciach na tak szczęśliwą, jak nigdy wcześniej. Przesuwam palcem po ekranie. Zdjęcia morza, morza i jeszcze raz morza. Selfie na plaży, na klifie, znów na plaży.

Kolejna fotka, a na niej Kira. W spodenkach i topie odsłaniającym wyrzeźbiony brzuch.

– A to już z dzisiaj, gdy Kira wychodziła biegać. – Mama zagląda mi przez ramię. – Śliczna z niej dziewczyna, prawda?

Nie odpowiadam. Patrzę się w ekran i czuję, jak robi mi się gorąco. Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo rozpala mnie widok Kiry. Pomijam, że ma piękne ciało, ale to jej spojrzenie, głos i to, że nie mogę jej mieć dla siebie... Czuję dziwny ucisk w żołądku.

To pewnie z głodu. Odkładam telefon na stół.

– Ssie mnie, jemy? – Sięgam po sałatkę.

Mama z Serafinem wymieniają spojrzenia.

– Co? – pytam i nakładam jedzenie na talerz.

– Pytałam, czy następnym razem pójdziesz pobiegać z Kirą – mówi mama. – Ona nie zna tutejszych terenów.

– Może pokazałbyś jej okolicę? – dodaje Serafin i odbiera ode mnie miskę.

– Poradzi sobie sama. Jest dorosła – odpowiadam i zaczynam jeść.



Po śniadaniu mama prosi, żebym poszedł z nią na spacer. Biorę szybki prysznic, po czym wychodzimy na drogę.

– Gdzie idziemy? – pytam.

– Może przejdziemy się do tej jaskini, którą mi pokazywałaś, gdy byliśmy tu ostatnio razem?

Najchętniej sprawiłbym, by tamte wakacje na zawsze zniknęły z mojej pamięci. Ojciec przez cały nasz pobyt chodził wkurwiony jak szerszeń. Dał się na mnie, na mamę, na babcię, a ostatniego dnia wpierdolił wujkowi Pavlosowi. Nigdy się nie lubili. Byli do siebie zupełnie niepodobni, jakby nie byli braćmi. Podobno poszło im o majątek, spadek pod dziadku. Ojciec zawsze był pazerny, nie dziwne, że poróżnił się o kasę z rodzonym bratem. Gdyby miał w sobie tyle energii do pracy, co do darcia mordy, mielibyśmy teraz z mamą hajsu jak lodu. A tak jedyne, co ojcu udało się wypracować przez tyle lat w Polsce, to zdolność kredytowa do kupna mieszkania w blokach z wielkiej płyty i samochód, który zresztą już się rozleciał ze starości. Gdyby nie Serafin, do tej pory z mamą spłacalibyśmy kredyt hipoteczny, który włókł się za rodzicami od dwudziestu czterech lat. Serafin sprzedał swoje mieszkanie i spłacił zadłużenie mamy w banku. Nie chciał nawet, żeby zrobiła go współwłaścicielem jej mieszkania. Albo jest naiwny, albo naprawdę w niej zakochany. W miłość nie wierzę, w pożądanie, zauroczenie owszem. Dlatego pozostaję przy opcji, że Serafin jest po prostu głąbem, który tymczasowo jest zadurzony w mamie.

Dla dobra mamy liczę na to, że tak jednak nie jest.

– Cieszę się, że jesteśmy tutaj razem. – Mama bierze mnie pod rękę i opiera głowę na moim ramieniu, gdy idziemy zwirową drogą usypaną z wapiennych kamyków.

– Brakowało mi ciebie ostatnio.

– Odwiedzam cię dosyć często – odpowiadam.

– Tak, ale to nie to samo, jak kiedy mieszkaliśmy razem.

– Nie wspominam dobrze tamtych czasów.

– Wiem, wiem... Mimo tego, że ojciec traktował nas, jak traktował, byliśmy razem, byliśmy rodziną.

Spoglądam na nią. Kocham matkę najbardziej na świecie, ale za cholerę nie mogę czasami jej zrozumieć.

– Byliśmy patologiczną rodziną – odpowiadam. – Jak możesz w ogóle powracać z taką łatwością do tamtych czasów? Dobrze się stało, że ten skurwiel nie żyje.

– Gordianie! – Matka przystaje i patrzy na mnie ostro. – Niezależnie od tego, co zrobił, był twoim ojcem i nie powinienes tak o nim mówić.

– Powinienem. Nie doświadczyłem od niego ani jednej dobrej rzeczy, dzięki której mógłbym go nazwać ojcem. Niczego mnie nie nauczył, zawsze mnie krytykował, a to, że nas bił, jest najlepszym dowodem na to, że zasłużył sobie na karę, jaka go spotkała.

Mama kręci głową.

– Krzywdził nas, to prawda, ale ja mu wybaczyłam. I nie zrobiłam tego dla niego, ale dla siebie. Dzięki temu mogę żyć dalej, być szczęśliwa w nowym związku... Może i ty powinieneś spróbować? Zaciskam szczęki. Mdli mnie na samą myśl o tym, że miałbym ojcu darować wszystkie winy.

– Nigdy w życiu mu nie wybaczę.

Mama obejmuje mocniej moje ramię, widzę, że szuka odpowiednich słów, by mnie przekonać o tym, że jestem w błędzie. Ale to ona się myli. Takich krzywd, jakich doznaliśmy od ojca, nie sposób wybaczyć.

– Twój ojciec nie miał łatwego dzieciństwa... – zaczyna, powoli dobierając słowa. – Mąż Kalisty był bardzo porywczym człowiekiem.

– Tym bardziej ojciec nie powinien nas tak traktować, skoro sam dostawał w skórę.

– Myślę, że on to robił poniekąd nieświadomie. Nie zaznał nigdy miłości i ciepła od swojego ojca, więc sam nie potrafił okazywać uczuć. Ale chcę wierzyć, że w głębi serca cię kochał.

Zaraz mnie szlag trafi.

– Kochał?! Kochał... – Zaczynam się śmiać. – Skończmy już, bo zaraz się okaże, że ojciec był aniołem. Jebanym aniołem z czarcimi rogami.

– Gordianie...

– Koniec tematu, mamó – mówię przez zaciśnięte zęby.

Naprawdę staram się, jak mogę, żeby nie puścić wiązańki epitetów określających, jaki to wspaniały był mój ojciec.

I wtedy moją uwagę przyciąga zbliżająca się z naprzeciwka Kira.

Biegnie równym tempem po szutrowej drodze. Włosy ma splecione w warkocz, jej skóra błyszcząca w słońcu, piersi opina przepony top. Zatrzymuje się przy nas, uspokaja oddech, uśmiecha się.

Im dłużej ją znam, tym ładniejsza mi się wydaje.

– I jak ci się biegalo, kochanie? – pyta mama, uśmiechając się na jej widok.

– Wspaniale! – Kira promienieje. – Jest trochę gorąco, ale ten krajobraz to marzenie. Byłam aż na tamtym wzgórzu. – Pokazuje ręką za siebie.

– Brawo! Masz kondycję. – Mama wtóruje jej podekscytowaniu.

– Imponujący wyczyn, kiedy jest się emerytem na wakacjach z biurem podróży – mówię.

Kira przenosi na mnie wzrok, mrużąc oczy.

– Wstałaś lewą nogą?

– Jestem szczery. Gdybyś dotarła na tamto wzgórze... – pokazuję palcem górę mającą w oddali – wówczas byłbym pod wrażeniem.

Kira patrzy na oddalony o co najmniej dwadzieścia kilometrów łańcuch skalny.

– Nie ma sprawy. Jutro ci odpowiada?

Wzruszam ramionami.

– Pobiegniesz, kiedy chcesz.

Kira śmieje się.

– Pobiegniemy razem.

– Nie sądzę. Biegam sam.

– Rzucasz wyzwanie, więc udowodnij, że sam potrafisz mu sprostać.

– Nie muszę niczego nikomu udowadniać.

– Jeśli mogę... – wtrąca się mama. – Może lepiej, żebyś faktycznie pobiegł z siostrą. Nie zna okolicy...

Znowu, kurwa, ta siostra.

– Mamó – zwracam się do niej najłagodniej, jak potrafię. – Kira i ja nie jesteśmy rodzeństwem.

– Tak, wiem...

– To może ustalmy, że nie będziecie już robić z nas brata i siostry – mówię spokojnym, choć stanowczym tonem.

– Dobrze, skoro to cię drażni.

– Doskonale. A jeśli chodzi o poznanie okolicy, Kira może włączyć sobie Google Maps i poznać

ją sama.

Mama ściąga brwi. Chyba sprawiłem jej przykrość. Ale jak mam trzymać się z daleka od szparki Kiry, skoro ciągle ktoś mi ją podsuwa pod fiuta?

– Dam sobie radę – wtrąca się Kira. Nie patrzy na mnie, tylko na mamę. – A teraz biegnę pod prysznic, bo cała się lepię od potu.

Mimowolnie spuszcza wzrok na rowek między jej cyckami, w którym mienia się kropelki potu.

– Dobrze, kochanie – mówi mama. – Jak wrócimy, może przyszykujemy razem obiad?

– Z chęcią. Miłego spaceru – odpowiada i biegnie w stronę domu.

Odprowadzam wzrokiem jej zgrabny tyłek.

– Gordi, nie tak cię wychowałam – odzywa się mama.

Odwracam się.

Mama piorunuje mnie wzrokiem, a ja jestem pewny, że przyłapała mnie na gapieniu się na Kirę.

– Co?

– Dlaczego jesteś taki niemiły w stosunku do Kiry? Najpierw nie chciałeś wspólnego wyjazdu, teraz ewidentnie jej unikasz, nie chcesz, żeby nazywać ją twoją siostrą. Nie lubisz jej? – Wpatruje się we mnie wyczekująco.

Przesuwam dłońmi po twarzy. To już jest, kurwa, męczące.

– To skomplikowane, mamo.

Mama przechyla głowę.

– Postaram się zrozumieć.

– Wątpię.

– Synku, wiem, że mężczyźni w twoim wieku nie mieści się w głowie, że może zwierzyć się swojej matce, ale uwierz mi, czasami lepiej z siebie wyrzucić...

– Chcę się z nią przespać.

No i chuj, przynajmniej mamy jasność co do moich uczuć względem Kiry.

Mama robi wielkie oczy. Policzki jej czerwienieją.

– Nie wierzę, że to powiedziałaś.

– Taka jest prawda.

Mama odchrząkuje, widzę, że stara się ochłonać. Poukładać sobie wszystko na spokojnie.

– To ładna dziewczyna... Nie jesteście spokrewnieni... – odchrząkuje. – Bardzo ci się podoba?

– Ma w sobie to coś.

Unosi brwi.

– Zamierzasz z nią chodzić?

O, i tu zaczynają się schody.

– Ja nie chodzę z dziewczynami.

– Nie rozumiem.

– Może to i lepiej. – Zarzucam mamie rękę na ramię. – Możemy zmienić temat?

– Synku. – Mama przystaje. – To dosyć ważne. Nigdy nie przedstawiłeś mi żadnej swojej dziewczynie...

– Może dlatego, że jej nie miałem.

– Ani jednej?

– Ani jednej, która zasługiwałaby na to, żeby ją tobie przedstawić. Poza tym Kira nie jest moją dziewczyną i nią nie będzie.

– Pytałeś ją?

– Nie musiałem. Mamy nieco odmienne poglądy na ten temat.

– To znaczy?

Ja chcę się pieprzyć, a ona nie – mam na końcu języka, ale zamiast tego odpowiadam:

– Może ją powinnaś o to spytać? – Uśmiecham się od ucha do ucha, bo w tej samej chwili wyobraziłem sobie minę Kiry, gdy mama zadaje jej to pytanie.



Przez kolejne dwa dni bywam w domu babci wyłącznie na śniadaniach i kolacjach. Jest mi już za tłoczno z pozostałą czwórką. I jeszcze do tego moja ochota na Kirę wcale nie maleje, wręcz przeciwnie – im częściej ją widzę, tym bardziej chcę ją zaliczyć.

Szwendam się pieszo po wyspie, odwiedzam stare miejsca – wzgórza, wioski, gaje oliwne, które odkryłem podczas ostatniego pobytu. Na wyspie mieszka około dwudziestu tysięcy ludzi, którzy osiedlili się głównie przy wybrzeżu, w okolicach stolicy. Pozostała część wyspy jest niezamieszkała i mnie to pasuje.

Drugiego dnia łażenia kupuję u miejscowego rolnika kozi ser na obiad, słoik oliwek i owoce. Tyle mi wystarczy, najważniejsze, żeby pić dużo wody, bo żar leje się z nieba. Siadam w cieniu sosny i odpoczywam przed dalszą drogą. W tej części wyspy zawsze wieje wiatr. Z jednej strony daje on przyjemne ochłodzenie dla spoconego ciała, lecz z drugiej niesie ze sobą jakiś niepokój. Już któryś raz łapię się na tym, że słyszę wołanie, które po chwili okazuje się wyłącznie świstem wiatru.

Gdy kończę odpoczynek, znowu dobiega mnie ten sam dźwięk, tym razem jest wyraźniejszy, głośniejszy, wyłania się zza wapiennych skał.

– Uratuj mnie... – Słyszę głos dziecka.

Rozglądam się, ale nikogo nie widzę.

– Pomóż mi, proszę! – krzyk się wzmaga.

Wstaję, zakładam plecak i podążam w stronę wołania. Łkanie się nasila, jest coraz donośniejsze. Zaczynam biec. Lawiruję wśród ostrych, wystających odłamków skalnych. Raz po raz silny wiatr hamuje moje kroki.

– Uratuj mnie...

Dobiegam do szczytu i zamieram. Przedemną rozpościerają się hektary czarnego lasu, wynurzającego się z białych jak śnieg skał. Czarne piniowe sosny, z czarnymi pniami, szyszkami i igłami. Wszystkie zastygłe w czarnej szadzi.

– Pomóż mi, błagam! – Rozlega się zatrważający krzyk dziecka. Wbiegam w hebanowy las. Uderza mnie smród spalenizny. Jest ostry, gryzie mnie w krtań i nozdrza.

– Gdzie jesteś? – Przeszukuję wzrokiem przestrzeń między drzewami.

– Tutaj, pomóż mi... – Słyszę głos tuż obok siebie, lecz nikogo nie widzę.

– Gdzie?

– Tutaj – odzywa się za mną.

Odwracam się. Nie dostrzegam niczego oprócz osmolonych pni sosen. Serce mi wali, adrenalina buzuje.

– Nie zobaczysz go, ale możesz go usłyszeć. – Dobiega mnie damski, niski głos.

Patrzę w bok i widzę starą kobietę. Na głowie ma chustę, nosi sukienkę do kostek, zakrywającą ręce i szyję.

– Gdzie jest dziecko? – pytam.

– Tutaj. – Pokazuje na swoją pierś.

Jakaś wariatka.

– Pomóż mi... – Słyszę płaczliwy głosik.

Rozglądam się.

– Nie słyszysz? Jakies dziecko wzywa pomocy – zwracam się do kobiety.

Patrzy na mnie przenikliwie, nie ruszając się z miejsca. Jej twarz przypomina mi wizerunek wiedzmy ze starej książki dla dzieci.

– To twoje wnętrze woła. Pomóż mu, nim będzie za późno.

Co ona pieprzy? Nasłuchuję głosu dziecka i już nie wiem, czy to świst wiatru mąci moje zmysły, czy psychika znów mi siada, czy ktoś naprawdę potrzebuje pomocy.

– Uwolnij mnie od niego! Błagam... – Znów ten zawodzący, płaczliwy głos.

– Słyszałaś? – Przeszukuję wzrokiem rzadki las.

Jestem gotowy ratować dzieciaka, ale nigdzie go nie ma.

– Słyszałam, a skoro i ty go słyszysz, to znaczy, że jest jeszcze szansa.

– Szansa na co? – Rozglądam się.

– Na rachunek sumienia, wyznanie grzechów i odkupienie win. Inaczej twoje wnętrze na zawsze zostanie w jego władaniu.

Nawiedzona baba.

– Gdzie jest dziecko, więzisz je?

Wiedzma kręci głową.

– Nie patrz oczyma, lecz duszą. On jest czujny i przebiegły, czeka na każde twoje potknięcie.

Wyssie z ciebie całe dobro, całe człowieczeństwo, zmusi cię, byś stał się jego narzędziem – bredzi wiedzma. – Jeszcze nie jest za późno, zbrodnia wymaga wyznania winy, poniesienia kary i odpokutowania za grzech. Zaprawiaj się w dobru, a będzie ci wybaczone. – Jej oczy wywracają się w tył czaszki, w ich miejscu pojawiają się białka. – Obmyjcie się, czyści bądźcie! Usuńcie zło uczynków waszych sprzed moich oczu! Przestańcie czynić zło! Zaprawiajcie się dobrem! Troszczcie się o sprawiedliwość, wspomagajcie uciśnionego, oddajcie słusność sierocie, w obronie wdowy stawajcie! Choćby wasze grzechy były jak szkarłat, jak śnieg wybieleją; choćby czerwone jak purpura, staną się jak wełna. – Wiedzma zawiesza głos, jej źrenice wracają na swoje miejsce i spogląda na mnie przenikliwie. – Jeżeli będziecie ulegli i posłuszni, dóbr ziemskich będziecie zażywać. Ale jeśli się zatniecie w oporze, miecz was wytepi^[6]. – Kończy i zamyka powieki, a ja w głowie słyszę przeklęty głos.

Zabij staruchę, zabij...

Moje pięści mimowolnie się zaciskają. Serce zaczyna szybko pompować krew.

Wiedzma przechyla głowę.

– Słyszę go, mówi do ciebie. Nie ufaj jego słowom – szepcze.

Nie będzie ci mówiła, co masz robić. Zabij ją, zabij! – ponagla głos.

– Nie pozwól, by zawładnął twoją duszą i ciałem. Jeszcze nie jest za późno, zrób rachunek sumienia, wyznaj grzechy i odkup swoje winy.

Zapierdol sukę! Już! Rozkazuję ci!

Mocny podmuch wiatru popycha mnie ku wiedzmi. Moje mięśnie się naprężają, tętno przyśpiesza, w głowie szumi.

Robię krok w jej stronę.

Kobieta się cofa, czyni znak krzyża...

– Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży szukając kogo pożreć^[7] – mówi nienaturalnie niskim głosem.

Zajeb sukę! Niech zamknie tę niewyparzoną mordę!

Serce wali mi jak szalone.

– Odejdź stąd, natychmiast – mówię do niej przez zaciśnięte zęby, bo przestaję ufać samemu sobie.

Kobieta kiwa głową, jakby się ze mną zgadzała.

– Jeszcze jest dla ciebie ratunek. Wyznaj grzechy i odkup winy... – mówi, po czym rozplywa się

w powietrzu niczym zjawa.

Stoję jak wryty, wpatrując się w pustą przestrzeń. Kurwa, te leki od ciotki Tomasza nie działają! W uszach dźwięczą mi słowa wiedźmy. Mogłbym dać sobie rękę uciąć, że podobne brednie wygadywał tamten nawiedzony klecha.

Przesuwam dłońmi po twarzy. Głos w głowie zamilkł, wołanie dziecka ustało. Stoję w bezruchu i nie słyszę nic oprócz szelestu usmolonych konarów drzew, bujających się na wietrze.



Do domu Kalisty docieram po północy. Jest ciemno, cicho, wszyscy już śpią. Wysłałem wcześniej mamie SMS-a, żeby nie czekali na mnie z kolacją. I tak nic bym nie przełknął. Biorę psychotropa, padam na łóżko i momentalnie usypiam.

Budzę się z walącym sercem. Coś mi się śniło, nie pamiętam co, ale po reakcji mojego ciała domyślałam się, że to był koszmar. Jestem mokry od potu, czuję ucisk w klatce piersiowej, pulsowanie w skroniach. Wstaję i idę napić się wody do kuchni. Tykający na ścianie zegar wskazuje piątą trzydzieści. Na blacie stoi przykryty szmatką talerz z karteczką: *Kochanie, smacznego*.

Rozpoznaję charakter mamy. Odkrywam go i się wzdrygam.

Na talerzu znajduje się gniazdo wijących się węży.

Co, do kurwy nędzy?! Sięgam po nóż. Nie mijają trzy sekundy, gdy orientuję się, że węże zniknęły, a na ich miejscu leży spaghetti w sosie bolognese.

Ja pierdołę, ale mam jazdy. Rzucam nóż na blat, biorę kolejnego psychotropa. Wiem, że dzisiaj już nie zasnę.

Obmywam twarz zimną wodą. Zakładam spodenki, koszulkę, adidasy i ruszam pobiegać.

U Marii w domu pali się światło. Przez myśl przebiega mi, czy nie zaciągnąć jej do opuszczonego domu na szybki numerek. I w tej samej chwili słyszę w głowie głos: *O tak, zapłodnij ją, chcę mieć z nią potomka*.

Odpycham go od siebie tak szybko, jak się pojawił. Biegnę, ile sił w nogach, w stronę wzgórza, które majączy w oddali.

Po kilkunastu kilometrach mój oddech zaczyna się uspokajać, znalazłem równy rytm. Napięcie ustępuje, a ostatnie zwidy zdają się odpływać w głębiny podświadomości, zupełnie jakby były wyłącznie koszmarem sennym. Staram się nie interpretować nadmiernie swojej psychiki. Każdy człowiek jest popieprzony na swój sposób. Samo przyszło, samo przejdzie.

Słońce powoli wznosi się nad górami, ptaki śpiewają w krzewach różowych oleandrów, zaczyna się robić coraz cieplej. Koncentruję się na tym, co jest tu i teraz. Na równomiernym biciu serca, na oddechu, na pracy mięśni. Skręcam w wąską ścieżkę, która wiedzie na szczyt wzgórza, i przyśpieszam, by wycisnąć z siebie jak najwięcej. Narzucam szybsze tempo, choć mięśnie ud zaczynają dawać o sobie znać. Tętno wzrasta, czuję pulsowanie w skroniach, przyływ zdrowej energii. Jestem już prawie na szczycie, wzmagam pracę rąk, żeby pobudzić nogi do działania, jeszcze kilka kroków. Wbiegam na samą górę i staję jak wryty. Nie takiego widoku się spodziewałem. Na jednym z głazów siedzi Kira. Odwraca się...

– Ty? – Jest równie zdziwiona jak ja.

– Ja. – Opieram ręce o uda, pochylam się i uspokajam oddech.

Kocie oczy błędzą po moim spoconym ciele.

– Co tu robisz?

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie.

– Nie mogłam spać – odpowiada, po czym odwraca się i zatapia wzrok w widoku na wyspę, który rozpościera się ze wzgórza.

Podchodzę do niej i siadam na kamieniu obok.

– Niewygodne łóżko?

– Niewygodne sny.

– Długo tu jesteś? – Przesuwam wzrokiem po jej profilu, szyi, nagich ramionach, piersiach...

– Od wschodu słońca – odpowiada. – Niesamowity widok.

– Zgadzam się. – Nie mogę oderwać od niej oczu.

Kira zerka w moją stronę.

– Gapisz się na mnie – mówi.

– Jeśli nie mogę mieć cię nagiej, chociaż popatrzę sobie na ciebie w ubraniu. – Zdejmuję koszulkę, bo jest cała przepocona.

– Jesteś zboczony.

– Powiedziała dziewczyna, która udaje, że nie gapi się teraz na moją klatę.

Kira wywraca oczami.

– Wcale się nie gapię – odwraca wzrok.

– Powiedz mi, dlaczego tak trudno mi ciebie zdobyć, co? – pytam, bo naprawdę tego nie pojmuję.

Kira się śmieje.

– Pytasz na serio?

– Tak.

Patrzy mi w oczy i mruży powieki.

– Jest wiele powodów.

– Zamieniam się w słuch.

– Jesteś zbyt pewny siebie, zbyt dużo mówisz o seksie, nie liczysz się z uczuciami dziewczyn, z którymi się spotykasz...

Unoszę brwi.

– Już to kiedyś mówiłaś. A ja powtórzę to samo: jeszcze żadna się nie skarżyła.

– O, widzisz. Ja mówię o uczuciach, a ty o seksie.

– Nie widzę różnicy.

Kira kręci głową.

– I to jest właśnie odpowiedź na twoje pytanie, dlaczego na ciebie nie lecę.

– Lecisz na mnie, tylko potrzebujesz czasu, żeby to sobie uświadomić.

– Ale ty jesteś zadufany w sobie.

– A ty jesteś piękna – odpowiadam. I naprawdę tak uważam. Zwłaszcza teraz, gdy wschodzące słońce rozświetla jej twarz.

Mój komplement nie robi jednak na niej żadnego wrażenia.

– Piękna... A co takiego pięknego we mnie widzisz?

– Masz zjawiskowe oczy, ciało, głos, temperament, niewyparzony język, niezaprzeczalnie uzależniający seksapil i wbiegłaś na tę pieprzoną górę, co świadczy o twojej wytrwałości.

– Umiesz czarować.

– Umiem jeszcze inne rzeczy. – Unoszę znacząco brew i schodzę wzrokiem niżej, pomiędzy jej uda.

– A ty znowu swoje. – Kira wstaje i otrzepuje tyłek. – Zbieram się, bo ta rozmowa znów prowadzi donikąd.

– Poczekaj. – Podnoszę się i łapię ją za dłoń. Nie wiem, co mi strzela do głowy, ale splatam nasze palce razem. Nie chcę, żeby jeszcze szła.

Kira patrzy na nasze dłonie.

– Co ty wyrabiasz? – pyta, ale nie odtrąca mojej ręki.

– Aktualnie zastanawiam się, czy jeśli przestanę wspominać o seksie, to czy ty zaczniesz o nim myśleć.

Kira zabiera dłoń.

– Nie – mówi tak zdecydowanie, że naprawdę jej wierzę.

– Dlaczego?

Patrzę w jej oczy i dostrzegam w nich złość.

– Bo seks to ostatnia rzecz, jakiej oczekuję od faceta.

– A czego oczekujesz? – zniżam głos i przybliżam się do niej, lecz ona się cofa, jakby obawiała się, że zrobię coś wbrew jej woli.

– Szczerości, stałości, opiekuńczości i miłości, czyli wszystkiego, czego nie jesteś w stanie mi dać.

Przesuwam dłonią po karku i analizuję jej słowa. Staram się zawsze walić prosto z mostu, nie owijać w bawełnę, więc to się zalicza w jakiś sposób do szczerości; potrafiłbym również dochować wierności Kirze, jeśli miałbym gwarancję nieustannego pieprzenia się z nią, co najmniej trzy razy w tygodniu. I najwyraźniej mam też wrodzony instynkt opiekuńczy, bo w tym momencie o niczym tak nie marzę, jak zaopiekować się cipką Kiry.

– Słabo mnie znasz – mówię.

– Czyżby? – Unosi z zaciekawieniem brwi.

– Szczerść, wierność i opiekuńczość masz u mnie jak w banku – odpowiadam pewnym głosem.

– Zapomniałeś o miłości.

No fakt. Znów ta jebana miłość. Motylki, kwiatuszki i całuski, a na koniec pierdolnięcie prosto w serce.

Kręcę głową.

– W miłość nie wierzę. To zdradziecka małpa.

– Zostałeś zdradzony?

Patrzę na nią, czeka na odpowiedź. Chyba nie myśli, że zacznę się teraz przed nią uzewnętrzniać. Choć dopiero co wspomniała, że ceni sobie szczerść.

– To było dawno temu, a ja byłem zaślepionym gówniarzem – odpowiadam.

– Przykro mi – mówi takim tonem, jakbym wyznał jej, że piła urzędną mi rękę i do końca życia będę kaleką.

– Było, minęło. Dostałem nauczkę.

– Za co?

– Za to, że byłem zbyt naiwny. To musiało się tak skończyć. – Na samo wspomnienie o tym, że zadurzyłem się jak pacan w Marice, a ona puszczała się z każdym napotkanym kolesiem, robi mi się niedobrze. Nigdy już nie dam się zrobić w takie gówno. Gdy przypominam sobie małżeństwo matki i ojca, gdy patrzę na Tomasza i jego związki, które zawsze kończyły się doprawianiem rogów, utwierdzam się w przekonaniu, że miłość to stara kurwa i nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

No właśnie, à propos mojego najlepszego kumpla...

– Dlaczego nie jesteś z Tomaszem? – pytam wprost.

– Skąd to pytanie?

– Szczerść, stałość, opiekuńczość, miłość – wyliczam na palcach. – Gdyby Tomek był dziewczyną, tak właśnie miałby na pierwsze, drugie, trzecie i czwarte imię.

– Wiem. – Kira się śmieje.

– Więc? – Unoszę brwi.

– Chemia. – Patrzy mi w oczy. – Zabrakło chemii.

– Jej nie było na twojej liście oczekiwań.

– Wymieniłam tylko te, których nie jesteś w stanie spełnić. – Patrzy mi w oczy i nawet nie mrugnie. Mam wrażenie, jakby prąd elektryczny przebiegł mi po ramionach.

I wtedy słyszę huk.

Instynktownie łapię Kirę, ściągamy ją do parteru i osłaniam własnym ciałem. Pierwsze skojarzenie: wybuch domu Klaudii. Serce wali mi jak młotem.

– Daj spokój. To tylko grzmot. – Słyszę jej śmiech.

W tym samym momencie na moją głowę spadają krople deszczu. Unoszę wzrok, nad nami wisi ciężka, sina chmura. Odrobinę się rozluźniam.

Wstaję i rozglądam się jeszcze dla pewności. No to dałem popis.

– Widzisz? Mówiłem ci, że jestem opiekuńczy.

– Raczej paranoiczny – drwi Kira i się podnosi.

– A może opętany? – Stajemy naprzeciwko siebie, pojedyncze krople zamieniają się w lekkie deszcz.

– Przez co?

Nachylam się tak, że czuję zapach jej wilgotnych włosów, i szepczę jej do ucha:

– Przez ciebie. Nagą. W moim łóżku.

Momentalnie dostaję sójkę w ramię.

– Dewiant. – Kira wymija mnie i rusza w stronę zejścia. – Już chyba wołałem zbrojeńca.



Drobny deszcz zamienia się w ulewę. Biegniemy już dobrych kilkanaście kilometrów szutrową drogą usypaną z kamieni. Co jakiś czas zatrzymuję na dłuższą chwilę wzrok na Kirze. Woda ścieka jej po twarzy i włosach, mimo to trzyma równe tempo. Jej umięśnione ciało wygląda obłądnie w strugach deszczu. Nie mogę się na nią napatrzeć. Aż mnie nosi, żeby ją wziąć nagą pod prysznicem, gdy wrócimy do domu.

Wiem, że nie spełnię wszystkich oczekiwań z jej listy, ale wcale nie muszę. Ona się w końcu złamie.

– Hej, Gordianie! – Słyszę czyjeś wołanie.

Zwalniam bieg. Na zboczku, pod rozłożystą figą z szerokimi liśćmi, siedzi Marija.

– Tutaj nie pada. – Uśmiecha się zachęcająco. Ma przemokniętą białą bluzkę, przez którą prześwitują sterczące sutki.

Zostań! Spójrz na te cycki. Weź ją pod drzewem. Przecież aż się prosi. Teraz... No, idź! – słyszę głos w głowie.

– Jak chcesz, to idź. Ja biegnę dalej – przerywa mu Kira i przyspieszając bieg, podąża w stronę domu.

Moment wahania.

Olej ją. I tak nic z tego nie będzie – przypomina mi głos. – *A Marija jest taka chętna... Pamiętasz jej wilgotną cipkę, zrób z niej użytek. Kira ci tego nie da.*

– Może innym razem – rzucam w stronę Marii. Nie czekam na jej reakcję, tylko biegnę za Kirą, która jest już daleko z przodu.

Znowu mi się sprzeciwiasz? – upomina mnie głos.

Przeklinam go w myślach.

Nie pogrywaj tak ze mną, bo pożałujesz.

Ty nie istniejesz.

Nie? To uważaj teraz. To jest moje ostrzeżenie dla ciebie – mówi i w tym samym momencie Kira upada na drogę.

Czuję uderzenie gorąca. Przyspieszam i w kilka sekund jestem przy niej. Leży na plecach, jej twarz wykrzywia ból. Próbuje się podnieść.

– Nie ruszaj się – mówię i kucam obok.

– Prawa kostka. Poślizgnęłam się na kamieniu...

– Leż spokojnie. – Rozprostowuję powoli jej nogę.

Kira zaciska zęby, ale się nie skarży. Wygląda na to, że kolano jest całe. Przesuwam dłoń niżej.

– Boli? – Dotykam kostki.

– Tak.

– W skali od jeden do dziesięciu?

– Pięć.

Ocieram twarz ramieniem, bo krople deszczu spływają mi do oczu. Trzymam sztywno nogę Kiry, ściągam ostrożnie but, następnie skarpetkę. Dotykam kostki; nie jest spuchnięta, nie wygląda na zwichniętą. Ale i tak nic tu nie wskóramy. Wkładam but za tylną gumę od spodenek, nachylam się nad Kirą. Jestem tak blisko niej, że czuję jej oddech na twarzy. Patrzy na mnie ufnie. Wsuwam pod nią dłoń

i biorę ją na rękę.

- Wygląda tylko na naciągnięcie, ale rentgen nie zaszkodzi – stwierdzam.
- Dzięki. – Obejmuje mnie za szyję.
- Zawsze do usług. – Mrugam do niej.
- Oby nie. Coś za często zdarzają mi się wypadki, gdy jesteś w pobliżu.

Patrzę na nią, a w mojej chorej psychice rodzi się pytanie, czy to ja ściągam na nią te nieszczęścia? Najpierw dostała wpierdól od Oza, później rozcięła sobie rękę, teraz kostka...

Eee tam, pieprzenie.



Aris to złoty koleś. Po moim telefonie przyjeżdża pod dom babci pikapem w zaledwie piętnaście minut.

– Hej. Dzięki, stary, że przyjechałeś – witam się z nim i pomagam Kirze wyjść z domu. Chciałem znów wziąć ją na rękę, ale się opierała. Kalista pożyczyła jej więc starą laskę po dziadku i teraz Kira, wsparta na moim ramieniu, kuśtyka do auta.

– Ale się urządziłaś – Aris zwraca się do niej po angielsku i pomaga jej usiąść na przednim siedzeniu. – Jak jej pilnowałeś? – rzuca w moją stronę po grecku, gdy siadam obok Kiry, po czym idzie na miejsce kierowcy. – Gdybym miał taką dziewczynę blisko siebie, nie spuszczałbym jej z oczu. – Odpala silnik.

- Ale nie masz – odpowiadam w jego ojczystym języku.
- Nigdy nie wiadomo.
- Skup się lepiej na drodze – upominam.
- Oj, ciężko będzie. – Uśmiecha się i zerka na uda Kiry.
- Opuść sobie. Ona jest zajęta – mówię ostro.

Aris zerka co chwilę na Kirę, a ja, choć lubię kuzyna, mam ochotę mu teraz przywalić.

- Nic nie szkodzi, przecież są wakacje... – Aris się rozmarza.
- Szkodzi. – Zaciskam zęby.
- A co? Jakiś fagas wynajął cię do jej pilnowania? Wygląda raczej na taką, co potrafi o siebie zadbać. – Błądzi wzrokiem po jej nagich ramionach i zjeżdża na piersi.
- Sam się wynająłem. I zerknij na nią jeszcze raz w taki sposób, a będziesz potrzebował rentgena bardziej niż ona.

Aris zerka na mnie z ukosa.

- Co ty gadasz? – Szczerzy zęby, jakby nie rozumiał, co do niego mówię.
- Po prostu masz do niej nie uderzać. Jasne?
- Chyba na nią nie lecisz, co? – Zaczyna się śmiać.
- A nawet jeśli, to nie twoja sprawa – odpowiadam stanowczo.

Mina Arisa rzędnie, patrzy na drogę, a następnie przenosi wzrok ponownie na mnie.

- To taki żart, tak?
- A czy ja się śmieję?

Aris odchrząkuje. Nie spogląda już na mnie, tylko skupia się na drodze.

- A co na to twoja mama? Przecież to córka jej męża – odzywa się po chwili.
- Nic ci do tego.
- Ma coś przeciwko?
- Nie.
- Na serio gadałeś z matką? – Śmieje się. – I co jej powiedziałaś?
- Prawdę.
- Czyli?
- Że chcę się przespać z Kirą.

– Co?! – odzywa się niespodziewanie Kira, która dotąd siedziała cicho między nami, nieświadoma tego, o czym rozmawiamy. A może jednak świadoma? – Że co jej powiedziałaś? – Sprawia wrażenie, jakby zaraz miała eksplodować.

Patrzę na nią zdębiały.

– O co ci chodzi? – udaję głupka.

– Już ty wiesz, o co. – Z całej siły wbija mi laskę w stopę. – Zatrzymaj się! – mówi po grecku do Arisa, który momentalnie staje przed sklepem przy chodniku.

– Wsiadam. Przesuwaj się – syczy do mnie Kira.

– Daj spokój. Do lekarza jeszcze dwa kilometry. – Staram się ją uspokoić, lecz wiem, że nie będzie łatwo. Wkurwiłem ją, i to solidnie.

– Wypuść mnie, bo zacznę krzyczeć.

– Nie mówiłaś, że znasz grecki. – Staram się zmienić temat.

– A ty, że powiedziałeś swojej matce, że chcesz mnie przelecieć.

– Przekręcasz moje słowa, powiedziałem jej, że...

– Doskonale zrozumiałam, co jej powiedziałeś! – Podnosi głos o oktawę. Mimo to wciąż jest niski i zajebiście na mnie działa.

– Nawet nie wiesz, jak mnie kręcisz, gdy się złościś. Może gniewny seks na zgodę? – Unoszę brew.

– Zaraz ci przyłożę, przysięgam.

Aris odchrząkuje, wyraźnie zmieszany.

– Chyba wyskoczę do sklepu po coś do picia – mówi i nim mam szansę zareagować, Kira wykorzystuje moment, przesuwa się i niezgrabnie wyskakuje za nim z auta.

– Kira! – Wychylam się, by sprawdzić, czy nie leży jak długa na chodniku, lecz ona skacze już na jednej nodze i śmiga o lasce przed siebie.

Kurwa mać!

Wsiadam i ją doganiam, ale ona z uporem maniaka idzie przed siebie.

– Nawet nie wiesz, gdzie przyjmuje lekarz – mówię.

– Sprawdzę sobie w Google Maps – odgryza się moim wcześniejszym tekstem.

– Daj spokój. Nadwyrężysz sobie kostkę. Przecież nic takiego się nie stało... – Zagradzam jej drogę.

– Być może dla ciebie. Ale ja byłam u twojej mamy w gościach. Teraz jestem też gościem u twojej babci. I wiesz, co sobie o mnie pomyślą? Że jestem niewdzięczną dziewczuchą, która w podziękę za gościnę uwiodła im syna i wnuka.

– Co? – Patrzę na nią i nie wierzę, że to powiedziała. – Co ty w ogóle mówisz?

– Doskonale słyszysz, co mówię.

– Ale za cholerę nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Możesz powiedzieć, o co dokładnie masz pretensje?

Kira trzyma nogę w powietrzu, opierając się o laskę. Mam wrażenie, że jedyne, co pozwala jej stać stabilnie, to wściekłość, która emanuje z całego jej ciała.

– Gdy facet idzie z nowo poznaną dziewczyną do łóżka, wszyscy wokół uznają, że on jest chojrakiem, a ona kurwą. Gdy dziewczyna tylko flirtuje, to wciąż jest kurwą, bo wysyła mu sprzeczne sygnały. A gdy chce się tylko całować, a on bierze ją siłą, to ona wciąż pozostaje kurwą, bo go sprowokowała. – Kira odдыcha szybko, jej oczy płoną. – Nieważne więc, co teraz zrobię, czy się z tobą prześpię, czy ci odmówię, twoi bliscy będą mnie uważać za kurwę. – Patrzę na nią oniemiały i nie wierzę w to, co powiedziała.

– No co ty, Kira. Nikt tak nie pomyśli... – Wyciągam dłoń, żeby położyć ją na jej ramieniu, lecz ona ją odtrąca.

– Od początku wiedziałam, że jesteś właśnie takim typem faceta, który robi z dziewczyn puszczalskie. Po cholerę ja tu w ogóle przyjeżdżałam? – Kręci głową. – Przesuń się, chcę przejść – mówi, ale ja nawet nie drgnę.

– Źle mnie oceniasz – mówię.

– Przesuń się.

– To, że jakiś facet kiedyś zalazł ci za skórę, nie znaczy, że ja też taki jestem.

– Jesteś. Myślisz tylko o sobie, o seksie, o zaspokojeniu swoich potrzeb. Nie dbasz o uczucia

dziewczyn, z którymi idziesz do łóżka. Olewasz Inge, choć ona uważa cię za swój ideał.

– Inga? No co ty. Po prostu dobrze się razem bawimy.

Kira patrzy na mnie, jakbym był nienormalny.

– I pewnie o pozostałych dziewczynach też tak myślisz? – Kręci głową. – Och, Gordianie, jesteś beznadziejny. Tylko patrzeć, jak którejś z nich złamiesz serce, a ona nie będzie potrafiła z tym żyć i coś sobie zrobi. Ja z pewnością nie zamierzam być jedną z nich – dodaje i mnie omija, po czym wychodzi na ulicę.

Nie zatrzymuję jej. Te ostatnie słowa mnie sparaliżowały. Przed oczami staje mi twarz Klaudii w trakcie wykładów, na ćwiczeniach, podczas seksu... Nie mogę uwierzyć, że nie żyje. Że być może zabiła się z mojego powodu.



Kira nic sobie nie robi z faktu, że wleczeni się za nią autem, podczas gdy ona kuśtyka chodnikiem. Już nawet nie namawiam jej, żeby wsiadła z powrotem. Jest uparta jak pięć osłów mojej babki.

– Może wieczorem skoczmy do klubu się rozerwać? – pyta Aris.

– O tak, parę głębszych dobrze mi zrobi.

– Przyjechać po ciebie?

– Nie będziesz pił?

– Zostawię auto pod klubem, zadzwonię po brata, to nas obierze.

– W takim razie jesteśmy umówieni.

– Jak będziecie już po wizycie u lekarza, zadzwoń, zabiorę was z powrotem do domu. – Aris parkuje pod lecznicą.

– Dzięki, stary, na razie. – Wsiadam, bo widzę, że Kira już zbliża się do wejścia.

Na wyspie jest tylko jeden szpital, oddalony od nas o trzydzieści kilometrów. Na szczęście lokalna poradnia ma u siebie w gabinecie rentgen i USG.

Kira wchodzi do środka, a ja tuż za nią. Od progu wita się po grecku z recepcjonistką i wyciąga dowód osobisty.

– Pomóc ci? – pytam ją.

– Spadaj.

– Jak chcesz.

Siadam na krzeselku w poczekalni. Kilka miejsc dalej czeka jakiś turysta z temblakiem na ramieniu, a za nim kobieta wyglądająca, jakby miała zaraz puścić pawia. Przenoszę wzrok na Kirę, która próbuje dogadać się z recepcjonistką. Widać, że rozumienie ze słuchu wychodzi jej znacznie lepiej niż samo mówienie. Gdy kobieta pyta o ubezpieczenie, Kira łamaną greczyzną stara się wytłumaczyć, że jest uczennicą i jest ubezpieczona. I tak jestem pod wrażeniem tego, jak sobie radzi. Do dzisiaj nie miałem bladego pojęcia, że w ogóle coś rozumie po grecku. Musiała zacząć uczyć się podstaw, kiedy mama pierwszy raz wspomniała o wspólnym wyjeździe, no i widocznie dzięki pobytowi na miejscu przyswoiła sobie nowe słownictwo.

Recepcjonistka jednak ewidentnie nie rozumie tego, co Kira do niej mówi, bo pisze na kartce, ile będzie kosztować RTG wraz z wizytą u ortopedy.

Widzę po Kirze, że powoli ogarnia ją bezradność. Mimo to zaciekle tłumaczy, że w Polsce jest ubezpieczona, że jest obywatelką Unii Europejskiej, wyciąga legitymację szkolną...

Recepcjonistka kręci głową i pyta, czy Kira ma Kartę Ubezpieczenia Zdrowotnego.

– Nie mam. – Kira pociera dłonią czoło. Widzę po niej, że jest umęczona, ledwo stoi.

– Masz. Wyrabiałem karty dla nas wszystkich – odzywam się i do niej podchodzę. – Niebieska. Poszukaj dobrze. – Zaglądam jej przez ramię do portfela.

Kira odstawia laskę na bok, stoi dzielnie na jednej nodze, a drugą trzyma w powietrzu. Wyjmuje stos kart z Wielkiej Brytanii i je przegląda, po czym odkłada każdą na blat. Po cholere je w ogóle ze sobą zabierała? Karta stałego klienta na siłowni, karta rabatowa do drogerii, księgarni, sklepu obuwniczego, wizytówka trenera osobistego, psychiatry... Przyglądam się tej ostatniej: doktor psychiatrii Amanda

Quinn z Yorku, leczenie lęków, paranoi, ataków paniki, fobii, depresji.

– Po co ci to? – Biorę wizytówkę do ręki.

– Nie twój interes. – Kira zabiera ją i chowa z powrotem do portfela. Następnie wyjmuję niebieską kartę. – Czy to ta? – Podaje ją recepcjonistce i się chwieje.

Zaraz tu padnie.

– To ta, a teraz siadaj – odpowiadam, biorę Kirę na rękę i przenoszę ją na krzesło.

– Co ty wyrabiasz? – Odpycha mnie, gdy jej tyłek dotyka siedziska.

– Zaliczam kolejnego plusa za opiekuńczość. Kolejny plus będzie za wypisanie za ciebie formularza.

– Nie trzeba, sama go wypełnię. – Zamierza wstać.

Kładę jej rękę na ramionach i zaglądam w oczy.

– Formularz jest po grecku. Zajmie ci kolejną godzinę, zanim go wypełnisz. Siedź i odpoczywaj.

– Podaję jej butelkę, która leży na krześle obok. – Tu masz wodę, pij.

Zaciska zęby, lecz nic nie odpowiada. Odkręca butelkę, przymyka powieki i zaczyna łapczywie pić.

Kosmyk włosów opada jej na czoło. Po nim kolejny. Spontanicznie odgarniam jej włosy i zakładam je za ucho. Przez moment trzymam dłoń na jej szyi i czuję przyspieszony puls.

Kira patrzy na mnie, po czym odtrąca moją dłoń.

– Nie pozwalaj sobie – mówi i odstawia wodę.

Uśmiecham się mimowolnie. Ta dziewczyna nie ma zielonego pojęcia, że im bardziej mi się stawia, tym mocniej jej pragnę.

Podchodzę do okienka, gdzie czeka już formularz. Wkładam karty Kiry do jej portfela i dostrzegam w przegródce, w której zazwyczaj trzyma się zdjęcie bliskich, notatkę z odręcznie napisaną sentencją: *Wyrządzoną krzywdę można wybaczyć, ale nie zapomnieć.*

Czytam ją trzykrotnie, staram się ją zrozumieć, lecz za każdym razem czuję coraz większą wściekłość. Co za brednie.

Zamykam portfel, wkładam go do tylnej kieszeni i zabieram się za wypełnienie formularza.

– Pan jest rodziną? – pyta mnie podejrzliwie recepcjonistka, zapewne chcąc zadbać o ochronę danych osobowych.

– Bratem – odpowiadam dla świętego spokoju.

– Na lekarza będzie trzeba czekać około czterdziestu minut – informuje, wklepując coś do komputera.

Zajebicie. Znając grecki pośpiech, czeka nas dwugodzinne siedzenie w poczekalni.

Po uzupełnieniu wszystkich danych, które spisałem z karty ubezpieczeniowej, podchodzę do Kiry, oddaję jej portfel, siadam obok i zaczynam śledzić rubryki z części „informacje o stanie zdrowia”:

– Proszę wymienić przebyte choroby... – czytam.

– Sama uzupełnię. – Wyciąga rękę po formularz, a ja się odsuwam.

– Czyli umiesz też pisać po grecku? – Unoszę brwi.

Kira wzdycha z rezygnacją.

– Tak sądziłem. – Przenoszę ponownie wzrok na pierwsze pytanie. – Proszę wymienić przebyte choroby i podać, w którym roku życia wystąpiły.

Kira opiera się o krzesło i wyciąga przed siebie bolącą nogę, zaciskając zęby. Oddycha chwilę przez nos.

– Ospa wietrzna, pięć lat – zaczyna wymieniać. – Angina, siedem lat i chyba dziewięć. Zapalenie wyrostka robaczkowego, dziesięć lat... – zawieszają głos.

Wpisuję punkt po punkcie.

– Coś jeszcze? – dopytuję, bo widzę, że się waha.

– Depresja i zespół lęku napadowego, trzynaście, czternaście, piętnaście lat.

Zapisuję i nie wiem czemu, serce zaczyna mi mocniej walić. Przechodzę do kolejnego punktu.

– Uczulenia?

– Brak.

– Przebyte operacje?
– Usunięcie wyrostka robaczkowego... – Kira zawiesza głos i czeka, aż skończę pisać. –
Cesarские cięcie – dodaje stłumionym głosem.

Podnoszę na nią wzrok, lecz ona unika mojego spojrzenia. Sięga po wodę i upija kilka łyków.

Zapisuję i czytam kolejne pytanie:

– Przyjmowane leki?

– Kiedyś, czy tylko obecnie? – Spogląda na mnie w taki sposób, aż żałuję, że nie dałem jej tego pieprzonego formularza do wypełnienia.

– Obecnie – odpowiadam.

– Hydroxyzinum^[8], doraźnie. – Patrzy mi w oczy.

Czuję ucisk w klatce. Czasami biorę ten lek na sen, ale na drugi dzień czuję się po nim jeszcze gorzej. Nie wiedzieć czemu, mam ochotę objąć Kirę.

Chyba mnie zupełnie powaliło.

– Podpisz się tutaj, na dole. – Podsuwam jej formularz.

Podpisuje się wyraźnie swoim imieniem i nazwiskiem, a ja po charakterze pisma rozpoznaję, że sentencja, którą trzyma w portfelu, została napisana przez nią własnoręcznie.

Nie muszę być geniuszem, żeby poskładać fakty i domyślić się, że Kira solidnie dostała od życia po dupie. Czuję, że serce wali mi szybko. Wyobrażnia podsuwa chore obrazy z jej udziałem, których nie chcę widzieć.

Wstaję, podchodzę do okienka i oddaję formularz.

– Idę się przewietrzyć. Potrzebujesz czegoś? – rzucam do Kiry.

– Nie – odpowiada krótko, wyciąga telefon z kieszeni i zaczyna coś przeglądać na ekranie.

Patrzę na nią i nie wiem, co ze sobą zrobić. Z jednej strony mam ochotę coś powiedzieć, ale nic mądrego nie przychodzi mi do głowy. Z drugiej – chciałbym ją dopytać, upewnić się, czy moje przypuszczenia są trafne, ale to zupełnie popieprzony pomysł.

Mój wzrok przykuwają usta Kiry, nieoczekiwanie układające się w zabójczy uśmiech, kiedy odczytuje coś na telefonie. Tętno mi przyspiesza. Nie, muszę stąd wyjść!



Gdy tylko opuszczam poradnię, uderza mnie powiew gorącego powietrza. Idę w stronę głównego zejścia na plażę. Szybka kąpiel dobrze mi robi. Nad morzem tłoczno, pełno turystów, gwarno. Wolałbym pustkę i ciszę, ale jak się nie ma, co się lubi...

Zrzucam buty, ciuchy i w bokserkach wbiegam do wody. Jakaś dupeczka w bikini uśmiecha się do mnie, kiedy przypadkiem ochlapuję ją wodą. Widzę, że ma ochotę mnie poznać. Uśmiecham się, jednak nie zagaduję. Nurkuję, by odciąć się od rzeczywistości. Głębia zagłusza gwar plaży, ale nie jest w stanie wyciszyć moich myśli. A te błądzą po niepokojących zakamarkach umysłu.

Pamiętam, że gdy byłem mały, zapytałem mamę, dlaczego spotykamy konkretnych ludzi.

– Na świecie żyje tak dużo ludzi. Dlaczego akurat ja spotykam tych, a nie innych?

Mama popatrzyła wtedy na mnie i ujęła moją twarz w ciepłe dłonie.

– Nie wiem, Gordi. Ale chcę wierzyć, że Bóg stawia ich na naszej drodze, by nas czegoś nauczyć, uświadomić nam ważne rzeczy, które mogą sprawić, że będziemy szczęśliwi.

Do tej pory nie mogę pojąć, w jaki pokrętny sposób Bóg chciał ją uszczęśliwić, zsyłając na jej drogę pomiot szatana w postaci mojego ojca. Boga nie ma.

Mam świadomość tego, że gdyby nie spotkała ojca, nie byłoby mnie na tym świecie; że gdyby ojciec jej nie bił, nie wpadłaby w alkoholizm i nie poznała Serafina na spotkaniach AA. A gdyby go nie poznała, ja nie spotkałbym Kiry...

Niech to szlag, znowu Kira. Mam ewidentną fiksację na jej punkcie.

Wynurzam się i biorę haust powietrza. Jestem już daleko od brzegu, a chciałbym być jeszcze dalej. Z dala od świata, od ludzi... Wiem jednak, że niezależnie od tego, jak daleko odpłynę, w końcu dojdę do jakiegoś lądu, spotkam jakiegoś człowieka na swojej drodze, a on, w większym bądź mniejszym stopniu, zacznie wpływać na to, jak potoczą się moje dalsze losy. Nienawidzę tego, że jestem

zależny od ludzi.

Wracam na brzeg. Wynurzam się, zbieram ciuchy i wychodzę z plaży. Z pobliskiej pizzerii dobiega mnie zapach pizzy, a ja orientuję się, że nic jeszcze dzisiaj nie jadłem.

I Kira pewnie też nie.

Zamawiam dużą margheritę, bo nie wiem, jakie dodatki lubi Kira, choć i tak wydaje mi się, że raczej preferuje prostotę. Ubieram się i dziesięć minut później wchodzę do klimatyzowanej poradni. Kira leży na trzech złączonych ze sobą krzesłach i śpi. Podchodzę bliżej, siadam obok jej głowy, otwieram pudło z pizzą i zaczynam jeść.

Nie muszę długo czekać, aż się przebudzi. Jestem przekonany, że to za sprawą zapachu pizzy.

– Strasznie mlaskasz – mówi, po czym siada i bierze kawałek. – Umieram z głodu. – Zaczyna jeść.

– Czyli mam u ciebie kolejnego plusa. Widzisz, jak ładnie potrafię się opiekować.

– Wybitnie – odpowiada z pełną buzią. – Jeszcze załatw nam jakieś materace, coś mi się zdaje, że będziemy tu nocować.

– Doświadczasz *slow life* po grecku, korzystaj, póki możesz. Jak noga? – pytam, bo widzę, że Kira siedzi bardziej swobodnie. Drzemka widać była jej też potrzebna. Nie burczy już na mnie, tylko normalnie rozmawia.

– Lepiej, mogę nią poruszać. To pewnie tylko naciągnięcie więzadła – odpowiada.

– Czyli tak, jak mówiłem. Chyba musisz przyznać mi rację.

– Poczekajmy najpierw na prześwietlenie.



Czterdzieści pięć minut później wychodzimy z poradni. Kira z zabandażowaną stopą, o lasce, po zastrzyku przeciwbólowym, który najwyraźniej poprawił jej humor. Ja w sumie też jestem w całkiem niezłym nastroju.

– A nie mówiłem – rzucam do Kiry i unoszę dłoń, dając Arisowi znać, że go widzę.

– Faktycznie, miałeś rację.

– Co?

– Powiedziałaś, że miałeś rację.

– Jeszcze raz.

Kira przystaje.

– Ogłuchłeś czy jak?

– Nie, ale lubię słuchać, jak przyznajesz mi rację.

Kira uderza mnie laską w kolano i przyśpiesza kroku, kuśtykając.

– Ej, Cyrus, zwolnij, bo ja i reszta ślimaków nie nadążamy. – Śmieję się jak głupi, zupełnie nie wiem czemu.



Po drodze Aris opowiada Kirze historię wyspy. Jakieś wymysły o Homerze i Arkadii. Kira sporo rozumie, lecz co kilka zdań prosi mnie, żebym przetłumaczył.

– Od jak dawna znasz grecki? – pytam ją w końcu.

– Zaczęłam się uczyć rozmówek, gdy tylko przyjechałam do Polski. Twoja mama od razu zaproponowała wspólne wakacje. Pomyślałam, że fajnie byłoby poznać odrobinę języka przed wyjazdem.

– I nic nie mówiłaś? Kalista myśli, że nic nie rozumiesz.

– Rozmawiam z nią po grecku od pierwszego wieczora, kiedy tu przyjechaliśmy.

– A rodzice też wiedzą?

– Też. Twoja mama pomagała mi w nauce.

– Czyli tylko ze mnie robiłaś głupka?

– Nie musiałam nic robić, sam sobie sukcesywnie zapracowujesz na to miano. – Uśmiecha się zawadiacko.



Podjeżdżamy pod dom babci. Aris zaciąga ręczny, nie gasząc silnika.

– Zabieramy cię dzisiaj do klubu – mówi do Kiry i zakłada rękę na oparcie, tuż za jej plecami. Czarus jeden. – Wpadnę po was o dziewiątej.

– Żartujesz chyba. Z tym kulosem nigdzie nie idę. Poza tym nie przepadam za klubami – odpowiada Kira.

– No, daj się namówić. Posiedzisz, wypijesz drinka... – Aris ciągnie temat.

– Daj spokój, miała ciężki dzień. – Otwieram drzwi i zeskakuję na drogę.

– Okej, chciałem być gościnnie. – Aris unosi dłoń.

– Może za kilka dni – dodaje Kira.

– Na to liczę – mówi do niej, po czym przenosi wzrok na mnie. – A my widzimy się wieczorem.

– Ja jednak sobie daruję – stwierdzam i podaję Kirze rękę, żeby wysiadła. O dziwo, korzysta z mojej pomocy.

– Stary... Jaja sobie robisz?

– Nie no, serio. To był chujowy dzień. Wypiję sobie piwko na ganku i wcześniej się położę.

Aris kręci głową.

– Eee tam, umawiać się z tobą. – Spuszcza hamulec ręczny. – Spadam do roboty. Zdzwonimy się jutro. Tak łatwo się nie wymigasz.

Zatrząskuję drzwi i unoszę rękę na pożegnanie. Pikap odjeżdża w tumanach kurzu.



Wieczorem, po kolacji, gdy słońce już chowa się za wzgórzem, babcia zapala na ganku lampion i zaczynamy grać w tysiąca. Początkowo mam opory, bo za cholerę nie wiem, jak się w to gra, ale mamie tak zależy, że słucham z uwagą, jak tłumaczy zasady.

– Grałam w tę grę z moim dziadkiem i babcią. Zobaczycie, można się wciągnąć – opowiada podekscytowana i rozkłada karty.

Nie pamiętam, żebyśmy w przeszłości kiedykolwiek grali rodzinnie w cokolwiek. Ojciec lubił szachy, pokazał mi kilka ruchów, gdy miałem sześć lat, ale ile przy tym się nawysłuchiwałem inwektyw – od głąba, poprzez debila, na jełopie skończywszy.

Teraz, gdy tak siedzimy na ganku, gramy w tysiąca, cykady szeleszczą w drzewach oliwnych, a wino z zeszłorocznych zbiorów winogron Kalisty szumi w głowie, dociera do mnie, jak bardzo brakowało mi w życiu takich momentów.

Ja pieprzę, chyba zacznam się robić sentymentalny.



Kolejne kilka dni spędzamy wszyscy razem na błogim lenistwie na plaży. Spaceruję często z mamą brzegiem morza, rozmawiamy o wszystkim i o niczym. Mama opowiada mi, jakie książki ostatnio przeczytała, a ja mówię jej o moich planach związanych z robieniem doktoratu na uczelni.

– Czyli planujesz się dalej uczyć? Jestem z ciebie bardzo dumna. – Mama opiera głowę na moim ramieniu.

– Raczej prowadzić badania naukowe.

– Życzę ci, aby twój wynalazek okazał się sukcesem.

– Do tego jeszcze długa droga, ale jeśli wszystko się powiedzie, kupię nam dom na jednej z wysp, a może nawet całą wyspę...

Mama zamyśla się, jej wzrok odpływa gdzieś daleko.

– Twój tata też miał takie marzenie – mówi, a ja momentalnie się spinam. – Wierzył, że osiągnie sukces w biznesie i postawi willę przy plaży. Gdy go poznałam, miał w sobie tyle pasji, samozaparcia, pomysłów. Ciągle czegoś szukał. Jakby brakowało mu w życiu czegoś istotnego. Czasami mam wrażenie, że za mało go wspierałam. Staralam się godzić pracę zawodową z wychowaniem ciebie i chyba zapominałam o jego potrzebach.

Zatrzymuję się i patrzę jej w oczy.

– Nawet tak nie myśl. To on za mało wspierał ciebie. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek się mną zajmował, żeby zabierał nas na wakacje, oprócz tych, kiedy odwiedzaliśmy Kalistę. Nie interesowała go moja szkoła, moje treningi. Wiecznie chodził wnerwiony, jakbym mu tylko przeszkadzał w życiu.

Mama kręci głową.

– Przykro mi, że takim go zapamiętałeś – mówi i zaczyna iść dalej brzegiem morza. Podążam razem z nią. – Myślę, że ojciec tak bardzo chciał osiągnąć sukces, zarabiać dużo pieniędzy, że zapominał o tym, co naprawdę się liczy. W wieku dwudziestu lat przyjechał do Polski z niczym. Gdy zaszłam w ciążę, postanowił, że zostanie. Miał kilka pomysłów na biznes, ale żaden nie wypalił. Imał się różnych prac, żeby zarobić na kredyt. Ja byłam biedna, on też, dziecko w drodze, musieliśmy mieć dach nad głową. Myślę, że rzeczywistość go przerosła. Był wizjonerem, indywidualistą o bardzo silnym temperamencie. Każde niepowodzenie rodziło w nim frustrację...

– Którą wyładowywał na żonie i małym dziecku – przerywam jej, bo nie mogę już słuchać, jak go tłumaczy.

– Wiem, że tego żałował. Za każdym razem miał ogromne wyrzuty sumienia...

– Wyrzuty sumienia. Też mi coś. – Czuję, jak narasta we mnie gniew. – Dlaczego to znosiłaś, dlaczego od niego nie odeszłaś?

– Wierzyłam, że w końcu mu się uda. Że któryś z jego biznesów się powiedzie, że osiągnie stabilizację finansową, spełni swoje marzenia i wtedy jego złość minie – wzdycha. – Twój ojciec był jak małe dziecko, które wpada we wściekłość, kiedy coś nie idzie po jego myśli. Sądziłam, że gdy wreszcie dostanie to, czego pragnie, stanie się miłym facetem. Po prostu cierpliwie, z nadzieją, czekałam na ten dzień.

– On nigdy by nie nastąpił – mówię ostro.

– Tego już się nie dowiemy.



Zbieram się wcześniej z plaży i idę do domu babci. Wyciągam z komórki wiertarkę dziadka i kilka długich wkrętów. Biorę starą rurkę, która leży zapomniana po wymienianej kilka lat temu hydraulicie w łazience, i idę do sąsiada.

Marija wita mnie od progu z szerokim uśmiechem na ustach.

– Przyszedłeś. – Opiera się o futrynę drzwi.

– A ty nie w pracy? Chciałem pogadać z twoim ojcem.

Jej uśmiech momentalnie znika.

– Po co?

– Potrzebuję pożyczyc szlifierki kątovej. – Unoszę drąg. – Muszę to przyciąć.

– To może, jak już przytniesz, pójdziemy na spacer? – Sugestywnie unosi brew.

– Później będą ją montował. Może innym razem.

Marija zrezygnowana odwraca się w stronę wnętrza domu.

– Tato! – woła.

– Co?!

– Do ciebie.

Słyszę odsuwane krzesło, kroki i wkrótce ojciec Marii podchodzi do drzwi.

– Gordianie, ale wyrosłeś. – Ściskamy sobie ręce. – Co słyszać?

– W porządku.

– Słyszałem o twoim ojcu... Przykro mi.

A mnie nie.

– Minęło już sporo czasu – zbywam go. – Ma pan może pożyczyc szlifierkę? – pytam, chociaż jestem pewien, że ma. Słyszałem wczoraj, jak ciął coś u siebie za domem.

– Pewnie, chodź. – Wychodzi i prowadzi mnie na tylną część działki. A tam istne złomowisko. Wyciągarki, silniki, kadłub, drzwi do kabiny, stery, kierownice...

Ojciec Marii wchodzi do małego budynku gospodarczego i po chwili wychodzi z dwiema szlifierkami. Kładzie narzędzia na zbitym z desek stole i zerka na córkę.

– A ty co tak stoisz? Do domu, i to migiem. Księgowość czeka.

Marija, gdy ojciec odwraca się do niej plecami, pokazuje mu środkowy palec i spogląda na mnie pytająco.

– To... na razie? – Przygryza zmysłowo wargę.

Nie powiem, przemyka mi przez myśl, co mogłaby zrobić tymi ustami, gdybym tylko wyraził na to ochotę. Mam jednak teraz ważniejszą sprawę na głowie.

– Cześć – odpowiadam i biorę się za cięcie rury.



Godzinę później drażek jest gotowy, a ja dziwnie podekscytowany siadam z piwem na ganku i czekam, aż reszta wróci z plaży.

– Zostawiam wam na kolację souvlaki i idę do Sotirii po zapas ziół, bo mi się kończą – mówi Kalista i zakłada chustę na głowę.

Wpatruję się w nią, bo wydaje mi się, że taki sam wzór chusty miała wiedźma z lasu.

– Skąd ją masz? – pytam.

– Co, chustę? – Wiąże ją pod brodą. – Właśnie od Sotirii, sama je robi. Ładna, prawda? Kiwam głową i upijam łyk piwa.

– A ta twoja znajoma... Czym się zajmuje?

– Jest zielarką, wyrabia garnki, robi chusty, przygotowuje lokalne specjały. Namawiam ją już od dłuższego czasu, żeby wyszła ze swoimi produktami do turystów, lecz ona woli siedzieć u siebie w chacie. Kupujemy więc od niej różne wyroby i przekazujemy dalej do znajomych, którzy sprzedają je na straganach przy głównej ulicy.

– Pewnie Sotiria jest wam wdzięczna... – Biorę kolejny łyk. – Gdzie dokładnie mieszka?

– W diabelskim lesie – odpowiada Kalista, a ja krztuszę się piwem.

– Gdzie? – Wycieram ręką usta.

– W czarnym lesie. – Babcia przysiadła na ławce obok mnie. – Sotiria mieszka tam od dziecka.

– Powiedziałaś wcześniej, że diabelskim...?

Wzrok Kalisty odpywa gdzieś daleko.

– Tak nazywają go niektórzy tubylcy – odpowiada. – Gdy miałam siedemnaście lat, przez wyspę przeszła fala pożarów. Ogień trawił wszystko, co napotkał na swojej drodze. Silny wiatr i wielomiesięczna susza sprawiły, że strażacy nie dawali sobie rady z ugaszeniem ognia. Póki pożar szalał w niezamieszkałej części wyspy na wschodzie, byliśmy spokojni, lecz po tygodniu zaczął niebezpiecznie zbliżać się w nasze rejony. Kolejne domostwa płonęły, a z nimi zwierzęta, plony, zapasy na zimę. Pewnej nocy zjawiła się w moim rodzinnym domu Sotiria ze swoimi rodzicami i dalekim kuzynem, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Podobno dzień wcześniej przyjechał do niej na wakacje. Był taki czarujący i przystojny... – Kalista zawiesza głos i uśmiecha się sama do siebie. – Rodzina Sotirii poprosiła nas o schronienie na pięć dni, wierząc, że do tego czasu pożar ustanie. I tak też się stało. Co więcej, okazało się, że las, w którym mieszkała Sotiria z rodzicami, jako jedyny w tamtym rejonie nie spłonął. Dom w całości ocalał, a otaczające go drzewa zostały tak oczadzone, że swym wyglądem przypominały bardziej posągi niż żywą florę. Jedynie runo leśne zostało doszczętnie zwęglone, a w jego miejscu pozostały wyłącznie białe, gołe skały. Po latach spalone rejony wyspy zaczęły na nowo budzić się do życia. Wyjałowioną ziemię zaczęły porastać kosodrzewina, trawy, zioła, krzewy, a wkrótce i drzewa. Tylko czarny las, w którym znajdował się dom Sotirii, jakby zastygł w czasie i nie wypuścił ani jednej zielonej gałązki. Niektórzy twierdzą, że tej nocy, kiedy miał spłonąć, diabeł nawiedził dom Sotirii i zaproponował jej rodzinie ultimatum, z którego skorzystali.

– Diabeł? – Śmieję się i upijam łyk piwa.

– Ludzie chcą dopiec w ten sposób Sotirii, bo ona ciągle o nim mówi. Biedaczka ma kłopoty psychiczne... Ale jest dobrym człowiekiem.

– Kłopoty? – dopytuję.

– Twierdzi, że słyszy diabła.

– Wierzysz jej?

Kalista zaprzecza ruchem głowy, choć na jej twarzy widzę niepewność.

– Gdy urodził się twój ojciec, wezwała księdza, żeby odprawił egzorcyzmy. Bardzo się wtedy pokłóciliśmy.

– Egzorcyzmy na moim ojcu? – Zaczyna się robić ciekawie.

– Twierdziła, że jest potomkiem diabła.

Śmieję się.

– Dziadek pewnie ją uwielbiał za to porównanie.

Kalista spuszcza wzrok.

– Twój dziadek... On nie był biologicznym ojcem mojego pierwszego syna.

Przyglądam jej się i nie wiem, czy się przesłyszałem. Jednak gdy babcia przenosi na mnie wzrok, zyskuję pewność, że dobrze zrozumiałem.

– Jak to nie był ojcem twojego pierwszego syna?

– Był rodzonym ojcem twojego wujka Pavlosa. Gdy twój tata miał cztery latka, wyszłam za mąż za twojego dziadka i wtedy urodził się twój wujek.

– To kto był prawdziwym ojcem mojego ojca?

– Kuzyn Sotirii.

Nie mogę w to uwierzyć. No ładnie. Babcia ma sporo za uszami.

– I gdzie on jest?

Kalista wzdycha.

– Nie wiem. Po tym, jak pożary ustały, zniknął i nigdy więcej go nie widziałam. Zostałam samotną matką.

– Drań. Płacił chociaż jakieś alimenty?

– Wnusi, on się dosłownie rozpułynał w powietrzu. Nikt nie wie, jak i kiedy opuścił wyspę.

– A mój ojciec wiedział? Powiedziałaś mu, gdy dorósł, że dziadek nie jest jego prawdziwym ojcem?

– Wszyscy wiedzieli.

– A co na to rodzice Sotirii? Byłaś przecież młoda, a tamten fagas zrobił ci dziecko. Ktoś powinien cię jakoś wesprzeć.

– Wspierali mnie, ale to nie była ich wina, że zaszłam w ciążę. Dobrze wiedziałam, co robiłam. Tak przynajmniej mi się wtedy zdawało, byłam już prawie dorosła. A Gordian naprawdę zawrócił mi w głowie, byłam nim oczarowana...

Uderza mnie fala gorąca.

– Gordian? – pytam przekonany, że znów źle usłyszałem.

– Twój ojciec się uparł, żeby dać ci imię po twoim prawdziwym dziadku. Grecka tradycja nakazuje, by wnukom nadawano imiona ich dziadków w celu kontynuowania imienia rodowego.

– Ojciec twierdził, że mam imię po rzymskim imperatorze, Marcusie Antoniusie Gordianusie.

– Masz imię po swoim prawdziwym dziadku. Tak jak Giorgos, najstarszy syn wujka Pavlosa nosi imię po swoim. Podejrzewam, że twój ojciec wstydził się przyznać do porażki, dlatego wymyślił tę historię o imperatorze.

– Jakiej porażki?

– Po sześciu latach poszukiwań nie udało mu się odnaleźć biologicznego ojca, dla którego porzucił wyspę, rodzinny interes i wyjechał w świat. Nie chciał mi za wiele zdradzać. Domyślałam się jedynie, że podróżuje śladami Gordiana, choć szczerze, nie mam bladego pojęcia, w jaki sposób zdołał trafić na jego trop, skoro nawet rodzina nie miała pojęcia, co się z nim stało. Mogłam się tylko domyślać, że kraje, z których dostawałam kartki pocztowe od syna, nie były przypadkowymi miejscami. On go po prostu szukał. W końcu trafił do Polski, gdzie poznał twoją mamę, zakochał się, a potem pojawiłaś się ty. Wtedy zaprzestał poszukiwań.

Upijam duży łyk piwa. Z trudem dociera do mnie, jak mało wiem o swojej rodzinie. Jak mało wiem o swoim ojcu, o swoich genach.

– Często zastanawiam się, co stało się z twoim prawdziwym dziadkiem. Kim był, dokąd się udał, czy wiedział, że ma syna? – Kalista poprawia chustę na głowie. – Bywa, że za chwilę przyjemności przychodzi nam płacić przez całe życie. Niestety moja lekkomyślność i młodzieńcza naiwność odbiły się najmocniej na twoim ojcu – wzdycha. – Mój mąż, Giorgos, nigdy nie pokochał Nicosy. Traktował go ostrzej niż Pavlosa. Ale też trzeba przyznać, że twój tatuś miał charakterek i potrafił zaleźć za skórę. Mimo to kochałam i kocham go jak nikogo innego na świecie. Był, jest i zawsze będzie moim pierwszym i ukochanym synem... – Głos jej się łamie, a w oczach pojawiają się łzy, lecz nim mam szansę zobaczyć, jak spływają po policzkach, Kalista wstaje i odwraca się do mnie plecami.

– Babciu... – Chciałbym jej powiedzieć jakieś pokrzepiające słowo, gdy niespodziewanie w mojej głowie odzywa się głos:

Widzisz... A ty go zabiłeś, zabiłeś jej ukochanego syna, zabiłeś mojego syna!

Tętno mi przyspiesza, czuję się, jakbym miał ogromny kamień w żołądku.

– Sotiria na mnie czeka. Smacznej kolacji, wnusi. – Kalista schodzi z ganku. – Wrócę późno! –

Unosi rękę, macha i wychodzi na drogę.

A mnie po raz pierwszy od śmierci ojca przelatuje przez głowę myśl, czy dobrze zrobiłem, że go zabiłem.



Po rozmowie z Kalistą siedzę na ganku i wlewam w siebie, nie wiem którego browara z kolei. Gdy Kira wraca z plaży, jestem już nieco wstawiony. Nie daję jednak nic po sobie poznać.

Wstaję i wychodzę jej na spotkanie. Ma na sobie górę od kostiumu i skape szorty.

– A gdzie rodzice? – Staram się nie patrzeć na jej piersi i odbieram od niej torbę.

– Jeszcze zostali – odpowiada i idzie w stronę domu, utykając.

– Mam coś dla ciebie. – Stawiam torbę na ganku i wyciągam rękę w stronę Kiry. – Zamknij oczy.

– Wolę nie. – Kira patrzy na moją dłoń.

– Psujesz mi całą zabawę. – Opuszczam rękę. – Chodź. – Kiwam na nią, podążając do zagajnika na tyłach działki.

Kira idzie za mną. Słyszę za sobą jej oddech, czuję zapach olejku do opalania. Puls mi przyspiesza, gdy zbliżamy się do kilku dorodnych sosen, rosnących tu, odkąd pamiętam.

– To tutaj. – Odwracam się i pochwytyuję spojrzenie Kiry, która patrzy na mnie pytająco. – Zamkniesz teraz oczy? – pytam ponownie.

Kręci głową.

– No, Cyrus, daj sobie zrobić niespodziankę.

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę.

– Okej – odpowiada w końcu. – Ale lepiej, żebyś był ubrany, jak je otworzę. – Przymyka powieki.

Prowadzę ją za ramiona do przodu.

– Pomyślałem, że skoro na razie nie możesz biegać, nie będziesz chciała wyjść z formy... – mówię i się zatrzymuję. – Możesz już otworzyć oczy.

Jej powieki się uchylają, wzrok wędruje w stronę zagajnika, na twarzy pojawia się uśmiech.

– Zrobiłeś go dla mnie? – Jest wyraźnie zaskoczona.

Wzruszam ramionami.

– To tylko drażek... – Przesuwam dłonią po karku.

Kira podchodzi bliżej niego i rozgląda się za jakimś pieńkiem, żeby na niego wejść i złapać się drażka.

– Podesadzę cię. – Staję tuż za nią i obejmuję ją w talii.

Czuję pod placami rozgrzaną słońcem skórę. Mam ochotę przenieść dłonie wyżej, wsunąć je pod biustonosz i ścisnąć piersi, jednak jestem pewien, że od razu dostałbym z łokcia w pysk.

Unoszę ją pół metra nad ziemię, a wtedy ona łapie za drażek. Odsuwam się, żeby dać jej swobodę.

– Wygląda na stabilny – mówi i zaczyna się podciągać; unosi brodę nad drażek, po czym opuszcza się do pełnego zwisu.

Wpatruję się w mięśnie jej ramion, jak pracują z gracją pod opaloną skórą.

– Dłoń już w porządku, zagojona? – pytam.

– Powiedzmy. – Kira podciąga się dalej.

– Trzy. Cztery. Pięć... – liczę.

To ją najwyraźniej dopinguje, bo w jej oczach dostrzegam iskrę motywacji. Zaczyna głośno oddychać. Podciąg – wdech, zwis – wydech. Robi pełny zakres ruchu, nie jakieś tam płytkie trzy czwarte podciągnięcia.

Przy trzydziestym razie widzę, że ręce ma już zmęczone.

– Schodzisz? – pytam.

Kręci głową. Wisi przez kilka sekund, stabilizuje oddech. Następnie zaczyna robić krzeselka.

Unosi zgięte nogi w kolanach do brzucha. Mięśnie wokół pępka napinają się i rozluźniają.

Kurwa, jestem urzeczony pięknem jej ciała.

Po serii piętnastu podciągnięć Kira znów wisi, kropelki potu mieniają się pomiędzy jej piersiami.

– Zdjąć cię? – pytam.

Ponownie kręci głową, oddycha głęboko i podciąga nogi, zupełnie proste w kolanach, tak że dotyka stopami do drążka.

To mi imponuje. I mnie podnieca. Przesuwam dłońmi po twarzy. Mam ochotę natychmiast ściągnąć Kirę z tego drążka i wycalować jej spocone ciało. Pragnę ssać jej piersi, zlizywać spomiędzy nich słony pot, kąsać umięśniony brzuch, zsunąć zębami majtki...

Kira robi kolejne podciągnięcie nóg. Z jej ust wydobywa się stęknienie: niskie, gardłowe. Opuszcza nogi.

Nie mogę znieść tego, jak ona na mnie działa.

Pochodzę do niej i obejmuję ją za uda.

– Co robisz? – Zerka na mnie w dół, lecz nie puszcza drążka.

– Pomagam ci zejść.

– Dlaczego? Jeszcze nie skończyłam.

– Skończyłaś. Za bardzo mnie podniecasz. Nie rękę za siebie.

– Chryste, to sobie stąd idź.

– A co z twoją nogą? Jak zejdziesz?

– Przystaw mi jakiś pieniek, poradzę sobie.

Stoję bez ruchu i czuję, że za nic nie mam ochoty jej puścić.

– Nie podziękowałaś mi jeszcze za zamontowanie drążka – mówię.

– Dziękuję – odpowiada.

– To za mało. – Widzę, że jej ręce zaczynają drżeć od wysiłku. Wykorzystuję ten moment, podsadam ją wyżej i w chwili, gdy rozluźnia uścisk na drążku, ściągam ją w dół.

Kira puszcza się i łąduje w moich ramionach. Oddycha szybko, jej sutki ocierają się o moją klatkę piersiową. Patrzy na mnie szeroko rozwartymi oczami. Przygarniam ją do siebie, jej udo dotyka kutasa, przez którego przepływa prąd. Czuję, że mi staje. Najchętniej przycisnąłbym ją jeszcze mocniej do siebie, żeby poczuła, jak na mnie działa.

Ale nie chcę jej spłoszyć. I tak ma już taki wyraz twarzy, jakby obawiała się, że zrobię coś wbrew jej woli.

– Nie bój się mnie – mówię i odsuwam jej warkocz z ramienia na plecy. Widzę, jak żyłka na jej szyi pulsuje rytmicznie.

– Nie boję się ciebie.

– Twoje tętno mówi mi coś zupełnie innego. – Przesuwam palcami po nagiej szyi.

– To od ćwiczeń.

Na jej ramionach pojawia się gęsia skórka. Przybliżam twarz do jej ucha. Czuję, jak Kira zaczyna drżeć.

– Czy to jest chemia, o której mówiłaś? – szepczę.

– Powiedzmy. – Nie odsuwa się.

– Zabójczo pachniesz. – Całuję ją w szyję, delikatnie, żeby jej tylko nie spłoszyć. – A smakujesz jeszcze lepiej...

Przesuwam językiem po jej skórze i całuję zagłębienie w obojczyku.

Oddech Kiry przyspiesza.

Czuję, jak wzmagą się w niej podniecenie. O tak, już jesteś moja. Całuję jej dekolt, schodzę niżej, już się nie mogę doczekać, by objąć ustami sutek. Chcę go kąsać, ssać... Zlizuję pot spomiędzy jej piersi, tak jak sobie wyobrażałem, odchylam palcami stanik.

I wtedy Kira się odsuwa.

Patrzy na mnie dziwnie, jakby sama nie wiedziała, czego chce. Oddycha szybko. Wbijam wzrok w jej usta. Są takie seksowne. Serce dudni mi w piersi. Przesuwam kciukiem po jej dolnej wardze, a wtedy ona nieoczekiwanie dotyka go czubkiem języka.

Zaraz oszaleję. Przybliżam się. Nie wiem, co właściwie odpieprzam. Czuję jej oddech na skórze, widzę, jak ponętnie rozchyła wargi...

Kurwa, już nie wytrzymam.

Ujmuję jej twarz, przyciągam ją do siebie i wpijam się w jej usta. Są miękkie, pyszne, soczyste.

Zaczynamy się całować – mocno, łapczywie, pożądliwie. Rozchylam szerzej jej wargi, pogłębiam pocałunek. Nasze języki się splatają, smakują się, zatracają w sobie. Nie mogą przestać się dotykać, poznawać, penetrować...

I nagle coś zaciska się na moim gardle. Moje serce przestaje bić, jakby się zacięło. Brakuje mi tchu. Czuję ucisk w klatce piersiowej. Nie mogę oddychać. Nie mogę, kurwa, oddychać!

Cofam się, próbuję złapać haust powietrza. Mam czarno przed oczami. Pochyliam się, opieram dłonie o uda. Wdech i wydech. Oddychaj. Oddychaj.

– Gordianie...? – Kira nachyla się nade mną.

Nabieram powietrza. Wciąż czuję ucisk w klatce piersiowej, jakby ktoś rzucił na nią wór kamieni.

– Co ci jest? – pyta zdezorientowana Kira.

Podnoszę na nią wzrok, biorę kolejny wdech i ze ściśniętym gardłem mówię na wydechu:

– Zapomniałem, kurwa, że nie całuję się w usta.



Numer, jaki odwaliłem z Kirą, był jak posranie się w swoje ulubione, śnieżnobiałe gacie.

Przez cały wieczór i następny dzień nie rozmawiamy. Kira mało co się odzywa, chociaż ja też nie jestem specjalnie rozmowny. Nie wiem, czy ona żałuje tego, do czego między nami doszło, czy może się obraziła na to, co powiedziałem o całowaniu.

Ale co niby powinienem był jej powiedzieć? Że mam atak paniki?

Przez cztery lata był spokój. Po pozorowanej miesięcznej żałobie po ojcu wyszedłem do klubu, spiłem się, poznałem jakąś laskę, zaczęliśmy się całować. I dosłownie zabrakło mi powietrza. Byłem przekonany, że umrę w tamtym klubie. Trafiłem na SOR z podejrzeniem zawału serca. W szpitalu zrobili mi EKG, echo serca, badania krwi i wypisali do domu z rozpoznaniem: zaburzenia lękowe z atakami paniki. I skierowaniem do psychiatry. Byłem u niego dwa razy. O dwa za dużo. Zamiast przepisać mi jakieś porządne prochy, zaczął grzebać w moim życiorysie, wyciągać jakieś brudy z przeszłości, wypytywać, czy ostatnio miałem stresujący okres.

– Ja się nigdy nie stresuję, ja się tylko często wkurwiam – odpowiedziałem.

– Wkurwienie, jak je nazywasz, to reakcja na silne emocje. Gniew rodzi się z bezradności, gdy coś idzie nie po naszej myśli. Nie są to pierwotne reakcje, są wtórne. Złość występuje w odpowiedzi na strach.

– Strach... Że niby się czegoś boję? Brednie – zaśmiałem się.

Doktorek miał nierówno pod sufitem.

– Atak paniki, którego doznałeś dwa tygodnie temu, ewidentnie wskazuje na to, że czegoś się boisz. Opisałeś przy naszym pierwszym spotkaniu, że wystąpił podczas pocałunku z dziewczyną. Czy od tamtego razu zdarzył się ponownie?

– Nie.

– Wspominałeś również, że w twoim rodzinnym domu dochodziło często do awantur. Czy uważasz, że twoi rodzice się kochali?

– Nie wiem.

– Czy często się całowali?

Zacisnąłem mocno szczęki.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Więcej, niż mogłoby ci się wydawać. Odpowiedz, proszę, na pytanie.

– Całowali się, a potem ojciec napierdalał w matkę jak w worek treningowy.

– Rozumiem. – Doktorek zapisał coś w zeszycie. – Czy w przeszłości doświadczyłeś podczas pocałunku podobnego uczucia? Ucisk w klatce piersiowej, problemy z oddychaniem, kołatanie serca?

– Tak, raz. Ale też byłem pijany i szybko mi przeszło.

– Czy w dotychczasowym życiu doświadczyłeś zdrady ze strony dziewczyny, z którą się spotykałeś?

– Tak. I co z tego? – Czuję, że ta wizyta coraz bardziej mnie wkurwia.

– Byliście ze sobą blisko?

– Tak sobie.

Doktor przyglądał mi się, po czym nachylił się w moją stronę.

– To może inaczej sformułuję pytanie. Kochałeś ją?

Moje serce zaczęło mocniej bić. Nie podobały mi się jego pytania, jego ton, jego spojrzenie. Stwierdziłem, że ostatni raz do niego przychodzę.

– Proszę przepisać mi jakieś tabletki, na wypadek gdyby ataki znów się pojawiły – powiedziałem stanowczo.

– To złożony proces. Leki wyciszą twoje emocje na pewien czas, po którym ataki wrócą, i to ze zdwojoną siłą. Im bardziej będziesz wypierał to, co czujesz, tym bardziej objawy będą się nasilać. Trzeba dotrzeć do przyczyny. Podejrzewam, że jest nią strach przed bliskością i odrzuceniem.

– Pieprzenie. Jestem u ciebie w gabinecie drugi raz, a ty już stawiasz diagnozę, i to wyssaną z palca.

– Niezdrowe relacje twoich rodziców, czego byłeś świadkiem, do tego zdrada dziewczyny, na której ci zależało, mogą być przyczyną pojawiania się ataków paniki w trakcie zbliżenia. I nie mam tu na myśli seksu, podczas którego, jak twierdziłeś, nie występowały żadne niepokojące objawy. Pocałunek jest szczególnym wyrazem bliskości. Jest intymny, wzbudza emocje. Może być wyrazem szacunku, czułości i miłości. Uczuć, których obawiasz się z racji własnych doświadczeń. Dopóki ich nie przepracujemy, dopóty ataki paniki będą pojawiać się podczas pocałunków.

Wstałem, uważałem tę wizytę za skończoną.

– Wypisz mi receptę na leki. To jest nasze ostatnie spotkanie. – Rzuciłem mu dwie stówy na biurko za godzinę jego bełkotu. Ja muszę ciężko zapracować na tę kasę, a ten się bawi ze mną we Freuda.

– Czy powiedziałem coś, z czym się nie zgadzasz? – Doktor patrzył na mnie pytająco.

– Wyraziłeś się jasno i być może nawet masz rację.

– Dlaczego więc nie chcesz się więcej spotykać?

– Szkoda mi forsy i nie mam ochoty na, jak to nazwałeś, przepracowywanie moich doświadczeń. Znam lepszy sposób na pozbycie się ataków paniki.

– Naprawdę? Jaki? – Uniósł brwi, wyraźnie zaintrygowany.

– Nie zamierzam się z nikim więcej całować.

I to by było na tyle na temat własnych postanowień.



Aris wysłała mi SMS-a, że podjedzie pod dom babci za pół godziny.

Biorę prysznic, golę się, wklepuję w twarz wodę po goleniu, zakładam dzinsy i koszulę. Gdy wychodzę na zewnątrz, Aris właśnie podjeżdża.

– Dzień dobry, Kalisto – wita się z babcią, która razem z Kirą rozwiązuje na ganku krzyżówki po grecku.

– Dzień dobry. Chyba szykuje się jakaś potańcówka – mówi z uśmiechem babcia. – Chłopcy wyszykowani jak na wesele.

– Idziemy pograć w bilard. Znajomy jest barmanem w pubie przy głównej ulicy – odpowiada Aris i przenosi wzrok na Kirę. – Gotowa?

Kira marszczy brwi.

– Na co?

– Na wyjście. Gordian ci nie mówił, że przyjadę? – Patrzą teraz na mnie we troje.

– Jakoś nie było okazji – tłumaczę i po raz pierwszy od wczorajszego zdarzenia udaje mi się spojrzeć Kirze w oczy.

– Idziesz z nami? – pytam.

– Nie, posiedzę z Kalistą. – Kira spuszcza wzrok na krzyżówkę.

– Przykro mi, złotko, ale za godzinę wychodzę pograć w kości. Jedź z chłopakami, rozerwij się.

– Babcia klepie ją po dłoni. – Od wczoraj chodzisz jakaś osowiała. Masz wakacje, baw się.

– Nie mam ochoty. – Kira wpisuje jakieś hasło w kratki.

Patrząc na nią i chociaż przez myśl mi przeszło, że może uda mi się w pubie poznać jakąś fajną

dupę i zapomnieć o Kirze, dochodzę do wniosku, że chyba jednak wolałbym jej towarzystwo. Nachylam się nad nią i mówię jej do ucha:

– Możemy pogadać?

Odwraca głowę tak, że jej usta znajdują się blisko moich.

Zbyt blisko. Widzę, że oddycha szybciej niż przed chwilą.

– Mów.

– Wolałbym na osobności – odpowiadam tuż przy jej twarzy.

Kira patrzy mi w oczy. Wstaje.

– Zaraz wracamy – daję znać Arisowi.

Idziemy za dom, tam gdzie wczoraj.

– Ćwiczyłaś dzisiaj? – Wskazuję na drążek.

– O tym chciałeś ze mną rozmawiać? – Zakłada ręce na piersi.

Oho, ktoś tu jest w bojowym nastroju.

– W sumie od tego się zaczęło – mówię.

– I na tym się skończy. Coś jeszcze chciałeś mi powiedzieć?

Marszczę brwi.

– Co się skończy?

Kira przystępuje nerwowo z nogi na nogę. Widzę, że ją nosi.

– To, co w ogóle nie powinno się zdarzyć.

Podchodzę bliżej.

– Mówisz o tym? – Nachylam się, odsuwam jej warkocz i całuję ją w szyję. Chryste, jak ona kusząco pachnie.

Odsuwa się.

– Przestań – upomina mnie.

– Dlaczego? Przecież cię pociągam.

– Być może. Ale nic z tego nie wyjdzie.

– Dlaczego?

– Bo ty się nie całujesz, a ja się nie pieprzę. Zostawmy więc sprawy między nami takimi, jakie są.

Spuszczam głowę, po czym ją podnoszę i patrzę Kirze w oczy.

– Nie da rady. Za bardzo cię pragnę. – Przesuwam palcami po jej odsłoniętym ramieniu, na którym pojawia się gęsia skórka.

– Wsiadaj do auta z Arisem i jedź zaliczyć jakąś panienkę, to ci przejdzie pragnienie – mówi, lecz widzę w jej oczach, że wcale tak nie myśli.

Ujmuję jej warkocz i owijam go sobie wokół dłoni.

– Nie chcę jakiejś panienki, chcę ciebie – mówię jej do ucha i całuję ją w szyję.

Nie opiera się. Czuję, jak każdy dotyk moich ust sprawia, że Kira coraz bardziej mi się poddaje.

Łapię ją za ramiona i opieram o drzewo.

Kira oddycha szybko, jej piersi falują.

– Gordianie, to bez sensu – mówi z urywanym oddechem.

A ja wiem, że ma rację. Ona to bieg długodystansowy, a ja jestem sprinterem. Potrzebuję kogoś na tu i teraz, na już. Po to, żeby porządnie wypieprzyć, odczuć ulgę i zapomnieć. A nie bawić się w kotka i myszkę.

Dlaczego więc tak mnie ciągnie do tej dziewczyny? Dlaczego robię z siebie głupka, zamiast zwyczajnie odpuścić?

– Chryste, zwariuję przez ciebie – wzdycham jej do ucha, ocieram się nabrzmiałym fiutem o jej udo i wsuwam jej rękę pod bluzkę.

Kira wkłada mi palce we włosy i zagłąda w oczy.

– Dlaczego nie całujesz się w usta? – pyta wprost.

No i pozamiatane.

– Mało ważne.

– Dla mnie ważne – odpowiada. – To, co stało się z tobą wczoraj, podczas naszego pocałunku... To nie było normalne. Często zdarzają ci się takie ataki? – pyta z twarzą tuż przy mojej.

Patrzę w jej oczy. Są szczerze i takie, kurwa, piękne. Aż mnie boli, że nie mogę mieć tej dziewczyny tylko dla siebie.

– Kiro, naprawdę wolałbym o tym nie rozmawiać. Okej?

Stoimy tak przez dobrych kilka sekund, w końcu Kira mnie puszcza.

– Okej – mówi.

Nie naciska, nie dopytuje, nie draży jak inne dziewczyny, które znałem. Sprawia wrażenie, jakby naprawdę rozumiała i szanowała to, że za żadne skarby nie chcę o tym mówić.

Całe podniecenie poszło się jebać, ale na jego miejscu pojawiło się coś nowego... Nie wiem nawet, jak nazwać to uczucie.

Rozlega się klakson pikapa, a po nim wołanie Arisa:

– Idzicie? Ile można na was czekać?

Patrzę na Kirę.

– Masz ochotę na bilard?

– Chyba zostanę w domu.

– Będziesz tu siedzieć sama? Dwie partyjki i wracamy.

Zastanawia się przez kilka dobrych sekund.

Ponowny klakson.

– No chodźcie! Błagam... – drze się Aris.

Kira się poddaje.

– Dobra. Ale nie będziesz się gapił na mój tyłek podczas gry.

– To niemożliwe. Mogę natomiast obiecać, że nie dam ci klapsa, kiedy pochyłisz się nad stołem.

– Dobrze wiesz, że bym ci oddała.

– Wiem, i to mnie bardzo podnieca.

Kira wywraca oczami.

– Chyba jednak zostanę w domu.

– Jak ze mną wygrasz, jestem jutro na twoje rozkazy.

– To znaczy? – W jej źrenicach zapala się iskra.

– Zrobię wszystko, o co mnie tylko poprosisz – odpowiadam.

– Umowa stoi.



Klub, do którego zabiera nas Aris, nie ma okien ani drzwi tak jak pozostałe lokale usługowe przy głównej ulicy. Ich funkcję pełnią rolety, które teraz są podniesione.

Wchodzimy do środka, gdzie naprzeciwko wejścia umieszczono bar, po prawej stronie jest miejsce do tańczenia, po lewej dwa stoły bilardowe, rzutki i jakiś automat do gier. Pośrodku rozstawiono kanapy i ławy.

Gdy tylko barman dostrzega Arisa, kiwa na niego głową.

– Przynieść ci coś? – pytam Kirę, która siada na jednej z kanap.

– Wodę.

– A do picia? – Unoszę brwi.

Uśmiecha się.

– Okej, niech będzie jakiś lokalny drink. Tylko nie z tonikiem.

– Dobra.

Podchodzimy z Arisem do lady, przy której siedzą trzy młodziutkie turystki – Rosjanki. Śmieją się, flirtują z barmanem. Patrząc na nie, mam ochotę zanucić kawałek *Hej suczki, znamy wasze sztuczki*. Te trzy to trio stworzone do pieprzenia. Razem, w czworokacie. Blondynka z odsłoniętym brzuchem, brunetka z wielkimi cyckami i ruda z ustami, które przygryza teraz ponętnie, zerkając w moją stronę.

– Hej, przystojniaku. Może postawisz nam drinka? – Blondyna zagaduje do mnie po angielsku i zakłada nogę na nogę.

Odruchowo zerkam na jej odsłonięte uda. Spódniczka się rozchyła, a ja widzę gołą cipkę. Prąd przepływa mi od jaj do kutasa. Czemu mnie nie dziwi, że nie ma majtek?

– Chyba już coś pijesz. – Zerkam na jej drinka.

– Właśnie kończę. Dosiądziesz się? – Przesuwa dłonią po moim ramieniu. – Potrzebujemy z dziewczynami towarzystwa.

Zerkam na pozostałe dwie niunie. Niczego im nie brakuje. Wyobraźnia zaczyna mi pracować. One trzy, ja jeden. Leżę na łóżku, blondyna siedzi mi na twarzy ze swoją wygoloną szparą, brunetka całuje jej cycki i robi sobie dobrze ręką, a ruda ciągnie mi druta.

O tak, możesz je mieć wszystkie naraz, teraz, już – szepcze głos w mojej głowie. – *Postaw im drinka i zabierz je do pierwszego lepszego motelu. Zobacz, jakie są chętne* – kusi.

– Co dla was? – Dociera do mnie pytanie barmana.

– Dla mnie piwo – mówi Aris.

– A dla ciebie? – zwraca się do mnie.

Przesuwam wzrokiem po Rosjankach.

– Co piją dziewczyny? – pytam.

– Wódkę z colą – odpowiada. – Podać?

– A dowód mają? – Zerkam na dupeczki. Ich oczy się rozszerzają. – Z tego, co kojarzę, rozpijanie nieletnich jest karalne, a mnie nie śpieszy się za kratki. – Odwracam się do nich plecami, a głos w mojej głowie wyzywa mnie od debili.

– Dwa razy ouzo – zwracam się do barmana.

Ten sprawnie nalewa trunek. Biorę kieliszki z baru, odwracam się i skacze mi ciśnienie. A ten tu czego, kurwa?

Podchodzę do kanapy, na której Kira gada po angielsku z jakimś odpicowanym gogusiem. Słyszę niemiecki akcent i nie wiem czemu, ale od razu mam ochotę koleśowi przyłożyć.

Moja babcia od strony mamy spędziła dzieciństwo w niemieckim obozie koncentracyjnym i zagłady w Majdanku. I choć jestem świadomy tego, że było to siedemdziesiąt lat temu, że wnukowie nie powinni płacić za winy dziadków, że ten fagas, co urabia teraz Kirę, najpewniej nie ma nic wspólnego ze śmiercią moich pradziadków i zjebanym dzieciństwem mojej babci, mimo to aż mnie świerzbią ręce, żeby mu przywalić.

Stawiam kieliszki na ławie.

– Dla ciebie nic nie mam, Hans. Zabieraj stąd dupę i idź rwać Rosjanki.

Koleś podnosi na mnie wzrok.

– Spokojnie, po co te nerwy? – Unosi dłonie. – My tylko rozmawiamy.

– Rozmawialiście, a teraz wypierdalaj. – Staję nad nim. Wkurwia mnie to, że siedzi tak blisko Kiry. Wkurwia mnie to, że jego kraj sponiewierał kraj moich przodków.

– Nie tym tonem. – Hans wstaje. Jest mojego wzrostu.

Tym lepiej, nie będę miał żadnych oporów, żeby go stłuc.

– Gordianie, daj spokój. Alex pytał o...

– Nie było mnie pięć minut, a wy już zdążyliście poznać swoje imiona – przerywam jej.

– Gdybym miał taką kobietę, nie pozwoliłbym jej czekać nawet minuty – wtrąca Hans.

– Zamknij ryj. – Zaciskam pięści.

– Najwyraźniej jej nie doceniasz, skoro podrywasz tamte panienki. – Uśmiecha się szyderczo.

Nie wytrzymuję.

Chwytam go mocno za koszulkę i uderzam głową w nos. A potem znów, i jeszcze raz... Już wiem, jak czuje się byk na korridzie.

– Gordian! – Kira łapie mnie za rękę. Odciąga od faceta, ale ja wciąż trzymam go za koszulkę. – Przestań!

Patrzę na Hansa. Twarz ma zakrwawioną, elegancką koszulkę poplamioną na karmazynowo. Chwieje się na nogach.

Puszczam go, a on bezwładnie opada na kanapę.

Kira odciąga mnie na bok, jest solidnie wkurzona.

– Co ci odwaliło? Przecież on nie zrobił nic złego. Zmasakrowałeś mu twarz!

– I dobrze. Podrywał cię.

– Był nieszkodliwy. Sama potrafię się o siebie zatroszczyć.

Wiem, że potrafi. Jestem pewien, że gdyby tylko koleś próbował zrobić coś wbrew jej woli, porządnie by go sprąła.

Patrzę na nią i powoli dociera do mnie powód, dla którego wjechałem koleśowi.

– Nie będę się z nikim tobą dzielił – oświadczam.

Kira otwiera szeroko oczy.

– Nie jestem twoją własnością, żebyś się mną dzielił – karci mnie. – Ty możesz podrywać jakieś dziewczyny przy barze, a ja nie mogę nawet porozmawiać? Zastanów się, co mówisz.

– Nie podrywałem ich. A ten palant nie chciał tylko z tobą rozmawiać. Nie mogłem na to beczynnie patrzeć. Chcę cię mieć wyłącznie dla siebie...

Kurwa. Chyba doznałem wstrząśnienia mózgu, że jej to mówię.

Kira kręci głową.

– Idź umyć twarz, bo masz całe czoło we krwi – odpowiada zrezygowana. – Postaram się udobruchać Alexa, żeby nie narobił nam jakiegoś szajsu.

Odwracamy się, ale koleś już nie ma.

Najwyraźniej podwinął ogon i spierdolił. Odważniak jeden.



Po kilku kolejkach ouzo, które najwyraźniej zasmakowało Kirze, atmosfera nieco się rozluźnia.

Aris przygruchał sobie lokalną dziewczynę – małą, okrągłą, z dużym biustem. Ma na imię Chara, co w dosłownym tłumaczeniu z greckiego oznacza radość i bardzo do niej pasuje. Uśmiech nie schodzi jej z twarzy. Laska pamięta mnie z mojego poprzedniego pobytu w Grecji, ale ja w ogóle jej nie kojarzę. Siedzimy, śmiejemy się z żartów, którymi jak z rękawa sypią na zmianę Aris i Chara. Pasują do siebie.

DJ puszcza jakieś stare kawałki hip-hopowe, a my idziemy grać w bilard.

Plany się zmieniły. Jestem w parze z Kirą, dzięki czemu mogę beczelnie gapić się na jej tyłek, gdy przychodzi jej pora na wbicie bili. Alkohol szumi mi w głowie, mimo to zamawiam dla nas następną kolejkę. A później jeszcze jedną. W pubie robi się coraz bardziej tłoczno. Odór potu i perfum miesza się z dymem papierosowym. Bit dudni z głośników. Nachylam się nad Kirą, gdy przymierza się do kolejnego uderzenia. Wdycham jej zapach, dotykam kutasem pośladków.

– Trochę w prawo, Cyrus, i mamy zwycięstwo w kieszeni – szepczę jej do ucha i przesuwam jej rękę z kijem.

Odwraca głowę, zerka na mnie przezsklonym wzrokiem i jeszcze bardziej wypina tyłek.

– Tak dobrze?

Oho, chyba nie tylko mnie zaszumiło w głowie po ouzo.

Mam ochotę złapać ją za biodra i ocierać się o jej pośladki do momentu, aż spuszczę się w gacie. Chuj zaczyna mi napierać na spodnie. Kira robi zamach kijem, dźga mnie w brzuch i uderza w białą biłę.

Ta sunie po bandzie, muska lekko pełną kulę, która wpada do łuzi.

– Zwycięstwo! – Kira rzuca kij na stół i unosi ręce.

Łapię ją w pasie i przyciągam do siebie.

– Pięknie – szepczę w jej usta.

Stoimy przez kilka dobrych sekund blisko siebie. Patrzę jej w oczy, błyszczące jeszcze bardziej niż zwykle, po czym spuszczam wzrok na usta. Są uśmiechnięte, pełne, soczyste. Mam ochotę poczuć ich smak.

Z głośników dobiega kawałek Nelly'ego i Kelly Rowland.

No matter what I do

All I think about is you

Even when I'm with my boo Boy,

you know I'm crazy over you.

Nie przepadam za tańcem, ale teraz nie mogę się powstrzymać, żeby nie wykorzystać okazji

i poczuć bliskość ciała Kiry.

Kładę jej ręce na swoich ramionach, obejmuję ją w talii i mocno do siebie przyciągam.

– Co robisz? – pyta z uśmiechem.

– Proszę cię do tańca – odpowiadam i zatapiam twarz w jej szyi.

Zaczynamy kołysać się w rytm muzyki. Nieśpiesznie, ciało przy ciele.

Czuję na torsie jędrne piersi Kiry. Ocieram się o jej biodra. Wodzę dłońmi po plecach, talii, schodzę niżej i obejmuję pośladki.

A ona mi na to pozwala. Wreszcie.

Zaciskam na nich palce i wyobrażam sobie nagą, nieziemsko zgrabną pupę Kiry. Jak się wypina, jak zaprasza mnie ochoczo, bym jej spróbował. Czuję napięcie w spodniach. Z mojej krtani bezwiednie wydobywa się niski jęk. Zaczynam całować obojczyk Kiry, przesuwam językiem po szyi. Kira wzdycha, po czym niespodziewanie odwraca się do mnie tyłem, obejmuje jedną ręką mój kark i zaczyna ocierać się o kutasa.

Nie istnieje nic oprócz jej boskiego ciała. Mam ochotę ją pieścić, dotykać w nieskończoność. Przesuwam ręce na jej piersi i je obejmuję. Idealnie mieszczą się w moich dłoniach. Są twarde, nawet przez materiał wyczuwam nabrzmiałe brodawki. Zaczynam drażnić je kciukiem, a wtedy Kira wyciąga się jak struna i jeszcze mocniej pociera tyłkiem o fiuta, który już ledwo mieści się w nogawce dżinsów. Przebiega mnie prąd, napieram bezwiednie biodrami, czując, że niewiele mi potrzeba, by spuścić się w spodnie. Ale mało mnie to obchodzi, jestem opity zapachem Kiry, owładnięty jej ciałem, zniewolony jej dotykiem.

– Gordian! – Ktoś klepie mnie po plecach.

Olewam go i dalej całuję Kirę w szyję.

– Gordian, gliny! – Dociera do mnie głos Arisa. Odwracam wzrok, wychylam się. Przy wejściu dostrzegam dwóch policjantów, a obok nich Hansa ze spuchniętą twarzą. Rozglądają się po pubie. Nie widzą nas, ponieważ tańczący ludzie nas zasłaniają.

Dociera do mnie powaga sytuacji.

Mam w papierach dawny wyrok w zawieszeniu. Nie mam ochoty na kolejny za złamanie nosa temu szwabowi.

– Kurwa mać!

Kira się odwraca. Zerka na policjantów i przenosi wzrok na mnie. Wygląda, jakby dopiero wstała z łóżka. Oczy ma zamglone, warkocz potargany od ocierania się o moją klatkę. Mógłbym patrzeć tak na nią godzinami. Ale teraz trzeba spierdalać.

– Gdzie tu jest tylne wyjście? – pytam Arisa.

– Za barem, szare drzwi. Wychodzą na podwórze.

– Odwieź Kirę do babci, ja spadam.

– Idę z tobą – protestuje Kira.

– Nie mam mowy. Nie chcę, żebyś miała przeze mnie kłopoty.

– I tak będę miała. Jak zostanę, będą mnie przesłuchiwać, a ja nie zamierzam okłamywać policji.

Czuję ucisk w piersi.

– No dobra. – Łapię ją za rękę i przechodzimy na tył pubu. Zerkam w stronę barmana, a on daje mi znak głową, że mogę śmiało wyjść tylnymi drzwiami.

Wychodzimy na zewnątrz, gdzie walają się puste kartony po napojach i przekąskach, i zaczynamy biec w stronę płotu następnej posesji. Przeskakujemy przez parkan na piach, to chyba piaskownica, bo nadeptuję na plastikowe grabki. Jakiś pies zaczyna ujadać w domu, w którym palą się światła. Omijamy budynek, wybiegamy na wąską dróżkę bez wylotu i napotykamy kolejne ogrodzenie. Kira bierze rozbieg, wspina się na płot i skacze na drugą stronę.

– Nieźle, Cyrus. – Idę w jej ślady.

Przebiegamy w kuckach pod oknami małego domku i wdrapujemy się na mur następnego płotu.

Zeskakujemy na posesję, a tam równo przystrzyżona trawka, zadbana willa i basen. Wszystko pogrążone w ciemnościach. Rolety w oknach pozasłaniane, nie widać żadnych kamer ani czujników. Nikogo nie ma w domu.

Zerkam na Kirę, która uspokaja oddech.

– Masz ochotę na kąpiel? – Unoszę sugestywnie brwi.

Kira patrzy na mnie jak na wariata.

– Uciekamy przed policją, a ty chcesz znowu łamać prawo?

Wzruszam ramionami.

– Zrobimy dziesięć długości dla ochłody i spadamy.

Zdejmuję koszulkę, zrzucam spodnie.

Kira lustruje mnie spojrzeniem. Jej oczy lśnią.

– Podoba ci się to, co widzisz? – Uśmiecham się do niej, a wtedy ona ściąga z siebie koszulkę i spodnie.

– A tobie?

Staje przede mną w samej bieliźnie, a ja mam ekspresowy wzwód. Chcę zerwać z niej biustonosz i ssać jej piersi. Albo lepiej, rozedrzeć kuse majteczki i wylizać cipkę.

– Idę o zakład, że ze mną przegrasz – rzuca mi wyzwanie.

– W pływaniu? – Zanoszę się śmiechem. – Spójrz na swoje ramiona, a potem podziwiał moje.

Kira parska śmiechem.

– Tu liczy się wytrzymałość, nie mięśnie. Robimy trzydzieści długości.

Szacuję szanse. Oboje jesteśmy wstawieni. Wiadomo, że kobiety gorzej reagują na alkohol. Nie ma opcji, żeby zwyciężyła.

– Okej. Ale jeśli wygram, spełnisz dwie moje prośby.

– Jedną. I nie może być związana z seksem.

– Zgoda.

– A jeśli ja wygram, to... – Mierzy mnie wzrokiem i puka palcem w usta. – Odpowiesz na trzy pytania.

– Jedno – negocjuję.

– Dwa.

– Zgoda – odpowiadam, a Kira już biegnie w stronę basenu. A to cholera, mała oszustka.

Doganiam ją i wskakujemy do wody w tym samym momencie.

Orientuję się, że woda sięga nam góra do ramion. Pierwszą długość przemierzam niemal całą pod wodą, wynurzam się, nabieram haust powietrza i zaczynam płynąć delfinem kolejną. Docieram do murku i widzę, że Kira jest pół długości za mną, płynie kraulem. Daję nura i płynę pod wodą, wynurzam się i znów delfin. Przy dwudziestym razie czuję, że wypity alkohol daje mi się we znaki, a obrany styl się nie sprawdza. Robię kilkusekundowy przystanek na wyrównanie oddechu.

Kira jest wciąż pół długości za mną, płynie stałym rytmem, kraulem czterouderzeniowym, z oddechem na lewą stronę, co trzeci ruch rękoma.

Wygram z nią, postanawiam, i zaczynam kolejną serię dziesięciu długości. Jednak za każdym razem, gdy wynurzam się przy murku, dostrzegam, że odległość między nami się zmniejsza. Zostały dwie długości. Czuję, że delfin mnie wykańcza, że powinienem przerzucić się na tę samą technikę, co Kira. Nie zamierzam dać jej jednak tej satysfakcji. Wygram z nią po swoim.

Ostatnia długość. Idziemy łeb w łeb. Ramię w ramię.

Ostatnie wynurzenie, przekręcam głowę, żeby widzieć Kirę, dotykam murka i już wiem, kto zwyciężył.

Jest remis.

– No, Cyrus. Szacunek. – Uspokajam oddech i patrzę, jak ociera twarz dłonią. – Masz pierwsze miejsce, ex aequo ze mną. – Uśmiecham się.

– Gdybym wcześniej nie piła, tobym wygrała.

– Gdybyś wcześniej nie piła, to nie pływałabyś ze mną w samej bieliźnie w basenie. – Podpływam do niej, łapię ją za rękę i przyciągam do siebie. – Co więcej, nie pozwoliłabyś mi na to... – Wpływam do niej, łąpię ją za szyję i zjeżdżam ręką na pośladek. – I na to... – szepczę jej do ucha, wsuwając dłoń w majtki.

Kira odpycha się stopami od murka i odpływa na plecach na metr.

- Aż tak pijana nie jestem, a twoja prośba miała nie dotyczyć seksu.
- To nie była moja prośba, tylko zachcianka. Nie liczy się jako odbiór wygranej.
- Jaka jest więc prośba związana z wygraną? – pyta.
- Masz chorobę morską?
- Nie.
- Pływałaś kiedyś motorówką?
- Nie.
- Świetnie, jutro skoro świt ruszamy na wycieczkę.

Kira przygląda mi się podejrzliwie.

- To jest ta twoja prośba?
- Tak, a czego się spodziewałaś?
- Szczerze? Znając ciebie, czegoś rozwiązłego.

Podpływam do niej i łapię ją za biodra. Podoba mi się, że pozwala mi na to, żebym ją dotykał. Zastanawiam się jednak, gdzie jest granica.

– A co jest dla ciebie rozwiązłe? Czy dotykanie twoich piersi się w to wlicza? – pytam i przesuwam łagodnie dłoń na jej pierś.

Jej oddech przyspiesza. Źrenice się rozszerzają. Kira nic nie odpowiada, a ja uznaję to za milczącą zgodę na więcej. Odciągam koronkę i widzę brązową brodawkę. Przesuwam po niej kciukiem i niczego bardziej nie pragnę, niż wziąć ją do ust. Kira patrzy na moją dłoń. Wargi ma rozchylone, oddech nierówny.

Uwalniam jej pierś z koronki. Jest idealna. Brodawka sterczy, a ja wiem, że to nie z zimna, tylko z podniecenia. Pochylam głowę i obejmuję ustami sutek Kiry. Słyszę pełne aprobaty westchnienie i zaczynam ssać nabrzmiąłą brodawkę. Liżę ją i przygryzam. Domyślam się, że Kirze bardzo się to podoba.

Lubię, gdy dziewczyny wiją się z rozkoszy, kiedy je dotykam. Ale z Kirą jest jakoś inaczej. To, w jaki sposób wsuwa dłonie w moje włosy, jak głośno nabiera powietrza, jak wstrzymuje oddech za każdym razem, gdy kęsam jej pierś, doprowadza mnie do szaleństwa. Widzę, jak bardzo jest wrażliwa na każdy pocałunek, jak intensywnie reaguje na każdą pieszczotę.

Odsłaniam drugą pierś i nakrywam ją dłonią. Czuję narastające podniecenie Kiry.

Z każdą inną panną poszedłbym już krok dalej: palcówka, walenie kutasa i szybkie zaliczenie.

Ale z nią to nie wyjdzie, ona jest inna. Mam wrażenie, że samo to, że pozwoliła mi na całowanie jej piersi, jest czymś znaczącym. Tylko że mi to nie wystarcza. Chcę ją całą, chcę ją mieć całą tylko dla siebie. Dotykać ją w najintymniejszych miejscach, robić z nią wszystko, na co przyjdzie mi ochota. To jest silniejsze ode mnie.

Nie przestając całować jej piersi, przesuwam dłoń niżej. Gładzę talię, biodro, wyczuwam pod palcami koronkowe majtki, błędę dłonią po pośladku, schodzę niżej. Przygryzam mocniej brodawkę.

Kira wygina się, a wtedy odchylam jej majtki i dotykam palcem cipki. O tak. Jest taka miękka, kusząca, śliska. Tego właśnie było mi trzeba. Czuję skurcz w łydźwiach. Moje biodra mimowolnie się unoszą. Zaczynam pieścić łechtaczkę. Kira oddycha szybko, wije się pod moim dotykiem. Masuję ją i marzę o tym, żeby zejść palcami niżej, poczuć ją, sprawdzić, jak bardzo jest podniecona. Powoli, z wycuciem wsuwam w nią kciuk. Kurwa! Jak ciasno, jak bosko. Oczyma wyobraźni widzę, jak główka mojego sztywnego kutasa ociera się o łechtaczkę, po czym wchodzi łagodnie w wąską szparkę Kiry. Jej nabrzmiące wargi sromowe się rozchylają, a ja wnikam coraz głębiej, pomału, stopniowo... Już dłużej nie wytrzymam, muszę w nią wejść do końca. Muszę poczuć, jaka jest w środku. Wyjmuję kciuk i wsuwam w nią dwa palce.

Kira się wzdryga.

– Nie! – Łapie mnie za nadgarstek, jednym ruchem wykręca mi rękę i odsuwa mnie od siebie, nie zwalniając uchwytu.

Patrzę jej w oczy, są pełne gniewu, niechęci, odrazy. Oddycha szybko, ma ściągnięte brwi, zaciśnięte usta.

Mógłbym się teraz obrócić i jednym pociągnięciem za jej bark sprawić, że poszłyby pod wodę.

Ale tego nie robię. Nic nie mówię, tylko na nią patrzę. Czekam, aż się uspokoi. Jej spojrzenie jest nieustępliwe, wciąż dostrzegam w nim złość i coś jeszcze...

Przypominają mi się słowa, które usłyszałem u psychiatry: *Gniew rodzi się z bezradności. Złość jest odpowiedzią na strach.*

– Kiro... – zaczynam, lecz ona mi przerywa.

– Nie, Gordianie. Nie. – Puszczam mnie, po czym odchodzi, poprawiając stanik.

Odprowadzam ją wzrokiem, patrzę, jak wychodzi z wody.

Być może spieprzyłem sprawę, ale jestem prawie pewien, że wcale nie chodziło o mnie. Nie opierała się, gdy całowałem jej szyję, gdy pieściłem piersi, gdy powoli wchodziłem w nią palcem. Czuję, że jest podniecona, gotowa...

I nagle się rozzłościła, a może wystraszyła? Nie sądzę jednak, że bym to ja był bezpośrednim powodem jej zachowania. Nie mam pojęcia, co wydarzyło się w jej życiu, ale jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że ktoś musiał ją kiedyś mocno skrzywdzić.

Na samą myśl o tym czuję ukłucie między zębami.

Podążam wzrokiem za Kirą, idzie przez trawnik, kulejąc.

Kurwa, zupełnie zapomniałem o jej kostce.

Doganiam ją w chwili, gdy schyla się po ubrania.

– Dlaczego ze mną pobiegłaś? Przecież boli cię noga.

– Nie boli.

Widzę, że cała drży, choć noc jest całkiem ciepła.

Przesuwam dłonią po mokrych włosach. Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Kiro...

– Odwróć się, chcę się ubrać.

Spełniam jej prośbę. Oczami wyobraźni widzę, że zdejmuje bieliznę. Wciska spodnie na mokre pośladki i zakłada koszulkę, zakrywając twarde brodawki, które jeszcze kilka minut temu miałem w ustach. Czuję ponowny przypływ pożądania.

– Już? – Odwracam głowę i widzę jej nagie plecy.

– Nie! Odwróć się, do cholery.

– Dlaczego jesteś na mnie taka wściekła? – pytam, patrząc, jak wkłada top.

– Domyśl się. – Siada i rozmasowuje kostkę.

Podchodzę do niej i zajmuję miejsce naprzeciwko.

– Daj. – Sięgam po jej nogę, lecz ona ją odsuwa.

– Niczego od ciebie nie chcę. – Łapie buta i zakłada go na zdrową nogę.

– Powiedz, co zrobiłem nie tak, bo, do diabła, nie rozumiem. Nie miałaś nic przeciwko, że bym cię całował. Byłaś podniecona równie mocno jak ja. Nie zrobiłem niczego wbrew twojej woli. Dlaczego więc zachowujesz się, jakbym cię napastował, skoro było ci dobrze?

Nie patrzy na mnie, tylko dalej masuje kostkę. Po wyrazie jej twarzy wnioskuję, że musi ją boleć.

– Kiro, w życiu nie skrzywdziłem żadnej kobiety – mówię, choć wiem, że moje słowa brzmią pusto. – Przybliżam się do niej. – Kiro... – Zaglądam jej w oczy.

Kurwa, ma łzy pod powiekami.

Coś ściska mnie za serce. Nie rozumiem tego, co właściwie zamierzam odpiardolić, ale to jest silniejsze ode mnie.

Obejmuję ją i do siebie przyciągam.

Kira opiera się, a wtedy ja otulam ją jeszcze mocniej ramionami. Powoli się rozluźnia. Dotykam ustami jej czoła.

Ma mokre włosy, pachnące latem, nią.

– Kurwa, przepraszam cię. Jestem idiotą – przyznaję.

– Skoro już to wiesz, należałoby coś z tą wiedzą zrobić. Nie uważasz?

Unoszę jej twarz. W szklistym spojrzeniu dostrzegam błysk.

– Nabijasz się ze mnie?

– Trochę ci się należy.

Przenoszę wzrok na jej usta i mam ochotę wtopić się w nie swoimi.

Ale tego nie robię, bo wiem, jak to się skończy. Wystarczy dramatów na dzisiaj.

Kira przygląda mi się, jakby czytała w moich myślach.

– Moje zwycięskie pytanie numer jeden... – odzywa się, patrząc mi w oczy. – Dlaczego nie całujesz się w usta?

Marszczę czoło. Zastanawiam się, jak wymigać się od odpowiedzi. Wiem jednak, że i tak prędzej czy później temat wróci. No chyba że daruję sobie Kirę...

– Dostaję ataku paniki – odpowiadam i uzmysławiam sobie, że po raz pierwszy przyznałem się do tego nie tylko przed kimś, ale i przed samym sobą.

– Dlaczego? – dopytuje, jakby moje wyznanie wcale jej nie dziwiło.

– To już drugie pytanie.

– Wiem, wygrałam dwa – odpowiada, nie przestając patrzeć mi w oczy.

Nabieram powietrza i wypuszczam je ciężko.

– W sumie... Sam tego do końca nie rozgryzłem – stwierdzam zgodnie z prawdą. – I raczej nie mam ochoty zagłębiać się w te tematy. Po prostu to jest niezależne ode mnie.

– Sądziłam, że jesteś raczej typem faceta, który lubi, żeby wszystko zależało od niego.

– Dlatego ci się podobam?

– Nie zmieniaj tematu. Nie uważasz, że dużo cię omija przez to, że się nie całujesz?

Wzruszam ramionami.

– Jakoś do tej pory mi to szczególnie nie przeszkadzało.

– Do tej pory? – odzywa się tym swoim niskim głosem i unosi brew.

Boże, jak ona na mnie działa. Najchętniej złapałbym ją teraz w tali, żeby usiadła na mnie okrakiem, i wdarłbym się językiem w jej usta tak, żeby zabrakło jej tchu.

Tylko że po tym, co odwaliłem w basenie, ona na pewno nie usiadzie na mnie w ten sposób. A ja jej nie pocałuję, bo już raz zrobiłem z siebie idiotę. O jeden raz za dużo.

Ja pieprzę, czy tak to ma wyglądać?

– Gdzie leży granica? – pytam, bo muszę wiedzieć, na czym stoję.

Kira przechyla głowę.

– A pytasz o...?

– O to, jak daleko mogę się posunąć?

Kira momentalnie sztywnieje.

Zapada cisza, słyszę cykady w drzewach, w oddali dudni jakaś dyskotekowa muzyka, a Kira milczy.

– Rozumiem, że palcówka odpada? – dopytuję.

Kira rzuca mi piorunujące spojrzenie.

– Aleś ty delikatny.

– Nazywam rzeczy po imieniu. A mineta?

– Przestań.

Kładę dłonie na jej udach, nachylam się nad jej twarzą.

– Nawet nie wiesz, jak wiele mogę ci dać. Nie chcesz nawet spróbować?

– Nic z tego nie wyjdzie.

– Skąd wiesz, skoro nie spróbowałaś?

– Bo to wszystko sprowadza się do seksu. A ja go nie chcę.

– Dlaczego?

Kira rzuca moje dłonie ze swoich nóg.

– Z tego samego powodu, dla którego ty się nie całujesz.

– Zakłada but, wstaje i idzie w stronę ogrodzenia.

Przetwarzam szybko jej słowa i idę za nią.

– Nie musimy uprawiać seksu – mówię. – Przynajmniej na razie.

– Twoje ostatnie zdanie utwierdza mnie w tym, co wiedziałam od początku. Nie pasujemy do siebie.

– Bzdury. – Podchodzę do niej i patrzę jej w oczy. – Wiem, że mnie pragniesz, a ja najwidoczniej postradałem przez ciebie rozum, bo nigdy nikomu nie powiedziałem tego, co dzisiaj wyznałem tobie. To prawda, że nie mogę przestać myśleć o tym, żeby się w tobie znaleźć. Ale nigdy, nigdy, kurwa, nie zrobiłbym nic wbrew twojej woli. Nie mam pojęcia, jak zamierzasz przeżyć resztę życia bez seksu, bo tam, w tym jebanym basenie, czułem, że mnie pożadasz. Słyszałem to w twoim przyspieszonym oddechu, widziałem to, gdy pieściłem twoje sterczące brodawki, czułem to, gdy wkładałem palec w twoją nabrzmiałą cipkę i sam niemal eksplodowałem z podniecenia. Twoje ciało jest spragnione seksu ze mną, Kiro, a ty z uporem temu zaprzeczasz.

– Zadziwiająco... – Kira kręci głową. – Potrafisz tak dogłębnie mnie analizować, a masz problem z dookreśleniem samego siebie. – Wyciska mokry warkocz. – Może najpierw, Gordianie, zastanów się, dlaczego się nie całujesz, a później porozmawiamy o mnie, okej?

Odwraca się i odchodzi w stronę płotu, kulejąc. Wiem, że jeśli na tym zakończymy tę rozmowę, nie zdobędę się na to, żeby w przyszłości ponownie podjąć ten temat.

Kurwa, dlaczego dziewczyny muszą być tak irytująco skomplikowane? Dlaczego muszą dociekać, drażnić, wnikać?

– Gdy miałem piętnaście lat, zabijałem się w starszej od siebie dziewczynie. Była pierwszą kobietą, z którą uprawiałem seks. – Widzę, że Kira przystaje, ale się nie odwraca. – Straciłem dla niej głowę, a ona mnie zdradziła. I to całkiem beczelnie, bo na moich oczach. Kosilem trawę na podwórku jej ojca, kiedy ona postanowiła się pieprzyć na leżaku z kolesiem od alarmów. A jakby tego było mało, tego samego dnia, wróciwszy do domu, nakryłem ojca, jak gwałci moją matkę. Gdy tylko próbowała się od niego uwolnić, on zapewniał ją o swojej wielkiej miłości. Wtedy pierwszy raz mu wpierdoliłem, a on oddał mi w dwójnasób. Matka próbowała go powstrzymać i skończyła z rozciętą głową na izbie przyjęć. Tamtej nocy, po powrocie ze szpitala, ojciec przytulił matkę, przeprosił i pocałował ją w usta. A ona... Ona pozwoliła mu się pocałować i powiedziała, że mu wybacza, bo go kocha. Wtedy zrozumiałem, że miłość to najbardziej pojebane uczucie, jakim może być owładnięty człowiek; że nie wnosi do ludzkiego życia nic oprócz cierpienia. – Dopiero teraz czuję, że wszystko to powiedziałem na jednym wdechu.

Kira się odwraca, a ja oddycham z ulgą, że wreszcie skończyłem ten popieprzony monolog. Nie widzę sensu obnażania się jeszcze bardziej. I tak już czuję się jak skończony debil. Serce wali mi ogłuszająco. Boję się, że dojrzę w spojrzeniu Kiry litość, a to jest ostatnie, czego od niej potrzebuję.

Lecz ona patrzy na mnie normalnie, jakbym przed chwilą opowiedział jej o filmie, jaki oglądałem w zeszłym tygodniu.

– Jesteś głodny? – pyta, jak gdyby nigdy nic.

– Cholernie – odpowiadam i dziękuję jej w duchu, że nie dopytuje, nie draży.

– Ja też. – Uśmiecha się.

– Na co masz ochotę?

– Wszystko jedno.

Zastanawiam się, do której tawerny możemy podejść, żeby zjeść coś w miarę szybko.

– Frytki? – proponuję.

– Za mało.

– Kebab? – Podchodzę do niej.

– Nie lubię.

– Owoce morza?

– Blee...

– Pizza?

– Sama nie wiem.

– Ja pieprzę, wiesz, co w ogóle znaczy „wszystko jedno”?

Kira się śmieje.

– Okej, może być pizza, ale na cienkim cieście.



Jest północ, a główna ulica i okoliczne restauracje po brzegi wypełnione są klientami. W końcu

znajdujemy ustronny stolik w jednej z tawern serwujących pizzę. Siadam obok Kiry, zamawiam dzbanek piwa i dwie pizze. Na przystawkę dostajemy pieczywo czosnkowe z masłem, które pochłaniamy, nim kelnerka przyjmuje zamówienie.

Jemy, pijemy i rozmawiamy o sztukach walki. Opowiadam o tym, jakie sporty i sztuki wcześniej uprawiałem, i że nie zamierzam przez całe życie utrzymywać się z trenowania krav magi.

– Chcesz być naukowcem? – Kira nie może uwierzyć, że się z niej nie nabijam.

– To dziwnie brzmi. Mam swój pomysł na wynalazek. Jestem na etapie wstępnej akceptacji projektu przez profesora, który miałby wspierać moją pracę.

– Zaskoczyłeś mnie. Nie wyglądasz na... – szuka odpowiedniego słowa.

– Inteligentnego faceta?

– Nie o to mi chodziło.

– To o co? – Kładę ramię na oparciu jej krzesła.

– Na kogoś, kto wierzy w naukę. Nie szkoda ci będzie zostawić klubu? Chyba nieźle wam się wiedzie.

– Nie zamierzam go na razie zostawiać. Mam świadomość tego, że mój pomysł na wynalazek może nie wypalić. Uczelnia ma co prawda fundusze, ale wątpię, by wystarczyły na pokrycie wszystkich badań. Czas pokaże. A ty?

– Co ja? – Kira upija łyk piwa.

– Jakie masz plany na przyszłość?

– Najpierw muszę skończyć szkołę średnią.

Marszczę brwi, bo wydawało mi się, że jest już po maturze.

– Przecież skończyłaś osiemnaście lat.

Kira upija kolejny łyk.

– Mam dwa lata w plecy.

Nie dopytuję dlaczego, bo widzę po jej spojrzeniu, że nie ma ochoty drażnić tego tematu.

– A później, po szkole?

– W Londynie działa prężnie fundacja, w której chciałabym się zatrudnić. Trudno się tam dostać, ale byłam już u nich na praktykach w zeszłym roku i obiecali przyjąć mnie na płatny staż, gdy ukończę szkołę.

– Czym zajmuje się ta fundacja?

– Działa na rzecz kobiet.

– Okej, a konkretnie? – dopytuję.

Kira odchrząkuje.

– Pomaga ofiarom gwałtów – odpowiada.

W jej oczach dostrzegam zmieszanie. Mam wrażenie, jakby ktoś uderzył mnie w żołądek. Definitywnie nie nadaję się na takie rozmowy.

Chwała Bogu, że w tym samym momencie kelnerka przynosi pizzę i stawia je przed nami na stole.

– Jemy? – mówi Kira i sięga po kawałek pizzy.

– Taa – odpowiadam, choć totalnie straciłem apetyt.



Dwa browary później w tle lecą jakieś greckie hity. Dolewam Kirze piwa i biorę ostatni kawałek swojej pizzy. Rozmawiamy o naszych rodzicach, o tym, jakie mieli szczęście, że się poznali.

– Żałuję, że nie mogłam być na ślubie taty – wyznaje Kira. Opiera stopę o siedzenie i masuje kostkę.

– Matka nie chciała cię puścić?

– Była wściekła, gdy się dowiedziała, że ojciec ponownie się żeni.

– Nie masz czego żałować. Wesele było do bani. Same łzawe kawałki. Wynudziłabyś się. – Biorę z jej talerza poobgryzany brzeg pizzy, który zostawiła, i zjadam.

– To był ważny dzień dla taty. Powinnam była go wspierać, cieszyć się razem z nim. Moja matka

to kawał zolży. – Sięga po piwo i wypija kilka łyków.

Unoszę brwi.

– Aż tak?

– To przez nią rodzice się rozwiedli. Miałam sześć lat, kiedy odnowiła znajomość ze swoim byłym chłopakiem z liceum. Tak się zakochała, że po miesiącu spakowała nasze rzeczy i wyjechałyśmy do Anglii, gdzie jej fagas miał dom i dobrze prosperujący biznes. Ojciec się załamał, zaczął pić. Mama w sądzie zrobiła z niego alkoholika, więc przyznano jej całkowite prawo opieki nade mną.

– I nie mogłaś w ogóle widywać ojca?

– Gdy byłam starsza, uciekłam do niego, ale matka sprowadziła mnie z powrotem. To był dla mnie trudny okres, wszystko w moim życiu się pokopało. Tata mnie rozumiał, a ona nie. – Kira ziewa przeciągle. – Okej, dosyć tych wynurzeń. Moje życie było dosyć pokręcone, a ja nie zamierzam dłużej przynudzać.

– Nie przynudzasz – odpowiadam, sięgam po jej stopę i kładę ją sobie na udach.

Kira patrzy na moje dłonie, kiedy zdejmuję jej buta. Nie oponuje, czeka, co zrobię. Zaczynam masować stopę i obolałą kostkę.

– Hmm... Dobry w tym jesteś. – Opiera się wygodnie na krześle.

– Nie tylko w tym – odpowiadam. Spodziewam się, że znowu wywróci oczami i rzuci mi ripostę o tym, jaki jestem zboczony. Lecz ona ponownie ziewa i przymyka oczy. Wygląda, jakby miała zaraz zasnąć.

A ja nie mogę się na nią napatrzeć.



Jest grubo po drugiej, gdy taksówka podwozi nas pod dom babci. Kira idzie prosto do sypialni, a ja myję zęby i walę się na kanapę.

Przewracam się z boku na bok. Nie mogę zasnąć. Wstaję, idę napić się wody. Kładę się ponownie, ale sen nie nadchodzi. Zarzucam na siebie bluzę i wychodzę na zewnątrz. Noc jest ciepła, bezwietrzna, spokojna. Ja jednak nie potrafię się wyciszyć. Dokładnie wiem, co mi jest. Moje jądra są twarde jak kamienie. Tam, w basenie, omal się nie spuściłem, gdy wsadziłem palce w ciasną szparkę Kiry. Całe to napięcie jest wciąż skumulowane w moich jajach. Wychodzę na drogę, wkoło ciemno. Środek nocy, a ja szukam w gaju oliwnym ustronnego miejsca. Siadam pod kamiennym murkiem, do którego podłączone jest nawadnianie, i odpalam neta w smartfonie.

Pornole... Który facet ich nie lubi? Pokażcie mi takiego, co się wyprze, to nazwę go jebanym łgarzem. Pieprzenie od tyłu, klapsy, spuszczenie się na twarz, głębokie gardło...

Jedyny problem w tym, że znalezienie dobrego filmiku zajmuje zdecydowanie za dużo czasu. Ale dzisiejszej nocy jestem tak napalony, że pójdzie mi szybko.

Nic bardziej mylnego...

Pół godziny klikam w kolejne filmiki i mam ochotę pieprzyć telefonem o drzewo. Ta ma za duże cycki, tamta za małe, ta zbyt obwisły tyłek, tamta jest brzydka... Sunę jedną ręką po kutasie, żeby się odpowiednio nastroić, i odpalam kolejny filmik.

Nie no, kurwa. Nie mogę na to patrzeć! Każdej lasce czegoś brakuje, żadna nie jest tą, na którą mam ochotę patrzeć podczas walenia.

Zamykam przeglądarkę, bezwiednie odpalam Instagrama i po chwili znajduję profil Kiry. Ma tylko sześć zdjęć. Trzy w stroju do kickboxingu, dwa z jakąś kumpelą z Anglii i jedno selfie z pubu, w którym dzisiaj byliśmy. Nie mam pojęcia, kiedy je zrobiła, ale uchwyciła moment, w którym uderzam w bilę za jej plecami.

Patrzę na jej oczy, usta i przypominam sobie, jak ocierała się o mnie tyłkiem, gdy tańczyliśmy.

Zaczynam walić konia, śledząc zarys jej cycków, bioder, ramion... Wyobrażam sobie, jak klęka przede mną, a ja wkładam fiuta w jej śliczne usteczka. Po chwili widzę, jak zdejmuje koszulkę, spodnie i zostaje w bieliźnie, którą miała dzisiaj na sobie w basenie. Zrywam z niej stanik i całuję cycki. Schodzę niżej, zdejmuję majtki i widzę piękną cipkę. Rozchylam uda i zaczynam ją lizać.

O tak, staram się poczuć, jak bardzo jest wilgotna, jak seksownie pachnie, ale wszystko jest

nieostre, rozmyte, nieprawdziwe. Walę sobie coraz szybciej, przez chuja przebiega prąd.

Każę klęknąć Kirze na łóżku, na pieska, i wystawić do mnie tyłek, po czym rozchylam jej pośladki. Jestem gotowy, by w nią wejść. Nie myślę o niczym, tylko o tym, że mam przed sobą cipkę Kiry i zaraz będą ją pieprzyły.

Czuję mrowienie w jądrach, które przechodzi do prącia. Wsuwam się powoli w wąską szparkę. Tak bardzo żałuję, że to nie dzieje się naprawdę, aż chce mi się wyc z bezradności. Mimo to utrzymuję obraz tych pośladków, tych krągłości. Chcę ją lizać, czuć jej smak i zapach, ale nie mogę! Wchodzę w nią coraz głębiej, wyobrażam sobie, że jest tak samo ciasna jak wtedy, gdy wkładałem w nią palec.

O tak. O tak!

Nadchodzi skurcz, po nim następny, zaciska się na moich jajach, przez kutasa przebiega gorący strumień... Eksploduje!

Czuję na całym ciele dreszcze, serce mi łomocze, nogi są sztywne, biodra unoszą się kompulsywnie.

Opadam bezsilnie. Opieram się głową o murek. Nie mam siły się ruszyć. Leżę wypompowany, spełniony, choć nie do końca. Mimo to czuję, że już dawno nie było mi tak dobrze podczas walenia. Co więcej, już dawno nie miałem takiego szczytowania nawet podczas normalnego pieprzenia.



Budzą mnie odgłosy krzątania w kuchni. Uchylam powieki, słońce razi mnie w oczy. Zasłaniam je dłonią, unoszę głowę.

Wypity wczoraj alkohol daje o sobie znać. Siadam powoli, stękając.

Pić!

– Wstałeś? – Słyszę mamę.

– Jeszcze nie – odpowiadam zachrypniętym głosem.

– Na co masz ochotę na śniadanie?

– Na wodę. – Zwlekam się z kanapy i człapię do kuchni.

– Późno wczoraj wróciliście z Kirą. – Mama patrzy się na mnie znacząco, na jej twarzy maluje się sugestywny uśmiech.

– Byliśmy w pubie... i na pizzy. – Nalewam sobie wody z kranu do szklanki i wypijam duszkiem.

– Wieczór udany? – pyta i smaruje chleb masłem.

– Mhm. – Odstawiam szklankę na blat i się rozglądam. – Gdzie babcia?

– Poszła na targ.

– Kira jeszcze śpi?

– Tak. Cieszę się, że zaczęliście się dogadywać – mówi mama, a ja zastanawiam się, czy w ogóle pamięta, co jej powiedziałem ostatnio na temat moich zachcianek względem Kiry.

– I nie macie nic przeciwko temu? – Opieram się o blat i patrzę, jak kroi ser feta.

– Jeśli tylko jesteście szczęśliwi.

Krzywię się. W sumie sam nie wiem, czy mam w ogóle świadomość tego, co znaczy być szczęśliwym. Nigdy nie byłem. I wątpię, czy kiedykolwiek będę.

– Idę pod prysznic. – Daję jej całusa w policzek i wychodzę z kuchni.

Jestem zadowolony, że mama z Serafinem akceptują, że jestem z Kirą.

A czy w ogóle z nią jestem?

Wchodzę pod gorący strumień wody, a to pytanie wciąż krąży mi po głowie. Golę się i nadal je sobie zadaję. Ubieram się, wychodzę na ganek i ja pierdolę, cały czas zastanawiam się nad tym, czy ja i Kira jesteśmy razem? Przecież nawet jej nie zaliczyłem.

Pochłaniam śniadanie, nie wiem nawet, co jem, bo odtwarzam w myślach wczorajszy wieczór. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek tyle rozmawiał z jakąś dziewczyną.

Popieprzona jest ta relacja między nami. Mimo to nie mam ochoty jej kończyć.

Po śniadaniu idę do sąsiada zapytać o łódź motorową. Muszę dzisiaj odebrać moją wygraną wycieczkę z Kirą do zatoki. Jaram się jak jakiś nastolatek.

Pukam do drzwi, otwiera mi nie kto inny, jak Marija. W samym podkoszulku.

– Cześć, co chciałeś? – pyta. Chyba jest wkurzona, że ją ostatnio olałem.

– Jest twój starszy? – Zaglądam do środka.

Marija bez słowa otwiera szerzej drzwi, wpuszcza mnie do domu, po czym je zamyka.

Wchodzę do salonu, rozglądam się, ale go nie widzę.

– Gdzie jest?

– Poszedł na przystań. Niedługo wróci. Siadaj. – Wskazuje na kanapę. – Chcesz coś do picia?

– Wodę. – Zerkam przez okno, z którego widać nasz ganek. Mama siedzi oparta o Serafina i czyta książkę, a on delektuje się poranną kawą.

– Z lodem? – pyta Marija.

– Zdecydowanie. – Biorę z ławy jakieś czasopismo o łodziach. Niektóre parametry pod zdjęciami są pozakreślane długopisem, gdzieś tam sporządzono odręczne zapiski. Widać, że sąsiad jest na bieżąco, jeśli chodzi o nowinki.

– Przepuścisz mnie? – Marija przeciska się między mną a ławą, stawia szklanekę na blacie i klęka naprzeciwko mnie.

Otwieram szeroko oczy. Skubana jest całkiem naga. Mimowolnie czuję, jak przez moje biodra przepływa prąd, tętno mi przyspiesza.

– A to z jakiej okazji? – pytam.

Marija sięga do rozporoka moich szortów i go rozpina.

– Chciałeś z lodem. – Uśmiecha się znacząco i wyciąga mojego fiuta.

Nim mam szansę cokolwiek odpowiedzieć, nachyla się i wkłada go sobie głęboko do ust.

Jestem ugotowany.

Wiem, że powinienem ją powstrzymać, ale nie mogę. Kurwa, to jest silniejsze ode mnie. Marija porusza ręką u nasady, wkładając i wyjmując z ust mojego chuja, który z każdym jej ruchem staje się coraz twardszy.

Patrzę na jej usta, na jej cycki, na wypiętą dupę. Czuję się podniecony, ale coś jest nie tak. Coś nie pozwala mi się odprężyć, czerpać przyjemności...

Zerkam w stronę okna i widzę Kirę.

Wychodzi zaspana na werandę, w dłoni trzyma kubek, najpewniej z kawą, a w drugiej kanapkę. Rozmawia z rodzicami, siada na ławce i zakłada nogę na siedzisko. Tak samo jak wczoraj, zanim zacząłem masować jej obolałą kostkę...

Czuję niepokojący ucisk w klatce piersiowej, który rozchodzi się na splot słoneczny. Przenoszę wzrok na Mariję, patrzę na swojego kutasa w jej ustach, który jest dziwnie oklapnięty, i zdaję sobie sprawę z tego, że nie czuję żadnej jebanej przyjemności.

– Przestań! – Odsuwam ją i chowam penisa do spodni.

Marija patrzy na mnie oszołomiona.

– O co chodzi?

– O nic.

– Więc w czym problem? – Odwraca się do mnie tyłem, opiera ręce o ławę i wypina tyłek w moją stronę. – Wspominałeś, że lubisz seks analny, prawda? – Jedną dłonią rozchyła pośladki, a ja nie mogę oderwać wzroku od wygolonej cipki i tyłka.

Wypieprz ją! – odzywa się głos w mojej głowie. *Zobacz, jak się dla ciebie wypina. Lubisz się tak pierdolić – od tyłu, mocno, bez zahamowań. Daj jej klapsa i wydupcz ją porządnie, jak przystało na faceta.*

Mój wzrok mimowolnie wędruje w stronę okna. Kira upija łyk kawy, przysłuchuje się rozmowie rodziców. Przenoszę spojrzenie z powrotem na tyłek Marii.

No już. Rób użytek z fiuta, no dawaj!

Wyciągam rękę, przesuwam dłonią po pośladku Marii i daję jej klapsa. Ten dźwięk mnie podnieca. Skóra dziewczyny robi się lekko różowa.

– Jeszcze raz – prosi.

Daję jej kolejnego klapsa. Tym razem w drugi pośladek.

Z ust dziewczyny wydobywa się jęk. Wypina tyłek jeszcze bardziej.

Rozsuwam jej pośladki i patrzę na cipkę. Jest nabrzmiała, wilgotna, gotowa, żeby ją wyruchać.

Fiut wypełnia mi całą nogawkę. Jest tak naprężony, aż boli.

Wyciągnij go i włóż w jej cipkę. Albo od razu w dupsko. Tak... Przecież tak bardzo to lubisz... –

namawia głos.

Przesuwam palcem po mokrej z podniecenia cipce Marii i rozsmarowuję wilgoć na odbycie. Dawno nie przepieprzyłem się analnie i, kurwa, mam na to straszną ochotę. Marija wypina dupę coraz bardziej.

Wyjmij go i wyruchaj ją wreszcie. Tam jest tak ciasno, tak jak lubisz.

Rozpinam rozporek i uwalniam chuja ze spodni. Jest twardy, nie może się doczekać, aż będzie w środku. Poruszam nim kilka razy, pluję sobie na dłoń i zwilżam go, żeby wsadzić w odbyt Marii.

Krew szumi w skroniach, tętno łomocze, głos kusi:

No już, wsadzaj i pieprz. Pieprz ją...

I wtedy słyszę znajomy śmiech. Niski, gardłowy, szczery – jego dźwięk sprawia, że po moich plecach przepływa przyjemny dreszcz. Zerkam w stronę okna. Kira śmieje się tak bardzo, aż łapie się za brzuch. Nie mogę oderwać od niej oczu. Jest piękna. Silna, a zarazem krucha. Seksowna i jednocześnie niedostępna. Jest moja... Kurwa mać!

– Nie mogę. – Chowam fiuta do spodni.

– Co? Dlaczego? – Marija odwraca się i patrzy na mnie z wyrzutem.

– Jestem z kimś – odpowiadam i wychodzę.

Mimo tego, że nabrzmiały kutas ciśnie mnie jak diabli, idę sprężystym krokiem przez podwórko. Wychodzę na drogę i wkraczam na działkę babci.

Pożałujesz tego, gorzko pożałujesz – głos w mojej głowie jest ostro wkurwiony. Ostrzegalem cię, że masz robić to, co ci każe. Popamiętasz...

Spierdalaj! – odpowiadam mu i wchodzę na ganek.

Muszę wyglądać jak oszołom, bo cała trójka patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Gotowa na wycieczkę? – zwracam się do uśmiechniętej Kiry.

Chryste, jaka ona śliczna.

– Myślałam, że gdzieś poszedłeś.

– Chciałem pożyczyć łódź od sąsiada.

Kira wychyla się i patrzy w stronę jego domu. Uśmiech znika z jej ust. Przenosi wzrok na mnie, potem na moje krocze, po czym ponownie zerka w stronę domu Marii.

– I pożyczyłeś? – pyta twardo.

– Nie było go w domu.

Unosi brew, nie odrywając wzroku od miejsca, z którego przyszedłem.

Odwracam się i widzę Mariję, jak stoi w drzwiach w samej koszulce, która ledwo zasłania jej cipkę.

Tętno mi przyśpiesza na samą myśl, że mogłaby teraz coś odjechać, by zrobić mi na złość. I wtedy, jakby czytała w moich myślach, Marija odwraca się i wchodzi do domu, świecąc gołym tyłkiem.

Jebana mać.

Zerkam na rodziców, lecz oni udają, że niczego nie wiedzieli. Mama czyta, Serafin przegląda coś w komórce. Przenoszę wzrok na Kirę. Jej twarz przypomina maskę, nie mogę odczytać z niej żadnych emocji. Wstaje powoli i idzie do domu.

Wchodzę za nią do środka.

– Kiro, to nie tak... – Wyprzedzam ją, zachodzę jej drogę i od razu obrywam pięścią w głowę.

– Ale z ciebie dupek.

Kira mnie omija, wchodzi do łazienki, zamyka za sobą drzwi i puszcza wodę z prysznicza.

Rozmasowuję obolałą szczękę.

No i dostałem, kurwa, za swoje.



Siedzę już bite dwadzieścia minut na kanapie i czekam, aż Kira wyjdzie z tej pieprzonej łazienki. Kiedyś przecież musi wyjść.

Rodzice praktycznie od razu zwinęli się na plażę. Gdy wychodzili, Serafin podszedł do mnie i powiedział:

– Nie skrzywdź jej, proszę. Kira jest silna, ale wystarczająco dużo już w życiu wycierpiała. – Poklepał mnie po ramieniu, jakby ufał w to, że nie zranię jego jedynej córki, po czym wziął mamę za rękę i wyszli z domu.

Po pół godzinie Kira wychodzi z łazienki. Nie patrzy na mnie, tylko idzie do kuchni i wyjmuję mleko z lodówki.

– Do niczego nie doszło – mówię od razu, żeby była jasność.

– Mało mnie to obchodzi.

– Widocznie obchodzi, skoro zdzieliłaś mnie prawym sierpowym.

Nic nie odpowiada, nalewa sobie mleka do szklanki i wychodzi na ganek. A ja znowu idę za nią, jak jakiś pies.

Dostrzegam, że utyka.

– Jak noga?

– Nie twój interes. – Kira siada na ławce i sięga po krzyżówkę.

– Nie pieprzyłem tamtej laski – powtarzam i siadam na stołku naprzeciwko niej.

– Mhm. A jej goły tyłek i twój wzwód to wyłącznie zbieg okoliczności. – Wpisuje coś w kratki krzyżówki.

Nabieram powietrza przez nos, wypuszczam je ciężko i przesuwam dłońmi po twarzy.

– Właśnie ten mój wzwód dowodzi, że mówię prawdę. Ona chciała się pieprzyć. Ale ja nie mogłem.

– Biedaczek.

– Myślałem o tobie.

– Skaczę z radości. – Znowu coś wpisuje.

– Nie ignoruj mnie. – Zabieram jej krzyżówkę z ręki.

Kira podnosi na mnie wzrok.

– Oddaj to. – Jej spojrzenie nie wyraża żadnych emocji. Nie jest ani smutna, ani zła, ani zrezygnowana.

– Chcę odebrać dzisiaj moją wygraną – oświadczam.

– Wygrana została anulowana.

– Jakim prawem?

– Takim samym, jakim została nadana. – Sięga po krzyżówkę.

– Jesteś niesprawiedliwa. – Łapię ją za nadgarstek.

– Tak samo jak ty. – Kira chwyta mnie za drugą rękę i ją wykręca.

– Jestem z tobą szczerzy. – Odwijam dłoń, wyslizguję się z uścisku i obejmuję jej obie ręce. Trzymam je mocno, tak że nie może nimi ruszyć.

– Gdybyś był szczerzy, powiedziałabyś prawdę. – Kira zamachuje się nogą i odpycha mocno stół, na którym siedzę. Tracę równowagę, ale nie puszczam jej rąk. Upadam do tyłu i pociągam ją za sobą.

Opadam na plecy, Kira na mnie. Leżę na deskach i czuję, jak mięśnie dziewczyny się naprężają, zamierza wstać. Lecz nim zdoła wykonać kolejny ruch, przewracam się razem z nią, siadam na niej okrakiem i przytwierdzam jej dłonie do podłogi.

– Mówię ci prawdę, ale ty nie chcesz słuchać. – Nachylam się nad jej twarzą. – Poszedłem, żeby wynająć łódź od jej ojca, a ona przyssała się do mojego fiuta.

Kira się krzywi.

– Masz rację, nie chcę tego słuchać. – Unosi biodra, żeby mnie z siebie zrzucić.

– Jeszcze nie skończyłem. – Przypieram ją mocniej do desek. – Odmówiłem, a wtedy ona wystawiła mi tyłek.

– Nie chcę tego słuchać!

– Dlatego oszczędzam ci szczegółów. Wierz mi, miałem cholerną ochotę ją wypieprzyć, ale tego nie zrobiłem. Bo ona, kurwa, nie jest tobą, rozumiesz?

– Nie rozumiem! Już sam fakt, że dobrała się do twojego fiuta, świadczy o tym, że nie potrafiłeś go utrzymać w spodniach.

Spuszczam głowę.

– Nie potrafiłem. – Podnoszę na nią wzrok. – Nie pieprzyłem się od prawie dwóch tygodni. I uwierz mi, po takim czasie każdy facet, przed którym klęka naga laska, miałby problem, żeby odmówić.

– Dlatego ja od takich facetów trzymam się z daleka. Dlatego od samego początku wiedziałam, że nam nie wyjdzie. – W jej oczach widzę narastający gniew. Zdecydowanie wolę ją taką, niż gdy patrzy na mnie bez wyrazu.

– Jesteś piękna, kiedy się złościś.

– A ty jesteś łajdakiem. Złaż ze mnie, odbierz sobie od sąsiadki swoją wygraną i wszystko, na co masz tylko ochotę. – Oddycha szybko, widzę po niej, że szykuje się, by mnie odwrócić. Zupełnie w ten sam sposób, jak wtedy, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz na dachu. Od tamtego czasu minęły ponad dwa miesiące. Dwa jebane miesiące uganiam się za tą laską i robię z siebie debila. A wcale nie mam ochoty przestać. Z każdym zasranym dniem pragnę jej coraz bardziej, chcę ją mieć tylko dla siebie i czuję, że muszę ją w końcu zdobyć, niezależnie od tego, jak bardzo to jest popieprzone.

– Nie zejdziesz z ciebie i nigdzie do nikogo nie pójdziesz – mówię do niej stanowczym głosem i nachylam się nad jej twarzą.

– Nie? To zaraz pożałujesz.

– Wiem – odpowiadam i zamykam jej usta pocałunkiem.

Kira zamiera, a ja rozchyłam jej wargi swoimi. Zaczynam ją całować tak, jak nie całowałem jeszcze nigdy żadnej dziewczyny. Natarczywie i delikatnie zarazem, zachłannie, choć ostrożnie. Patrzę jej w oczy, a ona w moje. Nie wyrywa się, ale też nie odpowiada na moje pocałunki. Oddycha coraz szybciej przez rozchylone usta.

Serce wali mi mocno, czuję ucisk między żebrami. Pewnie zaraz nie będę mógł oddychać, ale mam to gdzieś.

– Kurwa, jak ja cię pragnę – szepczę jej w usta i pociągam zębami za jej dolną wargę. – Pocałuj mnie, Kiro. – Przywieram czołem do jej czoła. – Pocałuj mnie, bo zwariuję. – Rozluźniam uda oraz dłonie. Daję jej szansę, żeby się ode mnie uwolniła.

Ale ona z niej nie korzysta, tylko patrzy mi w oczy.

– Dlaczego? – pyta. – Dlaczego powinnam ci zaufać?

Przymykam powieki.

– Nie wiem. Sam sobie nie ufam.

– To nie brzmi dobrze.

– Całe moje pojebane życie nie brzmi dobrze. A jednak się w nim znalazłaś. – Unoszę powieki i patrzę jej w oczy. – I kurewsko pragnę, żebyś nadal w nim była.

Kira ujmuję moją twarz. Wodzi po niej wzrokiem. Dostrzegam w jej oczach, że przepływają przez nią sprzeczne emocje, że ze sobą walczy.

– Daję ci ostatnią szansę – odzywa się w końcu. – Ostatnią, rozumiesz? Więc lepiej tego nie spieprz – mówi i całuje mnie w usta.

Z mojej krtani wydobywa się mimowolny pomruk. Rozchylam jej wargi i pogłębiam pocałunek. Jej język dotyka mojego, a mnie po kręgosłupie przechodzi dreszcz. Puls wali mi jak szalony. Dłonie zalewa pot. Klatka piersiowa zaciska się, gdy chcę nabrać powietrza. Każdy oddech jest męczarnią. Mimo to całuję się z Kirą. Smakuję jej ust, oplatom językiem jej język, nie mogę przestać jej całować. Nie chcę przestać. Nie szukam dłońmi jej piersi ani ud, nie myślę teraz o tym, żeby złapać ją za tyłek albo ściągnąć z niej majtki. Mam na to ogromną ochotę, ale tego nie robię.

Tylko ją całuję. Tylko albo aż.



W samo południe jesteśmy gotowi do drogi. Spakowaliśmy suchy prowiant, wodę, ręczniki i olejek do opalania, z którego mam zamiar zrobić znaczący użytek.

Już wychodzimy, gdy zjawia się Kalista ze swoim wózkiem zakupowym. Ciągnie zapasy jedzenia na kilka dni. Podbiegam do niej i pomagam jej wnieść go na werandę.

– Babciu, mogłaś dać znać, że chcesz robić takie zakupy, poszedłbym z tobą.

Wchodzę z wózkiem do kuchni. Kira od razu rozpakowuje jego zawartość i chowa jedzenie do lodówki.

– Robię zakupy sama, odkąd zmarł Giorgos, i jak na razie świetnie sobie radzę. – Kalista siada na krzeselku. – Muszę być aktywna, bo gdy przyjdzie prawdziwa starość, kto mi pomoże?

– Masz przecież na miejscu wujka i chłopaków – odpowiadam i podaję jej szklankę wody.

Kalista pije powoli i stęka z ulgą z każdym łykiem, jakby picie sprawiało jej niewymowną przyjemność. Spogląda na mój wypchany plecak, marszczy brwi.

– Wybierasz się gdzieś?

– Płyniemy z Kirą na wycieczkę.

– Daleko?

– Na północ wyspy.

– Hmm. Może dzisiaj lepiej pójdziecie na plażę? – Słyszę w jej głosie lekki niepokój.

– Już ustalone. Wypożyczę motorówkę, dotrzemy na miejsce za dwie godziny, trochę popływamy i wrócimy do domu przed nocą.

Babcia wstaje, idzie do salonu i wyciąga z szuflady pod telewizorem lniany woreczek.

– Weź to ze sobą – prosi i wyciąga drewniany krzyżyk na rzemieniu.

Patrzę na wisiołek. Nie noszę żadnych bransoletek, pierścieni, łańcuszków. Nie jestem babą. Nie chcę jednak sprawić Kaliście przykrości. Biorę krzyżyk i chowam go do kieszeni.

– Nie tak. Masz go nosić na piersi.

– Wolałbym nie.

– Nie dyskutuj ze mną, wnusiu. Załóż go na pierś.

Niechętnie wyciągam drewniany krzyżyk ze spodenek. Ma ciemnobrązową barwę i niejednorodną powierzchnię. Wygląda, jakby został wystrugany nożem.

– Sama go zrobiłaś? – pytam, zawiązując rzemień na szyi.

– Dostałam go od Sotirii. Będzie cię chronił.

– Przed czym?

– Po prostu. Miałam dzisiaj w nocy niepokojący sen...

– Nie wierzę w takie zabobony. – Chowam krzyżyk pod koszulką.

– W Boga nie wierzysz? – Kalista przygląda mi się przenikliwie.

– Nie wierzę – odpowiadam i w tym samym momencie czuję na sobie spojrzenie Kiry.

– Dlaczego? – pyta, jakby zdziwiła ją moja odpowiedź.

– Bo on nie istnieje – stwierdzam dobitnie.

– A skąd to wiesz? – Przechyla głowę, zaintrygowana.

- Bo miał wiele okazji, żeby się wykazać, ale jakoś nigdy tego nie zrobił. Wolę więc myśleć, że nie istnieje, niż że ma mnie głęboko w dupie. Idziemy? – Biorę plecak i zarzucam go na ramię.
Kalista z Kirą wymieniają spojrzenia, ale nie komentują.
– Tak. – Kira zakłada czapkę z daszkiem.
– Przekaż rodzicom, że będziemy wieczorem. – Cmokam babcię w policzek i wychodzimy.



Gdy docieramy na plażę, okazuje się, że ojciec Marii wciąż jest przy małej przystani, przy której stoją jego łódki. A miał zaraz wrócić – przypominam sobie słowa jego córki i jestem zły na samego siebie, że dałem się jej tak podpuścić.

Witam się z nim i pytam wprost, czy możemy liczyć na rabat przy wynajęciu motorówki. Udaje mi się wynegocjować dziesięć euro zniżki, z czego jestem zadowolony. Wrzucam plecak do łódki i wskakujemy z Kirą na pokład.

Jeden z pracowników udziela nam instrukcji. Tłumaczy, że w schowku znajdziemy niezbędne wyposażenie – kapoki, gaśnicę, koło ratunkowe, apteczkę pierwszej pomocy.

Prognoza pogody jest obiecująca, ma być słonecznie przez cały dzień.

Odpalam silnik, krew w moich żyłach zaczyna płynąć szybciej. Słyszę pobudzające buczenie. Ruszam powoli, żeby wypłynąć gładko na głębszą wodę i przyzwyczać Kirę do ruchu motorówki. Gdy jesteśmy już wystarczająco daleko od brzegu, zerkam na Kirę. Siedzi i obserwuje morze.

– I jak? – pytam.

– Przyjemnie. – Uśmiecha się.

– No właśnie. Nudno jak cholera. Trzymaj się. – Pochylam drążek do przodu, silnik wyje i łódź wyrzywa przed siebie jak dziki rumak. Robię kilka mocnych zwrotów kierownicą w prawo i w lewo. Z ust Kiry wyrzywa się okrzyk podekscytowania.

Patrzę na nią z satysfakcją. Wiedziałem, że wyprawa motorówką będzie jej się podobać. Pędzimy wzdłuż wybrzeża, a z każdym kilometrem widoki, jakie napotykamy, zapierają dech w piersi. Skały stają się coraz wyższe, przysłaniają głębsze partie lądu. Fale obijają się o ich brzeg, woda ma kolor lazuru. Wystawiam twarz do słońca, czuję zapach morza i wolność. Zastanawiam się, czy nie dobić do jednej z zatoczek, która jawi się na horyzoncie. Ale pełno tam ludzi, poza tym zbyt śpieszy mi się do miejsca, które chcę pokazać Kirze.

Zerkam w jej stronę i widzę w jej oczach zachwyt.

– Pięknie tu! – przekrzykuje odgłos silnika.

– To dopiero początek. – Przyśpieszam, bo już nie mogę się doczekać, aż dopłyniemy na miejsce. Zacumujemy łódkę, wskoczmy do wody, a później będziemy wylegiwać się na złocistej plaży. Sami. Tylko olejek do opalania i nasze rozgrzane słońcem ciała.

Kira jakby czytając w moich myślach, zdejmuje top, a ja nie mogę oderwać oczu od jej piersi w bikini. Gdy motorówka podskakuje, podskakują i one. Bajeczny widok. Jestem jak ćpun, jestem uzależniony od jej ciała.

– Może masz ochotę poopalać się topless? – wołam do niej z niecnym uśmiechem. Na samą myśl, że zaraz zdejmie stanik, czuję, jak fiut robi się twardy.

– Lepiej skup się na kierowaniu, kapitanie – upomina mnie i zakłada okulary przeciwsłoneczne.

Widzę już w oddali klif, za którym znajduje się upragniona zatoczka. Jestem pewien, że będzie tam pusto. Wszyscy zatrzymują się w miejscu, które niedawno mijaliśmy. Skręcam łodzią w stronę skał piętrzących się nad wodą na jakieś trzydzieści metrów. Wzmaga się wiatr, zwalniam i staram się łagodnie opłynąć klif rzucający gigantyczny cień na morze. Im bliżej niego podpływam, tym fale stają się wyższe, a podmuchy wiatru silniejsze. Zdejmuję czapkę i rzucam ją na siedzenie. Świst wdziera mi się do uszu, odbijam w stronę morza tak, żebyśmy znaleźli się w słońcu, gdzie fale są spokojniejsze. Opływam szerokim łukiem wzgórze... I wtedy ją dostrzegam.

Moja zatoka. Dziewicza mała plaża, otoczona z trzech stron wapiennymi gigantami. Tylko biel i turkus, raj na ziemi. Zwalniam i podpływam bliżej.

Kira wstaje, zdejmuje okulary przeciwsłoneczne.

– Boże, jak pięknie – wzdycha. Widzę, że jest naprawdę oczarowana.

Ustawiam łódź na wprost zatoki i pochylam dźwignię do przodu. Płyniemy coraz szybciej, jednak gdy tylko wkraczamy w cień rzucany przez jeden z klifów, wiatr nas stopuje. Zupełnie jakby nie chciał nas wpuścić do zatoki.

Nie daję za wygraną.

– Lepiej usiądź – polecam Kirze i podkręcam pracę silnika.

Fale obijają się o burtę, część wody wlewa się do środka, łódź walczy z siłami natury. Wpływamy powoli w zatokę, nad naszymi głowami tylko błękit nieba i biel skał. Wicher buczy, rozwiewa włosy, stawia nam opór.

Kira zerka na mnie.

– Dasz radę?! – przekrzykuje szum wiatru i odgłos silnika.

Oczywiście, że dam.

Potwierdzam skinieniem głowy i patrzę w stronę plaży. Jesteśmy już coraz bliżej. Nie mogę teraz odpuścić. Ja nigdy nie odpuszczam. Zwiększam obroty silnika, wyciskam z łodzi wszystko, co się da. Lecz ten pieprzony wiatr się uparł. Odpycha nas w stronę morza, podbija fale, które unoszą dziób.

– Wyciągnę kapoki! – woła Kira i wstaje.

– Siedź! – zdążam krzyknąć i wówczas gwałtowny podmuch wiatru podbija łódź.

Kira uderza plecami o burtę i wpada do wody.

Kurwa mać! Wyhamowuję silnik, a wtedy, za sprawą jakiegoś dziwnego prawa fizyki, łódź staje dęba i się wywraca.

Tracę równowagę, upadam, walę głową o coś twardego i wpadam do morza. Woda wlewa mi się do ust, próbuję wypłynąć, lecz czuję, jak ból skroni paraliżuje mi ręce, tułów, nogi. Rozglądam się za Kirą, ale nigdzie jej nie widzę. Brakuje mi powietrza. Poruszam rękoma, są ciężkie jak betonowe bale. Nie mogę wydostać się na powierzchnię. Łeb mnie napierdala tak bardzo, że nie mogę wytrzymać.

Przed oczami widzę czarne, kuliste plamy.

I to będzie na tyle – słyszę złowieszczy głos w głowie. – Trzeba było mnie słuchać. Do zobaczenia w piekle.

Widzę drewniany krzyż na rzemieniu, który unosi się przed moimi oczami.

Nie wiedzieć czemu, wyciągam po niego dłoń. A wtedy przeraźliwy ból przeszywa moją czaszkę i oczy.

Wszystko zasnuwa czernią. Tracę kontrolę nad ciałem. Moje usta się rozchylają, woda wypełnia płuca.

Brakuje mi powietrza.

Czuję, że zaraz stracę przytomność.

Odpywam powoli, mimowolnie idę na dno.

Ogarnia mnie cisza.

I nagle w uszach dźwięczy mi echo słów: rachunek sumienia, wyznanie grzechów i odkupienie win.



Porażająca światłość. Ból nie do zniesienia. Brak powietrza.

– Oddychaj, proszę, oddychaj! – Dobiega mnie kobiecy głos, niski, gardłowy.

Coś miażdży mi klatkę piersiową. Mam ochotę zawyć z bólu, lecz nie mogę nawet oddychać, a co dopiero mówić o krzyku.

Zamazane oblicze, które pochyła się tuż nade mną, okalają ciemne włosy. Mokre kosmyki suną po mojej twarzy. Pachną morzem i wiatrem.

Kolejny ucisk w żebrach. Czuję żar w oskrzelach, palą żywym ogniem. Zatyka mnie, próbuję nabrać powietrza. Usta wypełnia słony, rybi smak. Odchylam się na bok i wykasłuję morską wodę. Powieki opadają ciężko, nie mogą znieść jasnego światła. W uszach mi dzwoni, we łbie napięrdala orkiestra dęta. Ból głowy jest tak potężny, jakby zważyło się na nią sto cegieł. Czuję tępe pulsowanie w skroniach i potylicy.

Leżę na boku. Słońce pali mnie w twarz, piasek wdziera się do ust, słyszę odgłos fal uderzających o skały.

– Odezwij się do mnie. – Znajomy głos sprawia, że moje powieki unoszą się powolnie. Świat wiruje, wszystko jest zamazane. Przekręcam się z trudem na plecy, czekam, aż wzrok przyzwyczai się do jasności.

Wreszcie obraz się wyostrza. Widzę przed sobą Kirę.

Wpatruje się we mnie przestraszona. Włosy przykleiły jej się do twarzy, pierś unosi się i opada pod wpływem szybkiego oddechu. Patrzę na nią, starając się odtworzyć w pamięci ostatnie wspomnienia: nagły zwrot łodzią, uderzenie, zanurzenie, krzyż na rzemieniu, unoszący się przed moimi oczami...

I nagle czuję, jak piekielny ból miażdży mi czaszkę. Mimowolnie wydaję z siebie stłumiony jęk. Przed oczami pojawiają się ciemne plamy, chce mi się rzygać. Kira mówi coś do mnie, lecz jej głos, tak jak twarz, rozmywają się w czarnej otchłani. Tracę świadomość, popadam w niebyt.



Siedzę na skraju urwiska. Słońce stoi w zenicie. Kolory wokół mnie są tak jaskrawe, nasycone, wyraziste, aż nienaturalnie idealne. Niebo jest niebieskie i czyste jak akwamaryn. W oddali majaczą białe jak śnieg wapienne skały. W dole turkusowe morze obija się o ich brzeg. U podnóża, w szczelinie, dostrzegam ukrytą zatokę, z wąską plażą o piaszczystym brzegu. Zauważam na niej dwoje ludzi. Młoda kobieta w kostiumie kąpielowym wdrapuje się na skałę. Mężczyzna leży nieruchomo na piasku. Tętno mi przyspiesza, gdy dociera do mnie, że to przecież ja i Kira. Moje ciało napina się momentalnie, zrywam się na nogi, odwracam i zamieram. Przedemną stoi mój sobowtór. Patrzy na mnie uśmiechnięty z rękoma założonymi na piersi.

– Ale się narobiło... – Zaczyna drwiącym głosem, a ja momentalnie się gotuję. Rzucam się na niego i powalam na ziemię. Unieruchamiam jego korpus nogami, a potem okładam go pięściami po głębie, która wygląda dokładnie tak, jak moja. Uderzam z całej siły, cios za ciosem, masakrując mu facjatę. Dociera do mnie zapach krwi, co więcej, mam wrażenie, że czuję w ustach jej rdzawy smak.

Splywający po czole pot przysłania mi pole widzenia, czuję szczypanie pod powiekami. Ocieram szybko oczy przedramieniem i dostrzegam na nim krew. Wykonuję ten sam ruch drugą ręką i widzę, że ta też pokryta jest szkarłatem.

Sobowtór zaczyna się śmiać, głośno, szaleńczo. Czuję, jak piecze mnie twarz, pieczenie przechodzi w pulsujący ból, który rozchodzi się po powiekach, wardze, żuchwie.

– Brawo, wnusiu. Dałeś popis. – Sobowtór patrzy na mnie spod zapuchniętych, pokrwawionych powiek. Z jego rozciętych warg nie schodzi szydery uśmiech. – Mnie się nie da pokonać. Żadna siła mnie nie powstrzyma. A ty jesteś już prawie całkowicie mój. Zawsze byłeś mój, genów się nie oszuka. Gdybyś tylko zaczął mnie jeszcze słuchać...

Silny ból rozchodzący się po całej czaszce jest nie do zniesienia. Obraz się rozmazuje, jest mi niedobrze, wszystko wokół wiruje, słyszę jęk.

Przebudzam się i orientuję, że to ja jęcę. Leżę na boku, twarzą na piasku i czuję czyjś dotyk: ktoś głasza mnie po głowie. To mi pomaga.

– Śpij... – Słyszę za sobą szept. Jest kojący, dzięki niemu czuję się spokojny, rozluźniony, zyskuję świadomość ciała. Kira leży wtulona w moje plecy i przesuwa palcami po moich włosach. Czuję ciepło bijące od jej ciała, słyszę jej każdy oddech przemykający po moim karku. Uchylam nieznacznie powieki. Wokół jest ciemno, blask księżycy odbija się od morza. Jego szum i dotyk Kiry wprowadzają mnie w błogi stan. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio czułem się taki wyciszony. Jakbym nie był sobą. Powieki opadają ciężko. Zасыpiam.

Widzę mamę w korytarzu naszego mieszkania. Płacze, ubiera się pośpiesznie. Ma lekko zaokrąglony brzuch okryty luźną tuniką. Wiem, że to sen, bo na ścianach wiszą stare tapety, których nie ma tam od co najmniej dziecięciu lat.

Z pokoju dynamicznym krokiem wychodzi ojciec – kolejny dowód na to, że to, co widzę, nie dzieje się naprawdę. To jakaś pieprzona mara. Mimo to puls mi przyspiesza, gdy widzę jego zaciętą gębę. Odzywa się, a jego słowa są jak cios w żołądek.

– Powtarzam ci ostatni raz, masz usunąć ciężę. – Wskazuje na matkę paluchem i zaciska szczęki.

Łzy płyną jej po policzkach.

– Nie rozumiem, dlaczego go nie chcesz. Przecież mówiłeś, że mnie kochasz. – Drżącymi dłońmi oplata szal wokół szyi.

– Kocham cię. – Ojciec łapie ją za ramiona. – Dlatego nie mogę pozwolić, żebyś urodziła to dziecko.

– To dziecko? Mówisz tak, jakby nie było nasze, jakby było obce. To jest owoc naszej miłości.

– Nie! – Potrząsa nią, jakby chciał ją ocucić. – Ja nie powinienem mieć dzieci. Ja nie mogę mieć dzieci.

– Możesz i będziesz miał, Nikosie. Dlaczego nie chcesz go pokochać tak jak mnie?

– Bo genów się nie oszuka. Nie powinienem był pojawić się na tym świecie i on też nie może się urodzić. Jest przeklęty, tak jak ja. – Puszczą ją, ramiona mu opadają, jakby przygniótł je ogromny ciężar.

– Co ty mówisz? – Mama wpatruje się w niego, próbując go zrozumieć.

– Jestem opętany. Zabiłem człowieka. Zabiłem, kurwa, człowieka i on też w końcu kogoś zabije!

– Oszalałeś... – Mama zapina pośpiesznie kurtkę. W jej oczach widać strach, rozpacz. – Nie będę tego słuchać. Urodzę to dziecko, Nikosie, pogódź się z tym. – Łapie za klamkę i wybiega z domu.

Taboret z przedpokoju uderza z łoskotem o drzwi. Wściekły wrzask ojca roznosi się echem po klatce schodowej.

Słyszę wołanie. Kobięcy głos. Nie wiem, czy to nadal sen, czy rzeczywistość.

– Tutaj! Pomocy!

Chcę się ruszyć, lecz ciało mam ociężałe jak gład. Jest mi diabelnie gorąco, mam sucho w ustach, jestem cholernie spragniony. Język jest zdrętwiały niczym kolek.

– Gordian, obudź się... – Słyszę zachrypnięty głos Kiry zagłuszany przez odgłos przypominający wycie silnika.

Uchylam powieki, razi mnie słońce, nic nie widzę.

– Przypłynęła łódź... – Ekscytacja w jej głosie sprawia, że moje ciało nieco się ożywia. Nachyla

się nade mną, rzucając cię na moją twarz. – Dasz radę wstać? – Przesuwa dłońią po moim ramieniu.

Łeb mnie napierdala, nie mam ochoty ruszać się z miejsca. Jednak jakaś część mnie każe mi się wziąć w garść.

– Gordian, słyszysz mnie? – Kira ujmuje moją twarz w dłonie i zagląda mi w oczy. W jej spojrzeniu jest coś, co sprawia, że serce szybciej pompuje moją krew.

– Daj mi kilka sekund – mówię zachrypniętym głosem, po czym wstaję powoli, kuląc się jak jakiś jebany inwalida.

Kurwa, już drugi raz wychodzę na mięczaka przy Kirze. Usiłuję utrzymać równowagę, choć kręci mi się w głowie. Kira łapie mnie w pasie, żebym nie upadł. Staram się nie wspierać na jej ramieniu. Koniec z tym, choćby świat się walił, już więcej nie zrobię z siebie przed nią fujary.

– Zostaw. Sam dam radę – cedzę przez zaciśnięte zęby, zataczając się po piachu jak pijak. Muszę jakoś stłumić mdłości i ten piekielny ból głowy. Widzę przed sobą jacht motorowy z brytyjską flagą, który dryfuje przy brzegu. Dziewczyna mniej więcej w moim wieku, w przeciwsłonecznych okularach i bikini, patrzy w naszą stronę. W tym samym czasie idzie do nas jakiś fagas w średnim wieku z obwisłymi cycami, oponą tłuszczową w pasie, w czapce z daszkiem, polówce i szortach w palemki.

Jakim pieprzonym cudem udało im się w ogóle dobić do brzegu? – pytam sam siebie i dopiero teraz się orientuję, że w ogóle nie ma wiatru. Morze jest spokojne, gładkie jak tafla lodu.

– Co się stało z waszą łodzią? – pyta koleś po angielsku z brytyjskim akcentem i podchodzi do mnie, rozglądając się.

– Wpierdolona przez mureny – odpowiadam.

– Co?

– Takie ryby, Einsteinie. – Zataczam się mimowolnie.

– Gordian – upomina mnie Kira i łapie w pasie.

– Mówiłem, że dam sobie radę. – Odpycham ją, po czym zmierzam wężykiem w stronę łodzi.

– Przepraszam, mój brat źle się czuje. Mieliśmy wypadek... – tłumaczy facetowi, lecz ja nie słucham jej dalszego wyводу, bo w głowie dudni mi tylko jedno słowo.

– Brat? – przerywam jej w połowie zdania. – Brat?

Kira mruga do mnie.

– Dlaczego do mnie mrugasz? – Czuję, że zaczynam się gotować. Nie dosyć, że rozpierdoliłem łódź, za którą będę musiał wybulić milion monet, i czuję się, jakbym kręcił się bez ustanku na diabelskim młynie, to Kira jeszcze wyjeżdża z braterskim tekstem.

– Jezu, Gordian. Daj mi mówić... – Chwyta mnie za ramię, ściska biceps, jakby chciała mnie uciszyć, po czym uśmiecha się do fagasa. – Jesteśmy przybranym rodzeństwem. Wybraliśmy się na wycieczkę i nasza łódź motorowa się wywróciła. Zabrał ją odpływ. Spędziliśmy na plaży wczorajszy dzień i całą noc. Moglibyśmy zabrać się z wami do najbliższej przystani?

Koleś otwiera szeroko oczy, jakby odnalazł Toma Hanksa z *Cast Away*.

– I nic nie piliście i nie jedliście od wczoraj?

– Tobie też dobrze zrobiłaby taka głodówka – zauważam, a Kira niemal miażdży mi ramię w żelaznym uścisku.

– Przepraszam na moment... – Rzuca Brytyjczykowi zdawkowy uśmiech i ciągnie mnie pod skałę wyrastającą z płycizny.

Idę za nią, a świat wiruje. Chce mi się śmiać z całej tej sytuacji. Miałem zrobić wrażenie na Kirze, a zrobiła się wielka kupa.

– Co ty odwalasz? – Puszczą moje ramię. W jej oczach dostrzegam gniew. Dopiero teraz zauważam, że ma podkrążone powieki, a na jej twarzy widać zmęczenie. – Jeśli chcesz tu zostać sam, to śmiało, ubliżaj dalej facetowi, który może ocalić nam tyłki – mówi do mnie głośno i ze złością.

Zerkam na fagasa, który najwyraźniej przedstawia cały obraz swojej pannie, bo ta z niedowierzaniem kręci głową, jakbyśmy przetrwali miesięczny pobyt na bezludnej wyspie.

– Przez swoją próżność i pewność siebie omal nas nie zabiłeś – ciągnie Kira. – Najpewniej masz wstrząśnienie mózgu, bo chodzisz jak pijany i zachowujesz się jak totalny cham. Oboje jesteśmy odwodnieni, więc jeśli on nas stąd nie zabierze, nie wiem, ile jeszcze tu wytrzymamy.

Patrzę na nią i dociera do mnie sens jej słów. Przesuwam dłonią po włosach. Kurwa, ona ma rację. Przypominam sobie klatka po klatce wczorajsze zdarzenie i coś mi nie pasuje. To, w jaki sposób łódź stanęła dęba, było totalnym przeciwieństwem jakichkolwiek praw fizyki. Nie mam jednak siły na dochodzenie teraz, czy to była wina podmuchu wiatru, czy zbyt dużej fali.

– Mieliśmy pecha – stwierdzam.

– Pecha? – Kira marszczy czoło. – Widziałeś, jaki był wiatr, więc dlaczego z takim uporem brnąłeś łodzią do brzegu? Dlaczego nie odpuściłeś?

Zaciskam szczęki.

– Bo ja nigdy nie odpuszczam, zwłaszcza gdy czegoś pragnę – mówię i przybliżam się do niej. Mam zawroty głowy, lecz staram się je ignorować. – Dlaczego nazwałaś mnie bratem?

Unosi brew.

– Bo chciałam wzbudzić w facecie litość. Rodzeństwo rozbitków brzmi zdecydowanie lepiej niż rozbici kochankowie.

– Nie jesteśmy kochankami.

Jeszcze nie – dopowiadam w myślach.

Kira wywraca oczami.

– Ale on tego nie wie, więc wołałam mu powiedzieć, że jesteś moim bratem. – Patrzy na mnie, po czym przesuwam dłonią po moich włosach. – Jesteś zmęczony, nie zachowujesz się normalnie i jeszcze ta twoja głowa. Skończmy już z tym i wracajmy do twojej babci.

– Co z moją głową?

– Z tyłu masz ranę, musiałeś się mocno uderzyć, kiedy łódź się wywracała.

Unoszę dłoń, dotykam potylicy i czuję rozcięcie. Skóra szczypie jak cholera. Przypominam sobie, że faktycznie srogo zajebałem, nie pamiętam jednak, co było potem.

Mogę się tylko domyślać, że wpadłem do wody.

– Jak znalazłem się na brzegu?

– Wyciągnęłam cię i reanimowałam.

– Co?

– Po tym, jak łódź się wywróciła, szukałam cię na powierzchni. Nurkowałam, jednak nigdzie nie mogłam cię dostrzec. Aż w końcu ujrzałam światło. Zanurzyłam się głębiej i wtedy zobaczyłam, jak bezwładnie idziesz na dno, podczas gdy ten krzyż... – bierze do ręki drewniany wisiołek, który wciąż mam na szyi – jarzył się bładniebieskim światłem, jakby wskazywał mi drogę do ciebie. – Spogląda na mnie pytającym wzrokiem. – Nie wiedziałam, że jest fotoluminescencyjny.

– Obstawiam bioluminescencję, pewnie obsiadły go jakieś glony – odpowiadam machinalnie, zrywam rzemień i wkładam wisiołek do kieszeni. Moje myśli zaprzęta teraz coś innego niż jakiś pieprzony krzyż. Dociera do mnie, że Kira uratowała mi życie. Gdyby nie ona, byłbym trupem.

I to przez własną głupotę.



Płyniemy w zawrotnym tempie, morze jest na tyle spokojne, że łódź nie kołysze się na boki. Mimo to mam jakąś pieprzoną chorobę morską. Kręci mi się w głowie, brakuje apetytu, zwymiotowałem całą wodę, którą dostałem od turystów. Kira patrzy na mnie z niepokojem, kiedy zataczam się na rufie od lewej burty do prawej.

– Może usiądź, bo zaraz wypadniesz! – przekrzykuje odgłos silnika.

– Nie wypadnę. – Muszę stać, bo znowu się porzygam. Nie mogę znieść litości, którą dostrzegam w jej spojrzeniu. Ostatnie, czego mi potrzeba, to uzalanie się nade mną. Staram się skupić wzrok na wybrzeżu wyspy, na szczegółach: jaskiniach, domach u stóp wzgórz, mijanych motorówkach. Wszystko płynie, faluje.

Kira wychyla się w stronę zabudowanej konsoli, gdzie siedzą Brytyjczycy. Już wyłapałem z ich rozmów, że facet ma na imię Logan, a babka Ruth.

– Daleko jeszcze do tej przystani? – pyta ich, czym tylko mnie wkurwia. Przecież znam tę wyspę lepiej niż ci nadziani turyści.

– Jakies dwadzieścia minut. – Słyszę odpowiedź.

– Najbliższa przystań jest jakieś dwa kilometry stąd – koryguję.

Brytyjczycy patrzą na siebie, po czym przenoszą pytający wzrok na Kirę.

– Ale przecież z zatoki będziecie mieli najbliżej do szpitala – mówi fagas.

– Szpitala? – pytam i czuję, że chuj mnie strzela. Nie pójdę do żadnego pierdolonego szpitala, a na pewno nie w Grecji, gdzie na przyjęcie będę czekał cały dzień. Na prywatny szpital szkoda mi kasy, więc sprawa rozwiązana. – Kto was w ogóle, kurwa, o to prosił?

– Ja ich o to prosiłam – odpowiada Kira. – Skontaktowałam się przez komórkę Logana z tatą, kiedy wymiotowałeś. Mają podjechać do nas do szpitala...

Na moment serce mi się zatrzymuje.

– Coś ci dolega, że chcesz jechać do szpitala? – dopytuję, przyglądając jej się uważnie. Mój mózg w przyspieszonym tempie analizuje, czy przypadkiem Kirze nic się nie stało podczas wypadku.

– Mnie nie, ale tobie tak.

Serce zaczyna ponownie bić, narasta we mnie frustracja. Kira powiadomiła rodziców bez konsultacji ze mną. Pewnie są już w drodze. Znając matkę, umiera ze strachu o swojego Gordiego, a Serafin obmyśla jakąś moralizatorską gadkę. W sumie należy mi się od niego zjebka – naraziłem zdrowie i życie jego córki. Na jego miejscu sklepałbym michę takiemu koleśowi jak ja.

– Nic mi nie jest i nie pojedę do żadnego szpitala. Niepotrzebnie martwiłaś rodziców.

– Jak to nic ci nie jest? – Po jej tonie głosu poznaję, że zaczyna się powoli wkurzać. Świetnie, jest nas dwoje. – Masz ranę na głowie, chodzisz jak pijany i w ogóle jesteś jakiś nieswój. Ublizas ty Bogu ducha winnym ludziom, którzy ocalili nam tyłki. W stosunku do mnie też jesteś niemiły... – W jej głosie słycać urazę.

– Nie potrzebuję żadnej cholernej pomocy, Kiro. Nie jesteś moją matką, żeby mnie niańczyć. Ani

żoną, której i tak nigdy nie zamierzam mieć. Nikt nie będzie mówił mi, co mam robić. Jestem dorosłym facetem i od dawna radzę sobie sam. Póki trzymam się na nogach, nie trafię do żadnego szpitala. Ranę na głowie może opatrzyć lokalny lekarz – mówię twardo. – Zadzwoń do rodziców, uspokój ich i odwołaj ich przyjazd. Nie wiem, co sobie myślałaś. Jeszcze mi tylko brakuje, żeby matka przeze mnie dostała rzutu. – Omijam ją i idę wkurwiony na dziób. Byle dalej od niej, żeby nie powiedzieć czegoś więcej, czego będę później żałował.

Czuję, że nerwy mnie ponoszą. Przed oczami staje mi twarz roztrzęsionej matki i mam ochotę w coś przypierdolić. Po jaką cholere ta dziewczyna w ogóle dzwoniła do starych? Czuję pulsowanie w skroniach, ale chyba lepiej mi na żołądku, bo mam niepohamowaną ochotę na czekoladę. Mleczną, bez żadnych dodatków.

– Macie może czekoladę? – Pukam w szybę konsoli, przez którą widać Brytyjczyków.

– Niestety – odpowiada dziewczyna.

Oczywiście, kurwa, że nie mają. Pewnie pierwszym, co zrobili po wejściu na łódkę, było wypierdolenie wszystkich słodczy, które zabrali na czas swojego rajskiego rejsu. Pieprzone tłuszciochy.

– A jakiegoś batona? – pytam niczym żebrak.

– Przykro mi.

– Papierosa?

Oboje kręcą głowami i w tym samym momencie widzę, jak do konsoli wchodzi Kira. Ma poważny wyraz twarzy, ramiona napięte. Prosi Logana o komórkę, po czym wychodzi na rufę i telefonuje.

Nie zamierzam podsłuchiwać. Kira rozmawia jednak tak głośno, przekrzykując wycie silnika, że jej głos mimowolnie dociera do moich uszu.

– Nie przyjeżdżajcie... – mówi do telefonu, chodząc po rufie. – Tak, już mu lepiej... Pójdzie do lekarza na miejscu... Nie, tato, naprawdę. Wezwiemy taksówkę z przystani, zapłaci się na miejscu... Mnie nic nie jest... Na pewno... Z nogą w porządku, trochę tylko rwie... Dobrze. – Śmieje się. – Umieram z głodu, więc zjem wszystko... Tak... Powiedz jej, że będę się nim opiekować, tak jak obiecałam. Chociaż on nie chce żadnej pomocy... Tak, wiem. Dlatego uspokój ją, że wszystko z nim dobrze... Może lepiej niech z nim teraz nie rozmawia. Jest strasznie rozdrażniony, jeszcze powie jej coś przykrego... Ja ciebie też kocham... Pa.

Rozłącza się, siada na drewnianej ławce i patrzy w dal. Jej ostatnie słowa z rozmowy telefonicznej docierają do mnie ze zdwojoną mocą. Zastanawiam się, czy nie zachowałem się wobec niej jak totalny kretyn. I jeszcze ta jej nieszczęsna noga. Przez chwilę waham się, czy nie podejść do Kiry, lecz wciąż jestem wkurwiony. Nie myślę trzeźwo, wszystko mnie drażni. Nie wiem, czy to z powodu odwodnienia, czy tych pierdolonych snów, czy przez uderzenie w łeb. Postanawiam na razie zostawić Kirę w spokoju. Nie jestem pewien samego siebie. Co do jednego nie mam wątpliwości: nie nadaję się na żadne, kurwa, związki. A na pewno nie na takie, w których ktoś mi mówi, co mam robić.

Zalegam na dziobie i przykrywam twarz ręcznikiem Brytyjczyków, który pachnie lawendą. Łódź się kołysze, przez co mam zawroty głowy. Ból jest już jednak znacznie mniejszy. Staram się wyluzować, wsłuchać w szum fal. Zapadam w sen.

Budzi mnie szturchnięcie w ramię.

– Wstawaj, zacumowaliśmy. – Słyszę głos Kiry.

Powracam szybko do rzeczywistości. Nie kojarzę, żeby coś mi się śniło. Zsuwam ręcznik z twarzy, a potem czekam, aż wzrok przyzwyczai się do jasności. Kira zeskakuje z dziobu na pomost znajomej przystani. Siadam, spodziewając się ponownych zawrotów głowy, lecz te nie nadchodzą. Tylko tępy ból rozchodzi się z tyłu czaszki. Wstaję i czuję, że mam się dużo lepiej niż ostatnio. Brytyjczycy szykują się do opuszczenia łajby. Facet zakłada bluzę, dziewczyna zarzuca na siebie tunikę.

– Dzięki za podrzucenie – mówię i zbieram się do zejścia z dziobu.

– Nie ma sprawy – odpowiada Logan. – Mam nadzieję, że szybko wydobrzejesz.

– Nic mi nie jest – rzucam i schodzę na pomost.

Kira nie czeka na mnie, tylko podąża w stronę ulicy, kulejąc. Idę za nią i łapię się na tym, że gapię się na jej kołyszący tyłek. Co więcej, ręce mnie świerzbią, żeby chwycić ją za te jędrne pośladki.

Najchętniej dałbym jej teraz klapsa za to, że tak na mnie działa. Ale to dobrze. To znaczy, że wracam do formy. Uśmiecham się do siebie. Nic i nikt mnie nie pokona.

Kira nawet nie patrzy w moją stronę, kiedy wsiada do taksówki. Przez moment jestem pewien, że odjedzie beze mnie, ale ona zostawia uchylone drzwi. Dobrze i to. Poboczy się trochę i jej przejdzie. A ja jej w tym pomogę.

– Dzięki, że na mnie poczekałaś – odzywam się, zajmując miejsce obok niej.

Nie odpowiada. Chyba naprawdę zalałem jej za skórę. Po zatrzaśnięciu drzwi podaję kierowcy adres Kalisty. Kira siedzi z dłońmi wciśniętymi między uda i wygląda przez okno. Mijamy sklepy przy głównej ulicy oraz pub, w którym graliśmy w bilard, a potem tańczyliśmy. Na samo wspomnienie tego, jak się wtedy o mnie ocierała, jaka była napalona i gotowa na więcej, czuję pulsowanie w kroczu. Obrazy przemykają przez mój umysł – to, jak dotykałem jej w basenie, jak później rozmawialiśmy. Coś we mnie pragnie, żeby znowu było tak między nami. Chyba pora się zrehabilitować.

– Nie powinienem był tego mówić – zaczynam.

– Czego konkretnie? – pyta chłodno, nie odrywając wzroku od widoku za szybą.

– Tego o matce i żonie.

– Powiedziałeś prawdę. Nie jestem dla ciebie ani jedną, ani drugą, i nigdy nie będę.

– To o co jesteś zła?

Przenosi na mnie wzrok. Patrzy mi w oczy.

– Nie jestem zła.

– Przecież widzę.

– Nic nie widzisz, nic nie wiesz, nic nie rozumiesz, Gordianie. A ja nie zamierzam tego zmieniać.

Dałeś mi jasno do zrozumienia, że mam się nie wtrącać, więc nie będę.

– Czyli między nami wszystko okej?

– Ta – rzuca od niechcenia, odwraca ponownie głowę i patrzy przez szybę. A ja wiem, że wcale nie jest między nami okej, i za cholerę nie rozumiem dlaczego.

– Przecież miałem być z tobą szczery – przypominam.

– I byłeś – stwierdza, jakby chciała mnie zbyć.

– Mam udawać, że pasuje mi, kiedy kobieta traktuje mnie jak niepełnosprawnego?

Nigdy, kurwa, w życiu – dopowiadam sam sobie w myślach.

Kira ponownie zerka w moją stronę. Ściąga brwi.

– Nigdy nie traktowałam cię jak niepełnosprawnego.

– A jednak już dwukrotnie się tak przy tobie czułem – przyznaję zgodnie z prawdą. – Facet powinien być silny, nie użalać się nad sobą, nie skarżyć się, nie marudzić. Być może jestem konserwatywny, ale uważam, że kiedyś mężczyźni z godnością znosili ból i niepowodzenia. Walczyli z dzikością natury o przetrwanie, własne i swoich kobiet. Byli dla nich swego rodzaju falochronami. Własnymi rękoma zdobywali pożywienie, przelewali krew za wolność na wojnach, by kobiety mogły przetrwać, przedłużyć gatunek ludzki. Do tego stworzyła nas natura, nie bez powodu jesteśmy wyżsi, silniejsi, mamy większą skłonność do dominacji i agresji. A współczesne kobiety za wszelką cenę próbują to w nas stłamsić. Ale to nie dla mnie, nie jestem cipą.

Kira przechyla głowę, jakby analizowała dogłębnie moje słowa.

– Uważasz, że chcę cię stłamsić?

– Nie wiem, czy chcesz, ale to robisz.

– Bo namawiałam cię na wizytę w szpitalu? – pyta z niedowierzaniem.

– Bo zachowywałaś się, jakbyś lepiej wiedziała, czego mi trzeba. Co więcej, zaangażowałaś w to moją matkę, która jest chora i powinna mieć święty spokój.

Patrzy mi w oczy. Między jej brwiami pojawiają się trzy pionowe zmarszczki.

– Źle mnie zrozumiałaś. Myślałam, że masz wstrząśnienie mózgu. To była troska.

– Tylko że ja nie potrzebuję troski, Kiro. Ani od ciebie, ani od nikogo innego. Chcę z tobą robić milion innych rzeczy, o których nawet nie masz pojęcia. Ale bawienie się w ułomnego ćwoka, którym powinnaś się zajmować, nie wchodzi w grę. Ani teraz, ani nigdy. Potrafisz to zaakceptować?

Nie spuszcza ze mnie wzroku, patrzy na mnie przenikliwie, myśli. Po kilkusekundowej ciszy

wreszcie się odzywa.

– W porządku. Rozumiem.

– Rozumiesz?

– Tak. Doskonale wiem, o czym mówisz. – Przez ton jej głosu przebija autentyczna szczerłość, pozbawiona wcześniejszej obrazy.

– Mówisz poważnie czy to sarkazm?

Patrzy mi w oczy.

– Poważnie. Masz rację. Przepraszam, że cię tłamsiłam.

Unoszę brwi. Mam wrażenie, że wygrałem w totka. Kurwa, ta dziewczyna to złoto. Mało tego, że piękna, z boskim ciałem, silnym charakterem, to potrafi zrozumieć takiego pojeba jak ja i do tego jeszcze go przeprosić.

– Ja też przepraszam – mówię, opieram głowę o zagłówek i zamykam oczy. Muszę jakoś poradzić sobie z tym jebanym bólem i zawrotami.



Nie mogę znieść przejętego spojrzenia matki. Patrzy na mnie, jakbym leżał przed nią w kaplicy w pieprzonej trumnie. Wchodzę na ganek i zapewniam ją, że wszystko ze mną w porządku. Mimo to jej wzrok wciąż pozostaje lękliwy, czujny, badawczy. Sprawia, że powracają najgorsze wspomnienia. A ostatnią rzeczą, na którą teraz mam ochotę, jest przypominanie sobie bójkę z tatusiem.

– Kira mówiła, że się uderzyłeś. Pokaż głowę. – Każe mi się schylić.

– Mamo, naprawdę, daj spokój. Nic mi nie jest.

Staram się trzymać w pionie, choć nieustannie kręci mi się w głowie. Cmokam mamę w czoło i ruszam w stronę drzwi.

Serafin tuli Kirę. Nic nie mówi, ona też milczy. Ich uścisk jest wart więcej niż milion pieprzonych słów.

Wchodzę do środka. Stary klimatyzator Kalisty daje radę. Jest chłodno, przyjemnie. Żaluzje w oknach są pozasłaniane. Babcia krząta się w kuchni, a na mój widok od razu się odwraca. Jest wkurzona, poznaję to po jej pionowej zmarszczce na czole oraz zaciśniętej szczęce.

– Mówiłam ci, żebyś nie płynął. – Drepcze ze szklanką wody i stawia ją na ławie przy kanapie.

– Mówiłaś, żebyśmy lepiej poszli na plażę. – Podchodzę do komody, w której trzymam swoje rzeczy, i wyciągam piguły na sen oraz psychotropy. Muszę się przespać, odpocząć, bo ta jebana karuzela mnie wykończy.

– Nie drwij, wnusiu. To nie są żarty.

– To był wypadek, babciu. Zdarza się. – Wyciskam z blistra dwie tabletki, wrzucam je sobie do ust i podchodzę do ławy, żeby napić się wody.

– Gdzie masz krzyżyk, który ci dałam? Miałaś go nosić na piersi. – Jej głos jest poważny, stanowczy. Chyba jeszcze nigdy jej takiej nie słyszałem.

Popijam tabletki, opróżniając szklankę, i walę się na kanapę. Pokój wiruje, z ganku docierają do mnie strzępy rozmów, jebany klimatyzator buczy, jakby zaraz miał odfrunąć, babcia stoi nade mną jak kat. Kurwa, potrzebuję ciszy i spokoju.

– Nosilem i najwyraźniej nic to nie dało, bo i tak ugrzęźliśmy w zatoce bez łodzi, jedzenia i picia.

– Przymykam powieki, przesuwam dłońmi po twarzy. Ciemność daje mi ukojenie.

– Ale to dzięki niemu cię znalazłam. – Słyszę głos Kiry. Uchylam powieki, kiedy podchodzi do Kalisty i wita się z nią, całując w policzek.

– To znaczy? – pyta babcia.

Daję Kirze znaki, żeby nie ciągnęła tematu, lecz ona opowiada już Kaliście bajeczkę o jarzącym się krzyżu na mojej piersi. Serafin z mamą przysłuchują się z zaciekawieniem. A wszystko wiruje. Ja jebię, czuję się jak w jakimś chorym filmie. Na szczęście tabletki powoli zaczynają działać.

Ogarnia mnie senność, zubożnienie.

– Mamo, położę się u was na kilka minut. – Wstaję, starając się nie bujać jak jakiś żul spod sklepu, lecz mimo zwarcia pośladków zataczam się i walę nogą o stolik. – Jebana mać! – Opadam

z powrotem na kanapę.

– Wezwijmy jednak lekarza... – momentalnie proponuje mama.

– Nic mi nie jest. – Zbieram się ponownie. – Muszę odespać, to wszystko.

– Trzeba jeszcze opatrzyć ranę na głowie – przypomina Kira. – Chodź, zabrałam ze sobą gazę i Octenisept. – Nie czeka na mnie, tylko rusza w głąb korytarza prowadzącego do pokoju, w którym śpią z babcią.

Nie oponuję, bo nie dadzą mi spokoju. Omijam patrzącą na mnie przenikliwie babcię, mamę z jej zatroskanym wzrokiem, którego nie mogę znieść, i Serafina, który, jak zwykle, ma wyraz twarzy poczciwego kundla. Nawet słowem się nie odezwał, że przeze mnie Kirze mogło stać się coś złego. Ja na jego miejscu powyłamywałbym takiemu jak ja paluchy. Ale nie jestem nim, a on mną. Serafin to totalne przeciwieństwo mężczyzn, którzy do tej pory byli obecni w życiu mojej matki. Nigdy nie słyszałem, żeby podniósł głos, żeby o kimś źle mówił, żeby się na coś skarżył albo zwyczajnie wkurwił, kiedy w dzień wyczekiwanego meczu nawalił telewizor. Ten facet jest jak baba, tylko że w ciele mężczyzny.

Wchodzę do pokoju i walę się na łóżko babci, podczas gdy Kira grzebie w swojej walizce. Zamykam oczy, by uspokoić zawroty głowy, które na szczęście są już mniej dotkliwe niż na łodzi.

– Odwróć się na prawy bok. – Kira siada na łóżku obok mnie.

Spełniam jej prośbę. Słyszę, jak rozdziera papier od opatrunku i psika na niego.

– Może szczypać. – Przykłada gazę w miejsce rozcięcia na głowie.

– Nie szczypie – mówię zgodnie z prawdą.

– Lepiej psiknę bezpośrednio na ranę.

Rozlega się dźwięk naciskanego atomizera. Czuję lekkie pieczenie, a po nim dłoń Kiry przesuwającą się po moich włosach. Przypominam sobie, że tak samo dotykała mnie, kiedy leżałem półprzytomny na plaży. To mnie uspokaja, popadam w błogi stan.

– Gotowe. Odpoczywaj. – Kira podnosi się z łóżka, a wtedy moja lewa ręka sięga w jej kierunku.

Łapię jej dłoń i zaciskam na niej palce.

– Mam coś ci przynieść? – pyta.

– Zostań – rzucam mimowolnie.

Przez moment się nie rusza, lecz po chwili materac ugina się pod jej ciężarem. Kładzie się tuż za mną. Nasze splecione dłonie leżą na moim biodrze. Czuję zapach spoconej skóry, ciepły oddech na karku, piersi dotykają moich nagich pleców i unoszą się w rytm przyśpieszonego oddechu. W normalnych warunkach już bym się do niej dobierał. Ale teraz chce mi się tylko spać. Pograżam się w leniwym letargu, usypiam.

Budzi mnie jęczenie, któremu wtóruje szelest. Jestem przekonany, że miałem koszmar, jednak moje serce bije spokojnie, oddech jest powolny. Zamykam oczy i wtedy słyszę ten sam dźwięk. Obracam się i w świetle księżyca dostrzegam na drugim łóżku Kirę. Wije się niespokojnie w skotłowanym prześcieradle, postępuje coś niezrozumiale, kręci głową na boki. Na jej czole perli się pot.

– Nie... Proszę, ratujcie ją... – To jedyne zrozumiałe słowa, które wydobywają się z jej ust.

– Kira! – wołam ją, lecz ona wciąż jęczy przez sen. – Kira!

– Ratujcie moje dziecko... – Ciągnie za prześcieradło, jej twarz wykrzywia grymas, zaczyna płakać.

Kurwa, co jest?

Wyskakuję z łóżka, ignoruję nieznaczny zawrót głowy, podchodzę do Kiry i potrząsam nią za ramiona.

– Obudź się – mówię, a wtedy jej oczy otwierają się szeroko. Nabiera łapczywie powietrza. Jest spocona, zdezorientowana, balansuje na granicy jawy i snu. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś płakał przez sen, choć sam jako dziecko nieraz budziłem się z płaczem. – To tylko sen. Jesteś w Grecji, w domu Kalisty.

Kira mruga, jej ramiona są napięte, oddech szybki i urywany. Przetyka ślinę.

– Tak, tak... – Błądzi wzrokiem po pokoju.

– Spójrz na mnie. – Siadam na łóżku. Trzymam ją mocno. – To zły sen.

Jej oczy zatrzymują się na mojej twarzy. Dostrzegam w nich strach.

– To nie sen, to wspomnienie.

Przełykam ślinę. Przypominam sobie, że podczas wypełniania formularza wspominała o cesarskim cięciu. Uwalniam ją z uścisku. Niemal słyszę jej dudniące serce.

– Straciłam córkę – wyznaje. Głos ma stłumiony. Widzę po niej, że jest roztrzęsiona. Nic nie odpowiadam, nie dopytuję, bo, kurwa, na takie wyznanie nie ma odpowiednich słów. Kira oblizuje spierzchnięte usta, patrzy wciąż na mnie, lecz jej wzrok nie jest w pełni obecny, jakby nadal znajdowała się w koszmarze, a może w przeszłości. – Moja matka jej nie chciała. Mówiła, że jestem za młoda. Że nie uzna dziecka gwałciiciela. Że sama będę ją wychowywać. Że się nie nadaje. Kazała mi usunąć ciążę... – wyrzuca z siebie urywane zdania, a mnie robi się gorąco, tętno mi przyspiesza. W uszach dźwięczą jej słowa. Dociera do mnie ich sens, czuję narastającą wściekłość na skurwysyna, który zgwałcił Kirę. Zgwałcił! Ja pierdołę, nie chcę nawet myśleć, ile musiała przejść. Przeszukuję w pamięci szczegóły wywiadu z poradni. Niemal widzę, jak własną ręką wpisuję w formularzu jej słowa: „*Depresja i zespół lęku napadowego, trzynaście, czternaście, piętnaście lat*” i po kręgosłupie przebiega mi lodowaty dreszcz. Kira trenuje kickboxing od pięciu lat. To musiało być wtedy. Kurwa, miała tylko trzynaście lat?! Krew odpływa mi z twarzy, serce jakby przestaje bić. Odnajduję jej dłonie i zamykam je w swoich. Drżą, są jednocześnie zimne i spocone. – Myślałam, że chcę ją urodzić – mówi. – Ale ona czuła, że nie jestem pewna. Zabiłam ją swoimi myślami, swoją samolubnością. Jestem podłą osobą... – Kira drży na całym ciele.

– Nie. – Instynktownie przyciągam ją do siebie i obejmuję. – Nie.

– Już to przerabiałam, tak wiele razy. Ale to wraca. – Przywiera do mojej piersi, a ja czuję, że mam gulę w gardle. Opieram usta o jej głowę, czuję zapach jej włosów, słyszę nierówny oddech.

– To, że wraca, nie znaczy, że musi mieć nad tobą władzę – odpowiadam. – Spróbuj usnąć, rano będzie lepiej. – Przesuwam dłonią po jej plecach i nie mogę się nadziwić, skąd we mnie tyle pierdolonej empatii.

Kira wtula się we mnie, jakby było jej to naprawdę potrzebne. Jest ciepła, jej ciało powoli się rozluźnia, oddech stopniowo się uspokaja i wyrównuje. A ja doświadczam gonitwy myśli, nachodzą mnie liczne pytania, wzmagają ból potylicy i zawroty głowy.

Dlaczego najgorsze wspomnienia nawiedzają człowieka najczęściej w nocy, kiedy jest półprzytomny i nie ma siły walczyć z demonami? Kim był ten jebany fagas, który skrzywdził Kirę? Gdzie teraz jest? Bo zamierzam ujechać mu tępym nożem kutasa i wcisnąć mu go do gardła, żeby się nim udławił.

To przez niego Kira czuje taką niechęć do seksu. Nie trzeba być geniuszem, by się tego domyślić. Jak to się w ogóle stało? Dlaczego jej dziecko zmarło?

Nie wiem, ile czasu zadaję sobie te wszystkie pytania. W końcu powieki mi opadają i zasypiam.



Budzą mnie promienie słońca wdzierające się przez szczelinę na łączeniu zasłon. Mrużę oczy, robię kilka ruchów głową, bo zdrętwiał mi kark, i uświadamiam sobie, że już nie czuję zawrotów, a i potylicy jakby też mniej boli. W sumie czuję się jak młody bóg. Wyspany, wyluzowany. Patrzę na Kirę, której głowa leży na mojej piersi. Wygląda spokojnie, jest piękna. Odsuwam kosmyk włosów opadający jej na twarz i patrzę na usta. Są pełne, nieco spuchnięte, rozchylone. Przesuwam po nich kciukiem, lecz to mi nie wystarcza. Muszę je poczuć. Nachylam się... Całuję ją. Miękkość warg Kiry i jej oddech sprawiają, że przyspiesza mi puls. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale mam to w dupie. Chcę więcej. Przesuwam językiem po jej zębach, moje ciało momentalnie zaczyna reagować. Dłonie instynktownie wodzą po talii, wkradają się pod koszulkę, wyczuwają gorąco bijące od skóry.

Kira się przebudza. Otwiera oczy, patrzy na mnie. Nie mam pojęcia, co sobie myśli. Być może, że jestem złamanym kutasem, bo dobieram się do niej, mimo tego, co powiedziała mi w nocy. I w sumie dużo się nie myli. Pragnę jej mocniej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Chyba powinienes umyć zęby – odzywa się zachrypniętym głosem i marszczy nos.

Uśmiecham się, bo do głowy przychodzi mi riposta, że są inne rzeczy, które mógłbym jej zrobić

ustami, a mycie zębów wcale nie jest do tego potrzebne. Ale w porę gryzę się w język.

– Jasne. – Przesuwam usta na jej szyję, ucho. Zaciskam dłoń na talii, mierzę palcami w stronę pachy. Kira chichocze. Ale nie jest to taki kokieterystyczny, piskliwy chichot, jaki miewa większość dziewczyn. Ten jest niski, drapieźny i jednocześnie zabawny.

– Masz łaskotki? – pytam, przeciągając palcami po jej boku.

– Przestań! – Śmieje się i przesuwa pod ścianę.

– Czyli masz. – Łapię ją w talii i zaczynam gilgotać.

Kira rechocze. Próbuje mnie zrzucić z łóżka, odpycha rękoma i nogami. Silna jest, skubana, ale ja jestem silniejszy. Łapię ją za nadgarstki, przytrzymuję je jedną ręką, a palcami drugiej ugniatam jej talię jak ciasto. Śmieje się jak opętana, wierzgając przy tym jak klacz. Unoszę się i blokuję jej nogi, zaciskając je mocno udami.

– Przestań, proszę. – Rechocze i nagle dostaje czkawki.

To mnie rozbraja. Wybucham głośnym śmiechem.

Kira przestaje walczyć, przygląda mi się przenikliwie i czka.

– O co chodzi? – pytam.

– Masz zabójczy śmiech – stwierdza, po czym czka.

– Cały jestem zabójczy.

Nie odrywa spojrzenia od mojej twarzy. Zauważam, że zaczyna szybciej oddychać.

– Pocałuj mnie – prosi nieoczekiwanie.

Przelatuje mi przez myśl, że nadal nie umyłem pieprzonych zębów. Ale jebać to. Przecież sama tego chce, a mnie nie trzeba dwa razy prosić.

Wpijam się w jej usta. Mocno, zachłannie. Kira rozchyła wargi. Nasze języki się splatają, szukają wspólnego rytmu. Jej zapach mnie otumania, pomruki podniecają. Uwalniam z uchwytu jej nadgarstki, a wtedy ona wsuwa mi dłoń we włosy i przygryza moją dolną wargę. Jasna cholera, ta dziewczyna to ogień. Łapię za jej koszulkę i podciągam ją wyżej, chcę poczuć na klacie jej nagie piersi. Chcę je zobaczyć. Przerywam pocałunek i słyszę jęk niezadowolenia. Obserwuję ją uważnie, ściągając jej top. Rzucam go na podłogę przy łóżku. Kira patrzy na mnie wyczekująco. Jest naga od pasa w górę. Jej jasne sutki odznaczają się od reszty opalenizny, z wyjątkiem ciemnych sterczących brodawek, które krzyczą: „Liż, ssij, gryź”.

Przesuwam kciukiem po jednej z nich, a wtedy ciało Kiry pokrywa gęsia skórka. Oddycha coraz szybciej. Zamykam sutek w dłoni, przesuwam w górę i w dół, a potem zaciskam na nim palce. Czuję, jak brodawka staje się coraz bardziej nabrzmiąta, coraz bardziej wrażliwa, gorąca. Zdejmuję z niej dłoń, zbliżam się ustami. Wzrok Kiry jest skupiony na każdym moim ruchu. Patrzę jej w oczy, jakbym bez użycia słów chciał zapewnić, że nie posunę się dalej, niż ona tego chce. I to chyba działa, bo przyciąga moją głowę do piersi, a wtedy ja chwytam ją wargami i zaczynam ssać.

Z ust Kiry wydobywa się cichy jęk. Liżę jej brodawkę, raz po raz zahaczając o nią zębami. Ja pierdołę, jak ona nieziemsko smakuje. Chuj stoi mi na baczność. Debil, przecież wie, że nie zrobię z niego dzisiaj żadnego użytku. Staram się stłumić w sobie podniecenie, okiełznać pożądanie, ale nie mogę. To jest silniejsze ode mnie. Zaciskam mięśnie zwieracza, choć wiem, że to nic nie da. Chce mi się przecież pieprzyć, a nie srać. Czuję, jak krew wypełnia fiuta od nasady po żołądek, jaja mi pęcznieją, biodra mimowolnie wypchają się w przód. Najchętniej zacząłbym się ocierać teraz o udo Kiry jak jakiś napalony kundel. Ale nie mogę. Jestem pewien, że bym ją tylko wystraszył, a to ostatnie, czego nam teraz potrzeba. Sięgam po jasięk, który leży na posłaniu, i wsuwam go pomiędzy mnie a Kirę. Napieram na niego twardym kutasem.

Kira patrzy na mnie pytająco.

– Co robisz?

– Nic – zbywam ją, bo co mam niby powiedzieć? *Będę pieprzył poduszkę, ale nie zwracaj na mnie uwagi?*

Łapię ustami jej sutek i mocno go zasysam. Najwyraźniej jestem w tym mistrzem, bo Kira przymyka oczy i przygryza seksowanie wargę. Instynktownie wypycham biodra, napieram na poduszkę kutasem, dociskam i cofam. Drażnię piersi palcami, po czym zwilżam ją ponownie językiem

i przygryzam. Biodra ponownie wciskają się w poduszkę. Raz, drugi, trzeci. Trę dłonią sutek Kiry, z jej ust wydobywa się stęknienie, co jeszcze mocniej mnie nakręca. Dociskam fiutem coraz mocniej, drażniąc zębami brodawkę. Kira wije się, wzdycha, oczy ma zamknięte, przyciąga moją głowę do piersi. Ocieram się o nią twarzą, liżę, ssę, pociągam delikatnie palcami. Jądra mi pulsują, kutas wbija się w poduszkę jak taran. Jestem już coraz bliżej, zaraz się spuszczę. I nagle Kira zamiera, wstrzymuje oddech, zaciska powieki.

– O tak, o tak. Nie przestawaj.

Kurwa, nie wierzę.

Przesuwam zębami po brodawce, zwilżam ją językiem, kąsam i wtedy słyszę, jak z ust Kiry wydobywa się jęk: niski, seksowny. Zaciska palce na moich włosach, cała tężeje, jej mięśnie się napinają, oddech rwie. A ja mam wrażenie, jakbym zdobył najwyższy szczyt świata. Ja pierdolę, nigdy z żadną laską mi się to nie udało. A może nigdy nie próbowałem, bo od razu szedłem na całość? Wpatruję się w Kirę jak w obraz i nadal nie mogę w to uwierzyć. Dopiero gdy jej powieki się uchylają, a na twarzy pojawia się zniewalający uśmiech, zyskuję pewność. Doprowadziłem ją do orgazmu.

Przybijam sobie piątkę w myślach. Jestem wielki! Dosłownie i w przenośni. Jaja zaraz mi eksplodują, muszę sobie zwalić, bo nie wyrobię.

Zsuwam się powoli z łóżka, lecz Kira przytrzymuje mnie za ramię.

– To było świetne. – Patrzy mi w oczy, przyciąga za kark i całuje w usta z taką pasją, że nie mam serca jej tak zostawiać.

Oddycham głęboko, w uszach mi szumi. Nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić.

– Kiro, muszę do kibla – informuję, bo wątpię, by perspektywa ulżenia sobie na jej oczach ją pociągała. Chociaż nie zaszkodzi zapytać. – Chyba że wolisz, bym zrobił to tutaj? – Zerkam sugestywnie na stojącego w spodniach kutasa.

Jej oczy się rozszerzają, co dowodzi, że zrozumiała, o co mi chodzi. Najwyraźniej ją zaskoczyłem, bo nic nie mówi, tylko patrzy na moje krocze.

– A jakby to miało wyglądać? – pyta lekko zachrypniętym głosem, z zaciekawieniem w oczach.

O kurwa, takiego pytania się nie spodziewałem. Nie mam pojęcia, co powinienem odpowiedzieć. Kombinuję jak koń pod górę, jak tu ubrać w słowa najprostsza czynność pod słońcem, którą facet wykonuje w ciągu całego życia w sumie z pięćdziesiąt tysięcy razy.

– To zależy, jak byś wołała. Mogę stać przed tobą. – Zjeżdżam wzrokiem na jej nagie piersi, bo pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to w finale spuścić się właśnie na nie. Wyobraźnia tak pracuje, że kutas zaraz rozerwie suwak w portkach. – Mogę klęczeć nad tobą. – Finał oczywiście ten sam, dodaję w myślach. – Mogę też usiąść na fotelu... – Wtedy w grę wchodzi finisz na chusteczce, co jest najmniej podniecające. – Są różne możliwości. Nie wiem dokładnie, co może przywołać u ciebie złe wspomnienia... – dopowiadam i w jednej sekundzie orientuję się, że powiedziałem zbyt wiele. Wzrok Kiry z zaintrygowanego zmienia się w przestraszony, wycofany.

– Może faktycznie lepiej idź do tej łazienki – stwierdza, sięgając po koszulkę.

I atmosferę diabli wzięli.

Kurwa mać!

Wychodzę z pokoju wściekły jak rój os. Nie rozumiem kobiet. Ja pierdolę, naprawdę ich nie rozumiem! Masz je szanować, być z nimi szczerzy, troskliwy, a gdy to robisz, wszystko szlag trafia, a ty czujesz się jak głupek. Nie nadaję się do żadnego związku. Nie zamierzam robić z siebie więcej debila. Kira już za długo wodziła mnie za nos. Musi się określić, czego chce, a czego nie. Ja będę robił swoje; w najgorszym wypadku dostanę od niej w mordę i na tym skończy się nasza znajomość.

Idę w stronę łazienki. Kątem oka dostrzegam, że rodzice z Kalistą jedzą śniadanie na ganku. Burczy mi w brzuchu z głodu. Wreszcie. Już nie mogę się doczekać, aż najem się do syta, bez tych pieprzonych mdłości i zawrotów głowy. Całe szczęście, że już mi przeszło i resztę pobytu w Grecji mogę spędzić na luzaku. Aż mnie chuj strzela na myśl, że miałbym przeleżeć ostatni tydzień urlopu w zapyziałym szpitalu, gdzie szukaliby tylko dziury w całym. Człowiek potrafi sam się regenerować, trzeba tylko wierzyć w siebie i nie trząść portkami z byle powodu. *Shit happens*, jednak prawdziwy facet zawsze wyjdzie z gównianej sytuacji obronną ręką.

Biorę szybki prysznic i jeszcze szybciej kręcę śmigło. Jedyne, co czuję, to frustracja, której muszę dać upust. Jednak po spuszczeniu się wcale mi nie przechodzi. Zły nastrój zrzucam na uczucie głodu. Myję zęby, golę się, owijam ręcznik w pasie i wychodzę do kuchni. A tam Kira. Nie patrzy na mnie, smaży naleśniki. Wiem, że nie powinienem z nią gadać na głodnego, bo wtedy szybciej się wkurwię, ale chcę mieć to już za sobą.

– Musisz mi powiedzieć, jak daleko mogę się posunąć, inaczej zwariuję. – Opieram się o blat.

– Nic nie muszę. – Przerzuca naleśnika na drugą stronę. – A nawet jeśli bym chciała, to nie jestem w stanie tego jasno określić.

– To skąd mam, do cholery, wiedzieć, co robić?

Unosi wzrok, patrzy mi w oczy.

– A dlaczego musisz cokolwiek robić? To, co się dzisiaj wydarzyło, ci nie wystarcza?

Przypominam sobie, jak pięknie wyglądała podczas orgazmu, jak bardzo chciałem dojść razem z nią, i zaciskam palce na blacie.

– Nie wystarcza. – Przysuwam się bliżej i nachylam do jej ucha. – Chcę więcej. Chcę lizać twoją cipkę, wsuwać w nią palce, chcę, żebyś wzięła mojego fiuta do ust, chcę cię nim wypełnić, pieprzyć cię tak mocno i namiętnie, że ten orgazm, którego doświadczyłaś dzisiaj, będzie tylko namiastką rozkoszy, jakiej doznasz.

Kira zaciska dłoń na rączce patelni. Pozostaję w gotowości, bo przechodzi mi przez myśl, że zaraz mi nią przywali w gębę.

– Zgadzam się – mówi oziębłym tonem.

– Co?

– Powiedziałam, że się zgadzam.

Okej, kurwa, coś za łatwo poszło.

– Ale...? – Zawieszam głos.

– Musisz zrobić pierwszy krok...

O tak. Już nawet wiem, jak będzie wyglądał.

– Nie ma sprawy – wchodzę jej w zdanie. – Wynajmę pokój w hotelu...

– Nie skończyłam – przerywa. – Masz zrobić pierwszy krok w pozostaniu w trzeźwości, przez trzydzieści dni.

– Trzeźwości? Przecież ja nie piję, to znaczy nie aż tak często. – Śmieję się.

– Mam na myśli trzeźwość seksualną. Nieuprawianie seksu z innymi dziewczynami oprócz mnie.

I rezygnację z masturbacji...

Wybucham śmiechem. Niezły żart. Patrzę na nią, lecz ona wcale się nie śmieje. Krew odpływa mi z twarzy.

– Ty nie żartujesz.

– Nie żartuję.

– Przecież to jakiś absurd. Kiro, każdy facet się masturbuje.

– Ale nie każdy robi to kompulsywnie i jest od tego uzależniony.

– Nie jestem uzależniony. Kto ci nagadał takich bzdur? – Czuję, że zaczynam wrzeć. Kurwa, wiedziałem, że powinienem wcześniej coś zjeść.

– Nikt mi nie musiał nic mówić, Gordianie. To widać jak na dłoni. Jeszcze nawet nie wydobrałeś po wypadku, a już myślisz tylko o jednym. Nie potrafisz utrzymać interesu w spodniach dłużej niż kilka dni. Tomasz wspominał, że ciągle masz kogoś na boku. Po przyjeździe do Grecji nie dość, że ciągle kombinowałeś, jak dobrać mi się do majtek, to jeszcze flirtowałeś z sąsiadką.

– Nie flirtowałem z nią... Sama mi się wystawiła.

– Ni stąd, ni zowąd. I nie dałeś jej wcześniej żadnych powodów, by sądziła, że nie masz na nią ochoty? – Unosi brwi.

Nie odpowiadam. Nie muszę się, kurwa, nikomu tłumaczyć.

– To nie jest twoja sprawa, nie byliśmy wtedy razem.

– A teraz jesteście?

– Ty mi to powiedz.

Kira przygląda mi się przez dłuższą chwilę. Czuję się, jakbym czekał na wyniki jakiegoś pieprzonego egzaminu.

Dlaczego?

Wyciera dłonie w spodnie, po czym odchodzi od kuchenki i siada przy stole. Śledzę ją wzrokiem, nie mogę jednak wyczytać z jej twarzy, co zamierza.

– Po twoim wyjściu z pokoju zadzwoniłam do swojej terapeutki – wyznaje przyciszonym głosem i na mnie patrzy. – Mówiłam jej wcześniej o tobie.

– Masz na myśli tę psychiatrę z wizytówki z twojego portfela?

– Tak. Bardzo mi pomogła, gdy byłam młodsza. Dzwonię do niej czasami, kiedy mam problem.

– Skąd miałaś komórkę? Przecież utonęła razem z resztą rzeczy.

– Pożyczyłam od taty.

– I on miał twoją terapeutkę w kontaktach?

– Nie... Pamiętałam jej numer.

Prycham, bo jedyny numer telefonu, który znam na pamięć, należy do mojej matki.

– I kto tu jest uzależniony... – Zakładam ręce na piersi.

– Nie jestem od niej uzależniona – oponuje. – Po prostu mam wrażenie, że to jedyna osoba, która mnie rozumie. I w sumie jedyna osoba, która wie o mnie wszystko.

Kręcę głową. Nie wyobrażam sobie, że można się obnażyć przed obcym człowiekiem. Mało tego, płacić mu słoną kasę za to, że pokazuje mu się całą dupę. W zamian za co? Dobrą radę? Kilka słów pocieszenia?

– I co mądrego ci powiedziała?

– Że powinieneś udać się na terapię indywidualną albo na grupę wsparcia działającą na takich samych zasadach jak AA.

Słucham i po prostu chce mi się śmiać. To jakaś wariatka, ta jej terapeutka.

– Oprócz trzydziestodniowej abstynencji od seksu z innymi kobietami zasugerowała również rezygnację z internetu i pism dla mężczyzn, gdzie można znaleźć pornografię zachęcającą do masturbacji – dodaje Kira.

– To już przesada. Nie będę tego słuchał. To, co mówisz, jest chore.

– Nie, Gordianie. To ty jesteś chory. Uzależnienie jest chorobą, a najlepszą metodą na rzucenie nałogu, jest zachowanie abstynencji. Tak jak alkoholik powinien zaprzestać picia, chodzenia do barów, sklepów z alkoholem i na imprezy, tak seksoholik nie powinien się masturbować, oglądać pornografii i współżyć z nikim oprócz swojej stałej partnerki, której najczęściej nie posiada z racji ciągłych skoków w bok.

– Z tego, co mówisz, wynika, że powinienem zostać pieprzonym mnichem! – podnoszę głos.

Kira zerka w stronę okna wychodzącego na ganek.

– Nie. Proszę cię tylko o czas – odpowiada niskim, stłumionym głosem. – O trzydzieści dni, podczas których będziesz unikał jakichkolwiek aktywności seksualnych oprócz tych, które zajdą między nami.

Czyli praktycznie żadnych – dopowiadam w myślach, świadom, jaki jest stosunek Kiry do seksu. Przesuwam dłońmi po twarzy. To jest tak bardzo niedorzeczne, że sam nie wiem, czy mam się śmiać, czy wkurwić.

– Nie jesteś dobrą partią na chłopaka – ciągnie Kira. – I tak naprawdę, gdy tylko wspomniałam o tobie Amandzie, odradziła mi jakiejkolwiek relacje z tobą, bo wiedziała, do czego będą się one głównie sprowadzać. Ale jej nie posłuchałam. – Wstaje i podchodzi do mnie. – Chcę dać nam szansę, jednak ty musisz dać mi coś więcej niż ciągłe teksty o tym, jak bardzo chcesz mnie przelecieć.

Patrzę na nią i mam taki chaos w głowie, że ledwie jestem w stanie pozbierać myśli.

– Chcesz mnie zmienić – stwierdzam. – Chcesz zrobić ze mnie innego człowieka, niż jestem.

– Nie. Widzę w tobie dobro i chcę, żebyś ty też je zobaczył. Zostałeś skrzywdzony, tak jak ja, pogubiłeś się... Można to naprawić.

Kurwa mać! Nie wierzę, że to powiedziała.

– Tylko że ja nie chcę być naprawiany, Kiro. Nie jestem pieprzonym telewizorem, by mnie

naprawiać. Jestem, jaki jestem. I za cholerę nie wiem, jakie dobro we mnie widzisz. Zrobiłem w życiu coś, czego nigdy nie zrozumiesz. *Dobro* jest ostatnim słowem, którego powinnaś użyć w stosunku do mnie. Nie będę taki jak Tomasz. Nie będę czekał w nieskończoność, aż w końcu mnie do siebie dopuścisz. To, czego ode mnie żadasz, jest niewykonalne. Mam na ciebie patrzeć, dotykać cię, całować, podniecać się na myśl o tym, co moglibyśmy razem zrobić, po czym zostawisz mnie z twardym kutasem i z zakazem masturbacji, żebym cierpiał katusze? Nie ma takiej opcji. – Przechodzę do salonu i zabieram z komody kasę, którą miałem odłożoną na czarną godzinę.

– Gordian, porozmawiajmy.

– Mam dosyć rozmawiania! Skup się na sobie, Kiro. Skoro jestem uzależniony, to znaczy, że ty świadomie wybrałaś sobie na chłopaka nałogowca. Skoro już wcześniej uważałaś, że mam problem, mimo to chciałaś ze mną być, to musi o czymś świadczyć. Myślisz, że jestem zbokiem? Chorym napaleńcem, który pieprzy wszystko, co się rusza? Ty za to jesteś doskonała. Chodzący ideał, bez problemów. Od ponad pięciu lat nie jesteś w stanie przewyciężyć niechęci do seksu. Jesteś zamrożona jak pieprzony sople lodu. Ufasz jakiejś babie, która nawet nie próbuje cię wyleczyć, tylko traktuje jak dojną krowę, której robi wodę z mózgu.

– Odwracasz kota ogonem! – podnosi głos. – To nie pociąg do kobiet, a twoja niedojrzałość emocjonalna sprawia, że traktujesz seks jako rozwiązanie wszystkich swoich problemów. Seks jest twoją ucieczką od emocji. Zastępujesz nim jak protezę wszystkie uczucia, z którymi boisz się zmierzyć. Aż w końcu się od tego uzależniłeś. Ale to nie jest sposób...

Zaczynam się śmiać.

– Kira, moja prywatna, mała pani psycholog. Przypomnij mi, gdzie kończyłaś studia? A tak, nigdzie. Zapomniałem, że nie masz jeszcze nawet matury. Koniec tematu, wychodzę. – Idę do drzwi, łapię za klamkę.

– Przestań zachowywać się jak głupi dzieciak. Wiesz dobrze, o czym mówię. Jestem pewna, że sobie poradzisz. Masz silny charakter, jak coś postanowisz, to na pewno to zrealizujesz. Musisz jednak tego chcieć. To tylko miesiąc.

– No proszę, z psychologa przekwalifikowałaś się w mówcę motywacyjnego. Sorry, ale na tego głupiego dzieciaka to też nie działa. – Otwieram drzwi i rzucam na odchodne: – I przekaz tej swojej Amandzie, że nie ma pojęcia o tym, jak działa męski mózg, o fiucie nie wspominając.



Na zewnątrz jest ciepło, wieje lekki wiatr od morza. Zapach smażonych jajek i boczku przygotowanych na śniadanie sprawia, że żołądek zaciska się z głodu. Nie chcę jednak w takim nastroju siadać do stołu z mamą.

– Idę kupić telefon i załatwić dokumenty – rzucam, gdy tylko wychodzę na ganek.

Oczy całej trójki kierują się w moją stronę.

– Jak się czujesz? – pyta mama.

– W porządku.

– Zjedz coś – wtrąca Kalista.

– Już jadłem – kłamię. – Widzimy się później.

Mijam ich, nie patrzę nawet na Serafina. Nie wiem dlaczego. Może mam do niego pretensje o to, co spotkało Kirę? Zadaniem ojca powinno być chronienie córki. Wolę się nawet nie zastanawiać nad tym, czy wie, co jej się przydarzyło. I chociaż wspomniał ostatnio, że wiele przeszła, to nie jestem pewien, czy ma w ogóle świadomość tego, jak wiele. Czuję dziwną gulę w gardle na myśl o Kirze. I chociaż jestem na nią wściekły za to, co powiedziała w kuchni, nie mogę znieść, że spotkała ją takie gównno. I to by było pewnie na tyle, jeśli chodzi o nasz związek. Zajebiście długo wytrzymaliśmy razem.

Muszę się zresetować. Nabrać do tego wszystkiego dystansu. Zająć się czymś.

Drogę do miasta pokonuję truchtem. Jestem głodny jak wilk, więc wpadam do pierwszego minimarketu.

– Koszyk obowiązkowy – upomina mnie sprzedawca na wejściu.

Rozglądam się, widzę tylko duże koszyki na kółkach, jak w supermarkecie. Wyciągam jeden,

zaczynam go pchać, a ten, kurwa, znosi mnie w jedną stronę. Kręci się w kółko, cyrkiel jebany. Co za badziewie! Unoszę go i uderzam nim o podłogę. Dwa tylne kółka odpadają. Jeden toczy się pod regał z dżemami, drugi pod zamrażalkę. Jakaś para turystów cofa się wystraszona.

– Bez spinki, jestem z serwisu. – Zostawiam wózek na środku alejki, biorę z lodówki kozi ser oraz jogurt, po drodze zgarniam dwie bułki, jakiś najtańszy portfel i idę do kasy.

– A wózek gdzie? – pyta sprzedawca, patrząc na mnie, jakbym mu matkę ukatrupił.

– Rozjebany. Chcesz do niego dołączyć? – Machinalnie dorzucam do zakupów paczkę prezerwatyw i gumy do żucia.

Sprzedawca zasznurowuje usta. Chyba uznał, że trochę bez sensu dostać wpierdol z powodu głupiego wózka.

Płacę, wychodzę, siadam na ławce w cieniu drzewa figowego i jem. Nieświadomie pochłaniam kęs za kęsem i zamiast skupić się na smakowaniu, wciąż rozpamiętuję słowa Kiry. Jestem tak poirytowany, że najchętniej bym coś rozjebał. Jak w ogóle mogła pomyśleć, że jestem uzależniony od seksu? I że niby powinienem zaprzestać masturbacji i oglądania filmów pornograficznych. Wariactwo! Przecież porno istniało od zawsze. W każdej epoce mężczyźni mieli swoje fantazje seksualne, przy których się masturbowali. W średniowieczu nawet pieprzono się na ulicach, to dopiero była wszechobecna pornografia.

Kiedy natknąłem się na artykuł w „Science Daily”, w którym przeczytałem, że jakiś profesor z Montrealu próbował przeprowadzić badania w zakresie oglądania pornoli u mężczyźn. Autor pisał, że zaczęli od poszukiwania dwudziestolatków, którzy nigdy nie korzystali z pornografii. Nie mogli znaleźć żadnego. Szczerze mnie to rozbawiło, bo nie trzeba być żadnym jebanym profesorem z Ameryki, żeby odkryć tę oczywistą prawdę. Wystarczy zrozumieć, jak działa mózg mężczyzny. Każdy z nas, czy hetero, czy gej, jest wzrokowcem. Patrzenie na genitalia i na akt penetracji nas kręci. Każdego dnia witrynę Pornhub odwiedza dziewięćdziesiąt dwa miliony ludzi. Wszystkie laski, którym wydaje się, że masturbacja przy pornolu jest zboczeniem, powinny rozejrzeć się uważnie wokół siebie. Bo każdy, każdy bez wyjątku facet, z którym miały w życiu do czynienia, odpalił kiedyś gorący filmik i zwałił sobie przy nim konia. Jedni robią to wieczorem, kiedy cały dom zaśnie, inni rano, zanim wyjdą do pracy, na uczelnię, do szkoły. Poddają się orgazmowi w świetle ekranu smartfonu bądź komputera. Ci starszej daty, którzy są na bakier z technologią, trzymają świerszczyki na dnie szuflady ze skarpetami albo w warsztacie pod stertą desek, żeby żona nie widziała.

Masturbacja nas rozładowuje, relaksuje, poprawia nam humor. Osobiście posiadam kilka swoich ulubionych filmów zapisanych w zakładce przeglądarki, ale szukam też nowości. A tych przybywa w setkach każdego dnia na platformach z pornosami. Wybieram te z jakością HD. Brzydzi mnie przemoc fizyczna, więc nie oglądam kutasów wpychanych na siłę w odbyt ani kneblowanych, zapłakanych nastolatek. Rajcuje mnie ostre ruchanie, z którego obie strony czerpią satysfakcję. Seks to naturalny, wrodzony instykt. Jedni potrzebują go więcej, inni mniej. Nie czuję przymusu, żeby się pieprzyć, tak jak alkoholik, żeby się nachlać, albo narkoman, żeby się naćpać. Ja po prostu lubię to robić. I nie uprawiam seksu, z kim popadnie, wybieram swoje partnerki, nie korzystam z usług dziwek, nie masturbuję się co godzinę, choć wiem, że i tacy się trafiają.

Czasami zdarza mi się odwiedzić klub go-go, by popatrzeć. Ale, do cholery, nie jestem chory! Jestem normalnym facetem, a ta terapeutka to jakaś niedouczone kretynka. Kira bezmyślnie łyka każde jej słowo, bo najwyraźniej jej ufa. Jak to możliwe, że tej genialnej Amandzie do tej pory nie udało się wyciągnąć Kiry z tego bagna? Ile lat ciągnie się za nią ten syf? Pięć, sześć? Przez taki szmat czasu wciąż męczą ją koszmary, nadal wzdryga się na myśl o tym, że facet miałby jej pokazać penisa. I choć gołym okiem widać, że jej ciało jest spragnione dotyku i orgazmu, peszy się na samą myśl o palcówce, nie wspominając o seksie. Wolę nie myśleć, ile kasy Kira wydała już na tę pseudoterapeutkę, a nadal ma ewidentny problem. Tak że albo terapia to przereklamowane gówno, albo baba ją zwyczajnie naciąga od dobrych kilku lat.

Idę do sklepu, w którym można kupić telefony oraz karty bez abonamentu na rozmowy i internet bez okazywania dokumentu tożsamości. Biorę dwa. W Polsce zamierzam powrócić do swojego starego numeru.

Jak sobie pomyślę, ile formalności muszę załatwić, żeby odzyskać wszystko, co straciłem, kiedy ta zaszara łódź się wywróciła, robi mi się niedobrze. Dowód osobisty, prawko, karta debetowa. Nie znoszę pieprzonej biurokracji, a wiem, że lada chwila wpadnę w jej szpony. Kusi mnie jak diabli, żeby to wszystko olać i zostać tu na dłużej, bez dokumentów, bez numerów telefonów w komórce, bez kontaktu ze światem. Przedłużyć sobie wakacje. Ale w efekcie pragmatyczność zwycięża.

Wyszukuję w necie numer telefonu do Ambasady RP w Atenach. Po wględnie sensownej rozmowie z jakimś młodym koleśkiem dowiaduję się, że wniosek o dowód osobisty oraz prawo jazdy mogę złożyć dopiero w Polsce w urzędzie miasta i gminy. Ambasada natomiast wyda mi paszport tymczasowy, dzięki któremu będę mógł wrócić do domu. Oczywiście jedyna możliwość, żeby uzyskać taki dokument, to osobista wizyta w Wydziale Konsularnym Ambasady, co oznacza, że czeka mnie wyprawa do stolicy Grecji, której wcale nie planowałem. Mam zjawić się w dniu dyżurów, zabrać ze sobą oświadczenie od osoby z polskim paszportem, że ja to ja, bo nie mam żadnego dokumentu, który potwierdziłby moją tożsamość. Dodatkowo muszę zrobić sobie zdjęcie i wybulić czterdzieści euro.

Czytam, jak sprawa wygląda w przypadku ubiegania się o paszport w ambasadzie brytyjskiej. Wygląda na to, że można uzupełnić formularz online, a dokumenty będą gotowe za dwa dni.

Wysłałam do mamy SMS-a z linkiem do formularza dla Kiry. Odpowiedź nadchodzi szybciej, niż się spodziewałam.

Przekażę. Będiesz na obiedzie, synku? Dzisiaj twoja ulubiona musaka.

Kiedy ostatni raz mama wabiła mnie na obiad musaką, miałem poznać Kirę. Ciekawe, o co chodzi tym razem. Zastanawiam się, co odpisać.

Nie mam ochoty na towarzystwo, najchętniej spędziłbym ten dzień sam, ale przecież nie mogę postępować jak dupek w stosunku do własnej matki. I tak wystarczająco się przejęła tym pieprzonym wypadkiem. Świadomość tego, że jest chora, przygniata mnie jak wór kamieni.

Na którą mam być?

Zjemy, o której Ci pasuje.

Zerkam na ekran. Jest po jedenastej.

Będę o piętnastej.

Wstaję z ławki z uczuciem ulgi, że nie jestem takim chujowym synem, za którego można by mnie uważać. Idę w stronę plaży, żeby popływać. Po drodze kupuję na straganie plecak i gadżety do zestawu przetrwania, który zabieram zawsze ze sobą na dłuższe trasy do biegania. Nie mogę odżałować, że poprzedni leży gdzieś na dnie morza, bo naprawdę byłem do niego przywiązany.

Na plaży pełno ludzi. Dzieciaki wrzeszczą, chlapią się wodą, motorówki wyją, jacyś gogusie – klata supermena, nóżki cienkie jak u czapli – grają w piłkę siatkową.

Idę wzdłuż wybrzeża, oddalając się od tego gwaru, który drażni moje nerwy. Im większa odległość dzieli mnie od głównego zejścia, plażowych tawern i hotelowych barów, tym ciszej, ustronniej. Z każdym krokiem plaża staje się coraz węższa, dostrzegam przed sobą ciągnący się rząd pochylonych sosen. Wyrastają z piachu niczym palmy na pustynnej oazie. Pod nimi na ręcznikach rozłożyli się plażowicze. Jakieś małżeństwo starych, pomarszczonych przyków ze sztucznymi zębami, w daszkach przeciwsłonecznych na siwych głowach. Pieprzą coś do siebie po niemiecku – głośno, szorstko, kanciasto, klekocząc szczękami. Drażnią mnie ich słowa, ich akcent, ich donośne głosy. Czy ten naród, kurwa, nie potrafi rozmawiać po cichu? Gdzie się nie pojawią, robią wokół siebie hałas, jakby nikt wokół nich nie istniał. Jakby byli panami każdego zafajdanego metra kwadratowego, po którym stąpają.

Kilkanaście kroków dalej siedzą dwie dziewczyny osłonięte parawanem, który wychodzi na morze. Patrę mimowolnie w ich stronę, bo na greckich plażach parawany to rzadkość. W ogóle odnoszę wrażenie, że ten cały parawaning to wyłącznie domena Polaków. *Mój jest ten kawałek podłogi*. Aż dziw, że żadna gmina nadbałtycka nie nałożyła na parawaniarzy obowiązku płacenia podatku od gruntu.

Śmieszają mnie ci Janusze, obrońcy wybrzeża, co o siódmej rano już ustawiają kolorowe zagrody.

I to na państwowej plaży, która jest dobrem wspólnym! Przywłaszczanie, kto pierwszy ten lepszy. To kolejny powód – po zjebanej pogodzie i makabrycznie wysokich cenach – przez który odechciewa mi się spędzania wakacji nad polskim morzem.

Zerkam na jedną z dziewczyn, która siedzi po turecku na ręczniku w przytulnym, parawaniarskim gniazdku. Jest toples, ma jasnobrązowe włosy, zgrabne ciało, okulary przeciwsłoneczne i słowiańskie rysy. Przegląda coś na telefonie. Paznokcie ma długie, krwistoczerwone, podobnie jak usta. Spuszczam wzrok i zatrzymuję go na częściowo odsłoniętej cipce, którą ledwo co przykrywają niebieskie, brokatowe majtki od kostiumu. Puls mi przyśpiesza. W chwili, gdy mijam dziewczynę, ona podnosi głowę, patrzy na mnie, uśmiecha się. Puszczam do niej oko, bo należy jej się gest uznania za to, jaka jest seksowna.

– *Hello, handsome!*^[9] – odzywa się do mnie po angielsku z lekkim akcentem, z którego wnioskuję, że może być Polką. Zważywszy na to, że ostatnio aż roi się na wyspie od polskich turystów i dokładając do tego jeszcze ten pieprzony parawan, jestem niemal pewien, że to krajanki. Rzykuję i odpowiadam w ojczystym języku:

– Cześć, gwiazdo.

Uśmiecha się szeroko, odkłada telefon na ręcznik, po czym wstaje.

– Mówisz po polsku? – Idzie w moim kierunku. Jej biodra kołyszą się na boki, cycki podskakują w rytm kroków, aż przyjemnie popatrzeć.

– Tak jakoś wyszło – odpowiadam.

– Gdzie się nauczyłeś polskiego? – Dziewczyna podchodzi do mnie i odgarnia włosy z ramienia.

Jej bok się wydłuża, piersi naprężają.

– Jestem w połowie Grekiem, w połowie Polakiem.

– Mieszkasz tu?

– Spędzam wakacje.

– To tak jak my. – Odwraca się i zerka na drugą dziewczynę, która czyta książkę. Ma na sobie koszulkę na ramiączkach, jej włosy są krótkie, rysy ostre. Od razu nasuwa mi się pytanie, czy te dwie nie są lesbijkami. Ale wtedy przecież laska by do mnie nie zagadywała. Nie zaszkodzi się jednak upewnić.

– Jesteście razem? – pytam.

Unosi okulary i zakłada je na głowę.

– Tak. Ale lubimy też męskie towarzystwo – odzywa się śmiałym głosem, a mnie wyobraźnia od razu podsuwa scenki, od których kutas momentalnie mi staje. – Mam na imię Aśka, a to Magda. – Wskazuje ponownie na przyjaciółkę, która zaczyna nas obserwować. Byłaby dużo ładniejsza, gdyby zapuściła włosy, bo te ewidentnie odbierają jej kobiecości.

– Gordian. – Wyciągam dłoń.

– Ciekawe imię. – Sciska moją rękę i pociąga mnie za sobą. – Chodź do nas. Może masz ochotę na zimne piwo?

Nie oponuję. Zimny browar dobrze mi zrobi.

Siadamy na ręcznikach w cieniu drzew. Aśka wyciąga schłodzoną butelkę z przenośnej lodówki.

– Magda, może przestawisz parawan, bo chyba zaczyna wiać od morza – zwraca się do przyjaciółki.

Od razu domyślam się, że nie chodzi wcale o żaden pieprzony wiatr, bo ten ledwo co rozwiewa jej włosy. Nic się jednak nie odzywam, jestem ciekawy, jak sytuacja się rozwinie. Odkręcam butelkę i upajam się zimnym piwem, które spływa mi po gardle. Magda przestawia parawan, a Aśka siada znowu po turecku. Jaja zaczynają mi pulsować, gdy widzę fragment jej nagiej cipki. Dziewczyna z uśmiechem pije piwo. Po chwili tuż o bok niej siada Magda, która osłoniła nas tak szczelnie parawanem, że brakuje tylko dachu, by stworzyć próżniową komorę NASA.

– Często bywasz w Grecji? – zagaduje Aśka.

– Rzadziej, niżbym chciał – odpowiadam i upijam łyk.

– Tu jest pięknie. My przyjechałyśmy wczoraj wieczorem – informuje. – To nasz pierwszy dzień i mamy ochotę zaszaleć. Prawda, słonko? – Obraca się do przyjaciółki, po czym całuje ją w usta z językiem. Ta odwzajemnia pocałunek i obejmuje dłonią jej nagą pierś.

Upijam kolejny łyk. Patrzę, jak się liżą, macają.

Aśka stęka, przykłada sobie butelkę z piwem do majtek i przesuwają po nich w górę i w dół. Materiał marszczy się, odsłania wargi sromowe. Dziewczyny całują się coraz namiętniej. Piję piwo i czuję narastające podniecenie. W pewnej chwili Aśka odstawia butelkę, klęka tuż przede mną i wypina tyłek w stronę przyjaciółki. Magda kuca za nią, odsłania jej majtki i zaczyna robić minetę.

Mam ciasno w gaciach.

Aśka zerka na mnie przymglonym wzrokiem, po czym jedną ręką sięga do moich szortów i łapie za wypukłość. Upijam kolejny łyk, jajca mi pulsują. Patrzę, jak jej ręka sunie do sznurka od spodni...

Wciągam powietrze przez nos, przymykam oczy i widzę, jak Kira rozwiązuje sznurek, zsuwa mi spodnie, nachyla się i bierze fiuta do ust. Wydaję z siebie niekontrolowane stęknięcie. Szumi mi w uszach, krew szybciej krąży w żyłach. Ma zajebiście głębokie gardło. Czuję, że nieświadomie odpływam, zatracam się, rządzi mną tylko przyjemność, uczucie oderwania się od wszystkiego, co mnie wkurwia. Chcę dojść, chcę się spuścić w jej usta. Chcę patrzeć, jak moja sperma spływa po krwistoczerwonych wargach, brodzie, gołych cyckach.

– Pocałuj mnie... – Słyszę głos i dociera do mnie, że nie należy on do Kiry.

Otwieram oczy, Aśka rozwiązuje mi spodnie i nachyla się nad moją twarzą. Momentalnie trzeźwieję. Czuję ukłucie w piersi.

– Nie. – Uchylam się.

Dziewczyna ujmuję moją twarz, przybliży usta do moich.

– Nie daj się prosić.

– Powiedziałem: „nie”! – Odrywam jej dłonie od twarzy.

Coś we mnie pęka. Całe podniecenie diabli biorą. Patrzę na dziewczynę, która nie jest Kirą. Przenoszę wzrok na jej przyjaciółkę, która, do kurwy nędzy, też nie jest Kirą. Co ja właściwie odpierdalałam? Nie chcę ich.

Chcesz... Wypieprz ją, a później jej przyjaciółeczkę. Ulżyj sobie... Przecież zasługujesz na dobry seks – odzywa się zniechęcony głos w głowie. Kurwa mać! Nie wiem dlaczego, ale łudziłem się, że już nigdy więcej go nie usłyszę. Nie pojawiał się od wypadku.

Patrzę na swoje spodnie, w których stoi gotowy na wszystko kutas. Jebany zdrajca – przeklinam go w myślach.

Czuję do siebie wstręt. Wstaję.

– O co chodzi? – Aśka patrzy na mnie zupełnie zdezorientowana.

– O nic. Pomyłka. – Zabieram butelkę z piwem, plecak, daję krok przez parawan i odchodzę.

Za plecami łaski wyzywają mnie od skończonego frajera.



Wracam tą samą drogą, którą przyszedłem. Dopijam piwo, szumi mi w głowie. Przynajmniej ten pieprzony głos zamilkł.

Nie rozumiem tego, co się wydarzyło. Z jednej strony miałem cholerną ochotę na solidne grzmocenie, z drugiej – coś mnie powstrzymało. Próbuję uspokoić gonitwę myśli, analizuję poranne słowa Kiry. Skręcam do pobliskiego baru przy plaży, wyrzucam pustą butelkę do kosza, zamawiam kolejne piwo, kupuję papierosy i siadam przy stoliku z widokiem na morze. Nie mam ochoty patrzeć na ludzi, tym bardziej że widzę same pary albo rodziny z dziećmi. Jakiś czterdziestolatek z brzuchem i brodą bawi się z córeczką w piasku. Budują zamek. On jest rycerzem, więc nie pojmuję, dlaczego chichocze jak pieprzona księżniczka, którą odgrywa jego córka.

Przesuwam wzrok kilka metrów w bok, a tam na leżaku grubas około pięćdziesiątki przegląda coś w komórce, żona obok czyta kobiece czasopismo. Zwraca się do męża, chyba komentuje artykuł. Tłuszcioch nie odrywa oczu od telefonu i odpowiada jej ze znużeniem i obojętnością. Nie trzeba być ekspertem od dynamiki związków, żeby dostrzec, że ogień między nimi przypomina popiół z ogniska zagaszonego wiadrem wody. Wędruję spojrzeniem parę leżaków dalej. Wreszcie jakiś zadowolający widok. Szczupła, mała, zgrabna, blond włosy, opalona skóra. Przekręca się na bok, a ja wstrzymuję powietrze.

Klaudia.

Zrywam się z krzesła jak oparzony, nie spuszcza z niej wzroku, zbiegam ze schodów i w chwili, kiedy dziewczyna siada, zatrzymuję się.

To nie Klaudia.

Ja pierdołę, odbija mi. Przyglądam się dziewczynie; jest ładną podobną do Klaudii. Ale oczywiście nią nie jest. Bo Klaudia nie żyje. Nie żyje, kurwa! Odwracam się i uderzam pięścią w kamienny mur. Boli jak diabli.

Rozprostowuję dłoń, wracam do stolika. Wypijam jednym haustem pół kufła piwa, zapalam papierosa. Nic nie pomaga.

Jak bumerang wracają do mnie słowa Kiry, które zlewają się w jedno wielkie oskarżenie. Zamawiam w barze czystą. Łykam kieliszek, po nim następny. Poprawiam piwem. Szumi mi w głowie, lecz nadal nie czuję, żebym luzował. Nie wiem, co mi strzela do łba, może już jestem pijany, ale sięgam po telefon i wklepuję w wyszukiwarkę hasło „uzależnienie od seksu”.

Wyskakują linki z tytułem „seksoholizm”. Napotykam jakiś cytat i uśmiecham się sam do siebie.

Najbardziej dziwnym ze wszystkich zбочeń seksualnych jest zachowanie wstrzemięźliwości – autor Remy de Gourmont. O, i to jest mądra myśl. Już lubię tego gościa.

Przeoglądam następne wyniki wyszukiwania, wertuję kolejne strony... I robi mi się coraz mniej wesoło. Kurwa, zgubiłem się w internecie. Po chuja ja to w ogóle czytam? Lecz dalej mimowolnie śledzę wzrokiem pogrubione wersy.

U seksoholika seks staje się sposobem na ucieczkę od problemów. Seks jest narzędziem do rozładowania emocji. Seks jest jak alkohol i narkotyki, które wydają się sposobem na konfrontację z tym, z czym seksoholik nie daje sobie rady. Seks stanowi o sensie życia. Seksoholik szuka nowych partnerów i sposobów na osiągnięcie orgazmu, by zapomnieć o bólu. Seksoholik radzi sobie z napięciem, z lękiem, sprawami, które go trapią, poprzez kompulsywne uprawianie seksu i masturbację, zamiast zajrzeć w głąb siebie. Seksoholik nie potrafi wytrzymać bez seksu lub masturbacji dłużej niż kilka dni.

Kurwa, oczywiście, że potrafię wytrzymać więcej niż kilka dni. Nie jestem żadnym pieprzonym seksoholikiem.

Natrafiam na artykuł, z którego dowiaduję się, że w 2018 roku WHO wpisało uzależnienie od seksu na listę chorób psychicznych. Poniżej jest szybki test. Podano sześć objawów uzależnienia. Wynik powyżej trzech odpowiedzi twierdzących świadczy o uzależnieniu. Zaczynam czytać.

Silna potrzeba wykonywania czynności seksualnych, zwłaszcza w sytuacjach stresowych, ale też podczas znużenia.

Tak – opowiadam w myślach. I nie znam faceta, który tak nie ma.

Utrata kontroli nad własną aktywnością seksualną, niemożność zaprzestania czynności seksualnych mimo silnego postanowienia.

Nie wiem. Nigdy nie sprawdzałem.

Występowanie objawów abstynencji po zaprzestaniu aktywności seksualnej – rozdrażnienie, niepokój, trudności z koncentracją.

Czasami. Raczej staram się unikać sytuacji, w których konieczna jest abstynencja.

Wzrost zapotrzebowania na zwiększenie bodźców seksualnych – coraz mocniejsze filmy pornograficzne, śmielsze zachowania, potrzeba realizacji w rzeczywistości fantazji z filmów pornograficznych.

Może. Czasami. Zależy od nastroju, ale raczej nie czuję potrzeby zwiększania bodźców. Zadowala mnie poziom, który utrzymuję od lat.

Rezygnacja z innych źródeł przyjemności, alternatywnych do seksu – sportu, hobby, przyjaciół.

Z niczego nie rezygnuję, a seks perfekcyjnie uzupełnia się z moim hobby, sportem i przyjaciółkami.

Niemożność rezygnacji z seksu, masturbacji i pornografii, mimo strat, jakie one wywołują – utrata osób, na których ci zależy; samotność.

Oczywiście, że mogę zrezygnować z seksu. Po prostu go lubię, każdy normalny facet lubi seks. Nie jestem uzależniony. I nie zamierzam nikogo, kurwa, tracić.

Zamawiam kolejny kieliszek, wypijam i wpisuję w wyszukiwarce: „uzależnienie od pornografii”. Wskakuje link do zagranicznego filmu na YouTube. Facet, psychoterapeuta, twierdzi, że w wyniku długotrwałego oglądania pornografii układ limbiczny w mózgu zaczyna interpretować oglądanie pornografii i masturbację jako czynności niezbędne do przetrwania. Traktuje je jako sposoby radzenia sobie z emocjonalnymi trudnościami. Z czasem układ limbiczny zaczyna postrzegać masturbację i oglądanie masturbacji jako głód. Głód rozumiany jako potężna, nagła potrzeba, by powtórzyć dane zachowanie. I nie ma tu znaczenia, czy jest to uzależnienie od alkoholu, narkotyków, jedzenia, nikotyny czy seksu. Jeśli chcę naprawdę przestać, to aby spróbować sobie pomóc, muszę nauczyć się radzić sobie z uzależnieniem. Zaakceptować, że jest to zakotwiczony w mózgu sposób na przetrwanie, którego nie da się już odkotwiczyć. Jedyne, co można zrobić, to pogodzić się z faktem, że działają na ciebie wyzwalacze i zachować abstynencję. Nic nie wydarzy się bez twojego pozwolenia. Układ limbiczny nie zmusi cię do masturbacji, nie wyszuka za ciebie filmu porno. Może cię namawiać, oszukiwać, kusić, ale to ty decydujesz, co zrobisz. Wymogi bliskich, prośby, groźby, by zerwać z uzależnieniem, przynoszą odwrotny skutek. Bo podświadomie odbieramy je jako zagrożenie, jako pozbycie się idealnego sposobu na przetrwanie, uśmierzenie bólu. A przecież wykształciliśmy go w sobie przez lata, powielając daną czynność, i wierzyliśmy, że przynosi przyjemność, pomaga przetrwać.

Przeoglądałam dalsze filmiki i trafiam na ostatnią przed egzekucją wypowiedź Teda Bundy’ego – seryjnego zabójcy kobiet, gwałciciela i nekrofila. Twierdzi, że wychował się w normalnej, chrześcijańskiej rodzinie, był kochany, nie było u nich w domu alkoholu ani żadnych używek. Rodzice poświęcali dużo uwagi zarówno jemu, jak i czwórce jego rodzeństwa. Koleś wyznaje, że był normalnym facetem. Że to pornografia, od której się uzależnił w młodym wieku i była jego tajemnicą, sprawiła, że dopuścił się pierwszej zbrodni. Był zafascynowany seksem. Z każdym oglądanym filmem pornograficznym łaknął kolejnych doznań, większej ilości bodźców, coraz mocniejszych, brutalniejszych. Zwykły seks już nie wystarczał, by być na „haju”, by dostarczyć sobie większej dawki podniecenia. To działało się stopniowo, latami. Uzależnienie stawało się coraz silniejsze, potrzeba doświadczenia w rzeczywistości seksualnych wrażeń, często brutalnych, związanych z BDSM, była tak silna, że przerodziła się w obsesję. Zadowolenie z dostępnej pornografii w pewnym momencie się skończyło. Powstała granica, jej przekroczenie oznaczało wejście w rzeczywisty świat i szukanie w nim coraz mocniejszych doznań, czego nie były już w stanie dostarczyć filmy, gazety czy książki. Pojawiły się potrzeby, których zaspokajanie mogło odbywać się poprzez gwałty, morderstwa i nekrofilie.

Tuż pod koniec wywiadu Bundy przyznaje, że w przeciągu ostatnich dziesięciu lat spędzonych w więzieniu poznał wielu mężczyzn, którzy dopuszczali się przemocy wobec kobiet i traktowali je przedmiotowo. Zaspokajali własne potrzeby ich kosztem. I każdy z nich, bez wyjątków, był uzależniony od pornografii. Przytacza badania FBI – według nich największym zainteresowaniem seryjnych morderców w USA jest pornografia. Przedstawia ich i siebie jako normalnych mężczyzn – synów, mężów, braci, złapanych w sidła pornografii. Pornografii, przez którą nawet dzieci i nastolatki z dobrych domów schodzą na złą drogę. Pornografii, przed którą nie ma ochrony. Pornografii, która jest powszechnie dostępna i tolerowana przez społeczeństwo...

Godzinę po tej wypowiedzi, 24 stycznia 1989 roku, Ted Bundy został stracony na krześle elektrycznym za zabójstwo dwudziestu kobiet – czytam na sam koniec i robi mi się niedobrze.

Ja pierdołę.

Wygaszam telefon, płacę rachunek i wychodzę na palące słońce.

Nie wiem, ile czasu już idę w stronę domu Kalisty, ale mam wrażenie, że zaraz się spalę. Szutrowa droga chrzęści pod stopami, wokół same gaje oliwne, głośnie cykady, skwar, a mnie chce się pić jak jasna cholera. Jestem cały mokry, pot wdiera mi się do oczu, szczypie. Nie zwalniając kroku, przecieram koszulką brwi, powieki, i nagle dostrzegam postać przechodzącą przez drogę. Przygarbiony mężczyzna z długą brodą, w zniszczonym ubraniu, z workiem na plecach. Wygląda jak żebrak. Tuż za nim drepcze na sznurze wychudzona koza mleczna. Osobnik zerka w moją stronę, a wtedy serce na chwilę mi zamiera, po czym zaczyna napieprzać jak szalone. Widzę tylko oczy i zarys wysokiego czoła włóczęgi, resztę twarzy przysłania gęsty zarost. Mimo tego jestem na sto procent pewien, że go znam.

To mój ojciec.

Ale to przecież niemożliwe! Znow mam pieprzone omamy. Przecieram dłońmi czoło, staram się uspokoić. Patrzę ponownie na mężczyznę, który przekroczył rów i wchodzi w gaj oliwny. Muszę go zobaczyć z bliska, bo nie zaznam spokoju. Muszę zyskać pewność, że to nie ojciec. Ruszam w jego stronę, wchodzę w gaj. Suchy patyk trzaska mi pod stopami. Mężczyzna się odwraca, jego oczy się rozszerzają, przyśpiesza, ciągnąc za sobą leniwą kożę.

– Poczekaj! – wołam za nim, ale on nie reaguje. Idzie coraz szybciej, utyka na lewą nogę. – Stój, mówię! – Zaczynam biec. Jestem już tuż za nim, czuję bijący od niego smród bezdomności, łapię go za ramię, a wtedy on wywraca się bezwładnie na ziemię. Przekręca się na plecy, rozkłada poddańczo ręce jak zwierzę atakowane przez drapieżnika. Rozwiera szeroko powieki; znam te oczy, nie znam tego spojrzenia.

– Nie rób mi krzywdy – odzywa się. Każde słowo w jego ustach brzmi niekształtnie, jakby miał problem z mówieniem. – Weź kożę, worek... – Sięga drżącą, brudną łapą po swój dobytek.

– Nie ruszaj się. – Przyciskam stopą jego rękę.

Przyglądam mu się, badam jego rysy twarzy, analizuję usłyszany ton głosu. Moje tętno się uspokaja, chociaż nadal pozostaję czujny. Rozum podpowiada mi, że to nie ojciec, chociaż jest do niego bardzo podobny. A gdyby tak mu zgolić wąsy i brodę... czy wówczas wyglądałby zupełnie jak on?

Już totalnie mnie popieprzyło. Nie wiem, co jest prawdą, a co omamem. Wcześniej Klaudia, teraz ten włóczęga. Nie powinienem pić.

– Kim jesteś? – pytam.

– Nikim. Nic nie zrobiłem.

– Mieszkasz tu?

Cisza. Przyciskam stopą jego pierś i ponawiam pytanie.

– Mieszkasz tu?

– Od u-urodzenia – odpowiada, zacinając się.

– Gdzie dokładnie?

– Po drugiej stronie wyspy.

– To co tu robisz?

– Szukam jedzenia. Turyści dużo go wyrzucają. Pasę tutaj kożę, bo u mnie jest mało zieleni.

Wyczuwam jego autentyczny strach, głos mu się łamie, dłonie drżą.

– Jak się nazywasz?

Nic nie odpowiada.

– Jak się nazywasz? – Wbijam mocniej stopę.

Mężczyzna krzywi się z bólu.

– Savvas Papadopoulos.

Staram się skojarzyć twarz z nazwiskiem, które obito mi się o uszy, bo jest dosyć znane w Grecji. Przyglądam mu się i im dłużej na niego patrzę, tym mniejsze podobieństwo do ojca dostrzegam. Jednak żebrak nadal bardzo mi go przypomina.

– Ile masz lat? – pytam.

Wygląda na zdziwionego moim pytaniem.

– Pięćdziesiąt jeden – odpowiada.

Serce zaczyna mi mocniej bić, upał i wypity alkohol płaczą myśli. Jestem jednak na tyle trzeźwy, by obliczyć, że jest w tym samym wieku co mój stary. To znaczy tyle lat miałby ojciec, gdyby żył.

Gdybyś go nie zabił – rozlega się głos w mojej głowie i w tej samej chwili słyszę jakiś wkurwiający dźwięk. Czuję wibracje w kieszeni. Wyjmuję telefon, muszę zmienić ten przygłupi dzwonek. Na ekranie widzę numer mamy, zerkam na godzinę. Piętnasta dwadzieścia trzy. Odbieram.

– Jestem już w drodze – mówię, nie spuszczać wzroku z mężczyzny. Oddycha ciężko, jest cały spięty.

– Ach, dobrze. Po prostu się niepokoiłam.

– Wszystko w porządku, mamu. Niedługo będę.

Rozłączam się, wsuwam telefon z powrotem do szortów. Zastanawiam się, co zrobić z włóczęgą.

Nie mogę go tak zostawić, bo marne są szanse, że ponownie go odnajdę. Znam siebie. Wiem, że jego podobieństwo do ojca nie da mi później spokoju, a ja mam zbyt mało informacji na jego temat, by puścić go wolno.

– Zbieraj się, idziesz ze mną – mówię i zdejmuję nogę z jego piersi.

Mężczyzna jest dezorientowany. Przesuwa brudną łapą po miejscu, w którym trzymałem but.

– Czego ode mnie chcesz? – pyta przestraszony. Nie zamierzam się z nim szarpać przez resztę drogi, wolę, żeby poszedł z własnej woli.

– Chcę ci dać jedzenie i czyste ubranie. Wstawaj. – Wyciągam do niego rękę, a on ani drgnie. Zamarł jak jakiś pieprzony posąg. W jego oczach widzę strach. – No już! Nie mam całego dnia. Musaka mi stygnie – ponagliam go. Patrzy na moją dłoń, jakby trzymał w niej nóż, którym zamierzam go zadźgać. – Dla ciebie też będzie obiad, może znajdzie się jakieś chłodne piwo, a dla kozy trawa na podwórku – dodaję.

Żrenice mu się rozszerzają. Facet powoli zbiera się, żeby wstać. Nie korzysta z mojej pomocy, więc cofam rękę. Podnosi się ociężale, sapie. Z każdym jego ruchem smród bezdomności się potęguje. Odór jest nie do zniesienia, kręci w nosie, zatyka. Wrażliwszy puściłby już pawia.

Mężczyzna staje na nogi, poprawia wór na ramieniu i chwyta za sznur, odciągając kozę od skubania jakichś wyschniętych, pojedynczych źdźbeł trawy.

Ruszam w kierunku drogi i odwracam się co kilkanaście kroków. Włóczęga człapie za mną, kuśtykając. Nawet jeśli chciałby spierdolić, to nie ma na to żadnych szans.

A jednak nieoczekiwanie skurwiel zbiega z drogi w gaj oliwny. Nawet kozę i wór porzucił. Musi mieć sporo na sumieniu. Biegnie na oślep, utykając na jedną nogę. Pewnie mu się wydaje, że mknie jak błyskawica. Nie muszę nawet specjalnie się wysilać, żeby go dogonić. Tym bardziej że wcale nie mam ochoty na sprinty, bo powoli pojawia się kac – łeb mnie zaczyna napieprzać i coraz bardziej chce mi się pić.

Truchtam w stronę żebraka, a kiedy jestem tuż za nim, chwytam go za nadgarstek, naciskam drugą ręką na łokieć i ściągam go do parteru na kłęczki. Skowyczy żałośnie.

– Dlaczego uciekasz? – Utrzymuję dźwignię, więc nie może się ruszyć.

– Przepraszam... – Dyszy ciężko ze schyloną głową. Włosy ma tłuste i mokre od potu. Smród większy niż na starym kutrze rybackim.

– Dlaczego uciekasz? – Wykręcam mocniej nadgarstek.

Jęczy, łapie oddech, ledwo trzyma się na kłęczkach.

– Już nie będę...

– Ogłuchłeś? Pytam, dlaczego uciekasz. – Przyciskam mocniej łokieć. – Mów, bo złamię ci pieprzoną rękę – grożę, choć tak naprawdę nie zamierzam mu nic zrobić. Szkoda pary.

– Nie. Proszę... – Głos mu drży, wygląda, jakby miał się zaraz rozbeczeć. – Jestem niewinny.

– Niewinny?

– Nic jej nie zrobiłem... – Unosi głowę. Ciemne oczy są szkliste, dygocące wargi spierzchnięte.

– Chcę tylko spokoju, nikogo nie zabiłem. Zostawcie mnie.

Patrzę na niego i choć nie wiem, o czym, kurwa, mówi, coś sprawia, że chcę mu wierzyć. Na jego twarzy i w spojrzeniu widać przerażenie. On naprawdę się mnie boi, co więcej, bierze mnie za kogoś, kto wie, kim on jest.

– Wstawaj. Nic ci nie zrobię, jeśli nie będziesz uciekał. – Dźwigam go za ramię. Facet wstaje pokracznie. Ten jego smród mnie dobija. Jestem pewien, że cały nim przesiąknęłam.

Wracamy po jego worek oraz kozę. Ta ma najwidoczniej wszystko w dupie, bo skubie beztrudnie zielisko, a kiedy Savvas łapie za sznur, zerka tylko na niego leniwym wzrokiem i dalej przeżuwa niedbale.

Idziemy w stronę domu Kalisty. Zmuszam faceta, żeby szedł dwa kroki przede mną. Nie pośpieszam go, nie wypytuję, nie grożę, bo tak ciężko oddycha, że mam wątpliwości, czy nie pierdolnie mi tu zaraz na zawał. Nurtuje mnie, co go spotkało w przeszłości, o czym mówił. Mam przeczucie, że Kalista będzie go kojarzyć. Skoro gość mieszka na wyspie, to musiała go kiedyś widzieć. Tu wszyscy się znają.

Nie myślę się, bo gdy tylko przekraczamy furtkę podwórka, babcia wstaje, wypowiada krótkie

„mój Boże”, po czym zakrywa usta dłońmi. Wygląda, jakby ujrzała ducha.

– Kto to jest? – Dociera do mnie zaciekawiony głos matki, której wzrok skacze od Kalisty do Savvasa.

– No właśnie, babciu, znacie się? – Przystaję w dole schodów. Żebrak z kozą stoją tuż przy mnie. Widzę kątem oka, jak patrzy na babkę zdumionym spojrzeniem. Zna ją, ma to wypisane na twarzy.

– Co to za człowiek? – pyta zaintrygowany Serafin. Siedząca obok niego przy stole Kira przygląda się całej sytuacji z zainteresowaniem.

– To Savvas Papadopoulos. Spotkaliśmy się po drodze. – Przewiercam wzrokiem Kalistę, bo po jej zachowaniu domyślam się, że doskonale wie, kim jest człowiek, którego przyprowadziłem. Co więcej, jestem niemal pewien, że potrafi mi wytłumaczyć, dlaczego, do kurwy nędzy, wygląda zupełnie jak mój ojciec.

Babcia schodzi z wyrazem bólu na twarzy, podchodzi do mężczyzny i go przytula.

Co jest?

Savvas stoi jak wmurowany, nawet nie drgnie.

Babka podnosi wzrok, patrzy mu w oczy.

– Nie bój się, nikt cię nie skrzywdzi. Wszystko w porządku... – Przesuwa dłonią po jego ramieniu, ujmując jego rękę. – Chodź, zjesz coś... – mówi ciepłym głosem, jakby bała się, że go wystraszy.

Facet nadal stoi nieruchomo. Trzyma kurczowo sznurek z kozą, która najwyraźniej jest w siódmym kozim niebie, bo wpierdala namiętnie babcine kwiatki.

A ja nie mogę już wytrzymać, by dowiedzieć się, kim, do diabła, jest ten włóczęga!

– Widzę, że się znacie – zwracam się do Kalisty, lecz ona nie odpowiada. Wpatruje się w Savvasa, jakby był jakimś pieprzonym bogiem. – Babciu, możesz mi wyjaśnić, kim jest ten człowiek i dlaczego wygląda jak ojciec?

Słyszę brzdęk. Przenoszę wzrok w stronę werandy. Matka siedzi sztywno. Na stole leży potłuczona szklanka, Serafin zbiera szkło, Kira wstaje, mówi, że przyniesie jakiś ręcznik z kuchni.

Patrzę na mamę, dłonie jej drżą, oczy ma wielkie, niedowierzające, jakby dopiero teraz dostrzegła łudzące podobieństwo łączące przybysza z jej zmarłym mężem. Serafin stara się ją uspokoić, a ja czuję napływający strach, że matula zaraz mi się posypie. Kurwa, niepotrzebnie przyprowadzałem tu tego żebraka.

Przenoszę na niego wzrok, czuję, że narasta we mnie gniew. Mam ochotę wypieprzyć go na kopach tam, gdzie go spotkałem. I wtedy Kalista zerka na mnie, patrzy mi w oczy. Najwyraźniej dostrzega moje narastające wzburzenie, bo odzywa się stłumionym głosem:

– Spokojnie, Gordianie, Savvas to twój wujek. Jest przyrodnim bratem twojego ojca.

– Co? – rzucam, bo chyba się przesłyszałem.

– Savvas jest synem twojego dziadka, Gordiana.

I tu wchodzi muzyka rodem z melodramatycznej telenoweli brazylijskiej.

Być może nie powinienem tego robić, ale nie wytrzymuję i zaczynam się śmiać. Głośno, bez skrępowania, bo jestem naprawdę szczerze rozbawiony. Być może to przez alkohol, który jeszcze ze mnie do końca nie wyparował. Nie wiem, jednak prawda jest taka, że od kilku miesięcy moje relacje rodzinne stały się totalnie, absurdalnie i surrealistycznie popieprzone. Wcześniej, zanim zabiłem ojca, były tylko patologiczne. Zastanawiam się, co jest bardziej odjechane. Czy to, że skręciłem kark rodzonemu ojcu? Czy może to, że mam ochotę pieprzyć się z przybraną siostrą? A może to, że w wieku dwudziestu czterech lat dowiaduję się, że moim dziadkiem był jakiś pojeb uznawany za wcielonego diabła, który zostawił babkę w ciąży i zapadł się pod ziemię? Albo że mój ojciec miał przyrodniego brata, o którego istnieniu nie miałem bladego pojęcia, i, co więcej, obaj są (a raczej byli, bo jeden z nich gryzie ziemię) podobni do siebie jak dwie krople wody?

Drama jak ta lala! Gdyby to nie było moje życie, tylko zasłyszana historia, powiedziałbym, że kogoś mocno poniosła fantazja.

Patrzę, jak Savvas w towarzystwie babki wchodzi powoli na werandę. Kłania się niepewnie Kirze. Ta odpowiada mu greckim „dzień dobry”, po czym wraca do wycierania stołu. Jest neutralna: nie krzywi się z powodu jego smrodu, nie jest też szczególnie przymilna. Jej zachowanie jest niewymuszone,

naturalne. Jest po prostu sobą i przez to wydaje mi się jeszcze bardziej atrakcyjna. Kalista przedstawia ją Savvasowi jako swoją przybraną wnuczkę, co wywołuje na twarzy Kiry szczerzy uśmiech.

Dodaje jej w myślach dodatkowy punkt za urodę.

Wuj – jakkolwiek niedorzecznie brzmi to określenie w mojej głowie – wita się niepewnie z Serafinem, który sili się na uśmiech. Jest spięty i choć stara się być przyjazny, widzę, że zaciska szczęki. I wcale mu się nie dziwię. Przecież przed kilkoma minutami usłyszał, że ten cuchnący jegomość, który właśnie ściska mu grabę, wygląda jak były mąż jego ukochanej. Ja na jego miejscu wypierdoliłbym dziada paszoł won. Ale Serafin taki nie jest. Będzie miły, uczynny, szlachetny. I chociaż dostał już w życiu po dupie od swojej eks, widocznie niczego go to nie nauczyło. Mnie to pasuje. I tym lepiej dla mamy. Potrzebny jej taki ciepły klusek, który ją przytuli, powie, że ją kocha, zrobi zakupy, posprząta, będzie spokojny, stonowany. Należy jej się dobry człowiek, przy którym po dwudziestu latach niewoli w szponach narwańca i sadysty czuje się wreszcie bezpieczna.

Patrzę teraz na nią, jak ściska dłoń szwagra na przywitaniu. Niby stara się uśmiechać, jednak usta ma zaciśnięte w wąską linię, a twarz białą jak ściana domu. Zastanawiam się, co sobie myśli. Na pewno jest zaskoczona, to widać gołym okiem. Ale co czuje w środku, głęboko, w trzewiach? Czy widok znajomych oczu, zarysu brwi, nosa wywołuje w niej smutek, żal, że nigdy już nie zobaczy męża, a może wzbudza w niej bunt, strach, gniew, że traktował ją jak śmiecia?

Nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem, bo nie zamierzam jej o to pytać. Wspomniała wcześniej, że wybaczyła ojcu. Być może tak jest. Ja nie potrafię tego zrobić. Nawet teraz, patrząc na Savvasa, czuję nienawiść zrodzoną ze strachu, który narodził się, gdy byłem mały. Ale teraz jestem dorosłym facetem i nikt mi nie podskoczy. A tym bardziej jakiś żebrak. Przyglądam mu się i powoli uspokajam. Gołym okiem widać, że choć wizualnie jest tak bardzo podobny do starego, zachowuje się zupełnie inaczej. Jest spłoszony, potulny, cichy. Mam nadzieję, że to nie maska ani pozorna poza, żeby uspić naszą czujność.

Po cichu liczę na to, że jego podobieństwo ogranicza się wyłącznie do cech fizycznych, bo jeśli Savvas ma równie zjebany charakter co jego braciszek, grozi mi proces za kolejne nieumyślne zabójstwo. A tego stanowczo bym nie chciał.



Jemy w ciszy. To znaczy jem ja i Savvas, bo reszta skończyła, nim przyszedliśmy. Babcia stawia na stole pełne naczynie pachnącej, gorącej musaki. Nakłada wólczędze, a ten zaczyna wachlować szybko widelcem, jakby nie jadł porządnego obiadu od kilku lat. Widzę, że parzy sobie język, mimo to je zachłannie i szybko, żuje niespokojnie, przetyka nerwowo. Czuję się wilczo głodny, nakładam sobie porcję. Zjadam. Dokładam następną, a ta znika w trymiga. Biorę kolejną dokładkę. Zupełnie jakbym ścigał się z bratem ojca – kto zje więcej, kto wygra. W pewnym momencie zaczyna mi się kręcić w głowie. Czuję mdłości. Upijam łyk wody. Kropla potu spływa mi po skroni. Ocieram ją ramieniem. Widzę, że w naczyniu żaroodpornym został ostatni kawałek musaki i ogrania mnie niewytłumaczalna ochota, by go zgarnąć na swój talerz, choć jestem już najedzony. Czuję kolejny napływ mdłości, lecz sięgam po jedzenie. Biorę kęs, popijam go łykiem wody. Zawroty głowy i mdłości się nasilają. To zwykły kac, zaraz przejdzie.

– Dobrze się czujesz? – pyta zaniepokojona mama.

– Tak – kłamię. Zerkam na talerz Savvasa, który jest już prawie pusty. Został mu ostatni kęs. Zjadam szybko swoją porcję. Treść żołądka podchodzi mi do gardła. Ocieram pot z czoła. Zaraz się porzygam.

– Lepiej przystopuj, zjadłeś prawie całą musakę. – Kira patrzy na mnie znad szklanki lemoniady.

– Prawie? To zostało coś jeszcze? – Zerkam na puste naczynie.

– Zrobiłam więcej, wiem, że uwielbiasz to danie – dodaje Kalista.

– To ja poproszę, jeśli można... – odzywa się Savvas, a ja czuję, że już nie wytrzymam. Zaraz puszcze pawia.

Wstaję od stołu, podążam chwiejnym krokiem w stronę łazienki, unoszę klapę od kibla i zwracam wszystko, co zjadłem.

Dobrze ci tak, ty zachłanny gnojku – odzywa się zniechęcony głos. A mnie momentalnie przed oczami staje wspomnienie z czasów dzieciństwa. Mam dziesięć lat, jem w kuchni deser, który przygotowała mama. Jablecznik, pyszny, słodki, z kruszonką. Ojciec siedzi obok mnie, zjadł już swoją porcję i zabiera mi mój kawałek z talerza.

– Zostaw, to moje – mówię. Jestem na niego zły, bo kolejny raz zgarnia mi sprzed nosa coś pysznego. Coś, co należy się mnie.

– Nie podzielisz się z ojcem? – Nabija kawałek mojego ciasta na widelec i z satysfakcją wkłada go sobie do ust.

Z nerwów jestem na granicy płaczu.

– Zjadłeś już swoje. Nie możesz mi zabierać mojego kawałka.

– Ty zachłanny gnojku. – Ojciec patrzy na mnie tym swoim porażającym wzrokiem. Serce zaczyna mi mocniej bić. – Jesz, mieszkasz i żyjesz dzięki mnie. Zarobiłem na tę mąkę, na te jabłka, na ten pieprzony gaz, dzięki którym twoja matka upiekła to ciasto. Więc nie mów mi, kurwa, co mogę, a czego nie. – Przeżuwa ostatni kęs ciasta. – Odjedź od stołu i idź do swojego pokoju.

– Nie. – Czuję, że cały się gotuję w środku.

– Wyjdź stąd, gówniarzu. – Ojciec uderza pięścią w stół, aż podskakują talerze.

– Gordi... – odzywa się mama stłumionym głosem. Stoi przy zlewie. Wzrok ma przestraszony, doskonale wie, jak może skończyć się ta sprzeczka. – Zrób, o co prosi tata, idź do siebie. – Słyszę w jej głosie błagalny ton.

Jestem na granicy wytrzymałości. Dlaczego ona nigdy nie staje po mojej stronie? Dlaczego pozwala, żeby zjadał moje ciasto, żeby mi rozkazywał? Mam tego dosyć!

– Nie. – Zakładam ręce na pierś i w tym samym momencie ojciec wstaje gwałtownie od stołu. Czuję szarpnięcie za kołnierz, który wbija mi się w krtań. Odsuwam się razem z krzesłem, lecę do tyłu, uderzam o podłogę. Ojciec ciągnie mnie po posadce w stronę korytarza. Łapię za futrynę, a wtedy on uderza stopą w moją dłoń. Ręka opada bezwładnie. Mam wrażenie, że zmiażdżył mi kości dłoni.

– Do swojego pokoju, gnoju! I to już! – Wlecze mnie za bluzę.

– Nikos, przestań! – Słyszę głos matki. Widzę, jak podbiega, żeby go ode mnie odciągnąć. I wtedy ojciec mnie puszcza, zamachuje się i uderza ją w twarz. Mama obja się o ścianę, łapie się za policzek. Jest przerażona. Widzę, jak ojciec rusza w jej kierunku, łapie ją za włosy...

– Zostaw ją! – krzyczę. – Zostaw!

– Gordian... Gordian! – Dobiega mnie głos z tyłu, ktoś chwyta mnie za ramiona.

Odwracam się. Przytomnieję. Widzę przed sobą twarz Kiry. Patrzy na mnie nieodgadnionym wzrokiem.

– Do kogo mówisz? – pyta.

Rozglądam się. Oddycham szybko. Siedzę na posadce w łazience Kalisty, opieram się o klozet wypełniony rzygami. Łeb mnie napierdala, nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje.

– Co ci jest? – Kira przygląda mi się z niepokojem w oczach.

– Nic – odpowiadam i podnoszę się na klęczki. Robię kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Wstaję. Opieram się o umywalkę. Wyciskam do ust trochę pasty do zębów, by pozbyć się niesmaku, płuczę, wypluwam.

Kręci mi się w głowie, więc opieram się o ścianę.

– To nie jest nic. Ledwo stoisz na nogach. – Kira przytrzymuje mnie w pasie, lecz ja strącam jej dłoń. Nie mogę znieść, że znowu musi mi pomagać. Ja nie potrzebuję żadnej, pieprzonej pomocy!

– Nic mi nie jest – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Muszę poleżeć w ciszy. – Omijam ją i wychodzę.

Leżę na łóżku Kalisty, okna są zasłonięte, pokój wiruje. Nie wiem, co się dzieje z moim ciałem, ale zaczyna mnie to porządnie wkurwiać. Mama i babcia urządzą sobie do mnie wędrowniki, patrzą na mnie z niepokojem, pytają, czy czegoś nie potrzebuję, czy nie zawołać lekarza.

– Wszystko jest w porządku, po prostu chcę się przespać – zapewniam mamę.

– Jesteś taki błady, synku. – Mama przesuwa dłonią po mojej twarzy. – Może to jakaś niestrawność?

– Wypiłem wcześniej trochę, potrzebuję po prostu ciszy. Idźcie z Serafinem na plażę, do waszego powrotu na pewno mi przejdzie.

– Zostanę z tobą. – Mama ujmuję moją dłoń. – Może to skutek tego wypadku? – Czuję się koszmarnie z tym, że przysparzam jej zmartwień.

– Na pewno nie. To zwykły kac, prześpię się godzinę i wrócę do formy.

Mama waha się jeszcze kilka minut, lecz w końcu udaje mi się ją przekonać, by wyszła z Serafinem na popołudniowy spacer. Najwyraźniej zrozumiała, że chcę mieć święty spokój.

Po niej wchodzi babcia. Pyta, co mi jest, czy może zaparzyć mi ziół albo wstawić wiatrak. Oznajmia, że zajmie się Savvasem, bo nie może patrzeć, jak członek rodziny wygląda niczym najgorszy łachudra. Mówi, że mój wuj powinien w końcu przestać uciekać. I to musi być znak od Boga, że udało mi się go sprowadzić do jej domu.

Tak bardzo napięrzya mnie łeb, że równie dobrze mogłaby oznajmić, że właśnie spadł śnieg, a i tak by mnie to nie obeszło.

– Później porozmawiamy, babciu. Chcę się przespać.

Kalista mi się przygląda, po czym przesuwa dłonią po moich włosach.

– Słusznie, wnusiu, sen leczy.

– Nie trzeba mnie leczyć, bo nie jestem chory. To zwykły kac.

– Na pewno tak jest – odpowiada głosem, w którym nie słycać przekonania. – Pomodlę się za ciebie – dodaje, a następnie wychodzi.

A ja nawet nie mam siły zaprotestować. Powieki mi opadają, ogarnia mnie senność.



Siedzę przy barze. Piję piwo. Muzyka dudni, obok mnie głośno rozmawiają jacyś ludzie. Zerkam w ich stronę. To Tomasz z jakąś dziewczyną, która stoi do mnie tyłem.

– Mam dla ciebie niespodziankę. – Słyszę tuż obok kobiety głos. To Kira. Uśmiecha się, wygląda bosko, ma rozpuszczone włosy, umalowane oczy i usta. Przesuwam po niej wzorkiem. Jest ubrana w obcisłą bluzkę z odkrytymi ramionami i spódniczkę. Jestem pod wrażeniem. Nigdy nie widziałem jej takiej wystrojonej. Odciąga moją dłoń od kufła, splata nasze palce i ciągnie mnie w stronę korytarza, który prowadzi do łazienki. Wchodzimy do damskiej toalety.

– O co chodzi? – pytam, lecz ona ucisza mnie pocałunkiem. Smakuje inaczej niż zwykle. Tłumaczę sobie, że to przez szminkę, która seksownie rozmazała się na jej wargach. Przesuwam po nich kciukiem, sprawiając, że stają się jeszcze bardziej nabrziałe niż zwykle. Kira zasysa mój palec, przygryza go zębami. Czuję, jak drugą ręką rozpina pasek od spodni, rozsuwa zamek. Zaczynam oddychać szybciej, rośnie we mnie podniecenie.

– Jesteś pewna? – pytam, choć, kurwa, nie wiem dlaczego. Nie chcę, żeby przestała.

– Niczego bardziej nie pragnę – odpowiada, wyciąga ze spodni mojego fiuta i zaczyna pracować ręką.

Podciągam jej spódniczkę, wyczuwam pod palcami gołe pośladki i pasek od stringów. Cholera, jak ja jej pragnę. Zaciskam palce na jej pupie: jest idealna, okrągła, jędrna. Zaczynamy się całować, penetrujemy językami wnętrza naszych ust. Zaraz oszaleję. Przesuwam palcem w stronę cipki, nabrziałej, wilgotnej, gotowej.

– Weź mnie – dyszy w moje wargi Kira.

Jestem tak napalony, że nie musi mi dwa razy powtarzać. Sięgam do kieszeni, szukam prezerwatywy, lecz nie mogę jej znaleźć.

Kurwa, akurat teraz?!

– Olej gumkę. Wejdz we mnie teraz – proponuje, odgadując moje pragnienia.

Najwyraźniej zupełnie postradałem rozum, bo unoszę ją w pasie, sadzam na umywalce i rozkładam nogi.

Kira ściga pośpiesznie majtki, rzuca je na podłogę, po czym chwyta mnie za włosy, przyciąga i pogłębia pocałunek. Czuję, że zaraz eksploduję. Łapię za nabrziałego do granic możliwości fiuta i przesuвам nim po cipce. Kira jęczy zniecierpliwiona, przygryza moją dolną wargę. Jest taka gotowa,

taka chętna.

Wsuwam się w nią do końca. Jest tak ciasno, że zaraz dojdę. Ja pieprzę! Warto było czekać. Najlepsze uczucie *ever*. Kira wypycha biodra, łapie mnie za pośladki i przyciska do siebie.

O tak! Wysuwam się i wchodzę w nią ponownie. Wysuwam i znów wbijam się po same jaja. Dyszemy oboje, pocimy się, zatracamy w ostrym pieprzeniu.

Nagle słyszę trzaśnięcie drzwiami. Zerkam ku wejściu i zamieram. Dosłownie pięć metrów ode mnie stoi Kira.

W dżinsach, topie, z włosami związanymi w warkocz.

Co jest?

Przenoszę wzrok na dziewczynę, z którą się pieprzę. I głupieję. To nie Kira. Nie jest nawet do niej podobna. To ta pieprzona lesbijka, która chciała mi zrobić dobrze na plaży za parawanem. Patrzy na mnie zamglonym spojrzeniem, wypycha biodra.

– Nie przestawaj – jęczy.

Serce objaja mi się o zębra. Spoglądam ponownie na Kirę, która stoi nieruchomo z zaciśniętymi pięściami. Oczy ma przepełnione niedowierzaniem.

– Nienawidzę cię. – Jej słowa są jak cios w żołądek. – Nienawidzę. – Wybiega z toalety.

Kurwa mać!

Wysuwam się z laski, wpycham kutasa do gaci i rzucam się w stronę wyjścia.

– Kira! – wołam, a wtedy drzwi przede mną się zatrząskują. Łapię za klamkę, ta ani drgnie. Szarpnię z całej siły, lecz te pieprzone drzwi są zamknięte na amen. – Kira, poczekaj! – Uderzam w nie barkiem, ale to nic nie daje. I wtedy czuję, jak ktoś łapie mnie za ramiona, słyszę głos z oddali.

– Gordian. Obudź się...



Otwieram oczy. Widzę przed sobą twarz Kiry. Ogarnia mnie natychmiastowa ulga, bo dociera do mnie, że to był tylko koszmar. Kurwa, jak się cieszę, że to był tylko jakiś pojebany sen.

– Kira... – Coś we mnie pęka. Przyciągam ją do siebie i wpijam się ustami w jej wargi. Smakuje zajebicie, smakuje sobą. O tak, to na pewno ona. To Kira. Moja Kira.

Chcę ją całować, chcę ją wyłącznie dla siebie.

– Co ty wyrabiasz? – Odsuwa się.

– Całuję cię. – Ujmuję ją za kark, chcę ją przyciągnąć, ale zrzuca moją dłoń i wstaje.

– A nasza wcześniejsza rozmowa? – Dostrzegam gniew w jej spojrzeniu i już doskonale wiem, o co jej chodzi. Opadam na poduszkę, przesuwam dłońmi po twarzy. Czuję się, jakbym był w pułapce. Pieprzonej pułapce, którą sam na siebie zastawiłem.

– Zgadzam się. – Słowa same wypływają z moich ust.

– Zgadzasz się na co?

Zerkam na nią, stoi tuż obok z rękami założonymi na piersiach. Jest stanowcza i tak piękna, że tracę przez nią rozum.

– Zgadzam się na twoje warunki – uściślam.

– To znaczy? – Patrzy mi w oczy.

Ja pierdolę, czy ona przyjęła sobie za cel znęcanie się nade mną?

– To znaczy żadnego pieprzenia i masturbacji.

– Przez trzydzieści dni – dopowiada.

Zaciskam szczęki.

– Dwa tygodnie – targuję się.

Kira prycha.

– Nie mamy o czym rozmawiać. Miłej zabawy. – Odwraca się w stronę drzwi. Serce mi zamiera, czuję, że tracę grunt pod nogami. Jestem pewien, że gdy tylko wyjdzie z tego pieprzonego pokoju, to będzie koniec. Przegram.

A ja nigdy nie przegrywam.

Widzę, jak sięga za klamkę, tętno mi wali jak szalone.

Zrywam się z łóżka.

– Dobra. Trzydzieści dni, ale liczone od jutra. – Dopadam do drzwi, by zastąpić jej drogę.

Kira mruży oczy.

– Dlaczego akurat od jutra?

Przesuwam dłonią po karku.

– No cóż... – Odchrząkuję, podczas gdy ona patrzy na mnie z wyczekiwaniem. – Poznałem na plaży takie dwie i sprawy trochę wymknęły się spod kontroli...

Momentalnie dostaję z otwartej dłoni w mordę.

– Ale z ciebie zasraniec. – Kira otwiera drzwi, lecz ja od razu je zamykam.

– Poczekaj.

– Na co niby mam, do cholery, czekać!?! – Odwraca się w moją stronę, wrze.

– Pogadajmy.

– My nie potrafimy gadać. Ciągłe się kłócimy.

– Nie ciągle. A nawet jeśli, to tylko ci, którym nie zależy, się nie kłóć.

– Że niby tobie zależy? – Śmieje się szyderczo. – Zdradziłeś mnie i oszukałeś. Jak długo chciałeś utrzymywać ten wyskok w tajemnicy?

– Nie zrobiłem ani jednego, ani drugiego. Nie było żadnego wyskoku. Po naszej kłótni byłem przekonany, że nie jesteśmy już razem. Spotkałem je na plaży. To były Polki, tylko z nimi gadałem, do niczego nie doszło.

– Tylko gadałeś? To dlaczego o nich wspomniałeś?

Biorę głęboki wdech.

– Bo robiły sobie przy mnie dobrze, a ja miałem ochotę do nich dołączyć. Ale tego nie zrobiłem. Zostawiłem je, gdy chciały dobrać mi się do spodni.

Kira mi się przygląda. Jest zdystansowana, wycofana. Tracę ją i czuję się z tym tak chujowo, że mam ochotę zawyć z bezradności. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje. Toczę ze sobą jakąś pieprzoną walkę. Trzydzieści dni. Wytrzymam przez trzydzieści dni i udowodnię jej, że nie jestem uzależniony. Nawet nie wiem, czy to możliwe, bo nigdy przez myśl mi nie przeszło, żeby spróbować. Bo niby po co? Teraz przynajmniej mam jakiś powód.

– Kira, mogłem je zaliczyć, obie, a jednak tego nie zrobiłem. Mogłem również nic ci o nich nie mówić, ale chciałaś, żebym był z tobą szczery, więc jestem. Po naszej kłótni uznałem, że jeśli nie obiecuję ci tych pieprzonych trzydziestu dni, to mnie rzucisz. Byłem solidnie wnerwiony. One się napatoczyły, a kiedy sprawy zaczęły posuwać się za daleko, zrozumiałem, że nie chcę być z nimi, tylko z tobą. Obiecuję ci trzydzieści dni i dotrzymam słowa. Seks to część mojego życia. Bez niego chodzę wściekły, źle śpię. Czuję napięcie w całym ciele. Seks mnie relaksuje. Może masz rację, że nad tym nie panuję. Może jestem pierdolonym nałogowcem, a tego nie widzę. To prawda, że niewiele mi trzeba, żeby się podniecić. Czasami wystarcza okładka „CKM-u” w kiosku albo skąpo ubrana laska jadąca na rowerze. Nie wiem, może faktycznie jestem seksoholikiem. – Biorę głęboki wdech, zanurzam palce we włosach. – Nie zamierzałem cię zdradzać i tego nie zrobiłem. Powstrzymałem się w odpowiednim momencie. A uwierz mi, jeszcze tydzień temu nie miałbym żadnych oporów. Zamierzam ci udowodnić, że wytrzymam przez trzydzieści dni bez innych kobiet, bez masturbacji i pornosów. Być może za kilka dni będę tak zdesperowany, że zacznę biegać w japonkach, by przypomnieć sobie dźwięk, jaki towarzyszy uprawianiu seksu. I być może będę żądał medalu nabrzmiałych jajec za tę seksualną wstrzemięźliwość, która mnie czeka. Ale nie zdradzę cię. Daję ci słowo.

Kira próbuje zamaskować uśmiech. Widzę go w jej spojrzeniu i nie chcę, żeby się przede mną kryła. Pragnę, by była przy mnie naturalna. Chryste, jak ona na mnie działa.

Naprawdę odwaliło mi na jej punkcie. Wolę czym prędzej zakończyć już ten drażliwy temat, nim się rozmyśli i sobie pójdzie, byle dalej ode mnie.

– Mam coś dla ciebie. – Odwracam się i biorę z szafki telefon, który leży tuż obok mojego. – Karta jest już włożona, wpisałem ci numery do mnie i mojej mamy.

– Dzięki. Zaraz oddam ci kasę. – Bierze komórkę do ręki.

– Nie trzeba.

- Trzeba. Nie lubię być nikomu nic dłużna.
- Nie będziesz, to prezent.
- Nie mam urodzin ani imienin, więc to nie może być prezent.

Co za uparte stworzenie.

- To potraktuj go jako podarunek od swojego chłopaka, okej?

Kira podnosi na mnie wzrok, a ja zdaję sobie sprawę z tego, co właśnie powiedziałem.

Przesuwam dłonią po karku, a wtedy ona wspina się na palce i daje mi całusa w usta.

Serce mi podskakuje jak pieprzona piłka kauczukowa. Zatyka mnie w piersi. Gdybym był czterdzieści lat starszy i w gorszej kondycji fizycznej, pomyślałbym, że to zawał.

– Dlaczego mój smartfon to wypasiony model, a twój to stary rzęch? – Kira wskazuje głową na szafkę nocną.

Serce powoli uspokaja rytm. Nie rozumiem, co właściwie się przed chwilą stało. Przecież to było zwyczajne cmoknięcie w usta, nic wielkiego, mimo to zrobiło na mnie kurewsko mocne wrażenie.

Kieruję myśli w stronę rozmowy o telefonach.

– Nie przywiązuję wagi do tego, jaki posiadam model – odpowiadam. – Telefon to telefon, powinien ułatwiać mi komunikację ze światem. A jeśli ma dodatkowe bajery, z chęcią skorzystam, jednak bez nadmiernej ekscytacji. Nie jestem gadzeczniakiem.

– To samo dotyczy się motocykli – pyta z cynicznym uśmiechem. Doskonale wie, że trafiła w czuły punkt.

– Do nich akurat mam słabość. Mogę jeździć byle jakim autem, ale motocykl musi być sportowy, najlepiej renomowany, włoskiej marki, ale na taki na razie mnie nie stać, więc pozostają japońskie. Nie podniecają mnie maszyny crossowe ani szosowe, choć te ostatnie są bardzo wygodne.

– Dlaczego akurat motocykl, dlaczego tylko sportowy? – Wygląda na zaciekawioną.

Opieram się o drzwi.

– Lubię dużą prędkość, adrenalinę. Ścigacze nie są dla każdego, trzeba wykazać się myśleniem, refleksem i odpowiedzialnością – wyliczam na palcach. – Szybka, nierozsądna jazda w wykonaniu głupiego szczyła, który chce się popisać przed kumplami i dupami, kończy się w trumnie.

Kira wzdycha.

– Biedna ta twoja mama.

– Dlaczego?

– Mogę się założyć, że za każdym razem, kiedy wyjeżdżasz od niej spod bloku drży jej serce.

– Przesadzasz.

Kira patrzy mi w oczy, widzę w nich rozbawienie.

– Mądry z ciebie facet, Gordianie, ale inteligencją emocjonalną nie grzeszysz.

– Co masz na myśli?

– To, że twoje zdolności rozpoznawania stanów emocjonalnych u siebie i innych osób są na poziomie chłopca z gimnazjum. Oprócz tego, że masz problem z panowaniem nad własnymi emocjami, ewidentnie nie radzisz sobie ze stanami emocjonalnymi ludzi, z którymi masz kontakt – wytyka z rozbawieniem.

Słucham jej i naprawdę wkurza mnie to, co słyszę.

– Takie masz o mnie zdanie? Uważasz, że jestem tumanem?

Kira się śmieje.

– Nie zadaję się z tumanami. Uważam, że jesteś mądry, bystry, bywasz zabawny, a czasami nawet słodki. Ale twoja samoświadomość, samokontrola i empatia wołają o pomstę do nieba.

Analizuję jej słowa.

– Może dlatego, że ta cała samoświadomość, samokontrola i empatia nie są mi potrzebne. Nie dadzą mi doktoratu, nie zarobią kasy, nie sprawią, że będzie żyło mi się wygodnie.

– Ale dzięki nim możesz być szczęśliwszy.

Wzruszam ramionami.

– Szczęście to pojęcie względne. Jestem zadowolony ze swojego życia, to mi wystarczy.

– Jeśli naprawdę jesteś zadowolony, to nie ma tematu. – Puszczą do mnie oko, a uśmiech nie

schodzi jej z ust.

Oczywiście, że jestem zadowolony. Co, kurwa, ma oznaczać to mrugnięcie?

– A ty, jesteś szczęśliwa? – Odbijam piłeczkę.

Kira opiera się o drzwi obok mnie.

– Staram się. Szczęście nie przychodzi samo, trzeba nad sobą pracować. Myśleć pozytywnie, robić to, co się lubi, nie trzymać w sobie urazy do ludzi, którzy wyrządzili nam krzywdę... – Zawiesza głos, uśmiech znika z jej twarzy, bierze głęboki wdech.

Jestem pewien, że myśli teraz o tym skurwysynu, którego powinno się powiesić za jaja za to, co jej zrobił.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że mu wybaczyłaś? – pytam wprost, bo nie mieści mi się to w głowie.

– Wybaczyłam, a może bardziej odpuściłam – przyznaje.

– Nie wierzę.

– Uwierzyłbyś, gdybyś widział, jakim wrakiem człowieka byłam, zanim zdecydowałam się na ten krok. I żeby była jasność, robiłam to dla siebie, nie dla tego łajdaka. On nie zasługiwał na wybaczenie, ale ja tak. Co noc męczyły mnie koszmary, ciągle chorowałam, nerwy zżerały mnie od wewnątrz, zalewała mnie żółć, a nienawiść, pragnienie zemsty i zadośćuczynienia nie dawały mi spokoju. Nie mogłam jeść, spać, żyć. Zaczęłam niszczyć samą siebie. Moje ciało stało się tak słabe, że nie byłam w stanie urodzić żywego dziecka. Wrogość i nienawiść obróciły się przeciw mnie. Dopóki Amanda mi tego nie uświadomiła, byłam jak cień człowieka. Zgorzkniała, przestraszona, złknięta, ale też pełna nienawiści i żądna zemsty.

Unoszę brwi. Nie spodziewałem się takiego wyznania. I chociaż Kira jasno wytłumaczyła powody, dla których odpuściła tamtemu gnojowi, nie jestem w stanie ich zaakceptować.

– Nie można wybaczyć czegoś takiego, Kiro. Oprawcy nie mogą chodzić wolno po świecie i krzywdzić niewinnych ludzi. Muszą ponieść srogą karę, a nie oczekiwać rozgrzeszenia od swojej ofiary. Nie mogą czuć się bezkarni, bo nadal będą bić, gwałcić, obrażać, hejtować.

– I mordować... – dodaje, a mnie momentalnie coś chwyta za gardło. Nie damę nic po sobie poznać. Jestem przekonany, że Kira nie ma co do mnie żadnych podejrzeń. Bo gdyby miała... Czuję ucisk w piersi i momentalnie odrzucam od siebie tę myśl. Jestem przekonany, że gdyby wiedziała, że zamordowałem własnego ojca, toby mnie zniechęciła. Chociaż z drugiej strony, skoro potrafiła wybaczyć gwałcielowi, to może i mnie by odpuściła.

Na samą myśl o tym, że mógłbym jej wyznać prawdę i nie zostać przez nią negatywnie osądzony i potępiony, czuję spokój. Ale to się nigdy nie stanie. Ta tajemnica powędruje ze mną do grobu.

– Wysłałaś formularz, który przekazałem przez mamę? – zmieniam temat.

– Co?

– Formularz, do ambasady, w sprawie paszportu – uściślam.

– Ach, tak. Dzięki. Od razu wczoraj odpowiedzieli. Mam się zgłosić jutro po odbiór.

– Jak to wczoraj? Przecież wysyłałem mamie SMS-a dzisiaj koło południa.

– To było wczoraj. Długo spałeś.

Sięgam po telefon i patrzę na godzinę: piętnasta dwadzieścia.

Ożeż, spałem ponad dwadzieścia godzin. Zmarnowałem na pieprzony sen jeden dzień wakacji. Mam ochotę sam sobie wpierdolić. I w sumie nie dziwne, że mam takiego wkurwa, bo jestem głodny jak wilk.

– Pojedziemy do Aten razem – decyduję. – A teraz chodźmy coś zjeść. Mam nadzieję, że Kalista ma cukinię. Nauczę cię przygotowywać kolokithokeftedes.

– Czyli?

– Placki z cukinii. – Kładę dłoń na opalonym karku Kiry i przyjemny dreszcz przepływa mi po ramieniu. – Z serem fetą, świeżą miętą i pietruszką. – Uchylam drzwi.

Kira zerka na mnie, jej oczy rozbłyskują.

– Nie wiedziałam, że potrafisz gotować.

Podoba mi się, jak teraz na mnie patrzy. Nachylam się nad jej uchem.

– Wiele rzeczy potrafię, Kiro. I pokażę ci każdą z nich, jeśli będziesz chciała. – Przygryzam płatek jej ucha.

Śmieje się.

– Tak, tak, znam już tę twoją śpiewkę. – Popycha mnie na korytarz. – Nie czaruj, tylko chodź, bo narobiłeś mi ochoty na te placki.

Wchodzimy do kuchni w świetnych nastrojach i nagle czuję, jakbym dostał cios nożem prosto w pierś. Przy stole siedzi mój ojciec. Pije lemoniadę, rozmawia z Kalistą. Nie mogę się ruszyć, brakuje mi tchu. Serce wali mi tak mocno i szybko, aż czuję je w krtani.

Wspomnienia powracają do mnie jak bumerang. Widzę ojca, jak wpuszcza mnie do mieszkania. Wie, że przyszedłem zobaczyć się z matką, ale jej akurat nie ma, poszła na zakupy. Czeka na nią w kuchni, a ojciec prawi mi swoje banialuki, wbija szpilę za szpilą, że jestem nieudacznikiem, że w końcu mógłbym się ustatkować, założyć rodzinę, że trzymam się mamusinej spódnicy jak przedszkolak, że on w moim wieku już miał pracę na pełen etat... Puszczam jego pieprzenie mimo uszu, a wtedy on idzie pooglądać telewizję.

Mama wchodzi do przedpokoju. Pomagam jej z zakupami. Pytam, co u niej, przechodzimy do kuchni, gdzie chowamy produkty do szafek i lodówki.

– Zrób mi kawę! – woła ojciec z pokoju. W tle słychać mecz piłki nożnej.

Mama momentalnie blednie.

– Chryste, zapomniałam o kawie... – Rozgląda się po kuchni jak otumaniona, po czym chwyta za torebkę. – Zaraz wracam.

Łapię ją za łokieć.

– Mamo, daj spokój. Przecież dopiero przyszedłeś.

– Ojciec chce kawę.

– To niech sobie po nią pójdzie.

Mama kręci głową, dostrzegam w jej oczach tak znajomy wyraz przerażenia.

– Gordi, sam wiesz, jak to się skończy. Skoczę tylko za róg.

– Nie, mamo. – Ujmuję ją za ramiona. – Nie jesteś jego służącą. Niech sam sobie pójdzie po kawę i sam ją sobie zrobi.

– Słysząc mnie? Chcę kawę! – drze się ojciec z pokoju. Car jebany. Jego głos podrażnia każdy nerw w moim ciele.

Dosyć tego!

Idę do pokoju.

– Gordi, daj spokój. Nie chcę awantury. – Mama błaga mnie, żebym odpuścił, bo nie warto, ale nie słucham.

Pokażę temu skurwielowi, gdzie jego miejsce. Przekraczam próg. Ojciec leży rozjebany na wersalce jak Rosja na mapie. Brzydzę się nim, jego wyglądem, tym, jak traktuje mamę. Nawet na mnie nie patrzy, ogląda mecz. Łapię go za koszulkę, unoszę.

– Chcesz kawy, to sobie, kurwa, zrób! – Rzucam go z powrotem na kanapę. – Jebany obibok. – Przez moment ojciec patrzy na mnie oszołomiony, jakby nie wiedział, co właściwe zaszło. Lecz wystarczy chwila namysłu, by w jego oczach zapaliły się iskry gniewu. Rzuca się na mnie z pięściami. Robię unik, ojciec wpada na komodę. Odwraca się. Jego kolejny zamach to mój kolejny unik. Stary łąduje na stoliku kawowym.

– Zajebię cię, gówniarzu – syczy. Pot perli mu się na czole, oddech ma płytki, wzrok wściekły.

– Przestańcie, proszę... – Mama zasłania usta dłonią.

Ojciec przenosi na nią wzrok.

– Miałś mi, kurwa, zrobić kawę, jebana niemoto!

Jego obelga gotuje mi krew w żyłach. On nie zasługuje na to, żeby z nią być. Podchodzę do niego, łapię go za ramiona i wypycham na korytarz. Ojciec opiera się, szamocze, ale nie ma ze mną szans. Już minęły czasy, kiedy to on dominował. Teraz to ja jestem górą. Popycham go w stronę wyjścia, a z każdym krokiem jego wzrok staje się mniej pewny.

– Co ty wyrabiasz, gnojku? – pyta, gdy przyszpilam go do ściany.

– A na co ci to wygląda? – Otwieram drzwi, wyrzucam go na klatkę schodową.

Ojciec szamocze się i klnie jak szewc. Chwytam go za ramię, unieruchamiam głowę. Idealna pozycja do tego, by skrócić mu kark. Tak. Skręcę mu ten jebany kark. Krew buzuje mi w skroniach, dobiegają mnie błagania matki, żebym odpuścił. Zerkam w jej stronę, jest przerażona. Trzymam w uścisku szamoczącego się ojca, w mojej głowie pojawia się jakiś obcy głos: *Zabij go, skręć mu kark, uwolnij ją od niego.*

– Gordi, puść go! – Słyszę wołanie mamy. Patrzę na nią. Jej oczy są pełne łez. Kręci głową, błaga mnie: – Synku, zostaw, nie warto...

Mam spętane myśli. Waham się. Ojciec wykorzystuje chwilę mojej nieuwagi; wrywa się, odwraca, traci równowagę i leci ze schodów na łeb, na szyję. Wszystko trwa zaledwie chwilę. Rozlega się głucho łupnięcie, kiedy uderza głową w żeliwny grzejnik. Opada bezwładnie na posadzkę, nie rusza się.

Słyszę krzyk matki. Zbiega ze schodów. Ojciec leży jak kłoda, wygięty w pół, ze skręconym karkiem.

Nie mogę oddychać. Nie mogę uwierzyć w to, co widzę.

– Dobrze się czujesz? – Dobiega mnie przytłumiony głos i nagle czuję się, jakby ktoś wbijał mi szpilę w czaszkę.

– Gordian. Co ci jest? – Tuż przed oczami zjawia mi się twarz Kiry. – Jesteś strasznie blady.

– Boli mnie łeb – odpowiadam i kulę się, bo ból jest nie do zniesienia.

– Siadaj, wnusiu. Dam ci wody. – Kalista odsuwa krzesło. Zerkam w stronę stołu i napotykam twarz ojca.

Co się, kurwa, ze mną dzieje?

– To może ja już pójdę... – odzywa się, a ja rozpoznaję ten głos. To Savvas. Ogolony, umyty, z obciętymi włosami, przebrany w czyste ciuchy. Patrzy na mnie zaniepokojony. I chociaż jego twarz wygląda zupełnie jak ta należąca do ojca, spojrzenie ma zupełnie inne: pokorne, przeprasające.

– Siedź, zaraz mi przejdzie. – Opadam ciężko na krzesło, a potem wypijam duszkiem szklankę wody. Nie mam pojęcia, co się przed momentem wydarzyło. Co tak naprawdę widziałem. Do chwili upadku ojca ze schodów doskonale kojarzę wszystkie wspomnienia. Nie pamiętałem jednak, żeby była tam matka. Przecież byłem sam z ojcem na klatce, tylko ja i on, zwichnąłem mu kark, zrzuciłem go ze schodów.

Serce wali mi jak młotem, brakuje mi tchu. Pieprzone zwidy mącą mi umysł. I jeszcze ten chujowy ból głowy, przez który nie jestem w stanie racjonalnie myśleć.

Uderzam pięścią w stół, bo czuję, że tracę panowanie nad swoim umysłem, nad zdroworozsądkowym myśleniem. A nic bardziej mnie nie wkurwia niż utrata kontroli. Szpila wkuwa się coraz głębiej, przesywa pół czaszki. Oblewa mnie zimny pot.

– Kurwa... – syczę, dociskając palce do skroni.

– Może chcesz jakąś tabletkę na ból? – pyta Kira.

– Daj – odpowiadam, bo nie zniosę już dłużej tego napieprzania w czachę.

Biorę dwie tabletki i popijam je kolejną szklanką wody. Savvas najwyraźniej czuje się nieswojo, bo dziękuje Kaliście za nocleg, ubrania i że zajęła się nim jak rodzonym synem. Wstaje od stołu, żegna się krótkim „do widzenia” i obiecuje, że odwiedzi ją za kilka dni. Babcia odprowadza go do furtki. Zostaję sam z Kirą, czuję, że ujmuje moją dłoń.

– Musisz się zbadać – stwierdza, zaglądając mi w oczy. – Takie bóle głowy nie są normalne.

– Nic mi nie jest. Już przeszło – zbywam ją i wstaję od stołu. Czekam, aż leki w pełni zaczną działać, wciąż czuję silne ciśnienie w okolicach potylicy.

– Nie możesz tego ignorować. – Kira podchodzi do mnie, podczas gdy ja sięgam po cukinię z kosza z warzywami i obmywam ją wodą.

– Mogę, bo to nic takiego.

– A zwidy? Masz je nadal? – pyta, kiedy sięgam po obieraczkę z szuflady.

– Nie.

– Czyli od dnia, kiedy miałeś grypę i twierdziłeś, że sikasz krwią, a na piersi masz wypalone trzy

szóstki, nic podobnego nie widziałeś?

– Nie – zaprzeczam. W sumie nie kłamię, bo od tamtego zdarzenia słyszałem wyłącznie głosy we własnej głowie. A, i jeszcze był tamten ksiądz, który chlapał mnie jakimś gównem i twierdził, że też widzi te jebane szóstki. Próbuję nie roztrząsać tamtych wydarzeń, bo to nic nie da. Nie jestem stuknięty, choć sam już nie mam pewności, co jest prawdą, a co ułudą. Najważniejsze, że jest lepiej.

A przynajmniej takie odnoszę wrażenie.



Jem na szybko dwie kanapki z serem żółtym i pomidorem, żeby zaspokoić pierwszy głód. Placki potraktuję jako drugie danie.

Obieram cukinie i trę je na tarce. Dowiaduję się, że rodzice pojechali wynajętym jeepem pozwiedzać wyspę, więc nie będzie ich na obiedzie. Kalista informuje, że idzie do ogródka wypleć chwasty. Mamy ją zawołać, kiedy jedzenie będzie gotowe.

Kira myje jajka, wbija je do miski i odmierza odpowiednią ilość mąki pod moje dyktando.

– Czyli w sumie przepis taki, jak na placki ziemniaczane – ocenia, mieszając wszystkie składniki.

– Jeszcze trzeba dodać fetę. – Sięgam po ser do lodówki.

Kruszę go w palcach nad miską, a Kira miesza wszystkie składniki. Kilka kawałków upada jej na rękę. Ściąga je ustami.

– Mm, pyszny – mruczy.

– Pokaż. – Sięgam po jej dłoń i choć mam całe palce w fecie, wolę zlizać resztki z jej skóry.

Oddech Kiry przyspiesza.

– Prawdziwa feta – stwierdzam. – Nie jakiś fetopodobny szajs, który sprzedają w sklepach w Polsce. – Celowo zostawiam na jej nadgarstku resztki sera i przesuвам po nim językiem. – Naprawdę dobry. – Przygryzam jej skórę. – Ale ty jesteś smaczniejsza. – Uśmiecham się, patrzę jej w oczy, na co ona prychnie i cofa rękę.

– I myślisz, że podziąła na mnie takie kadzidło? – Wraca do mieszania składników.

– Możemy spróbować czegoś innego. – Mażę palcem jej policzek, zostawiając na nim ser, po czym momentalnie zbieram go wargami.

Widzę, że Kira powstrzymuje śmiech.

– Przestań, mieliśmy robić placki...

– Przecież robimy. Dobrze mieszasz. – Przesuwam palcami po jej szyi, zostawiając smugi sera, które od razu zlizuję.

– Nie jestem kanapką. – Chichocze niskim głosem.

– Nie śmiałybym porównać cię do czegoś tak zwyczajnego. Do ambrozji już bardziej. – Przesuwam palcem po jej dekolcie, chwytam zębami za podkoszulek, by odsłonić pierś. I w tej samej chwili coś mokrego ląduje na mojej twarzy.

– Przyda ci się zimny okład z cukinii. – Kira zaśmiewa się, podczas gdy ciasto spływa po moim policzku.

Mrużę oczy. Doigrała się.

– Ty mała... – Łapię garść ciasta i robię z niego kulkę jak ze śniegu. Kira zabiera miskę i cofa się, nie przestając się śmiać.

– Nawet się nie waż – ostrzega mnie.

Widzę, że dotyka już plecami szafek. Ma odciętą drogę ucieczki. Panikuje, zanurza dłoń w cieście i w tej samej chwili dostaje ode mnie kulkę w ramię. Paćka spada na podłogę.

– O ty! – Rzuca we mnie ciastem. Śmieje się, wygląda pięknie.

Robię unik, łapię za miskę, lecz Kira trzyma ją mocno. Zaczynam łaskotać ją pod pachami. Rechocze, odpycha mnie nogą, jednak w końcu udaje mi się zabrać jej miskę.

– Chyba nie zamierzasz rzucić we mnie całym ciastem? Szkoda, żeby się zmarnowało.

– Została jeszcze cukinia. Zrobimy nowe.

– Gordi, jestem bezbronna... – Mruga kokieteryjnie.

A to kocica. Pewnie nie ma pojęcia, jak bardzo podnieca mnie tym wachlowaniem rzęsami.

– Masz rację. – Odstawiam miskę na bok.

Kira mruży oczy. Przymierzam się, żeby do niej wystartować. Nie czekam na jej ruch. Chwytam ją niespodziewanie w tali, sadzam na blacie i nim zdąży zaprotestować, całuję w usta.

Na moment zamiera. Patrzy mi w oczy.

– I że to niby ma mnie powstrzymać przed dalszą walką? – Nie uśmiecha się, choć widzę iskrę rozbawienia w jej oczach.

– Nie. Ale to powinno. – Ujmuję ją za kark i ponownie całuję. Rozchylam jej usta, prześlizguję się językiem po jej języku, a wtedy ona pogłębia pocałunek. Przywieram do niej mocniej, całuję łapczywiej, zachłannie. Już nawet nie boję się, że dostanę pieprzonego ataku paniki, a nawet jeśli, mam to w dupie. Zjeżdżam rękami po jej ramionach, tali, biodrach, chcę rozsunąć jej uda, lecz ona je zaciska. Zastanawiam się, czy robi to nieświadomie.

– Obejmij mnie nogami – szepczę.

Przez moment się waha, lecz po chwili je rozsuwa. Wchodzę pomiędzy gorące uda, czuję, jak mnie nimi oplata. O tak, idealne dopasowanie. Wyobraźnia podsuwa mi, co moglibyśmy zrobić na tym pieprzonym blacie. Najchętniej zdarłbym z niej te kuse spodenki, odchylił majtki i tak wylizał cipkę, że Kira jęczałaby głośno, błagając o więcej. A ja z radością spełniłbym jej życzenie. Przyparłbym ją do najbliższej ściany i zerznął tak ostro, że po wszystkim musiałbym ją wziąć na ręce, bo nie mogłaby sama chodzić. Wiem jednak, że nic z tego nie będzie. Jedyne, co mogę, kurwa, zrobić w tym momencie, to ocierać się nabrzmiałym kutasem o szafkę, na której siedzi Kira. Żalotne, mimo to nie przestaję. Co więcej, czuję się podniecony jak rzadko kiedy. I sfrustrowany, że nie mogę w pełni dać upustu swoim zachciankom. Pochłaniam łapczywie usta, podciągam top, odnajduję piersi i ogarnia mnie kolejny wkurw, bo Kira ma na sobie stanik sportowy, który spowija sutki jak jebany bandaż. Ona mnie zabije.

– Jesteś taka gorąca... – Dyszę w jej usta jak jakiś napalony szczeniak.

Wsuwa mi dłonie pod koszulkę, wodzi zwinnymi palcami po brzuchu, przesuwając je na tors.

Przygryzam jej wargę, napieram chujem na szafkę. Muszę mieć tę kobietę, teraz, bo oszaleję. Jej zapach, jej dotyk sprawiają, że wariuję.

– Chodźmy do pokoju – mówię.

– Mieliśmy coś zjeść.

– Pierdolę jedzenie, chcę ciebie.

Pragnę smakować jej skórę, przygryzać brodawki, lizać cipkę...

Słysząc kroki na ganku. Kira momentalnie mnie odpycha i zeskakuje z blatu.

Otwierają się drzwi.

– Dzieci drogie, a co tutaj się stało? – pyta od progu Kalista.

– Wylało nam się trochę ciasta. Właśnie sprzątam... – Kira z zaróżowionymi policzkami sięga po ręcznik papierowy i klęka tuż przede mną, żeby wytrzeć to, co nachlapaliśmy. Fiut mi stoi, a widok Kiry na klęczkach tuż przede mną wcale nie pomaga.

Ja pierdolę! Jestem ugotowany. W gaciach mam jebaną dzidę.

– Idę do łazienki, zaraz wracam.

Wycofuję się tyłem i osłaniam dłońmi, tak by Kalista się nie domyśliła, że przyłapała nas na gorącym uczynku.

Gdy tylko zamykam za sobą drzwi od kibla, zsuwam spodenki z bokserkami i łapię za kutasa. Przesuwam po nim powolnie w górę i w dół. Jedyne, o czym teraz myślę, to żeby porządnie sobie zwalić. Opieram się ręką o ścianę, zamykam oczy, przywołuję w myślach widok klęczącej przede mną Kiry. Chwyta mojego kutasa, porusza dłonią, po czym zaczyna mnie lizać od nasady aż po żołądź.

O tak, maleńka, włóż go do ust... – mówię do niej w myślach.

Odsuwam z twarzy jej włosy, a ona bierze fiuta między wargi. Widzę, że stara się wziąć go jak najgłębiej, ale jest tak wielki, że wchodzi tylko do połowy. Kira patrzy na mnie z pożądaniem, porusza głową w przód i w tył, jej usta ślizgają się po nabrzmiałym penisie. Słyszę, jak pomrukuje, jak mlaska i przelyka ślinę. Wsuwam palce w jej włosy, wypycham biodra, a ona pozwala, żebym ją pieprzył. Kutas wchodzi i wychodzi ze ślicznych usteczek, zahaczając delikatnie o zęby.

O tak.

Walę sobie coraz szybciej. Jestem coraz bliżej wytrysku...

– Gordian! Smażymy te placki? – Dobiega mnie głos Kiry.

Zamieram.

Otwieram oczy, widzę swoje odbicie w lustrze. Źrenice mam rozszerzone, oddech przyśpieszony, grdyka mi faluje. Czuję tak silne pulsowanie w jajach, że chyba zaraz mi eksplodują. Kurwa, nie mogę teraz przestać. Muszę dojść.

– Gordian?! – słyszę ponowne wołanie.

– Moment!

Przymykam powieki. Dopada mnie złość. Chyba umrę, jeśli teraz nie dojdę. Jestem wściekły na Kirę.

I nagle do mnie dociera, że przecież obiecałem jej, że wstrzymam się z masturbacją przez trzydzieści jebanych dni. Ja pierdołę! Jak ona może ode mnie wymagać czegoś takiego? Jak mogę godzić się na takie absurdy? Może od razu przestanę oddychać?

Jesteś uzależniony... – słyszę w głowie jej słowa.

Nie jestem! Walczę sam ze sobą. To coś innego niż alkoholizm, nikotynizm, narkomania. Musiałbym chyba sobie odciąć przyrodzenie, żeby nie czuć pokusy. Wypalić oczy, by nie widzieć ponętnych kształtów Kiry, jej jędrnego tyłka, piersi, kuszących ust. Łatwo jest głodować na pustyni, ale nie, kiedy tuż pod nosem masz oazę – kobietę, która samym spojrzeniem wyzwała w tobie pożądanie.

Słyszę jej śmiech dobiegający z kuchni. Czuję zapach smażonych placków z cukinii. Zerkam na stojącego fiuta i czuję ukłucie zawodu.

Zamiast być teraz z Kirą, siedzę w kiblu własnej babki i walę gruchę, wdychając do wyobrażeń, które nigdy nawet nie miały miejsca. Co więcej, daję sobie stopę uciąć, że Kira jest już przekonana, że właśnie się masturbuję i ma mnie za mięczaka, który nie potrafi wytrzymać w postanowieniu przez jeden pieprzony miesiąc.

A to wkurwia mnie jeszcze bardziej.

Zdejmuję koszulkę, zrzućam gacie, puszcza zimną wodę i wchodzę pod prysznic. Lodowate krople kłują mnie w twarz, spływają po klatce piersiowej, ziębią kutasa. Muszę ochłonać, przestać myśleć o seksie, pożądaniu, spełnieniu, masturbacji. Opieram się rękoma o kafelki, pozwalam, by woda płynęła po plecach i pośladkach. Wyobrażam sobie tłustą nauczycielkę od polskiego z ogólniaka. Woła mnie do biurka. Podchodzę, czuję, jak wali od niej potem i cebulą. Widzę jej ciemne wąsy, kilka kręconych włosów na brodzie, wągry na nosie, zrastające się brwi. Nosi wielkie okulary, w których wygląda jak mucha. Jest ubrana w czarną moherową bluzkę z naszytymi perłami na kształt półkola na wysokości wielkich cyców. Z każdym wypowiedzianym słowem jej podbródek trzęsie się jak budyń. Pyta mnie o *Sklepy cynamonowe*, głos ma chrapliwy. Co chwilę musi odchrząkiwać, jakby była przeziębiona. Towarzyszy temu odgłos odrywającej się flegmy, którą przeżuwa.

Robi mi się niedobrze na ten widok.

I to mi wystarczy.

Otwieram oczy, zerkam w dół. Jest znacznie lepiej.

Kiedy wchodzę do kuchni, babcia robi lemoniadę, a Kira smaży ostatnie placki, z których spora ilość znajduje się już na talerzu przy kuchence.

– Widzę, że świetnie ci idzie. – Staję obok Kiry, sięgam po placka i od razu dostaję od niej po łapach. – A to za co?

Zerka na mnie. Przesuwa wzrokiem po mokrych włosach, zjeżdża w dół na krocze.

– Nie lubię takiego podjadania w biegu, to niezdrowe – wyjaśnia, a ja doskonale wiem, że nie

dlatego od niej oberwałem.

– Odmówiłem sobie dzisiaj kilku przyjemności, więc chyba należy mi się jakaś nagroda.

Kira ponownie przenosi na mnie wzrok. Wytrzymuję jej spojrzenie. Patrzę na nią pewnie, bez żadnego uśmiechu, bez kpiny, bez podtekstów. Gdyby nie obecność Kalisty, powiedziałbym jej wprost, że dotrzymałem naszej umowy.

– W porządku – odpowiada, jakby wiedziała, o co mi chodzi. Przenosi wzrok z powrotem na patelnię i przerzuca ostatnią serię placków. – Nakryjesz do stołu? Będziemy jeść.

Sięgam po talerze z górnej szafki tuż obok Kalisty. Babcia uśmiecha się i wyciska ostatnią cytrynę do dzbanka.

– Oj, dzieci, to najwspanialszy okres waszego życia. Nie zmarnujcie go na kłótnie. Macie takie szczęście, że jesteście młodzi, zakochani...

Kira robi wielkie oczy. Chyba nie spodziewała się takiego tekstu od Kalisty.

– Ale my nie... – Zaczyna, jednak ja przerywam jej w połowie zdania, bo domyślam się, że zamierza uświadamiać Kalistę co do uczuć panujących w naszym związku.

– My się nie kłócimy, babciu. Uprawiamy tylko współczesny nurt adoracyjny. – Rozkładam talerze na stole i podchodzę do szuflady po sztućce. – Kiedyś nazywano go „kto się lubi, ten się czubi”. Prawda, Cyrus? – Pochwytyuję spojrzenie Kiry i puszczam do niej oko.

Nie zamierzam wyprowadzać Kalisty z błędu. Nie musi wiedzieć, że nikt tu w nikim nie jest zakochany, a jej wnuczek chodzi sfrustrowany seksualnie, bo jego dziewczyna jest dla niego dostępna wyłącznie od pasa w górę.

– To dobrze. – Babcia stawia dzbanek na stole. – Gdy tylko zobaczyłam was razem, wiedziałam, że macie się ku sobie. Aż iskrzyło.

Siadamy do posiłku. Patrzę na Kirę, a ona na mnie. Na jej twarzy dostrzegam kuszący uśmiech. Mam cholerną ochotę go scałować. Trzeba przyznać, że faktycznie nie brakuje iskier w naszej relacji. Ale po co mi one, skoro nie mogę rozniecić z nich pożaru, bo Kira od razu leci z gaśnicą?

– Wiedziałaś, co się święci, i chciałaś nas umieścić razem w pokoju? Oj, babciu, nieładnie. – Nakładam jej trzy placki na talerz, podczas gdy Kira nalewa każdemu lemoniady i upija łyk ze swojej szklanki.

– Co w tym złego, że marzą mi się prawnuki, Gordianku?

Kira zachłystuje się lemoniadą. Odchrząkuje. Wyciera usta chusteczką. Nie patrzy na mnie.

– Mam już swoje lata – ciągnie babcia. – Pragnę dożyć dni, kiedy będą przyjeżdżać do mnie na wakacje. Chcę mieć jeszcze wystarczająco dużo siły, żeby pójść z nimi na plażę, zbudować zamek z piasku, pokazać im piękne miejsca na wyspie...

Od razu przypominają mi się moje wakacje u babci. Dzięki nim byłem w stanie odreagować wszystkie te dni spędzane w domu, kiedy ojciec darł mordę. Te dwa miesiące dawały mi wytchnienie od szkoły, w której czepiali się mnie o byle gówno, bo niby byłem nieprzystosowany – wdawałem się zbyt często w bójki, nie słuchałem nauczycieli, wagarowałem. Nie widziałem sensu w łażeniu do budy, bo nudziłem się tam jak mops. Wiedzę, która mnie interesowała, łapałem w lot – na matmie, fizyce, chemii mógłbym siedzieć godzinami. Na sali gimnastycznej najchętniej bym nocował. Ale kiedy fagas od biologii kazał powtarzać nam z pamięci, słowo w słowo, podyktowany do zeszytu cykl rozwojowy meduzy, o mały włos nie wywaliłem go z krzesłem przez okno. Tak się jebany darł, kiedy go podniosłem, że połowa szkoły zleciała się do klasy. Nie powiem, ubawiłem się wtedy przednio. Ale taka draka się z tego zrobiła, że miałem naganną ocenę z zachowania.

Nienawidziłem szkoły za bezmyślne uczenie się totalnie nieprzydatnych do życia rzeczy. A najgorsze w tym całym wkuwaniu biologii na blachę było to, że do tej pory sporo pamiętam. Tyle zajebistych lasek w życiu posuwałem, a większości ich imion nie kojarzę. Ale przebieg procesów mitozy i mejozy zabiorę ze sobą do grobu.

Do ukończenia czternastego roku życia odwiedzałem babcię razem z mamą. Później przyjeżdżałem już sam, choć mama zawsze chciała mi towarzyszyć w podróży na polskie lotnisko. Drżała za każdym razem, kiedy wsiadałem do samolotu. Oprócz lotu miałem dodatkowo do pokonania w Grecji podróż promem z kontynentu na wyspę, bo wtedy jeszcze nie było na niej lotniska. Dla mnie

była to największa przygoda, ale mamę ten odcinek drogi chyba przerażał najbardziej. To nic, że potrafiłem walczyć, miałem masę i w wieku piętnastu lat wyglądałem jak osiemnastolatek. Dla mamy byłem jej małym synkiem i mam wrażenie, że czasami nadal mnie za niego uważa. Ojciec niechętnie odwiedzał rodzinne strony. Ostatnie wspólne wakacje, kiedy to przyjechał na wyspę uregulować sprawy majątkowe z wujkiem Pavlosem, były koszmarne. Dał wtedy wszystkim ostro popalić, jebany szajbus.

– Kiedyś, w waszym wieku, miało się już dwójkę dzieci – ciągnie swój wywód Kalista.

– Może w wieku Gordiana – odpowiada Kira. – Ja mam dopiero osiemnaście lat. Jeszcze dla mnie za wcześnie, żeby myśleć o dzieciach.

– No tak. Ale weźmy taką Maryję z naprzeciwka, rówieśnicę Gordiego. Pracuje od rana do wieczora, nocami siedzi nad rachunkami firmy ojca. Kiedy to biedne dziewczę ma w ogóle złapać męża i urodzić dzieci? Szkoda, bo ładna jest, rozumna.

Kira się krzywi. Popija kęs placka lemoniada.

Chyba najwyższa pora zmienić temat rozmowy.

– Babciu, opowiedz lepiej coś więcej o Savvasie. Nigdy nie mówiłaś, że oprócz Pavlosa mam wujka. Ojciec też nigdy o nim nie wspominał.

Kalista momentalnie poważnieje. Odsuwa talerz z jedzeniem.

– Byłam pewna, że Savvas nie żyje. Twój ojciec nic o nim nie opowiadał, bo go nie znosił. Byli do siebie niezwykle podobni z wyglądu i to chyba bardzo mu przeszkadzało. Nie lubił, kiedy inicjowałam wspólne spotkania. Początkowo niełatwo było mi się pogodzić z myślą, że ten sam mężczyzna uwiódł mnie i zrobił dziecko innej. I to w zasadzie w tym samym czasie, bo Nikos był zaledwie pięć dni starszy od Savvasa. Przez trzy lata nic nawet o tym nie wiedziałam. Dopiero gdy chłopcy zaczęli rosnać, a podobieństwo między nimi stawało się jeszcze bardziej uderzające, porozmawiałam z Filipą, matką Savvasa. Wtedy okazało się, że mają tego samego ojca. Filipa mieszkała po drugiej stronie wyspy. Nie miała nikogo oprócz synka. Przychodzili do nas czasami na obiad, ale chłopcy za sobą nie przepadali, więc te spotkania były naprawdę rzadkie. Kiedy Savvas miał dziewiętnaście lat, jego matka zmarła, a on zniknął dwa dni po tym. Wszyscy go szukali... – Kręci głową. – Sądziliśmy, że się zabił. Był bardzo wrażliwy, lękliwy, mało samodzielny, a oskarżenia, które rzucano w jego stronę, były tak bardzo krzywdzące... – Głos jej się łamie.

– Jakie oskarżenia? – pytam.

Babcia wzdycha ciężko. Wzrokiem wędruje gdzieś daleko, oczy przysłania mgłą wspomnień.

– Sotiria zaczęła rozpowiadać, że Savvas jest opętany przez diabła i zamordował swoją matkę – wyznaje. – To, chcąc nie chcąc, skierowało podejrzenia na niego. Gdy po sekcji zwłok okazało się, że przyczyną zgonu była choroba serca, Savvasa już nie było. Dopiero dzisiaj dowiedziałam się od niego, że przez te wszystkie lata ukrywał się w jaskiniach po drugiej stronie wyspy, żył w nędzy i niewiedzy.

– To tragiczne – odzywa się Kira. – Ta Sotiria to chora kobieta.

– Zwodzona przez własny umysł – tłumaczy Kalista. – Nie chce się leczyć, nie wierzy, że przyczyną jej obsesji na punkcie szatana jest choroba.

– Nie rozumiem, jak można tak bezkarnie oskarżyć niewinnego człowieka? – Kira jest oburzona.

– Kto w ogóle uwierzył w taki absurd jak opętanie przez diabła?

– Kiedyś mieszkańcy wyspy byli głęboko wierzący, zwłaszcza starszyzna, którą szanowano i liczono się z jej zdaniem. Ówczesny wiekowy kapłan kilka razy odprawiał we wsiach egzorcyzmy w formie modlitw, które miały wybawić opętanych z niewoli diabła. Nigdy tego nie widziałam na własne oczy, ale Sotiria jako dziecko była świadkiem egzorcyzmu dokonywanego na jej ciotce. Myślę, że tamto wydarzenie okazało się dla niej traumatyczne i ciągnie się za nią do dziś.

– Opowiadała ci, co się wtedy wydarzyło? – pyta zaintrygowana Kira.

– Podobno jej ciotka w kółko powtarzała, że zabiła swojego męża, choć wszyscy tłumaczyli jej, że spadł z klifu, który osunął się spod jego stóp. Lecz ona nikomu nie ufała. Co więcej, słyszała często głosy namawiające ją do złego. Starła się z nimi walczyć, strasznie cierpiała, bo nie potrafiła sobie z tym poradzić. Jej ciało nieustannie pokrywały ropiejące rany, które nie chciały się goić. W końcu rodzina poprosiła kapłana o pomoc. Egzorcyzm odbył się w kościele. Część rodziny, w tym Sotiria, czekała na zewnątrz. Trójka krewnych miała zaś pomagać kapłanowi w egzorcyzmie. Sotiria, znudzona rozmowami

dorośli, wdrapała się na parapet jednego z uchylonych okien. Ujrzała kapłana, który odprawiał modlitwy, przykładając złoty krzyż do piersi ciotki. Ta stała, przytrzymywana przez dwóch krewnych, a gdy tylko krzyż jej dotknął, wiła się i szurała stopami o pawiment. Ledwo trzymała się na nogach, tak nią rzucało. Trzeci mężczyzna, jakiś kuzyn, stał tuż za nią, na wypadek gdyby się przewróciła. Jej dłonie zamykały się w pięści, po czym otwierały, żeby ponownie się zacisnąć. Twarz miała wykrzywioną, powieki zamknięte. Parskała i charczała gardłowo jak rozjuszony byk. Gdy kapłan, wnosząc głośną modlitwę, przyłożył jej krzyż do czoła, zaczęła rzucać głową na boki i krzyżeć niskim, męskim głosem: „Zabieraj, kurwo, ten krzyż! Jak pali... Zabieraj! Żebyś zdechł!”. Jej ciało zaczęło zachowywać się jak rażone prądem. Z ust wydobywało się złowrogie warczenie. Kapłan złapał ją za dłoń, którą rozszerzył i zaczął uderzać w jej środek krzyżem. To ją nieco uspokoiło. Pochyliła się, a wtedy on ponownie przyłożył jej krzyż do piersi. Ciotka zeszywniała, zamilkła i osunęła się w ramiona jednego z kuzynów. Ocknęła się piętnaście minut później. Nic nie pamiętała. Od tamtej pory głosy w jej głowie ucichły, a rany na ciele zniknęły w ciągu trzech dni i nigdy więcej się nie pojawiły.

Ja pierdolę, co za bzdury! Przenoszę wzrok na Kirę. Czy ma szeroko rozwarte, usta rozchylone. Widać, że jest pod wrażeniem opowieści Kalisty.

– Chyba nie wierzysz w te bajki, Cyrus? – pytam, bo taka postawa zupełnie nie pasuje mi do Kiry. To przecież twarda dziewczyna, mocno stąpająca po ziemi.

Przenosi na mnie wzrok.

– Nie wszystko da się zawsze racjonalnie wytłumaczyć – odpowiada.

– Uwierz mi, da się. – Obstawiam przy swoim. – A to, o czym mówi Kalista, to jakieś czary-mary, których celem jest zwiększenie Kościołowi liczby wiernych i nabicie im kabzy.

– Dlaczego jesteś taki sceptyczny? Nie wierzysz w Boga, w istnienie diabła? – pyta.

– Wierzę w siebie, Kiro, i naukę, to wystarczy. Ta kobieta była ewidentnie stuknięta, a Sotiria najwyraźniej odziedziczyła po niej pierdolca, bo nie dość, że uznała mojego ojca i wujka za pomioty szatana, to jeszcze wmawiała mi, że jestem opętany.

– Co? – Kalista patrzy na mnie zaskoczona. – Rozmawiałeś z nią? Jak?

Kurwa, po chuj o tym wspominałem? Teraz będzie suszyć mi głowę.

– Babciu, dajmy temu spokój...

– Nic mi nie wspominała, że się widzieliście.

– Może dlatego, że jest wariatką i nie wszystko pamięta.

– Gordi, to moja dobra znajoma, starsza kobieta. Nie podoba mi się, że tak o niej mówisz, nawet jeśli ma kłopoty psychiczne. Tyle razy ci mówiłam, że należy szanować kobiety.

Zaciskam zęby. Przecież ja szanuję kobiety. Mam na końcu języka, że takimi uwagami winna była raczyć mojego ojca, który traktował żonę jak worek treningowy. Ale nic się nie odzywam. Nie chcę robić babci przykrości, rozmawiać z nią na drażliwe tematy. Poza tym zmęczyły mnie już te paranormalne bzdety. Pora skończyć to pieprzenie bez sensu.

– Masz rację. Przepraszam. – Wstaję od stołu i zbieram talerze.

– To gdzie ją spotkałeś?

Kalista to jednak uparta sztuka. Ręce opadają.

– W czarnym lesie.

– I?

Wkładam naczynia do zlewu. Cokolwiek bym nie odpowiedział, jestem pewien, że babcia przewałkuje Sotirię, żeby skonfrontować obie wersje. Nie ma sensu owijać w bawełnę.

– Wtedy nawet nie wiedziałem, że to twoja znajoma, wziąłem ją za jakąś wariatkę. – Zaczynam zmywać naczynia. – Nim ją zobaczyłem, wydawało mi się, że w głębi lasu słyszę płacz dziecka, a gdy dotarłem na miejsce, ujrzałem kobietę. Miała na głowie taką samą chustę jak ty. Bredziła coś od rzeczy o grzechu, diable, rachunku sumienia... Chyba cytowała *Pismo święte*, bo brzmiała jak ksiądz na ambonie. – Odstawiam talerz na suszarkę, wycieram ręce w szmatkę, odwracam się i napotykam zdumione spojrzenie Kalisty. Patrzy na mnie, jakbym miał dodatkową parę oczu.

– Nie wiedziałam, że znasz język migowy – rzuca ni z gruchy, ni z pietruchy.

– Co? Bo nie znam. Skąd w ogóle ta myśl?

Babcia marszczy czoło, wygląda na zupełnie zdezorientowaną.

– Bo Sotiria od dwudziestu lat jest niemową, Gordi. Cierpi na afazję po udarze mózgu i rozmawia wyłącznie w języku migowym.

Patrzę na nią i przetwarzam ostatnie słowa. Przecież, kurwa, rozmawiałem z tą babą. I na pewno nie w języku migowym, bo jedyne, co potrafię pokazać na migi, to środkowy palec.

– Może to nie była w takim razie Sotiria – odpowiadam, bo to jedyne sensowne wytłumaczenie, które przychodzi mi do głowy. – Na pewno kobieta, z którą rozmawiałem, nie była w pełni normalna. Macie tu na wyspie jeszcze jakieś szalone starsze panie? – Próbuję obrócić całą sytuację w żart, ale chyba nie do końca mi wchodzi, bo Kalista i Kira przyglądają mi się w milczeniu.

Sam czuję się teraz jak wariat.

Analizuję ostatnie miesiące, kiedy to liczba absurdalnie pojebanych zdarzeń w moim życiu drastycznie wzrosła. Pieprzone głosy w mojej głowie, trzy szóstki, które jarzyły się na mojej piersi, spotkanie nawiedzonego księdza, tej psycholki w lesie... Przecież to wszystko jest tak mocno pojebane, aż śmieszne. Gdyby ktoś wyznał mi, że spotykają go podobne rzeczy, uznałbym go za całkiem wesołego szaleńca. Lecz fakt, że to się dzieje w moim życiu, że to dotyka bezpośrednio mnie, sprawia, że to przestaje być już, kurwa, zabawne.

A co, jeśli naprawdę zaczynam ostro fiksować?

Muszę pobiegać.



Słońce chyli się już ku zachodowi, kiedy pokonujemy z Kirą dziesiąty kilometr brzegiem plaży. Od momentu, kiedy wybiegliśmy z domu, nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. I czuję się z tym świetnie. Bo z jednej strony mogę się wyciszyć, pobyć sam ze sobą, a z drugiej zerkać od czasu do czasu na spoconą Kirę. A widok ten wart jest miliony.

Dobiegamy do skałek wynurzających się z wody. Wokół żywej duszy, widocznie turyści w ogóle tu nie bywają. Co w sumie mnie nie dziwi, bo ostatnią tawernę przy plaży mijaliśmy jakieś pięć kilometrów wcześniej.

Kira wchodzi pomiędzy skały. Staje na tej, która kształtem przypomina kanciastą bryłę sześcianu i umiejscowiona jest nieco poniżej reszty głazów. To sprawia, że miejsce jest nie tylko osłonięte od wiatru, lecz także stanowi ustronny zakątek tuż przy samej wodzie i daje możliwość podziwiania widoków. Kira uspakaja oddech, patrzy na morze. Przebiegam wzrokiem po horyzoncie. Zachodzące słońce przebarwia niebo na czerwono, fale objijają się o skały.

I ona. Nie mogę się na nią napatrzeć.

– Podasz mi wodę? – Zerka na mnie. Jej skóra w tym świetle wygląda zjawiskowo, jakby miała złotawy poblask.

Wróc. Zjawiskowo? Złotawy poblask? Co ja w ogóle mamrocę w tej swojej głowie? Zupełnie już straciłem rozum. Niedługo zacznę pisać peany na jej cześć i pisać dla niej wiersze.

– Jasne. – Ściągam plecak, wyjmuję butelkę i podaję Kirze.

– Dzięki. – Zaczyna pić, a ja uśmiecham się sam do siebie, bo dociera do mnie, że nawet to, w jaki sposób pociąga wodę z butelki, na mnie działa. Oczy ma przymknięte, rozkoszuje się zaspokajaniem pragnienia. A kiedy kończy, ociera usta brzegiem dłoni, a ja o niczym bardziej nie marzę, jak posmakować jej warg.

– Dlaczego się tak dziwnie na mnie patrzysz? – Oddaje mi wodę i siada na kamieniu.

– Nie patrzę. – Wypijam kilka łyków, po czym wrzucam butelkę do plecaka.

Usadawiam się tuż za Kirą w rozkroku i ją obejmuję. Czuję jej zapach, nagie ramiona dotykają moich ramion. Wodzę wzrokiem po ciemnych włosach, odsłoniętym karku. Nachylam się i przesuwam po nim ustami, dotykam językiem rozgrzanej słońcem skóry. Ma słonawy posmak, pachnie latem.

– Uwielbiam twój zapach – mówię tuż przy jej uchu.

Kira wciąga powietrze i opiera się powoli o mój tors. Całuję jej szyję, kark i czuję, jak narasta we mnie podniecenie. Oddech Kiry przyspiesza. Przesuwam dłonie niżej, na umięśniony brzuch, wsuwam je powolnie pod dopasowany stanik sportowy i obejmuję nagie piersi. Są wilgotne od potu,

gorące, sterczące. Idealna wielkość oraz proporcje. Wręcz stworzone dla mnie, bym mógł zamknąć je w dłoniach, bym mógł je dotykać, pieścić, napawać się ich jędrnością. Drażnię brodawki kciukiem. Im twardsze się stają, tym intensywniej je pocieram. Słyszę niski, zmysłowy pomruk, który wydobywa się z ust Kiry. Przypominam sobie, jak dochodziła, kiedy ostatnio pieściłem jej piersi, jak seksownie wyglądała podczas orgazmu. I mam ochotę dać go jej ponownie. Jasna cholera, uwielbiam tę dziewczynę.

Prąd przechodzi mi po jajach, kutas nabrzmiewa. Kira przeży się pod wpływem mojego dotyku i pocałunków, sięga ręką do mojego karku, po czym przyciąga mnie jeszcze bliżej. Wpijam się ustami w jej szyję, zasysam wargami delikatną skórę.

– Tylko bez malinki – prosi, a ja celowo wciągam głębiej jej skórę, przytrzymuję ją ustami i puszczam.

– Za późno. – Zerkam na jej szyję, na której widnieje czerwone znamię. – Zostałaś oznaczona.

Momentalnie dostaję łokciem pod żebro. Kira wstaje, poprawia top, patrzy na mnie z góry z wyrzutem.

Oho, chyba się lekko wkurwiła.

– Zwariowałaś? Ile ty masz lat?

– Sam sobie czasami zadaję to pytanie. – Uśmiecham się od ucha do ucha, bo widok wkurzonej Kiry jeszcze bardziej mnie podnieca.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo miałem na to ochotę. Zaznaczam to, co należy do mnie.

– Nie wierzę! Nie jestem krzewem, a ty kotem, żebyś mnie zaznaczał. Co ci strzeliło do głowy?

– Jesteś moją dziewczyną – stwierdzam i uświadamiam sobie, że jestem z tego dumny. Naprawdę mi odjebało na jej punkcie.

– Powinieneś mnie zapytać, czy mam ochotę na pieprzoną malinkę! Tym bardziej że uprzedziłam cię, żebyś jej nie robił. – Widzę po oczach Kiry, że naprawdę jest wkurwiona. Nie sądziłem, że aż tak ją to rozzłości. Może faktycznie przegiąłem Ale to przecież nic takiego, zwykła malinka.

– Przesadzasz. – Wstaję, chcę ją objąć, lecz ona robi krok w tył. Bije od niej gniew. – Kira, no co ty? Nic się nie stało.

– No właśnie. Dla ciebie to takie normalne. Brać to, na co ma się ochotę, i olać wszystko inne.

Ja pierdolę, o co jej znowu chodzi?

Przechodzi na sąsiadujący kamień, po nim na następny, zeskakuje na plażę i rusza w kierunku, z którego przybiegliśmy. Idę za nią.

– Nie rozumiem, o co się wściekasz – mówię do jej pleców. – To nie tatuaż na wieki, tylko zwyczajna malinka, która zejdzie za kilka dni.

Kira odwraca się, piorunuje mnie wzrokiem.

– Nie chodzi o to, czy zejdzie za kilka dni, za rok czy za srylion lat.

– To o co, do diabła, chodzi? – pytam stanowczo, bo naprawdę, kurwa, nie pojmuję, o co ta awantura. – Stało się i już. Nie wiedziałem, że tak cię to wkurzy. Dlaczego się tak wściekasz?

– Wściekam się, bo to moje ciało. Nie należy ani do ciebie, ani do żadnej innej osoby. Jest moje, tylko moje i nie masz prawa robić z nim niczego, na co nie wyrażam zgody. Jestem twoją dziewczyną, ale nie jestem twoją własnością. Nie jestem niczyją własnością. – Głos jej się łamie, ma szkliste spojrzenie.

W zwolnionym tempie dociera do mnie, o czym tak naprawdę mówi. Ja pieprzę, ona się boi, że zrobię coś wbrew jej woli. Że skrzywdzę ją, jak tamten chuj. Przesuwam dłońmi po twarzy. Czuję się fatalnie. Kurwa... Ale ze mnie kretyn.

– Masz rację. – Patrzę jej w oczy, dostrzegam w nich udrękę. Widzę, że walczy ze sobą, aby nie pęknąć. Nie zniosę jej łez, tego, że cierpi przeze mnie. Podchodzę do niej ostrożnie, żeby jej nie spłoszyć, po czym ją obejmuję. Jest cała spięta, gotowa się przede mną obronić. Kurwa, nie chcę, by się mnie obawiała. – Przepraszam cię, Kiro. – Przytulam ją mocniej do siebie. – Przepraszam...

Stoimy w milczeniu. Łagodny szum fal wypełnia ciszę między nami. W końcu Kira odrobinę się rozluźnia, obejmuje mnie w pasie, przywiera twarzą do mojej piersi.

– Też przepraszam. Jestem przewrażliwiona. – Podnosi na mnie wzrok. Widzę, że jest jej naprawdę przykro. – To tylko głupia malinka, a ja zrobiłam taką awanturę, jakbyś... – Zawiesza głos, spuszcza głowę, opiera ją o mój tors.

To nie jest Kira, jaką znam. Kira, która trzyma gardę wysoko, która walczy o swoje, która wali w nos gościowi na dachu, bo ten próbuje dobrać jej się do majątek. Kira, która stoi teraz przede mną, to zraniona dziewczyna. Wygląda tak bezradnie, że ten widok miazdzy mi serce.

– Miał na imię John. Był bratem Kate, mojej najlepszej przyjaciółki – Zaczyna ze spuszczonego wzrokiem, a ja od razu się spinam. Serce zaczyna mi mocniej bić. – Podkochiwałam się w nim, tak jak trzynastolatka może kochać się w pięć lat starszym od siebie chłopaku. – Podnosi oczy. – Za każdym razem, gdy go widziałam, czułam motyle w brzuchu. Imponował mi jego luźny styl bycia, wygląd, dojrzałość. Czasami uśmiechał się do mnie, zagadywał, co słyszc. Każdy szkolny zeszyt miałam od tyłu zapisany jego imieniem. Kiedy tamtego dnia odwiedziłam Kate, akurat wyjechała z mamą do dentysty. John zrobił mi mrożoną herbatę. Na zewnątrz było naprawdę upalnie, jak nie w Wielkiej Brytanii. Miałam na sobie letnią sukienkę na ramiączkach, w drobne kwiatki, sięgała mi przed kolano... – Drży, a ja mam ochotę otulić ją szczerzej ramionami, ale boję się wykonać jakikolwiek ruch, żeby jej nie spłoszyć.

– Nie musisz mi tego opowiadać – mówię, bo naprawdę uważam, że to nic nie da. Nie ma sensu rozdrapywać starych ran.

– Wiem.

Wyswobadza się z moich ramion, odchodzi w głąb plaży ku wydmie i siada na piasku. Czuję dziwną pustkę, gdy nie ma jej przy mnie. Dołączam do niej, siadam obok. Patrzymy na zachodzące słońce, które chce skryć się za górami.

– Kiedy mnie pocałował, myślałam, że oszaleję ze szczęścia – kontynuuje. – To było jak spełnienie najskrytszych marzeń. Mój pierwszy pocałunek z chłopakiem, w którym byłam zakochana na zabój. W tej jednej chwili wyobraziłam sobie, że kiedyś staniemy razem przed ołtarzem, ja w białej sukni, on w czarnym garniturze. Widziałam nasze wesele, Kate łąpiącą moją wiązaną ślubną. W marzeniach byłam szczęśliwa. Takie bzdurne wizje zakochanej małolaty. – Sięga po garść piasku i zaczyna przesypywać go między dłońmi. – Chciałam, żeby nasz pocałunek trwał w nieskończoność. Tylko że John oczekiwał czegoś więcej. – Wysypuje piach, otrzepuje dłonie i otula się ramionami. – Początkowo był delikatny, dotykał mnie czule, a ja mu na to pozwalałam. Do momentu, aż nie usłyszałam, jak rozpina zamek od spodni. Przeraziłam się, bo nie chciałam jeszcze tego robić. Nie przy naszym pierwszym pocałunku. To było dla mnie za wcześnie, nie czułam się gotowa. Prosiłam go, żeby przestał, ale on mnie nie słuchał... – Kręci głową, jakby chciała wyrzucić z niej obraz podsuwany przez pamięć. – Dopiero gdy skończył, udało mi się wyrwać i uciec. – Patrzę na jej twarz, przez którą przepływa ogrom emocji.

Dłonie samoistnie zaciskają mi się w pięści. Tętno napierdala. Mimowolnie przed oczami zjawia mi się tamta scena. I choć nie widziałem skurwysyna na oczy, widzę go, jak dobiera się do Kiry. Do mojej Kiry!

– To było straszne – ciągnie. – Czułam się bezsilna. Krzyczałam, ale nikt mnie nie słyszał. Odpychałam go, lecz on był silniejszy. Nie miałam szans. I najgorsze w tym wszystkim było to, że ufałam mu, znałam go, lubiłam, a on to wykorzystał. Wbrew mojej woli. – Kira chwyta za kamyk, który leży tuż obok niej, i rzuca go daleko przed siebie.

Od momentu, kiedy usiedliśmy, ani razu na mnie nie spojrzała. Nie jestem nawet pewien, czy ta cała historia jest przeznaczona dla mnie, czy po prostu Kira czuła potrzebę jej opowiedzenia komukolwiek. – Nikt nie uwierzył, że John mnie zgwałcił – wyznaje stłumionym głosem. – Podejrzewam, że moja egocentryczna matka bała się afery, miała mi za złe, że w ogóle zaczęłam się z nim całować. A gdy wyznałam Kate prawdę, obraziła się na mnie i przestała do mnie odzywać. Nie wiedziała, że kocham się w jej bracie, w jej wspaniałym bracie, który nigdy by mnie przecież nie tknął palcem. Poza tym po co przychodziłam do niej w krótkiej sukience, po co go kusiłam? – Głos jej się łamie. – W końcu sama uwierzyłam, że to ja go sprowokowałam. Skoro rodzona matka i najlepsza przyjaciółka wmawiają ci, że to twoja wina, po prostu się z tym godzisz. Tylko że coś w głębi mnie krzyczało, że jestem

niewinna, że to on mnie wykorzystał, że powinien ponieść karę. Czułam się bezsilna, nie byłam w stanie normalnie funkcjonować, miałam ochotę zniknąć z tego świata na zawsze. Tydzień po tym zdarzeniu zadzwonił tata. Miał prawo do jednego telefonu w tygodniu. Od razu wyczuł w moim głosie, że coś nie gra. Wstydziłam się powiedzieć mu prawdę, ale w końcu pękłam. To on poinformował policję. W wyniku licznych przesłuchań wyszło na jaw, że John molestował również inną koleżankę Kate z kółka plastycznego. Dziewczyna miała dwanaście lat, pochodziła z biednej rodziny, więc John kupował jej milczenie ciuchami i gadżetami. Jak się okazało, Kate o tym wiedziała, lecz brat tak ją zmanipulował, że winiła za to koleżankę. – Kira wsuwa dłonie we włosy, patrzy w dal. – Sąd skazał go na dziewiętnaście lat więzienia i dożywotnio dodał go do rejestru przestępców seksualnych. Ale to wcale nie przyniosło mi ulgi. Choć dostałam opiekę psychologa, czułam się fatalnie. Nie mogłam jeść, było mi niedobrze, ciągle spałam, nie miałam ochoty wychodzić z łóżka. Okazało się, że zaszłam w ciążę. Matka doradzała, żebym usunęła. Początkowo uznałam, że ma rację. Nie chciałam tego dziecka, nie chciałam, żeby cokolwiek przypominało mi o gwałcie. Kilka dni przed zabiegiem zaczęły mnie jednak dopadać wątpliwości. Miałam koszmary – po nogach ciekła mi krew, w oddali słychać było płacz niemowlęcia. Nie wiedziałam, co ze sobą począć. W przyływie desperacji zaczęłam przeglądać fora dla kobiet, które pozbyły się dziecka. Ich wyznania były tak różne, jak różni są ludzie. Każda przeżyła aborcję na swój sposób. Jedne mówiły otwarcie, że nie mają żadnych wyrzutów sumienia, że była to najlepsza decyzja w ich życiu, że były za młode na dziecko i dopiero po kilku latach podjęły świadomą decyzję o macierzyństwie. Inne zaś pisały, że świadomość tego, że zabiły własne dziecko, ciągnie się za nimi latami, że po zabiegu miały wrażenie, że straciły część siebie, że mimo upływu lat i założenia rodziny nie mogą sobie wybaczyć tego, co zrobiły dla własnej wygody, że okazały się tchórzliwe i słabe. Im więcej czytałam, tym większy miałam mętlik w głowie. Wiedziałam, że nie mogę polegać na matce. Tata był w trakcie leczenia alkoholizmu, miał ograniczone prawa rodzicielskie, więc uznałam, że na niego również nie mogę liczyć. I wtedy na jednym z forów dla ofiar gwałtów trafiłam na dziewczynę z przedmieścia Londynu, która była w niemal takiej samej sytuacji jak ja i zdecydowała się urodzić dziecko. Napisałam do niej wiadomość, a ona podała mi kontakt do terapeutki, która pomogła jej przejść trudne chwile. Tak poznałam Amandę. Po kryjomu przed matką umówiłam się z nią na wizytę, za którą zapłaciłam ze swoich oszczędności. Już po pierwszym spotkaniu zrozumiałam, że nikt nie podejmie decyzji o aborcji za mnie. Że to jest moje dziecko, ja jestem jego matką i tylko dzięki wglądowi w samą w siebie będę w stanie zdecydować, co w danym momencie jest dla mnie najlepsze. Chciałam przełożyć zabieg, żeby spotkać się z terapeutką ponownie. Matka była wściekła, ale kiedy zagroziłam, że ucieknę z domu, w końcu ustąpiła. Zadzwoniłam do ojca. Był zdruzgotany tym, że matka chciała podjąć decyzję o aborcji za mnie. Zapewnił, że cokolwiek zrobię, okaże mi wsparcie na tyle, na ile będzie mógł. Tydzień później, kiedy nie zadzwonił o zwykłej porze, dowiedziałam się od mamy, że wpadł w taki cug alkoholowy, że musieli go odtruwać w szpitalu. Wcale jej to nie zmartwiło, ponadto ostrzegła, żebym więcej nie informowała go o swoich problemach, bo ojciec jest przewrażliwiony, a z problemami potrafi sobie radzić tylko w jeden sposób: za pomocą alkoholu. To mnie dobiło. Uświadomiłam sobie, że jedyną osobą, z którą mogę szczerze porozmawiać, jest Amanda. Nasze spotkania naprawdę mi pomagały, koszmary pojawiały się coraz rzadziej, wrócił mi apetyt, z tygodnia na tydzień odkładałam zabieg, czym doprowadzałam matkę do szewskiej pasji. Aż w końcu dziecko było na tyle duże, że było już za późno na aborcję, a mnie momentalnie spadł kamień z serca. Zaczęłam przeorganizowywać swoje życie, dostosowywać je do dziecka, które miało się narodzić. Szantażowałam matkę, że jeśli mnie nie wesprze, ucieknę do ojca i namówię go, by wniósł przeciw niej sprawę do sądu o odebranie praw rodzicielskich. Miałam asa w rękawie: matka zignorowała moje zgłoszenie o gwałcie, a to na każdym sędzi zrobiłoby wrażenie. Nie jestem dumna z tego, że tak postawiłam sprawę, że ją szantażowałam, ale w tamtym momencie było to jedyne sensowne rozwiązanie, jakie przychodziło mi do głowy. Oczywiście blefowałam. Nie chciałam dokładać ojcu zmartwień. Był chory i musiał się zająć sobą, wiedziałam jednak, że nadejdzie taki dzień, że w końcu będziemy razem. – Uśmiecha się lekko. Przesuwa dłonią po piasku.

Domyślałam się, że nie zakończyła jeszcze historii. Pamiętam naszą ostatnią rozmowę o tym, że straciła to dziecko. Nie odzywam się, tylko siedzę w milczeniu obok niej. Zastanawiam się, czy może

powinienem coś powiedzieć. Ale, kurwa, nie jestem w stanie znaleźć żadnych słów, które byłyby w stanie opisać, jak cholernie jest mi przykro z powodu tego, co ją spotkało.

– Na dwa miesiące przed porodem dowiedziałam się, że będzie konieczne cesarskie cięcie ze względu na ciążę podwyższonego ryzyka. Miałam wyznaczony termin operacji, ale akcja porodowa zaczęła się wcześniej... – Zawiesza głos. – Reszty już się pewnie domyślasz. – Obraca twarz w moją stronę.

Patrzę jej w oczy i widzę, że nie ma siły, by opowiadać dalej. Nie musi, wiem, że straciła dziecko, że bardzo to przeżyła i wciąż nie może sobie wybaczyć, że na początku go nie chciała.

Kurwa, pragnę cofnąć czas. Uchronić ją przed tym, co ją spotkało, zająbać gnoja, który jej to zrobił. Przygarniam ją do siebie i otulam ramionami. Kira przywiera do mojej piersi. Jest teraz tak bezbronna, tak krucha. Serce mi drży.

Siedzimy bez słów, wpatrując się w góry, za którymi schowało się już słońce. Zapadł zmierzch, woda w morzu przybrała granatowy kolor. To był długi i męczący dzień. A przecież czeka nas dziesięć kilometrów drogi powrotnej. Najchętniej zostałbym tutaj i usnął przy szumie fal, wtulony w Kirę.

I to jest zajebista myśl.

– Masz ochotę tu nocować? – pytam, a ona patrzy na mnie zaskoczona.

– Pod gołym niebem?

– Aha.

– Zmarzniemy.

– W plecaku mam bluzę i zestaw przetrwania.

– Co masz?

Wyswobadam ją z moich ramion, sięgam po plecak i wyciągam z niego mały worek.

– Trzy lata temu złamałem nogę. Taki był ze mnie wtedy chojrak, że na poranne bieganie wybierałem się bez wody i telefonu, tylko las i ja. Chciałem czuć się wolny. Sześć godzin zajęła mi droga powrotna do miasta, dwa razy zemdlałem z bólu. Od tego czasu w długie trasy zabieram ze sobą plecak i niezbędne do przetrwania rzeczy.

Jej twarz momentalnie się rozpromienia.

– No proszę, Gordian przezorny. Nie spodziewałam się tego po tobie.

– Miewam przebłyski – odpowiadam z uśmiechem.

Ta dziewczyna nie ma pojęcia, jak zajebiście się czuję, kiedy widzę, że wraca jej humor.

Wyjmuję bluzę z plecaka i wysypuję na nią zawartość worka.

– Kompas guzikowy. Gwizdek ratunkowy. Heliograf... – wymieniam, biorąc każdy przedmiot do ręki.

– Heliograf? – Kira sięga po błyszczącą, płaską sztabkę wielkości dziecięcej dłoni, z niewielkim otworem w środku.

– Lusterko sygnalizacyjne. Możesz nim dawać znaki ratunkowe, kiedy jest słonecznie. Zasięg dwanaście kilometrów.

– To jak zabawa w zajączki na odległość. – Próbuje łapać nieobecne już promienie słońca, wytykając przy tym w skupieniu język.

O, tak. Z chęcią bym się teraz z nią w coś pobawił. Tylko zdecydowanie mniej grzecznego niż puszczanie zajączków. Odrzucam od siebie tę myśl tak szybko, jak się pojawiła. Nie ma sensu robić sobie apetytu na danie, które i tak nie zostanie podane.

– Mam też latarkę i zapaliki – wymieniam dalej. – Nazbieramy gałęzi i zrobimy ognisko...

– O, świeczka. – Kira sięga po kolejny przedmiot. – Wiedziałam, że tkwi w tobie dusza romantyka.

– Tak, uwodzę swoje ofiary na pustkowiu przy blasku pojedynczej świeczki, po czym tnę je na kawałki. – Unoszę scyzoryk oraz żyłkę.

Kira się śmieje.

– Tylko zgrywasz takiego zabijakę. Jestem przekonana, że w rzeczywistości nie skrzywdziłbyś żadnej kobiety. To znaczy nie fizycznie – dodaje.

Podnoszę na nią wzrok. Ubodło mnie to ostatnie zdanie.

– Co znaczy nie fizycznie? Sądzisz, że krzywdzę kobiety w inny sposób?

Kira patrzy mi w oczy.

– Nie wiem. Nie jestem żadną z nich. Nie mam pojęcia, ile ich już miałeś i co do ciebie czuły. Wiem natomiast, że nikt nie chce być traktowany przedmiotowo. Tym bardziej kobiety. Lubimy czuć się wyjątkowo, być adorowane, szanowane, kochane. A z moich obserwacji i z tego, co mówił mi Tomasz, wynika, że swoje dotychczasowe dziewczyny traktowałeś dosyć instrumentalnie. Jak środek do celu, którym było zaspokojenie potrzeb seksualnych.

– To nie były moje dziewczyny – odpowiadam.

– Wiedziały o tym?

– Żadnej nigdy nie oszukałem. Nie zwiodłem. Niczego nie obiecywałem oprócz dobrego seksu. To nie moja wina, że coś do mnie czuły. Nigdy nie dawałem im żadnych nadziei na coś więcej. Zawsze mówiłem wprost, o co mi chodzi. Byłem z nimi szczerzy.

– A ze mną jesteś?

Ujmuję jej brodę i patrzę w oczy.

– Nigdy bym cię nie skrzywdził. Ani psychicznie, ani fizycznie. Wiesz o tym?

– Wiem, że nie zrobiłbyś tego świadomie.

Przymykam powieki. Domyślam się, co ma na myśli. Związek z nią to jebany rollercoaster. Nigdy nie musiałem się pilnować w sprawach wierności, nie przejmowałem się oczekiwaniami kobiet. Robiłem to, na co miałem ochotę. Nie dam sobie odciąć fiuta, że będę aniołem w relacjach z Kirą, ale wiem, że jak coś sobie postanowię, jak coś obiecuję, to dotrzymam słowa. Co do nieświadomego wyrządzenia krzywdy i jej wcześniejszych doświadczeń, odnoszę wrażenie, że jestem w czarnej dupie. Prawda jest taka, że nie mam pojęcia, gdzie leżą granice jej lęków. Jak daleko mogę się posunąć, żeby nie poczuła się skrzywdzona czy wykorzystana. Przecież w chwili podniecenia nie będę jej pytał, czy pozwala mi na palcówkę albo lizanie wilgotnej cipki. To byłoby jak puszczenie bąka podczas gry w butelkę, kiedy jesteś napalonym gnojkiem. Wszyscy czekają w ciszy i podekscytowaniu, na kogo wypadnie, butelka zatacza krąg, po nim kolejny i następny. Serca walą, atmosfera jest podgrzana do granic możliwości. Butelka zwalnia, wskazuje na obiekt twoich westchnień i wtedy puszczaś pierda głośnego jak mina przeciwpiechotna. Zalewasz się purpurą, twoje uszy płoną. Smród jak z szambo jetu w upalny dzień.

Koniec zabawy. Wypierdalać do domu.

Uśmiecham się sam do siebie i nagle wpadam na genialny pomysł.

– Wystarczy, że powiesz „koniec” – proponuję.

– Co?

– Jak tylko poczujesz, że posuwam się za daleko, mówisz „koniec”, a wtedy ja się ogarniam i przestaję. I mam tu na myśli nie tylko grę wstępna i seks, lecz także sytuacje, kiedy będę zachowywał się względem ciebie jak kutas.

Kira patrzy na mnie z uśmiechem.

– Coś mi się zdaje, że będą jeszcze z ciebie ludzie.

– No nie wiem, podobno na wariata nie ma bata.

Śmieje się, łapie mnie za rękę i wstaje.

– Chodź, mój wariacie, nazbieramy gałęzi na ognisko.



Pół godziny później udaje nam się naskładać spory stos piniowych gałęzi i szyszek. Wysyłam SMS-a do mamy, że nie wrócimy na noc. W odpowiedzi dostaję jedną z tych maminych rad, o których zapominasz w tej samej chwili, kiedy ją usłyszysz: „Uważajcie na siebie”.

Kira wykopuje niewielki dołek, wbija pionowo w jego środek najgrubszy kij, po czym obsypuje go szyszkami i suchą trawą. Opiera o niego po kolei patyki i tworzy z nich zgrabny stożek. Przyglądam jej się z zaciekawieniem i poniekąd podziwem. Wyraźnie widać, że wie, co robi. Kolejny raz dociera do mnie, że to nie jest zwyczajna dziewczyna, jak te, z którymi miałem wcześniej do czynienia.

– Prawdziwa z ciebie harcerka. – Dokładam na ułożoną przez nią warstwę kolejne patyki.

– Lubię takie klimaty. Chciałabym kiedyś mieszkać za miastem. Z dala od zgiełku, wśród natury i ciszy. – Prostuje się i przesuwa wzrokiem po otoczeniu. – Mogłabym żyć w miejscu takim jak to. Mieć mały, biały domek przy plaży, biegać rankiem po górach, zaczepić się w Atenach w jakiejś fundacji dla kobiet, prowadzić treningi... Jak długo płynie stąd prom do stolicy? – Zerka w moją stronę, a ze mną dzieje się coś dziwnego. Serce wali mi szybko, czuję niezrozumiałą ekscytację. Kurwa, podnieca mnie to, że Kira może pragnąć podobnych rzeczy, co ja.

– Trzy godziny – odpowiadam.

– Długo. Ale zawsze można pomarzyć. – Kuca i dokłada kolejne patyki do stożka.

– Są jeszcze inne wyspy, bliżej Aten – informuję. – Niektóre wystawiono na sprzedaż. Kiedyś kupię jedną z nich.

Podnosi na mnie wzrok.

– To chyba droga inwestycja.

– Zależy, o której wyspie mówimy. Im bliżej kontynentu, im więcej akrów, im bardziej rozwinięta infrastruktura, tym drożej. Mam już kilka na oku. Ceny w okolicach dwunastu milionów złotych.

Kira marszczy brwi, patrząc na mnie, jakbym mówił do niej po łacinie.

– Przecież to majątek. Skąd niby weźmiesz tyle pieniędzy? – Prostuje się i otrzepuje dłonie.

– Wspominałem ci o moim wynalazku. Myślę, że już na tym etapie projekt wart jest ze sto tysięcy złotych. Jeśli tylko uda mi się przygotować prototyp i opchnąć go jakiejś porządnej firmie na licencji, z prawem do tantiem, to będzie mnie z czasem stać nie tylko na grecką wyspę, ale także na jacht, wypasioną chawirę, najnowszą hondę fireblade... A co najważniejsze, nie będę musiał dla nikogo pracować. Będę sobie sterem i żeglarzem.

Kira mi się przygląda. Zaraz mnie wyśmieje albo powie, że jestem zdrowo stuknięty. Lecz wtedy na jej twarzy pojawia się najbardziej zajebisty uśmiech, jaki widziałem w życiu.

– Wierzę, że ci się uda – mówi z takim przekonaniem, jakby naprawdę we mnie wierzyła.

Po ciele przebiega mi prąd. I to nie jakiś lekki dreszczyk. Spływa od czubka głowy, przez kręgosłup, prosto do kutasa. Jasna cholera. Jestem na haju. Wystarczyło jedno zdanie aprobaty z jej ust, a ja czuję się, jakbym właśnie przeżył orgasm.

Nic nie odpowiadam, bo jestem stu procentowo pewien, że załamie mi się głos i wyjdę na jebaną niemotę.

Biorę zapałki, trochę suchej trawy i kucam przy ułożonym stosie gałęzi. Śmigam po drasce zapałką, lecz ta łamie się w pół. Próbuje z kolejną, odpada siarka. Sięgam po następną, znów złamana.

– Kurwa jebana mać! Co to za chujowe zapałki?!

Kira wciąga z sykiem powietrze.

Podnoszę na nią wzrok. Widzę, że krzywi się, jakby stanęła stopą na jeżowcu.

– Co jest? Coś cię boli? – pytam.

– Powiedzmy, że słuchanie ciebie.

– Co?

– Gordian, klniesz jak żul spod monopolowego.

– A ciebie coś takiego by nie wkurwiło? – Rzucam zapałki na piach, tuż przy stosie.

– Być może, ale to nie znaczy, że od razu będę bluzgać na prawo i lewo.

– Przecież nikogo nie obraziłem.

– Nie obraziłeś, ale rzucasz mięsem, gdzie i kiedy popadnie, zupełnie niepotrzebnie.

– I to ci przeszkadza? Wolalabyś, żeby powiedział: „Ja pierdziordzio, na krowie kopytko! Cóż to za niesforne zapałki”?

Wzrusza ramionami.

– Nie jestem szczególnie przewrażliwiona na punkcie twoich wulgaryzmów. Zastanawiam się tylko, skąd u tak inteligentnego faceta jak ty takie prostackie słownictwo. Przecież potrafisz się wypowiadać, nieraz słyszałam.

– To pewnie nie wiesz, że udowodniono naukowo, że osoby, które przeklinają, są nad wyraz inteligentne.

– Co? – Parska śmiechem.

– Pisali o tym w „Science Direct”. Zrobiono eksperyment. Poproszono grupę badanych, żeby wymienili jak największą liczbę przekleństw, po czym skierowano ich na testy IQ. Osoby, które posługiwały się bogatym wulgarnym słownictwem, miały najwyższy wskaźnik inteligencji.

– Nieważne. – Zbysza mnie machnięciem ręki. – Po prostu byłam ciekawa, skąd u ciebie taki nawyk. Osoby, z którymi przebywasz na co dzień, nie używają wulgaryzmów, nawet Tomasz.

Nawet Tomasz? A co to ma niby, kurwa, znaczyć?

– Porównujesz mnie do niego?

– Nie, ale jest twoim przyjacielem, spędzasz z nim dużo czasu. A mówi się, że gdy wchodzisz między wrony, to kraczesz tak jak one. A wy kraczecie zupełnie inaczej. Może to pozostałość jeszcze z czasów szkolnych? Może przebywałeś w towarzystwie jakichś chłopaków, którzy używali wulgarnego języka? Przeklinanie weszło ci w nawyk, z którego możesz sobie nawet nie zdawać sprawy. Nie wnikiem.

Mimowolnie przypominam sobie kumpli z ogólniaka. Przeklinali, czasami, ale nie jakoś nadmiernie. W sumie jedyną osobą z mojego otoczenia, która klęła jak szewc, był mój pojebany ojciec.

Zatyka mnie. Sama myśl o tym, że jestem w czymś do niego podobny, sprawia, że uruchomia się we mnie chęć do autodestrukcji. Analizuję szybko, czy faktycznie odzywam się do ludzi tak jak on. I odpowiedź jest tylko jedna – nie. Wiem, że nie jestem święty. Mam swoje granice wytrzymałości, nawet w stosunku do kobiet. Ale w przeciwieństwie do niego w życiu nie ubliżyłem żadnej kobiecie, no chyba że zwymyślałem jakąś francę w myślach, bo jej się należało.

Z tego, co pamiętam, w domu zawsze się przeklinało. To znaczy ojciec przeklinał. Mama, od wielkiego dzwonu, jak jej mleko wykopiało albo spaliła pieczeń, rzuciła „cholera”. Jako dzieciak powtarzałem za ojcem kolejne bluzgi, niektóre po polsku, inne po grecku. A to dlatego, że po pierwsze – fajnie brzmiały; po drugie – dzięki nim czułem się jak dorosły; po trzecie – dopiero kiedy użyłem brzydkiego słowa, ojciec zwracał na mnie uwagę, a że srogo mnie przy tym opierdalał, to już inna kwestia; i po czwarte – to był mój niezawodny sposób na wyrzucenie z siebie emocji, których miałem aż nadto. A tych z wiekiem raczej mi nie ubywa.

– Przeklinam, odkąd pamiętam, i nie zamierzam tego zmieniać – oznajmiam.

– Okej. Nie było tematu – odpowiada Kira zupełnie na luzie i sięga po zapalki. Odpala pierwszą z nich, przytyka do zwiniętych w snopek źdźbeł traw, a kiedy te zajmują się ogniem, wkłada je ostrożnie w szczelinę stożka. Płomień chwieje się, zaczyna przygasać.

– Zaraz zgaśnie – zauważam.

– Spokojnie. – Nachyla się, delikatnie dmucha w jego stronę, a wtedy ten rozprzestrzenia się stopniowo na dolną część gałęzi. Po chwili Kira dmucha ponownie i zajmują się górne partie stożka. Szyszki zaczynają strzelać, pojedyncze iskry wznoszą się ku górze. Stożek zajmuje się ogniem.

Kira siada po turecku, rozpuszcza włosy i wpatruje się w palenisko.

– Widzę, że nie tylko mnie potrafisz rozpalić. – Siadam obok niej.

– Nawet najmniejsza iskra może w końcu rozniecić ogień. Potrzeba tylko spokoju i cierpliwości.

No tak, spokój i cierpliwość – moje wiodące atuty. Z ich pomocą moje rokowania na upragnione i szybkie zajęcie się ogniem od Kiry są wykurwiście pozytywne.

Widzę, że obejmuje się ramionami, na których pojawia się gęsia skórka. Sięgam po bluzę, po czym zarzucam ją jej na plecy. Otula się nią i wciąga powietrze.

– Pachnie tobą – stwierdza.

Kręci mnie, jak mówi takie rzeczy, ale nie daję nic po sobie poznać. I tak już uważa mnie za uzależnionego od seksu.

– A kim ma pachnieć?

Kira prycha.

– Cofam to, co powiedziałam wcześniej. Nie ma w tobie ani krzty romantyzmu.

– Chcesz, żebym był dla ciebie romantyczny?

– Jeśli tylko ty tego chcesz.

Mała manipulantka.

– Spróbujmy więc jeszcze raz – proponuję.

- Co mamy spróbować?
- Powtórz ten tekst o bluzie, że pachnie mną.

Kira się śmieje.

- To już jest zupełnie nieromantyczne.
- No dawaj.
- Okej. – Ostentacyjne wacha bluzę jak pies tropiący, po czym parska śmiechem.
- Pachnie tobą.
- Czyli jak? – pytam całkiem serio, patrząc jej w oczy.

Kira przytrzymuje bluzę przy nozdrzach, przymyka powieki.

- Pianką do golenia, świeżym powietrzem i jakby mandarynkami.
- Mandarynkami? Ostatnio jadłem mandarynki w święta Bożego Narodzenia.
- Dlatego ubrania trzeba prać, a nie wietrzyć. – Śmieje się.
- A już miałem ci odpowiedzieć, że ty pachniesz latem. Ale chyba wymyślę coś bardziej zabawnego, skoro tak ci wesoło.

Kira nieco poważnieje.

- Latem? To znaczy? – pyta zaintrygowana.

Milczę przez dłuższy moment, choć doskonale wiem, jaki to jest zapach. Wcale nie muszę się nad tym zastanawiać. Chcę ją jednak trochę potrzymać w niepewności.

- Gordian... – ponagla.

Przybliżam się do niej, zniżam głos.

– Pachniesz słońcem. Morzem... – Zanurzam twarz w jej włosach. – Wiatrem. Wakacjami... – Zaciągam się jak narkoman amfą. – Grecja już zawsze będzie mi się kojarzyć z twoim zapachem.

Kira odwraca się, tak że nasze twarze są naprzeciw siebie. Patrzymy sobie w oczy bez słów. Puls mi przyspiesza.

Wyciąga dłoń, przesuwa nią po moim policzku, muska palcem dolną wargę. Chwytam go ustami, dotykam językiem. A wtedy Kira robi coś, czego nigdy bym się po niej nie spodziewał: jednym ruchem siada na mnie okraciem, popycha mnie na piasek, nachyla nad moją twarzą i całuje mnie w usta. Jej pocałunek jest zmysłowy, ale delikatny. Zanurza mi palce we włosach, rozchyła wargami moje wargi, wsuwa pomiędzy nie język. Chryste, jest taka seksowna. Czuję, że kutas mi twardnieje. Z trudem trzymam pożądanie na wodzy. Biodra instynktownie wyrwywają się ku górze. Przyszpilam je do podłoża, żeby nie spłoszyć Kiry. Widzę, że chce przejąć inicjatywę, a ja nie zamierzam jej zniechęcać. Przyjmuję każdy jej pocałunek i oddaję go w tym samym tempie. Narzucamy ten sam rytm – powolny, namiętny, nienachalny. Wsuwam dłonie pod bluzę, wodzę nimi po plecach Kiry. Jestem podniecony, ale inaczej niż zwykle. Serce bije mi szybko. Jest mi zaskakująco dobrze, błogo, ciepło.

Całujemy się długo. Raz powolnie – muskając delikatnie usta, raz żwawiej – przygryzając wargę, ssąc język. W pewnym momencie Kira przerywa. Zsuwa się ze mnie, kładzie mi głowę na piersi i obejmuje mnie ramieniem.

- Lubię cię – wyznaje, wtulając się we mnie z ufnością.

Robi mi się gorąco. Ja pieprzę. W mojej głowie rozlega się sygnał alarmowy. Wkraczamy na grząski teren z tabliczką ostrzegawczą: „Uwaga, czułe wyznania!”. Ostatnim razem, kiedy się tam znalazłem, wbito mi nóż w plecy i zdeптano mnie jak robaka.

O nie, kurwa, w tył zwrot.

– Z ciebie też jest niezła sztuka, Cyrus – odpowiadam i ku mojemu zaskoczeniu widzę, że się uśmiecha.

- Śpij dobrze, Gordianie – mówi cicho z zamkniętymi powiekami.

Jej stonowany głos oraz pogodny wyraz twarzy mnie uspokajają. Miarowy oddech sprawia, że się rozluźniam.

- Dobranoc, Kiro.

Przesuwam dłonią po jej włosach, plecach, obejmuję talię. Ogarnia mnie błogość. Patrę na gwiaździste niebo, słyszę szum morza, czuję zapach lata i ciepło bijące od Kiry. I choć nie wierzę w długotrwałe odczuwanie szczęścia, to przez moment mam wrażenie, że tak właśnie może ono

wyglądać.

Chciałbym częściej się tak czuć.

Chłonę tę idealną chwilę i wiem, że nic bym w niej nie zmienił, że mógłbym pozostać tu na zawsze.

Powieki powoli mi opadają, lecz tuż przed ich zamknięciem wyłapuję szybki rozbłysk na niebie – płonący meteoroid. Kira pewnie nazwałaby go pospolicie spadającą gwiazdą, po czym zapytałaby mnie, czy pomyślałem życzenie...

Ciekawe, jakie są jej najskrytsze marzenia, czego sama by sobie życzyła?

I nagle dociera do mnie, co właśnie robię.

Kurwa! Co to za jakieś pedalskie rozważania? Zupełnie mnie już pojechało.

Idę spać.



Budzi mnie wschód słońca czy raczej poranna stójka. Morze szumi spokojnie, powietrze jest czyste, trzeźwiące. Ramię mi cholernie zdrętwiało. Nie ruszam nim, bo oparta o nie Kira śpi tak słodko, że nie mam sumienia jej budzić. Zadziwiająco, że przespaliśmy w bezruchu całą noc. Co więcej, nie pamiętam, by cokolwiek mi się śniło, co jest dosyć miłą odmianą. Sięgam ostrożnie do kieszeni spodni po telefon, zerkam na ekran. Jest szósta dwanaście. Zasięg internetowy marny, ale udaje mi się odpalić przeglądarkę i sprawdzić połączenia promowe z Atenami oraz drogę do obu ambasad. Jeśli teraz się zbierzemy do domu, to uwzględniając szybki prysznic na miejscu, śniadanie i drogę pieszą na przystań, powinniśmy zdążyć na prom o dziesiątej piętnaście. A to oznacza, że do brytyjskiej ambasady dotrzemy w okolicach godziny czternastej.

Nie mogę jednak zebrać się w sobie, żeby obudzić Kirę. Zamiast tego gapię się na nią jak tuman. Gdyby ktoś powiedział mi przy naszym pierwszym spotkaniu, że uznam ją kiedyś za najpiękniejszą dziewczynę, jaką w życiu widziałem, uznałbym, że odjęło mu rozum. Wtedy podniecało mnie tylko jej ciało. Oblicze tamtej Kiry, którą zobaczyłem na dachu, i twarz tej Kiry, która śpi teraz na moim ramieniu, zupełnie się różnią. Wtedy jej rysy wydawały mi się szorstkie, może nawet mało kobiece, teraz nie mogę oderwać od niej wzroku. Jest tak cholernie piękna. Nie potrafię utrzymać rąk przy sobie. Przesuwam palcami po jej nosie, ustach, brodzie, szyi, dekolcie... Kira otwiera oczy. Patrzy zaspana prosto na mnie.

– Co robisz? – pyta tym swoim niskim głosem, który teraz jest dodatkowo seksownie zachrypnięty. Czuję pulsowanie w jajach, kutas podryguje. Muszę się ogarnąć.

– Nic. – Cofam rękę. – Powinniśmy się zbierać, jeśli chcemy załatwić dzisiaj paszporty.

Ale ona nie zamierza wstać. Wciąż na mnie patrzy swoimi kocimi, ciemnymi oczami. Po chwili sięga po moją dłoń i kładzie ją z powrotem na swój dekolt.

– Mamy jeszcze chwilę? – Unosi brew.

Oho, tak do mnie mów, dziewczyno.

– Może nawet dwie. – Przesuwam palcami niżej na piersi. Jej oddech przyśpiesza. Źrenice się rozszerzają. Nie potrzebuję więcej sygnałów, by domyślić się, na co ma ochotę. Wsuwam dłoń pod top i odnajduję gorący sutek. Kira przymyka powieki, odchyła lekko głowę. Pieszczę jej pierś, patrzę na rozchylone, ponętne usta, a mój chuj jest gotowy na więcej. Nie mogę się powstrzymać, to silniejsze ode mnie. Instynktownie wypycham biodra i ocieram się o udo Kiry.

O, ja pierdole, tak bardzo chcę się w niej znaleźć! Jeszcze chwila i zacznę się brandzlować na jej nodze jak jakiś pieprzony pies. Jaja mi pulsują, tętno wariuje. Wpijam się ustami w wargi Kiry, dociskam kutasem do jej uda i nagle czuję, jak jej druga noga owija się wokół mojej. Leżymy na boku, przodem do siebie, w plątaniu nóg. Jej krocze na moim udzie, moje na jej. Ściskam pierś, drugą ręką łapię za tyłek i przyciągam ją mocniej do siebie. Kira wzdycha, wypycha biodra, ociera się o mnie cipką, a ja o nią kutasem. Jest zajebiście, chcę więcej dla niej i dla siebie. Przesuwam dłoń z pośladków na cipkę i zaczynam masować ją przez materiał. Z ust Kiry wydobywa się gardłowy jęk. Zamykam jej usta kolejnym pocałunkiem, poruszam palcami, drażniąc przez spodenki łechtaczkę. Ocieram się o jej udo,

jestem tak napalony, że niewiele mi trzeba, żeby się spuścić. Kira się pręży, jej ciało staje się niecierpliwe, uda zaciskają się na mojej dłoni.

– Dojdz dla mnie – szepczę w jej usta. – Chcę widzieć, jak dla mnie dochodzisz.

Gdy tylko wypowiadam te słowa, Kira sięga do mojego krocza i łapie przez spodnie kutasa.

– A ty dla mnie – odpowiada i zaciska palce.

Oże kurwa. Ta dziewczyna mnie wykończy.

Z mojej krtani wydobywa się stęknienie. Zatyka mnie, po kręgosłupie przebiega dreszcz. Nie jestem w stanie skupić się na całowaniu. Opieram czoło o jej i napotykam pożądliwe spojrzenie.

Kira przesuwa dłonią po moim wzwodzie. Całym ciałem wrywam się po więcej. Chcę ściągnąć z niej te cholerne spodnie, zerwać majtki i ostro ją wypieprzyć. Ale gdzieś z tyłu głowy odzywa się głos rozsądku, a może instynkt samozachowawczy, podpowiadający, że jeśli to zrobię, będzie po zawodach. Staram się skupić na kolejnym kroku, na czymś, co jej nie wystraszy, na co będzie gotowa. Nie jestem jednak w stanie racjonalnie myśleć, bo każdy jej ruch dłonią sprawia, że cała krew z mózgu odpływa mi do kutasa. Działam instynktownie. Zjeżdżam dłonią niżej, podciągam nogawkę spodenek, odchylam majtki i dotykam gorącej cipki. Ja pieprzę! Jest tak wilgotna, że mogę myśleć tylko o tym, by wsunąć w nią palec. Patrząc Kirze w oczy, zaczynam masować lechtaczkę. Jej wzrok staje się zamglony, oddech płytszy, coraz szybciej przesuwa dłonią po moim członku. Jest mi zajebiście dobrze i mam w dupie to, że przez kilka najbliższych dni będę chodził z poobcieranym chujem.

Słyszę westchnienie Kiry, widzę po niej, że jest blisko orgazmu.

Nie przestaję pieścić jej lechtaczki i równocześnie wsuwam powoli palec w cipkę. O Chryste, jest taka ciasna. Kira wydaje z siebie niski jęk, zaciska mocniej dłoń na kutasie. Prąd przebiega mi po karku, kręgosłupie, stymuluje odbyt, prostatę, jaja. Jestem na granicy. Zaraz się spuszczę.

Cipka Kiry pulsuje, zacieśnia się na moim palcu. Jej ciało napręża się jak struna, a ona wstrzymuje powietrze i zaciska powieki. Pieszczę jej najwrażliwsze miejsce, soki płyną mi po palcach. Kira zamyka mocno dłoń na moim kutasie. Wstrząsa mną dreszcz, zaraz wybuchnę.

– Och, tak. – Z jej ust wydobywa się głośny jęk rozkoszy.

Dochodzi! A ja razem nią.



Nie mam pojęcia, ile czasu już leżymy wtuleni w siebie, ale za cholerę nie mam ochoty się ruszyć. Choć ospermione jaja kleją mi się do gaci, jestem odprężony i zadowolony z siebie. Doprowadziłem Kirę do orgazmu, dotykałem ją w najintymniejszym miejscu, a jej się to podobało. Nawet nie musi mi tego mówić. Czuję to, a teraz widzę spełnienie na jej twarzy, z której nie schodzi błogi uśmiech. Leży mi na ramieniu, trzyma dłoń pod koszulką na moim sercu, które bije miarowo, spokojnie. Obejmuję ją ramieniem tak, jakbym nie miał zamiaru już nigdy jej wypuścić. Czuję, że jest moja, tylko moja.

– Chyba powinniśmy już iść, jeśli mamy zdążyć na prom – sugeruje, patrząc mi w oczy. Spojrzenie ma łagodne, ufne, intymne.

Odsuwam kosmyk włosów z jej czoła. Nigdy nie leżałem tak długo z żadną kobietą po seksie.

Seksie... Przecież my nawet nie uprawialiśmy seksu. Dlaczego więc czuję się, jakby tak właśnie było? Jest mi zajebiście z tym, że Kira wreszcie odważyła się na więcej. I to ze mną.

– W sumie możemy się zbierać – odpowiadam, choć wcale nie mam na to ochoty.

Uśmiecha się szerzej, przysuwa się i całuje mnie lekko w usta.

– Dziękuję – mówi.

– Za co?

– Wiesz za co.

Oczywiście, że wiem. Nie będę się krygował. Miała zajebisty orgazm i jest w siódmym niebie. Ale że jestem próżny i zachłanny na komplementy, które padają z jej ust, odpowiadam:

– Nie wiem, powiedz mi. – Przygryzam jej dolną wargę i lekko za nią ciągnę.

Uśmiecha się, przesuwa czule dłonią po moich włosach.

– Za to, że się przede mną otwierasz, że traktujesz mnie z szacunkiem, że jesteś wobec mnie szczery, że mogę ci ufać.

No tak. Nie takich słów się spodziewałem. Mój samozachwyt pryska. Czuję się jak podły chujek, bo jeśli mowa o sprawie z ojcem, to totalnie się przed nią w tym względzie nie otwieram ani nie jestem z nią szczerzy.

– Zbieramy się? – Zmieniam temat, bo nie mam zamiaru do listy moich grzechów dorzucać kłamstwa. – Może zdążymy jeszcze na prom o jedenastej.

Kira jest wyraźnie zdeorientowana. Chyba oczekiwała, że powiem coś innego. Potakuje jednak powoli ruchem głowy, wstaje, oddaje mi bluzę i wiąże włosy w koński ogon.

Przysypuję piachem wypalone ognisko, a potem pakuję plecak, z którego wyciągam baton czekoladowy.

– Pewnie jesteś głodna. – Podaję go Kirze.

– Czekolada na śniadanie? – Unosi brwi, na jej twarzy pojawia się uśmiech. Rozrywa papierek, przełamuje słodycz, wręcza mi połowę i wkłada swój kawałek do ust.

– Mam do niej słabość. Tak jak do ciebie. – Puszczam do niej oko i pochłaniam baton.

– Właśnie zrównałeś mnie z artykułem spożywczym za pięć złotych – mówi z pełnymi ustami.

Mały złośliwiec.

– Wiesz dobrze, co miałem na myśli. – Przybliżam się i ją całuję. Słodkość czekolady w jej ustach zupełnie mnie rozwała. Cała ta noc i poranek są jak jeden wielki odlot. Jestem odurzony. Już dawno nie czułem się tak zajebiście. Nie wiem, czy kiedykolwiek w ogóle się tak czułem. Mógłbym przenosić góry, jestem w świetnej formie.

Kira odrywa się od moich ust. Przelyka ostatni kęs.

– Ścigamy się do najbliższych leżaków! – Klepie mnie w ramię i ucieka.

Ze co? Podążam za nią wzrokiem: biegnie sprintem. Chce mi się śmiać. Wygląda na to, że nie tylko ja jestem dzisiaj w świetnej kondycji.

Zarzucam plecak na ramiona i ruszam za nią.

Musieliśmy znajdować się naprawdę daleko od cywilizacji, bo gdy jesteśmy jakieś dwieście metrów od najbliższej tawerny z leżakami, Kira już ledwo ciśnie. Mimo to stara się utrzymać szybkie tempo. Spokojnie mógłbym ją teraz wyprzedzić i wygrać, ale większą radość sprawia mi gapienie się na jej tyłek. Chcę dać jej satysfakcję ze zwycięstwa, chcę zobaczyć radość na jej twarzy. Ostatnią odległość Kira pokonuje na pełnych obrotach, a gdy dopada do pierwszego z brzegu leżaka, wydaje z siebie wesoły okrzyk i wykonuje na piasku serię zgrabnych przerzutów bokiem. Nastoletnie dziewczyny nazywają to chyba gwiazdą. Tak właśnie cieszy się teraz Kira – jak pozbawiona trosk, szczęśliwa nastolatka.

Siadam na leżaku, zdejmuję plecak i zachwycam się jej widokiem. Uświadamiam sobie, że nawet kiedy Kira wykonuje tak banalne ćwiczenie jak teraz, co u wysportowanej osoby nie jest żadnym wyczynem, dla mnie wygląda ono jak mistrzostwo świata. Nie mogę się na nią napatrzeć.

Organizm uspokaja się po biegu, ale serce nadal nawala jak szalone.

Kira się zatrzymuje, łapie równowagę, wyrównuje oddech.

– Wygrałam! Cienias z ciebie.

– Mamy jeszcze kilka kilometrów przed sobą, dasz radę pobiec dalej? – Sięgam po butelkę wody do plecaka i biorę kilka łyków.

– Pewnie. – Uśmiecha się od ucha do ucha. – Tylko to trochę niesprawiedliwe, że ty robisz sobie w międzyczasie relaks na leżaczku. – Poprawia włosy, które wymknęły się z kitki.

– Możemy wyrównać szanse – odpowiadam i wstaję. – Siadaj, pij. Teraz ja trochę poskaczę.

Zamieniamy się miejscami. Kira siada na leżaku, pije wodę. Twarz ma zaróżowioną, oczy błyszczące. Odchodzę kilkanaście metrów w kierunku, z którego przybiegliśmy. Przystaję, koncentruję się, biorę kilka głębokich oddechów, po czym rozpędzam się i wykonuję serię siedmiu przerzutów przodem.

– Wow, mega salto! – Kira bije mi brawo. – Umiesz też w tył?

No ba! Ja nie umiem? Poruszam głową, strzelam stawami i wykonuję z miejsca cztery backflipy, w tym ostatni ze śrubą trzysta sześćdziesiąt stopni.

Łąduję na nogach, łapię równowagę...

– To teraz jesteśmy kwita. – Kira wstaje, uśmiecha się szelmowsko. – Widzimy się przy głównym

zejściu. Przegrany stawia bilety na prom! – Startuje i wrywa przed siebie sprintem, jakby biegła w dystansie na setkę. Cholerna, mała oszustka.



Do domu docieramy zmęczeni, głodni i w dobrych humorach. Oczywiście, że znowu dałem Kirze wygrać. Nie miałem sumienia jej wyprzedzić, bo pod koniec biegu widziałem, że doskwiera jej ból kostki. W nagrodę dostałem uśmiech wart miliony i soczystego całusa.

Rodzice z Kalistą siedzą na ganku. Piją poranną kawę, rozmawiają. Gdy nas dostrzegają, szczerzą się głupkowato. Zupełnie jakbyśmy byli przedszkolakami, którzy trzymają się za rączki.

– Co dobrego? – pyta Serafin jako pierwszy, gdy do nich dołączamy.

– O to samo miałem zapytać. – Rozglądam się po stole, łapię kromkę chleba, zagryzam ją pomidorem i wrzucam do ust kilka czarnych oliwek.

Kira siada obok taty, dostaje od niego buziaka w czoło i nakłada na jego talerz swoją porcję śniadania.

– Pójdę dokroić wam sera – proponuje mama, wstaje od stołu i nagle chwieje się na nogach.

Dopadam do niej, łapię ją za ramię. Serce zaczyna mi mocniej bić.

– Usiądź, mamó. Ja pójdę.

– To nic. – Klepie mnie po policzku.

– Siadaj, kochanie. – Serafin ujmuję ją za dłoń, obejmuje w talii i pomaga z powrotem usiąść na miejscu. Po jego minie i opanowaniu domyślam się, że takie zachwiania równowagi czasami się zdarzają. Mama jednak nie daje nic po sobie poznać. Po prostu uśmiecha się lekko i ściska jego dłoń. Trzeba przyznać, że potrafi robić dobrą minę do złej gry. Zawsze potrafiła, zwłaszcza wtedy, kiedy udawała, że limo, które nabił jej ojciec, to nic wielkiego. Tylko jej oczy nigdy nie umiały kłamać i tak jest nadal – czai się w nich niepokój.

Krew mnie zalewa, że nie mogę w żaden sposób jej pomóc. Zaciskam pięści. Muszę coś zjeść, bo będzie ze mną gorzej.

– Kira, chcesz coś z lodówki? – pytam.

– Zjem, co przyniesiesz. Umieram z głodu.

Idę do kuchni, myję ręce, wypijam szklankę wody i otwieram lodówkę. Gapię się nieobecny wzrokiem, nie widzę nic oprócz wyrazu oczu mamy. Coś ściska mnie za gardło. Będzie dobrze, pocieszam się. Kurwa, musi być dobrze, nie ma innej opcji. Wyjmuję żółty ser, kroję go w kostkę, wrzucam do salaterki...

– Gordian! – Dobiega mnie wołanie mamy.

Serce mi staje.

Rzucam wszystko, wybiegam na ganek. Mama siedzi na swoim miejscu i wyciąga telefon w moją stronę.

– To do ciebie – informuje.

– Co? – Patrzą na nią, próbuję dostrzec jakieś niepokojące sygnały, ale wygląda zupełnie normalnie.

– Tomek dzwoni.

Tomasz? Momentalnie moje myśli wędrują na nowy tor. Zupełnie zapomniałem, że miałem się do niego odezwać w ostatnim tygodniu urlopu. Uświadamiam sobie, że ostatnio w ogóle nie myślałem o sprawach klubu. To się nazywa mieć zajebiste wakacje i równie zajebistego kumpla, który trzyma rękę na pulsie we wspólnym biznesie.

Biorę komórkę i przykładam do ucha.

– Cześć, stary! Co u ciebie? – Słyszę po drugiej stronie radosny głos kumpla.

– Pełen luz. Skąd masz numer mojej matki? – Idę do kuchni.

– Od jej sąsiadki. Od kilku dni próbuję się do ciebie dodzwonić. Już sądziłem, że wypłynąłeś gdzieś w morze za jakąś lalą i utonąłeś.

– To dużo się nie pomyliłeś. – Przytrzymuję ramieniem telefon i obieram ogórka. – Mieliśmy wypadek z Kirą na łodzi. Straciłem komórkę i dokumenty.

– Jaki wypadek? Nic wam nie jest?

– Nic. Wszystko gra.

– Całe szczęście... – Chwila ciszy. – A co u Kiry? Co porabiacie?

Co u Kiry? Chuj cię to obchodzi. Jego pytanie momentalnie wyprowadza mnie z równowagi.

– Święconkę przystrajamy, kurwa. – Wbijam nóż w deskę do krojenia.

– Ej, o co się pieklisz? Przecież tylko pytam, brachu. Wyluzuj...

Biorę głęboki wdech. Przesuwam dłonią po włosach. Co ja najlepszego odpieprzam? To mój najlepszy przyjaciel, a ja traktuję go jak pierwszego lepszego gnoja, który mógłby przelecieć moją dziewczynę. Ustaliliśmy już dawno, że żadna laska nas nie poróżni, więc dlaczego zachowuję się jak złamas, zamiast być z nim szczery?

Biorę kolejny wdech. Im prędzej powiem mu prawdę, tym lepiej.

– Jestem z Kirą – walę prosto z mostu.

– O, to świetnie. Cześć, Kira! – drze się do słuchawki, przekonany, że ta stoi obok mnie i go słyszy.

Odsuwam telefon od ucha, bo rozpiardoli mi bębenki. Mój kumpel to złoty człowiek, ale czasami nieco przygłupi.

– Nie zrozumiałeś. Spotykamy się. Ona i ja.

– Yyy, w porządku. Gdzie idziecie?

Kurwa, czy on naprawdę jest takim głabem?

– Tomasz, jestem z Kirą jak facet z kobietą. Tak, jak ty chciałeś z nią być.

Po drugiej stronie zapada cisza. Czekam, aż kumpel połączy kropki.

– Co ty mówisz? – pyta po chwili z niedowierzaniem. – Chodzisz z siostrą? Przecież nie możecie...

Tomasz ma totalny error. Wygląda na to, że mój przyjaciel jest umysłowo rozwinięty równie sprawnie, jak papier toaletowy w szaczu.

– Uwierz mi, możemy. To nie jest moja rodzona ani przyrodnia siostra, tylko przybrana. Nie jesteście spokrewnieni.

– No tak, wiem... – Sapie do telefonu. – Jezu Chryste... – Bierze głęboki wdech i dmucha w słuchawkę. – To żeś mnie teraz zabił.

Nic nie odpowiadam, czekam, aż ogarnie to, co usłyszał.

– Ale wiesz, coś tak czułem... – odzywa się po dłuższym milczeniu. – Od początku podejrzewałem, że coś się święci. Tak się na nią gapileś i wkurzałeś, że do niej startuję... To dlatego nie chciała ze mną być! – Doznaje olśnienia. – Ale numer. – Słyszę, że powoli oswaja się z sytuacją. – No, to gratulacje, stary. To świetna dziewczyna... – Zawiesza głos, jakby chciał coś dodać, ale się powstrzymuje.

– To prawda, jest świetna.

– Jest. Inna. Niż. Wszystkie. Twoje. Panny. – Podkreśla wyraźnie każde słowo, a ja doskonale wiem, do czego zmierza.

– Tak.

– Nie zrobisz jej żadnego świństwa, co? – wypluwa wreszcie z siebie, a ja czuję się jak jakiś przechuj chujów, za którego uważa mnie kumpel. I w sumie mu się nie dziwię. Trochę się już chłopaczyna napatrzył w życiu na moje dokonania.

– Nie zrobię – odpowiadam tak pewnym głosem, że sam sobie wierzę.

Dalsza rozmowa schodzi na temat klubu. Od następnego tygodnia mamy ustawione walki na kolejny miesiąc. Tomasz się spisał, biorąc pod uwagę, że jest okres urlopowy. Dopiero w połowie naszej rozmowy uświadamiam sobie, że wracam do Polski już za trzy dni. Brakuje mi treningów, atmosfery podczas walk. Ekscytuję się myślą, że zbijemy niezły szmal w sezonie ogórkowym. Mimo to żal mi jak jasna cholera, że opuszczę Grecję. Muszę wykorzystać te ostatnie dni na maksa.

– A o Klaudii słyszałeś? – Tomasz przywołuje mnie do terażniejszości.

Staję się czujny.

– Co? Nie. A co miałem słyszeć?

– Pewnie prokurator też nie mógł się do ciebie dodzwonić. Sprawa zamknięta. Złapali sprawcę, przyznał się.

– Sprawcę? Mów. Nic nie wiem. – Siadam przy stole.

– Okazało się, że ojciec Klaudii robił po cichu jakieś interesy z Turkami. Podobno prali grubą kasę. Nie dogadał się z jednym z nich, wisiał mu spory szmal. Turek mu groził, ale bez skutku. W końcu wkurwił się na starego Klaudii i nasłał swojego człowieka, żeby rozpieprzył mu chatę. Zamachowiec twierdzi, że ustawił zapłon bomby na czas, kiedy nikogo miało nie być w domu. Chodzą słuchy, że policja znalazła resztki ładunku już w kilka dni po zdarzeniu, ale wszyscy siedzieli cicho, bo to mogłoby zaszkodzić śledztwu.

– To była bomba?

Wiem, że to chujowe, ale czuję radosne podekscytowanie. Być może jestem pojebany, jednak myślę, że niejednemu kolesiowi, który znalazłby się w podobnej sytuacji jak ja, kamień spadłby z serca. Mam trzy powody ku temu, by odczuć ulgę. Po pierwsze – Klaudia nie zabiła się przeze mnie. Po drugie – prokurator może mi teraz obciągnąć. Pewnie dzwonił do mnie wcześniej, bo podejrzewał, że to ja podłożyłem tę bombę. Po trzecie – jebany głos w mojej głowie się mylił co do wybuchu gazu, co oznacza, że tak naprawdę nie nawiedza mnie żaden szatan. Choć w sumie nie jestem pewien, czy z tego ostatniego faktu powinienem się aż tak bardzo cieszyć, bo to może oznaczać, że jestem zdrowo pierdolnięty i niebawem trafię do czubków. Nie wiem, co gorsze: opętanie czy wariackowo.

– Znaleźli tego Turka z kumplami w jakimś barze... – ciągnie Tomasz. – Ojciec Klaudii w końcu pękł i wyznał, że robił z nimi szemrane interesy. Usłyszał już zarzuty. Teraz zatrzymują kolejne osoby. Biedna matka Klaudii, nie dosyć, że straciła córkę, to teraz jej mąż pójdzie siedzieć.

– Skąd to wszystko wiesz? Bo przecież nie od prokuratora.

– Od Tobiasza. Nie mam pojęcia, skąd on bierze te wszystkie informacje, ale mam wrażenie, że znalazłby nawet żyjących potomków Galla Anonima, gdyby ktoś go o to poprosił.

Nagle doznaję objawienia. Że też od razu o nim nie pomyślałem.

– Wyślij mi SMS-a z jego numerem – proszę. – Straciłem wszystkie kontakty.

– Pewnie. Myślisz, że powie ci coś więcej o wybuchu?

– Mam do niego inną sprawę. – Nie wdaję się w szczegóły, tylko szybko zmieniam temat. – Odbierzesz nas po przylocie?

– Oczywiście – odpowiada bez chwili wahania.

Gadamy jeszcze kilka minut o tym, co u niego. Na koniec ustalamy, że będzie na nas czekał na lotnisku, po czym się rozłączamy.



W ostatnim momencie zdążamy z Kirą na prom do Aten i to tylko dlatego, że opóźnił się z wypłynięciem. W tym przypadku grecką punktualność, a raczej jej brak, zaliczam na plus. Widocznie załoga nie dostaje dodatku do pensji za niespóźnianie się, co w niektórych firmach praktykowano jeszcze przed wielkim kryzysem. Dla Greka „aviro”, czyli „jutro”, to ulubione słowo. Pośpiech to znak naszych czasów. Polacy zapierdalają jak chomiki w kołowrotkach – szybciej, więcej, mocniej, gońmy, kurwa, Zachód! A Grecy mają wyjebane. Większość żyje bez spinki, korpogadki, wypruwania sobie żył. I za to ich lubię. Może będą biedniejszym krajem, ale szczęśliwszym.

Wchodzimy na dolny pokład, który przypomina rozległą przestrzeń pustej fabryki. Od razu dobiegają nas podniesione głosy dwójki oburzonych turystów z Polski. Nie spodziewali się, że będą musieli zostawić walizki bez opieki, ustawione w rzędzie ze wszystkimi innymi bagażami pasażerów. Grek z załogi uśmiecha się do nich szeroko.

– *Don't worry. Will be okay* ^[10] – zapewnia z silnym akcentem. – *Have fun. Nice trip* ^[11]. – Zaprasza ich zamaszystym ruchem dłoni na górny pokład.

Idziemy tuż za nimi. Dostrzegam na ich dłoniach obrączki, więc pewnie są małżeństwem. Kłócą się między sobą.

– Powinieneś był mu coś powiedzieć – mówi żona głosem pełnym pretensji.

– Przecież mówiłem. Widocznie takie tu mają zasady – ripostuje mąż.

– Byłeś za mało przekonujący.

– Niby co miałem zrobić?

– Mogli zabrać nasze bagaże do kabiny kapitana. Żeby były bezpieczne.

– Mówisz poważnie? Słonko, przecież tu jest ful turystów. Jakby każdy prosił o przeniesienie bagażu do kapitana...

– Jak zwykle dałeś się zrobić w trąbę – przerywa mu w połowie zdania. – Ten wyjazd to nasza najgorsza rocznica.

Nie mogę tego słuchać. Co za tępa dzida. Po jaki chuj on w ogóle z nią jest?

Wchodzimy na górę, gdzie rozstawienie siedzeń jest bardzo podobne do tego w samolotach. Dostrzegam dwa wolne miejsca i od razu je zaklepuję. Małżeństwo siada dwa rzędy przed nami. Nadal się kłócą, tym razem o jakieś kanapki, których mąż nie zabrał z restauracji.

– Instytucja małżeństwa to jedna wielka porażka – odzywam się do Kiry.

– Mówisz o nich? – Wskazuje głową sprzeczącą się parę.

– Przecież widać jak na dłoni, że się ze sobą męczą.

– To nie wina małżeństwa, tylko ich samych. Nie potrafią ze sobą normalnie rozmawiać.

– Bo są małżeństwem. Założę się, że gdyby nie byli związani papierkiem, już dawno każde z nich poszłoby w swoją stronę.

– A może właśnie to, że są związani papierkiem, sprawia, że nie zrezygnowali z siebie tak szybko i nadal starają się o siebie zawalczyć?

– No właśnie, zawalczyć. Po co im taki związek z ciągłą walką? To chore. Małżeństwo to jakiś średniowieczny przeżytek. Nie wierzę, że można być z kimś przez całe życie. To niewykonalne.

Kira unosi brwi.

– A ile byłeś najdłuższej z dziewczyną?

– Miesiąc.

– Miesiąc... – Nie wydaje się jakoś szczególnie zdziwiona. – Wiesz, że trzeba się trochę postarać, żeby utrzymać stały związek?

– Staralem się, przez miesiąc, a ona przyprawiła mi rogi.

Nic nie odpowiada. Temat umiera śmiercią naturalną, i bardzo dobrze. Nie lubię wracać do tamtego okresu. Jaką cipą musiałem wtedy być, by zabując się w takiej pustej lasce jak Marika?

Gdy tylko statek wypływa na szerokie wody, Kira chce wyjść na zewnątrz, żeby podziwiać widoki. Tłumaczę jej, że mamy przed sobą prawie trzy godziny rejsu, a na górze na pewno bardzo wieje. Ale ona się upiera.

– Jak chcesz – odpuszczam. Jeszcze wspomni moje słowa, gdy wiatr będzie chciał upierdolić nam łby.

Prosimy Greczynkę siedzącą obok nas, by trzymała dla nas miejsca, i idziemy na górę. Wychodzimy na boczny pokład. Kilku facetów ogląda się za Kirą, a ja mam ochotę im jebnąć. W sumie nie powinienem się dziwić. Też bym się za nią obejrzał. Ma na sobie letnią sukienkę do kolan, a pieprzony wiatr sprawia, że ta podwija się aż do pośladków.

Kiedy przed wyjściem z domu zobaczyłem ją w tej kiece, z rozpuszczonymi włosami i delikatnym makijażem podkreślającym kocie oczy, od razu mi stanął. Nigdy wcześniej nie widziałem jej w tak kobiecym wydaniu. Wygląda zjawiskowo. Co więcej, w takim stroju działa na mnie bardziej niż w jakichkolwiek szortach czy bikini.

Gdy tylko podchodzi do barierki, staję tuż za nią i obejmuję ją ramionami. Najwyraźniej zupełnie mi odjechało, bo zamierzam robić za płaszcz do kostek i zasłonić ją szczelnie przed zachłannym wzrokiem tamtych fagasów.

Wiatr hula po pokładzie, rozwiewa nam włosy, dmie w uszy, woda uderza o burtę, zrasza nasze ciała, silnik buczy. Mimo to otacza mnie spokój, wewnętrzna cisza. Stoimy razem, wtuleni w siebie, bez słów, patrzymy w morze. Łapię się na tym, że chciałbym zachować ten moment w pamięci na zawsze. I dokładnie w tej samej chwili, kiedy o tym myślę, Kira wyjmuje telefon z torby przewieszanej przez ramię, włącza aparat i wyciąga komórkę na długość ręki. Na ekranie pojawiają się nasze twarze. Nie wiem dlaczego, ale czuję kołatanie w piersi, kiedy widzę nas razem. Kira robi zdjęcie. Cholera, wyglądamy na nim na naprawdę dobraną parę. Zajebicie potarganą, ale szczęśliwą parę.



Ateny to masa wąskich, jednokierunkowych uliczek, dlatego wynajem auta zdecydowanie odpada – stalibyśmy głównie w korkach. Zastanawiam się nad pożyczeniem motocykla, ale ścigacz nie przecisnie się między autami, a skuterem nie zamierzam jeździć. Moje rozważania są jednak bezcelowe, dopiero po chwili dociera do mnie, że przecież i tak nie mam prawka, bo pływa gdzieś na dnie morza.

Z portu łapiemy więc autobus, następnie przesiadamy się do metra i idziemy przez kilka minut pieszo, by w końcu dotrzeć do ambasady brytyjskiej, gdzie Kira bez problemu odbiera paszport.

Do mojej ambasady jest około pięciu kilometrów, dlatego postanawiamy się przespacerować. Ateny to jeden wielki rozgardiasz architektoniczny. Wiele budynków jest zniszczonych, z kolei na tych, które jeszcze nie runęły, widnieją graficiarskie bohomy. Kira jest w szoku, bo spodziewała się stylowych kamieniczek, a w zamian witają ją betonowe kloce. Pocieszam ją jednak, że w niektórych miejscach jest schludniej i nawet elegancko.

Żar leje się z nieba, promieniuje od nagranych murów budynków i chodników. Nie przeszkadzają mi wysokie temperatury. Zdecydowanie wolę ciepło od zimna, ale upał w mieście jest dotkliwy i śmierdzący.

Po drodze wchodzimy do fotografa, gdzie robię zdjęcie paszportowe, które muszę dołączyć do wniosku. Na miejscu, w polskiej ambasadzie, okazuje się, że muszą jeszcze zweryfikować moje dane

w systemie, a dokumenty mają być gotowe do odbioru dopiero jutro przed południem. Wkurwiam się, ale trzymam nerwy na wodzy. Zapala mi się bowiem lampka ostrzegawcza, kiedy facet wspomina o jakiegokolwiek weryfikacji. Mam cichą nadzieję, że nie dokopią się do tego pierdolonego wyroku o nieumyślne spowodowanie śmierci i będą sprawdzać wyłącznie to, czy wyrabiałem kiedykolwiek w Polsce paszport.

Skoro załatwiliśmy to, co mogliśmy, Kira prosi, żebym pokazał jej Akropol. Grecy nazywają go świętą skałą. Odwiedzić Ateny i nie zobaczyć tego miejsca, to grzech śmiertelny, więc oczywiście ją tam zabieram. Łapiemy metro, w którym zjadamy kanapki zabrane z domu. Przesiadamy się dwukrotnie, aż w końcu docieramy na miejsce. Gdy jesteśmy już u stóp wzgórza, postanawiamy wejść do nowoczesnego, przeszklonego budynku Nowego Muzeum Akropolu Ateńskiego, głównie po to, by się ochłodzić i zerknąć na zachowane rzeźby oraz popiersia. Łazienka jest tu od groma, bo muzeum ma aż trzy kondygnacje, ale Kira woli rozpocząć już wspinaczkę na wzgórze. Po półgodzinnym zwiedzaniu wychodzimy więc na gorące powietrze i podążamy ku głównej atrakcji.

Idziemy coraz wyżej duktem odgrodzonym murkiem od drzew oliwnych, cyprysów oraz pinii. Cykady szemrają w zaroślach, jest gorąco i sucho. Mijamy zdyszanych turystów. Narzucamy dosyć szybkie tempo i dzięki temu udaje nam się sprawnie obejrzeć kilka fajnych miejsc. Widzimy zza ogrodzenia Odeon Heroda, który na co dzień jest zamknięty dla turystów. Wyjątkiem są organizowane w nim koncerty. Teatr ten został zbudowany na sześć tysięcy widzów i posiadał kiedyś dach z drzewa cedrowego, który poprawiał wewnętrzną akustykę. Obecnie to wznoszące się ku górze półkole siedzisk z kamieni, a w dole znajduje się zrujnowana ściana z otworami okiennymi. Mimo wszystko robi wrażenie.

Następnie przechodzimy przez bramę Akropolu zbudowaną z kolumn doryckich i dochodzimy do Partenonu – moim zdaniem najokazalszej budowli w całej Grecji. Szkoda tylko, że dopiero trzydzieści lat temu Grecy wzięli się za jej renowację. Biorąc pod uwagę fakt, że świątynia powstała prawie dwa i pół tysiąca lat temu, a po drodze przeszła grabieże, rozbiórki, przemianowanie na chrześcijański kościół, a potem turecki meczet, to i tak cud, że nadal stoi i cieszy oko.

Kira jest zachwycona, co chwilę wzdycha z podziwem i cyka telefonem fotki jak nawiedzona turystka. Jak zwykle po ruinach szwendają się grupki zwiedzających, ale udaje jej się zrobić nam zdjęcie, na którym jesteśmy tylko we dwójkę, a w tle widać miasto. Przesyła mi je na telefon razem z tym, które pstryknęła na statku.

Ze wzgórza schodzimy późnym popołudniem. Jesteśmy zmęczeni, ale zadowoleni. Najwyraźniej doskwiera nam również senność, bo człapiemy bez wigoru, a Kira co jakiś czas ziewa.

Stwierdzamy zgodnie, że przydałaby nam się sjesta w jakimś klimatyzowanym, cichym miejscu. Po rozważeniu kilku możliwości dochodzimy do wniosku, że najlepiej będzie, jak wynajmiemy pokój w hotelu. Możemy też w nim zanocować, a tym samym zaoszczędzić czas i kasę na jutrzejszą podróż po mój paszport. Ponadto Kira stwierdza, że z chęcią od rana wybierze się jeszcze na jakąś wycieczkę po Atenach.

Wynajmujemy pokój w hotelu średniej klasy, który gwarantuje pełne wyposażenie i śniadanie w cenie. Gdy tylko wchodzimy do środka, walimy się na duże łóżko. Pościelenie jest czyste, śnieżnobiałe, świeżo zmienione. Ciemne zasłony zakrywają wysokie okna, a klimatyzacja ustawiona jest na dwadzieścia jeden stopni. Tego nam było trzeba.

Leżymy jak dwa trupy chyba z dziesięć minut. Delektujemy się ciszą, optymalną temperaturą, odpoczywamy. Widzę, że Kirze przymyka się oko, ale mnie nie chce się spać. Patrzę, jak jej powieki powoli opadają, ciało się rozluźnia, słyszę, jak jej oddech się wydłuża, zwalnia. Usypia. Przykrywam ją prześcieradłem, idę po cichu do łazienki, robię siku i ochlapuję twarz zimną wodą. Kiedy wracam, Kira śpi w najlepsze. Kładę się obok niej, przyglądam się jej profilowi, gładkiej skórze ramion, wdycham jej zapach. I nagle dociera do mnie, że zachowuję się jak totalny pojeb – obserwuję moją pannę, jak śpi!

Sięgam po telefon i postanawiam poczytać najnowsze wpisy na forum naszego klubu. Wygląda na to, że Tomasz nie próżnuje, bo mamy coraz więcej osób, które udzielają się w dyskusji i komentują filmy z walk.

– Co porabiasz? – Kira budzi się po jakichś piętnastu minutach. Przekręca się na bok, odkrywając.

– Czytam wpisy na naszym forum.

Przeciąga się, a wtedy jej sukienka się podwija i odsłania pośladek. Momentalnie puls mi przyspiesza. Kira się nie zasłania, pozwala, bym się na nią gapił jak napalony szczeniak. Nie mogę się powstrzymać, żeby jej nie dotknąć.

– Forum może poczekać. – Odrzucam telefon, łapię za krągły póldepek, przyciągam ją do siebie i przywieram do jej ust. Zaczynamy się całować, narasta w nas pożądanie. Ma tak zajebiste jędrny i zarazem miękki tyłek. Zaciskam na nim palce, mam ochotę na więcej. Zniżam się i całuję Kirę po dekolcie, odkrytych sukienką piersiach i brzuchu, a ona wsuwa mi dłonie we włosy, zaczyna oddychać szybciej. Schodzę coraz niżej, podciągam sukienkę, przesuwam nosem po wzgórkę łonowym. Czuję jej zapach, ciepło bijące od cipki. Kutas zaczyna rozpierać mi się w gaciach.

Kira oddycha coraz szybciej, zaciska palce na moich włosach. Masuję jej pośladek i chwytam ustami za bieliznę w miejscu łechtaczki.

Słyszę westchnienie. Muskam palcem osłoniętą cipkę. Mam pewność, że Kira jest równie napalona jak ja. Chcę sprawić jej przyjemność. Chcę jej zasmakować, poczuć jej soki na języku. Zaciągam się jej aromatem, odchylam zębami gumkę od majtek, zsuwam je powoli, odsłaniając włosy łonowe...

Ciało Kiry tężeje.

– Koniec. – Chwyta mnie za ramię.

Patrzę jej w oczy. Dostrzegam w nich sprzeczność: pożądanie walczy z niezdecydowaniem. W każdej innej sytuacji o nic bym nie pytał. Tak jak się umawialiśmy, po prostu bym odpuścił. Ale tym razem widzę, że naprawdę mnie pragnie.

– O co chodzi?

– Nie czuję się gotowa... – Zawiesza głos, jakby wstydziła się własnej słabości. – Poza tym jestem nieogolona.

Unoszę brwi. W sumie nie spodziewałem się, że będzie ogolona, i wcale mnie to nie obchodzi. Jednak na samą myśl o nagiej, gładkiej cipce Kiry tętno mi jeszcze bardziej przyspiesza.

– To drugie akurat mi nie przeszkadza – przyznaję.

– Może nie sypiam z facetami, ale nie pochodzę ze średniowiecza. Wiem, co was podnieca.

Zamiast od razu przyznać, że i tak jestem już mocno podniecony, wyobrażam sobie, jak stoi mokra pod prysznicem i goli się w najintymniejszym miejscu, specjalnie dla mnie i tylko dla mnie. Zajebiste mocno pragnę to zobaczyć.

Podnoszę się, wstaję i podaję jej rękę. Kira patrzy na mnie, jakby nie rozumiała.

– Co?

– Chodź do łazienki.

– Po co?

– Ogolić się.

Prycha.

– Nie mam ochoty na hotelowe spa.

– To ja to zrobię, ogolę cię – proponuję, a moja wyobraźnia wznosi się na wyżyny.

Kira się śmieje.

– Zwariowałaś. – Opuszcza sukienkę, podnosi się na łokciach i opiera o wezłowie łóżka. Widzę, jak na jej dekolcie pojawia się rumieniec.

Kurwa, teraz to już nie odpuszczę. Jestem tak nakręcony wizją golenia jej cipki, że prędzej umrę, niż zrezygnuję z takiej możliwości.

Idę z werwą do łazienki, sięgam po szklankę, nabieram do niej wody, zabieram z blatu jednorazową piankę oraz maszynkę do golenia, po drodze zgarniam ręcznik i wchodzę z powrotem do pokoju. Kira siedzi z wyciągniętymi nogami na łóżku, przegląda coś na swoim telefonie. Serce mi wali, jaja pulsują. Kiedy się zbliżam, podnosi wzrok.

– Po co ci to? – pyta i w tym samym momencie dociera do niej, jakie mam zamiary. Otwiera szerzej oczy. – Jezu, ty mówiłeś serio?

– Bardzo serio. – Uśmiecham się szeroko.

Widzę w jej spojrzeniu rozbawianie.

– Jesteś nienormalny.

– I napalony.

– Uważasz się za jakiegoś cipkobarbera?

– To będzie mój debiut.

– Tym bardziej, spadaj z tą maszynką. Nie zamierzam być twoim królikiem doświadczalnym.

– Kiro, mam doświadczenie w goleniu, tyle że nie cipek. – Podchodzę do niej z całym przybornikiem golarza i szerokim, zachęcającym uśmiechem na twarzy.

Kira momentalnie zrywa się na nogi i staje na łóżku.

– Doświadczenie w goleniu... – powtarza z rozbawieniem w głosie. – Zbliź się tylko, a nie będziesz w stanie ogolić swojej pięknej buźki przez miesiąc. – Stawia gardę, zaczyna podskakiwać na materacu, jakby szykowała się do walki.

Jezu, jak ona mnie kręci. Te jej kołyszące się cycki, jędrny tyłek, bojowa mina... Mam już masakrycznie ciasno w gaciach.

– Nie miałem wcale na myśli doświadczenia w goleniu twarzy. – Rzucam przybory na łóżko, odpinam pasek, ściągam spodnie z bokserkami i stoję przed nią nagi, w pełnym wzwodzie.

Kira przestaje skakać. Stoi nieruchomo, oczy ma szeroko otwarte, patrzy oniemiała na mojego członka. Nie dziwi mnie jej reakcja. Nie raz i nie dwa laski nie były w stanie sklecić logicznego zdania, będąc pod wrażeniem jego rozmiarów.

– Zobacz, żadnego zacięcia. – Prezentuję idealnie wygolone jądra. – Gładko jak na lodowisku.

Kira podnosi na mnie wzrok. Ma rozszerzone źrenice, oddycha szybko. Nie potrafię stwierdzić, czy podnieciła się na widok mojego kutasa, czy jest wystraszona.

– Co ty wyrabiasz? – Patrzy mi prosto w oczy.

– Pokazuję ci efekt mojego golenia.

– Po co?

– Żebyś zobaczyła, że mam w tym doświadczenie.

– I myślisz, że to mnie przekona?

Wzruszam ramionami.

– Mnie by przekonało. – Mimowolnie przesuwam dłonią po fiucie, bo jara mnie jak jasna cholera, że stoję przed nią nagi i gotowy, a ona na mnie patrzy. Czuję coraz większe podniecenie na myśl o tym, że miałbym golić jej cipkę.

Kira unosi karcąco brew, a ja od razu przypominam sobie, że przecież dopiero co deklarowałem, że potrafię wytrzymać bez walenia. Kurwa. Z bólem jajec wypuszczam kutasa z dłoni, który stoi wielki, sztywny i równie wkurwiony jak ja. Zakładam bokserki, zastanawiając się, jak, do cholery, zapnę teraz pieprzone spodnie.

Jebana mać. Nie ma nawet takiej opcji. Zostaję w samych gaciach. Zrzucam nogawki ze stóp.

– To jak, dasz się skusić? – Podejmuję kolejną próbę.

– Ty naprawdę masz problem ze słuchaniem.

– Co mówiłaś?

– Właśnie to. – Wyrzuca ręce do góry, a ja w tej samej chwili łapię ją w tali.

– Drażnię się z tobą, Kiro. – Patrzę jej w oczy. – Zawsze cię słucham. Masz taki seksowny głos, że tylko idiota by go zignorował.

– Może i mnie słuchasz, ale nie rozumiesz tego, co do ciebie mówię. Zamiast skupić się na moich słowach, zastanawiasz się, co odpowiedzieć. Dlatego powtórzę: nie chcę, żebyś mnie golił – podkreśla stanowczym tonem.

– Dlaczego? Przecież to nic wielkiego.

– Być może da ciebie. Uważam, że powinniśmy zachować jakieś granice.

– Po co?

– Po to, żeby było co odkrywać, kiedy przyjdzie na to odpowiednia pora.

– A teraz nie jest odpowiednia pora? To nie seks. Co jest w tym niestosownego? Chyba nie masz też urazu do golenia?

Gdy tylko ostatnie słowo wypływa z moich ust, wiem, że powiedziałem o jedno zdanie za dużo.

Kira ściąga brwi, odpycha mnie.

Ale ze mnie kretyn. Oberwę teraz gorzej, niż gdybym wszedł na golasa w pokrzywy.

– Jesteś beznadziejny. Tracę tylko z tobą czas. – Zeskakuje z łóżka, wkłada buty, łapie za torebkę, która leży na krześle, i zmierza w kierunku drzwi.

Ja pierdołę.

– Poczekaj. – Dopadam do niej w chwili, kiedy zamierza nacisnąć klamkę. Łapię ją za rękę, patrzę w oczy i widzę w nich urazę. Na ogół mam w dupie, co myślą o mnie inni ludzie. Do tej pory zależało mi wyłącznie na akceptacji mamy i Kalisty. Ale najwyraźniej Kira dołączyła do tego wąskiego grona, bo nad wyraz mocno nie chcę, żeby źle o mnie myślała. Nie chcę, żeby uważała mnie za beznadziejnego fiuta. Kurwa, nie chcę, żeby teraz wyszła i zostawiła to, co się dzieje między nami, w takim rozpiardolu. – Nie wychodź. – Przybliżam twarz do jej twarzy.

– Daj mi chociaż jeden powód, dla którego miałabym nie wyjść?

Przez głowę przemyka mi co najmniej tuzin powodów. I chociaż wydają mi się genialne, to coś mi podpowiada, że żaden z nich nie przekona Kiry.

– Bo nie chcę, byś chodziła sama po mieście.

– Dlaczego?

Przesuwam dłonią po włosach. Jak ja nie znoszę takich pierdolonych wynurzeń. Co gorsza, już wiem, że z Kirą ich nie uniknę. Mam ochotę zignorować jej pytanie, obrócić je w żart, powiedzieć cokolwiek, byle nie robić z siebie smętnej cipy. Wciągam głęboko powietrze, coś ścisną mi klatkę piersiową. Odchrząkuję, bo czuję narastającą gulę w gardle.

– Bo wolę, żebyś została ze mną.

– Dlaczego?

Kurwa! Dlaczego i dlaczego? Mam tego dosyć!

– Bo mi na tobie zależy, do diabła! Bo lubię z tobą być, patrzeć na ciebie, dotykać cię, czuć twój zapach, słyszeć twój głos. Bo dostałem jakieś pieprzonej obsesji na twoim punkcie. I tak, mam ogromną ochotę się z tobą przespać i robić z tobą rzeczy, o których ty nie chcesz nawet słyszeć. I czuję się jak głupek, bo od początku wodzisz mnie za nos, dyktujesz warunki, robisz ze mną, co chcesz. A ja ci ulegam. Ulegam ci jak pieprzony pantoflarz, którym nie chcę być!

Kira ściąga brwi.

– Ja ci dyktuję warunki? Wodzę cię za nos? – Śmieje się, a ja już na tyle poznałem jej śmiech, że wyczuwam w nim gorycz. – To ty robisz ze mną, co chcesz, Gordianie. To ty od początku macisz mi w głowie, wzbudzasz we mnie uczucia, których nie chcę. Przy tobie nie panuję nad swoim ciałem. Dzieje się z nim coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. – Słyszę w jej głosie narastającą frustrację. – Niby co mam ci teraz powiedzieć? Że chcę ci pozwolić, żebyś się ze mną kochał, ale boję się jak diabli? Nie wiem, co się ze mną dzieje. Z własnej woli nie robiłam tego nigdy i z nikim, więc nawet nie wiem, czy potrafię to zrobić. Czuję się, jakby mnie rozrywało na pół. Część mnie chce zostać z tobą w łóżku przez całą noc, a część dygoce ze strachu w obawie, że ten cholerny koszmar powróci. Nie poznaję samej siebie. W twojej obecności wariuję. To wszystko jest chore. – Kręci głowę. – Nie chcę się tak czuć. Nie chcę znów doznać tego, co działo się ze mną, kiedy tamten sukinsyn mnie gwałcił. Nie chcę cię znienawidzić, gdy będziesz ze mną, we mnie. Nie chcę przeżywać tego koszmaru od nowa.

Usta jej drżą, oczy przepęłnia niemoc. Nie mogę tego znieść. Nie mogę zdzierżyć, że tamten skurwiel wyrządził jej tak ogromną krzywdę.

– Nie przeżyjesz tego ponownie, obiecuję – mówię i ujmuję jej twarz. Staram się być spokojny, myśleć racjonalnie, zachować resztki rozsądku. Choć najchętniej odnalazłbym teraz tamtego gnoja i zatłukł go gołymi rękoma. – Przysięgam ci, że to, co cię spotkało, nigdy już nie wróci. On już nigdy cię nie dotknie, nigdy nie pozwolę mu cię skrzywdzić. – Na samą myśl, że mogłby się do niej zbliżyć, mam ochotę rozjechać pół hotelu. Wiem, że nie spocznę, dopóki nie wyrównam rachunków z tamtym skurwielem.

Kira znów kręci głowę.

– Tu nie chodzi o niego, tylko o to, co kiedyś zrobił. Jak się wtedy czułam. On teraz siedzi

w więzieniu, wyjdzie za czternaście lat i wątpię, żeby się do mnie zbliżył, a nawet jeśli, będę potrafiła sobie z nim poradzić. Staram się mu wybaczyć, bo gniew i nienawiść działały na mnie destrukcyjnie. Ale nie potrafię zapomnieć. Takiej krzywdy nie da się zapomnieć. To wszystko siedzi w mojej głowie. Przychodzi do mnie czasami w nocy, wzbudza strach i niemoc, z którą nie mogę sobie poradzić. Chcę z tym walczyć, z roku na rok jest coraz lepiej. Lecz czasami mnie to dopada i wtedy czuję się słaba, bezbronna, choć tak bardzo pragnę być silna... – Spuszcza głowę, głos jej się łamie, widzę narastającą w niej bezradność, której nie jest w stanie udźwignąć.

– Nie jesteś słaba. – Unoszę jej twarz. – I nigdy tak o sobie nie myśl. Jesteś najodważniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Jesteś twarda, Cyrus, i nie pozwól, by jakiś złamany chujek, który zasadził się kiedyś na niewinne dziecko, sterował teraz życiem dorosłej, silnej kobiety, jaką jesteś. – Widzę, że wcale jej to nie przekonuje. Ujmuję ją za ramiona, patrzę w oczy. – Kiro, nie mówię tego z litości. Ani dlatego, że chcę poprawić ci nastrój, ani dlatego, że chcę od ciebie czegoś więcej. Mówię to, bo tak naprawdę myślę. Bo widziałem twoją determinację, kiedy wyszłaś na ring, żeby walczyć z Ozem, bo szanuję to, że pomagasz kobietom, które chcą się bronić, bo widzę w tobie osobę, która dostała od życia po dupie tak bardzo, że nic jej już nie złamie. – Na twarzy Kiry stopniowo pojawia się pewność siebie, którą tak lubię. – Trenowałem wielu facetów – ciągnę. – Kolesi, którzy na co dzień stykają się z przemocą i agresją, którzy cały czas o coś walczą albo próbują udowodnić sobie i światu, że są bogami, cholernymi cyborgami. Ale żaden z nich nim nie jest i nigdy nie będzie. I ty też nie wymagaj od siebie, że się nim staniesz. Masz prawo do chwili słabości, żeby przeobrazić ją później w siłę. Jesteś człowiekiem, kobietą, która ma mocny charakter, odwagę. Poradzisz sobie z każdym gównem. Wiem to. Zobaczyłem to w chwili, kiedy ujrzałem cię pierwszy raz na tamtym dachu, jak nawalałaś w mój worek. Jesteś niesamowitą, zahartowaną przez los dziewczyną i nigdy nie myśl o sobie w inny sposób.

Kira przygląda mi się, przechyla lekko głowę. Dostrzegam w jej oczach znany błysk i już wiem, że moje pieprzenie podziałało. Wróciła dawna Kira.

– A ty dlaczego chcesz być cyborgiem? – pyta wprost.

– Co? – Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem.

– Przez jakie piekło przeszedłeś, z czym walczysz, przed czym uciekasz?

Czuję ukłucie w piersi, cofam się.

– Przed niczym. – Serce mi wali. Podchodzę do małej lodówki, nachylam się, otwieram drzwiczki. Małe buteleczki z alkoholem grzechoczą.

– Alkohol nie pomoże ci rozwiązać problemów – mówi Kira.

– Wiem, nie zamierzam pić – odpowiadam i sięgam po czekoladowy baton. Rozrywam zębami folię. Zerkam z powątpiewaniem na cienką warstwę czekolady i już wiem, że to małe gówienko nie zaspokoi mojego apetytu. Pochłaniam słodycz na raz. Czuję jakieś orzeszki, karmel ciągnie się jak guma. A mnie nosi, żeby zjeść tabliczkę mlecznej czekolady, bez żadnych pieprzonych uduziwnień. Przeglądam zawartość lodówki, ale nie znajduję niczego, co mogłoby mnie usatysfakcjonować. Jestem cały w nerwach. Czuję napięcie, mrowi mnie skóra. Dociera do mnie, że chce mi się pieprzyć jak jasna cholera. Wiem, że to by mi pomogło, że zredukowałyby wkurwienie, które ogarnia moje ciało.

Muszę się jakoś inaczej rozładować.

W tej samej chwili mój żołądek wjeżdża na pełnej piździe z pretensjami, że go głodzę. Burczy tak głośno, że Kira na pewno też go słyszy.

– Muszę coś zjeść. Jesteś głodna?

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę i chyba domyśla się, że wspólny posiłek to najlepsze, co moglibyśmy teraz zrobić, żeby rozładować sytuację.

– W sumie zjadłabym coś dobrego.

– Świetnie. Idziemy na miasto.



Zaledwie kilkanaście metrów od hotelu kupujemy u Turka w budce döner kebaby z baraniną i dwa zimne piwa. Siadamy przy chybocącym się stoliku tuż przy jezdni i pochłaniamy żarło

w ekspresowym tempie. Muszę przyznać, że jest naprawdę smaczne. Mimo tego zastanawiam się, czy Kira nie ma do mnie żalu, że nie zabrałem jej do jakiejś restauracji z lokalnymi specjałami. I wtedy ona, jakby czytała mi w myślach, odzywa się z pełnymi ustami:

– Jezu, w życiu nie jadałam lepszego kebabu...

Patrzę na jej zadowoloną minę i zyskuję pewność, że miejsce, w którym jemy, zupełnie jej nie przeszkadza.

Ubóstwiam tę dziewczynę!

– Twoje zdrowie, Cyrus. – Wyciągam w jej stronę butelkę, ona bierze swoją, stukamy się, pijemy, po czym zgodnie stwierdzamy, że zimne piwo nigdy nie smakowało nam lepiej.

Kończymy posiłek, dopijamy browar. Już mamy wstawać, kiedy słyszę, że jakiś fagas dwa stoliki dalej drze się po grecku na zabiedzonego kundla. Nie cacka się. Daje psu takiego kopa, że ten ze skowytom ląduje na ulicy.

Niemal równocześnie zrywamy się z krzeseł. Kira wybiega na jezdnię, w ostatniej chwili ratuje psa przed nadjeżdżającym autem, a ja dopadam do skurwiela, który wpierdala dalej kebab i z pełną gębą jedzenia śmieje się z psa. Co za kutas! Łapię go za dłoń, robię dzwignię nadgarstkową, po niej łokciową i powalam go na chodnik na brzuch.

– I co gnojku, jak się teraz czujesz? – Przyciskam faceta do podłoża, krztusi się żarciem, szarpie się. Wykręcam mu mocniej rękę. Krzyczy coś niezrozumiale.

Nie jestem jakimś pieprzonym obrońcą zwierząt, jednak jak widzę, że ktoś znęca się nad niewinnym stworzeniem, mam ochotę go rozszarpać na strzępy. Wiem, że spora część Greków uznaje psy za pasożyty, podczas gdy koty są przez nich uwielbiane i dokarmiane. Ale, kurwa, wykopanie głodnego psa na ruchliwą ulicę to czysty sadyzm.

– Gordian, wystarczy. – Słyszę głos Kiry.

Koleś jest cały czerwony na mordzie, dusi się, nie ma już nawet siły wierzgać nogami.

Przenoszę wzrok na Kirę, która trzyma na rękach wystraszonego kundla.

– Daj spokój. Nie warto... – Pokazuje mi głową ludzi, którzy zaniepokojeni przyglądają się całej sytuacji. Dociera do mnie, że lada chwila ktoś może wezwać policję. Kira ma rację, nie warto.

Puszczam gnoja, nawet nie patrzę, jak się podnosi, tylko obejmuję Kirę ramieniem i odchodzimy dalej chodnikiem. Nie słyszę za nami wołania ani gróźb, więc domyśliłam się, że fagas odpuścił. Może wreszcie się, kurwa, nauczy, że nie kopie się słabszego.

– Biedak, cały się trzęsie. – Kira przytula psa do piersi.

Zerkam na niego, jest nieduży, wychudzony, cały ufajdany, ma posklejaną sierść i wystraszone oczy.

– Na trzymaj go tak blisko włosów, bo złapiesz od niego pchły.

– Nic mi nie będzie. Spójrz na niego, przecież to chodząca rozpacz.

Dostrzegam kilka metrów dalej sklep spożywczy z ławką tuż przy wejściu.

– Siadaj, zaraz wracam – mówię.

Kira, przejęta zwierzakiem, siada, kładzie go sobie na kolanach i zaczyna głaskać, przemawiając do niego pieśczośliwie, jakby był niemowlakiem.

Wchodzę do sklepu, zgarniam z półki mokrą karmę dla psów, biorę wodę niegazowaną i plastikowy kubek. Gdy tylko wracam, Kira patrzy się na mnie nieodgadnionym wzrokiem.

– Co? – pytam, bo po raz pierwszy widzę u niej takie spojrzenie.

– Kupiłeś mu jedzenie...

– No tak. A co, złe wybrałem? – Zerkam z powątpiewaniem na opakowanie, zastanawiając się, czy nie wziąłem przypadkiem jakiegoś gówna dla papużek albo innych sraków.

– Nie. Wygląda w porządku. Jesteś kochany. – Uśmiecha się szeroko, a ja mam nieodparte wrażenie, że gdyby nie trzymała teraz kundla na kolanach, rzuciłaby mi się na szyję.

Serce przyspiesza rytm. No dobra, dosyć tego niańczenia i udawania szczęśliwej rodzinki.

Otwieram puszkę, stawiam ją na chodniku i zabieram zwierzaka z kolan Kiry.

– Masz, jedz, kundlu. – Pies momentalnie dopada do żarcia. Aż cały drży z podniecenia. Stawiam obok niego kubek i uzupełniam go po brzegi wodą. – No dobra, to możemy iść.

Kira marszczy brwi, widzę, że coś jej nie pasuje.

– Nie zostawię go tak – mówi.

– Co?

– Nie mogę go tak zostawić. To ruchliwa ulica, wyjdzie na jezdnię, wpadnie pod samochód i zginie.

Biorę głęboki wdech, po czym wypuszczam głośno powietrze.

– Przecież nie możemy go ze sobą zabrać.

– Dlaczego?

– Nie wpuszczą go z nami do hotelu.

– Możemy go jakoś przemycić. – Uśmiecha się podstępnie.

– I co dalej? Zabierzemy go do Kalisty? Ona nie przepada za psami, woli koty. Poza tym nie mogę dokładać jej obowiązków. Ma już kozy, dom na głowie, jest coraz starsza...

– No tak, masz rację. – Kira przesuwając dłońmi po włosach. Patrzy litościwie na pchlarza, który wsadził pysk głęboko do puszki i przesuwając ją po chodniku. – Zabierzemy go ze sobą do Polski – oświadcza.

Podnoszę na nią wzrok, przekonany, że się przesłyszałem. Ale kiedy tylko dostrzegam w jej oczach podekscytowanie, domyślam się, że mówi całkiem poważnie.

Przewracam oczami. W sumie nie jest to może najbardziej poroniony pomysł świata, ale jak dla mnie totalnie z dupy. Wiem jednak, że muszę zachować to spostrzeżenie dla siebie, bo Kira napaliła się na tego psa i nie odpuści tak łatwo.

– Kiro, wylatujemy pojutrze – zaczynam ostrożnie.

– I co?

Nigdy nie miałem psa, nie jestem specem od pchlarzy, nie znam się na transporcie lotniczym zwierząt, ale chyba taki kundel powinien mieć zrobione jakieś badania, szczepienia, żeby bez problemu wsadzić go do samolotu.

– Chyba powinniśmy mieć dla niego jakieś dokumenty przed wylotem i bilet. Nie wiem, czy damy radę to załatwić... – Nie zdążam skończyć zdania, bo Kira wyciąga telefon i już szuka informacji w necie o transporcie lotniczym psów. Czyta coś z ekscytacją, ale z czasem jej optymizm słabnie.

– Kurczę, faktycznie może być z tym problem – stwierdza po dłuższej chwili i przygryza wnętrze policzka. – Musi mieć aktualną kartę szczepień, książeczkę weterynaryjną, wszczepiony chip... I linia czarterowa musi się zgodzić na jego transport, który należy zgłosić z jednodniowym wyprzedzeniem. – Odrzywa wzrok od komórki, rozgląda się, po czym znowu coś wpisuje. Zerkam na ekran, a ona już szuka w Google Maps najbliższego weterynarza. – Dziesięć minut stąd jest przychodnia weterynaryjna, jeszcze czynne... – Wkłada telefon do torebki, nawet na mnie nie patrzy, tylko uwalnia pysk psa z puszki i podstawia mu pod nos kubek z wodą. – Pij, mały, i idziemy do pana doktora.

Rany, ona tak na serio?

Nie odzywam się, bo widzę po niej, że jest mocno zdeterminowana, żeby ratować pchlarza. Czegokolwiek bym teraz nie powiedział, wiem, że ona i tak zrobi po swoim.

Weterynarz okazuje się wyjątkowo spokojnym kolesiem. Coś mi się zdaje, że nie jesteśmy pierwszymi turystami, którzy przychodzą do niego z zapuszczoną znajdą i nowatorskim planem wywiezienia go do swojej ojczyzny. Potwierdza informacje, które Kira znalazła w internecie. Pociesza, że wszystkie formalności możemy załatwić u niego, łącznie z paszportem i chipowaniem. Ostrzega jednak, że problem najczęściej jest z transportem. Czarterowi przewoźnicy nie zgadzają się na przelot zwierząt. Radzi więc, żebyśmy skontaktowali się z linią lotniczą, którą wracamy do Polski.

– Psy w naszym kraju nie mają łatwo – wyjaśnia dalej, podczas gdy Kira głaska pchlarza i patrzy mu w ślepią, jakby się w nim zakochała na amen. – Schroniska są przepełnione. Ale działają u nas fundacje, które pomagają znaleźć domy dla czworonogów i to do nich trafiają tego typu przypadki. Szukanie docelowego domu trwa miesiącami, a nawet latami. Niektóre psy nigdy nie opuszczają tymczasowych domów fundacji. Mogę podpytać, czy znajdzie się miejsce dla waszej znajdy.

Kira patrzy na mnie proszącym wzrokiem, a ja doskonale wiem, co jej chodzi po głowie.

Nie potrafię jej odmówić. Zerkam na kundla. Po tym, jak się naźarł, nie przestaje merdać ogonem

i rozdziawiać dyszącą mordę. Wygląda, jakby się do mnie uśmiechał. Mały cwaniak.

– Dobra, zadzwonię do przewoźnika z pytaniem, czy się zgadza – mówię, sięgając po telefon.

Kira rzuca mi się na szyję i całuje mocno w usta. Cholera, gdyby nie weterynarz i pchlarz, normalnie wziąłbym ją teraz nawet na tym zimnym, stalowym stole.

Czekam na połączenie z konsultantem linii lotniczych, a lekarz bada kundla i daje mu serię zastrzyków. Na samą myśl o tym, ile wybulę za tę wizytę, robi mi się słabo.

W końcu ktoś odbiera. Pytam, czy istnieje możliwość transportu psa, tłumacząc, że ma niezbędne dokumenty i szczepienia. Podaję destynację, termin i godzinę lotu.

– Czy to pies przewodnik, który towarzyszy osobie niewidomej? – pyta kobieta.

– Nie, to zwykły, mały pies rasy „grecki kundel”. Nie będzie robił problemu.

– Bardzo mi przykro, ale umożliwiamy transport tylko psom przewodnikom.

Nie wiem dlaczego, ale czuję się rozczarowany. Rozłączam się i podnoszę wzrok na Kirę, która przysłuchiwała się mojej rozmowie.

– Nie wezmą go? – pyta ze smutkiem w głosie.

Kręcę głową.

– Tylko pies przewodnik – informuję.

Kira zerka na kundla i założę się, że już kombinuje, jak tu zrobić z niego wyszkolonego psa przewodnika swojej niewidomej pani. Drapie go za uszami, po czym nachyla się, by go przytulić.

– Przykro mi, mały, naprawdę się starałam.

Słyszę w głosie Kiry autentyczny zawód i robi mi się jej naprawdę żal. I tego cholernego kundla też. No nic, zrobiłem, co mogłem.

Ustalamy z weterynarzem, że jeszcze dzisiaj podrzuci psa do jednej z fundacji, która na razie ulokuje go w swoim domu tymczasowym i postara się znaleźć mu docelowy dom. Nie woła od nas kasy, twierdzi, że fundacja pokryje koszty szczepień. Mimo to decyduję się zostawić mu trzydzieści euro. Nie wiem, co mnie popierdoliło, bo nie szastam zazwyczaj kasą na lewo i prawo. Może chcę wierzyć, że dzięki temu bardziej się postara, żeby znaleziono dom dla kundla, który skradł serce mojej dziewczyny.

Weterynarz wpisuje jeszcze w książeczkę wszystkie dzisiejsze szczepienia znajdy i przy okazji zadaje nam jakże kluczowe pytanie:

– Czy macie ochotę nadać mu jakieś imię?

– Nie – odpowiadam.

– Tak – mówi w tym samym momencie Kira.

No dobra, może chociaż to ją pocieszy, bo wygląda na mocno przybitą.

– Niech będzie. – Zmieniam zdanie. – Jak chcesz, żeby się wabił? Może Kundel? – Jakoś przyzwyczaiłem się do tego określenia.

– Chyba żartujesz. – Kira zupełnie mnie olewa i uśmiecha się łagodnie do psa. – Damy ci na imię Gorki. – Mierzwi mu sierść na łbie.

– Chcesz go nazwać na cześć radzieckiego pisarza? – To jest dopiero kiepski żart.

– Nie. – Uśmiecha się szeroko, oczy jej błyszczą. – Chcę go nazwać na cześć dwójki ludzi, którzy ocalili mu życie.

No proszę, jaka ona kreatywna. Może być. Chociaż uważam, że „Kundel” bardziej do niego pasuje.



Gdy zmierzamy drogą powrotną w stronę hotelu, jest już wieczór. Na ulicach świecą latarnie, zaczyna się nocne życie. Turyści zasiadają w tawernach, chodzą grupkami, śmieją się, bawią. Widzę po Kirze, że myślami jest gdzie indziej. Obejmuję ją ramieniem, przyciągam do siebie i całuję w czoło.

– Nic mu nie będzie. Wyglądał na mądrego kundla.

– Tak mądrego, że dał się wykopać na jezdnię i omal nie zginął.

– Będzie miał nauczkę, że nie powinien zaczepiać więcej greckich głabów, tylko takie fajne polskie dziewczyny jak ty. – Puszczam do niej oko i w tej samej chwili podchodzi do nas jakaś młódka z ulotkami.

– Dzisiaj pierwszy drink za darmo. Zapraszamy. – Pokazuje na klub za sobą.

Jesteśmy jakieś czterysta metrów od hotelu i mogę się założyć, że Kira marzy o tym, żeby położyć się spać.

– Nie tym razem – odpowiadam, ale Kira się zatrzymuje i bierze ulotkę do ręki.

– Mały drink chyba dobrze mi zrobi.

No i przegrałbym jebany zakład. Ta dziewczyna jest nieprzewidywalna. W sumie może faktycznie poprawi jej się humor po jednym głębszym.

Wchodzimy do środka, oddajemy w barze ulotki i dostajemy po wódce z sokiem. Muzyka dudni popowym basem. Obserwujemy wypełnioną po brzegi salę. Kira nieświadomie kołysze tyłkiem w rytm muzyki. Przez myśl jej pewnie nie przeszło, że gdy tak się rusza, mam ochotę podwinąć jej kieckę i robić z nią rzeczy, o jakich nawet nie śniła.

Opróżniamy szklanki i Kira zamawia dla nas po drugim drinku. Jest już nieco bardziej pogodna. Coraz częściej szturcha mnie biodrem, kiedy w ucho wpada jej znajomy bit. Wypijamy drinki, widzę, że Kira ma się już całkiem dobrze. Snuje plany na jutrzejszą wycieczkę, mówi – w zasadzie krzyczy mi do ucha, bo zagłusza ją muzyka – co chciałaby zwiedzić. Zamawia trzecią kolejkę, zaczyna tańczyć w miejscu. A gdy nasze szklanki robią się puste, ciągnie mnie na parkiet. Nie wiem, co ona ma takiego w sobie, ale już drugi raz w jej towarzystwie bujam się do jakiegoś popowego songu. Ja – ten, który, kurwa, przecież w ogóle nie tańczy i nie słucha takiej muzy.

Kira wywija biodrami, kręci się tak, że sukienka jej się podwija. Ocieram się o nią, gdy znajduje się blisko mnie, obejmuję ją w pasie, a ona sunie dłońmi po mojej kłacie. Wypiłem tylko trzy drinki, a szumi w głowie. Kira natomiast wygląda na mocno wstawioną. Rusza się jak kocica, uwodzi mnie, całuje. To pewnie przez zmęczenie całym dniem.

Jest gorąco. Parno. W powietrzu przenikają się zapachy perfum, alkoholu, potu, seksualnego napięcia. Przypominam sobie, że wychodząc z hotelu, chciałem się rozładować, a czuję, że mam teraz jeszcze większą ochotę poruchać. I to przez Kirę! Zarzuca mi dłonie na kark, przywiera do mnie piersiami, całuje w szyję... Jestem podjarany. Łapię ją za pośladki, zaciskam na nich palce, wyczuwam pod cienkim materiałem sukienki stringi. I przypominam sobie nasze popołudnie w łóżku. Myślę o jej gołej cipce, o tym, jak bardzo chciałbym ją wylizać. Ja pierdołę, ona mnie wykończy! Zaraz zacznę się do niej dobierać na środku parkietu.

– Wracamy do hotelu? – krzyczę.

Kira patrzy mi w oczy, uśmiechając się zalotnie.

– Okej.

Wychodzimy z klubu na letnie powietrze, oboje jesteśmy spoceni i spragnieni. Czuję lekki wiatr na mokrych plecach. Idziemy szybkim krokiem, trzymając się za ręce. Tak bardzo chce nam się pić, że po drodze, u tego samego Turka, kupujemy dwie butelki zimnego piwa, które wypijamy niemal jednym tchem. Im bliżej hotelu jesteśmy, tym większe pobudzenie wyczuwam między nami. Nie rozmawiamy za wiele, tylko zerkamy na siebie znacząco. Gdy wchodzimy do lobby, wsiadamy od razu do windy, jedziemy na siódme piętro, otwieramy drzwi naszego pokoju i rzucamy się na siebie, zajeżdżając podnieceni.

Nie wiem, czy to kwestia wypitego alkoholu, czy czasu, który dotychczas spędziliśmy razem, ale Kira jest rozluźniona i napalona jak nigdy wcześniej. Całujemy się łapczywie i bez tchu. Unoszę ją za biodra, przechodzę z nią na łóżko. Ściągam z siebie T-shirt, opróżniam kieszenie, rzucając portfel i komórkę na szafkę nocną, po czym nakrywam sobą ciało Kiry. Całujemy się namiętnie, wodzimy po swoich ciałach dłońmi. Nagle Kira niespodziewanie się przekręca i siada na mnie okrakiem. Żrenice ma rozszerzone, oddech urywany. Większość lasek, z którymi byłem, wołała, żebym to ja dominował. Mówiłem im, co mają robić, jak się ustawić... Ale w tym przypadku to właśnie Kira powinna decydować, czego chce, na co jest gotowa. A ta pozycja nadaje się do tego znakomicie.

Nachyla się nade mną, wpija usta w moje, przesuwa palcami po mojej kłacie.

Podciągam jej sukienkę, łapię za pośladki. Ja pieprzę. Zaraz wybuchnę. Kira przerywa pocałunek, porusza nieznacznie biodrami w górę i w dół. I choć oboje jesteśmy w ubraniu, to jara mnie to jak jasna cholera. Odslaniam jedną dłońią jej piersi, drugą mam wręcz przyklejoną do jej tyłka. Nie puszcze go,

za nic w świecie. Jest zajebisty. Przysysam się wargami do nabrzmiałego sutka, przygryzam go, liżę. Kira wzdycha, coraz intensywniej ociera się o moje krocze. Wiem, że czuje kutasa, nie sposób go nie czuć w takiej pozycji. Nie jestem pewien, czy ryzykować pójdziem o krok dalej, czy czekać.

A pieprzyć to. Przesuwam dłoń po jej tyłku, odchylam pasek od stringów i wsuwam palec w cipkę. Kira wydaje z siebie gardłowy jęk, ma zamknięte oczy, pręży się jak struna. Kurwa, jest taka ciasna i wilgotna, że nie wiem, czy będę w stanie się dłużej powstrzymać. Posuwam ją palcem powoli, ostrożnie, trzymając resztki rozsądku na wodzy. A ona zaczyna poruszać biodrami, wypina tyłek, sama wyznacza rytm. Wsuwam w nią drugi palec, jej oddech jeszcze bardziej przyspiesza, dłonie zaciskają się na moich ramionach. Wije się, jakby chciała więcej, jakby to jej nie wystarczało.

Nagle nieruchomieje i otwiera oczy. Spogląda na mnie zamglonym wzrokiem.

– Wyjmij palec – odzywa się.

Kurwa, co znowu poszło nie tak?

Bez słowa robię to, o co prosi. A wtedy ona przesuwą się niżej na moje uda, sięga dłońmi do rozporoka i rozpina mi spodnie. Mój puls wariuje. Patrzę na nią, a ona uśmiecha się lekko.

– Unieś biodra – mówi.

Znów robię to, co mi każe. Nie mogę oderwać od niej wzroku. Włosy ma w nieładzie, poliki różowe, usta nabrzmiałe, oczy lśniące. O cokolwiek mnie teraz poprosi, zrobię to bez mrugnienia okiem.

Ściąga mi spodnie z bokserkami poniżej bioder. Chuj wysuwa się z gaci, pręży się dumny i zadowolony. Kira patrzy na niego, ujmuje go w dłoń, przesuwą po nim powoli w górę i w dół. Słyszę własne stęknienie. Dreszcz przebiega mi po całym ciele. Widok jej palców na moim fiucie to uczta dla oczu.

– Wyciągnij prezerwatywę. – Na te słowa zasycha mi w gardle.

Ja pierdołę, nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Czy ona w ogóle wie, co właśnie powiedziała? Ostatnie, czego bym chciał, to żeby rano stwierdziła, że ją wykorzystałem po pijaku. Nie chcę, by czegokolwiek żałowała.

– Jesteś pijana?

Marszczy brwi.

– Odrobinę, a co?

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

Przewraca oczami w swoim stylu.

– Cicho bądź i rób to, co mówię.

Okej, w porządku. Nie trzeba mi dwa razy powtarzać. Ja pieprzę, ona naprawdę jest napalona. Sięgam do portfela na szafce, wyciągam gumkę. Już mam rozedrzeć opakowanie, ale Kira zabiera mi je z ręki. Wkłada folię do ust, rozrywa ją zębami, a ja mam taki wzwód, jakby krew z całego ciała odpłynęła mi do kutasa.

Patrzę oniemiały, jak Kira wyciąga gumkę, po czym nakłada ją na fiuta. Po raz pierwszy, odkąd rzuciliśmy się na siebie, dostrzegam u niej symptom zdenerwowania – drżą jej dłonie. Pomagam jej naciągnąć kondom do końca. Nasze spojrzenia się spotykają. Nie pytam ponownie, czy na pewno tego chce. Gdyby nie chciała, toby tego nie robiła. Nic się już nie odzywam, pozwalam jej, żeby przejęła inicjatywę. To ona gra tu pierwsze skrzypce. To jej koncert, na jej warunkach, a ja nie zamierzam go spierdolić.

Staje nade mną, nie odrywając ode mnie wzroku. Ściąga majtki, rzuca je na podłogę i klęka w rozkroku tuż nad moim kroczem. Sukienka zasłania jej cipkę i mojego kutasa, co tylko pobudza moje podekscytowanie. Patrzę, jak sięga dłonią pod materiał i czuję, jak obejmuje fiuta, widzę, jak przesuwą biodra tuż nad niego. Ani drgnę, nie jestem nawet pewien, czy oddycham. Kira wciąż patrzy mi w oczy, drży. Boję się jej dotknąć, żeby jej nie spłoszyć. Nie chcę, by poczuła, że zamierzam odebrać jej kontrolę. Wciąga powietrze przez nos, zniża się powoli z wydechem...

O ja pierdołę, czuję ją. Czuję, jak nadziewa się na kutasa. Czuję, jak ciasna cipka rozwiera się, gdy w nią wchodzi.

Kira opiera dłonie na moich barkach, przymyka powieki, obniża się jeszcze bardziej. Jest zajebiście, jest milion razy intensywniej, niż oczekiwałem.

Zmieniam zdanie w sprawie mojej ulubionej pozycji. Zawsze było nią pieprzenie od tyłu – ten widok, kiedy kutas zagłębia się w cipce, kiedy twoja dłoń ściska jędrny pośladek, kiedy kciuk przesuwają się po ciasnej dziurce tyłka, to najlepsze, co może zobaczyć facet podczas seksu. Ale dzisiaj najwyraźniej jestem na etapie połączenia chuja z mózgiem, bo zamierzam postawić doggie style na równi z pozycją na jeźdźca, kiedy to ona jest w pieprzonej letniej sukience zasłaniającej najlepszy widok ever. Ale, niech mnie diabli, jeśli to, co teraz widzę i czuję, nie jest najbardziej podniecającym doznaniem, jakiego doświadczyłem w życiu.

Patrzę, jak Kira zmysłowo rozchyła usta, jak opada, pozwalając, by fiut powolnie wchodził w nią aż do końca. Jest niesamowicie. Idealne dopasowanie. Słyszę, jak z jej krtani wydobywa się niski jęk, widzę, jak jej powieki się uchylają, jak w jej oczach płonie ogień. Przyciągam ją do siebie i całuję w usta. Jej biodra unoszą się nieco, by po chwili opaść. Kutas wysuwa się z gorącej cipki do połowy i znów się w nią zagłębia. Oddychamy coraz szybciej, całujemy się coraz intensywniej. Kira porusza się na mnie coraz swobodniej, jej dłonie zaciskają się mocniej na moich ramionach. Nie mogę już wytrzymać. Łapię ją za tyłek, unoszę biodra i wbijam się w nią głębiej. Rozlega się jęk rozkoszy.

Kira patrzy mi w oczy.

– Jeszcze raz – mówi.

Rozchyłam jej pośladki, wysuwam się nieznacznie z ciasnej cipki i wchodzę w nią głęboko, aż po same jaja.

– Jeszcze... – Dyszy mi w usta.

Puszczają mi wszystkie hamulce. Zaciskam palce na jej zajebistym tyłku i zaczynam ją pieprzyć. Po moich jajach przepływa prąd, po czole spływa pot. Kira jęczy, wbija paznokcie w poduszkę tuż przy mojej głowie. Nasze nagie ciała obijają się o siebie. Łapię ustami jej pierś, ocieram się o nią wargami, gryzę.

Posuwam Kirę mocno i namiętnie. Wije się nade mną z rozkoszy. Jestem cały naładowany, czuję skurcz i następny. Zaraz dojdę, a nie chcę jej tak zostawiać.

Łapię ją za ramiona, siadam. Ona wciąż na mnie, ja w niej. Ciemne oczy patrzą na mnie zamglonym spojrzeniem.

– Ujeżdżaj mnie powoli... – Sięgam dłonią do łechtaczki. Jest cała nabrzniata i wilgotna.

Kira unosi biodra i opada na kutasa. Masuję ją w najwrażliwszym miejscu. Z każdą upływającą chwilą zbliża się do orgazmu. Sam jestem już na granicy. Chwytam ją jedną ręką za kark, wpijam się w jej usta. Znów łapiemy wspólny rytm, tym razem wolniejszy, pełen napięcia, wyczekiwania na to, co za chwilę nastąpi. Czuję jej dłonie we włosach, jej zapach, smak, czuję ją wszędzie. Napływa skurcz, po nim kolejny. Kira przywiera do mnie mocniej ustami. Jej oddech jest coraz szybszy. Widzę, że zamyka oczy, marszczy brwi i wtedy ją czuję. Czuję, jak cipka zaciska się na kutasie, jak jej ciało zamiera. Z ust wydobywa się przeciągłe jęknięcie rozkoszy. Dochodzi.

Odchyłam się do tyłu, unoszę jej biodra i wykonuję kilka pchnięć. Przez kutasa przepływa rwący prąd, gorąca sperma tryska ze mnie jak wulkan.

Ja pieprzę! Najlepszy seks, jaki miałem w życiu.

Opadam na poduszkę, a Kira na mnie. Obejmuję ją ramionami. Jesteśmy spoceni, zdyszani, spełnieni. Leżymy w milczeniu dłuższą chwilę i nagle czuję, że jej ramiona się trzęsą.

Co jest?

Unoszę jej twarz i dostrzegam, jak pojedyncze łzy uwalniają się z oczu. Serce obija mi się o zebra.

– Kira... – Ocieram kciukiem jej policzki.

– To nic... – Przywiera twarzą do mojej piersi.

Jak, kurwa, nic, jak coś.

– To przez psa?

– Nie.

– Coś cię boli?

– Nie.

– Żałujesz?

– Nie. – Przesuwa dłonią po moim torsie. – Było świetnie.

Sięgam ponownie do jej twarzy, zaglądam w zapłakane oczy. Mam taką gulę w gardle, że nie mogę nawet przełknąć śliny.

– Powiedz, co się dzieje? Dlaczego płaczesz?

Patrzy na mnie szczerze, ufnie. Uśmiecha się lekko.

– Nie zrozumiesz – szepcze.

– Spróbuj.

Przybliża się do moich ust, całuje mnie delikatnie, niemal niewyczuwalnie. A ja już totalnie nie ogarniam, o co chodzi.

– Kira, co jest grane? Dlaczego jesteś smutna?

Patrzy mi w oczy, przesuwając palcami po dolnej wardze.

– Nie jestem smutna, tylko szczęśliwa. Z tobą.

Wstrzymuję oddech, serce wali mi jak szalone. Płacze ze szczęścia, z mojego powodu? Nim zdążam ogarnąć chaos myśli w mojej głowie, Kira stwierdza, że chce jej się bardzo siku i musi do łazienki.

Wstaje, a ja podążam wzrokiem za jej nagimi plecami, pośladkami, udami...

Gdy znika za drzwiami, leżę w bezruchu, wsłuchując się w głośnie pulsowanie w skroniach. Analizuję jej słowa i dociera do mnie, że Kirze zaczyna na mnie zależeć. W każdym innym przypadku miałbym to głęboko w dupie. Tymczasem czuję się tak, jakbym się naćpał. Ogarnia mnie niezrozumiały rodzaj euforii, której nie potrafię porównać do żadnego innego uczucia. Nigdy się tak wcześniej nie czułem – ani po zezarciu tony czekolady, ani po wygranej walce, nawet podczas zajebistego seksu, który przecież przed chwilą miał miejsce. Przesuwam dłońmi po twarzy. Wyczuwam na nich jej zapach, mam na ustach jej smak... Tętno jeszcze bardziej mi przyśpiesza. Mam ochotę znowu ją pocałować, znowu być w niej, z nią, chcę ją poczuć, usłyszeć jej głos, choć dosłownie przed chwilą rozmawialiśmy.

Dociera do mnie szum wody w toalecie. Zdejmuję kondom, zakładam bokserki, podchodzę do drzwi łazienki, pukam.

Cisza.

– Kira?

Cisza.

Naciskam na klamkę, wchodzę do środka i widzę ją, jak siedzi naga w wannie, do której wartkim strumieniem leci parująca woda.

Nasze spojrzenia się spotykają. Uśmiecham się, nie spuszczać z niej wzroku. I już wiem, na co mam teraz największą ochotę. Wrzucam prezerwatywę do kosza, zdejmuję bokserki...

– Co ty robisz? – Kira patrzy na mnie, marszcząc brwi.

– To samo co ty – odpowiadam i pakuję się do wanny.

– Przecież się nie zmieścimy!

– Zmieścimy. – Wciskam się tuż za nią, siadam, rozkładając szeroko nogi, i przyciągam jej plecy do piersi.

Woda podnosi się pod sam brzeg wanny.

– Gordian, tu jest ciasno, a ja chcę się odprężyć. – Śmieje się i wbija mi łokieć pod żebra.

– Pomogę ci się odprężyć. – Kładę dłonie na jej karku, rozmasowuję łopatki, a ona stopniowo mi się poddaje. Przesuwam palcami po szyi, plecach, naciskam na napięte mięśnie, aż w końcu Kira wzdycha i opiera o mnie głowę. Namydlałam dłonie, zaczynam wodzić nimi po jej ramionach, brzuchu...

Mój kutas najwyraźniej już odpoczął po ostatnim razie, bo zaczyna reagować i napierać na jej plecy.

– Jesteś niestrudzony – śmieje się Kira.

– Wiecznie gotowy na ciebie – mówię tuż przy jej uchu.

Ujmuję moje dłonie i splata ze swoimi.

– Po prostu poleżmy w ciepłej wodzie i odpocznijmy, dobrze?

Obejmuję ją mocno i dociera do mnie, że właśnie to mam ochotę teraz zrobić. Poleżeć razem z nią i po prostu odpocząć. Nigdy bym nie przypuszczał, że znalazłszy się z nagą, zajebistą laską

w wannie, zadowolę się czymś takim. Co więcej, będę czuł się z tym naprawdę dobrze.

Ogarnia mnie znowu ten euforyczny stan, którego wcześniej nie potrafiłem nazwać. Teraz jednak już wiem, czym on jest. I wiem, że będzie trwał zaledwie chwilę... Dlatego zamierzam go przedłużyć, ile mogę, wycisnąć ze skurwiela jak najwięcej, bo nie odwiedzał mnie za często we wcześniejszym życiu.

– Jestem szczęśliwy. Z tobą – wyznaję tuż przy skroni Kiry.

Być może jeszcze pożałuję tych słów, ale teraz czuję się z nimi zajebiście dobrze.

Odwraca głowę i patrzy na mnie. Jej oczy się uśmiechają.

– To wspaniale, Gordi. – Przesuwa dłonią po moim policzku. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę – dodaje i całuje mnie w usta.

Wpadłem po uszy.



Po kąpieli lądujemy w szlafrokach hotelowych na łóżku, włączamy telewizor i skaczymy po kanałach. Kira zatrzymuje się na jakimś muzycznym programie. Leci jakiś kawałek pop. Młode dziewczę z teledysku śpiewa o tym, że tęskni za swoim chłopakiem.

– Przełącz – mówię.

– Dlaczego?

– Nie kręć mi taka muzyka.

– A jaka cię kręci? – Kira przeskakuje na kolejny kanał muzyczny z jakimś pieprzonym disco.

– Na pewno nie znajdziesz jej na tego typu kanałach. Lubię mocne bity: trap and bass, drum and bass, dubstep...

– Pierwsze słyszę.

– Bo to nie jest muzyka dla mas, jaką zwykle grają stacje radiowe.

– Puść mi jakiś kawałek. – Kira wyłącza telewizor i patrzy na mnie wyczekująco.

Marszczę brwi.

– Niby jak?

– Na telefonie. – Sięga po swoją komórkę.

Śmieję się, bo teraz to pojechała po całości.

– Cyrus, słuchanie takiej muzy bez kolumn lub dobrych, dużych słuchawek, to profanacja.

– Nie wiedziałam, że z ciebie taki audiofil – kpi i odpala YouTube. – Podaj tytuł.

Wzdycham ciężko.

– Wpisz „Dirtyphonics & Bassnectar”.

Słuchanie takiej zajebistej muzy na głośniku z komórki to będzie jakaś masakra. Może rolka odrobinę podratuje sytuację.

– Nie puszczaj jeszcze – rzucam i idę do kibla.

Rozwijam cały papier toaletowy, po czym wracam z pustą rolką. Kira patrzy na mnie zdezorientowana.

– Po co ci to?

– Zobaczysz, a może i usłyszysz.

Sięgam do plecaka, wydaję z zestawu przetrwania żyletkę, a następnie siadam i wycinam w rolce prostokąt wielkości podstawy telefonu.

Kira przysuwa się, zagląda mi przez ramię.

– Daj komórkę. – Wyciągam rękę.

Zerkam na wyświetlacz. Widać na nim oczekujący na włączenie kawałek, który kazałem wyszukać Kirze. Wciskam znak „play”. Rozlega się znajomy bit, który brzmi z telefonu jak pierdzenie w klozet. Wkładam aparat głośnikiem do wyciętej szpary w rolce. Dobra, trochę lepiej, ale wciąż chujnia.

– No, niezły patent. Studia inżynierskie na coś ci się przydadają w życiu – żartuje Kira i zabiera mi telefon z głośnikiem z rolki. Siada, opiera się o wezłowie łóżka i wsłuchuje się w kawałek. – Całkiem niezły... Pasuje do ciebie. – Widzę, że porusza stopą w rytm muzyki. Czuję nieodpartą pokusę, żeby ją dotknąć. Przesuwam się w stronę jej nóg, sięgam po stopę i zaczynam masować. Kira patrzy mi w oczy, przygryza dolną wargę. Domyślam się, że jest jej dobrze.

- Jak twoja kostka?
- To nie ta noga. – Śmieje się.
- No proszę, jaka się z niej zrobiła śmieszka.
- Wiem, że nie ta. Pytałem ogólnie, czy nadal cię boli?
- Myślę, że po powrocie będę mogła już walczyć.
- Na pewno nie u nas – informuję od razu, żeby była jasność.
- Dlaczego?
- Bo jak zauważyłaś, nie prowadzimy walk kobiet.
- Mnie to nie przeszkadza.
- A mnie tak.

Kira zabiera stopę.

- Nie wiedziałam, że jesteś seksistą.
- Bo nie jestem. Na własnej skórze przekonałaś się, jakie pojeby biorą udział w naszych walkach.

O mały włos, a Oz zmasakrowałby ci twarz. – Na samo wspomnienie tamtego zdarzenia mam ochotę jebnąć krzesłem o ścianę.

Kira patrzy mi w oczy.

- W takim razie chcę organizować u was własne walki dla kobiet.
- Nie.
- Dlaczego?

– Bo to nielegalne. Poza tym z tego, co pamiętam, wracasz za miesiąc do Anglii – przypominam i odnoszę wrażenie, że fakt ten uderza mnie mocniej, niż powinien.

- Jeszcze nie wiem, czy wrócę... – Kira patrzy mi w oczy.

Unoszę brwi. Serce dziwnie przyspiesza rytm.

- Dlaczego?

Wzrusza ramionami, spogląda na telefon, a ja zdaję sobie sprawę z tego, że muzyka się skończyła i rozmawiamy w ciszy.

- Do niczego mnie tam nie ciągnie.

- A szkoła?

Podnosi na mnie wzrok.

- Mogę skończyć tutaj.

- Fundacja?

- W każdym kraju są kobiety, które potrzebują pomocy i wsparcia.

Patrzę na nią, serce cały czas mocno mi wali. Dociera do mnie, że nie chcę, żeby wyjeżdżała.

Kurwa, jeśli między nami nadal będzie układać się tak jak teraz, to ona wręcz nie może wyjechać.

- To całkiem niezły pomysł. – Sięgam po jej drugą stopę. – Ale na walki nie pozwalam. – Kira chce wyrwać nogę, ale ją przytrzymuję i dodaję: – Możesz jednak prowadzić u nas treningi z samoobrony bez ponoszenia kosztów dzierżawy. Czysty zysk.

Kira mruży oczy, zastanawia się i po chwili na jej twarzy pojawia się wyraz zadowolenia. Chyba jest usatysfakcjonowana, bo pozwala mi dotykać swojej stopy.

- To teraz ty puść mi swój ulubiony kawałek – proponuję i zaczynam masować jej kostkę.

Myśli w ciszy, z każdą sekundą poważnieje. W końcu się odzywa:

- To stary kawałek... – Wpisuje coś na telefonie. – Tata lubił go słuchać, kiedy byłam mała. – Klika w przycisk na ekranie. – Po kilku latach wróciłam do tej piosenki. Puszczalam ją na okrągło, gdy czułam się naprawdę kiepsko. Dodawała mi nadziei... – wyznaje nieco stłumionym głosem, po czym włącza utwór.

Rozlega się znajoma melodia. Kira zniża się, kładzie głowę na poduszce, zamyka oczy.

Wsluchuję się w znane mi słowa. Mam wrażenie, jakby ktoś rzucił mi na pierś wór kamieni.

Tyle było dni, do utraty sił,

Do utraty tchu, tyle było chwil,

Gdy żalujesz tych, z których nie masz nic,

Jedno warto znać, jedno tylko wiedz:

*Że ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy,
Ważnych jest kilka tych chwil, tych, na które czekamy,
Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy, Ważnych jest kilka tych chwil...*^[12]

Masuję jej stopę i widzę, że Kira się rozluźnia. Oddech jej się uspokaja, jakby zapadała w sen. A we mnie buzuje. Domyślam się, kiedy najczęściej słuchała tego kawałka. Przypominam sobie wszystko, o czym opowiadała i, kurwa, nie mogę znieść, że tak wiele wycierpiała. Wszystko przez tego złamanego chuja. Ten pierdolony gwałciciel nie daje mi spokoju. Już moja w tym głowa, żeby nigdy nikogo nie skrzywdził.

Muzyka milknie. W żyłach gotuje mi się krew. Kira leży z zamkniętymi oczami.

Wysłuchuję się w ciszy w jej miarowy oddech. Wstaję, podchodzę bliżej, patrzę na jej twarz przez dobrych kilka minut, a gdy zyskuję pewność, że usnęła, przykrywam ją prześcieradłem i wyjmuję powoli telefon z jej dłoni. Kira wygląda tak spokojnie, niewinnie. Ten widok budzi we mnie nieznanę dotąd instynkty. I chociaż racjonalnie mam świadomość tego, że jest zajebiście silna i kiedyś pokona demony przeszłości, nie mogę zostawić spraw takimi, jakie są.

Zabieram swój telefon, idę do łazienki, wybieram numer Tobiasza i puszczam wodę pod prysznicem, żeby zagłuszyć naszą rozmowę. Jest po trzeciej, więc wyjdę na niezłego chuja, że budzę go w środku nocy. Trudno, nic mu nie będzie.

Odbiera po drugim sygnale. W tle słychać głośną muzykę. Nie jestem tym jakoś szczególnie zaskoczony. Tobiasz nigdy mi nie wyglądał na domatora.

– Kogo niesie?! – odzywa się, krzycząc.

– Cześć, tu Gordian. Masz chwilę?

– Gordian! Pewnie, poczekaj, wyjdę na zewnątrz. – Słyszę, jak się przemieszcza, rozlega się trzaśnięcie drzwiami, za którymi nikną odgłosy muzyki. – Już, jestem. Co cię tak przypiliło, że uderzasz o tej porze?

– Mam sprawę. W sumie nic pilnego, ale nie daje mi żyć.

– Jeśli tylko będę mógł pomóc...

– Jeśli to zrobisz, gwarantuję ci darmowe treningi, aż będziesz miał mnie dosyć.

– Oho, zaintrygowałeś mnie. Mów.

– Chcę, żebyś znalazł jednego skurwiela...

Opowiadam mu wszystko, co wiem na temat sukinsyna, który zgwałcił Kirę. Podaję jego imię, przybliżony okres wsadzenia do paki, miasto, w którym mieszkał...

– Da się zrobić. I co dalej, jak już go znajdę? – Słyszę, jak zapala papierosa i się zaciąga.

– Najlepiej, żeby ktoś upierdolił mu chuja.

Tobiasz się śmieje.

– Jeśli facet w ogóle jeszcze żyje. Pedofilom urządzi się piekło za kratami. Osadzeni ruchają takich w dupę, miażdżą im jajca, podpalają fiuty, a strażnicy na to przyzwalają. Możliwe, że koleś już dawno się powiesił – odpowiada beznamiętnie. – Tak czy siak, załatwię sprawę. Możesz spać spokojnie – zapewnia.

A mnie od razu robi się lżej.



Budzi mnie poranny wzwód. Przekręcam się i orientuję, że nie jestem sam. Puls mi przyśpiesza, lecz gdy widzę, kto leży obok mnie, od razu się uspokajam. W dole brzucha rozchodzi się ciepły prąd i wędruje aż do jaj.

Chyba powinienem się jednak leczyć na głowę, bo oto przyszła wiekopomna chwila, kiedy spędziłem noc z seksowną dziewczyną wyłącznie na spaniu, i czuję się z tym wybitnie dobrze.

Kira leży na boku, plecami do mnie. Ciemne włosy ma rozrzucone na poduszce, oddycha równo, spokojnie. Obejmuję ją i układam się tuż za nią. Kutas wrywa się instynktownie, żeby otrzeć się o jej pośladki. Przyciskam go do tyłka odzianego w szlafrok, całuję odsłonięty kark.

Mruczy coś pod nosem.

– Śpisz? – pytam.

Wiem, że śpi, ale jestem tak pobudzony, że zaraz mi jaja wybuchną.

– Mhm...

Odchylam miękki kołnierz, całuję ją w ramię, rozwiązuję pasek, przesuwam dłonią po brzuchu, łapię za pierś, zaczynam ją pieścić.

Oddech Kiry przyśpiesza, ciało pręży się ospale. Wygląda na to, że właśnie się obudziła. Podciągam powoli dół jej szlafroka. Ocieram się chujem o jej pośladki. Są tak idealnie krągłe i jędrne. Zjeżdżam dłonią z piersi na wzgórek łonowy, zagłębiam się w zajebistym cieple między udami, odnajdując łechtaczkę.

Słyszę westchnienie. Kira wypina tyłek z podniecenia, a mój kutas jest już tak twardy, że marzy tylko o tym, żeby w nią wejść. Pieszczę coraz mocniej wrażliwą łechtaczkę, sprawdzam wejście do cipki – jest wilgotna, gorąca, gotowa. Wsuwam w nią palec. Kolejne westchnienie.

Mój chuj znalazł sobie zajebiste miejsce między pośladkami. Przesuwam nim w górę i w dół.

O tak, jest dobrze.

Zapachy naszych ciał łączą się w jedno. Jej cipka jest już tak wilgotna i nabrzmiała, że grzechem byłoby z tego nie skorzystać. Gdy wysuwam z niej palec, słyszę cichy jęk protestu.

– Sekunda. – Sięgam do portfela, wyciągam gumkę, rozrywam opakowanie i zakładam ją na fiuta.

Zrzucam z siebie szlafrok, bo strasznie mi gorąco, i zauważam, że Kira się nie odwraca. A przecież na pewno słyszała rozrywaną folię od kondoma. Mimo to leży wciąż w tej samej pozycji.

Cholera, pewnie usnęła.

Obejmuję ją, a wtedy ona ściąga moją dłoń i kładzie ją na wzgórku łonowym.

– Wejdz we mnie – prosi zachrypniętym głosem, napierając tyłkiem na kutasa.

To mi się podoba.

Całuję ją w kark, pieszczę palcami cipkę.

– Chcesz tego? Tak? – Dyszę w jej szyję, dociskając do pośladków nabrzmiatego penisa.

Kira sięga ręką do tyłu, wsuwa mi palce we włosy i wypina swoje zajebiste krągłości.

Ja pieprzę, co za cudowny początek dnia.

Łapię za kutasa, odnajduję gorące wejście do cipki, po czym zanurzam się powoli w rozkosznej wilgoci. Kira podsuwa bliżej tyłek. Zaciskam na nim palce, wciągając z sykiem powietrze.

– O tak. Jesteś taka ciasna, gorąca... – Dyszę do jej ucha, wchodząc w nią coraz głębiej. Kira ciągnie mnie za włosy, wypina się jeszcze bardziej, a ja zagłębiam się w nią do samego końca.

Z jej krtani wrywa się jęk rozkoszy, który totalnie mnie rozbraja. Zaczynam poruszać biodrami, posuwam ją powoli od tyłu. Pieszczę palcami łechtaczkę, a ona oddycha coraz szybciej, postępuje zmysłowo. Przyśpieszam tempo, objam się o jej pośladki, moje ruchy są krótkie, dynamiczne, zatracam się w pieprzeniu, ale nie tak, jak z innymi laskami. Nie odpływam, nie wyobrażam sobie więcej, niż dostaję, nie dążę za wszelką cenę do wytrysku. Jestem tu i teraz, z Kirą. Upajam się dotykiem jej nagiej skóry, jej oddechem, tym, jak pojękuje, jaka jest gorąca, jak zajebicie jest mi w jej cipce. Jest tak kurewsko dobrze, że bardziej podnieca mnie fakt, że się z nią pieprzę, niż to, że za kilka chwil będę miał orgazm.

Zwalniam rytm, chcę pozostać w niej jak najdłużej. Lecz to nic nie daje, bo jaja mam już tak nabrzmiące, że lada chwila dojdę. Zamierzam poczekać na nią, mam ochotę zobaczyć jej twarz, kiedy będzie szczytować. Zatrzymuję się i wysuwam powoli z jej cipki.

Momentalnie odwraca się w moją stronę.

– Dlaczego przestałeś?

– Chcę cię zobaczyć. – Nachyłam się nad nią, tak że przekreca się zupełnie na plecy. Źrenice ma rozszerzone, pierś falującą. Widzę po niej, że jest mocno podniecona. Rozszerzam kolanem jej uda, moszczę się pomiędzy nimi i zaczynam ją całować. Oddaje pocałunki z pożądaniem, oplata mnie nogami, kładzie dłonie na moich biodrach, zjeżdża niżej...

– Masz rewelacyjny tyłek. – Zaciska na nim palce.

Śmieję się. Trafił swój na swego.

– To jest nas dwoje. – Poglębiam pocałunek, sięgam po nabrzmiątego członka i wchodzę w nią powoli do samego końca.

Wygina się w łuk, wbija mi paznokcie w skórę. Całuję jej piersi, wysuwam się i wchodzę ponownie. Robimy to nieśpiesznie, sensualnie, patrząc sobie w oczy, odurzając się każdą chwilą. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek pieprzył się tak z dziewczyną. Zawsze było ostro, szybko, oby jak najprędzej dojść. To, co robimy teraz z Kirą, trudno nawet nazwać pieprzeniem. Nie mam na to nazwy, ale to wyczekiwanie, ta wstrzemięźliwość, to koncentrowanie się na każdym pchnięciu, są tak podniecające, że nie dam rady dłużej się powstrzymywać. Wyczuwam, że Kira też jest już na granicy, więc przyśpieszam rytm. Wychodzę z niej i wbijam się coraz szybciej, coraz intensywniej. Chłonę każdy jej oddech, każde westchnienie i łapię się nad tym, że z mojej krtani wydobywa się niskie pomrukiwanie. Jestem rozogniony i tak podjarany widokiem leżącej pod mną Kiry, że tracę nad sobą kontrolę.

Słyszę, jak nasze nagie ciała uderzają o siebie. Z każdym pchnięciem cipka Kiry daje znać, że jest zajebicie mokra. Czuję napływające gorąco i mrowienie w jajach. Dreszcz przepływa mi po kręgosłupie. Nie wytrzymam dłużej.

– Dochodzę. – Dyszę jej w usta, a wtedy ona przyciąga mnie mocno do siebie i przywiera do mnie wargami.

Napływa skurcz, po nim kolejny. Zaciskam powieki, tężeję. Orgazm jest tak intensywny, aż brak mi tchu. Całe moje ciało się napina, przesywa mnie dreszcz, czuję rozchodzące się po kutasie ciepło. I tryskam. Długo, intensywnie. Moje biodra poruszają się niekontrolowanie w przód.

Po kilku sekundach wreszcie mogę złapać oddech. Szumi mi w uszach, jestem totalnie wypompowany. Otwieram oczy. Kira mi się przygląda, a ja czuję się jak samolubny dupek.

– Cholera, nie doszłaś. – Opieram czoło o jej czoło. – Daj mi chwilę. – Staram się powrócić do normalnego stanu, ale całe ciało mam jak z waty. Co to był za wykurwiście cudowny orgazm!

– Doszłam.

Patrzę na nią z powątpiewaniem.

– Jesteś pewna? Nic nie czułem.

– Doszłam mentalnie, od patrzenia na ciebie. – Uśmiecha się szeroko.

– Co? – Śmieję się.
– Nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bosko wyglądasz podczas orgazmu.
Od razu zyskuję przyływ energii.
– Ja zawsze wyglądam bosko. – Zniżam się, całuję jej piersi, brzuch... – Kira chichocze nisko. –
Co więcej, potrafię robić boskie rzeczy. – Wsuwam się pomiędzy jej uda i zanurzam twarz w cipce.
Jestem w niebie.
– Co ty robisz!? – Momentalnie się spina.
– Zaraz się przekonasz. – Przesuwam językiem po łechtaczce i chwytam ją ustami.
Czuję, jak Kirą wstrząsa dreszcz, kiedy całuję ją w najwrażliwsze miejsce. Odchyła głowę do tyłu i zanurza dłonie w moich włosach.
Wsuwam język w cipkę Kiry. I już wiem, że uwielbiam jej smak i będę lizał ją tak często, jak tylko mi na to pozwoli.
Unosi biodra, przyciąga moją głowę do siebie, jakby chciała, żebym wszedł w nią jeszcze głębiej.
Wsuwam palec w szparkę, całuję wargi sromowe, zasysam łechtaczkę. Kira wzdycha raz za razem.
– Nie przestawaj... – Dyszy.
Wcale nie zamierzam.
Dokładam drugi palec, pieprzę ją i liżę. Kira wije się, ciągnąc mnie za włosy.
– O tak, zaraz... – Napina się. Czuję, jak cipka zaciska się na moich palcach.
Kira marszczy czoło, rozchyła usta. Słyszę gardłowy jęk rozkoszy i spełnienia. Wygląda zabójczo pięknie i zmysłowo. Zniwala ją z niej dziewczyna.
A ja jestem największym szczęściarzem na ziemi, bo jest moja.



Około południa bez problemów odbieramy z ambasady mój paszport, co bardzo mnie cieszy.
Ruszamy na Anafiotikę, która stanowi fragment jednej z dzielnic Aten. To niezwykle miejsce, gdzie wstęp mają tylko piesi, bo uliczki są tak wąskie, że czasami nawet postawnemu dorosłemu trudno jest się przecisnąć między domami.
Kira jest zachwycona kolorystyką budynków, wśród których dominują biel, błękit i pomarańcz.
– Ile tu roślin w donicach... – Rozgląda się oczarowana. – Zobacz, jakie słodkie niebieskie okiennice. I to pnącze... ma zabójcze kwiaty. Ciekawe, jak się nazywa. – Cyka fotki jak oszalała.
– Bugenwilla – odpowiadam.
– A to? – Robi kolejne zdjęcie.
– Clematis.
Zerka na mnie.
– Ty na pewno nie minąłeś się z powołaniem? Skąd znasz nazwy tych roślin?
– Mama je uwielbia. Podobnie jak różowe eustomy. Po prostu zapamiętałem – wyjaśniam i wtedy dobiega mnie jakby echo naszej rozmowy.
Wyteżam słuch, ale echo niknie równie szybko, jak się pojawiło.
– Boże, ile tu kotów. Kici, kici! – woła Kira jednego z opasłych kocurów, który wyleguje się na kamiennych schodkach.
I wtedy znowu słyszę jej głos – jakby opóźniony o kilkanaście sekund pogłos. W swoim życiu byłem już trzy razy na Anafiotice z matką i nigdy nie spotkałem się tutaj z tym zjawiskiem.
– Koniec tej uliczki to koniec tej części dzielnicy – zwracam się do Kiry. – Gdzie będziesz chciała pójść dalej? Masz coś upatrzone czy zdajesz się na mnie?
Zastanawia się, wyciąga telefon, a wtedy ja słyszę swój przytłumiony głos, jakby dobiegał zza ściany: *Gdzie będziesz chciała pójść dalej? Masz coś upatrzone czy zdajesz się na mnie?*
Co jest, kurwa?
– Słyszałaś to?
– Co? – Przesuwa palcem po ekranie.
– Jakby opóźnione echo.
Podnosi na mnie wzrok.

– Nie, a co?

– Nic. Miałem wrażenie, jakby mój głos odbijał się od ściany tamtego budynku – tłumaczę i wtedy znowu słyszę wypowiedziane przez siebie słowa: *Miałem wrażenie, jakby mój głos odbijał się od ściany tamtego budynku.*

– A teraz, słyszałaś? – Robi mi się dziwnie gorąco. Czuję, że po skroni spływa mi zimny pot. Ocieram go ramieniem i dostrzegam, że moje dłonie drżą.

– Nie słyszałam... – Kira mi się przygląda, ściąga brwi. – Dobrze się czujesz? Jesteś błądy.

– Nic mi nie jest. – Zdejmuję plecak, stawiam go na ziemi. Muszę się napić, może to odwodnienie. Nachylam się i wtedy głowę przeszywa mi kurewsko silny ból. Wydaję z siebie mimowolny syk.

– Co ci jest? – Kira kładzie mi dłoń na plecach.

Nic nie odpowiadam. Mam wrażenie, że zaraz rozpiardoli mi łeb. Siadam bez słowa na jakimś stopniu, staram się upić łyk wody. Kira spogląda na mnie zaniepokojona.

Jak ja, kurwa, nie znoszę, kiedy ktoś patrzy na mnie z takim współczuciem. Pocieram dłonią czoło, pot się ze mnie leje, jestem cały mokry.

– Wyglądasz fatalnie. Może położysz się gdzieś w cieniu? – Słyszę jej głos jakby z oddali.

W sumie niegłupi pomysł. Tylko że nie mam siły wstać. Ból jest tak silny, że instynktownie zaciskam powieki. Ja pierdołę, może to jakiś udar słoneczny?

I wtedy słyszę znenawidzony głos w głowie: *To nie żaden udar, tylko początek twojego końca, ty nieposłuszny skurwielu.*

Ktoś wbija mi igłę w potylicę, robi mi się ciemno przed oczami, czuję bezwład. Odpływam.



Słyszysz mnie? Gordian, ocknij się. – Ktoś klepie mnie po twarzy. Na głowę spływa przyjemny chłód. Otwieram oczy, widzę Kirę. Wylewa mi wodę na włosy.

– Co robisz? – pytam oszołomiony.

– Straciłeś przytomność. Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiadam, bo naprawdę nic mi nie jest oprócz tego, że trochę boli mnie głowa.

– Mów prawdę. – Kira patrzy na mnie karcąco.

– Przecież mówię. – Mam wrażenie, jakby to, że zemdlałem, w ogóle nie miało miejsca. Czuję się silny i myślę trzeźwo, do momentu aż nie staję na nogi. Nagle świat wiruje. Opieram się o murek, a potem biorę kilka głębszych wdechów.

– Pij wodę. – Kira wciska mi butelkę w dłoń. – To chyba udar ciepłny.

Już zamierzam jej powiedzieć, że też na to wcześniej wpadłem, ale przypominam sobie, że znowu słyszałem ten pieprzony głos w głowie. Nie chcę mi się nawet o nim myśleć. Mam ochotę walnąć się gdzieś w cieniu i leżeć w bezruchu i ciszy.

Drogę w kierunku przystani pokonuję jak we mgle. Idę o własnych siłach, wypijam litry wody, w metrze zjadam dwie tabliczki czekolady. Niby jest mi lepiej, a jednak odnoszę wrażenie, że wszystko dzieje się bez mojego udziału.

Na szczęście nie czekamy długo na prom, bo podpływa, gdy tylko wchodzimy do portu. Zajmujemy miejsca siedzące. Kira podaje mi jakąś bułkę, którą kupiła po drodze, potem banana. Jem, ale wciąż boli mnie głowa, do tego zajebicie chce mi się spać. Zupełnie jakbym zarwał noc.

Nawet nie wiem, kiedy usypiam.

Jestem na klatce schodowej. Trzymam w uścisku szamoczącego się ojca, w mojej głowie pojawia się głos: *Zabij go, skręć mu kark, uwolnij ją od niego.*

Słyszę mamę, błaga, żebym puścił ojca.

Patrzę na nią.

– Synku, zostaw, nie warto... – W oczach ma łzy.

Waham się. Ojciec wykorzystuje chwilę mojej nieuwagi – wyrwa się, odwraca, traci równowagę i spada ze schodów. Rozlega się łupnięcie, głowa wali o grzejnik.

Matka krzyczy, zbiega po schodach. Ojciec leży wygięty ze skrzyconym karkiem.

Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę oddychać.



– Gordian, dopłynęliśmy. – Budzi mnie szturchnięcie. Otwieram oczy. Serce wali mi jak oszalałe. Rozglądam się, jestem z Kirą na promie. Ludzie opuszczają statek. Przespałem całą podróż powrotną.

Przesuwam dłońmi po twarzy, czuję, że ból głowy zmalął, ale ćmi jeszcze nieco na potylicy.

Wychodzimy na przystań. Kira nalega, żebyśmy wzięli taksówkę. Nie sprzeciwiam się, bo cały czas mam wrażenie, że jestem odrealniony. Słyszę ludzi, widzę ich, ale tak, jakby znajdowali się za szklaną ścianą.

Całe popołudnie przemija jak sen. Niby wiem, co się dzieje wokół mnie, reaguję, ale nie jestem w pełni sobą. Nie mogę się skupić, nie czuję głodu, cały czas pobolewa mnie głowa. Biorę chłodny prysznic, ale nie pomaga. Jest mi zażebście gorąco. O godzinie dwudziestej pierwszej padam na łóżko Kalisty w samych bokserkach i budzę się dopiero rano, w znacznie lepszej formie. Nic mi nie jest. Epizod w Atenach musiał być wyłącznie niegroźnym udarem słonecznym.

Przekręcam się na bok i gdy tylko dostrzegam twarz Kiry, chce mi się żyć. Powieki ma przymknięte, śpi spokojnie na swoim łóżku z dłońmi podłożonymi pod policzki. Siadam, zerkam na zegarek. Szósta dwie. Pora wstawać. Przeciagam się, wydając z siebie długie ziewnięcie.

Kira się budzi, uchyla powieki, uśmiecha się lekko.

– Wstałeś – zauważa zachrypniętym głosem, a mój kutas podskakuje na ten dźwięk. – Jak się czujesz?

– Świetnie. – Rozciągam ramiona. Jaja mi pulsują.

– I zupełnie nic ci nie dolega? – dopytuje z niedowierzaniem.

– Nie, to musiało być zwykłe porażenie ciepłe – odpowiadam, po czym pakuję jej się do łóżka i przywieram do niej ustami.

Kira parska śmiechem.

– Chyba rzeczywiście nic ci nie jest.

Zjeżdżam pocałunkami niżej, na dekolt, piersi, brzuch. Uwielbiam zapach jej skóry. Już nie mogę się doczekać, żeby posmakować jej cipki. Kira się nie opiera, pozwala, żebym zanurkowałem między jej nogami. Liżę ją, wnikam językiem do wnętrza, upajam się jej smakiem, zmysłowym aromatem. I naprawdę niewiele potrzeba, a Kira wije się, jęczy cicho, ciągnie mnie za włosy, po czym dochodzi. Kurwa, jak ja to lubię. Doprowadzanie jej do orgazmów stało się moim nowym hobby. Jestem już tak twardy i podniecony, że moje myśli krążą tylko wokół tego, żeby ją wypełnić. Ekscytuję się jak totalny napaleniak. Sięgam do portfela po gumkę, a wtedy Kira łapie mnie za rękę.

– Nie, zostaw to – mówi.

Oho, chyba jednak nici z porannego ruchanka. Narasta we mnie frustracja. I jak mam niby teraz sobie poradzić z tak nabrzmiałym chujem? Zero pieprzenia, zero walenia.

Jezu Chryste! Wstaję, przesuwam dłońmi po twarzy. Zastanawiam się, co dalej: zimny prysznic, bieganie, a może kubeł lodu na kutasa?

Staram się uspokoić. Słyszę, że Kira schodzi z łóżka, ale nie opuszcza pokoju, tylko staje przede mną. Patrzy na mnie nieodgadnionym wzrokiem, po jej przyśpieszonym oddechu wnioskuję, że chyba jest zdenerwowana. Może chociaż wyjaśni mi, o co chodzi? Przecież ostatni raz był zajebisty. I ta dzisiejsza mineta. Musiało jej się podobać, bo naprawdę doszła bardzo szybko.

Przysuwa się do mnie, całuje mnie w usta – delikatnie, zmysłowo. Sunie dłońmi po mojej kłacie, zjeżdża pocałunkami niżej na szyję, tors, brzuch. Wodzę za nią wzrokiem, patrzę, jak klęka przede mną, uśmiecha się nieśmiało. Policzki ma zaróżowione, pierś falująca.

Nie czają zupełnie, o co chodzi, dopóki nie sięga dłońmi do bokserki i uwalnia sterczącego fiuta. Jasna cholera! Puls mi przyśpiesza. Totalnie się tego nie spodziewałem.

– Gdybym robiła coś nie tak, to powiedz „koniec”. – Ujmuje kutasa i przysuwa po nim dłońią.

Wciągam z sykiem powietrze. Po moim ciele przepływa prąd. Nie mogę oderwać wzroku od palców Kiry zacisniętych na moim fiucie. Jej dłoń przemieszcza się po nim posuwistym ruchem. Napawam się tym niebywałym widokiem, oddychając coraz szybciej. I nagle dzieje się to, o czym

marzyłem podczas każdego walenia od chwili, kiedy ją poznałem.

Kira zwilża wargi językiem i wkłada członka do ust.

Zamieram, wstrzymując oddech, jestem w totalnym szoku. Stoję nieruchomo jak słup, żeby jej nie spłoszyć. Serce mi łomocze, w uszach szumi. Kira podnosi na mnie wzrok, wysuwa penisa z ust, oblizuje główkę, po czym ponownie wkłada do buzi, obejmując go dłonią u nasady.

Jasna cholera! Wydaję z siebie bezwiedne stęknienie. Wpatruję się w nią oniemiały. Napawam się jej kocim spojrzeniem, pochłaniam wzrokiem usta, które suną po kutasie. A ona z każdym ruchem staje się coraz wprawniejsza, porusza językiem, gdy jestem w środku, co jeszcze bardziej mnie nakręca. Długie, ciemne włosy opadają jej na twarz. Odgarniam je palcami, zbieram w garść, owijam sobie wokół dłoni i instynktownie wypycham biodra. Kira przymyka powieki i wkłada go jeszcze głębiej.

– O tak...

Z trudem powstrzymuję ruch bioder. W każdym innym przypadku trzymałbym już laskę za głowę i posuwał w usta bez zahamowania. Ale to nie jest każda inna laska. To jest Kira – dziewczyna, która jeszcze niedawno krzywiła się na każdą moją wzmiankę o seksie, która w końcu przemogła się, żebym ją dotknął, która zdecydowała się przeżyć ze mną swój pierwszy raz z własnej woli, która teraz klęczy przede mną i zadowala mnie oralnie, choć wcale na to nie liczyłem. Co więcej, jestem święcie przekonany, że obciąża mi nie dlatego, że sprawia jej to jakąś przyjemność, tylko dlatego, że chce, by to mnie było dobrze. To jej pierwsza laska w życiu i robi ją właśnie mnie. Mnie! Czuję się z tego powodu tak zajebiście wyróżniony, że sam nie wiem, co ze sobą zrobić.

Po plecach przebiega mi dreszcz, czuję skurcz w jądrach, po nim następny.

– Zaraz dojdę... – Dyszę, ale ona nie przestaje mi obciążać. – Kira... – Zamierzam wysunąć penisa z jej ust, ale ona go przytrzymuje i, patrząc mi w oczy, nie przestaje mnie zadowalać.

Nie, kurwa, to mi się śni. Marzę o spuszczeniu się w jej ustach. To jedna z moich największych fantazji. Chcę czuć tę wilgoć na żołądki, to gorąco, chcę, żeby było ciasno, żeby ssała mi do końca. Nie jestem jednak debilem, wiem, że to może być dla niej obrzydliwe, niesmaczne. Czuję się rozdarty: pragnę mieć nad nią władzę, dominować, a jednocześnie łaknę jej akceptacji, przyzwolenia, nie chcę, żeby po wszystkim poczuła do mnie wstręt. Sama mówiła o zachowaniu granic, a to, co zamierzamy zrobić, jest zdecydowanym ich przekroczeniem.

Nadchodzi kolejny skurcz, jaja mam nabrzmiące do granic możliwości. Już dłużej nie wytrzymam.

– Kira, dochodzę... – Wymawiam te słowa gardłowym głosem, wycofuję biodra, żeby się z niej wysunąć. Ale ona mi na to nie pozwala. Zaciska usta na penisie, przytrzymuje go dłonią. A wtedy całe moje ciało się napina, wartki strumień przepływa przez kutasa od nasady aż po koniec. Tryskam do wnętrza jej ust gorącą spermą. Wstrząsa mną ekstatyczny dreszcz, po nim kolejny. Z krtani wydobywa się długie stęknienie. Serce mi wali jak szalone, tętno dudni w skroniach, krew szumi w uszach. Wypływa ostatni strumień, a wtedy mięśnie się rozluźniają, ciało relaksuje. Ogarniają mnie błogość, euforia i poczucie niewiarygodnego spełnienia.

Wysuwam powoli członka z ust Kiry, a wtedy ona, bez najmniejszych oporów, połyka całe nasienie. To mnie już totalnie rozwała.

– Chryste, uwielbiam cię. – Słowa mimowolnie wypływają z moich ust, opadam na łóżko w zachwycie i błogostanie.

Kira kładzie się obok mnie, przywiera do mojej piersi. Wciąż szumi mi uszach, dudni w skroniach.

Obejmuję ją ramieniem i nasze spojrzenia się spotykają. Nie widzę na jej twarzy ani obrzydzenia, ani odrazy. Wygląda, jakby w pełni akceptowała to, co zrobiła, i była z siebie zadowolona. Przybliżam się, by pocałować ją w usta. Czuję na nich swój zapach i wciąż nie mogę uwierzyć w to, co właśnie się wydarzyło.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pytam tuż przy jej twarzy.

Uśmiecha się.

– Chciałam ci się odwdziżyć za mój orgazm... – Przesuwa dłonią po moim brzuchu. – Żebyś był ze mną szczęśliwy, tak jak ja jestem z tobą.

Biorę głęboki wdech. Serce mało nie wyskakuje mi z piersi. Rozpiera mnie uczucie spełnienia. Patrzę jej w oczy, odgarniam włosy z czoła.

– Byłem z tobą szczęśliwy, jeszcze zanim to zrobiłaś. – Słowa same wypływają mi z ust. Nie wiem, skąd się biorą, z jakiej pokrętej części mojej psychiki pochodzą, bo na poziomie świadomości jestem przekonany, że gadam jak potłuczony. I chociaż wcale mi to nie przeszkadza, nie byłbym sobą, gdybym nie dodał czegoś od siebie: – Jeśli chcesz, możesz to robić częściej, a ja w podzięce wyliżę ci twój słodki tyłek.

Kira się krzywi.

– Jezu, Gordian, przeginasz.

– Nawet nie wiesz, jakie to może być przyjemne.

Wywraca oczami, ale nic nie mówi. Jeszcze sama się przekona.

Przyciągam ją do siebie i przytulam tak mocno, aż brakuje mi powietrza. Kira wybucha śmiechem i odwzajemnia uścisk, jakby chciała mi udowodnić, że jest silniejsza ode mnie.

Moja mała wojowniczką.

Przywieram do niej ustami, chcę się nią nasycić, zachłysnąć tą chwilą do utraty tchu, zatrzymać czas i zostać tutaj z nią jak najdłużej.

Zupełnie straciłem dla niej głowę, jak totalny zjeb bez jaj.



To nasz ostatni dzień pobytu w Grecji. A w zasadzie połowa dnia, bo o szesnastej mamy lot powrotny do Polski. Postanawiamy wszyscy wspólnie spędzić tych kilka godzin na plaży. Oczywiście nie obywa się bez ciągłych pytań mamy, Kalisty i Kiry, czy na pewno dobrze się czuję i czy to dobry pomysł, żebym siedział na słońcu. Mama prosi, bym jej przyrzekł, że po powrocie do Polski pójmę do lekarza i zrobię podstawowe badania. I bądź tu, kurwa, człowieku dorosły. Matka zawsze będzie cię traktować jak swojego małego synusia, nawet kiedy będziesz już stary i będziesz miał własne, dojrzałe dzieci. Z bólem tyłka obiecuję jej, że się przebadam, po czym idziemy z Kirą do morza. Woda jest ciepła i tak przejrzysta, że widać sunące przy dnie ryby. Widok na wzgórza wynurzające się zza cyplu chyba nigdy mi się nie znudzi. Pogoda jest dzisiaj idealna. Nie jest upalnie, nie wieje wiatr, na niebie co kilkanaście minut pojawia się pojedyncza chmura, żeby na parę chwil dać nam cień i wytchnienie od słońca. Aż żal wyjeżdżać.

Na początku pływamy z Kirą beztrąsko przy plaży, później zapuszczamy się dalej w stronę skał wystających z wody. Czuję się jak nastolatek, kiedy ukrywamy się między nimi. Woda sięga nam do piersi. Całujemy się, Kira oplata mnie nogami w pasie, a ja robię jej od tyłu taką palcówkę, że dochodzi z okrzykiem i przez kilka dobrych minut nie jest w stanie stanąć o własnych siłach. Nie spodziewałem się po niej, że aż tak się rozkręci, że będzie taka spragniona doznań.

Kiedy po serii namiętych pocałunków Kira odzyskuje siły, ześlizguje się z moich bioder i zaczyna robić mi dobrze ręką. Jestem pewien, że tak właśnie wygląda raj. Orgazm w takim miejscu, z taką dziewczyną, to jak wygrana w lotka.

Jestem z siebie dumny, że to ja doprowadziłem do tego, że wreszcie się przełamała. Jaka ona musiała być sfrustrowana seksualnie przez te wszystkie lata. Niby nie chciała się do nikogo zbliżyć, bo tak podpowiadał jej umysł, a jednak ciało cały czas czekało, aż w końcu ktoś zaspokoi jego potrzeby. I tym kimś jestem ja. Chociaż przyznam, że trochę mi to zajęło, ale jej zaufanie było tego warte.

To tylko potwierdza moją teorię, którą zamierzam wykorzystać w badaniach na uczelni – umysł ludzki, choć jest nierozdzielnie powiązany z ciałem, rządzi niepodzielnie i autokratycznie. Wkradniesz się do umysłu – władasz człowiekiem. To mózg steruje popędami, nie ciało, to mózg odpowiada za sprawne funkcjonowanie organów, kończyn, zmysłów. Ciało to wyłącznie narzędzie, instrument, który posłusznie mu służy. Kiedy szwankują mózg, umysł i psychika, pada cały organizm. Nieźle w takim razie musiałem namieszać Kirze w głowie, skoro wreszcie mi uległa i z każdym dniem pragnie mnie coraz bardziej.

A ja jej.

Około godziny trzynastej zwijamy się z plaży. Jestem w tak dobrym nastroju, że zapraszam wszystkich na obiad do tawerny. Rodzice biorą półmisek owoców morza, Kalista zamawia dolmades, czyli coś na wzór polskich gołąbków, z tą różnicą, że te są z ryżem i zamiast kapusty wykorzystuje się liście winogron. Babcia przyznaje jawnie, że chce ich spróbować tylko po to, żeby udowodnić sobie, że robi lepsze.

Kira postanawia posmakować gamistę, czyli paprykę faszerowaną, a ja oczywiście nie mogę się oprzeć ulubionemu daniu – musace.

Siedzimy na zacienionym tarasie z widokiem na morze, pijemy schłodzone wino, rozmawiamy o tym, jak szybko zleciały te wakacje i jak były nam wszystkim potrzebne. Postanawiamy, że zrobimy sobie wspólny tygodniowy wypad jeszcze we wrześniu. Trzeba będzie jak najszybciej zabukować bilety, bo o wolne miejsca w czarterowych samolotach w letnich miesiącach nie jest łatwo. Biorę to na siebie i już nie mogę się doczekać powrotu na wyspę.

Po obiedzie pakujemy walizki. Wbrew Kaliście zamiatamy całe mieszkanie, ganek, myjemy łazienkę, żeby zostawić po sobie porządek. Rodzice i Kira żegnają się z babcią, a kiedy przychodzi moja kolej, Kalista prosi, żebym przespacerował się z nią dookoła domu.

– Uważaj na siebie, wnusiu, i zawsze noś przy sobie krzyżyk, który ci dałam. – Łapie mnie pod ramię.

– Babciu, przecież to tylko drewniany krzyż.

Kalista kręci głową.

– To symbol wiary w Boga, a on potrafi się odwdzińczyć za wierność.

– Ale ja nie potrzebuję jego wdzięczności. Nikogo nie potrzebuję. Sam sobie radzę w życiu.

– Sam? – Przystaje, patrzy mi w oczy.

Widzę w jej spojrzeniu ogrom troski. Ujmuje moją twarz pomarszczonymi dłońmi.

– Gordi, kochanie, nikt nie jest w stanie na dłuższą metę przetrwać sam, a co dopiero mowa o przeżyciu dobrego życia. Ludzie się uzupełniają, potrzebują siebie wzajemnie: swoich talentów, wsparcia, pomocy, radości, nawet smutku. Jesteśmy istotami stadnymi, którym obustronne działanie pozwala na przetrwanie. Być może kiedyś zrozumiesz, że ludzie, wbrew temu, co ci się wydaje, mogą być dla ciebie ostoją i dać ci szczęście. Mam tylko nadzieję, że chwila, w której do tego dojdzie, nie będzie dla ciebie zbyt dotkliwa.

Słyszę, że od frontu domu podjeżdża samochód, rozlegają się głosy, mama mnie woła. To pewnie Aris przyjechał, żeby zabrać nas na lotnisko.

Babcia przytula mnie mocno. Jak na starszą osobę, ma naprawdę silny uścisk.

– Będę za tobą tęsknić, wnusiu – mówi. – Obiecuj mi, że zobaczymy się we wrześniu.

– Obiecuję – odpowiadam.

A ja zawsze dotrzymuję słowa.



Na lotnisku mają awarię systemu. Za rozkład lotów robią stojaki z flipchartami, na których czarnym markerem wypisano godziny przylotów i odlotów. Obsługa jest wyluzowana, odprawia pasażerów w swoim tempie, nieśpiesznie, z godzinnym opóźnieniem. Grecja.

Wreszcie wsiadamy do samolotu, szukamy swoich miejsc. Mama z Serafinem i jakimś grubym gościem siadają po jednej stronie. Jego żona, ja i Kira siedzimy za nimi. Zajmuję fotel tuż przy przejściu, bo dzięki temu będę mógł wyciągnąć nogi, a nie siedzieć w przykurczu przez całą podróż.

Gdy tylko samolot zaczyna kołować na pas startowy, Kira sztywnieje. Patrzy szeroko otwartymi oczami na stewardesę, która pokazuje wyjścia ewakuacyjne. Przypomina mi się, jaka była zdenerwowana ostatnim razem, kiedy lecieliśmy na wyspę. Biorę jej dłoń, kładę sobie na udzie, splatam palce ze swoimi.

– Będzie dobrze, Cyrus. Dolecimy cali i zdrowi – zapewniam.

Uśmiecha się do mnie niepewnie, skrywając narastający niepokój.

Ściskam jej dłoń, rozlega się sygnał informujący o przygotowaniu do startu. Silniki wirują, samolot się rozpędza, zapieprza coraz szybciej i szybciej, aż w końcu odrywa się od ziemi. Kira trzyma mnie kurczowo za rękę, oddycha szybko. Wznosimy się wyżej, turkot zagłusza rozmowy pasażerów, widzę przez okno oddalającą się wyspę. Zmieniamy nieznacznie kurs i wlatujemy w mgłę chmur, ciśnienie rośnie, zatyka mi uszy...

I nagle moją głowę przeszywa porażający ból. Przed oczami zjawiają się mroczki. Mimowolnie się napinam.

– Nic ci nie jest? – pyta Kira. Zerkam w jej stronę, lecz widzę tylko czarno-białe plamy. Ból się

nasila, przechodzi przez potylicę, wwierca się w czaszkę. Uderza mnie fala gorąca, robi mi się niedobrze, dłonie zlewa pot, brakuje mi powietrza. Zaraz się porzygam.

Puszczam dłoń Kiry.

– Muszę do kibla – rzucam.

– Jeszcze nie można...

– Pieprzę to, muszę wyjść. – Po omacku uwalniam się z pasów i wstaję. Kręci mi się w głowie, ledwo widzę na oczy. Do moich uszu dobiega sygnał, że można odpiąć pas. Idę.

Obijam się od fotela do fotela jak pijany. I czuję się tak, jakbym wychlał jakiś trefny bimber, który natychmiast muszę wyrzucić z żołądka. Mam wrażenie, jakby ktoś walił mi w łeb młotem pneumatycznym. Przez obraz czarnych plam, które co chwilę przebłyskują białym światłem, dostrzegam toaletę. Wchodzę do środka. Ciasno jak w pieprzonej lodówce, tylko że bez półek. Zawadzam łokciem o pojemnik na ręcznik papierowy. Ten upada na podłogę, rumor jak diabli. Nieważne. Jest mi kurewsko niedobrze. W ostatnim momencie dopadam do kibla i od razu puszczam pawia. Opieram się ręką o ścianę. Turkot silników potęguje odczucie, że młot pneumatyczny zaraz rozjebie mi czaszkę. Z trudem trzymam się na nogach. Pieprzone czarne plamy przed oczami tworzą coraz większe okręgi otoczone jaskrawobiałym światłem.

I co teraz, skurwielu? – odzywa się znienawidzony głos. – *Pozamiatane. To kara za to, że byłeś nieposłuchanym gnojkiem. Kalinýchta. Antio^[13].*

Robi mi się słabo. Łapię za brzeg umywalki, ale ten wyslizguje mi się z dłoni. Podpieram się o blat. Nogi mam jak z waty. I nagle, jakby ktoś podciął mi kolana, składam się jak scyzoryk i walę łbem o ścianę.

Ostatnie, co słyszę, to dobijanie się do drzwi, któremu wtóruje dobiegający z oddali głos Kiry.

– Gordian, wszystko w porządku? Gordian! Odezwij się.



Razi mnie blade światło. Jest mi strasznie gorąco. Mam sucho w ustach. Powietrze jest duszne, ciężkie. Czuję zapach dezynfekcji. Otwieram powoli oczy. Rozglądam się, wszystko jest spowite mgłą. Mrugam, żeby zyskać ostrość widzenia. Leżę przykryty zszarzałą kołdrą. Dwa metry ode mnie na pojedynczym łóżku śpi starszy mężczyzna. Przekręcam głowę na drugą stronę, dostrzegam kolejne łóżko. Jest puste, ale ma rozkopane pościelenie. Na ścianie wisi włączony telewizor. Leci jakiś program śniadaniowy, po polsku. Na pasku widzę godzinę: szósta dwadzieścia trzy. Chcę wstać, lecz coś więzi moją rękę. To wenflon, do którego podłączona jest kroplówka.

Jestem w jebanym szpitalu. A przecież ostatnie, co pamiętam, to kabina samolotu. Serce zaczyna mi mocniej bić. Odłączam kabel od kroplówki, staram się usiąść, ale strasznie kołuje mi się we łbie.

– Ej, co to za szpital? – pytam zachrypniętym głosem mężczyznę, ale ten śpi jak zabity. Podnoszę się powoli, próbując zapanować nad uczuciem wirowania w głowie.

Wstaję, przytrzymuję się łóżka, a potem podążam posuwistym krokiem w stronę drzwi. Wychodzę na opustoszały korytarz. Rozglądam się za jakimś lekarzem albo pielęgniarką. Dostrzegam młodą salową wychodzącą z sąsiedniej sali. Spuszcza wzrok, kiedy mnie zauważa. Orientuję się, że świecę gołym tyłkiem – mam na sobie tylko pedalską szpitalną koszulkę.

– Pokój lekarzy? – pytam, a ona wskazuje na koniec korytarza.

Podążam w tamtym kierunku i mijam po drodze pokój pielęgniarek. Dobiega mnie zapach kawy. Drzwi są lekko uchylone, lecz kobiety są tak pochłonięte rozmową, że mnie nie zauważają.

Podchodzę do pokoju lekarskiego, pukam. Cisza. Naciskam klamkę, zaglądam do środka. Na kanapie śpi facet w fartuchu, pewnie z nocnej zmiany.

– Hej, doktoru – odzywam się, a on uchyla powieki. Włosy ma potargane, oczy zaspane, fartuch wymięty. Sądząc po ilości zmarszczek i siwiźnie, jest po pięćdziesiątce.

– Tak? Słucham... – Przesuwa dłonią po twarzy, siadając powoli. Patrzy na mnie, jakby kojarzył, kim jestem.

– Co ja tu robię?

Zerka na zegar wiszący na ścianie i przeciera oczy palcami.

– Dlaczego nie jest pan w łóżku? Poranny obchód rozpoczyna się za dwie godziny.

– Mam w dupie obchód. Dlaczego jestem w szpitalu?

Doktorek ściąga brwi.

– Może trochę grzeczniej? – Pochyla się do ławy po szklanek z niedopitą czarną herbatą.

Zaciskam zęby.

– Szanowny panie doktorze, kto mnie tu, kurwa, przywiózł bez mojej zgody?

Lekarz wzdycha ciężko i już wiem, że działał mu na nerwy. Ale mam to gdzieś, nienawidzę szpitali. Kojarzą mi się wyłącznie z momentami, kiedy matka lądowała na izbie przyjęć po tym, jak obił ją ojciec.

– Niech pan siada, panie Samaras. – Upija łyk herbaty.

Oho, pamięta moje nazwisko.

– Postoję.

Nic nie odpowiada, tylko podchodzi do metalowej szafki i wyciąga z niej jakąś teczkę. Przegląda papiery. Wzrok ma skupiony, zupełnie jakbym nie obudził go chwilę temu. Przesuwa dłonią po policzku, na którym srebrzy się jednodniowy zarost.

– Wczoraj przywiozła pana karetka z lotniska. Był pan nieprzytomny, ale bywały chwile, że odzyskiwał pan częściowo świadomość. – Zerka na mnie. – Choć, jak miemam, nic pan nie pamięta – mówi, po czym ponownie patrzy w kartę.

Czuję się jak jakiś głupek, którego wkręcają w debilny żart. Jak to możliwe, że jestem tu od wczoraj, a ostatnie, co kojarzę, to kibiel w samolocie?

– Zrobiliśmy podstawowe badania – kontynuuje lekarz poważnym tonem. – Po zebraniu wywiadu od rodziny zdecydowaliśmy się wykonać również tomograf głowy. Za dwie godziny ma się zebrać konsylium na oddziale neurochirurgii w pana sprawie. – Patrzy na mnie posągowym wzrokiem.

Puls mi przyspiesza. Konsylium? Neurochirurgia?

– Konkretnie – mówię przez zaciśnięte zęby. – Co wyszło w badaniach?

Lekarz wzdycha.

– Bardzo mi przykro. Znaleźliśmy u pana guza mózgu. Jest nietypowo umiejscowiony...

Nogi uginają mi się w kolanach. Serce wali ogłuszająco.

– To jakiś żart? Jestem zdrowy jak ryba. Na pewno macie starą aparaturę. Trzeba powtórzyć badania.

Zimny pot spływa mi po plecach.

– Nie ma takiej konieczności. Tomograf jest nowy, a zdjęcia komputerowe nie pozostawiają wątpliwości. Widać wyraźnie nacieki... – zaczyna tłumaczyć, a ja czuję, że wcale nie chcę słuchać medycznej terminologii, którą mnie częstuje. Wyłapuję najistotniejsze słowa: nowotwór złośliwy, nieoperowalny, śmiertelny, nikłe szanse, chemioterapia... Kurwa jego mać! To się nie dzieje naprawdę.

– To niemożliwe – przerywam mu w połowie wywodu. – Nie czuję się, jakbym miał raka. Nie jestem osłabiony, nie chudnę, mam apetyt, ochotę na seks...

Lekarz zerka w kartę, przewraca stronę.

– Pana siostra podczas wywiadu oświadczyła, że zdarzają się panu silne bóle głowy, nudności, utrata przytomności. Podobno miewał pan omamy, słyszał pan głosy przypominające echo, bywały kłopoty ze snem – wymienia. – W przypadku nowotworów mózgu zaburzenia psychiczne często wyprzedzają objawy neurologiczne. Pacjenci często zrzucają je na karb stresu, depresji czy rozchwiania emocjonalnego. Miewają również zaniki pamięci.

Patrzę na niego i nie mogę uwierzyć. Nogi mam jak z waty. Wsuwam dłonie we włosy. Kilka ostatnich lat przelatuje mi przed oczami, te wszystkie głosy, szatańskie zwidy... Nie mam zaników pamięci, ale te pieprzone omamy...

– Czy guz może wywoływać omamy, które wydają się prawdziwe? – pytam.

– Jest to prawdopodobne – odpowiada. – Mózg to komputer. Steruje naszym ciałem, bodźcami, zmysłami, myślami, wyobrażeniami. Jakakolwiek zmiana w układzie, najmniejsza usterka, którą można przyrównać do wirusa, jest w stanie wywołać nieprzewidziane zachowania. Komórki nowotworowe w mózgu są właśnie takim wirusem zaburzającym prawidłową pracę naszego komputera, nasze postrzeganie rzeczywistości, to, co słyszymy, widzimy, czujemy. Z powodu guza mózgu wysyła mylne sygnały, które są odbierane przez zmysły w taki, a nie inny sposób.

– Zaraz. – Unoszę dłoń, bo coś mi tu nie gra. – Te omamy pojawiły się ponad cztery lata temu. Nowotwór nie mógł ich wywołać.

– Guz może rosnać latami i nie dawać żadnych typowych symptomów neurologicznych. Początkowo jednak mogą pojawiać się objawy psychopatologiczne. Zdarzają się, choć bardzo rzadko, przypadki, że pacjent trafia na tomograf po nieskutecznym leczeniu schizofrenii i okazuje się, że przyczyną jego omamów słuchowych i wzrokowych był właśnie nowotwór mózgu. Ostatnio taki przypadek odnotowano w Szwajcarii na Uniwersytecie w Bern, gdzie diagnozowano kobietę, która twierdziła, że słyszy głos Boga. Początkowo podejrzewano u niej schorzenie psychiczne, lecz po

wykonaniu rezonansu magnetycznego okazało się, że przyczyną słyszanych głosów był powolnie rosnący nowotwór mózgu. W pana przypadku guz jest umiejscowiony w części międzymózgowia nazywanej wzgórzem. Rejon ten odpowiada między innymi za odbieranie i rozumienie mowy. Wzgórze to centralna stacja przekaźnikowa, dochodzą do niego informacje czuciowe od wszystkich zmysłów. To dlatego mogło się panu wydawać, że ktoś do pana mówi, że coś pan widzi. U każdego chorego nowotwór rozwija się we własnym tempie i może wywoływać różne symptomy. Czasami nie daje żadnych objawów do momentu, aż urośnie na tyle, że zaczyna uciskać okoliczne naczynia krwionośne oraz limfatyczne i utrudniać odpływ krwi żyłnej, tym samym doprowadzając do obrzęku mózgu. Pojawiają się wówczas zawroty i bóle głowy, wymioty, utrata świadomości. W pana przypadku akurat te objawy zbiegły się z wypadkiem na łodzi. Szczęście w nieszczęściu. Dzięki temu udało się znaleźć nowotwór. Pana siostra stanowczo nalegała na tomograf. Podejrzewała, że doznał pan urazu na skutek uderzenia w głowę. Chcieliśmy wykluczyć mechaniczne uszkodzenie mózgu, stąd takie szybkie badanie.

Chryste. Zanurzam palce we włosach, jakbym chciał je sobie wyrwać. Mam pieprzonego guza mózgu. Czuję ucisk w piersi, drżą mi dłonie.

– Ile mi zostało?

Lekarz kręci głową.

– Nie wiem. Nikt tego nie wie. To mogą być dni, tygodnie, miesiące, rok, a może nawet kilka lat. Wszystko zależy od dalszego leczenia, odporności pana organizmu, od tego, jak szybko będzie rósł guz. Konsylium podejmie decyzję co do dalszej terapii onkologicznej. Być może czeka pana chemioterapia szpitalna albo ambulatoryjna. Chociaż obie formy mają ograniczone zastosowanie w tego typu nowotworach. Może zdecydują się na radioterapię... Bo tak jak wspominałem, zabieg chirurgiczny najpewniej nie będzie możliwy z racji położenia guza, ale to już muszą się wypowiedzieć neurochirurdzy, którzy mieliby operować. – Odchrząkuje, zawiesza głos. Widzę po nim, że uważa mnie za kiepski przypadek medyczny. – Na razie musi pan czekać. Bardzo mi przykro... – mówi z wyraźną szczerością w głosie. A ja już wiem, że jedyna forma pomocy z ich strony będzie ograniczać się do przedłużenia mi życia, a nie do próby całkowitego wyleczenia. – Czy chce pan, żebym porozmawiał z pańską rodziną?

– Nie! – reaguję od razu.

Za nic w świecie nie chcę, żeby mama i Kira dowiedziały się o tym kurestwie. I tak już się wystarczająco w życiu wycierpiały. Jeszcze im potrzebny Gordian, który wykituje niebawem na raka mózgu. Nie ma mowy o oglądaniu mnie łysego, rzygającego od chemii, zajmowania się mną, podcierania mi tyłka i modlenia się do Boga, by zabrał mnie do siebie jak najszybciej, abym tylko dłużej nie cierpiał. Nie ma chuja. Sam sobie dam radę, nie będę zdany na czyjąś łaskę. Nie potrzebuję litości, współczujących spojrzeń, bo to zabija hart ducha. Zawsze radziłem sobie sam, byłem twardy, i tak będzie i tym razem. A jak przegram z tym pierdolonym pasożytem, który siedzi w moim mózgu, to zrobię to z postawioną gardą. Jak mężczyzna. Żywego mnie nie weźmie.

Zaczynają targać mną emocje. Niby jestem gotów do walki, czuję gniew i silną motywację, żeby wygrać, ale gdzieś głęboko wewnątrz mnie coś powoli pęka jak zmurszała skorupa. Znam to uczucie i szczerze go nienawidzę. To strach. Rozmiękcza mnie od środka, chce wypełznąć na zewnątrz, zrobić ze mnie słabeusza. Mam wrażenie, że niewiele trzeba, a się rozsypię.

Umieram.

Kurwa, umieram!

Chcę zawyć jak skopany pies, wykrzyzczyć na całe gardło, że się na to nie godzę. Tak samo czułem się, kiedy byłem bezbronnym dzieckiem, ojciec dostawał szału i miał nade mną władzę.

Ojciec. Ja pierdolę, a może spotkała mnie zasłużona kara za to, że go zabiłem? Życie za życie.

Nie!

Nie! Nie! Nie!

Moje życie nie może się tak skończyć, nie teraz. Chryste, mam dopiero dwadzieścia cztery lata! Jeszcze nawet nie ukończyłem studiów, a co dopiero mówić o spełnianiu życiowych celów.

Zaciskam mocno dłonie w pięści. Mam ochotę przywalić w ścianę, ale wiem, że to nie wystarczy. Nie rozładuję w ten sposób frustracji. W moim zainfekowanym umyśle rodzi się absurdalna wizja: chcę

zajebać tego guza, oderwać go własnoręcznie od mózgu, tkanka po tkance, rzucić nim o ziemię, zmiażdżyć butem, zgnieść jak robaka. Zaczynam nawijać do niego w myślach, jakby był żywą istotą, jakimś tworem, który mnie słyszy i rozumie: *Posłuchaj mnie, ty zębany pasożycie. Jeśli ja umrę, to i ty umrzesz. Nie pozwolę ci zeżreć mnie do końca. Albo odejdiesz sam po dobroci, albo zgotuję ci takie piekło, że odechce ci się żerowania w moim ciele.*

– Czyli sam pan im powie? – Lekarz wyrывa mnie z zamyślenia, patrzy pytająco. A do mnie dociera sens jego słów.

– Nie. Nic im nie powiem. Niech pan napisze wyraźnie w mojej karcie, że nie wyrażam zgody na udzielanie żadnych informacji na temat mojego stanu zdrowia. Nikomu.

– Nawet rodzinie?

– Zwłaszcza rodzinie.



Wchodzę do sali. Starszy facet na łóżku nadal śpi, drugi, młodszy i chudy jak patyk, żre banana i ogląda telewizję.

– Dzień dobry. Wreszcie pan wstał – mówi do mnie, ale nie odpowiadam.

Jestem wkurwiony i niespokojny. Niewiele mi trzeba, żeby roznieść to pomieszczenie w pył. Cały dygocę w środku. Podchodzę do swojego łóżka, rozglądam się za ubraniami. Muszę stąd wyjść, przewietrzyć się, przebiec, pomyśleć... Zrobić cokolwiek, byle opuścić to miejsce. Wrócę za trzy godziny, gdy już będzie po pieprzonym konsylium.

Nie mogę namierzyć moich rzeczy, w zasadzie oprócz komórki, która leży na szafce, nie widzę niczego, co należałoby do mnie. Próbuję się skoncentrować i ocenić, co powinienem zrobić, żeby odzyskać swoje ciuchy oraz portfel. Pewnie część rzeczy jest w jakiejś przechowalni, a dokumenty wzięła mama.

Nie mogę się skupić.

Jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to ile zostało mi dni życia. Czy umrę jutro, a może za chwilę? Kurwa, to jakiś pieprzony koszmar. Siadam na łóżku i wbijam sobie palce w uda, jakbym chciał się obudzić. Wiem jednak, że to na nic. Tylko robię z siebie durnia przed samym sobą. Jestem żaloszny. Muszę się ogarnąć.

Do sali wchodzi pulchna pielęgniarka z bordowymi włosami. Podaje Chudemu leki, podchodzi do mnie i wyciąga w moją stronę plastikowy kieliszek z dwiema tabletkami.

– Proszę połknąć.

– Co to jest? – pytam.

– Lekarz przepisał. Na ból głowy.

– Nie boli mnie głowa.

– To zalecenie lekarza... – Wciąż trzyma przede mną kieliszek.

– Byłem u lekarza i nic mi nie mówił. Nie będę niczego brał. No chyba że dostanę papierosa.

Kobieta wywraca oczami, stawia kieliszek na szafce i podchodzi do pacjenta, który śpi. Budzi go, a ten, na wpół przytomny, połyka bez pytania tabletki, po czym znowu uderza w kimę.

– Gdzie są moje rzeczy? – pytam, kiedy pielęgniarka ponownie mija moje łóżko.

Zerka na mnie z ukosa.

– Nie wiem. Może zapyta pan swojej niewychowanej siostry – odpowiada z wyraźną irytacją i wychodzi.

Oho, ktoś tu chyba załaził komuś za skórę. Zerkam na komórkę. Waham się, czy zadzwonić do Kiry. Mam opory. Niby jesteśmy razem, ale przecież nie będę jej truł dupy, żeby przywiozła mi ciuchy.

I w tej samej chwili Kira przekracza próg sali. Nasze spojrzenia się spotykają. Serce bije mi mocniej.

– O, nie śpisz już. – Jej twarz się rozświetla. Stawia na krześle przy łóżku jakąś torbę, z której wyczuwam zapach świeżego pieczywa, a potem podchodzi i całuje mnie w usta. Pachnie rześkim powietrzem, porannym słońcem. – Jak się czujesz? – Głos ma czuły, patrzy na mnie dokładnie tak samo jak matka, kiedy jako dzieciak rozciąłem nogę na rowerze.

Nie mogę znieść tego spojrzenia. Nie chcę litości, na pewno nie od dziewczyny, która powinna widzieć we mnie faceta, a nie pieprzonego niedołęgę.

– Świetnie. Co tu robisz tak wcześnie? – pytam, bo jest przed siódmą.

– Byłam tu całą noc. Wskoczyłam tylko do sklepu po coś do jedzenia. – Zaczyna rozpakowywać torbę, a mnie coś ściska w gardle.

Siedziała w tym pieprzonym szpitalu całą noc? Dopiero teraz widzę, że ma na sobie te same ubrania, co w dniu lotu. Nie mogę wydusić z siebie ani słowa. Patrzę, jak stawia na szafce butelkę wody, kładzie bułkę z przedziałkiem oraz pęto kiełbasy.

– Tata z twoją mamą przyjadą około południa. Pojadę wtedy po jakieś naczynia. Może od razu wezmę ci z mieszkania piżamę i przybory toaletowe?

Piżamę? Przecież ja nie mam żadnej cholernej piżamy. Sypiam w bokserkach i podkoszulku, a kiedy jest taki upał jak dziś, w samych gaciach. Poza tym nie zamierzam tu zostawać na kolejną noc. Bo nawet jeśli lekarze przepiszą mi chemię w szpitalu, na pewno nie będę jej brał na tym oddziale. Co więcej, zastanawiam się, czy nie wyjechać na leczenie do innego miasta, żeby mama i Kira nie domyśliły się, że choruję. A może jednak będę operowany? Powinienem się jakoś naszykować, uporządkować sprawy, na wszelki wypadek spisać testament. Motocykl dla Tomasza, projekt wynalazku dla Kiry, oszczędności dla mamy...

Mam wrażenie, jakby ktoś powoli zaciskał mi pętlę na szyi. Brakuje mi powietrza. Ja pierdołę, o czym ja w ogóle myślę?! Dostyc tych dywagacji, które do niczego nie prowadzą.

– Wypisuję się dzisiaj – informuję.

– Wypisujesz? A wyniki badań? – Kira patrzy na mnie zaskoczona.

– W normie.

– A tomografu?

– Też. Masz moje ciuchy?

Kira przechyla głowę, przygląda mi się wnikliwie.

– To co ci dolega? Przecież zemdlałeś. Nie mogą cię tak po prostu wypisać, skoro nic nie wiedzą.

– Wiedzą. To jakiś niedobór elektrolitów. Za dużo pocenia, za mało picia.

Patrzę jej w oczy, kłamię bezczelnie, nawet mi powieka nie drgnie. Widzę jednak po Kirze, że mi nie wierzy.

– Poczekam z tobą na wypis – mówi, po czym wyjmuje opakowanie herbaty. – Rozejrzę się za jakimś jednorazowym kubkiem i gorącą wodą. Pewnie masz ochotę na coś ciepłego do picia.

– Nie trzeba. – Przytrzymuję jej dłoń, czuję, że zaczyna mnie boleć głowa. – Chcę teraz stąd wyjść, Kiro. Później wrócę po papiery. Gdzie moje ubranie?

Ściąga brwi.

– Pod łóżkiem. Włożyłam twoje rzeczy do plecaka.

Schylam się, świecę gołym tyłkiem, wyciągam plecak i stawiam go na łóżku. Ból się nasila. Przeszywa mnie od potylicy aż do czoła. Kręci mi się w głowie. Wyciągam złożone ciasno ubrania, pomiędzy nich wypadają klucze oraz portfel. Wkładam bokserki. Zdejmuję szpitalną koszulę, wciągam T-shirt i krótkie spodnie.

Kira stoi, milczy. Widzę kątem oka, że z trudem się hamuje, żeby dać mi wykład o konieczności pozostania w szpitalu do momentu wypisu.

– Może chociaż coś zjesz? – odzywa się.

Faktycznie ssie mnie w żołądku, ale wcale nie mam apetytu. Czuję, że powinienem coś przełknąć z rozsądku, aby nabrać sił. Ale na pewno nie będę jadł tutaj. Chcę stąd wyjść, zaczerpnąć świeżego powietrza, nabrać dystansu, uwolnić się od tego smrodu, od miejsca, które przypomina mi o tym, że mogę nie dożyć dwudziestych piątych urodzin.

Kurwa, jak mnie łeb napierdala.

– Zapakuj to, co kupiłaś. Zjem na zewnątrz – odpowiadam.

Kira wzdycha, z powrotem wkłada wszystko do torby, a kiedy nie patrzy, łykam tabletki, które zostawiła mi pielęgniarka.



Wychodzimy na zewnątrz i zmierzamy w stronę najbliższego parku. Poranek jest ciepły, słoneczny, aż chce się żyć. *Tylko że ty nie będziesz już dłużej żył, cwaniaczku* – rozlega się męski głos w mojej głowie, a ja po raz pierwszy świadomie go ignoruję. Jest mi totalnie obojętny. Nie odpowiadam mu, nie wściekam się, nie zastanawiam się z walącym sercem, czy przypadkiem nie zwariowałem. Ciekawi mnie jedna rzecz: dlaczego słyszę od niego wyłącznie negatywne komunikaty, pełne nienawiści, agresji, zła? Dlaczego nie mówi do mnie nic pozytywnego albo choćby zabawnego, nawet jakimś zniewieściałym głosem w stylu: *Oho, ale z ciebie zajebisty koleś Gordianie. Gdybym istniał naprawdę, z wielką ochotą zrobiłbym ci laskę?*

Podążamy do najbliższego parku. Mam ochotę usiąść na trawie, w słońcu. Po prostu siedzieć i nic nie robić. Proszę Kirę, żeby opowiedziała mi, co działo się ze mną po tym, jak straciłem przytomność w samolocie. Wygląda na to, że w trakcie części lotu byłem na wpół świadomy, po czym ponownie odpływałem. Do szpitala zabrała mnie karetka, zaraz po niej na miejsce dotarli Kira z Tomaszem. Aż mnie serce boli, kiedy słyszę, że mama źle się poczuła na lotnisku i pojechała z Serafinem taksówką do domu. Kira uspokaja mnie, że mama nie miała rzutu.

Musiałem napędzić jej niezłego stracha. To tylko potwierdza moją decyzję, że nie powinienem jej nic mówić o raku. I Kirze też. Bo gdy słyszę, że pokłóciła się z pielęgniarkami, żeby przekimnąć całą noc na krzesełku przy moim łóżku, dociera do mnie, że zbyt mocno zaczyna jej na mnie zależeć. A w obecnej sytuacji to gorzej niż źle.

Kurwa. Nie chcę jej skrzywdzić. Nie chcę, żeby wylewała nade mną łzy, żeby miała doła z mojego powodu. Wiem jednak, że nie ukryję się przed nią z chorobą. To wręcz niewykonalne, skoro jesteśmy razem. Chyba że zupełnie ją od siebie odseparuję i wyjadę. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Siadamy przy stawie, w cieniu grubej, rozłożystej wierzb. Opieram się o pień. Słysząc kwakanie kaczek, ptaki śpiewają w konarach, trawa jest ciepła, pachnie koszeniem.

Kira wdycha głęboko powietrze.

– Ale miejscówka. Aż się nie chce wierzyć, że jesteśmy w centrum miasta – zauważa, po czym wyjmuję rzeczy, które wcześniej kupiła. Obserwuję każdy jej ruch. Przyglądam się ciemnemu kosmykowi włosów, który wymknął się z warkocza. Kira odgarnia go i zakłada za ucho.

Jemy w milczeniu, patrzymy na staw, po którym beztrąsko pływają kaczki. Co jakiś czas zerkam na Kirę. Cienie wierzbowych łądyg kładą się na jej twarzy. Uderza mnie, jak młodo teraz wygląda. W mojej głowie otwiera się zamknięta dotąd na cztery spusty klapka – bo ona jest młoda. Ma dopiero osiemnaście lat, a tyle ją w życiu skurwysyństwa spotkało. I jeszcze ja napatoczyłem się po drodze. Śmiertelnie chory fagas, któremu zaufała, oddała całą siebie. Zatyka mnie w piersi. I chociaż siedzę na zewnątrz, dookoła pełno drzew, które produkują tlen, mam wrażenie, jakby ktoś wypompowywał powietrze wokół mnie. Nie mam czym oddychać i wiem, co jest tego przyczyną. Nie chcę spierdolić Kirze następnych lat jej młodości, nie chcę, żeby przeze mnie cierpiała. Powinna być z kimś, kto o nią zadba, będzie dla niej ostoją, kimś, z kim będzie mogła cieszyć się życiem. Nie powinna marnować swoich najlepszych lat na faceta z guzem mózgu, który zamieni się w warzywo i będzie robił pod siebie. Nie chcę, żeby była ze mną z litości.

Jakaś część mnie namawia, by zagarnąć od życia jak najwięcej, póki jeszcze oddycham. Mogę balować, zaliczać laski, trwonić kasę na żarcie, alko, wypady. Ale wiem, że w ten sposób będę tylko okłamywał sam siebie. Nie chcę tego. Chcę jej.

Kira przysuwa się do mnie, opiera o pień drzewa i kładzie mi głowę na ramieniu. Czuję bijące od niej ciepło, zapach włosów, słyszę jej spokojny oddech. Jest tak blisko, aż mnie to przeraża. Zależy mi na niej. Chciałbym spędzić z nią kolejne dni, tygodnie, może nawet miesiące, ale to byłoby nie fair wobec niej. Czułbym się jak oszust, zabierając ją na kolejne wakacje, kryjąc się przed nią z chorobą, kłamiąc każdego dnia, udając, że wszystko jest w porządku.

Nic nie jest, kurwa, w porządku!

Czeka mnie walka o życie. A ja zawsze walczę do końca, do ostatniego tchu, sam – bez niczyjej

pomocy, bez łaski, bez okazywanej litości. I tak będzie i tym razem. Muszę tylko unikać przy tym ofiar. A jedynym, który powinien ucierpieć w tej walce, jest pieprzony rak.

Przymykam powieki, wciągam powietrze przez nos. Czuję ukłucie w piersi na myśl o tym, co zamierzam zrobić. Muszę z nią zerwać. To najlepsze i jedyne wyjście. Nie mam jednak pojęcia, jak to rozegrać, żeby jej nie zranić, żeby po kilku dniach się otrząsnęła, zapomniała o mnie i wróciła do tego, co było przede mną.

I nagle doznaję olśnienia. Kira musi mnie zniechęcić, poczuć do mnie wstręt, sama ode mnie odejść. W pierwszej chwili chcę jej powiedzieć, że ją zdradziłem. W Grecji, z Mariją, tuż przed naszym wyjazdem. Coś bym wymyślił – że to był szybki numerek na pożegnanie, wtedy gdy Kira brała prysznic po powrocie z plaży. Ale nie mogę jej tego zrobić. Nie po tym, jak mi zaufała, jak mi się oddała, jak robiła ze mną wszystkie te rzeczy, których wcześniej się obawiała. Nie zamierzam spierdolić jej życia, utwierdzając ją w przeświadczeniu, że jednak każdy facet to kutas, który chce tylko dobrać jej się do majtek po to, by ją skrzywdzić i zostawić.

I znowu pojawia się u mnie przeblask geniuszu. I już doskonale wiem, co powinienem powiedzieć, żeby mnie zostawiła. Nie waham się nawet chwili, bo to będzie petarda, która rozpierdoli całe wyobrażenie Kiry na mój temat: jakim to jestem w głębi serca dobrym człowiekiem.

– Zabiłem swojego ojca – walę prosto z mostu.

Kira tężeje. Unosi powoli głowę, lekko się odchyła. Patrzy na mnie, jakby się przesłyszała.

– Co?

– Zabiłem swojego ojca – powtarzam jak psychopata, który bez cienia skruchy przyznaje się do popełnienia morderstwa.

Patrzy mi w oczy, a ja nie widzę na jej twarzy żadnego zdziwienia, żadnej odrazy, wręcz przeciwnie – dostrzegam politowanie.

– Gordian, nie mów tak. To był wypadek...

– To nie był żaden wypadek, Kiro. Skręciłem mu kark, tymi rękoma, po czym zrzuciłem go ze schodów. Jestem zabójcą. I Oza też bym zabił, gdybyś mnie nie powstrzymała.

Ściąga brwi.

– Nie zabiłeś ani jednego, ani drugiego – mówi. – Dlaczego opowiadasz takie straszne rzeczy?

Noż kurwa. Wstaję.

– Czy ty mnie słyszysz? Zabiłem swojego starego i wcale tego nie żałuję. Wszyscy sądzą, że to był wypadek, bo chciałem, żeby tak myśleli.

Oddycham szybko, jestem cały nabuzowany.

I nagle tracę totalnie grunt pod nogami, bo Kira wstaje, podchodzi do mnie ze współczuciem wymalowanym na twarzy, obejmuje mnie w pasie i mocno przytula.

Czy ona oszalała?

Odsuwam ją od siebie, łapię za ramiona.

– Co ty wyrabiasz? Mówię ci, że zabiłem rodzzonego ojca, a ciebie to w ogóle nie obchodzi?

Marszczy czoło. Patrzy tak, jakby znowu chciała mnie przytulić.

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego wmawiasz sobie, że jesteś winien jego śmierci.

– Nie wmawiam! Tak było naprawdę. Wszystkich okłamałem, przeleciałem nawet sędzię, żeby unikać kary. – Podnoszę głos, bo za chuja nie wiem, dlaczego ona mi nie wierzy.

Kira się krzywi na wzmiankę o sędzi, ale tego nie komentuje.

– Gordianie, twój tata spadł ze schodów i skręcił kark.

– Nie. Chciałem go zabić i to zrobiłem.

– Być może chciałeś, byłeś zdenerwowany, ale nic mu nie zrobiłeś. Klóciliście się, to był nieszczęśliwy wypadek, najwyższa pora, żebyś się z tym pogodził, a nie się o to obwiniał.

Puszczają mi nerwy.

– Wcale się nie obwiniam. Mówię ci, że jestem perfidnym kłamcą i bezlitosnym mordercą, a ty mnie tłumaczysz? Zastanów się, dziewczyno. Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz.

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby miała przed sobą skopanego psa, którego trzeba ratować.

– Myślę, że widzę w tobie więcej niż ty sam. Nie wiem, co dzieje się w twojej głowie – stwierdza

poruszona. – Dlaczego usilnie próbujesz wziąć na siebie całą winę? Być może faktycznie tak bardzo nienawidziłeś ojca, że chciałeś się go pozbyć. Twoja mama opowiedziała mi, co dokładnie się wydarzyło. Była przy tym, wszystko widziała i bardzo to przeżyła. Przez długi czas nie mogła pogodzić się z twoim wyrokiem za nieumyślne spowodowanie śmierci. Według niej twój ojciec niefortunnie stracił równowagę i spadł ze schodów. Doświadczylście strasznej tragedii i z całego serca wam współczuję. Ale nie możesz całe życie nosić w sobie takiego ciężaru. Obarczać się winą za coś, czego nie zrobiłeś.

Krew odpływa mi z twarzy, serce łomocze w piersi. O czym ona mówi, do diabła? Przecież mojej mamy nawet przy tym nie było.

– Rozmawiałaś. O tym. Z moją. Matką...? – Każde słowo wymawiam z trudem przez ściśnięte gardło.

– Jeszcze zanim wyjechaliśmy na wakacje. Zapytałam ją, co się działo między tobą a twoim ojcem. Opowiedziała mi o waszych kłótniach, o tym, jak zawsze starała się jej bronić. Mówiła, że tamtego dnia wyrzuciłeś go za drzwi, zaczęliście się szamotać na klatce, mama prosiła cię, żebyś nie robił mu krzywdy. Puściłeś go, a wtedy on stracił równowagę, spadł ze schodów i uderzył głową o grzejnik.

Patrzę na nią oniemiały. Usłyszałem, co przed chwilą powiedziała, ale sens wypowiedzianych przez nią słów zupełnie do mnie nie dociera. Przez moment zastanawiam się, czy to przypadkiem nie jest jakiś pojebany sen albo jakiś omam wywołany przez guza.

Kira ujmuje moją twarz i zagląda mi w oczy.

– Czy ty naprawdę wierzysz w to, że go zabiłeś?

Cofam się, bo nie mogę znieść politowania malującego się na jej twarzy. Chryste, ona uważa mnie za jakiegoś biednego pomyślnika, który ubzdurał sobie, że zabił własnego ojca.

Czy wierzę, że to zrobiłem? Co to w ogóle, kurwa, za pytanie? Przecież tam byłem, chwyciłem go za ramię, unieruchomiłem mu głowę... Słyszałem własne myśli: *Zabij go, skręć mu kark, uwolnij ją od niego.* Słyszałem...

Mam wrażenie, jakbym dostał obuchem w łeb. Myśli zataczają krąg, powracają do tamtej chwili, kiedy trzymałem ojca za kark. Robi mi się słabo. Ja pierdołę, ten głos w mojej głowie... On nie był mój. To ten jebany głos, który usłyszałem wtedy po raz pierwszy i słyszę go od ponad czterech lat.

Wsuwam dłonie we włosy.

Kurwa, kurwa, kurwa! A co, jeśli faktycznie tego nie zrobiłem? Co, jeśli to były urojenia wywołane przez pieprzonego guza? Co, jeśli przez niego doznałem zaników pamięci? Chciałem zabić ojca, matka mnie ubłagała, żebym go puścił, a wtedy on spadł ze schodów?

Przypominam sobie, że przecież podobną wizję jego śmierci miałem na wyspie; to było tak realne, jakby wydarzyło się naprawdę. Jakby było rzeczywistym wspomnieniem.

Robi mi się gorąco.

Nie. To nie może być prawda. Żyję nieprzerwanie z przeświadczeniem, że to zrobiłem. Chciałem go zabić. Chciałem, ale czy zabiłem? Już sam nie wiem, co myśleć. Mam mętlik w głowie.

– Gordian... – Kira podchodzi do mnie, kładzie mi dłoń na ramieniu. Widzę po niej, że się nade mną użala.

Kurwa, miałem ją do siebie zrazić, a zamiast tego wzbudziłem w niej współczucie. Świetnie! Może od razu powiem jej, że mam raka.

Biorę głęboki wdech. Dobra, pora zakończyć to szybkim cięciem. Wytaczam kolejne działo.

– Nie możemy się dłużej spotykać.

Ściąga brwi, cofa powoli dłoń, na jej twarzy dostrzegam wyraz autentycznego zdziwienia.

– Co masz na myśli?

– To, że chce się pieprzyć z innymi kobietami, Kiro. – Staram się przybrać najbardziej luzacki wyraz twarzy, na jaki mnie stać, podczas gdy moje serce dygoce jak w delirce. – Wakacje się skończyły, czas wrócić do dawnego życia.

Kira stoi jak wryta, nie odzywa się. Totalnie ją zaskoczyłem.

– Chyba nie sądziłaś, że to coś między nami będzie trwało w Polsce?

Cisza. Sarnie oczy patrzą na mnie, jakby ujrzały myśliwego z naładowaną strzelbą.

Wzdycham.

– Ech, skarbie, ty naprawdę wierzyłaś, że będę tylko z tobą, prawda? – Przewracam oczami. – Przecież wiedziałaś, że lubię kobiety, seks. Nie jestem zdolny do monogamii. Ciągłe myślę o tym, żeby zaliczyć jakąś pannę, zrobić to z kimś innym niż ty. Nie zrozum mnie źle, lubię cię, jesteś świetna... – Dobra trochę się rozhulałem, miałem ją zniechęcać, a nie zachęcać. – Po prostu nie jestem zdolny do miłości, jakiej ode mnie oczekujesz. Nigdy cię nie pokocham. Nie tak, jakbyś tego chciała. Zależy mi tylko na dobrej zabawie. Więc jeśli masz ochotę, możemy się pieprzyć bez zobowiązań, zaprosić do trójkąta jakąś dziewczynę, żeby podgrzać atmosferę...

Kira patrzy mi prosto w oczy i choć na początku mojego monologu dostrzegałem u niej niedowierzenie, teraz jej twarz przypomina woskową maskę. Żadnej emocji, żadnego wkurwienia, rozpacz, obrażania, dramy, nawet mi nie zajębała, na co byłem gotowy. Już zamierzam ciągnąć swój wywód, wspinać się na wyżyny bycia największym skurwielem wszechczasów, kiedy ona odzywa się chłodno:

– Odejdź stąd.

Wymawia tylko te dwa słowa, a ja czuję się, jakby mnie znokautowała. Żadnego „pierdol się, nienawidzę cię, jesteś złamanym chujem, nie chcę cię znać”. Po prostu „odejdź stąd”.

Dwa słowa, których ton przesiąknięty jest pogardą i obojętnością równocześnie.

Dwa słowa, które mnie miażdżą.

Nic już nie mówię. Osiągnąłem to, czego chciałem.

Czuję do siebie wstręt.

Ostatni raz patrzę jej w oczy i jestem z niej dumny. Ma dziewczyna jaja i twardy charakter. Będzie mi jej naprawdę brakowało.

Odwracam się bez słowa i podążam w stronę szpitala, a im bliżej gmachu, tym bardziej jestem przybity. Nigdy wcześniej się tak nie czułem. Zupełnie jakbym stracił coś, o co powinienem walczyć z całych sił, a zamiast tego wyjechałem to do śmieci. Tłumaczę sobie, że postąpiłem słusznie, że to dla jej dobra.

To jednak nie zmienia faktu, że ten dzień jest najbardziej chujowym dniem mojego życia.



Istnieje taki potoczny zwrot, „szczęście w nieszczęściu”, który oznacza, że za sprawą szczęśliwego przypadku nieszczęście jest nieco mniej tragiczne, niż się przewidywało.

Siedzę w pokoju lekarskim, rozmawiam z lekarzem i sam już nie wiem, czy mam szczęście, pecha czy może los ze mnie drwi.

Ogólnie, wiem jedno – umieram. Doktorek nie pozostawia mi żadnych złudzeń – guz jest nieoperacyjny, a jakakolwiek próba chirurgicznego usunięcia nowotworu zakończy się dla mnie fatalnie.

– Nieoperacyjny w ogóle czy w Polsce? – dopytuję, bo być może rozchodzi się o kasę, sprzęt, kompetencje lekarzy.

– W ogóle. Umieszczenie nie pozwala na usunięcie komórek rakowych bez trwałego uszkodzenia mózgu.

Krew odpływa mi z twarzy.

– Czyli zostaje chemioterapia i radiologia – raczej stwierdzam, niż pytam.

– Konsylium uznało, że metody te nie dadzą zadowalających efektów w pana przypadku.

Patrzę na niego, czuję suchość w gardle. Nic już, kurwa, nie rozumiem.

– Czyli jak zamierzacie mnie leczyć?

W jego oczach dostrzegam ledwo zauważalną iskrę. Doktorek odchrząkuje.

– Istnieje pewna eksperymentalna terapia polegająca na wstrzyknięciu leku bezpośrednio do tętnic guza pod kontrolą rezonansu magnetycznego. Opracowali ją polscy profesorowie w Stanach Zjednoczonych, którzy są gotowi przeprowadzać ją w naszym kraju. Tego typu innowację wykonywano wcześniej jedynie na zwierzętach, lecz kilka miesięcy temu zastosowano ją po raz pierwszy na trzydziestodwuletniej pacjentce, u której wznowił się glejak wielopostaciowy. Guz był nadzwyczaj agresywny, przyrastał o milimetr na dobę. Po zabiegu jednak zmniejszył się o trzydzieści procent, dzięki czemu można było zastosować immunoterapię. Pacjentka po czterech dniach od zabiegu wróciła do domu.

Serce zaczyna mi mocniej bić, staram się wszystko złożyć w całość.

– Ile musiałbym zapłacić? – pytam, bo oczywiste jest dla mnie, że tego typu metody nie pokryje NFZ.

– Firma farmaceutyczna, która zamierza podjąć się produkcji leku, sponsoruje siedem pierwszych eksperymentalnych zabiegów. Jeśli wyrazi pan zgodę, zabieg może odbyć się nawet w ciągu tygodnia. Jest pan młody, guz jest nieoperacyjny, pozostałe wyniki są w normie, kwalifikuje się pan idealnie.

Bez chwili zastanowienia umawiam się na termin zabiegu, który ma być przeprowadzony w oddalonym o trzysta kilometrów Zakładzie Diagnostyki Radiologicznej Centralnego Szpitala Klinicznego.

Notuję w pamięci wszystkie informacje, których udziela mi lekarz, i już układam w myślach plan wyjazdu: co mam spakować, co powiedzieć mamie i Tomaszowi. Zamierzam uporządkować wszystkie

swoje sprawy, spisać w jednym miejscu najważniejsze rzeczy, na wypadek gdybym już nie wrócił. Cholera wie, czy nie padnę trupem w międzyczasie.

Wychodzę z pokoju lekarskiego z wypisem i receptą na leki przeciwbólowe. W mojej głowie kłębi się milion myśli. Mam wrażenie, jakbym balansował na linie na wysokości bez zabezpieczenia. Przede mną w oddali jawi się niewyraźna przyszłość, a w dole nie ma nic oprócz ziejącej otchłani.

Gdy jestem już na parterze szpitala, dostrzegam znajome twarze. Mama jest blada jak płótno, Serafin wygląda na zmęczonego. Puls mi przyśpiesza w obawie przed tym, że stało się coś złego.

– Gordi! – Mama mnie zauważa, kiedy idę w ich kierunku. Jej twarz momentalnie się rozjaśnia, ale w oczach widzę niepokój. – Co ty tu robisz? Dlaczego nie leżysz w łóżku?

Staram się przybrać najbardziej swobodną pozę, na jaką mnie aktualnie stać. Uśmiecham się i podchodzę do niej, a wtedy ona mnie przytula. Świadomość tego, że być może trzymam ją w ramionach ostatni raz, miażdży mi serce.

– Wszystko w porządku, mamó. Wypisali mnie.

– Wypisali? – Puszcza mnie, patrzy mi w oczy. – Czyli to nic poważnego? – pyta z taką nadzieją w głosie, że nie czuję nawet wyrzutów sumienia, że muszę ją okłamać.

– Miałem jakiś niedobór elektrolitów. Już wszystko gra.

Mama uśmiecha się szeroko, bladość na jej policzkach ustępuje zdrowym rumieńcom.

– Kira jest z tobą? – pyta Serafin i się rozgląda.

Na sam dźwięk jej imienia mój żołądek zaciska się w węzeł, a serce zaczyna dudnić jak wariat. Odchrząkuję, staram się zachowywać naturalnie. Jestem praktycznie pewien, że Kira nic im nie mówiła o naszym rozstaniu. To byłoby nie w jej stylu rozpowiadać wszystkim wokół o tym, co się między nami wydarzyło.

Zastanawiam się, co zrobiła po moim odejściu, i jedyny obraz, jaki przychodzi mi do głowy, to ten, kiedy ujrzałem ją pierwszy raz napieprzającą w worek bokserski na dachu. Kurwa, ile bym dał, żeby cofnąć czas i przeżyć tę chwilę ponownie. Zupełnie inaczej bym to rozegrał. Nie traciłbym czasu na Klaudię, Inge, Weronikę, Mariję... Byłem tylko z nią, dla niej; chciałem zdobyć ją jeszcze raz i spędzić z nią każdą chwilę, która mi została.

Ale nie cofnę pieprzonego czasu. Jestem tu i teraz, w jebanym szpitalu, a mój zegar tyka, z każdym oddechem pozostaje mi coraz mniej czasu, coraz mniej życia. Napotykam wyczekujące spojrzenie Serafina.

– Pojechała do domu – odpowiadam lakonicznie.

– To dobrze, powinna odpocząć – stwierdza mama. – Miałam wyrzuty sumienia, że siedziała tu całą noc. Chciałam ją zastąpić, ale się uparła, że zostanie z tobą, aż się nie obudzisz. Musi jej na tobie naprawdę zależeć. – Uśmiecha się wymownie i przesuwa dłonią po moim ramieniu.

Czuję ucisk w piersi. Mam ochotę zawyć jak wilk, który wpadł we wnyki.

Kurwa, dosyć tego rozczulania się nad sobą. Trzeba zacząć działać.

– Mamó, chcę z tobą chwilę porozmawiać – mówię i pokazuję na drzwi wejściowe.

– Pewnie, synku, o co chodzi? – Stoi i się uśmiecha. Ewidentnie nie zajarzyła, że to ma być rozmowa w cztery oczy. Chociaż i tak mam świadomość, że później przekaże wszystko Serafinowi. Zdążyłem się już przekonać, że ta dwójka nie ma przed sobą większych tajemnic. I chyba trochę im tego zazdroścę.

– Wolałbym pomówić z tobą na osobności. – Przenoszę sugestywny wzrok na Serafina, a on od razu reaguje.

– To może chodźmy na zewnątrz? – proponuje. – Jest piękna pogoda. Wy sobie pogadacie na ławeczce, a ja w międzyczasie skoczę do sklepu po coś do picia. Straszny dzisiaj upał.



No i wychodzimy, tylko zamiast siedzieć na ławeczce, spacerujemy z mamą pobliskimi alejkami osiedlowymi. Bloki rzucają cień na chodnik, czasami mija nas jakaś staruszka z zakupami, ktoś z psem na smyczy.

Zaczynam rozmowę od kłamstwa w żywe oczy.

– Muszę wyjechać. Jedna z firm zainteresowała się projektem mojego wynalazku.

– Co, teraz? Przecież dopiero wyszedłeś ze szpitala.

– To ważne, poza tym nic mi nie jest.

Mama przymyka powieki. Dostrzegam po wyrazie jej twarzy, że z bólem serca stara się zaakceptować moją decyzję. W końcu obejmuje moje ramię i idziemy dalej nieśpiesznym krokiem.

– Nie wiedziałam, że próbujesz sprzedać swój projekt.

Nie zamierzam. Jeszcze nie teraz. No chyba że dalsze leczenie będzie wymagać kasy.

– To tylko taka przymiarka. Chciałem zbadać, czy w ogóle będzie zapotrzebowanie na tego typu urządzenie.

– To jakaś poważna firma?

– Międzynarodowa. Nie znasz ich, mają wąską specjalizację. Do tej pory działali w obszarze przeznaczonym dla biznesu. – Kolejne kłamstwo podane na chłodno i bez zbędnych szczegółów. Im mniej informacji, tym mniejsze szanse na zdemaskowanie kłamcy. – Nie będzie mnie dwa tygodnie.

– Aż dwa tygodnie?

– Planujemy zbudować na miejscu prototyp. To może trochę potrwać. Czeka nas wiele pracy, spotkań – pieprzę trzy po trzy. – Czasami mogę być poza zasięgiem. Ale będę do ciebie oddzwaniał.

– Oczywiście. Mną się nic nie przejmuj. Mam Serafina... – Zawiesza głos. – A Kira już wie, że wyjeżdżasz?

Chryste, znowu ta Kira i ponowny skok ciśnienia.

– Nie zdążyłem jej powiedzieć. Dostałem propozycję tuż przed waszym przyjściem.

– Na pewno nie będzie miała nic przeciwko – zapewnia mama. – To wyrozumiała dziewczyna.

Chryste. Pora zmienić temat. Sprawa, którą zamierzam poruszyć w następnej kolejności, najpewniej jeszcze bardziej podniesie mi ciśnienie, ale muszę poznać prawdę, bo to nie daje mi spokoju.

– Muszę cię jeszcze o coś zapytać. Chodzi o ojca.

Mama momentalnie zastyga, ale maskuje emocje łagodnym tonem głosu.

– Pytaj. Jeśli tylko będę mogła ci jakoś pomóc...

Biorę głęboki wdech. Staram się uspokoić, otworzyć umysł na każde słowo, które usłyszę.

– Tamtego dnia, kiedy ojciec spadł ze schodów... Byłaś wtedy na klatce?

Mama patrzy na mnie zdziwiona.

– Oczywiście. Dlaczego mnie o to pytasz?

Serce zaczyna mi mocniej walić.

– I widziałas, jak spadał?

Ściąga brwi.

– Tak. – Przełyka ślinę. – Dlaczego do tego wracasz? – Jej głos lekko drży.

– Bo sam już nie wiem, co myśleć. – Przesuwam dłońmi po twarzy.

– Synku, nie zdręczaj się, to był wypadek. – Gładzi mnie po ramieniu. Spojrzenie ma zatroskane, współczujące.

Patrzę na nią, a tętno wali mi coraz szybciej. Matka mnie kryje. Od początku wiedziała, co zrobiłem. Czy dlatego nie zeznawała w sądzie? Staram się przypomnieć linię obrony Darka i wnioszek o wycofanie mamy jako świadka ze względu bliskiego pokrewieństwa. Kurwa, jak to możliwe, że wyparłem z pamięci tak ważny szczegół? Jak ona może udawać, że nie zabiłem ojca?

Kręcę głową.

– Mamo, nie musisz kłamać. Jestem świadomy tego, co zrobiłem. I oboje wiemy, że to nie był wypadek.

Dostrzegam w jej spojrzeniu dezorientację.

– O czym my mówisz, Gordi?

– Że nie chcę, żebyś nosiła to brzemień.

– Jakie brzemień? To nie była ani moja, ani twoja wina. Byłam tam, widziałam, jak się szarpaliście, on po prostu spadł – idzie w zaparte. – Mówiłam to Darkowi, sąd powinien cię uniewinnić. Ta sędzia była ewidentnie przeciwko tobie. To był nieszczęśliwy wypadek.

Dobra, to już zaczyna mnie porządnie wkurwiać. Ostatkiem sił trzymam nerwy na wodzy.

– Mamo, nie traktuj mnie, jakbym nic złego nie zrobił. Nie rozumiem, dlaczego nadal mnie kryjesz. Dlaczego nie chcesz przyznać, co naprawdę się wydarzyło?

Twarz jej tężeje.

– Gordianie, wystarczy. – Chwyta mnie za dłonie i ściska mocno. – Nie wiem, co się z tobą dzieje, nie mam pojęcia, dlaczego bierzesz na siebie winę za coś, czego nie zrobiłeś. – W oczach ma łzy. – Przerażasz mnie. Jak możesz mówić takie okropne rzeczy?

Chryste, ona naprawdę wygląda, jakby wierzyła w to, co mówi.

– Bo to prawda.

Przymyka powieki, po czym je otwiera. Dostrzegam ból na jej twarzy.

– Gordi, synku... – Wymawia moje imię miękko, troskliwie, a ja się czuję, jakbym znów miał sześć lat. – Nie zrobiłeś tego. Nigdy cię nie okłamałam. Kocham cię najbardziej na świecie i martwi mnie, że bierzesz na siebie winę za nieszczęśliwy wypadek. Ojciec nieraz nas skrzywdził. Wtedy, tam, na klatce, widziałam w twoich oczach ogromny gniew. Przez moment bałam się, że zrobisz coś okropnego. Ale tego nie zrobiłeś. To, że ojciec zginął, było zrzędzeniem losu. I błagam cię, pogódź się z tym, żyj dalej. Nie rozpamiętuj tego, co było, jakich krzywd doznaliśmy, zostaw to za sobą, odgrodź się od tego, tak jak ja to zrobiłam. Nienawiść to najgorsza z negatywnych emocji. Potrafi zeżreć człowieka od środka niczym śmiertelna choroba. Moje pierwsze objawy SM pojawiły się właśnie wtedy, kiedy czułam do twojego ojca największą odrazę. Gdy uświadomiłam sobie, ile lat przeżyłam w strachu, ile krzywd doznałam. Choroba rozwijała się w moim ciele powoli, czyhała na każdą złą emocję. Aż w końcu ścięła mnie z nóg. Dlatego każdego dnia, choć jest to bardzo trudne, staram się wybaczyć twojemu ojcu, nie bać się, bo wiem, że moje SM karmi się lękiem i nienawiścią, bo one osłabiają nie tylko moją psychikę, lecz także ciało. Pielęgnując dawne urazy, sprawiasz, że narastają one w twoim sercu i rozprzestrzeniają się na całe ciało. Dlatego proszę cię, uwolnij się wreszcie od ojca, od przeszłości i zwróć się ku nowemu. Żeby poczuć ulgę, by cieszyć się życiem, póki jeszcze nie jest za późno.

Serce wali mi jak szalone. Nie mam pojęcia, co powinienem teraz myśleć, co jej odpowiedzieć. Patrzę w jej oczy, widzę, że martwi się o mnie jak cholera. I nagle do mnie dociera, że jestem totalnym debilem. Tylko niepotrzebnie narażam ją na stres, na kolejny atak.

Najwyraźniej mama dostrzega, że mam nietęgą minę, bo ujmuje moją twarz. Patrzy mi w oczy z miłością tak wielką, aż nie jestem w stanie tego znieść.

– Wiem, że jesteś dorosły i samodzielny. I wiem, że nie powinnam się wtrącać w twoje życie. Odkąd wyprowadziłeś się z domu, nigdy tego nie robiłam. Ale jestem twoją matką i chcę, żebyś uszanował moją prośbę. Nie wracaj do tego, co było. Potraktuj to, co się wydarzyło, jako życiową lekcję, wyciągnij z tego wnioski. Może kiedyś założysz własną rodzinę, będziesz miał żonę i dzieci. I wtedy uświadomisz sobie, że przykre doświadczenia z przeszłości pokazały ci, jakim mężem i ojcem nie należy być, jak stworzyć prawdziwie szczęśliwą rodzinę.



Następne dni spędzam na załatwianiu dokumentów, które utonęły w Grecji. Porządkuję mieszkanie, robię wszystko, żeby nie myśleć, nie analizować, nie zastanawiać się nad tym, czy zabiłem ojca, czy zabieg się uda, ile jeszcze będę żył.

Oddaję dla biednych ubrania i przedmioty, których nie używałem od ponad pięciu lat. Skoro wcześniej mi się nie przydały, nie będę ich żałował, jeśli przeżyję. Gdyby jednak przywieźli mnie w worku, to szafki w moim mieszkaniu będą względnie wyczyszczone, żeby mama nie miała później kłopotu z pakowaniem pozostałych rzeczy.

Dzwonię do Tomasza, sprzedaję mu tę samą bajeczkę co mamie i proszę, żeby zajął się klubem przez najbliższe dwa tygodnie. Tu chociaż jestem spokojny, bo mam pewność, że jeśli wykituję, Tomasz świetnie poprowadzi biznes samodzielnie. Nieraz już mnie zastępował. Jakby nie patrzeć, jesteśmy współnikami, więc ma dostęp do wszystkiego. Tomasz nalega na spotkanie. Chce się umówić ze mną na piwo, pogadać, bo dawno się nie widzieliśmy, ale się wymiguję. Nie chcę się przypadkowo przed nim wygadać.

Wieczorem, w dniu poprzedzającym wyjazd, postanawiam napisać cztery listy. Do mamy, Kalisty, Tomasza i Kiry. Nigdy bym siebie nie podejrzewał o takie zdolności, ale, kurwa, sam się wzruszam pod wpływem tego, co napisałem.

Najdłużej czasu spędzam nad listem do Kiry, pewnie dlatego, że sam do końca nie rozumiem tego, co do niej czuję. Wszystko, co jej dotyczy, jest skomplikowane, wzbudza we mnie emocje, których nie znam. Każde słowo ważę dwa razy, aż w końcu o północy zaklejam list, podpisuję kopertę i kładę ją na stole tuż przy innych.

Jestem gotowy do drogi, gdziekolwiek mnie zaprowadzi.



Stoję nad rozkopanym grobem, w którym leży zamknięta dębowa trumna. Wokół mnie jest ciemno, czuję chłód, który przeslizguje się po moich ramionach i plecach. W oddali widzę zielony, równo przystrzyżony trawnik skąpany w słońcu. Tuż za nim z górki zbiega dwójka małych dzieci: chłopiec z dziewczynką, gonią za piłką.

– Tato, tato, chodź do nas! – woła jedno z nich.

– Gordian, idziesz? – Słyszę znajomy głos. Wyteżam wzrok, na wzniesieniu widzę Kirę. Podąża w moją stronę w zwiewnej sukience, wygląda kwitnąco. Dostrzegam, że ma zaokrąglony brzuch, jest w ciąży! Chłopiec podbiega do niej, gdy są już niedaleko, i łapie ją za nogę. Unosi ufnie główkę i patrzy jej w oczy.

– Mamusiu, dlaczego tatuś nie chce się z nami bawić?

– Nie wiem. Może sam go o to zapytasz?

Dzieciak odwraca się w moją stronę, a mnie zatyka. Wygląda dokładnie tak samo jak ja, kiedy byłem mały. Z tym wyjątkiem, że jego oczy są lekko skośne, jak u kota. Zerkam na dziewczynkę, która przypomina mniejszą i pulchniejszą wersję Kiry. Serce zaczyna mi mocniej bić.

Przenoszę spojrzenie na Kirę. Wydaje mi się nieco starsza. W kącikach oczu ma więcej zmarszczek, niż zapamiętałem. Dodają jej swoistego uroku i kobiecości. Jest tak piękna, że mam ochotę do niej podejść, pocałować i zamknąć w ramionach. Dzieci biegają wokoło niej, są coraz bliżej mnie. Czuję, że chcę być blisko nich. Wyjść z ciemności na światło, porzucić chłód, który ziębi mi ramiona, i poczuć ciepło słońca. Robię krok do przodu, chwięję się i w ostatnim momencie łapię równowagę. Kurwa! Zapomniałem, że stoję nad dołem z trumną.

Zerkam w dół i zamieram. Serce łomoce mi głucho. Wieko trumny jest otwarte. W środku, w mroku, leży mój ojciec z rozwartymi szeroko powiekami. Poliki ma zapadnięte, wargi sine, jednak oczy żywe, ciemne, niemal czarne; zupełnie jak wtedy, kiedy tracił nad sobą panowanie.

– Jeśli chcesz do nich pójść, musisz mnie najpierw pochować – odzywa się powolnym, zachrypniętym głosem.

– Pogrzebałem cię cztery lata temu.

– Pogrzebałeś, ale się nie pożegnałeś.

Drażni mnie jego głos. Zaciskam dłonie w pięści. Mam ochotę rzucić na niego kopiec ziemi, która piętury się u moich stóp. Chcę, żeby przysłoniła jego wstrętą mordę. Sprawiała, by zamknął gębę. Lecz tego nie robię.

– Nie zasłużyłeś na pożegnanie – mówię.

– Ja nie zasłużyłem, ale ty tak.

– Gordian! Chodź do nas. – Rozlega się ponowne wołanie. Podnoszę wzrok, Kira z dziećmi stoją po drugiej stronie dołu, skapani w słońcu. Chcę znaleźć się blisko nich, być razem z nimi po słonecznej stronie.

– Już do was idę.

Szykuję się do skoku. Robię kilka kroków w tył, żeby wziąć rozbieg. A wtedy nagle ziemia zaczyna się trząść. Dół się poszerza, wydłuża, rozrasta. Jest nieskończenie długi, nie widać jego kresu ani z lewej, ani z prawej strony. Kira z dziećmi się oddalają, wołają mnie, wyciągają do mnie ręce. Czuję niemoc. Jestem za daleko, by do nich doskoczyć. Pragnę tego najbardziej na świecie, ale wiem, że nie dam rady. Z niewielkiego dołu zrobiła się wyrwa szeroka i głęboka na kilkadziesiąt metrów. Trumna zniknęła, jej miejsce zajęła mroczna, lodowata otchłań.

– Pożegnaj mnie, a dam ci wieczny spokój. – Dobiega mnie z głębi stłumiony głos ojca. – Pożegnaj mnie, synu...



Budzę się złany potem. Jest mi kurewsko zimno, łeb mnie napierdala tak mocno, że mimowolnie wbijam sobie palce w czaszkę. Jestem zziębnięty, cały się trzęsę, a przecież jest środek lata. Zerkam na zegarek. Czwarta dwadzieścia. Niebawem zacznie świtać. Wstaję powoli z łóżka, zarzucam na siebie bluzę, idę do kuchni, łykam prochy przeciwbólowe i wstawiam wodę. Muszę się napić czegoś gorącego, bo zaraz zamarznę. Siadam przy stole, na którym leżą koperty z listami.

Przed oczami zjawia mi się Kira ze snu, w ciąży, wokół niej dzieciaki... i ojciec w trumnie. Słyszę jego ostatnie słowa i przechodzi mnie dreszcz. Opieram łokcie o blat, wsuwam dłonie we włosy. Myślami mimowolnie podążam do miejsca, w którym byłem tylko raz w życiu i poprzysiągłem sobie, że nigdy już do niego nie powrócę.

A jednak mam wrażenie, że muszę się tam ponownie znaleźć. Przez ten jebany sen czuję jakiś wewnętrzny przymus, by stanąć nad grobem ojca.

Wypijam gorącą herbatę, biorę rozgrzewający prysznic, jem śniadanie. W międzyczasie wstaje dzień. Głowa boli mnie już znacznie mniej, a senna mara powoli odpływa w zapomnienie. Mimo to wiem, że ta sprawa z ojcem nie da mi spokoju, dopóki jej nie zakończę.

Wyłączam wszystko w mieszkaniu, zamykam drzwi na oba zamki, pakuję na motor worek z najbardziej przydatnymi rzeczami i zamiast skierować się od razu na autostradę, jadę na cmentarz prawosławny. Jest przed ósmą, kiedy docieram na miejsce. Brama jest jeszcze zamknięta. Tuż obok wejścia jakaś starsza kobieta rozstawia stragan z kwiatami.

– Może kupi pan znicz dla zmarłego? – zagaduje.

– Nie trzeba – odpowiadam, po czym dodaję ciszej, sam do siebie: – Nie zasłużył sobie na znicz.

– Długo się pali. Klienci sobie chwalą.

Już mam jej odburknąć, że jej klienci leżą dwa metry pod ziemią i jebie ich, ile pali się znicz, a wtedy ona podchodzi, wręcza mi mały, szklany, ozdobny słoik wypełniony białą stearyną i zapalki.

– Nie chowaj urazy, szkoda życia – mówi, odwraca się i kontynuuje rozstawianie kwiatów. Patrę na znicz i zapalki. W tej samej chwili pracownik cmentarza uchyła bramę.

Z dobre czterdzieści minut błędzę między alejkami. Za diabła nie pamiętam, gdzie jest pomnik ojca. Jestem na siebie zły. Marnuję piękny, słoneczny dzień na poszukiwanie grobu umarłego, zamiast ruszyć w drogę, by ratować własne życie.

Pierdoleń to! Robię w tył zwrot i w tym samym momencie dostrzegam w jednym z wazonów bukiet różowych eustom, które mimowolnie kojarzą mi się z mamą. Przystaję, podchodzę bliżej i gdy widzę tablicę ze swoim wygrawerowanym nazwiskiem, zamieram. Nie dociera do mnie, że tuż przed nim widnieje imię mojego ojca, a nie moje. Patrę na kwiaty, które na bank są tu dzięki mojej matce, i autentycznie chce mi się płakać. Nie byłem świadom, że mama odwiedza grób ojca. Ale nie to mnie teraz zajmuje, lecz fakt, że nie chcę, żeby odwiedzała pomnik, na którym będzie widniało moje imię i nazwisko. Nie chcę, żeby ze łzami w oczach układała eustomy w wazonie na moim grobie.

Kurwa, nie chcę umierać!

Ściskam w dłoni znicz tak mocno, że zaraz pęknie szkło. Jestem na skraju jakiegoś pieprzonego załamania. Po co tu w ogóle przyjechałem, co mnie podkusiło?

I nagle w mojej głowie rozlega się echo słów ojca ze snu: *Pożegnaj mnie, a dam ci wieczny spokój.*

Patrę ponownie na kwiaty, na nazwisko na grobie, na datę śmierci i małą sentencję u dołu płyty, którą najwyraźniej kazała wygrawerować matka.

Żegnaj na zawsze.

Dociera do mnie, że mój ojciec leży głęboko pod ziemią, że zostały już z niego same kości, że odszedł na zawsze, już nigdy nie wróci, nigdy nie skrzywdzi ani mnie, ani mamy.

Przypominam sobie jej słowa – jak gorliwie zapewniała, że nie zabiłem ojca, jak prosiła, żebym pozostawił przeszłość za sobą i wyzbył się gniewu. I zaczynam powoli wierzyć w to, że może faktycznie go nie zabiłem. Chcę w to uwierzyć. Mam dosyć wmawiania sobie, że jestem mordercą i złym człowiekiem, że być może rak jest karą za ojcobójstwo.

Kucam, zapalam znicz i stawiam go na grobie tuż obok wazonu. Knot zajmuje się ogniem i po kilku chwilach pali się prostym, strzelistym płomykiem. Patrę na niego, przestępuję z nogi na nogę, aż w końcu mobilizuję się w sobie, by powiedzieć trzy słowa.

– Żegnaj. Na zawsze – mówię na głos, a wtedy strzelisty, prosty płomień wykonuje taniec, jakby poruszył nim podmuch wiatru, i gaśnie.

Powietrze stoi nieruchomo, żadna gałązka nie drgnie, żaden liść nie zaszeleści.

Wpatruję się w dymiący knot, czuję zapach zgaszonej świecy.

Mam wrażenie, jakby z ramion schodziło mi napięcie, jakbym zrzucił z pleców ciężar, z którego istnienia wcześniej nie zdawałem sobie sprawy. Oddycham lżej niż zwykle, serce bije mi spokojniej i miarowo. Ogarnia mnie niewysłowiona ulga. Po raz pierwszy czuję, że jestem naprawdę wolnym człowiekiem. Człowiekiem, który być może w przeszłości popełnił wiele błędów, ale może jeszcze odmienić swoje życie. Jeśli tylko będzie miał szansę i czas, by to zrobić.

Zapalam ponownie znicz. Pojawia się płomień. Pali się jednostajnie, regularnym kształtem. A ja wracam do swojego życia, zostawiając przeszłość za sobą.



Zapieprzam autostradą ponad dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę. Nie wiem właściwie, dlaczego się śpieszę, skoro mam jeszcze spory zapas czasu. Po prostu szybka jazda weszła mi w nawyk. Wyprzedzam mijane auta, jestem skupiony na drodze. To najlepszy sposób, by nie myśleć o tym, co mnie czeka. Chcę być tu i teraz, ekscytować się prędkością, przekraczać granice. Mimo to chwilami przed oczami przemyka mi obraz Kiry. Jak wystawia twarz do słońca, jak uśmiecha się przekornie, jak

dyskutuje ze mną z przejęciem. Powracają do mnie nasze rozmowy. Słyszę jej głos.

– *Biedna ta twoja mama.*

– *Dlaczego? – pytam.*

– *Mogę się założyć, że za każdym razem, kiedy wyjeżdżasz od niej spod bloku, drży jej serce.*

Momentalnie zwalniam. Zatapiam się we wspomnieniach z wakacji. Odtwarzam w pamięci miejsca, w których byliśmy. Przypominam sobie rzeczy, które robiliśmy. Odurzam się nimi jak narkoman.

Wjeżdżam do miasta, zatrzymuję się na światłach i nagle dostrzegam w aucie tuż obok mnie znajomą postać dziewczyny. Wstrzymuję oddech. Serce wybija szybki rytm. Wychylam się, unoszę wizjer kasku. Czuję ukłucie rozczarowania, kiedy widzę, że to nie Kira.

Kurwa, chcę ją zobaczyć. Chcę znowu poczuć jej zapach, jej usta na moich, usłyszeć jej głos. Cholernie pragnę powrotu do tego, co było między nami. Pragnę znowu znaleźć się z nią w Grecji. Chcę dla siebie takiego życia, jakie tam wiedliśmy, chcę żyć z nią.

Światło zmienia się na zielone. Wrywam z miejsca sfrustrowany, bo wiem, że to, czego pragnę, jest poza moim zasięgiem.

Mam przesrane. Tak bardzo przesrane.



Kolejne dwie doby mijają jak za mgłą. Być może przez to, że jestem otumaniony lekami, a może dlatego, że za wszelką cenę staram się zachować dystans i być poza tym, czego doświadczam. Bo nie chcę zapamiętywać, jak neurochirurg prowadzi ze mną szczegółowy wywiad, jak tłumaczy, że metoda posiada zgodę komisji bioetycznej, że tak naprawdę jest nieinwazyjna i za cztery dni wypiszą mnie do domu; nie chcę zapamiętywać, jak opisuje, że wykonają małe nakłucie w pachwinie, pod kontrolą angiografu RTG, i do tętnic mózgu zaopatrujących guz wprowadzą mikrocewnik, przez który podadzą leki. Nie chcę zapamiętywać, jak przygotowują mnie do zabiegu, jak wiozą na salę, jak głucho i niepokojąco wali mi serce, jak wokół pika aparatura, jak głos anestezjologa niknie w oddali... Nie chcę, kurwa, tego pamiętać!

Ale pamiętam.

Budzę się, otwieram oczy i przez moment mam wrażenie, że leżę we własnym łóżku, że wszystko, co zadziało się od powrotu z Grecji, jest chorym snem.

Nie jestem jednak we własnym łóżku. Poznają to po sterylnym zapachu i po świetle, które razi mnie w oczy.

To nie sen. Nic mnie nie boli, ale czuję się ogłupiały po narkozie. Niby odbieram bodźce, kojarzę, co się wydarzyło i gdzie się znajduję, ale wszystko jest niewyraźne. Chcę mi się spać. Powieki same mi się zamykają. Usypiam.

Kolejna pobudka jest już znacznie wyraźniejsza.

– O, nie śpi pan. – Obok mnie młoda pielęgniarka zmienia kroplówkę. – Poinformuję lekarza – mówi i wychodzi.

Leżę w bezruchu i czuję, jak serce mi szybciej bije. To oczekiwanie jest dobijające. Sięgam po komórkę, zerkam na wyświetlacz. Minęło ponad dziewięć godzin, odkąd mnie stąd wywieźli na zabieg. Wpatruję się w ekran. Żadnego powiadomienia o wiadomościach przychodzących, żadnych nieodebranych połączeń. Nie wiem dlaczego, ale przez ułamek sekundy czuję ukłucie zawodu. Kurwa, przecież sam tego chciałeś, człowieku. Weź się w garść!

Czekając na lekarza, zaczynam przeglądać w telefonie wiadomości sportowe. Niby czytam ze zrozumieniem, ale moje myśli wciąż biegną w kierunku przeprowadzonego zabiegu. Czy się powiodł? Czy udało im się dostać do guza? Zerkam co chwilę na drzwi, aż w końcu ich próg przekracza kobieta w białym fartuchu. Wchodzi pewnym krokiem do sali. Włosy ma długie, jasne, jest szczupła i zadbana, na oko ma około pięćdziesiątki, ale jest dobrze zakonserwowana. Trzyma tabletki w dłoniach, uśmiecha się wstrzemięźliwie.

– Pan Gordian Samaras, zgadza się? – Przysuwa sobie krzesło i siada tuż przy moim łóżku.

– Pani jest teraz moim lekarzem?

– Nie, nazywam się Sonia Dobroń i jestem psychologiem.

Momentalnie się napinam.

– Nie potrzebuję psychologa.

– Być może – odpowiada bez zająknięcia, jakby słyszała taką odpowiedź już setki razy. – Musimy jednak porozmawiać. To obowiązująca procedura przy tego typu zabiegu. Tego życzy sobie firma farmaceutyczna. Chcą mieć pewność, że po wyjściu ze szpitala będzie pan gotowy do dalszego monitorowania efektów leczenia. – Patrzy na mnie i czeka na moją reakcję. Nie oponuję. Domyślam się, że inwestor chce mieć pewność, że po wszystkim nie zapiję się na śmierć albo nie skoczę z mostu i nie zniweczę ich badania nad skutecznością leku albo jej brakiem.

– Znane są już wyniki? – pytam wprost.

– Lekarz prowadzący udzieli panu wszelkich informacji.

Zaczynam się denerwować, czy przypadkiem nie przyszła przygotować mnie na najgorsze.

– Czy wie pani, jakie są wyniki? – pytam ponownie.

Kobieta lekko się pochyla, patrzy mi w oczy.

– Nie. Czekam pana jeszcze jedno prześwietlenie, po którym okaże się, czy zabieg przyniósł zakładany efekt. Moim obowiązkiem jest jednak pana poinformować, że nawet jeśli ten nowatorski zabieg się powiedzie i guz zacznie się zmniejszać, to wcale nie oznacza dla pana długiego, szczęśliwego życia bez dalszej diagnostyki i leczenia. Guz może odrastać...

– Nic nie trwa wiecznie, równie dobrze po wyjściu stąd może mnie potrafić autobus. A na szczęśliwe życie nigdy nie liczyłem.

Kobieta ściąga brwi, odchyła się na oparcie krzesła.

– Może to właśnie jest pański problem.

Kurwa, chyba się przesłyszałem. Dlatego nie znoszę psychologów. Zamieni taka z tobą jedno zdanie i już jej się wydaje, że cię zna.

– O co pani chodzi?

Kobieta zakłada nogę na nogę.

– Panie Samaras, pracuję w tym szpitalu od ponad dwudziestu lat. Poznałam wiele osób chorych na nowotwór mózgu, pracowałam z wieloma pacjentami, którzy umierali na skutek raka albo wychodzili z niego cało. I zauważyłam jedną prawidłowość: guzy często tworzą się u ludzi, którzy pielęgnują dawne urazy. U osób, które nie potrafią uwolnić się od przeszłości, żyć wyłącznie teraźniejszością, nastawić się na lepszą przyszłość, być szczęśliwe.

Już to przerobiłem. Chcę konkretów.

– Przecież to jest szpital. Nie powinnaś mi gadać tu jakichś pierdół, tylko przygotować mnie do wyników zabiegu. Chyba mówiłaś, że taka jest twoja rola?

Patrzy na mnie spokojnym wzrokiem, podczas gdy ja zaczynam się gotować. Widocznie nie przeszkadza jej nawet, że przestałem paniować, bo sama zaczyna mówić do mnie na ty.

– Rozumiem twoje poirytowanie. Tak jak powiedziałam, twój lekarz udzieli ci szczegółowych informacji odnośnie do zabiegu. Moją rolą jest dawanie pacjentom takim jak ty, chorym na nowotwór, nadziei na pełne wyzdrowienie. Chcę ci uświadomić, że organizm ludzki to nierozzerwalna całość, jednolita maszyna. Jeśli jeden z trybików się psuje, to najpewniej oznacza, że w systemie coś nie gra. Mózg to komputer. Guz mózgu może świadczyć o tym, że wprowadziłeś do swojego umysłu nieprawidłowe dane.

– Jakie dane, co ty pieprzysz? To nie żaden Matrix, tylko moje życie.

– Nowotwór najczęściej występuje u osób, które tkwią w destrukcyjnych przekonaniach, odmawiają zmiany na lepsze. Czasami trzeba przeprogramować umysł, uwolnić go od tego, co niszczy całe ciało. Guz to rak, to choroba, która może sygnalizować skrywaną tajemnicę, nienawiść zżerającą organizm od środka. Nieustępliwość, pozostawanie przy tym, co stare i złe, brak zgody na wybaczenie to najczęstsze psychologiczne przyczyny schorzeń nowotworowych.

Przesuwam dłońmi po twarzy. Nie chcę już tego wałkować.

– Jestem inżynierem, wierzę w naukę. Zawołaj neurochirurga, niech robią to prześwietlenie.

– Rozumiem, że takie podejście to dla ciebie coś nowego. To naturalne, że obawiamy się tego, co nieznanne – odpowiada spokojnym głosem, który zamiast koić, tylko mnie dodatkowo wkurwia. – Tyle że nawet jeśli podany innowacyjny lek zadziała i ciało zostanie uzdrowione, ale umysł i nastawienie pozostaną niezmiennie, prędzej czy później nowotwór powróci. Proces leczenia powinien przebiegać

holistycznie, zarówno z zewnątrz: za pomocą nauki, narzędzi chirurgicznych, leków, jak i od wewnątrz: poprzez zmianę myślenia, wybaczenie, pogodzenie się z przeszłością. Choroba będzie powracać do ciebie dopóty, dopóki nie uzdrowisz swojego serca, psychiki, emocji, które były odpowiedzialne za jej wywołanie. Powinieneś uspokoić ciało i umysł, być z nimi w zgodzie. Wykorzystaj różnorodność metod uzdrawiania, jakimi dysponuje współczesny świat: medycynę tradycyjną – chirurgię, terapię psychologiczną, leki, ale też naturalne sposoby – masaże relaksacyjne, zdrowe odżywianie, suplementację, medytację, modlitwę, ruch, miłość... Wszystko to powstało dla dobra ludzi. Każdy z nas musi znaleźć własny sposób na uwolnienie się od demonów, które targają naszym umysłem i ciałem. A to jest długa i żmudna praca, która w ostatecznym rachunku się opłaca. Nagrodą jest to, co najcenniejsze może otrzymać człowiek: życie. Cokolwiek cię spotkało, możesz się od tego uwolnić. Nieraz powtarzałam swoim pacjentom: „Rak będzie w tobie do momentu, aż nie porzucisz przeszłości. Będzie zżerał cię od środka, aż nie wybaczysz sobie i innym ludziom. Będzie nękał cię do momentu, aż nie zapłaczesz nad losem małego, skrzywdzonego chłopca, którym kiedyś byłeś, i nie pogodzisz się z losem, jaki cię spotkał”.

Prycham.

– Mam płakać? Nie jestem babą.

– Wcale tak nie twierdzę. Płacz jest naturalnym procesem oczyszczania. Jest rzeczą ludzką. Mężczyźni, zwłaszcza ci silni z zewnątrz, odważni, nieugięci, często nie mają kontaktu ze swoją wrażliwością. W dzisiejszych czasach trudno jest być macho, zresztą zawsze tak było. Mężczyźni w swoich umysłach nieustannie polują na zwierzynę, dbają o ogień, schronienie, prowadzą międzyplemienne walki, by zapewnić rodzinie bezpieczeństwo. A jeśli dochodzi do tego wpajanie chłopcom, że mężczyźni nie płaczą, nie okazują słabości, mają być twardzi, wówczas w dorosłym życiu nie przychodzi im łatwo uwolnienie nagromadzonych emocji: frustracji, gniewu, bólu, bezsilności, właśnie poprzez płacz. Wówczas włącza się agresja. A ta, wbrew pozorom, jest społecznie bardziej akceptowalna niż łzy. Mężczyźni nie zaprzatają sobie głowy emocjami, nie rozmawiają o nich, bo nigdy od nich tego nie wymagano, bo nikt ich tego nie uczył. A tak naprawdę większość z was jest wrażliwa, współczująca, emocjonalna, tylko nie zdaje sobie z tego sprawy albo się tego wstydi, wypiera i przywdziewa maskę twardziela. – Kobieta przygląda mi się, po czym mówi bez cienia wątpliwości: – Jestem niemal pewna, że ty też nosisz taką maskę. I chyba najwyższa pora ją zrzucić, bo za rok, dwa może być za późno.

– To już przegięcie. Przecież ty mnie w ogóle nie znasz. Nie noszę żadnej pieprzonej maski – syczę przez zaciśnięte zęby.

– To prawda, nie znam cię. Ale znam ten schemat i chcę ci pomóc. Chcę, żebyś poczuł się lepiej ze swoją przyszłością, z samym sobą. Chcę pomóc ci przeżyć. Dlatego mam dla ciebie jedną radę, a ty zrobisz z nią to, co uważasz za słuszne. Niezależnie od wyników, jakie dzisiaj otrzymasz, i tego, ile dni ci zostało, odpuść temu, co sprawiło, że tłą się w tobie gniew i nienawiść. Zostaw negatywne emocje za sobą i zainwestuj w to, co pozytywne w twoim życiu. Odgroź się od przeszłości, zacznij nowy rozdział, bo ten, w którym dotychczas tkwiłeś, po prostu się nie sprawdza.



Nie wiem, jak długo po wyjściu psycholożki leżę spętany własnymi myślami i patrzę w sufitowe lampy. Jej ostatnie słowa brzmiały tak podobnie do tych, które usłyszałem od matki, że nie jestem w stanie ich ignorować. Zastanawiam się – oczywiście czysto hipotetycznie – czy faktycznie moja nienawiść do ojca, ciągle rozpamiętywanie i złość na to, co nam uczynił, mogło doprowadzić do pojawienia się pieprzonego raka. Czy wszystkie doświadczenia z dzieciństwa, ciągły gniew, brak wzorców poszanowania i miłości między ojcem a matką uczyniły ze mnie seksoholika niezdolnego do zaangażowania się w żaden związek?

Oddycham ciężko, bo kurewsko niewygodnie mi ze świadomością, że mogę być aż tak mocno popieprzony; że własnym sposobem myślenia i nastawieniem doprowadziłem się do takiego stanu. Co gorsza, nie dopuszczałem do siebie myśli, że staczam się na dno, chociaż dostawałem znaki ostrzegawcze.

Zastanawiam się, co dalej ze mną będzie. Czy umrę? Jeśli tak, to kiedy? Ile zostało mi czasu, co mam z nim zrobić? Czy bóle głowy i omamy znikną, czy będę musiał z nimi żyć aż do śmierci? Zerkam na drzwi, wyczekując lekarza. Czuję tak silny niepokój, że z trudem oddycham; puls jest tak szybki, jakbym biegł. Mam wrażenie, że tracę kontrolę, nie panuję nad sytuacją, życie wymyka mi się z rąk. Jestem żałosny i najwyraźniej totalnie oszalałem, bo mam ochotę zwrócić się do jakiejś siły wyższej z prośbą o pieprzony cud.

Przekręcam się na bok, odsuwam szufladę szafki i wyciągam z niej krzyżyk, który dała mi Kalista. Nie wiem, dlaczego właściwie go ze sobą zabrałem. Czy zadziałał jakiś impuls, czy może chciałem mieć ze sobą coś, co będzie mi o niej przypominać. Przesuwam kciukiem po szorstkiej, drewnianej powierzchni. Przypominam sobie, jak Kira twierdziła, że ujrzała mnie pod wodą, bo krzyż świecił w ciemnościach. Czuję ukłucie w piersi.

Leżę w bezruchu, patrzę w jeden punkt. Być może to totalnie popieprzone, ale jakaś część mnie zaczyna prowadzić w myślach monolog, którego nigdy bym się po sobie nie spodziewał.

Posłuchaj, Boże, jeśli w ogóle istniejesz i tak się nazywasz. Nie znam Cię, ale nie lubię Cię za to, że pozwoliłeś spartolić mi dzieciństwo. Nie lubię Cię też za to, że psujesz ludziom życie, a później wszystko odkręcasz, żeby umocnić ich w wierze. Nie wiem, co sobie zaplanowałeś względem mnie w tym wszechwiedzącym umyśle, ale jeśli to, co mnie spotkało, to jakaś pieprzona kara za to, jakim byłem człowiekiem, to rozumiem, okej. Chciałeś dać mi naukę, pokazać, jak właściwie żyć, niech Ci będzie. Ale wiedz, że twój cały genialny plan padnie, jeśli umrę. Dlatego mam dla Ciebie propozycję: jeśli sprawisz, że ten pieprzony guz zacznie znikać, to w pełni zaakceptuję to, że spotkała mnie boska kara, pochylę z pokorą głowę. Obiecuję, że twoja nauka nie pójdzie na marne.

Kończę ten monolog i czuję się spokojniejszy. Zamykam krzyż w dłoni, a potem kładę ją sobie na piersi. Tętno zwalnia, oddech staje się wydłużony, czuję ciepłe mrowienie, powieki stają się ciężkie. Usypiam.



Budzi mnie światło słoneczne. Otwieram oczy, jestem wypoczęty, moje myśli są żwawe, ciało domaga się ruchu. Przeciagam się i zauważam, że wciąż trzymam krzyżyk w dłoni.

Przypominają mi się słowa Kalisty.

Uważaj na siebie, wnusiu, i zawsze noś przy sobie krzyżyk, który ci dałam.

Przekładam rzemień przez głowę, siadam na łóżku, poruszam nogami. Jestem skostniały, muszę się rozruszać. Widzę, że ktoś odłączył mi kroplówkę od wenflonu. Sięgam po telefon, zerkam na ekran. Jest dziewiąta. Dziewiąta rano! O cholera, przespałem cały wieczór i noc, nie obudziłem się nawet na chwilę.

Widzę ikonkę powiadomienia, że mam dwie nieodebrane wiadomości.

Jak tam, synku, Twój projekt? Wszystko idzie po Twojej myśli? Zadzwoń, gdy będziesz mógł.

Wzdycham. Nie chcę z nią teraz rozmawiać. Kurwa, boję się, że pękne, że wyznam jej prawdziwy powód wyjazdu. Nie chcę, żeby się przejmowała, żeby czekała na mój wyrok. Niepotrzebne są jej zmartwienia, ma własne problemy ze zdrowiem.

Jak na razie jeszcze nic nie wiadomo. A co u Ciebie?

Czekam na odpowiedź chyba całe wieki. Czytam kolejną wiadomość.

Co u Ciebie? Kiedy wracasz? Na sobotę mamy ustawionych siedem walk. Będziesz?

Chwilę mi zajmuje, nim orientuję się, że jest środa. Nawet nie mam pojęcia, kiedy mnie wypiszą. Nic, kurwa, nie wiem.

Dam Ci znać. Świetna robota!

W międzyczasie odpisuje mama.

U mnie w porządku. Rozmawiałeś może z Kirą? Martwimy się o nią. Kiedy wracasz?

Żołądek zawiązuje mi się w supeł.

Jeszcze nie wiem, kiedy wracam. Dlaczego się martwicie o Kirę, co jej jest?

Znowu czekam na odpowiedź, co mnie dobija. Wstaję i zaczynam krążyć po sali. Okno wychodzi na skwer z drzewami. Jakaś para spaceruje, trzymając się za ręce. Chłopak jest w piżamie i szlafroku, domyślam się, że dziewczyna go odwiedza. Kurwa, nie mogę na nich patrzeć. Tylko się niepotrzebnie nad sobą pastwię.

Odchodzę od okna. Przychodzi SMS.

Kupiła bilet lotniczy, we wtorek wraca do Anglii. Między wami wszystko w porządku?

Siadam na łóżku. Zaciskam dłoń na telefonie, wpatruję się w wyświetlacz. Kurwa... kurwa, kurwa! Narasta we mnie panika. Jeśli Kira wyjedzie, to najprędzej zobaczę ją przy okazji Bożego Narodzenia albo urodzin Serafina, które są chyba w lutym. Jeśli w ogóle wtedy przyjedzie. Zważywszy, że mam jebanego guza mózgu, mogę się z nią już nigdy nie spotkać... Chyba że sam do niej wcześniej polecę, ale przecież ona nie będzie mnie chciała widzieć.

– Dzień dobry, proszę się położyć. Zabieramy pana na prześwietlenie. – Podchodzi do mnie dwóch pielęgniarzy.

Serce zaczyna mi walić jeszcze szybciej. Zmieniam bieg myśli.

– Mogę iść sam.

– Proszę zostać na łóżku, taka jest procedura.

– A kontrast?

– Dostał pan dożylnie, kiedy pan spał.

Wiozą mnie tą samą drogą, którą przebyłem przed zabiegiem. Jestem tak zdenerwowany, że nawet nie wiem, kiedy wjeżdżamy do sali zabiegowej, gdzie przechodzę o własnych siłach na łóżko z rezonansem magnetycznym. Dostaję do ręki przycisk, technik przez interkom informuje mnie o rozpoczęciu badania. Maszyna buczy z różną częstotliwością, trwa to kilkanaście minut. I przez cały ten czas serce łomocze mi głośno i boleśnie. To wyczekiwanie jest dobijające.

Dalej nikt już nic nie mówi, nie wyjaśnia. A ja wewnątrz konam z niepewności.

Pielęgniarze zabierają mnie z powrotem do sali. I czekam. Czekam, czekam, czekam. Kurwa, czekam jak głupek, cały spięty. Przeżywam stan przedzawałowy. Kłuje mnie w klatce piersiowej, serce mi łomocze, dudni w skroniach.

– Dzień dobry. – W końcu słyszę męski głos, podnoszę wzrok. Do sali wchodzi mój lekarz. Wstrzymuję oddech. Przyszła chwila prawdy.

Siada na krzeselku, dokładnie w tym samym miejscu, co psycholożka. Trzyma w ręku tabletkę. Wprowadza mnie w przebieg zabiegu, tłumaczy krok po kroku wszystko, co się działo.

– Zabieg trwał około siedmiu godzin, ale do RTG był pan podłączony przez pięćdziesiąt minut. Najpierw podaliśmy mannitol, aby dokonać rozszczelnienia bariery krew-mózg, po nim przyszła pora na właściwy lek. Nie było to łatwe, bo guz był zaopatrywany aż przez cztery naczynia... – Z szeregu medycznych sformułowań wyłapuję najważniejsze fakty i wciąż czekam w napięciu na najważniejszą wiadomość, a ta w końcu nadchodzi. – Dzisiejsze prześwietlenie pokazało, że guz zmniejszył się o ponad siedemdziesiąt procent, co jest ogromnym sukcesem. – Widzę wyraz zadowolenia na jego twarzy. Jestem cały spocony z emocji. – Nie wiemy, czy znowu odrośnie. Nikt tego nie wie – tłumaczy. – Na pewno wyciszyliśmy go na jakiś czas, pana funkcjonowanie powinno znacznie się poprawić, wrócić do normy. Guz nie uciska już na miejsca, które mogły być przyczyną omamów, bólów głowy, omdleń. Planujemy zastosować immunoterapię. Będzie ona stymulować pana układ odpornościowy do niszczenia komórek nowotworowych. Oczywiście konieczna jest kontrola co trzy miesiące, czy guz nie przyrasta. Uznajemy, że jest pan na dobrej drodze do wyleczenia. Jestem pozytywnej myśli. Ma pan wielkie szczęście. Proszę w pełni korzystać z życia.

Siedzę oniemiały. Wypowiedziane przez niego słowa są jak powiew ciepłego, wiosennego powietrza po chujowej zimie. Mam ochotę go podnieść i uściskać.

Udało się. Ja pierdolę... Będę żył! Nie wiem, przez ile lat, ale nikt przecież nie wie, ile zostało mu dni na tym świecie. Guz się zmniejszył, co oznacza, że zanim ponownie odrośnie, jeśli w ogóle odrośnie, będę mógł normalnie funkcjonować. Nie powinienem się zbyt ekscytować, bo nadal mam raka. Jednak nie ma tragedii. Przetwarzam ponownie ostatnie zdania wypowiedziane przez lekarza.

Uznajemy, że jest pan na dobrej drodze do wyleczenia. Jestem pozytywnej myśli. Ma pan wielkie szczęście. Proszę w pełni korzystać z życia.

O tak, zamierzam korzystać z życia, i to w najwyższym stopniu.



W piątek chcą mnie wypisać. Nie ma sensu, żebym siedział dłużej na obserwacji. To przecież nie była operacja, tylko zabieg, po którym nie muszę w żaden sposób dochodzić do siebie.

Przez cały czwartek krążę po szpitalu jak lew w klatce i zastanawiam się, co zrobię po powrocie. Nie zamierzam zdradzać komukolwiek, gdzie naprawdę byłem. Tym bardziej że teraz może być ze mną tylko lepiej. Mam totalny bałagan w głowie, nie mam pojęcia, co zrobić z Kirą. Nie mogę tak po prostu jej przeprosić, nie zdradzając, jakie kierowały mną powody. Co więcej, jestem przekonany, że gdy tylko mnie zobaczy, zatrzaśnie mi drzwi przed nosem. I będzie miała rację. Zraniłem ją, przeze mnie wyjeżdża wcześniej do Anglii. Kurwa, nie mam pojęcia, co zrobić, żeby mi wybaczyła.

Następnego dnia wypisują mnie do domu ze skierowaniem i zamiarami do pracowni immunologii nowotworów w moim mieście.

Jest późne popołudnie, kiedy wchodzę do swojego mieszkania. Nie byłem pewien, czy jeszcze tu wrócę. I zamiast czuć radość z tego powodu, przyływ energii, motywację do działania, jestem nabuzowany, posępny, mam totalnie zjebany humor. Obżeram się czekoladą, napierdalam w gruszkę bokserską, robię podciąganie i pompki na kółkach gimnastycznych przywieszonych do futryny. Pot się ze mnie leje, czuję każdy mięsień, ale to wcale nie pomaga.

Cały czas głowię się nad tym, jak mam postąpić w sprawie z Kirą. Boję się. Tak, kurwa, boję, że Kira tym razem mi nie wybaczy. Jestem jebanym tchórzem.

Wychodzę w noc. Krążę po mieście bez celu. Mijają mnie imprezowicze, jakieś zgrabne dupeczki, które wyszły na piątkowe rwanie. Czuję, że seks w pełni by mnie rozładował. Wiem to. Bez zastanowienia wchodzę do klubu go-go. Gołe panienki tańczą na wyspach. Prężą się, wiją, wypinają tyłki. Tymczasem mój kutas wisi obojętnie, jakby uznał, że jedyne, do czego się teraz nadaje, to szczanie.

Muzyka dudni, alkohol leje się strumieniami, jakaś roznegliżowana dziunia podchodzi do mnie i pyta, czy mam ochotę się zabawić. Nawet nie wiedziałem, że świadczą tu tego typu usługi. Patrzę na jej cycki, schodzę wzrokiem niżej. Ma na sobie stringi, pasek do pończoch. Wyciąga dłoń, przesuwając po moim kroczu. Jestem tak zubożony, aż dziewczynie robi się głupio i odchodzi.

Stoję tam jeszcze przez kilka chwil, opierając się o bar. Śledzę wzrokiem napalonych facetów, schlanych, spoconych, czerwonych na mordzie, gotowych wydać połowę miesięcznej pensji, żeby sobie popatrzeć, pomacać, poruchać. I ogarnia mnie wstręt – nie do nich, do samego siebie. Nie chcę tu być. Nie chcę tego. Nie chcę spędzać życia w taki sposób. Przypominają mi się ostatnie dni pobytu w Grecji. Coś drga mi w piersi. Przed oczami migają obrazy: złocista plaża, turkusowe morze, dom Kalisty, Akropol... I w każdej z migawek dostrzegam jedną i tę samą postać: Kira ścigająca się ze mną wzdłuż złocistej plaży. Kira oplatająca mnie nogami w turkusowym morzu. Kira pijąca poranną kawę na ganku w domu Kalisty. Kira robiąca nam wspólną fotkę na zboczu Akropolu.

Odruchowo wyciągam telefon, otwieram folder ze zdjęciami i wpatruję się w nasze twarze. Jestem totalnym matolem, że pozwoliłem jej odejść w taki sposób. Dałem ciała, zjebałem po całości. Kurwa, przecież nigdy wcześniej nie czułem się tak, jak podczas tych wakacji. I nie chodzi tu wcale o to,

że to były greckie wakacje, ani o to, że miałem wolne od studiów i roboty, ani nawet o to, że spędziłem sporo czasu w towarzystwie mamy i Kalisty. Bo najlepsze momenty, które najbardziej wryły się w moją pamięć i serce, to te ostatnie dni, kiedy byłem z Kirą. Kiedy czułem, że jest moją dziewczyną. Kiedy byłem z nią szczęśliwy.

Kurwa, jak mam w pełni korzystać z życia, skoro brakuje w nim osoby, która sprawiała, że naprawdę chciało mi się żyć?

Odrzuciłem dziewczynę, do której czułem coś, czego nigdy wcześniej nie zaznałem. Zraniłem ją i za cholerę nie wiem, jak ponownie wkupić się w jej łaski. Nie będzie mnie nawet chciała wysłuchać. Jestem na przegranej pozycji. Ale muszę jakoś sprawić, żeby została. Muszę naprawić to, co zjebałem, chociaż będzie to cholernie trudne. Jestem świadom, że Kira może wcale nie zdecydować się na pozostanie w Polsce, nawet jeśli będę ją o to błagał. Ale nie mogę odpuścić. Zamierzam stoczyć walkę, w której moje szanse na zwycięstwo wynoszą jeden do miliona. Miałem w dłoni swój wygrany los, miałem już swój milion i wypierdoliłem go do kosza.

Żongluję w myślach sposobami, które mogą jakoś pomóc mi ją przeprosić – kwiaty, bransoletka, talon do spa, perfumy... Ja pierdołę, przecież żadna z tych rzeczy nie sprawi, że Kira mi wybaczy. Być może ucieszyłyby się z kwiatów i błyskotki przy jakiejś okazji typu urodziny, ale nie po tym, co odwaliłem.

I nagle doznaję olśnienia. W mojej głowie rodzi się szalony plan. Szalony, ale możliwy do wykonania.

Wygram to, muszę to wygrać.

Następne godziny upływają mi jak w amoku. Jestem na pełnym speedzie. Wykonuję kilka telefonów, pożyczam auto od zaskoczonych moim powrotem Tomasza. Tłumaczę mu, że znowu muszę wyjechać, zabieram z domu kilka rzeczy i znikam na ponad dwa dni.

Wracam w poniedziałek przed południem. Jestem zjebany, niewyspany i pełen niepewności, czy to, co sobie uroiłem, w ogóle wypali.

Stoję na klatce przed mieszkaniem rodziców, serce wali mi ogłuszająco. Nie wiem, czy powinienem zadzwonić do drzwi, czy otworzyć je swoim kluczem. Nawet nie wiem, czy Kira jest w środku.

Idę na żywioł. Co ma być, to będzie. Decyduję się otworzyć drzwi sam.

Wchodzę do przedpokoju, w środku panuje cisza. I zajebicie, nikogo nie ma. To sobie poczekam. Ruszam korytarzem w stronę kuchni i wtedy słyszę cichą muzykę z mojego dawnego pokoju. Puls mi przyśpiesza. Podchodzę, nasłuchuję... Uchylam powoli niedomknięte drzwi.

Kira leży na łóżku, czyta książkę, nie widzi, że stoję w progu i gapię się na nią jak debil. Na podłodze dostrzegam dwie walizki, jedną zapiętą, drugą otwartą, spakowaną do połowy. Ich widok sprawia, że jeszcze bardziej się denerwuję. Kira zamierza jutro wyjechać, a ja mam ostatnią szansę, żeby namówić ją do pozostania. Lepiej żebym się wykazał i nie spartolił sprawy. Zasycha mi w gardle.

Patrzę na nią. Jest tak cholernie piękna.

– Cześć – odzywam się zachrypniętym głosem.

Wzdryga się, przenosi na mnie wzrok. Jej powieki się rozszerzają, lecz po chwili zwięzają. Patrzy z niechęcią, po czym schodzi spojrzeniem niżej i otwiera szeroko usta ze zdumienia. Jest w totalnym szoku.

I słusznie.

– Ktoś się za tobą stęsknił – mówię i nie mam tu na myśli tylko siebie.

Kundel, którego trzymam na rękach od dziesięciu minut, zaczyna zipać. Kira gapi się na niego oniemiała. Zupełnie zgłupiała. I dobrze, takiej właśnie reakcji się spodziewałem. Puszczam zwierzaka na podłogę, a on podbiega do niej, merdając ogonem.

Odkłada książkę na łóżko, siada powoli, zakrywa usta dłońmi. Wciąż nie może uwierzyć w to, co widzi. Dopiero kiedy pies wskakuje jej na kolana, na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech, oczy błyszczą.

– Boże, Gorki! To ty? – Przytula go do piersi, tarmosi za łeb. A pies cieszy się jak wariat, liżąc ją po twarzy. Naprawdę musiał ją wcześniej polubić, skoro ją rozpoznał.

Nie byłem do końca pewien, czy Kira zorientuje się, że to naprawdę on, a nie jakiś podobny do niego mieszaniec ze schroniska. W fundacji w Atenach ostrzygli go, umyli, wyczesali. Sam na początku miałem wątpliwości, czy to ten sam pchlarz.

Opieram się o futrynę i przyglądam, jak Kira cieszy się niczym dziecko na jego widok. I czuję się zajebiście, że mogłem jej podarować coś, czego tak bardzo pragnęła. Wiem jednak, że to nie załatwia sprawy między nami, bo Kira bierze psa na ręce, przechodzi obok mnie, jakby mnie tu w ogóle nie było, i idzie z nim do kuchni.

– Pewnie chce ci się pić, co, piesku? – Słyszę, jak mówi do niego ciepłym głosem i niczego bardziej nie pragnę, niż żeby odezwała się do mnie takim samym tonem.

Idę za nią, staję w progu i obserwuję, jak nalewa wody do miski, po czym stawia ją na podłodze.

– Gdzie rodzice? – pytam.

Odwraca się, piorunuje mnie wzrokiem.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Przymykam powieki. Słowa więzną mi w gardle.

– Nie – wyduszam stłumionym głosem i sięgam do tylnej kieszeni, z której wyciągam kopertę zaadresowaną jej imieniem.

Gram *va banque*. Podaję jej list, lecz ona nawet nie drgnie.

– Co to jest? – pyta oziębło.

– Przeczytaj. – Trzymam kopertę w dłoni jak debil. Ale Kira nie zamierza jej ode mnie wziąć. – Proszę cię. Przeczytaj – dodaję po chwili, a ona najwyraźniej słyszy desperację w moim głosie, bo wyciąga dłoń i zabiera list.

Rozdziera kopertę, rozkłada papier, a mnie serce wali tak mocno, że pewnie nawet ona je słyszy.

Prześlizguje się wzrokiem po literach. Zaczyna szybko oddychać. Robi coraz większe oczy. Znam treść tego listu na pamięć i zastanawiam się, w którym miejscu Kira teraz jest, który fragment czyta.

Widzę w pamięci każde słowo, które napisałem własnoręcznie; każde zdanie, które tak trudno było mi z siebie wydobyć.

Kiro, Cyrus!

Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że już się nigdy nie zobaczymy. To znaczy ja Ciebie nigdy nie zobaczę. Nie jestem dobry w pisaniu listów, nie jestem mocny w formułowaniu wniosków i wnurzeń. Wolę konkrety i tym razem też się bez nich nie obędzie. Choć i tak jestem z siebie zadowolony, bo właśnie wspinam się na wyżyny swoich możliwości, by jasno przekazać Ci swoje myśli.

Sklamiałem w sprawie wyników badań w szpitalu. To nie był niedobór elektrolitów. Zdiagnozowano u mnie nieoperacyjnego guza mózgu.

Sklamiałem, że nie chcę z Tobą być.

Sklamiałem, że brakuje mi seksu z innymi kobietami.

Prawda jest taka, że pragnę tylko Ciebie. I tylko z Tobą pragnąłbym być, gdyby udało mi się pokonać tego pasożyta, który żera mnie od środka.

Skoro to czytasz, to znaczy, że mi się nie udało.

Wiedz jednak, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby wyzdrowieć, żeby Cię odzyskać.

Gdy to piszę, jest wieczór. Jutro wyjeżdżam do szpitala, gdzie czeka mnie eksperymentalny zabieg, dzięki któremu moje szanse na przeżycie znacznie się zwiększą. Ale całe to przedsięwzięcie to jedna wielka niewiadoma, równie dobrze jutro mogę być już martwy.

Zranilem Cię. Przepraszam. Zachowałem się jak totalny dupek. I cholernie źle mi z tego powodu. Wiem jednak, że dzięki temu Twój żal będzie tylko chwilowy. I wiem, że takie rozwiązanie było dla Ciebie najlepsze. Chciałem oszczędzić Ci tego całego syfu, który mnie czeka.

Wybacz, że Cię okłamałem. Zrobiłem to, bo bałem się, że z czasem poczujesz do mnie coś więcej, a moja śmierć złamie Ci serce. A to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał.

Zapewne smażyć się w piekle, bo tam najprawdopodobniej trafię, będę diabelnie zazdrosny o każdego fagasa, z którym będziesz się spotykać. Ale gorzej zniósłbym Twoją rozpacz po mojej śmierci. Nie chcę, żebyś cierpiała z mojego powodu. Pragnę, byś była szczęśliwa. Naprawdę, Cyrus. Jesteś

najbardziej zajebistą dziewczyną, jaką w życiu spotkałem, i gdziekolwiek trafię po śmierci, będę się chwalił wszystkim umarłakom, jaką to miałem świetną dziewczynę za życia.

Pamiętaj, żeby trzymać uniesioną gardę i zawsze łącz cios z wydechem.

Gordian

Kira opuszcza list, ręce jej drżą. Podnosi na mnie wzrok, oczy ma szkliste.

– Jesteś już po tym zabiegu? – pyta zachrypniętym głosem.

– Tak.

– I?

– Guz zmniejszył się o ponad siedemdziesiąt procent. Czeka mnie immunoterapia. To jednak nie oznacza, że guz nie będzie odrastał. Ale lekarze dobrze mi rokują na przyszłość.

Kira wypuszcza powietrze. Widzę, że nieco się rozluźnia.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Marszczę brwi. Przecież przeczytała list, wie dlaczego.

– Wszystko ci napisałem.

– Chcę usłyszeć, jak mówisz mi to w oczy. – Rzuca list na stół.

Wciążam głęboko powietrze.

– Nie chciałem, żebyś się nade mną litowała, była smutna, nieszczęśliwa. Dlatego zdecydowałem, że lepiej będzie się rozstać.

Patrzy na mnie i widzę, że jej stan emocjonalny się zmienia. Rozdygotanie minęło. W jej oczach zapala się złość.

– Zdecydowałeś, tak? – Zakłada ręce na piersi. Nozdrza zaczynają jej falować. – Cholerny z ciebie geniusz. – Narasta w niej coraz większy gniew. – A nie pomyślałeś, że kiedy mnie zostawisz, unieszczęśliwisz mnie jeszcze bardziej? Naprawdę tak mało mnie znasz, że spodziewałeś się po mnie litości? Nie dałeś mi nawet szansy, żebym cię wspierała w walce z rakiem. Zmusiłeś mnie, żebym ci złorzeczyła w samotności, zamiast być przy tobie w szpitalu i trzymać cię za rękę. – Patrzy mi intensywnie w oczy. – Związek dwojga ludzi to nie tylko zabawa i seks, Gordianie. Kobieta i mężczyzna, którzy są razem, powinni być dla siebie oparciem w gorszych chwilach, pomagać sobie, pocieszać się, dawać sobie nadzieję.

Być może faktycznie mało ją znam, bo sądziłem, że kiedy zobaczy Kundla i przeczyta ten cholerny list, rzuci mi się na szyję i zaleje łzami. Zamiast tego ona urządza mi burę. I widzę, że z trudem się powstrzymuje, żeby mi nie przyłożyć.

Moja dziewczyna.

Uśmiecham się sam do siebie. Czuję, że nawet jeśli zostało mi niewiele lat życia, to chcę każdy dzień spędzić właśnie z nią.

– To dla ciebie takie zabawne? – Jest już maksymalnie wkurzona, jej oczy ciskają błyskawice.

Podchodzę bliżej niej. Muszę mieć niezłego banana na twarzy, bo Kira aż wydyma policzki ze złości i robi się czerwona. Serio, zaraz mi przywali.

– Co cię tak cieszy? Powiedz. Według ciebie jestem śmieszna?

– Wręcz przeciwnie.

– To dlaczego się szczerzysz jak głupek?

Biorę głęboki wdech, bo na samą myśl o tym, co zamierzam powiedzieć, ścisną mnie w klatce piersiowej. Wiem jednak, że jeśli tego nie zrobię, będę naprawdę najgłupszym facetem na świecie.

– Kocham cię – wyrzucam z siebie na wydechu.

Robi wielkie oczy. Uchyła usta, po czym je zamyka i znowu otwiera.

– Przecież powiedziałeś, że nigdy mnie nie pokochasz.

I to ma być jej reakcja na moje wyznanie? Chryste, mam ochotę zacząć walić głową w ścianę.

– Powiedziałem, że nigdy nie pokocham cię tak, jakbyś tego chciała.

– A to nie to samo? Skąd mam mieć pewność, że zaraz nie zmienisz zdania?

Wzdycham. No i się zaczyna. Ja pieprzę. Nie wystarczy jej, że powiedziałem magiczne słowa. Muszę się uzewnętrzniać, wywalać bebechy na wierzch, zapewniać ją o swoich uczuciach, podczas gdy

ona stoi z założonymi rękoma na piersi i bojową miną, mówiącą: „No, tłumacz się teraz. Tak łatwo ci ze mną nie pójdzie”.

W sumie nie powinienem się dziwić. Po tym numerze, który wywinąłem, ma prawo we mnie wątpić.

– Nie zmienię zdania, Kira – zapewniam, ale to jej nie wystarczy. Wciąż patrzy na mnie, jakby oczekiwała czegoś więcej. Niech i tak będzie. – Nie zmienię zdania, bo kiedy uświadomiłem sobie, że już nigdy cię nie zobaczę, nigdy cię nie pocałuję, nie będę patrzył na ciebie, gdy śpisz, nie usłyszę od ciebie ani jednego dobrego słowa, zrozumiałem, że moje życie będzie bez sensu. – Przesuwam dłonią po włosach. – Od początku miałaś rację. Przez cały czas przedkładałem seks nad relacje. Sądziłem, że wszystko sprowadza się do pieprzenia. Myślałem, że moje uczucia do ciebie to chęć zdobycia tego, co nieosiągalne. Ale kiedy cię wreszcie zyskałem, a później straciłem... – Czuję suchość w gardle. Kurwa, brakuje mi słów. – Chcę ci po prostu powiedzieć, że tak długo traktowałem kobiety przedmiotowo, że nawet się nie zorientowałem, że się w tobie zakochuję.

Kira wstrzymuje oddech, patrzy już na mnie nieco łagodniej.

– Chcę, żebyś została w Polsce – mówię. – Chcę spędzić z tobą każdą kolejną chwilę swojego życia. Chcę znowu zabrać cię we wrześnie do Grecji. Chcę, żebyś była przy mnie, kiedy za trzy miesiące przyjdzie pora na kolejne badanie. A po twojej maturze moglibyśmy zamieszkać razem na wyspie...

Kira ściąga brwi.

– Na greckiej wyspie? – pyta, jakby się przesłyszała.

– Moglibyśmy spróbować. Sama mówiłaś, wtedy, na plaży, że chciałabyś zamieszkać w takim miejscu. Wiem, że to poroniony pomysł. Musielibyśmy znaleźć tam pracę, rozbudować dom Kalisty. Ale prawda jest taka, że wszyscy możemy jutro umrzeć, jeśli nie na raka, to w wypadku samochodowym lub w inny debilny sposób. Nie chcę czekać latami na realizację swoich marzeń, chcę korzystać z życia, póki mogę. A jeśli ty będziesz chciała korzystać z niego razem ze mną, to będę najszczęśliwszym facetem na Ziemi.

Stoję przed nią i sam nie wierzę, że te wszystkie słowa wypłynęły z moich ust. Nigdy nikomu nie mówiłem takich rzeczy, co więcej, zawsze uważałem, że takie pieprzenie jest totalnie niemęskie.

Stoję przed nią i jedyne, na czym mi aktualnie zależy, to żeby nie odprawiła mnie z kwitkiem i poczuciem, że zrobiłem z siebie doszczętnego głupka.

Stoję przed nią, a ona przybliży się, ujmuje moją twarz w dłonie i patrzy mi w oczy. Dostrzegam w jej źrenicach błysk. Na twarzy pojawia się uśmiech.

– Wiedziałam, że jeszcze będą z ciebie ludzie – rzuca zadziornie i przyciska usta do moich ust.

Usidla mnie jej zapach, smak, oddech. Obejmuję ją w talii, przygarniam do siebie, rozchyłam jej wargi i smakuję językiem jej wnętrze. Nie mogę się nią nasycić. Kurwa, tak bardzo jej pragnę. Unoszę ją za biodra, a ona otacza mnie nogami. Idę z nią do mojego pokoju, całuję...

Kira ściąga pośpiesznie koszulkę, zdejmuje spodenki, bieliznę i staje przede mną zupełnie naga. Jezu, uwielbiam jej ciało. Patrzę na nią z zachwytem, a ona jest w pełni świadoma tego, jak na mnie działa. Przekręcam szybko klucz w drzwiach. Zrzucam z siebie ciuchy. Kira przesuwa po mnie wzrokiem, a ja podchodzę do niej od tyłu, łapię ją za piersi i przyciskam tors do jej pleców. Wciskam kutasa pomiędzy jej pośladki, całuję szyję i kark. A ona oddycha szybko. Ociera się o mnie tyłkiem.

Zjeżdżam dłonią do cipki, jest wilgotna, miękka i taka ciepła, że marzę, by jej posmakować.

– Chcę cię wylizać, od tyłu – szepczę w jej włosy.

Zamiera na moment, lecz po chwili klęka na posłaniu i wypina zajebiste pośladki. Ja pierdolę, co za widok. Łapię za półdupki; są takie jędrne i ponętne. Rozchyłam je i omal nie eksploduję od samego patrzenia. Nachylam się, by zlizać soki, które wypływają z cipki. Słyszę, jak Kira oddycha szybko, jak postępuje. Zasysam lechtaczkę, pieszczę ją językiem.

Napiera tyłkiem na moją twarz. Widzę po mowie jej ciała, że chce więcej, chce, żebym wszedł w nią głęboko.

Dziurka nad cipką tak rozkosznie się zaciska, że nie mogę się powstrzymać i przesuвам po niej językiem. Kira wzdycha, a ja już wiem, że kiedyś się tam nieźle zabawimy. Ale jeszcze nie teraz.

Łapię ją w pasie i kładę na łóżku na plecach. Sunę ustami po piersiach, brzuchu. Masuję

łechtaczkę, biodra się unoszą, dłonie zaciskają na moich włosach.

– Masz prezerwatywę? – Dyszy ponętnie.

No ba, ja bym nie miał?

Sięgam po spodnie. Ledwo znajduję gumkę w portfelu – tak jestem rozkojarzony jej cyckami i gołą cipką. Chcę się w niej zatopić. Chcę w niej być. Zakładam kondom, podchodzę do Kiry, wkradam się pomiędzy jej uda, łapię za penisa i zaczynam wsuwać się powoli w gorące wnętrze, do samego końca. Kira patrzy mi w oczy, dostrzegam w nich tak wiele emocji: rozkosz, pożądanie i jeszcze coś... Coś, co sprawia, że serce bije mi coraz szybciej. Przywieram do jej ust, chwytam ją za biodra i zanurzam się w niej z każdym ruchem, z każdym jej westchnieniem. I wiem, że to, co teraz robimy, to nie jest zwyczajny seks. To nie jest wyłącznie zaspokojenie pożądania. To coś większego, głębszego, intensywniejszego niż wszystko, czego wcześniej doświadczyłem.

To taki seks, którego nie mogę porównać do żadnego innego, a trochę go wcześniej doświadczyłem.

Poruszam się w niej powoli, całuję w usta, szyję, piersi. Pochłaniam jej oddech, zapach, każde westchnienie. Spajam się z nią w jedność.

Idealne dopasowanie.

I kiedy po wszystkim wtulamy się w siebie na wąskim łóżku, kiedy trzyma głowę na moim ramieniu, kiedy kładę jej dłoń na moim sercu, to czuję całym sobą, że kocham tę dziewczynę jak wariat.

– Ja też cię kocham, Gordi – mówi niespodziewanie Kira swoim niskim, seksownym głosem.

A ja szczerzę się jak głupek. O, i tak właśnie powinno wyglądać moje życie. Nie chcę myśleć o przeszłości ani o przyszłości. Tym, co wydarzy się jutro, zajmę się jutro. A teraz, chwilo, trwaj.

Przesuwam palcami po sutku Kiry i czuję ponowny przyływ pożądania.

– I jak tam, Cyrus? Masz ochotę na powtórkę?

Od Autorki

Drodzy czytelnicy, przyjmę taktykę Gordiana i napiszę krótko i na temat.

Dziękuję Wam ogromnie, że czytacie moje książki. Mam nadzieję, że i tym razem było warto. Jeśli znacie moje pozostałe powieści, to wiecie, że lubię przemycać w nich głębsze treści. Liczę na to, że i ta historia okazała się dla Was nie tylko przyjemną rozrywką, ale również skłoniła do głębszych przemyśleń.

Zachęcam Was do dzielenia się ze mną opiniami oraz spostrzeżeniami dotyczącymi moich książek. Znajdziecie mnie na:

- Facebooku: [facebook.com/melissa.darwood](https://www.facebook.com/melissa.darwood)
- Instagramie: @melissadarwood
- Lubimy czytać: lubimyczytac.pl/autor/81650/melissa-darwood

Będzie mi miło, jeśli pozostawicie po sobie ślad w którymś z tych mediów i napiszecie kilka słów od siebie. Zapraszam Was również do odwiedzania mojej strony internetowej, przez którą możecie zamówić moje powieści z imienną dedykacją:

www.melissadarwood.com

Pozostajemy w kontakcie.

A handwritten signature in cursive script that reads "Melissa Darwood". The ink is a light grey or blue color, and the signature is centered on the page.

O Autorce



Melissa Darwood

Autorka bestsellerowych powieści dla kobiet i młodzieży,
tworząca pod pseudonimem.

W swoich utworach uwodzi czytelników lekkim stylem,
humorem, dużą dawką emocji, zwrotami akcji
oraz niepowtarzalnymi bohaterami.

Jej powieści niosą za sobą głębokie przesłanie,
dzięki czemu pozostają na długo w sercach i pamięci czytelników.

Strona Autorki

www.melissadarwood.com



facebook.com/melissa.darwood



<http://instagram.com/melissadarwood>



<http://tiktok.com/@melissadarwood>



<http://youtube.com/user/MelissaDarwood>

Przypisy

[1] William Shakespeare, *Antoniusz i Kleopatra*, przeł. Jerzy Limon i Władysław Zawistowski. [2] Spokojnie, bez pośpiechu. [3] Henryk Sienkiewicz, *Ogniem i mieczem*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1964. [4] Pismo Święte Starego Testamentu, Księga Izajasza. Wydawnictwo Pallottinum, Poznań, 2003 [5] Cleland John, *Pamiętniki Fanny Hill*, tłum. i adap. Mieczysław Sztycer. [6] Pismo Święte Starego Testamentu, Księga Izajasza 1, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań, 2003. [7] Pismo Święte Nowego Testamentu, 1 List św. Piotra 5, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań, 2003. [8] Przeciwlękowy lek psychotropowy – przyp. aut. [9] Z ang.: Cześć, przystojniaku! – przyp. autorki. [10] Z ang.: Nie martwcie się. Będzie dobrze – przyp. autorki. [11] Z ang.: Bawcie się dobrze. Fajna wycieczka – przyp. autorki. [12] Marek Grechuta, *Dni, których nie znamy* – przyp. autorki. [13] Z greckiego: Dobranoc. Żegnaj – przyp. autorki.

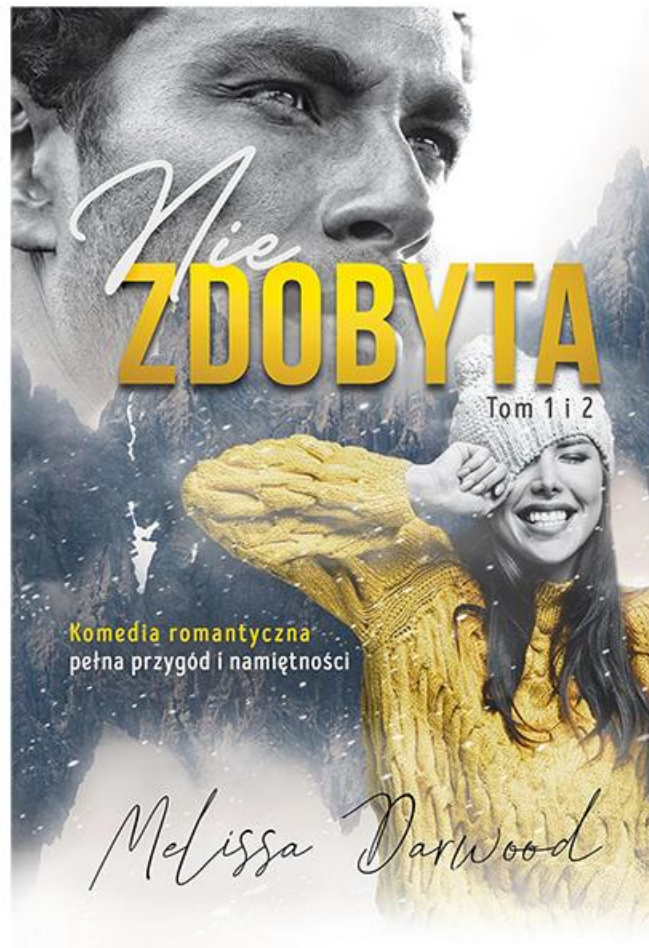
Inne książki Wydawnictwa Melissa Darwood

Seria „Mój szef”. Melissa Darwood



Romans biurowy, jakiego jeszcze nie było!
Gorące sceny, humor i bohaterowie, których nie da się zapomnieć.
Seria Mój szef rozpali Twoje zmysły, rozmiękczy serce
i rozbawi Cię do łez.

„Niezdobyta. Tom 1 i 2”.
Melissa Darwood



Bestsellerowa komedia romantyczna w jednotomowym,
rozszerzonym wydaniu!

Zabawne dialogi, rozpalające zmysły sceny, moc wrażeń
i zachwycające krajobrazy.

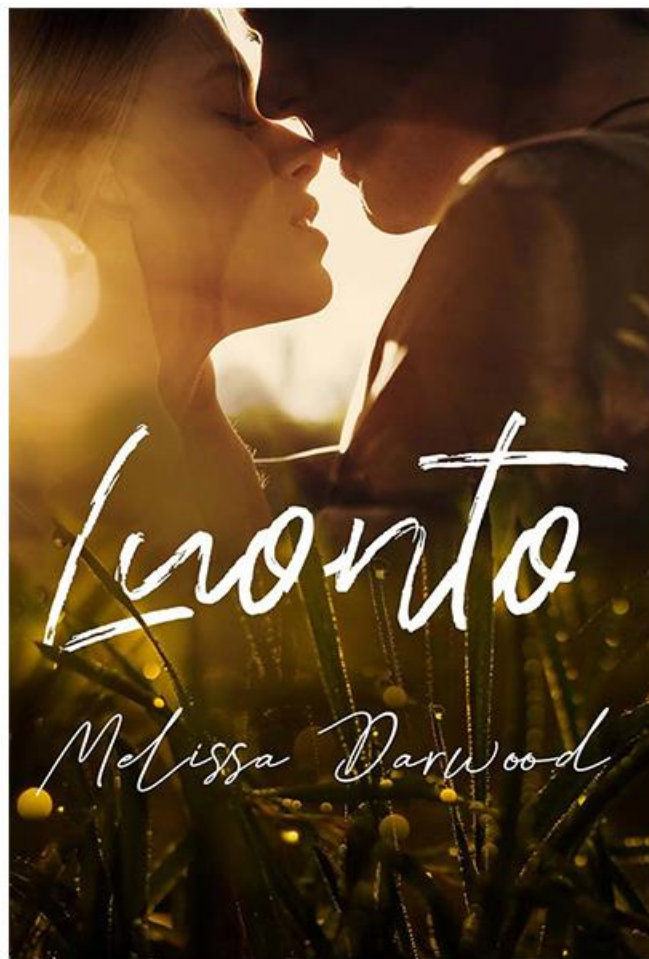
Poznaj emocjonującą historię Julki i Jeremiego,
którzy skradli serca polskich czytelniczek.

„Mała”.
Małgorzata Lisińska



Romans z humorem i nutką pikanterii.
Świetna zabawa i gorące doznania gwarantowane!
Dla kobiet po trzydziestce, i nie tylko.

„Luonto”.
Melissa Darwood



Żywioty powstały przeciwko ludziom.
Rozpoczęła się walka o przetrwanie.
Czy uczucie okaże się silniejsze niż prawa natury?